

GRAHAM  
MASTERTON

SIOSTRY KRWI



O książce

## PIĄTA KSIĄŻKA Z KATIE MAGUIRE

**Thriller nawiązujący do filmu „Siostry Magdalenki” i do prawdziwych wydarzeń: W latach 70. w irlandzkim hrabstwie Galway, w ogrodzie klasztoru, gdzie niegdyś mieścił się prowadzony przez siostry zakonne dom dla samotnych matek, znaleziono stopy kości dzieci, a o ich śmierci nie było żadnej informacji w jakimkolwiek rejestrze.**

W domu opieki na przedmieściach Cork zostaje uduszona stara zakonnica. Można by to nawet uznać za akt miłosierdzia, gdyby nie święta figurka znaleziona w jej ciele. I gdyby niedługo po tym okolicznym mieszkańcom nie ukazał się przerażający widok: przyczepiona do wypełnionych helem balonów, wykrwawiająca się zakonnica, która szybuje nad łąkami i rzeką.

Choć ta druga nie została jeszcze zidentyfikowana, nadkomisarz Katie Maguire wie, że odpowiedzi należy szukać w przeszłości klasztoru Bon Sauveur, w którym właśnie dokonano makabrycznego odkrycia. Niestety, natrafia tam na mur milczenia.

A tymczasem Katie ściga się z czasem, bo znikają kolejne zakonnice.

GRAHAM  
MASTERTON  
SIOSTRY KRWI

Z angielskiego przełożył  
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK



Wydanie elektroniczne

GRAHAM MASTERTON  
(ur. 1979)

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem **Manitou** (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawiane **Magia seksu i Potęga seksu**. W ostatnim czasie w naszym kraju ukazały się **Czerwony Hotel, Ogród zła, Panika, Śpiączka, Susza, Czerwone światło hańby, Uznani za zmarłych i Siostry krwi**.

[www.grahammasterton.co.uk](http://www.grahammasterton.co.uk)  
[www.grahammasterton.blox.pl](http://www.grahammasterton.blox.pl)

*Tego autora*

*Sagi historyczne*

WŁADCY PRZESTWORZY  
IMPERIUM  
DYNASTIA

**Rook**

ROOK  
KŁY I PAZURY  
STRACH  
DEMON ZIMNA  
SYRENA  
CIEMNIA  
ZŁODZIEJ DUSZ  
OGRÓD ZŁA

**Manitou**

MANITOU  
ZEMSTA MANITOU  
DUCH ZAGŁADY  
KREW MANITOU  
ARMAGEDON

**Wojownicy Nocy**

ŚMIERTELNE SNY  
POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY  
DZIEWIĄTY KOSZMAR

**Katie Maguire**

BIAŁE KOŚCI  
(książka wcześniej ukazała się pt. KATIE MAGUIRE)

UPADŁE ANIOŁY

CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY  
UZNANI ZA ZMARŁYCH  
SIOSTRY KRWI

*Inne tytuły*

STUDNIE PIEKIEŁ  
ANIOŁ JESSIKI  
STRAŻNICY PIEKŁA  
DEMONY NORMANDII  
ŚWIĘTY TERROR  
SZARY DIABEŁ  
ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ  
ZJAWA  
BEZSENNI  
CZARNY ANIOŁ  
STRACH MA WIELE TWARZY  
SFINKS  
WYZNAWCY PŁOMIENIA  
WENDIGO  
OKRUCHY STRACHU  
CIAŁO I KREW  
DRAPIEŻCY  
WALHALLA  
PIĄTA CZAROWNICA  
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW  
BŁYSKAWICA  
DUCH OGNI  
ZAKŁĘCI  
ŚPIĄCZKA  
SUSZA  
SZKARŁATNA WDOWA

Tytuł oryginału: BLOOD SISTERS

Copyright © Graham Masterton 2015  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.  
2016

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2016

Redakcja: Marta Grał

Zdjęcia na okładce: Silas Manhood Photography

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-362-5

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

## Spis treści

Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37



Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54  
Rozdział 55  
Rozdział 56  
Przypisy

*Mojej mamie Mary,  
bez której to dziecko by się nie narodziło*

*Is minic a rinne bromach gioblach capall.*

Wyrasta nieraz tężi koń ze źrebaka chuderlaka.

irlandzkie powiedzenie

## Rozdział 1

– Słyszałeś to? – zapytała Cliodhna.

– Co niby? – odpowiedział pytaniem Brian. Kręcił się w kółko i rozglądał za Christy, ich wilczarzem irlandzkim. Stali wysoko na nadmorskiej skarpie w pobliżu Nohaval Cove. Dął mocny, porywisty wiatr, z południowego zachodu sunęły granitowoszare chmury, wlokąc pod sobą firany deszczu.

– Naprawdę słyhać czyjś krzyk – nie dawała za wygraną Cliodhna. Gdy odgarnęła w tył kaptur czerwonej bluzy przeciwdeszczowej, wiatr uniósł jej jasne włosy. – Dochodzi chyba z dołu, z plaży.

Brian zatrzymał się i nadstawił uszu.

– E, nie – odparł po chwili. – Nic nie słyszę.

– Przysięgłabym, że się ktoś darł.

– Christy! – zawołał Brian. – Gdzieżeś ty, kurde, poleciała, matole jeden!

– No, ale nie mów tak do niej – obruszyła się Cliodhna.

– Czemu? Zacznie papugować czy co?

– Nie, ale to obraźliwe. Ona też jest stworzenie boże, tak jak my.

Brian już miał po raz kolejny zawołać psa, lecz raptem wiatr przycichł na chwilę i gdzieś w dole rozbrzmiał wysoki chrapliwy wrzask. Podobnie zatrważający dźwięk wyrwał się z gardła jego kolegi kierowcy, kiedy w zajezdni autobusowej Capwell przygniotła go do ściany cofająca się dwieścieczternastka. Był to rozpaczliwy krzyk bólu i bezradności kogoś, kto wie, że doznane obrażenia nieuchronnie zakończą się dla niego śmiercią.

– Matko Boska – westchnął Brian i zbliżył się do urwiska na tyle, na ile pozwoliła mu odwaga. Długa trawa smagała go po nogach. W dole ścieliła się niewielka połać plaży, lecz zwisająca skarpa nie pozwalała jej zobaczyć. Dostrzegał tylko najeżone ostrymi krawędziami czarne głązy oraz pieniającą się między nimi falę przyboju. Morze miało barwę ciemnej jadowitej zieleni.

– Ale to nie Christy, prawda? – zapytała Cliodhna. – No, nie mów mi, że spadła ze skały.

Brian odsunął się od krawędzi i pokręcił głową.

– No coś ty! Głos Christy to raczej nie jest. Prędzej jakiegoś faceta, moim zdaniem. Zejdę na dół i zerknę.

– Może zadzwońmy po karetkę. Bo ten ktoś chyba jest ranny, nie?

– Daj mi się wpierv rozejrzeć. Poza tym wątpię, czy złapiesz tu zasięg.

Brian dotarł do ciasnego przesmyku między dwiema zwalistymi skałami o poszarpanych graniach. Minęły już lata od czasu, gdy tamtędy schodził, ale najwyraźniej ludzie wciąż korzystali z tej wąskiej ścieżki, by dostać się na plażę. Ktoś wetknął nawet pusty bidon w skalną szczelinę.

Kiedy zaczął się zsuwać, chwytając się kęp trawy i kolcolistów, usłyszał znowu okrzyk: szorstki, gardłowy i przepełniony rozpaczą. Brian odwrócił się i spojrzął na Cliodhnę. Zasłaniała sobie usta dłonią, jakby chciała zawołać, żeby wrócił, a jednocześnie rozumiała, że Brian musi iść dalej.

Napłynęły chmury i zakryły słońce, zaczynało mżyć. Przecisnął się obok skalnego występu, później jednak ścieżka biegła jeszcze bardziej stromo. Musiał ustawić się twarzą do ściany i schodzić tyłem jak po drabinie.

Kiedy zrobiło się trochę równiej, mógł się odwrócić i dopiero wtedy zobaczył plażę. Była tam klinowata zatoczka o długości nie większej niż siedemdziesiąt metrów. Szpiczaste głazy wyglądały, jakby ktoś specjalnie poutykał je w piasek, by odstraszać najeźdźców.

Teraz jednak sterczały tylko ich wierzchołki, bo plażę zaścieliły truchła koni. Brian nie umiał ich zliczyć. Większość była brązowych i napęczniałych, lecz niektóre zgniły już do tego stopnia, że przypominały worki włochatej skóry z wystającymi kośćmi. Dostrzegał kopyta, grzywy i splątane ogony. Odór był zadziwiająco słaby, ale ostatecznie trwała zima i chłodne morze z każdym przyływem zalewało to cmentarzysko.

Nie schodził dalej, tylko wyjął z kieszeni wiatrówki iPhone'a i pstryknął sześć, może siedem zdjęć.

– Brian! – zawołała Cliodhna. – Nic ci nie jest? Christy tam nie ma, co?

– Nie, nie ma jej tutaj. Już idę na górę!

Zaczął się wspinać z powrotem, lecz nagle rozległ się głośny krzyk. Zaskoczony Brian obrócił się i wtedy podeszwy jego butów szurnęły na skale. Omal się nie poślizgnął i nie runął na sam dół.

Zobaczył, że jeden z koni uniósł łeb i patrzy na niego przekrwionym okiem. Wydał niski świst podobny do dźwięku dud, z których uchodzi powietrze, a potem łeb znów opadł. Jezu, pomyślał Brian, to biedne bydlę wciąż żyje. I co ja mam teraz zrobić, na wszystkie świętości?

Wdrapał się jakoś na górę. Nim dotarł na szczyt klifu, deszcz zacinał już mocno. Cliodhna stała przygarbiona z podniesionym kapturem.

– Co się stało? – zapytała na widok miny Briana. – Coś tam zobaczył?

– Konie – odparł i wyjął iPhone'a, żeby sprawdzić zasięg, choć miał świadomość, że to beznadziejne. Trzeba będzie dojechać do najbliższego domostwa i dopiero stamtąd wezwać służby ratownicze.

– Konie? – powtórzyła. – Jak to konie?

– No, konie, całą masę koni. Wszystkie nieżywe oprócz tego jednego, którego zawodzenie żeśmy usłyszeli.

– I co teraz zrobisz?

– No, jak to co, zadzwonię po weterynarza. Będą go chyba musieli uśpić, nie? Bo przecież, kurde, nie pójdę tam i nie uzdrowię szkapiny cudownym

pocałunkiem życia.

Uniósł rękę do oczu, osłaniając je przed deszczem.

– Gdzie ta cholerna Christy? Czasem aż mnie korci, żeby wziąć kija na tego kundla!

– Zostanę, a ty idź i dzwoń – powiedziała Cliodhna.

Koń znowu zarżał żałośnie jakby dla podkreślenia, że sytuacja jest krytyczna. Być może dzięki echu odbijającemu się od skał odgłos zabrzmiał tak samo jak za pierwszym razem – przypominał rozpaczliwy krzyk człowieka.

– No dobra – zgodził się Brian. – Ale ty tu zostań i nie podchodź za blisko do krawędzi. I tak nic nie dojrzysz, a ja nie chcę, żebyś tam wylądowała jak te szkapy.

Ruszył w kierunku rogu brązowego zaoranego pola, gdzie zostawił swoje duże volvo kombi. Gdy się zbliżył, spostrzegł, że Christy siedzi obok auta, brudnoszara, szochrana i cała mokra, z wywalonym jęzorem. Na widok Briana wstała i otrząsnęła się, ale nie ruszyła się z miejsca, jakby chciała czym prędzej wsiąść i pojechać do domu.

Brian zatrzymał się, wsunął dwa palce do ust i gwizdnął ostro na Cliodhnę. Potem skinął na nią ręką.

Odwrócił się znów do Christy, z której gardła wydobywał się dziwny chrapliwy głos. Niezbyt ci tu fajnie, co? – pomyślał. Ty wiesz, że podle się tutaj narobiło. Chyba jednak nie jest z ciebie aż taki matoł, jak sądziłem.

## Rozdział 2

Katie wysunęła się z małej łazienki w gabinecie i zobaczyła detektywa komisarza O'Rourke'a, który stał przy jej biurku z niebieską teczką w dłoni.

– O, Francis. Proszę wybaczyć, że musiał pan czekać.

– Nie ma sprawy, pani nadkomisarz – odparł O'Rourke. – Wszystko gra? Trochę pani jakby rozkojarzona, jeśli wolno zauważyć.

Katie poprawiła palcami włosy i obciągnęła żakiet.

– Ogólnie super, Francis, dzięki. Poszliśmy wczoraj wieczorem na curry i chyba trafiła mi się nieświeża krewetka.

– Może lepiej nie będę pani opowiadał, jak ja ostatnim razem napasłem się curry. – O'Rourke uśmiechnął się. – Znajomi i rodzina nie widzieli mnie na oczy przez kilka dni... I w tym miejscu postawię kropkę.

Katie usiadła.

– Co pan tam ma?

– To? Dane statystyczne o wyrokach skazujących imigrantów, o które pani prosiła. Przepraszam, że tak długo mi zeszło, ale właśnie odebrałem zgłoszenie z domu opieki Mount Hill w Montenotte. Znaleźli martwą pensjonariuszkę i lekarz, który ją obejrzał, mówi, że okoliczności są jakieś podejrzane.

Katie poczuła, że znowu ściska ją w brzuchu. Przymknęła powieki i zakryła usta dłonią. Nie wiedziała, iść do łazienki czy nie iść, ale nudności po chwili ustąpiły. Mimo to było jej zimno i oblewał ją pot.

– Aby na pewno dobrze się pani czuje? – spytał z empatią O'Rourke, przechylając głowę.

– Tak, wszystko w najlepszym porządku, to minie. Kim jest denatka?

– Osiemdziesiąt trzy lata. Pielęgniarka znalazła ją rano w łóżku. Najpierw myśleli, że zeszła z przyczyn naturalnych. W końcu to dom opieki dla emerytów, więc zdarza się dość regularnie, że pensjonariusze umierają.

– To dlaczego lekarz mówi, że okoliczności śmierci są podejrzane?

– Wezwano go, żeby stwierdził zgon. Ale on po krótkich oględzinach wykrył w zwłokach ciało obce.

– Ciało obce? Jakiego rodzaju?

Detektyw komisarz dotknął palcem kołnierzyka koszuli, jak gdyby odpowiedź na pytanie sprawiała mu trudność.

– Hm, to była figurka – odparł po chwili. – Błogosławionej Dziewicy, jeśli chodzi o ścisłość. Lekarz ją wziął i wyciągnął, bo tak mu nakazywał szacunek, ale poza tym w ogóle nie dotykał ofiary.

– Miała wetkniętą figurkę Maryi Dziewicy?

– Świętokradztwo jakby, prawda? Ale właśnie tak. Detektyw sierżant Ni

Nuallán i detektyw O'Donovan pojedą tam, żeby się rozmówić z dyrektorem i pielęgniarkami, powiadomiłem też sekcję techniczną. A sierżant Ni Nuallán zgłosiła sprawę do biura koronera, oczywiście.

– Wiemy, kim ona była, ta zmarła? – spytała Katie.

– Oficjalnie jeszcze jej nie zidentyfikowano, ale wydaje się, że to siostra Bridget Healy z klasztoru Bon Sauveur w Saint Luke's Cross.

– Coś mi się kojarzy – powiedziała Katie. – Dlaczego ta nazwa mi się kojarzy?

– Zielonego pojęcia nie mam, pani nadkomisarz – odparł detektyw O'Rourke. – Bo na ogół to rzadko mnie do zakonnicy nosi.

Katie wstała.

– Chyba sama tam pojedę, tak żeby się zorientować. Może wybrałby się pan ze mną?

– No jasne – odparł komisarz i po chwili dodał: – Jest w tym coś takiego, że nos aż się sam wykręca, nie?

– Ile razy słyszę o podejrzonej śmierci i klasztorze w jednym zdaniu, zawsze mi coś śmierdzi. Może w tym przypadku się mylę, ale chcę tam pojechać i powęszyć.

– Jak pani sobie życzy. Proszę. – O'Rourke podał jej teczkę, którą przyniósł. Przydzielono go do komendy przy Anglesea Street dopiero przed siedmioma tygodniami, lecz Katie zaczynała mu ufać i na nim polegać. Był niski i tęgi, kasztanowe włosy miał podgolone na bokach tak, że sterczały spod nich czerwone uszy, ale góra czupryny układała się w fale. Twarz okrągła z nosem jak bąbel i bardzo jasne zielone oczy. Stale uniesione brwi sprawiały wrażenie, że jest mile zaskoczony czymś, o czym się właśnie był dowiedział. Bardziej przypominał pocziwego wujka niż komisarza Garda Síochána, ale Katie szybko stwierdziła, że umie trafnie oceniać charaktery, jest czujny oraz wyjątkowo uparty i dociekliwy.

Jego żonę Maeve cechowała podobna nieustępliwość. Gdyby się pobili w czasie domowej sprzeczki, Katie miałyby kłopot ze wskazaniem faworyta.

O'Rourke stuknął palcem w teczkę.

– W ciągu minionego półrocza wskaźnik skuteczności dochodzeń przeciw imigrantom spadł o osiem procent. Deportowano o trzysta procent mniej nielegalnych. Pomyślałem sobie, że chce pani usłyszeć potwierdzenie, że w tej batalii dostajemy kopy.

– Jakbym sama nie wiedziała. Jutro po południu mamy naradę w NASC<sup>1</sup> poświęconą przestępczości wśród imigrantów, będzie można poruszyć tę kwestię. Bo nadal zbyt wielu jest świętoszkowatych dobroczyńców, którym się zdaje, że wydalenie z kraju imigranta za gwałt czy rabunek to to samo co zsyłka do Australii w czasach głodu. *The Fields of Athenry*<sup>2</sup> i takie tam.

Detektyw komisarz O'Rourke się skrzywił.



– No, jakoś nie widzę związku między historią o Michaelu, który skradł Trevelyanowe zboże, żeby nakarmić swoją zagłodzoną dziatwę, a tym, że przybysz z jakiegoś Bubulandu w biały dzień szlachtuje nożem ciężarną kobietę, bo nie chciała mu po dobroci oddać komórki.

Katie zdjęła z wieszaka gabardynowy płaszcz w kolorze bordo. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wstąpić jeszcze raz do łazienki, ale jej żołądek jakby się uspokoił. Łykała witaminę B6, piła herbatę imbirową i z pewnością nie cierpiała takich katuszy jak te, o które przyprawiał ją niegdyś Seamus, Boże, miej w opiece jego małą duszę.

\* \* \*

Dzielnica Montenotte leżała na stromiznie północnej części miasta i w jasne dni z domu opieki Mount Hill można było podziwiać panoramę rzeki Lee, śródmieścia oraz niewyraźnych zielonych wzgórz, które za nim majaczyły. Tego ranka powietrze było zamglone i zimne jak cementarz, ale Katie przewidywała, że mgła, ozłocona blaskiem słońca, wkrótce się rozwieje.

Ośrodek urządzono w klasztorze zbudowanym w latach osiemdziesiątych XIX wieku z myślą o ludziach schorowanych i starych. Pomalowana na szaro fasada miała ponad osiemdziesiąt metrów długości i pięła się na wysokość trzech kondygnacji; w dachu pokrytym ciemną dachówką tkwiły okna świetlikowe. Przed gmachem stały dwa radiowozy, a także biała furgonetka sekcji technicznej i karetka pogotowia.

Kiedy skręcali z Middle Glanmire Road na parking, Katie stwierdziła z ulgą, że nie widzi znajomych pojazdów dziennikarzy i ekip telewizyjnych. Nie była w nastroju, by mierzyć się z nagabywaniami o podejrzaną zgon sędziwej siostry z Bon Sauveur.

Detektyw sierżant Ni Nuallán czekała na Katie i O'Rourke'a na schodach wejściowych. Od jakiegoś czasu zapuszczała blond włosy i upinała je w warkocz; dziś była w granatowym płaszczu z kaszmiru, ściągniętym ciasno paskiem. Z opuchniętymi oczami i nieumalowana, i tak ładnie się prezentowała.

– Dużo do oglądania to tutaj nie ma – rzuciła. – Jedna staruszka, która wyzionęła ducha, i gromada innych staruszków, którzy wnet podrepczą tym samym szlakiem.

– Odjazdowy płaszcz, Kyno – pochwaliła Katie, kładąc rękę na jej ramieniu. – Też by mi się taki przydał.

– O, dzięki. Ale to tylko Marks and Spencer. Dawali zniżkę trzydzieści pięć euro, więc jak mogłam darować, no nie?

– Pomówiła już pani z personelem?

Detektyw sierżant Ni Nuallán wyjęła notes.

– Zamieniłam parę słów z dyrektorem Noelem Pardoe i Neviną Cormack,

pielęgniarką oddziałową. A także z doktorem McNallym. To on został wezwany, kiedy znaleziono siostrę Bridget, ale musiał wyjechać do pacjenta. Tak na wszelki wypadek dał mi numer komórki.

Pchnęła ciężkie politurowane drzwi z dębowego drewna prowadzące do ogromnego holu. Katie i detektyw komisarz O'Rourke wsunęli się za nią do środka. Obok dyżurki stał zmartwiony mężczyzna w za luźnej tweedowej marynarce i rozmawiał z recepcjonistką o włosach kręconych na lokówkę. Był gruby i wyglądał niechlujnie – przekrzywiony krawat, brzuch wyzierający spod białej koszuli. Jego czupryna miała barwę i fakturę płatków śniadaniowych Shredded Wheat, skóra zaś zachowała pomarańczowy odcień po letniej opaleniznie.

– Panie Pardoe, przedstawiam panu detektyw nadkomisarz Maguire i detektywa komisarza O'Rourke'a.

Noel Pardoe wyciągnął pulchną dłoń ze złotym sygnetem.

– Proszę, proszę! Detektyw nadkomisarz, co? Nigdy bym nie pomyślał, że zgon siostry Bridget jest aż tak tajemniczy i że zwabi tu wysokie szarże.

Katie zignorowała rękę i posłała mu zdawkowy uśmiech.

– Każda podejrzana śmierć zasługuje na moją uwagę, panie Pardoe, nawet jeśli nie zawsze zjawiam się osobiście na miejscu zdarzenia.

– Oczywiście. Gdzież bym śmiał sugerować, że nie poświęci pani tej sprawie całej uwagi. Jestem pewny, że tak będzie. Ale na przekór jedynej nietypowej okoliczności towarzyszącej zgonowi siostry Bridget...

– Ma pan na myśli figurkę?

– Tak, właśnie, figurkę – potwierdził Noel Pardoe i oblizał usta, jakby słowo to miało wyczuwalny przykry smak. – Niezależnie od tego powinna pani wiedzieć, że nasz personel pielęgniarski otacza pensjonariuszy troskliwą opieką i zdziwiłoby mnie bardzo, gdyby się okazało, że siostra Bridget nie odeszła z przyczyn naturalnych. Miała słabe serce i problemy z wątrobą, jak wyjaśniłem pani sierżant. Nikt się tu nie spodziewał, że pobędzie z nami na tym świecie o wiele dłużej, niech ją Bóg błogosławi.

– Kwestię przyczyn śmierci pozostawmy koronerowi, dobrze? – wpadła mu w słowo Katie. – Chciałabym teraz zobaczyć zmarłą, jeśli wolno.

– Oczywiście, to żaden kłopot. Wasi technicy są już na górze.

– Później zamieniłabym chętnie słowo z pielęgniarką oddziałową.

– Tak, naturalnie. Uprzedzę Nevinę, że pani tu jest.

Gospodarz zaprowadził troje policjantów do windy. Stanęli ciasno twarzami do siebie i w niezręcznym milczeniu wjechali na drugie piętro. Gdy szli gęsiego korytarzem, lewy but Noela Pardoe skrzypiał na parkiecie z odgłosem przypominającym kwakanie kaczki.

– No to zostawiam państwa – powiedział, jakby chciał czym prędzej się

stamtąd ulotnić. – Później, kiedy skończycie, spotkamy się na dole.

Pokój siostry Bridget wychodził na ogród na tyłach ośrodka; z okna widać było drzewa w kolorze rdzy oraz skalniak z posągami Maryi trzymającej w objęciach Dzieciątka Jezus. Katie skojarzył się z kobietą, która czeka na przystanku autobusowym.

Bill Phinner, główny patolog, stał obok wysokiego szpitalnego łóżka, a młoda laborantka klęczała z małym ręcznym odkurzaczem i pobierała próbki z cętkowanego zielonkawego dywanu. Drugi technik usuwał kurz z szafki nocnej, przygotowując ją do analizy daktyloskopijnej. Phinner, chudzielec z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami i głęboko zapadniętymi policzkami, niewiele się różnił od denatki, którą miał badać.

– Dzień dobry pani – rzucił do Katie, nie spoglądając w jej stronę.

– No i co tam, Bill? – odpowiedziała pytaniem. W pokoju panował nieprzyjemny skwar, więc rozpięła kołeczki spinające poły płaszcza.

Przy ścianie na lewo znajdował się wysoki mahoniowy regał zawalony książkami – głównie były to Biblie lub żywoty świętych – i przeróżnymi drobnymi dewocjonaliami i posążkami. Najbardziej rzucała się w oczy monstrancja: stojak z pozłacanym promienistym rozbłyskiem i okrągłym kryształem pośrodku, w którym tkwił opłatek, ciało Chrystusa. Był jeszcze szkarłatny kryształowy różaniec oraz gipsowa figurka świętego Franciszka z rozpostartymi ramionami, otoczonego przez ptaszki i króliczki. Jednemu odpadł łebek.

Na wierzchu stosu złożonych koców w nogach łóżka, zapieczętowana w torebkę na dowody, leżała bladoniebieska figurka Maryi Dziewicy, którą lekarz wyjął z ciała siostry Bridget. Figura patrzyła przez warstwę folii z beztróskim wyrazem lica w różowym odcieniu pigułek.

Katie podeszła do łóżka i spojrzała na siostrę Bridget, która ze swoim dużym haczykowatym nosem, spiczasto zakończonym podbródkiem i zaciśniętymi mocno ustami przypominała jastrzębia. Oczy częściowo przysłaniały powieki, jakby nieboszczka spała, ale Katie dostrzegła na białkach drobne plamy wyglądające jak maciupkie czerwone kijanki.

– Wybroczynowe krwawienie spojówki – wyrecytował Bill suchym chropawym głosem. – Własną poduszką zdławiona, że tak to określe.

– Więc jednak nie przyczyny naturalne?

– No skąd! Uduszenie, bez cienia wątpliwości.

– A figurka?

– Maryja Niepokalanego Serca. Zrobiona z dobrej jakości tworzywa i kamienia, ręcznie malowana, wysokość dwadzieścia pięć i pół centymetra, można trzymać w pomieszczeniu, można i poza. Na cokoliku znak producenta, Pilgrim Fine Editions, da się więc ustalić, gdzie ją nabyto. Powiedziałbym, że cena mogła wynieść do trzystu euro, lekko licząc.

– Są na niej odciski palców?

– Kilka fragmentarycznych smug, ale w laboratorium pewnie uda nam się je powiększyć.

– Kiedy ją włożono? – zapytała Katie. – Przed uduszeniem czy po?

Bill uniósł bawełniany, sięgający do kostek szlafrok frotté. Siostra Bridget była chuda jak kościotrup, skórę znaczyły łuszczące się miejsca i ciemnoczerwone plamy – typowe u osoby ze schorzeniem wątroby. Na lewej piersi widniał duży szkarłatny siniak w kształcie półksiężyca. Sprawca zapewne przycisnął ofiarę do łóżka nasadą dłoni. Brzuch i wewnętrzna strona kościstych ud miały więcej zasinień. Pochwa z siwymi włosami była szeroko rozwarta, na szlafroku między nogami ciemniała rozległa brązowa plama zaschłej krwi.

Laborantka zbierająca odkurzaczem drobinki z dywanu wyłączyła urządzenie i wstała; gdyby nie przenikliwy szelest jej zbyt dużego kitla z syntetyku, w sali panowałaby kompletna cisza. Bill jeszcze przez chwilę trzymał szlafrok w górze, a potem ostrożnie i z szacunkiem okrył zmarłą. Nie musiał nic mówić. Katie zdawała sobie sprawę, że skoro siostra Bridget krwawiła podczas napaści, to jej serce wtedy wciąż biło.

### Rozdział 3

Wrócili do holu, gdzie Noel Pardoe czekał z Neviną Cormack. Oddziałowa była niską kobieciną w okularach o grubej oprawce i z toporną strzechą czarnych włosów przetykanych siwymi pasmami, podstrzyżoną wysoko na szyi. Była w szarym grubym zapinanym swetrze, który prawdopodobnie sama zrobiła na drutach. Kiedy podeszła bliżej, żeby się przedstawić, Katie poczuła mocną piżmową woń ani trochę niepasującą do jej rodzaju skóry.

– Z przykrością potwierdzam, że siostra Bridget została celowo uduszona – oświadczyła nadkomisarz.

– Ach, więc nie umarła z przyczyn naturalnych? – zdziwiła się Nevina Cormack. – Bo zdrowie nie bardzo jej dopisywało, wie pani.

– Niestety, zaatakowano ją, a potem uduszono poduszką.

Oddziałowa się przeżegnała.

– Okropność! Nie wyobrażam sobie, kto by mógł coś takiego zrobić! Już mówiłam wcześniej pani sierżant, że rano nikt jej nie odwiedzał i w całym budynku nie widzieliśmy nikogo podejrzanego.

– Czy siostra Bridget cieszyła się tutaj sympatią? – zapytała Katie.

– No tak, oczywiście. Miała swoje humory, jak to większość starszych osób. Ale nie mogę stwierdzić, żeby jej nie lubiano.

– Ta kobieta umarła – zauważyła Katie. – Cokolwiek pani o niej powie, jej to już nie zaszkodzi, a jeśli chcemy odkryć, kto ją zabił, powinnam usłyszeć prawdę.

Nevina Cormack zerknęła na Noela. Ten się skrzywił i wzruszył ramionami, jakby jej w ten sposób sygnalizował, że ma być szczerą.

– Uczciwie powiedziawszy, siostra miewała ciągoty do wyniosłości.

– Do wyniosłości?

– Często gęsto zapominała, że już nie kieruje klasztorem Bon Sauveur, zdawało jej się, że ma pod sobą cały ośrodek. Pielęgniarki były wobec niej bardzo, bardzo cierpliwe, ale ona oczekiwała, że będą na każde skinienie jej rąk i nóg, że się tak wyrażę, i nigdy nie usłyszały od niej słowa podziękki. Stale się awanturowała z jednym naszym pensjonariuszem, mężczyzną, bo za każdym razem zajmowała jego krzesło w sali telewizyjnej.

– Będziemy musieli z tym panem porozmawiać – oznajmiła Katie. – Ale z tego, co pani mówi, nie wynika, by ktoś tutaj chował do siostry Bridget aż tak wielką urazę i chciał ją udusić.

– Staramy się tworzyć rodzinną atmosferę – zapewniła oddziałowa. – Jak już wspomniałam, wielu naszych pensjonariuszy ma swoje nawyki, niektórzy nie wiedzą nawet, gdzie są i kim są, niech ich Bóg ma w opiece. Ale nijak sobie nie wyobrażam, by któryś z nich potraktował siostrę Bridget w taki sposób.

Stała przez chwilę niespokojnie, zaciskając i otwierając pięści.

– Czy to już wszystko? – spytała. – Bo niedługo lunch, a ja mam dużo obowiązków.

– Tak, tak, oczywiście, proszę robić swoje – odparła Katie. – Może będziemy chcieli z panią jeszcze pomówić, ale na razie to tyle. Za chwileczkę zabierzemy ciało siostry Bridget i trafi na autopsję do kliniki uniwersyteckiej. Pozostaniemy w kontakcie, żeby mogła pani poinformować jej krewnych i znajomych.

– Nic mi nie wiadomo, by jakichś miała – powiedziała oddziałowa. – Żaliła mi się kiedyś, że wszyscy jej bracia, siostry i dalsi krewni poumierali i została samiutka na świecie.

Katie, O'Rourke i Ni Nuallán wyszli; detektyw sierżant O'Donovan ruszył im naprzeciw. Mgła się rozproszyła i mokry parking oślepił blaskiem, więc Katie założyła okrągłe okulary przeciwsłoneczne.

– Przepytałem już prawie wszystkich pensjonariuszy, pani nadkomisarz – oznajmił O'Donovan. – Mniej więcej jedna trzecia coś tam kuma, ale reszta, zgodnie ze słowami oddziałowej, nie odróżni noża od widelca.

– Może któremuś przytrafił się incydent psychotyczny? – zasugerowała Katie.

– Teoretycznie byłoby to możliwe. Ale żaden z tych, których dotąd przesłuchałem, nie miałby tyle siły, żeby przytrzymać siostrę Bridget i ją zmasakrować, mimo że starowinka z niej była i chucherko. Niewielu byłoby w stanie unieść rękę i pacnąć komara.

– A ktoś z zewnątrz, odwiedzający? – dopytywał O'Rourke.

– Tego dnia rano nikt nie widział, by ktoś przychodził w odwiedziny do siostry Bridget – odpowiedziała Ni Nuallán. – W każdym razie do ośrodka nie wpuszczają nikogo, dopóki pensjonariusze nie zjedzą lunchu, czyli do około dwunastej w południe. Jeśli starszycy za bardzo się podniecą lub zaniepokoją, odbiera im to apetyt. Ale jest nagranie z kamery monitoringu w recepcji, więc je obejrzymy. Do budynku można wejść jeszcze tylko przez bramę ogrodową. Tyle że zawsze ją zamykają, żeby pensjonariusze nie mogli się zabłąkać poza teren.

– Czy waszym zdaniem ta zbrodnia miała podtekst seksualny? – spytała Katie, zbliżając się do samochodu.

Detektyw komisarz O'Rourke pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Znaczący miałem parę przypadków przestępców seksualnych gustujących w paniach w określonym wieku i więcej niż parę, w których księża wykorzystywali sędziwe zakonnice. W tym przypadku... no cóż, mogły zajść obie okoliczności, ale ta figurka... Zdecydowanie uważam, że motyw miał charakter religijny, a nie seksualny.

– I ja tak myślę – przytaknęła detektyw sierżant Ni Nuallán. – To jest jakby

zamierzone świętokradztwo, deklaracja w rodzaju: twoja religia tak mi dopiekle, że się nią posłużę i odpłacę ci pięknym za nadobne.

– Możliwe, że jesteście na właściwym tropie – przyznała Katie. – Niewykluczone, że sprawca mógł być zwykłym pomyłencem. Z drugiej jednak strony, bardziej prawdopodobne wydaje się, że ktoś chciał się zemścić na siostrze Bridget, bo miał jej coś za złe.

Zawiesiła głos.

– Może nie chodziło mu o zemstę na samej siostrze Bridget – dodała. – To znaczy nie na niej konkretnie, ale na zakonnicach z Bon Sauveur lub w ogóle na siostrach zakonnych. Kiedy się pomyśli o księżach, którzy byli zabijani w odwecie za molestowanie młodych chłopców...

Katie otworzyła drzwi samochodu.

– Kyno – zwróciła się do sierżant Ni Nuallán – może pojechałaby pani do klasztoru Bon Sauveur i popytała o siostrę Bridget? Wątpię, czy jest tam jeszcze ktoś, kto by ją znał osobiście, ale może zachowała się opinia o niej. Może krążą jakieś opowieści, a na pewno muszą być dokumenty.

– No jasne. Od razu tam uderzę. Dokończenie rozmów z tutejszymi pensjonariuszami zajmie nam pół godziny. Zwłaszcza z tym gościem od krzesła. Pamiętam, że mój dziadzio dostawał kręcka, kiedy go ktoś podsiadał na jego ulubionym fotelu.

– Racja – przytaknęła Katie. – Mordowano już ludzi z błaższych powodów.

\* \* \*

Po powrocie na komendę wstawiła czajnik, żeby zaparzyć sobie herbaty imbirowej. Kiedy nalewała wody, zabrzączał jej iPhone. John w SMS-ie pytał, czy Katie skończy na tyle wcześnie, by zdążyli się wybrać wieczorem na kolację do Eastern Tandoori.

Jeszcze nie przyznała mu się, że jest w ciąży. Nie zdążyła obmyślić, w jaki sposób to wytłumaczy. Wrócił aż z San Francisco, żeby z nią być i naprawić ich związek. Przysięgał, że przez ten czas nie zdradził jej z żadną kobietą. Prędzej czy później będzie musiała mu powiedzieć. Również to, że ojciec dziecka, najbliższy sąsiad, okazał się jednym z tych, którzy maltretują żony.

Dotąd udawało jej się maskować poranne mdłości tak jak przed detektywem O'Rourkiem, któremu oznajmiła, że źle się czuje po trefnej krewetce zjedzonej w hinduskiej restauracji. Była to najbardziej niestrawna rzecz, jaka jej się nasunęła, a teraz John chciał iść właśnie na curry. Eastern Tandoori był od dawna jednym z jej ulubionych lokali; mieścił się na piętrze przy Emmet Place i widać z niego było rzekę. Teraz jednak mdliło ją na samą myśl. Już czuła w nosie zapach kozieradki.

Usiadła przy biurku i odpisała:

Mogę się zasiedzieć. Wybacz. Wpadło nam ważne śledztwo. Chyba trzeba będzie wziąć coś na wynos. XXX.

Nadal pisała, kiedy wszedł komendant Denis MacCostagáin, postawny mężczyzna z zaokrąglonymi barkami i wiecznie grobową miną. Detektyw Horgan przezywał go za jego plecami Aingesoir, czyli Smętek, bo zawsze robił wrażenie stratego. Ale już w dniu awansu MacCostagáin z łatwością wszedł w nową rolę. Nie wyzbył się ponuractwa, lecz był dobrze zorganizowany i brał się do wszystkiego tak metodycznie, że Katie chwilami ledwie to znosiła. Na szczęście nie okazał się mizoginem; rozmawiał z nią posępnie drętym tonem, tak samo jak z resztą funkcjonariuszy. Nie przejawiał wobec niej żadnych uprzedzeń, choć o względach także nie mogło być mowy.

Podszedł do biurka z wydartą kartką z notesu w dłoni i patrzył na nią dłuższy czas bez słowa, jakby nie był pewny, skąd się wzięła.

– Znalezione martwe konie – zakomunikował wreszcie.

– Martwe konie? – powtórzyła Katie. – Gdzie dokładnie?

– U stóp urwiska w Nohaval Cove. Dwadzieścia trzy, taką liczbę podaje Kenneth Kearney. Jakiś obywatel to zgłosił i Kenneth wysłał na miejsce pracownika ISPCA<sup>3</sup>, który zastał jedno zwierzę żywe, ale w bardzo złym stanie, z trzema złamanymi nogami, więc je zastrzelił.

– W Nohaval Cove? Klify są tam potwornie strome. Jak się te konie dostały na dół? Przecież ich nie spędzono, prawda?

– Kenneth chyba tak właśnie sądzi. Albo je spędzono, albo zrzuciono z góry. Od szczytu do plaży jest prawie osiemdziesiąt pięć metrów, więc to cud, że ten jeden koń przeżył.

Komendant MacCostagáin zerknął na swój zegarek, choć na ścianie gabinetu Katie wisiał duży zegar.

– Jakie ma pani plany na dzisiaj? Bo chodzi o to, że zbierają się tam dziennikarze, a wiem, że świetnie sobie pani radzi z mediami. Pokażemy, że sprawa jest dla nas ważna, jeśli wyślemy na miejsce wysokiego funkcjonariusza. Wie pani, opinia publiczna bardziej się przejmuje okrucieństwem wobec zwierząt niż tym, że ktoś maltretuje kobiety albo dzieci.

– Co racja, to racja – przyznała Katie i wstała. – No więc dobrze, zabiorę ze sobą Horgana i Dooleya. Domyślam się, że już pchnął pan tam radiowóz?

– Trzy nawet. Dwa stąd i jeden z Carrigaline. Bill Phinner wysłał ekipę techniczną. Chcę, żeby teren wokół klifu był jak najprędzej odcięty kordonem. Wieść zaraz się rozniesie i jak to zwykle bywa, zbiegnie się od groma ciekawskich. A lepiej żeby nam nikt nie spadł ze skały i nie złamał sobie karku.

Po wyjściu MacCostagáina Katie upiła łyk herbaty imbirowej, ale się oparzyła i musiała ją odstawić. Rano mdłości nie pozwoliły jej nic zjeść, więc teraz cieszyła się, że zabrała z domu zapakowaną w folię aluminiową kanapkę z chleba



sodowego z kurczakiem – resztkę po wczorajszej kolacji. Wyjęła ją z szuflady biurka i wsunęła do torby.

## Rozdział 4

Deszcz ustał, zanim Katie dotarła do Nohaval Cove, ale nadal mocno wiało. Wspinając się po trawiastym stoku wzgórza, postawiła kaptur wełnianego płaszcza. Tuż za nią szli detektywi Horgan i Dooley, poły ich płaszczy głośno furkotały.

Trzej funkcjonariusze właśnie wbijali w ziemię metalowe paliki i rozciągali niebiesko-białą taśmę, pięciu innych stało w pobliżu i rozmawiało z pracownikiem ISPCA oraz dwoma technikami w białych kombinezonach. Wszyscy tupali nogami i poruszali się dla rozgrzewki; wyglądało to, jakby ćwiczili staroświecki taniec ze stepowaniem.

Dwóch policjantów zdołało dojechać land cruiserami w pobliże ścieżki prowadzącej na plażę, reszta jednak musiała ustawić samochody wzdłuż grząskiej polnej drogi: były tam dwa radiowozy, niebieska karetka weterynaryjna, kombi i furgonetka sekcji kryminalistycznej. W trzech pojazdach Katie rozpoznała auta dziennikarzy. Na razie nie pojawił się wóz ekipy telewizyjnej. Na widok nadkomisarz dwaj funkcjonariusze przestali dreptać w miejscu i cofnęli się z szacunkiem. Wyszedł jej na spotkanie sierżant Kevin O'Farrell, rosły, tęgi chłop z włosami o barwie piasku i z zaczerwienioną twarzą, która zawsze wyglądała tak, jakby miała za chwilę eksplodować.

– Miło, że pani dotarła – zagadnął. – Ci dziennikarze, co tam stoją, sypnęli mi niewygodnymi pytaniami, na przykład, czy moim zdaniem to Romowie zwalili te konie ze skały.

– I jakiej odpowiedzi im pan udzielił?

– Usłyszeli tyle, że na razie komentarza nie będzie. Ostatnio gadałem z pismakami o Romach, kiedy urządzili trefne wyścigi na Mallow Road, i tym sposobem załatwiłem sobie naganę służbową.

– A owszem, kojarzę. Nie wolno zapominać, sierżancie, że wszystko, co robią wędrowni Romowie, jest tradycyjne. Tradycyjne bijatyki, tradycyjne podkradanie w sklepach, inne wykroczenia również tradycyjne. Pojęcia nie mam, czy zrzucanie koni ze skał to też jakaś ich tradycja, ale pewnie wkrótce się dowiemy. Czy to jest ten inspektor z ISPCA?

– Tak, pani nadkomisarz – potwierdził O'Farrell i skinął ręką.

Podszedł drobny, schludnie wyglądający mężczyzna z ciemną brodą. Miał najłagodniejsze piwne oczy, jakie kiedykolwiek widziała, jezusowe nieomal; bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak bierze na ręce osierocone szczenięta albo wiedzie zestresowane osiołki na spokojne pastwiska.

– Tadhg Meaney – przedstawił się, ściągając rękawicę i wysuwając dłoń. – Normalnie to urzęduję w Centrum Weterynaryjnym dla Koni w Dromsligo. Dzwoni do mnie rano Kenneth Kearney i prosi, żebym tu podjechał. Coś

okropnego, totalny szok. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem, choć pracuję w ISPCA dziewiąty rok. Nigdy.

– Powiedziano mi, że jeden koń żył.

– Ledwo zipał. Wątpię, czy dwanaście godzin by pociągnął. Zastrzeliłem go, tak jest najszybciej.

– Zaprowadzi nas pan na plażę, żebyśmy się mogli rozejrzeć?

– No jasne. Ale uwaga, bo ślisko jest i bardzo stromo, sam o mało nie fiknąłem kozła. Lepiej pójde pierwszy.

Poprowadził Katie, Horgana i Dooleya do głębokiej szczeliny w skale, gdzie zaczynała się ścieżka schodząca do plaży. Następnie wszyscy czworo ruszyli w dół ku zatoczce, dla równowagi przytrzymywali się skał i kolcolistów. Horgan, który sprawił sobie przedwczoraj nowe eleganckie mokasyny z brązowej skóry, całą drogę klął pod nosem.

– Gdyby był pan łaskawy trochę się ograniczyć z tymi bluzgami – poprosiła Katie, kiedy zbliżyli się do najbardziej stromego odcinka. – Zamówi pan sobie następną parę po powrocie do komendy.

– O, bardzo panią przepraszam. Na wyprzedazy w Schuh je dostałem, mieli tylko jedną parę w moim rozmiarze.

Zdołali jakoś dotrzeć do plaży i Katie objęła wzrokiem piętrzące się zwalły martwych koni. Był odpływ, woda cofnęła się prawie na maksymalną odległość i ciała zwierząt powleczone były cuchnącymi smugami ciemnozielonych wodorostów. W górze pokrzykiwały mewy, złe, że ktoś je odrywa od uczy. Prawie nie sposób było dokładnie przeliczyć zwłok, bo nogi, łby i korpusy leżały splątane, a część zgniła i zapadła się w te, które leżały pod spodem. Te znajdujące się bliżej skał nie uległy jednak rozkładowi w takim samym stopniu – kilka koni wyglądało tak, jakby lada chwila miały się zerwać na nogi.

Dwaj technicy stąpali ostrożnie między nimi, unosząc wysoko kolana, i fotografowali. W błyskach fleszy szczerzące zęby truchła podrygiwały niczym końskie widma z sennego koszmaru.

Te, którym wciąż pozostały oczy, gapiły się złowrogo na Katie. Co ja tutaj robię? Dlaczego leżę na tej plaży sztywny, nieżywy i z połamanymi nogami?

– Jedno zawsze fałszywie przedstawiają w filmach – odezwał się Tadhg Meaney, spoglądając smutno na dużego gniadego wałacha z rozdętym brzuchem. – Kiedy pada koń filmowy, zamykają mu się oczy. Sentymentalizm w czystej formie, nic więcej. Kiedy umiera prawdziwy koń, dalej na ciebie patrzy. A jak pani nadkomisarz wie, zdarza się to i ludziom.

– Myśli pan, że te konie żyły, kiedy je zrzucano ze skarpy? – dociekała Katie.

– Ten, którego musiałem dobić, żył, to oczywiste. Jeśli chodzi o pozostałe, to nie stwierdzę tego na pewno, dopóki nie zrobię pełnej autopsji. Ale i wtedy może

to być trudne, chyba że wcześniej je uspiono albo padły od takiej czy innej choroby. Końskiej grypy, encefalopatii lub zespołu Cushinga. Albo jeśli najadły się czegoś trującego, naparstnicy, na przykład, bądź jaskrów.

– W jakim wieku są te konie? Czy jest możliwe, że najlepsze lata miały już za sobą i ktoś chciał się ich pozbyć, nie płacąc za ich uspienie?

– No cóż, to całkiem możliwe. Nie wiem, ile teraz biorą za usługę zawodowi hycle, ale cena musi dochodzić do stu pięćdziesięciu euro. Jeśli pomnożyć tę kwotę przez liczbę tych koni tutaj, to byłby spory wydatek.

– Może ktoś wystawia właścicielom rachunek za uspienie zwierząt, a potem spycha je po prostu z urwiska i chowa forszę do kieszeni.

– Mogę się założyć, że to robota tych cygańskich hycli – wtrącił detektyw Horgan. – Moim zdaniem powinniśmy się kopnąć do ich slumsu i zadać brudasom parę pytań.

– To są Romowie – poprawiła go ostrym tonem Katie. W duchu nie potrafiła jednak całkowicie zanegować sugestii, że koni mógł się pozbyć ktoś z romskiej mniejszości. Uprzedzenia uprzedzeniami, lecz była to pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy.

– Aż dziw, że ich nie opchnęli na koninę – zauważył detektyw Dooley. – Sporo hajsu mogli zainkasować, no nie? Po ile chodzą teraz konie masarskie?

– Ale nie te tutaj, nawet jeżeli były zdrowe i nienaszprycowane barbituranami – odpowiedział mu Meaney. – Ktoś, kto by się ich pozbywał, musiałby okazać przetwórcy dokumenty poświadczające, że mięso tych zwierząt nadaje się do konsumpcji. Poza tym na nich prawie w ogóle go nie ma. Jeśli mnie wzrok nie myli, są tu same wyścigowce czystej krwi.

– Bez kitu! – rzucił Horgan. – To są konie wyścigowe?

Meaney schylił się i chwycił zeszytniałą pęcinę wałacha leżącego tuż obok, po czym uniósł kopyto i zademonstrował podkowę.

– Widzi pan? Wyścigowa podkowa równopowierzchniowa, zrobiona z aluminium i dzięki temu lekka. I proszę spojrzeć na tę. – Uniósł kopyto wierzchowca, który był tak silnie dotknięty rozkładem, że kasztanowa skóra pękła przy skręceniu. – Mamy tutaj przednią podkowę, także z aluminium, ale ze stalową nakładką cierną, która zwiększa przyczepność na bardzo rozmokłym podłożu.

– Czyli to nie są byle jakie, nikomu niepotrzebne konie ze zwyczajnych stajni jeździeckich? – zdziwiła się Katie. – Albo liche szkapiny, którym zabrakło sił do człapania?

– Nic podobnego – odparł Meaney. – Co roku w hrabstwie Cork znajdujemy ponad dwieście zabłąkanych, rannych lub porzuconych wierzchowców, i sytuacja się pogarsza, bez dwóch zdań. Zwyczajnych ludzi z klasy średniej nie stać już tak jak dawniej na utrzymywanie koników dla swoich pociech, więc często wyjeżdżają nimi w pola i je zostawiają. No i są jeszcze Romowie, jak ich pani nazwała.

Twierdzą, że kochają te zwierzęta, ale bladego pojęcia nie mają, jak się nimi należy zająć. Chcieliśmy zorganizować dla nich kurs maszталerski, tylko że cofnięto nam fundusze.

– Ale nie wszystko się sprowadza do Romów, prawda? – zauważyła Katie. – Rzeź odbywa się także w kręgach biznesu wyścigowego, nawet jeśli wierzchowce nie są zrzucane ze skarp.

– Ma pani całkowitą słuszność. Pomyśleć tylko, jakie to niehumanitarne! Nadal zbyt wiele irlandzkich stadnin rokrocznie notuje olbrzymią nadwyżkę źrebiąt. Dążą do tego, by multimilionerzy mogli przebierać wśród najlepszych i najbardziej rącznych. Ale w konsekwencji setki koni czystej krwi jest usypianych. Starsze wysyła się do hycli. Miały swoje chwile chwały, a teraz ich czas minął i nikogo nie stać na to, żeby się nimi opiekować. Trafiają do Francji, gdzie przerabia się je na salami.

Meaney wskazał trzy źrebaki kasztanki leżące prawie jeden na drugim, jakby w ostatnich sekundach życia wtuliły się w siebie, szukając poczucia bezpieczeństwa.

– Spójrzcie, są i młode. Jeśli nie przeżyją pierwszych dwóch dób po urodzeniu, hodowca nie musi płacić za wynajęcie ogiera do pokrycia klaczy, a sumy bywają bająnskie.

– Ile średnio wynosi teraz dzienna opłata za ogiera? – chciała wiedzieć Katie.

– Za niektóre sięgała i ćwierć miliona euro, ale to było w czasie boomu. Teraz, po recesji, właściciele nie mogą tyle żądać, ale i tak w grę wchodzi dziesiątki tysięcy. A jeśli cena zwierząt hodowlanych znacznie spada podczas jedenastomiesięcznej ciąży, wtedy los źrebiąt jest praktycznie przesądzony. Albo usuwa się ciężę, albo młodemu przytrafia się „wypadek” tuż po urodzeniu. Hodowca może obecnie mówić o szczęściu, jeśli na aukcji dostanie kilkaset euro za źrebaka, a kiedy zysk nie pokrywa kosztów, niektórzy zwyczajnie zostawiają je w domu aukcyjnym. No i co wtedy z nimi zrobić? Ostatnio po jednej tylko aukcji wysłano na rzeź osiemnaście źrebiąt. Osiemnaście!

Zamilkł i powiódł wzrokiem po plaży usłanej martwymi zwierzętami. Grzywy i ogony niektórych poruszały się na wietrze niczym strzępy flag i mundurów po krwawej bitwie.

– Nijak nie mogę skapować, dlaczego ci ludzie, którzy zrzucają konie z urwisk, nie kontaktują się z nami – ciągnął Meaney. – Mogliby to robić anonimowo. Bo chyba wiadomo, że usypiamy konie tylko w ostateczności i robimy wszystko, żeby im znaleźć jakieś przytulisko. Więc po co postępować w taki sposób? Trafiła pani w dziesiątkę, pani nadkomisarz. To jest rzeź, ni mniej, ni więcej.

– Przypuszczam jednak, że wszystkie zostały oczipowane, poza źrebiętami. Pewnie uda się panu dojść, kim byli właściciele.

– Oby. Rozmawiałem już z człowiekiem z waszej ekipy techników. Zorganizujemy transport zwłok do Dromsligo. Mamy tam pustą stodołę, ułożymy je jakoś przyzwoicie i zrobimy należytą autopsję.

\* \* \*

Wszyscy wdrapali się ścieżką na wierzchołek klifu. Nim tam dotarli, Katie się zasapała i poczuła, że ma skurcze żołądka. Detektyw Horgan wyciągnął do niej rękę i pomógł przebrnąć ostatnich kilka kroków między skałami.

– Dzięki – wydyszała. – Już myślałam, że nie dam rady.

Nadjechały jeszcze dwa radiowozy i dojrzała czterech reporterów, którzy stali wokół land cruisera i rozmawiali z funkcjonariuszami; byli wśród nich Dan Keane z „Examinera” i Jean Mulligan z „Echa”. Jak dotąd nie pojawiła się furgonetka RTÉ ani Fionnuala Sweeney z *Nine O’Clock News*. Katie nie od razu ruszyła na spotkanie dziennikarzy; najpierw poszła do samochodu, usiadła na przednim fotelu i włączyła silnik, żeby się rozgrzać. Wyjęła ze schowka kanapkę i zaczęła jeść, mimo że wciąż zalegał jej głęboko w gardle smród wodorostów i gnijącej końskiej padliny.

Otworzyła butelkę napoju jabłkowo-porzeczkowego, wzięła łyk i nagle jakby bez najmniejszej przyczyny się rozplakała. Zerknęła na grupę policjantów, techników i reporterów stojących przy krawędzi skały i stwierdziła z ulgą, że nikt nie patrzy w jej kierunku. Wytarła oczy chusteczką, ale wciąż czuła gulę w przełyku i nie mogła dokończyć kanapki. Owinęła ją w folię i odłożyła do schowka.

\* \* \*

Dan Keane z „Examinera” zbliżył się do niej pierwszy, kiedy zmierzała w stronę urwiska. Wziął szybko ostatniego sztacha papierosa, a potem go zgasił i wetknął sobie za ucho. Tuż za nim szła Jean Mulligan, pyzata pani około pięćdziesiątki z siwymi włosami, doświadczona dziennikarka, która wróciła niedawno do „Echa” po śmierci męża.

– Dobry, pani nadkomisarz! – zawołał Dan. Musiał krzyczeć z powodu wiatru i przenikliwego świstu trawy, który brzmiał jak pogwizdywanie przez zęby tysiąca szkolnych łobuziaków. Wyszarpnął notes z kieszeni płaszcza, ale w tej samej chwili musiał przycisnąć ręką do głowy kapelusza z brązowego filcu, żeby nie zerwała mu go wichura.

Jean Mulligan wyjęła cyfrowy dyktafon, lecz ona także chwyciła momentalnie lewą połą kurtki, która smagała ją po twarzy.

– Wasz kolega z ISPCA mówi, że naliczył na plaży dwadzieścia trzy martwe konie.

– Może ich być więcej – sprostowała Katie. – Dowiemy się na pewno, kiedy

je porozdzielamy i przetransportujemy na szczyt urwiska. Niektóre ciała są w stanie daleko posuniętego rozkładu, więc na razie trudno jest określić ostateczną liczbę.

– Tych zwłok nie wyrzuciły na brzeg fale, prawda? – indagowała Jean. – To znaczy nie przyniosła ich woda z innej części wybrzeża? Ze statku również ich nie zepchnięto? Nie były na pokładzie jednostki, która zatoneła? A może to przyptyw zniósł je na plażę.

– Nie, Jean, inspektor z ISPCA orzekł na podstawie ich obrażeń, że ktoś albo zrzucił je ze skały albo je na nią wpędził i pospychał na dół. Większość miała połamane nogi, a niektóre skrzycone szyje. Poza tym nie wszystkie zrzucano lub zepchnięto w jednym czasie. Stan ich rozkładu wskazuje, że niektóre leżały tu dosyć długo, może nawet dwa miesiące. Inne stosunkowo od niedawna.

– Jeden żył jeszcze, kiedy go znaleziono, czy tak? – zwrócił się do niej Johnny Byrne, młodociany reporter pracujący jako wolny strzelec. Dostarczał materiałów pismom „Corkman” w Mallow i „Southern Star” w Skibbereen, a także rozgłośniom Cork’s 96 i Red FM. Miał kręcone blond włosy i trądzik. Katie zawsze uważała, że jest o wiele za młody na dziennikarza; kilka razy jednak dał policji cynk, który pomógł zlokalizować zbiegłych z domu nastolatków i aresztować dealerów ecstasy w miejscowych pubach.

– Tak, Johnny, jeden koń jeszcze żył, ale miał poważne obrażenia i inspektor z ISPCA, o którym wspomniałam, musiał go dobić.

– Może nam pani powiedzieć, kto je znalazł? – spytała Jean.

– Nie, nie mogę. Wolno mi tylko ujawnić, że były to dwie postronne osoby, które wybrały się na spacer. Wolą, by ich nazwisk nie podawano do publicznej wiadomości, a my to całkowicie rozumiemy. Sposób, w jaki potraktowano te biedne zwierzęta, bez wątpienia kwalifikuje się jako przestępstwo, choć jest o wiele za wcześnie, bym mogła wyczerpująco określić, co z tego wynika.

– Pozwoli pani naszemu fotografowi zejść na plażę i pstryknąć parę zdjęć? – odezwał się Dan Keane; zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie.

– Ależ tak, naturalnie. Im szerzej będziecie o tej sprawie informowali, tym lepiej. Nawet jeśli nie dokonano tego za jednym razem, to nie da się zrzucić dwudziestu paru koni z osiemdziesięciometrowej skarpy bez zwrócenia na siebie uwagi. Ktoś musiał coś zobaczyć i może nam podsunąć ważny trop.

– Czy policji wiadomo coś o miejscu pochodzenia tych koni? – dopytywała Jean.

Tajenie informacji, że konie były czystej krwi, nie miało sensu, i Katie zdawała sobie z tego sprawę. Dan Keane uprawiał jeździectwo i od razu się połapie, mimo że wiele ciał uległo prawie doszczętnemu rozkładowi. Poza tym ich podkowy nie pozostawiały krzty wątpliwości.

– Nie wiemy jeszcze, czy pochodziły z jednej konkretnej stadniny, czy

z wielu różnych, ale udało się ustalić, że wszystkie są wytrenowanymi wierzchowcami czystej krwi.

– Konie wyścigowe? Wszystkie dwadzieścia trzy? – zdziwił się Johnny Byrne.

– Jak wspomniałam, nie zdążyliśmy jeszcze poddać ich oględzinom, ale te, które widzieliśmy, pasują do tej kategorii.

– Ale kto by zrzucił ze skały dwadzieścia trzy konie wyścigowe? Niby po co?

– Ktoś, kto woli nie bulić za ich legalne pozbycie się – wtrącił Dan Keane. – Albo nie chce, żeby wyszło na jaw, że zwierzęta padły.

– Bierzemy pod uwagę obie ewentualności – przyznała Katie. – Wszystkie zwierzęta powinny być oczipowane, więc chyba nam to ułatwi namierzenie właścicieli.

– Oj, będzie ciekawie – rzucił Dan Keane. – Tylko sobie wyobraźcie, jakie powody mogą skłonić kogoś do zatajenia śmierci wyścigowego wierzchowca. Stawiam sto do jednego, że kryje się za tym forsa, i to gruba.

– Jest o wiele za wcześnie, by wyciągać jakiegokolwiek wnioski – oświadczyła Katie. – Nie będę rzucała oskarżeń, dopóki nie znajdziemy wiarygodnych poszlak świadczących o pochodzeniu koni i o tym, kto się ich pozbył i dlaczego. Oczywiście zależy nam na informacjach od każdego, kto ma jakąkolwiek wiedzę o tym zdarzeniu i może nam pomóc zrozumieć, co tutaj zaszło. Na przykład, jeśli ktoś zauważył przewóz końskich zwłok pick-upem. Albo pędzenie koni polną drogą prowadzącą do Nohaval Cove. Jak zwykle, podaję poufny numer policyjny, osiemnaście-zero-zero-sześć-sześć-sześć-sto jedenaście, i zapewniam, że nikt się nie dowie, kto do nas dzwonił.

– W jaki sposób zamierzacie usunąć te konie z plaży? – spytał Johnny.

– Na razie nie mam zielonego pojęcia. Wydaje mi się, że trzeba będzie ściągnąć dźwig lub coś w tym rodzaju. Dostarczymy zwłoki do Centrum Weterynaryjnego dla Koni w Dromsligo i tam zostanie przeprowadzona autopsja. Kiedy będę miała więcej informacji, zwrócę się do ISPCA, do Weatherbys, Ministerstwa Rolnictwa, Ministerstwa Transportu, Turystyki i Sportu oraz do rady hrabstwa.

– A do Irlandzkiej Komisji Wyścigów Konnych?

– Tam też, naturalnie. Teraz już nie mam państwu nic więcej do zakomunikowania, nie tylko ze względu na dobro śledztwa, ale po prostu dlatego, że sama więcej nie wiem.

– No cóż, jedno trzeba pani nadkomisarz oddać... – Dan Keane schował notes i chwycił kapelusz, który wiatr zrywał mu z głowy. – Wali pani prawdę w oczy i nie ma zmiłuj.



## Rozdział 5

Detektyw sierżant Ni Nuallán skręciła w bramę klasztoru Bon Sauveur i między wysokimi kamiennymi murami dojechała do stromo usytuowanego parkingu. Zaczynało znów kropić, kiedy stanęła na zwieńczonym łukiem ganku i pociągnęła za kutą rączkę dzwonka.

Szary gotycki gmach klasztoru sprawiał w mżawce jeszcze bardziej ponure wrażenie. Na samym końcu znajdowała się sześciokątna kaplica z witrażowym oknem w kształcie wiatraka oraz trzykondygnacyjne skrzydło mieszkalne ze spadzistym dachem krytym dachówką. Ciemne cisy japońskie w ogrodzie, ociekające wodą, przypominały zbiegowisko garbusów.

Upłynęła minuta i nikt nie zjawił się u drzwi, więc Ni Nuallán jeszcze raz szarpnęła rączkę. Nie usłyszała dźwięku dzwonka, toteż nie mogła mieć pewności, że ktoś inny go słyszy.

Już miała zadzwonić po raz trzeci, gdy rozległo się szuranie butów na miękkiej podszewie. Odsunięto skobel i drzwi rozchyliły się na tyle tylko, by można było zobaczyć bladą twarz młodej kobiety. Miała na sobie biały habit, biały welon i biały szkaplerz, więc w ciemnym wnętrzu klasztornego korytarza wyglądała niemal jak zjawą.

– O, witam – odezwała się detektyw sierżant, unosząc odznakę. – Jestem z Gardy i chciałabym zamienić parę słów z siostrą przełożoną, jeśli można.

– Pani wybaczy – odparła, sepleniąc, młoda zakonnica. – Mamy teraz godzinę medytacji.

– Hm, naprawdę nie chcę niczego zakłócać, ale to raczej pilne. Mogłaby ją siostra poprosić?

– O, nie, nie wolno jej niepokoić. – Młoda zakonnica obejrzała się za siebie, jakby przełożona już nadchodziła, żeby zrugać ją na czym Cork stoi za pogaduszki z obcymi w porze, którą powinna spędzać na rozmowie z Bogiem.

– Proszę jej przekazać, że zamordowano waszą zakonnice, siostrę Bridget Healy. Mieszkała w domu opieki Mount Hill.

– Nie, naprawdę? – Dziewczyna zakryła ręką usta, jej oczy się rozszerzyły. Oczywiście nie miała makijażu i wydepilowanych brwi, lecz detektyw sierżant Ni Nuallán stwierdziła, że i tak jest całkiem atrakcyjna. Zbyt ładna jak na zakonnice.

– Sostro, proszę. To bardzo istotne, żebyśmy ustalili, kto ją zabił. Jeśli morderca ma jakiś uraz do waszego zgromadzenia lub do zakonnice w ogóle, nie można wykluczyć, że niebezpieczeństwo grozi również innym z was. Bardzo możliwe, że i siostrze.

– Wobec tego zapraszam – powiedziała młoda zakonnica. – Wskażę pani drogę do gabinetu matki O'Dwyer i zobaczę, czy uda mi się zwrócić jej uwagę.

Uchyliła szerzej drzwi i wpuściła detektyw sierżant Ni Nuallán, a potem ruszyła długim korytarzem wyłożonym boazerią, z ostrołukami gotyckich okien po jednej stronie i oprawionymi w ramy drzeworytami przedstawiającymi sceny biblijne po drugiej. W połowie korytarza we wnęce stał naturalnych rozmiarów posąg kobiety w długiej szacie, wyglansowany do połysku. Ręce niewiasty były wyciągnięte, oczy zaś wznosiły się ku niebu.

– Święta Małgorzata – oznajmiła zakonnica i skłoniła głowę prawie jak przed kimś żywym.

Wnętrze klasztoru załatywało gotowaną kapustą i stęchłym kadzidłem. Ni Nuallán miała buty na wysokich obcasach i idąc, stukała nimi głośno o parkiet; z tego powodu tym bardziej czuła się niczym intruz.

– Jak siostrze na imię? – zapytała.

– Och, mnie? Jestem siostra Rose, siostra Rose O’Sullivan.

– Widzę biały habit, przypuszczam więc, że jest siostra nowicjuską?

– Słusznie. Pięć miesięcy mi jeszcze zostało do złożenia pierwszych ślubów.

Kiedy dotarły przed gabinet matki przełożonej, Ni Nuallán odczuła pokusę, by zapytać dziewczynę, co przywiodło ją do zakonu. Była w stanie zrozumieć poczucie obowiązku wobec społeczeństwa. Sama je podzielała, i to mocno. Uważała jednak, że można służyć bliźnim bez całkowitego poświęcenia się Bogu, rezygnacji ze związków uczuciowych i bez zachowywania czystości.

– Zechce pani spocząć, a ja pójdę po matkę O’Dwyer – poprosiła siostra Rose.

– Dziękuję – powiedziała Ni Nuallán, ale po odejściu zakonnicy nie usiadła, tylko zbliżyła się do okna i zerknęła na ogródek warzywny. Sterczały tam sękaty żółte łądygi ogołoczone z pędów. Następnie okrążyła z wolna pomieszczenie i obejrzała fotografie wiszące na ścianach.

Wszystkie ukazywały gromadki młodych kobiet, każda miała w ramionach niemowlę lub trzymała małe dziecko za rączkę. Po bokach stały siostry z Bon Sauveur w czarnych czepkach i habitach. Zdjęcia opatrzone napisem *Dom Matki i Dziecka Świętej Małgorzaty* i datowano. Najwcześniejsza data była z marca 1927 roku, ostatnia zaś z końca kwietnia 1975. Uwagę Ni Nuallán zwróciło to, że nikt się nie uśmiecha – ani zakonnice, ani młode kobiety, ani nawet maleństwa. Ich twarze wyrażały napięcie i lęk, jakby przed chwilą ogłoszono, że nad światem, w którym żyją, zawisła ostateczna katastrofa.

Kiedy policjantka przechodziła pomału od jednej fotografii do drugiej, ogarnął ją nagły smutek. Był tym bardziej dojmujący, że nijak nie mogła pomóc żadnej z tych młodych kobiet, które spoglądały na nią z tak wielkim przygnębieniem w oczach. Nawet jeśli nie pożegnały się już dawno z tym światem, były starszankami, ich dzieci dorosły, odeszły od nich albo także poumieraly.

– Przynosi pani tragiczną wiadomość, jak rozumiem – usłyszała ostry głos.

Ni Nuallán odwróciła się i zobaczyła matkę O'Dwyer. Zakonnica stała w drzwiach, jak gdyby obserwowała przybyszkę od jakiegoś czasu.

– Tak – potwierdziła sierżant. – Obawiam się, niestety, że tak.

– A pani jest...

– Detektyw sierżant Ni Nuallán z komendy policji przy Anglesea Street.

Matka O'Dwyer była drobną kobietą, niewiele okazalszą od religijnego posążku, który policjantka mijiała w korytarzu. Nosiała czarny habit i szkaplerz, tak jak zakonnice na zdjęciach, i owalny srebrny medalion na szyi z wizerunkiem świętej o fraszliwym obliczu. W okularach bez oprawek odbijało się zimowe światło wpadające przez okno i nadawało jej wygląd niewidomej. Miała bladą zaokrągloną twarz, a jej zadarty nos przypominał gnomon zegara słonecznego. Tuż obok prawego nozdrza usadowiła się duża brodawka.

– Siostra Rose powiedziała, że siostrę Bridget Healy znaleziono zamordowaną.

– Tak. Z wielką przykrością to siostrze komunikuję. Proszę przyjąć nasze kondolencje.

– Może wejdźmy do mojego gabinetu – zaproponowała matka O'Dwyer. Spojrzała przy tym podejrzliwie na zdjęcia rozwieszane na ścianach, jakby się obawiała, że młode kobiety i dzieci mogą podsłuchać to, co zostanie powiedziane.

Otworzyła drzwi i gestem ręki zaprosiła Ni Nuallán do środka. Następnie weszła za nią i po cichu, dokładnie zamknęła drzwi.

Gabinet był mały, zagracony i pachniał skórą i zeschniętym potpourri. Jedna ściana zastawiona była od dołu do góry książkami, głównie religijnymi. Na przeciwległej wisiała oprawiona grafika przedstawiająca niewiastę o aparycji świętej, z rozpostartymi ramionami, wpatrzoną w niebo z wyrazem uniesienia. Obok niej goły cherubinek dzierżył drewniany krucyfiks; jego wstyd zakrywała wstęga z niebieskiego materiału, która szczęśliwym trafem przepływała obok w powietrzu.

– Proszę spocząć, pani sierżant – powiedziała matka przełożona i usiadła za obitym skórą biurkiem.

Ni Nuallán zajęła miejsce na niskim krześle z wysokim oparciem i miała wrażenie, że tkwi w wiaderku.

Matka O'Dwyer pieczołowicie i z pedanterią zamknęła modlitewnik leżący na biurku i odsunęła na bok pustą filiżankę do herbaty. Cmoknęła przy tym jakby niezadowolona z tego, że któraś z nowicjuszek jej dotąd nie uprzątnęła.

– Proszę mi teraz przybliżyć okoliczności odejścia siostry Bridget.

– Znaleziono ją martwą w łóżku około siódmej piętnaście rano – odparła detektyw sierżant. – Zdaniem szefa naszej sekcji technicznej została uduszona, jej własną poduszką prawdopodobnie. Oczywiście będzie wykonana autopsja.

Matka O'Dwyer dwukrotnie się przeżegnała.

– Toż to potworność, po prostu potworność. Czy mają państwo jakieś domysły, kto mógł się dopuścić czegoś tak strasznego?

– Jest jeszcze o wiele za wcześnie, by coś stwierdzić. Nie mamy oczywistych podejrzanych. Było jednak w tym morderstwie coś nietypowego i uważamy, że mogłaby nas siostra naprowadzić na trop. Właśnie dlatego tutaj przyjechałam.

– Co to znaczy „nietypowego”? Świadomego odebrania komuś świętości, jaką jest życie, nigdy nie wolno uważać za typowe, nieprawdaż?

– No oczywiście, że nie. Ale ta okoliczność jest nietypowa, jakkolwiek by na nią patrzeć. Najpierw jednak chciałabym zapytać, jeśli można, ile czasu spędziła siostra w klasztorze razem z siostrą Bridget?

– Niechże pomyślę... Nowicjuszką zostałam w wieku dwudziestu sześciu lat, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim. Siostra Bridget odeszła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy miała sześćdziesiąt dwa lata, z przyczyn zdrowotnych. Ile to będzie? Dwadzieścia jeden lat.

– A jak się siostrom ze sobą układało?

– Cóż za dziwne pytanie, pani sierżant. Wszystkim siostrom w tym zgromadzeniu się ze sobą układa, jak to pani raczyła ująć. Bóg nas powołał i musi nam się układać, żebyśmy mogły spełniać swój święty obowiązek.

– Ile sióstr macie tutaj obecnie?

– W sumie trzynaście. Za czasów siostry Bridget było ich więcej, dwadzieścia jeden, kiedy ja doszłam. Ale ponieważ nie zapewniamy już kwater mieszkalnych samotnym matkom i ich potomstwu, nie potrzeba aż tylu sióstr co kiedyś, a poza tym, niestety, mniej młodych kobiet czuje teraz powołanie od Jezusa. Żyjemy w wyjątkowo niemoralnych czasach, muszę to stwierdzić z przykrością. Ja upatruję winy w internecie. Twitter to istna tablica ogłoszeniowa Szatana. No i prowadzenia się klasy niższej. Pijaństwo na ulicach, rozwiązłość. Dziewczęta nie liczą się już z tym, co obyczajne.

– Czy siostra by powiedziała, że byłyście sobie bliskie z siostrą Bridget?

Matka O'Dwyer zdjęła okulary. Miała lekkiego zęza w lewym oku, więc Ni Nuallán trudno było ocenić, czy patrzy jej prosto w oczy.

– Bliskie to nie jest słowo, którego bym użyła – odparła zakonnica. – Naturalnie siostra Bridget była ode mnie starsza, ale poza tym bardzo dbała o swoją prywatność. Najbliższy związek utrzymywała z Bogiem. Lubiała jednak, by sprawy toczyły się w pewien określony sposób, zwłaszcza kiedy asystentce przełożonej, matce Kelly, nie dopisywało zdrowie i siostra Bridget przejmowała jej obowiązki. Była wyjątkowo, by tak rzec, drobiazgowa.

– Czy to kogoś irytowało? Nie mam na myśli siostry przełożonej. Czy był ktoś inny, kogo zdaniem siostry mogło to irytować?

– Jak już wspomniałam, pani sierżant, w tym zgromadzeniu wszystkie żyjemy ze sobą w zgodzie. Takie jest nasze powołanie.

– Nie o to pytałam, siostrze O’Dwyer. To, że ludzie żyją ze sobą w zgodzie, znaczy, że się wzajemnie tolerują i trzymają buzię na kłódkę, nawet gdy jeden drugiemu daje się we znaki. Miałyście tutaj bardzo zamknięte środowisko, dwadzieścia jeden kobiet w najróżniejszym wieku deptało sobie po piętach. No i jeśli się nie mylę, w tamtych czasach nie wolno wam było w nocy wychodzić, musiałyście wszystkie wracać do klasztoru przed wieczorem. Na dodatek wykonywałyście stresujące zajęcie, które polegało na opiece nad niezamężnymi matkami i ich dziećmi. Nie przekona mnie siostra, że nigdy, przenigdy nie działałyście sobie na nerwy. Może i powołał was Bóg, ale byłyście ludźmi, a do tego kobietami.

Matka O’Dwyer założyła z powrotem okulary na szpiczasto zakończony nos i zacisnęła usta. Oznaczało to, że nic więcej nie chce wyjawiać. Ta reakcja nasunęła Ni Nuallán myśl, że niektóre zakonnice uważały siostrę Bridget za osobę trudną we współżyciu, z ciągłymi do wyniosłości, jak to ujęła Nevina Cormack.

– Wspomniała pani, że w jej śmierci było coś nietypowego – podjęła matka O’Dwyer.

– Owszem, padła ofiarą przemocy seksualnej.

Zakonnica znów się przeżegnała.

– Zgwałcono ją? O Maryjo, Matko Boska! Po osiemdziesięciu trzech latach życia w czystości na chwałę Pana!

– Jeszcze tego nie wiemy na pewno. Trzeba będzie poczekać na wyniki autopsji. Ale do napaści seksualnej wykorzystano figurkę religijną, którą później w niej pozostawiono.

– Figurkę religijną? Jakaż to?

– Maryję Niepokalanego Serca. – Detektyw sierżant Ni Nuallán rozłożyła dłonie na odległość około trzydziestu centymetrów. – Tych rozmiarów mniej więcej.

– Boże drogi, aż mi się słabo zrobiło... Figurkę Maryi Niepokalanego Serca siostra Bridget trzymała na parapecie w swoim pokoju i zawsze ją wykorzystywała do modlitwy i medytacji. Czczyła życie wewnętrzne Naszej Pani, jej cnoty i ukryte niedoskonałości oraz nieskalaną miłość Naszej Pani do Syna, Jezusa Chrystusa.

– Więc ta figurka była dla niej ważna?

– Ważna? Była dla niej wszystkim. Pomimo rozlicznych ran, które wycierpiało zbolełe serce Naszej Pani, jej miłość pozostała niezłomna. To właśnie wewnętrzna siła Naszej Pani dopomogła siostrze Bridget zrozumieć, w jaki sposób ona także może całym sercem powierzyć swoją miłość Bogu. Jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Naturalnie. – Detektyw sierżant Ni Nuallán potwierdziła skinieniem głowy. Uchwyciła istotę tego, co starała się jej wyłożyć matka O’Dwyer, jakkolwiek nigdy nie była zbyt lotna, jeśli chodzi o katechizm. W wieku sześciu lat na pytanie „Kto

mnie stworzył?” odpowiedziała „Mamusia i tatuś”. Jednak to nie żarliwe uwielbienie siostry Bridget dla Nieskalanego Serca Maryi ją zafrapowało. Zainteresowanie policjantki wzbudziła możliwość, że morderca znał dobrze ofiarę i postanowił ją zgwałcić figurką, którą hołubiła jako najświętszą. – Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale czy jest siostra całkowicie pewna, że w tamtym okresie nie było w klasztorze nikogo, kto jawnie okazywał siostrze Bridget niechęć? Może nie inna zakonnica, ale na przykład wizytujący ksiądz lub jakaś świecka osoba, którą ona się zajmowała? Jedna z niezamężnych matek, na przykład?

Matka O’Dwyer wstała i obeszła biurko, po czym stanęła przed ryciną kobiety w ekstazy i cherubina z krzyżem.

– Wie pani, kto to taki? To jest święta Małgorzata z Cortony podczas jednej ze swych częstych rozmów z Jezusem. Patronka samotnych matek i obrończyni nieślubnych dzieci, narodzonych i nienarodzonych, która nadal je chroni przed wszelakimi krzywdami, nawet dziś jeszcze. A to dlatego, że ona także była samotną matką i za młodu wiele razy ulegała cielesnym pokusom. Postanowiła jednak odpokutować za grzechy, a kiedy ojciec nie zechciał jej przyjąć pod swój dach, udała się do Cortony, by roztoczyć opiekę nad upadłymi młodymi niewiastami takimi jak ona, nie oczekując żadnej nagrody, żyjąc o chlebie i wodzie. Jej bezinteresowna służba tym, które zeszyły z drogi moralności, była nienaganna i Małgorzatę zasłużyła kanonizowano, a siostra Bridget była taka sama. Jeśli zdarzyło jej się kiedykolwiek rzucić ostre słowo, to tylko dlatego, że mówiła w najlepszym interesie młodej kobiety i jej dziecka. Nie wierzę, by jakaś siostra z naszego zgromadzenia wyrządziła jej krzywdę albo jedna z młodych kobiet, którymi ona się opiekowała. Tylko tyle mogę pani rzec.

– Z pewnością są inne siostry, które ją znały – zauważyła detektyw sierżant.  
– Czy mogłabym zamienić z nimi parę słów?

– Niestety, w tej chwili wszystkie medytują. Ja również muszę do tego wrócić. Może zechce pani sierżant przyjechać wieczorem, po kolacji. Najdogodniejsza pora przypada o dziewiętnastej trzydzieści.

– Dobrze. – Ni Nuallán wstała i wygładziła spódnicę. – Pewnie zjawię się w towarzystwie jeszcze jednego funkcjonariusza, jeśli można. W ten sposób pójdzie nam szybciej.

– Proszę bardzo – odparła matka O’Dwyer. – Jestem jednak absolutnie pewna, że zmarnuje pani czas. Od wszystkich sióstr usłyszy pani tę samą odpowiedź. Stanowimy zgromadzenie kobiet poświęcających życie Bogu i pomocy tym nieszczęsnym, które z takiej czy innej przyczyny nie umieją sobie pomóc same. Żyjemy w wielkiej zgodzie, serdecznie dziękuję za troskę. Właśnie dlatego między innymi nazywa się nas siostrami. Siostrami Jezusa Chrystusa, siostrami wzajemnie dla siebie.

Matka O’Dwyer otworzyła drzwi, a sierżant wyszła do poczekalni i głęboko

odetchnęła. Powietrze w gabinecie przesycone było duszną wonią skóry, która omal nie przyprawiła jej o atak klaustrofobii.

Na zewnątrz czekała siostra Rose w białym habicie nowicjuszki. Wstała momentalnie.

– Mam nadzieję, że odpowiedziałam na wszystkie pytania pani sierżant i uspokoiłam pani myśli, przynajmniej jeśli chodzi o nasze zgromadzenie. Siostra Rose panią odprowadzi. Z Bogiem.

– Dziękuję i nawzajem – odparła Ni Nuallán i podążyła korytarzem za nowicjuską.

Kiedy znalazły się obie na ganku, siostra Rose obejrzała się nerwowo i przymknęła drzwi, zostawiając tylko dwucentymetrowy prześwit.

– Nie wiem, czy powinnam to pani pokazywać – wysepleniła.

– Przepraszam, ale co mianowicie?

– To – odparła zakonnica, po czym sięgnęła pod szkaplerz i wyjęła jasnoniebieską chustkę do nosa złożoną w kształt piramidy. Obejrzała się raz jeszcze, a potem zerknęła w lewo i w prawo na lśniący od wody asfaltowy parking. Upewniwszy się, że nikt nie obserwuje, uniosła chusteczkę w dłoni i ostrożnie ją rozwinęła.

W środku spoczywał mały zakrzywiony kawałek kości, długi na nieco ponad trzy centymetry. Jeden koniec był lekko poplamiony, jakby umoczone go w herbacie. Na drugim widać było trzy malutkie zęby.

– Skąd siostra to ma? – zaciekawiała się detektyw sierżant. Wydobyła z kieszeni płaszcza parę zmiętych lateksowych rękawiczek i naciągnęła jedną na prawą dłoń. Następnie ujęła ostrożnie kość palcem wskazującym i kciukiem.

– Z klombu kwiatowego, tam na samym końcu – odparła siostra Rose. – Pieliałam rabatkę i zobaczyłam, że coś wystaje z ziemi.

– Kiedy to było?

– Jakieś sześć tygodni temu. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Pokazałam to siostrze Brendzie i zapytałam, czy powinnam zanieść matce O'Dwyer, a ona odpowiedziała, żeby lepiej nie. Że najlepiej, jak wrzucę to do kosza i na zawsze zapomnę. Że może z tego wyniknąć masa kłopotów i mogą nawet zamknąć klasztor.

Ni Nuallán obracała kość na wszystkie strony.

– I dlaczego siostra nie wyrzuciła?

– Bo to jest kawałek szczęki małego dziecka, prawda? Siostra Brenda powiedziała, że to może być psia, ale ja się uczyłam biologii w szkole i wiem, że to nie jest zwierzęca kość.

– Hm, moim zdaniem ma siostra rację. To jest szczeka dziecka, a tutaj są zęby mleczne. Jeśli miała siostra pokazać komuś to znalezisko, to właśnie nam, nikomu innemu.

W korytarzu rozległy się czyjeś kroki i dziewczyna odwróciła się przestraszona, nagle splatając dłonie.

– Tylko proszę nie mówić matce O’Dwyer, że to pani dałam! Proszę, błagam. Od zawsze, od kiedy skończyłam szkołę, chciałam wstąpić do klasztoru! Ona mnie wyrzuci, jak się dowie! I pewnie każe mnie ekskomunikować!

Detektyw sierżant Ni Nuallán upuściła fragment kości na rękawiczkę w lewej dłoni i dla pewności ją zasupłała. Potem uspokajającym gestem położyła rękę na ramieniu siostry Rose.

– Bez obawy, nie musimy mówić, skąd się to wzięło. Ale śledztwo będziemy musieli przeprowadzić. Jeżeli w ogrodzie była szczeka, to mogą być i inne kości, może nawet cały dziecięcy szkielet. A skoro jest jeden, może ich być więcej.

– Tak, wiem. – Na rzęsach nowicjuszki błyszczały łzy. – Właśnie dlatego ją zachowałam. To jest święta częśćka ciała tego biednego dziecka. Pomodliłam się za jego małą duszyczkę. Nie wiem, kim było i jak zginęło, ale modliłam się, żeby nie cierpiało, i powierzyłam jego duszę Bogu i Maryi Dziewicy, żeby stała się jego matką i wzięła je pod swoją opiekę.

– No cóż, trochę czasu wprawdzie zeszło, ale postąpiła siostra właściwie. A ja muszę wiedzieć, gdzie dokładnie znalazła siostra tę kosteczkę. Nie chcę, żeby pokazywała mi siostra teraz, bo jeszcze nas zauważą. Niedługo przyślemy ekipę techniczną, która przeszuka teren wokół klasztoru, i wtedy siostry się połapią, od kogo się dowiedzieliśmy. Ma siostra dostęp do komputera?

– Tak, w sekretariacie.

– Więc proszę narysować plan ogrodu z krzyżykiem w miejscu, w którym znalazła siostra tę kość, zeskanować go i mi przysłać. Oto moja wizytówka z adresem mailowym. Proszę to zrobić jak najprędzej, siostry Rose. Ja tymczasem zabiorę to do analizy i każe pobrać próbkę DNA. Przy odrobinie szczęścia uda się ustalić, w jaki sposób to dziecko zmarło i kim było. Mam też nadzieję, że zdołamy odnaleźć resztę jego szczątków i urządzić mu przyzwoity pogrzeb, na jaki zasługuje.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna. – Bardzo dziękuję i niech panią Bóg błogosławi.

Nagle uścisnęła policjantkę, ale zaraz po tym starła palcami łzy z oczu, otworzyła pchnięciem drzwi i weszła do klasztoru.

Ni Nuallán stała dłuższą chwilę na ganku, patrzyła na drzwi i wsłuchiwała się w deszcz szemrzący w krzewach. Później zeszła schodami na dół i po spadzistym parkingu dotarła do samochodu.

Wierzyła w Boga, Jezusa Chrystusa i nieskalaną miłość Dziewicy Maryi. Jednakże już od czasów szkolnych instynktownie nie ufała tym, którzy mienili się ich przedstawicielami na ziemi: kardynałom, biskupom, księżom i zakonnikom.

Ale tego dżdżystego dnia podejrzewała, że ma w kieszeni fragment zwłok



zaginionego dziecka i że ta mała kostka może spowodować wstrząs, od którego runą katedry i hierarchie religijne, a lawina kamieni i witrażowego szkła posypie się także na mitry ze złoczonego jedwabiu.

Wyjeżdżając z bramy klasztoru na Gardiner's Hill, minęła siostrę zakonną z dużym czarnym parasolem.

Zakonnica się do niej uśmiechnęła.

– Oj, przyda ci się ta parasolka, siostruniu – powiedziała do siebie na głos detektyw sierżant Ni Nuallán. – Bo będzie padało, będzie lało, że aż strach.

## Rozdział 6

Katie była w domu dopiero o wpół do dziewiątej. Z przyjemnością zobaczyła, że palą się światła, a zasłony są zaciągnięte; już w holu doleciał ją zapach duszonego kurczaka i warzyw. Z kuchni wypadł Barney i skoczył na nią, a tuż za nim wyszedł John.

– Wróciła detektyw do domu, wróciła z miejsca zbrodni – odezwał się John, przekręcając cytat. Podszedł i wziął ją w objęcia.

Minęły już prawie trzy tygodnie od jego powrotu, a ona była wniebowzięta, że z nią jest, mimo bólu, jaki jej zadał, odchodząc. Pozwoliła mu trzymać się mocno w ramionach, chociaż do połowy wysunęła już jedną rękę z rękawa płaszcza. John miał na sobie długi rzeźnicki fartuch w paski, który zalatywał kuchnię i gotowaniem. Wyczuwała jednak jego korzenno-dębowy zapach; kiedy wstawał rano z łóżka, kładła głowę na jego poduszce i wdychała głęboko ten aromat.

Skrócił sobie włosy i zaczesał je, żeby wyglądać bardziej jak biznesmen, lecz ona dalej widziała boską urodę jego twarzy z ciemnoszafirowymi oczami i długim, prostym nosem. Przecież uważa się, że wielu mieszkańców Irlandii to potomkowie Iberyjczyków, a nawet Éber Donna, Ciemnego Boga, władcy podziemnego świata.

– Nie dawało mi spokoju, że na kolację znowu chińszczyzna – powiedział, kiedy powiesiła płaszcz i wchodziła do salonu. – Upichciłem dla nas mój legendarny gulasz z wędzonego kurczaka.

– Och, niepotrzebnie się męczyłeś. Aż taka głodna nie jestem. Ale dziękuję.

– Jadłaś coś w pracy?

– Miałam kanapkę z sałatką z indyka i mrożony torcik – skłamała.

– Zdawało mi się, że nie cierpisz indyka. Pamiętasz, jak zaproponowałem, żebyśmy założyli hodowlę indyków w Knocknadeenly? A ty na to, że smakują jeszcze gorzej, niż wyglądają.

– No może, nie wiem. Jakoś tak teraz zasmakowałam w indykach.

– Kolacja będzie góra za dwadzieścia minut, jeśli masz ochotę. Jeżeli nie, to też dobrze, możemy odgrzać jutro. A co powiesz na drinka?

Podszedł do stolika i wziął butelkę smirnoffa black.

– Nie, nie, dzięki – powstrzymała go. – Dla mnie tylko szklanka tanory.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytał John. – Chyba nie zlegniesz mi na grypę, co?

– Nie, skąd. Ogólnie czuję się świetnie, tylko jestem trochę zmęczona. Za mną długi dzień. Oglądałeś już wiadomości?

– Hm... nie. Do szóstej pracowałem na laptopie, a później zabrałem się do gotowania.

– Aha. Ktoś pozrzucał konie z klifu w Nohaval Cove, w sumie dwadzieścia trzy. Musiałam tam pojechać i sama zobaczyć. Masakra, mówię ci.

– Konie? O Jezu! Dlaczego ten ktoś to zrobił?

– Tego właśnie trzeba się dowiedzieć. Konie były wyścigowe, więc może jest to dla nas jakiś trop.

– Były już martwe, kiedy je zrzucano, czy jeszcze żyły?

– Nie wiem. To też musimy zbadać. No i mamy jeszcze morderstwo w domu seniora w Montenotte. Jakaś starsza zakonnica.

– W porównaniu z twoim mój dzień to nudy na pudy. Sprzedałem transport szczepionki na malarię szpitalowi w Lagos, i to była najciekawsza rzecz, jaką zrobiłem.

Katie ujęła go za rękę.

– Nie mów, że to nic ciekawego. Chodzi o tę nową szczepionkę, o której mi przedwczoraj opowiadałeś, prawda? O tę, która daje odporność taką jak po ukąszeniu przez tysiąc moskitów.

– Właśnie ta. I nie wygląda się po niej jak po ukąszeniu tysiąca moskitów.

– A ty nic nie pijesz? – spytała Katie.

– Mam piwo w kuchni. Przyniosę ci tę tanorę.

– Bo muszę z tobą pogadać.

John, trzymając ją dalej za rękę, uniósł brwi.

– Dobrze... A o czym?

– Przynieś sobie to piwo, to ci powiem.

Wszedł do kuchni, Katie słyszała, jak otwiera piekarnik, żeby zajrzeć do gulaszu. Wrócił z butelką piwa i szklanką tanory.

– A więc – zaczął, siadając na kanapie obok Katie. – O czym chcesz pogadać? Uważasz, że powinienem zacząć płacić część czynszu, tak?

Nachyliła się i go pocałowała.

– Nie. Nie musisz płacić czynszu. Znowu cię mam dla siebie, innej zapłaty mi nie trzeba. Już myślałam, że się w ogóle nie odezwiesz, nigdy.

Wzruszył ramionami.

– Dupek ze mnie był. Świata nie widziałem poza dziennymi wynikami sprzedaży. Chyba tak właśnie myślą ludzie, którzy zajmują się handlem online.

– Och, John, daj spokój. Przecież musiałeś zadbać o karierę. Nie mogłeś tkwić tutaj w Cork, skoro nie mogłeś rozwijać swojego potencjału w biznesie.

– Tak, wiem o tym i myślę, że po części jest to prawda. Bo trudno uznać Cork za handlowe centrum wszechświata. Ale pierwszego dnia w San Francisco, kiedy rano usiadłem przy biurku, wszedł mój kolega Nathan i mówi: „Założę się, że ani trochę nie tęsknisz za Irlandią. Tam wiecznie tylko deszcz i deszcz. Do tego odgórna polityka zaciskania pasa”. I wiesz co? Nagle sobie uprzytomniłem, że owszem, tęsknię za Irlandią. Tęskniłem tak, że aż mnie to fizycznie bolało.

Tęskniłem, bo nikt na świecie nie rozumie nas, Irlandczyków, i nigdy nie zrozumie. Ale przede wszystkim tęskniłem dlatego, że brakowało mi ciebie.

Katie bardzo delikatnie dotknęła palcami jego policzka, jakby chciała się upewnić, że naprawdę przy niej jest. Był. Ten sam John. Nadal miał na czole tę drobną bliznę. Nadal zerkał w bok, kiedy do niej mówił, a potem od razu spoglądał na nią, jakby ani na chwilę nie chciał odrywać od niej wzroku.

Bardzo go pragnęła, ale musi mu powiedzieć, że jest w ciąży. Odnotował już drastyczną zmianę jej upodobań w jedzeniu i piciu, zauważył, że pod koniec dnia jest skonana. Na szczęście nie usłyszał dotąd odgłosów porannych wymiotów, ale to była jedynie kwestia czasu.

Tylko jak mu wytłumaczyć, że poszła do łóżka z sąsiadem? Powie, że czuła się samotna, kiedy ją rzucił? To zabrzmiałoby tak, jakby obarczała go winą za to, że zaszła w ciążę. Rozzaliła się nad sobą i chciała się przekonać, czy nadal pociąga seksualnie mężczyzn? To takie egoistyczne i małostkowe. Ze złości? Z pożądania?

David Kane był czarusem, ale wylazł z niego kłamczuch i brutalny damski bokser, który okłada żonę. Dopóki nie poszli do łóżka, Katie nie miała świadomości, jaki jest agresywny. Musiała jednak przyznać, że to podejrzewała. W kółko przypominało jej się jego spojrzenie, kiedy na niej leżał. Nieobecny i pochłonięty sobą, jakby było mu zupełnie obojętne, z kim jest. Byleby to była kobieta i doprowadziła go do orgazmu. Ale bądź co bądź siłą jej nie wziął.

I ostatecznie poświęcił życie, żeby zasłonić ją przed kulą gangstera. Czy odkupił w ten sposób swoją winę? Zapewniał ją, że poddał się wazektomii i nie musi używać prezerwatywy. A tymczasem teraz nosiła w sobie nowe życie.

– No więc co musisz mi powiedzieć? – John pokręcił szklanką z piwem.

– Muszę ci powiedzieć, że mam stracha.

– Ale przed czym? Coś w pracy? Nie chodzi czasem o komisarza? Tego... jak mu tam?

– Jimmy O'Reilly.

– Właśnie, o Jimmy'ego O'Reilly'ego. Daj spokój, Katie, nie warto się nim przejmować. Sama mówiłaś, że tata podsunął ci na niego haki, że wiesz masę o nim i jego przekrętach i że z jego strony nigdy nie będzie ci nic groziło. Wystarczy, że szepniesz „Arcykrólowie Irlandii”, a on padnie ci do nóg i wyszoruje buty swoim tłustym nochalem.

Pokręciła głową.

– To nie ma nic wspólnego z Jimmym O'Reillym. Poza tym i tak nie dałabym rady udowodnić, że brał w łapę od szumowin w zamian za wycofywanie zarzutów. On o tym wie, więc teraz po prostu mamy napięte stosunki. Odnosimy się do siebie grzecznie, ale lodowato. Do tego stopnia, że Kyna Ni Nuallán zaczęła nas podejrzewać o romans.

– Jeśli naprawdę romansujecie, spuszczę mu łomot.

– No, coś ty! Mam alergię na tego typu.

– W porządku. Czego więc się boisz?

Ujęła jego dłoń i ją ścisnęła.

– Boję się, że historia znowu się powtórzy. Zateśkniłeś za mną i wróciłeś, ale co będzie za parę miesięcy, kiedy do ciebie dotrze, że Cork nadal jest tą samą ciasną, zapyziałą miejsciną, że stale tu leje i trudno zarobić na godziwe życie?

– Katie, przemyślałem to, uwierz mi. Tak jak ci mówiłem, Nils, Nathan i ja odbyliśmy długą rozmowę i na razie są zadowoleni, że kieruję stąd sprzedażą na Bliski Wschód i Afrykę. Poza tym mogę na boku prowadzić własną działalność.

– I naprawdę nie będziesz tęsknił za San Francisco? – Powiedz mu wreszcie, że jesteś w ciąży, upomniała się w duchu Katie.

– Jasne, że będę. Skłamałbym, gdybym zaprzeczył. Kłamałbym także, mówiąc, że nie będę znowu próbował cię przekonać, żebyśmy się tam przeprowadzili. Spodobałoby ci się. Ale na razie, jeśli warunkiem bycia z tobą jest życie w Cork, to wybieram Cork.

Zamknęła na chwilę oczy. Powiedz mu!

– No dobrze. Mam tylko nadzieję, że powtórzysz to samo w połowie lutego, kiedy się zrobi naprawdę mokro i zimno, a ty nie będziesz oglądał słońca tak długo, że zapomnisz, jak wygląda.

– Nie martw się już, najdroższa. Zachowałem się jak palant, mając ci za złe, że załatwiłaś mi tę posadę w ErinChemie. To przedziwne, jak odległość może sprawić, że człowiek zaczyna widzieć swoje życie z innej perspektywy. Kiedy się znalazłem dziesięć tysięcy kilometrów stąd, nagle uświadomiłem sobie, że mnie kochasz i chciałaś mi tylko ułatwić pozostanie tutaj. Zrozumiałem, że za nic nie odejdziesz z Gardy, w każdym razie jeszcze nie teraz. Ale mogę na ciebie poczekać. To prawda, że często tu pada. Ale ja mam parasol, mogę go rozłożyć, stanąć pod nim i czekać na ciebie tyle, ile będzie trzeba.

Powiedz mu!

Zegar w holu wybił dwudziestą pierwszą.

– O, dziewiąta – rzuciła Katie. – Chcę obejrzeć wiadomości. Ciekawa jestem, czy ekipa telewizyjna dostała się na plażę w Nohaval i nakręciła te konie. Horgan wspomniał, że ich furgonetka się zakopała w piachu gdzieś na wiejskiej drodze.

– To może sobie tu posiedź i pooglądaj, a ja przyniosę ci mój niesamowity gulasz?

– Dobra – zgodziła się, podciągając pod siebie nogi. – Ale tylko odrobinę, tak?

John wstał, lecz nie wyszedł. Nachylił się, ujął jej twarz w obie dłonie i ją pocałował. Boże, jak ona ubóstwiała te jego granatowoczarne tęczówki. Spoglądając mu głęboko w oczy, czuła się tak, jakby patrzyła w najdalsze otchłanie

wszechświata, roziskrzzone i tajemnicze.

– Kocham cię, Katie Maguire – szepnął. Był tak blisko, że czuła jego oddech na ustach.

Powiedz mu, że jesteś w ciąży! To właśnie chciałaś mu zakomunikować, więc zrób to.

Nie mogę, nie teraz. To nie jest właściwa pora.

Pora nigdy nie będzie właściwa, dziewczyno. Musisz mu powiedzieć!

Nie mogę.

Więc co zrobisz? Usuniesz ciążę i nie wspomnisz mu ani słowem?

Tak nie mogę postąpić. Bez względu na to, kto jest ojcem, to jest ludzkie życie. Dziecko.

Czyje życie jest ważniejsze? Naprawdę chcesz mi wmówić, że wyrzekniesz się jedynej szansy na szczęście z powodu dziecka, o które się nie prosiłaś, którego wcale nie chciałaś i które zostało poczęte dlatego, że cię oszukano?

Rozpoczął się serwis, Katie wzięła do ręki pilota i pogłośniła dźwięk.

„Dobry wieczór państwu. Oto najważniejsze wiadomości... Na plaży w Nohaval Cove znaleziono dwadzieścia trzy martwe konie wyścigowe. Policja twierdzi, że zostały zrzucone ze szczytu osiemdziesięciopięciometrowego klifu. Kiedy spostrzegło je podczas spaceru dwoje okolicznych mieszkańców, co najmniej jedno zwierzę nadal żyło”.

– O Jezus, ale głośno! – zawołał z kuchni John. – Czy aby na pewno nie słyszą cię w Sligo?

Katie skrzyżowała ręce na piersiach i gapiała się w ekran, nie słuchając wcale informacji. Potrzebowała jedynie donośnego dźwięku. Byleby tylko zagłuszyć kłótnię, która toczyła się w jej głowie.

\* \* \*

W nocy John odwrócił się do niej i mocno ją przygarnął. Na dole pleców przez nocną koszulę czuła jego twardego niczym kość penisa. Pogładził ją po ramieniu i po włosach. Boże, jak ona pragnęła poczuć go w sobie.

Ale...

– John – szepnęła cicho, wyciągając rękę nad ramieniem i ściskając jego palce. – Jestem strasznie zmęczona, uwierz mi. Może rano.

– Naprawdę nie masz się czego bać – powiedział. – Nie zostawię cię, Katie. Już raz dostałem nauczkę. Z Irlandii też nie wyjadę. Tu się urodziłem, tu się wychowałem. Moi krewni nadal tu są. Są tutaj groby moich rodziców. W weekend pojedę do Ballyhooly i złożę kwiaty na ich mogiłach.

Odwróciła się i pocałowała go.

– Jedno muszę ci przyznać, Johnie Meagher. Wiesz, jakich użyć słów, żeby rozpalić kobietę.



## Rozdział 7

Od rana latali z wędkami po łachach rzeki Glashaboy, próbowali łowić pstrągi. Sezon na pstrągi zaczynał się pierwszego lutego, lecz oni zwiali ze szkoły i nie bardzo mieli co robić, a w Dunne's Stores dobrze już ich znano, więc nie mieli szans, by gwizdnąć z półki kilka batonów.

Wczoraj padał deszcz, a dzisiaj było sucho i rześko, powierzchnia wody w Glashaboy mieniła się. Jak dotąd chłopaki nic nie złapały, chociaż błysnęło im w wodorostach sześć czy siedem małych cętkowanych rybek. Bradan twierdził, że to wina przynęty, którą przyniósł Tommy: małych kostek pieczonego sera, pozostałości z rodzinnego śniadania.

– Kurde, pstrąga złapiesz tylko na to, na co one żerujom w swoim naturalnym habitacie – pouczył kolegę, gdy ten otworzył utłuszczoną torebkę z pieczonym serem. – Pstrągi się serkiem nie odżywiom, a w ogóle to niby skąd by miały toster skombinować?

– No ta, chyba że masz rację – przyznał Tommy, ściągając brwi, i zerknął na szerokie, marszczone lekkim wiatrem rozlewisko rzeki. – A poza tym nawet jakby skądś wytrzasnęły toster, to przecież som w wodzie, co nie? By ich wszystkich prądem porażnęło.

Bradan miał trzynaście lat i usłyszał słowo „habitat” na co najmniej trzech lekcjach przyrody w szkole, na których był obecny. Jego kolega Tommy miał lat jedenaście i wciąż z ledwością sylabizował. Obaj mieszkali w Mayfield, dwie ulice od siebie, ale mogliby być braćmi. Wyrośnięci jak na swój wiek, mieli krzywe nogi, strąkowate czupryny w kolorze lnu, ziemistą cerę i nierówne uzębienie. Ich udręczony nauczyciel historii, pan Coughlan, stwierdził pewnego razu, że wyglądają jak miejskie łapserdaki, które żywcem wyskoczyły z fotografii zrobionej w latach trzydziestych ubiegłego stulecia.

– Robaki by się zdały – wywnioskował Bradan.

– Ale pacz, jak byśmy ich tak porażnęli, by wszystkie na wierzch wypłynęły, co nie? – rozmarzył się Tommy – I byśmy wzięli ich połapali rękami.

– No kurde, Tommy, przestań chrzanić, dobra? Ryby nie majom, kurde, toster, a nawet jakby miały, to do czego by go podłączyły?

Tommy rozejrzał się, trochę jakby licząc na to, że w trawie na brzegu zobaczy kabel z wtyczką.

– Nakopać musimy – postanowił starszy chłopiec.

– Czego?

– Robaków, pusty łbie! Masz coś do kopania?

– Mam to – odparł młodszy chłopiec, rozpinając kieszeń szerokich bojówek i wyjmując łyżkę ze stali nierdzewnej.



– To jest, kurde, łyżeczka! Po co ty łychę ze sobom targasz? Nie, nie mów, sam wiem! Mama ci nie dała kozika nosić!

– Nie, ale dziadek mówi, żebym lepiej zawsze miał przy sobie łyżkę, bo jest poręczniejsza niż kozik. Do wszystkiego się nada, można wyciągnąć muchę z napoju albo sprytnie dzióbnać w supermarkecie maselka orzechowego z kubka.

– Taa, już widzę, jak podchodzi do ciebie ochroniarz i mówi: „Albo mi się coś zdawało, albo przed chwilą sprytnie dzióbnałeś łyżkom maselka orzechowego z kubka?”. A ty: „Cooo? Co-cooo? Ja?”.

– E, weź przestań. – Tommy uklęknął na brzegu i zaczął gmerać łyżką w błocie.

Bradana rozejrzało się za patykiem, żeby także kopać. Wciąż jeszcze go szukał, kiedy po drugiej stronie rzeki nad las Głanmire bezszelestnie wypłynęły trzy duże srebrnoszare balony. Były związane razem sznurkiem i na oczach Tommy'ego wzbiły się ponad korony drzew i sunęły z biegiem rzeki.

Balony o gabarytach przezroczystych kul do zorbingu żeglowały niebem w kompletnej ciszy, to się kołysząc, to opadając leciutko na wietrze. Opadały i kołysały się dlatego, że coś je obciążało. Dyndała pod nimi jakaś postać i chociaż nadal były w odległości sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu metrów, Bradan widział, że jest uwieszona za szyję.

Miała na sobie długi czarny habit jak siostra zakonna, a kiedy okręciła się na linie twarzą do Bradana, chłopak uświadomił sobie, że to naprawdę jest zakonnica. Dostrzegł woskowo bladą twarz zwróconą w jego kierunku.

– Tommy! – wrzasnął.

Jego kolega natrafił na wijącą się różową dżdżownicę i właśnie wyciągnął ją palcami z lepkiej torfowej ziemi.

– Spoko, nie bój nic. – Zaśmiał się. – To tylko, kurde, robak! Nie ugryzie!

– Nie, Tommy! Patrz! Tam w górze, zobacz!

Tommy odwrócił się, spojrzął i momentalnie wypuścił łyżeczkę z ręki. Potem zakrył oczy dłońmi.

– Przecież to jest, kurde, zakonnica! – krzyknął cicho Bradan.

Jego kolega spoglądał na zbliżające się balony. Nadpłynęły niemal prosto nad głowy chłopców i widzieli zasznurowane czarne buty siostry zakonnej zwisające pod habitem. Kiedy się nad nimi przesuwawała, usłyszeli ciche dźwięki dochodzące z trawy i kamienistej ścieżki, podobne do dudnienia deszczu. Bradan wysunął rękę i na jego dłoni rozprysła się jasnoczerwona kropla.

– Święty Jezu! – wrzasnął, pokazując dłoń koledze. – Krew! Z niej, kurde, krew leci! – Energicznie otarł dłoń o trawę, a potem uklęknął na brzegu rzeki i wymył ją do czysta w wodzie.

Balony się kołysały, obijały o siebie i kręciły na wietrze, a wisząca zakonnica bujała się na boki. Później zaczęły sunąć z wolna w górę rzeki. Kilkaset

metrów dalej Glashaboy się zwiężała i od tamtego miejsca jako Butlerstown płynęła wzdłuż głównej drogi do wioski Glanmire. Balony unosiły się tam tak nisko, że w każdej chwili mogły zawadzić o gałęzie drzew.

– To tak dla kawału – orzekł Tommy, dalej gapiąc się na balony.

– Akurat – prychnął Bradan wciąż jeszcze piskliwym głosem. – Też mi, kurde, kawał.

– No, mówię ci, to taki żart. Przykładowo ktoś przebrany za zombiaka włazi między normalnie ubranych ludzi i udaje trupa.

– Jak to ma być żart, to ja, kurde, nie wiem, co w nim takiego śmiesznego! O mało się w portki nie zlałem ze strachu.

– I co zrobisz? Po gliny zadzwonisz? Jesteśmy na wagarach, Brade. Ktoś się wygłupia i już, a my tylko w gówno wdepniemy. „Czemu to nie było was dzisiaj w szkole?” „A bośmy usłyszeli, że nieżywa zakonnica fruwa se na balonach nad Glashaboy i krwawi jak zarżnięta świnia, więc żeśmy chcieli sprawdzić, czy to prawda”.

Bradan odprowadzał wzrokiem postać, która dalej kręciła się wolno pod balonami.

– Wydaje mi się, że trzeba dryndnąć po gliny. Można zadzwonić... jak to się mówi? Anonimowo! Nie będę pytał, cośmy za jedni.

– To jest kawał, Brade. Weź o tym zapomnij, dobra? Patrz, robał mi prysł i ani widu. Będę go musiał odkopać jeszcze raz.

– A jak to nie jest kawał?

– To nie nasz interes, co nie?

– Wcale – przyznał Bradan. – Ale i tak weznę i zadzwonię.

– No to se dzwoń. Ale jak bekniemy, bo żeśmy się urwali ze szkoły, pożyczasz mi xboxa na dwa tygodnie, do tego *Wolfensteina* i odpalasz dwa marsy. I dzień w dzień odwozisz mnie rowerem ze szkoły na chatę.

Bradan wszedł do rzeki, tak że woda zaczęła mu się wlewać do tenisówek. Jeszcze przez chwilę widać było nad drzewami wierzchołki balonów, a potem znikły. Wrócił na brzeg i wyjął telefon komórkowy.

– A ja ci mówię, że to kawał jest – upierał się Tommy. – O kurde, pacz, żem ciachnął łychom robala na dwie połówki!

## Rozdział 8

Nazajutrz rano po wyjściu z łazienki Katie znalazła na biurku beżową kopertę.

Klipsem przypięto do niej pismo z nagłówkiem dyrektora Urzędu Prokuratorskiego Miasta Cork. Prokurator Finola McFerren dopisała na nim odręcznie: *Przy odrobinie szczęścia pięć lat paki!*

Katie usiadła i nalała sobie do szklanki gazowanej wody mineralnej. Jej żołądek nie przyswajał ostatnio kawy, ale dzisiaj rano czuła się o wiele lepiej i zdołała w nim utrzymać płatki śniadaniowe.

Otworzyła kopertę. Znajdował się w niej protokół aresztowania Michaela Gerrety'ego za seks z nieletnią oraz za spowodowanie zagrożenia życia osoby niepełnoletniej. Od lat skutecznie unikał wymiaru ścigania, mimo że dziewczęta reklamujące się na jego stronie internetowej Cork Fantasy Girls jako masażystki były w istocie prostytutkami, a on miał co najmniej siedem burdeli w centrum Cork.

Zawsze się pilnował, by nie stręczyć dziewcząt poniżej siedemnastego roku życia, lecz regularnie podsyłał je innym alfonsom, którzy takich skrupułów nie mieli. Przyłapano go jednak, kiedy Roisin, szesnastoletnia córka miejscowego dewelopera Jima Begleya, uciekła z domu, sądząc, że życie „dziewczyny z Fantazji” będzie cudowne i pozwoli jej na luksusy.

Roisin okłamała Michaela Gerrety'ego, mówiąc, że skończyła już siedemnaście lat, a on przespał się z nią, zanim zatrudnił ją jako prostytutkę. Dziewczyna jednak szybko rozczarowała się brudem procederu i haniebnymi wymaganiami mężczyzn, którzy płacili za jej usługi. Z burdelu wyciągnął ją detektyw Dooley, który podając się za klienta, zdołał ją po jakimś czasie namierzyć.

Materiał dowodowy przeciwko Michaelowi Gerrety'emu był już przygotowany, miał zostać przedstawiony na następnym posiedzeniu sądu karnego hrabstwa Cork. Finola McFerren dołączyła kartkę dla Katie z adnotacją, że dla Gerrety'ego istnieje tylko jedna linia obrony: utrzymywanie, że mógł zasadnie uważać, iż Roisin osiągnęła odpowiedni wiek. Twierdzenie, że dziewczyna wyraziła zgodę na seks albo go nawet zainicjowała, z prawnego punktu widzenia nie zwalniałoby go od odpowiedzialności karnej.

Katie czytała jeszcze dokument, kiedy do gabinetu zapukał główny komendant Denis MacCostagáin.

– Można pani zająć chwilę? – odezwał się zafrasowanym tonem.

– Jasne. Chyba nic się nie stało?

Wszedł i uważnie zamknął za sobą drzwi. Potem usiadł, rozłożył chusteczkę

i wytarł nos.

– Dałaby pani wiarę, że Bryan Molloy znowu wypłynął?

– Molloy? Serio? Myślałam, że prysnął za granicę albo się powiesił na latarni.

– Nie, wcale nie. Zjawił się w biurze rzecznika w komendzie głównej w Dublinie z paroma adwokatami wagi ciężkiej. Jeszcze nie dostałem szczegółowego opisu sprawy, ale wygląda na to, że składa oficjalną skargę przeciwko pani i kilku innym funkcjonariuszom z naszej komendy.

– W związku z czym? – spytała Katie. – Jeśli ktoś miałby się na kogoś skarżyć, to ja na niego.

– Hm, mówi, że był ofiarą uporczywego nękania i niesubordynacji ze strony pani podwładnych, że pani ich do tego zachęcała i osobiście rzuciła pod jego adresem szereg fałszywych i zniesławiających oskarżeń. Doprowadziło go to do załamania nerwowego i musiał ustąpić ze stanowiska pełniącego obowiązki komendanta.

– Fałszywych i zniesławiających oskarżeń? – powtórzyła z niedowierzaniem Katie. – Przecież opłacił cyngla, który zabił jednego z czołowych gangsterów w Limerick po to, by Molloy nie musiał się fatygować i go aresztować! Przyjął setki tysięcy euro łapówek w zamian za to, żeby najgorsi kryminaliści w tym hrabstwie uniknęli zarzutów prokuratorskich!

Rozgniewana Katie wstała i zaczęła chodzić po gabinecie.

– To wprost nie do wiary! Mam nawet broń, którą dostarczył Doniemu Quaidowi, żeby sprzątnął Nialla Duggana! Są świadkowie! Nękanie, Matko Boska! Każdą minutę, dzień w dzień, poświęcał na to, by mnie tłamsić i kopać pode mną dołki. Zawiesił mnie w czynnościach!

– Katie, ja o tym wszystkim wiem – zapewnił MacCostagáin, wzdychając z żalem i pociągając nosem. – Przyszedłem, żeby panią ostrzec. Wydaje mi się, że on się chce na pani odegrać i wydębnić odszkodowanie. Ale przede wszystkim zależy mu na odzyskaniu emerytury i myślę, że zrobi i powie wszystko, byleby tego dopiąć.

– Mówił już pan o tym Jimmy’emu O’Reilly’emu?

– Tak, mówiłem. I wydaje mi się, że nie był zbyt zaskoczony.

– No jasne, że nie był. Jimmy O’Reilly i Bryan Molloy trzymają sztamę jak złodzieje. O’Reilly pewnie od samego początku wiedział, gdzie Molloy przywarował po zaginięciu. Pewnie esemesowali do siebie jak dwóch rozchichotanych nastolatków.

– Ojoj, tylko bez takich, Katie – upomniął ją komendant. – Ostrożnie ze słowami. Wiem, że padły zarzuty pod adresem Bryana Molloya i Jimmy’ego O’Reilly’ego. Ale pani wie równie dobrze jak ja, że potrzebne są żelazne dowody, zwłaszcza jeśli chodzi o tych dwóch. Mają wysoko postawionych kolegów. Oraz

kolesiów postawionych bardzo nisko, którzy są jeszcze niebezpieczniejsi.

– Załamanie nerwowe! – rzuciła Katie i pokręciła głową. – Ten facet nie ma ani jednego wrażliwego nerwu!

MacCostagáin wstał.

– Dam pani znać, jeśli albo kiedy dowiem się czegoś więcej. Bardzo możliwe, że w komendzie głównej odrzucą jego skargę. Ten Simon O’Brien nie jest przecież głupi. Ale Bryan Molloy potrafi być bardzo przekonujący, a nie wolno kwestionować jego dokonań w walce z gangami w Limerick. Wiem, że pani je podważa, ale wszyscy inni sądzą, że to jego zasługa.

Po wyjściu komendanta Katie usiadła. Bryan Molloy! To się w głowie nie mieści! Myślała, że więcej o nim nie usłyszy. Ale przecież zdawała sobie sprawę, jaki z niego mściwy drań; musiało mu dopieć do żywego, że to baba wykryła jego korupcję. Pewnie poczuł się jak dżihadysta na wieść, że bombę spuściła na niego kobieta pilot.

Robiła notatki na tablicie dotyczące zarzutów wobec Gerrety’ego, kiedy zadzwonił telefon. To był detektyw Horgan.

– Dzwonię tylko, żeby pani powiedzieć, że wszystkie konie są już zabrane z plaży – odezwał się zmęczonym głosem. – Trafiły do starej traktorowni koło Centrum Weterynaryjnego dla Koni w Dromsligo. Ten koleś z ISPCA zacznie je rano badać. Będzie mu pomagał weterynarz z Irlandzkiego Towarzystwa Wyścigów Konnych i jakiś facet z Ministerstwa Rolnictwa.

– W porządku, Horgan. Dzisiaj po południu spróbuję tam podjechać. Jak tylko ustalimy miejsce pochodzenia koni i dowiemy się, jak zginęły, będzie można zacząć rozpytywać w stadninach i na torach wyścigowych. Ale nie chcę się z tym za bardzo spieszyć. Wyścigi konne to bardzo hermetyczny biznes i nie będzie łatwo namówić kogokolwiek do rozmowy.

– Jakbym sam nie wiedział! Mój kuzyn Tierney pracuje u Jima Culloty’ego w Churchtown i usłyszałem od niego tylko jedną jedyną wskazówkę: żebym nie marnował kasy na obstawianie koni.

\* \* \*

Katie skończyła czytać materiał dowodowy przeciwko Michaelowi Gerrety’emu, po czym wstała, przemierzyła gabinet i zdjęła płaszcz z wieszaka. Zanim wyszła, popatrzyła przez okno na światła w mieszkaniu Gerrety’ego na ostatnim piętrze Elysian Tower i zadała sobie pytanie, co on teraz czuje, kiedy po raz kolejny zdołała go zawlec do sądu i tym razem jest duża szansa na wyrok. Pewnie się wkurzył, ale i tak myśli o niej z pogardą. Michael Gerrety był jednym z tych mężczyzn, którzy uważają, że kobiety istnieją wyłącznie po to, by im usługiwać.

Z windy wysiadła detektyw sierżant Ni Nuallán i sprężystym krokiem

zbliżała się do idącej korytarzem Katie.

– Wybiera się pani dokądś?

– Do Dromsligo. Zwieźli tam wszystkie konie na sekcję. Zjadą się pewnie dziennikarze, więc trzeba będzie rzucić parę starannie dobranych słów.

– Rozmawiałam z matką O’Dwyer, przełożoną w klasztorze Bon Sauveur.

– No i co?

– I mam bardzo silne przekonanie, że siostra Bridget wcale nie budziła sympatii. Sęk w tym, że przełożona nie przyzna tego wprost, a udowodnić nie sposób.

– Ale nie podała żadnych nazwisk? Na przykład kogoś, kto z jakiegoś powodu mógł do niej czuć urazę?

Detektyw sierżant pokręciła głową.

– Wszystkie są siostrami w Chrystusie, powiedziała, i żyją ze sobą jak siostry.

– Pff! – prychnęła Katie. – Gdyby oceniać na przykładzie moich układów z siostrami, to w klasztorze powinno wrzeć mocniej niż w czasie bitwie pod Boyne.

– Coś jednak mam – oznajmiła Ni Nuallán. Wyjęła z kieszeni płaszcza zamotaną lateksową rękawiczkę i zaprezentowała Katie fragment szczęki. – Dała mi to młoda zakonnica, która otworzyła drzwi, siostra Rose O’Sullivan. Natrafiła na to podczas pielienia grządki kwiatowej w klasztornym ogródku.

Katie wzięła do ręki znalezisko i uważnie je obejrzała.

– Ząb, to jest ząb. Wygląda na pierwszy ząbek niemowlęcia. Kiedy ta zakonnica to znalazła?

– Jakies sześć tygodni temu, tak mi mówiła. Pokazała jednej z sióstr, ale ta kazała jej wyrzucić kość i puścić wszystko w niepamięć. Dziewczyna jest dopiero nowicjuszka, więc bała się iść z tym do przełożonej.

– Skąd się mogła wziąć dziecięca szczeka w przyklasztornej grządce kwiatowej? W Bon Sauveur było schronisko dla niezamężnych matek z dziećmi i to mnie niepokoi. Daj Boże, żebyśmy tylko nie wpadli na drugie Tuam<sup>4</sup>.

– Poprosiłam siostrę Rose, żeby narysowała mi plan z zaznaczonym miejscem, w którym to znalazła. Przyśle mi go mailem.

Katie zwróciła podwładnej fragment szczęki.

– Proszę to zanieść Billowi Phinnerowi, dobrze? Niech on się wypowie. Być może trzeba będzie wysłać tę szczękę do laboratorium patologicznego w Dublinie. Jezu Chryste! Tego nam tylko brakowało. W Tuam znaleziono kości siedmiuset dziewięćdziesięciorga sześciorga dzieci, prawda? Módlmy się, żeby w Bon Sauveur leżała pochowana tylko jedna mała duszyczka.

W tej samej chwili zaćwierkał iPhone Katie. Wyjęła go z kieszeni.

– Detektyw nadkomisarz Maguire.

– O, miło, że panią złapałem. Tu O’Donovan. Właśnie odebrałem telefon od

sierżanta Finlaya z Glanmire. Nie uwierzy pani. Druga martwa zakonnica.

– Niech mi pan powie, że to żart. – Katie popatrzyła szeroko otwartymi oczami na detektyw sierżant Ni Nuallán.

Ta ściągnęła brwi i ruchem ust zapytała: „Co?”.

– Sierżant Finlay twierdzi, że jest w tym samym wieku co siostra Bridget – ciągnął O’Donovan. – Pod osiemdziesiątkę albo tuż po.

– Gdzie ją znaleziono?

– Wpadła do rzeki Butlerstown, tak powiedział, tuż obok mostu Glanmire.

– Nie jarzę – rzuciła Katie. – Co to znaczy „wpadła”?

– Zdaje się, że wisiała na trzech balonach gazowych. Miała na szyi zawiązany sznur.

– Co takiego? Nie mogę w to uwierzyć.

– Sierżant Finlay mówi, że zamknął przejazd na drodze. Wybrał się tam, żeby sprawdzić, czy kobieta żyje, ale poza tym nic nie było dotykane.

– Dobrze, Patricku. Miałam jechać do Dromsligo i rzucić okiem na te pozabijane konie, ale chyba będą musiały zaczekać. Ruszam do Glanmire. Zawiadomił pan już techników?

– Jeszcze nie, ale zawiadomię.

Katie schowała iPhone’a do kieszeni.

– Następna starsza zakonnica – poinformowała sierżant Ni Nuallán. – Ta podobno bujała się w powietrzu zawieszona na trzech balonach z gazem. Wpadła do rzeki Butlerstown.

– Matko Święta... Nie dziwię się, że nie mogła pani w to uwierzyć.

– No to w drogę – powiedziała Katie. – Zaczynam myśleć, że prześladuje nas jakaś plaga zakonnicek.

## Rozdział 9

Pokonała niski kamienny murek na krawędzi mostu i zaczęła ostrożnie schodzić stromym zboczem do brzegu rzeki. Odgarniała na bok gałęzie krzaków, a innych się chwytając, żeby nie stracić równowagi.

Był tam już detektyw O'Donovan z sierżantem Finlayem i jeszcze trzema funkcjonariuszami z komendy w Glanmire, której budynek stał przy drodze kilkanaście metrów dalej. Tuż obok tkwiły zaplątane w drzewa srebrzystoszare balony. Z dwóch całkowicie uszło powietrze, ale jeden, wciąż napompowany, kołatał się wśród konarów, poruszany wiatrem. Zakonnica leżała w krzakach twarzą do ziemi i ze stopami w wodzie. Sznur, na którym ją zawieszono, nadal był zawiązany na jej szyi.

– No więc, co tu się stało? – spytała Katie i wysunęła rękę, żeby detektyw O'Donovan pomógł jej zrobić ostatnich kilka kroków w stronę brzegu.

– Dwie młode mamy pchały sobie po moście wózki z dziećmi, patrzą w górę i widzą trzy balony, które opadając, wplątały się w korony drzew – wyjaśnił sierżant Finlay, niski zaokrąglony mężczyzna z najeżonym siwym wąsikiem i podwójnym podbródkiem. Wyglądał jak ktoś, kto wkrótce odejdzie na emeryturę, pod warunkiem że przedtem nie pęknie. – W te pędy przyleciały na komendę i krzyczą: „Tam są balony, tam są balony i wisi na nich zakonnica!”. Z początku przyszło mi na myśl, że im się coś pomełdało, ale takiej paniki tom w życiu nie widział.

– Kiedy dotarł pan na miejsce zdarzenia, ona już z całą pewnością nie żyła?

– O, bez dwóch zdań. – Sierżant Finlay kręcił głową, jakby usiłował przekonać Katie, że nie mógł absolutnie nic zrobić dla ocalenia ofiary. – Oczy miała szeroko otwarte, ale nie zamrugała, kiedy jej zamachał ręką, a usta to były całkiem sine. Pomacałem puls, ale zero. Poza tym nijak nie ingerowałem. Jak zleciała, tak leży.

Katie rozejrzała się. Rzeka miała tam zaledwie dwadzieścia metrów szerokości i była płytka, a z powodu torfowego podłoża woda miała barwę słabej herbaty. Płynęła wolniutko, więc w pewnej odległości od mostu uformowało się coś w rodzaju archipelagu zielonych wodorostów. Słychać było szum wiatru w koronach drzew, przejeżdżające samochody i rozmowy funkcjonariuszy, ale poza tym popołudnie było dziwnie spokojne. Tak jakby Bóg powiedział: „Cicho sza, bo to jedna z moich służek zapadła w sen ostateczny”.

Ruszyła do zwłok. Ni Nuallán podążała tuż za nią. Zakonnica leżała na brzuchu z głową zwróconą w lewo, tak że widać było większą część jej bladej twarzy. Miała zmarszczki wokół oczu i ust, spod kornetu wysuwały się kosmyki białych włosów. Tak jak powiedział sierżant Finlay, oczy – bladoniebieskie niczym



kacze jajka, lecz upstrzone drobnymi czerwonymi plamkami wybroczyn – były szeroko otwarte.

– Myślicie, że to ma jakiś związek z siostrą Bridget? – spytała Katie.

– Jest zakonnicą, i to starszą, a wygląd oczu wskazuje, że zmarła od uduszenia, ale kto wie? Może tych spraw nic nie łączy. Jaką to dziś mamy datę? Może zaczął się sezon na zakonnice.

Poczekali dwadzieścia minut na przyjazd furgonetki sekcji technicznej; później nadjechał swoim brązowym kombi główny patolog, Bill Phinner. Trzej laboranci ustawili się na moście, a funkcjonariusze pomogli im zejść na brzeg rzeki.

– No, no – odezwał się Phinner. – Myślałem, że widziałem już wszystko. Ale zakonnicy, która się rozbiła przy lądowaniu, jak żyję, nie widziałem. Jezu.

– Wiatr wieje z południa, z południowego zachodu – stwierdził detektyw O'Donovan. – To znaczy, że musiał ją przygnąć nad Glashaboy z Loty. Albo jeszcze skądś dalej. Może nawet przepędziło ją przez rzekę z południa, z Blackrock.

– Kieran! Chcę mieć przynajmniej trzy próbki gazu z tego balonu, zanim do końca oklapnie! – krzyknął Bill Phinner.

Jeden z laborantów uniósł kciuk i z próbnikiem na gaz w małej czarnej walizeczce zaczął się wspinać do balonu. Sierżant Finlay uniósł głowę i spojrzał ostro, jakby przez chwilę myślał, że słowa Billa Phinnera odnoszą się do niego.

Przyjechała karetka, ale fotografowanie i pomiary zwłok zakonnicy trwały jeszcze godzinę. Zaczynało się ściemniać, chłodny wieczorny wiatr marszczył wodę; Katie postawiła kołnierz płaszcza i założyła rękawiczki z grubej brązowej wełny.

Dwaj policjanci pojechali do Café Chino koło przystanku autobusowego w Glanmire i przywieźli burgery z frytkami, babeczki, batony Tayto z serem i cebulą, a do tego kawę i herbatę w piankowych kubkach oraz puszki z zimnymi napojami. Detektyw sierżant Ni Nuallán i detektyw O'Donovan pochłonęli burgery, jakby od tygodnia nic nie mieli w ustach, a on wsunął jeszcze baton. Katie wmusiła w siebie tylko babeczkę z rodzynkami i wypila pół puszki dietetycznej coli. Była okropnie zziębnięta i zmęczona.

Wreszcie jeden z techników wspiał się z powrotem na most i powiedział:

– Można ją już odstawić, szefie. Mam dzwonić po sanitariuszy?

– Najpierw zejdźmy na dół i zerknijmy na tę biedną duszę – odparł Bill Phinner, dopił herbatę i postawił kubek na murku.

Ruszył pierwszy; odwracał się raz po raz, żeby pomagać Katie. Ni Nuallán i detektyw O'Donovan szli za nimi. Ustawili się wokół ciała, które nadal leżało twarzą w dół, tak jak upadło. Powietrze z ostatniego balonu zeszło prawie do końca i zwisało teraz wśród gałęzi niczym skóra słonia.

Dwaj technicy przyklęknęli obok zakonnicy i bardzo ostrożnie obrócili ją na wznak. Wcześniej zamknęli jej powieki, więc nie patrzyła już w niebo. Kilkanaście liści kasztanowca – żółtych, brązowych i jaskrawoczerwonych – przylepiło się jej do habitu. Jeden z techników zaświecił na nie jaskrawą latarką LED-ową i dopiero wtedy wszyscy zobaczyli, że liście nie są naturalnie czerwone, lecz poplamione krwią. W białym świetle okazało się, że habit również nią przesiąkł.

– Chcecie popatrzeć? – spytał Bill Phinner, wciągnął na dłonie białe lateksowe rękawice i uklękł przy zwłokach. Ująwszy habit w palce, uniósł ciężki, mokry materiał. Był przecięty z przodu na całej długości, od kornetu po rąbek. Szef laboratorium rozchylił połowy i Katie zobaczyła blade kościste nogi zakonnicy z płataniną niebieskawych żyłaków. Na łydkach czerwieniły się zacieki krwi, szare skarpetki także były zakrwawione.

Phinner bez słowa rozsunął habit jeszcze bardziej, obnażając całe ciało. Piersi leżały płasko po obu stronach klatki, a na brzuchu, tuż pod mostkiem, widniało rozcięcie, z którego wylewały się wnętrzności. Beżowe i krwawe sploty sięgały aż do połowy ud. Katie czuła ostrą woń żółci i ekskrementów.

Zakrywając sobie usta dłonią, przyglądała się zakonnicy. Widywała już gorsze rzeczy, mimo to jej mięśnie brzucha zaciskały się i rozprężały. W Knocka widziała kobietę, której mąż przez pół minuty przyciskał twarz do gorącej płyty elektrycznej. W Barnavara zobaczyła mężczyznę, który wpadł po pas do maszyny mielącej i został praktycznie przecięty na pół, a mimo to był w stanie mówić do strażaków usiłujących go wyciągać za pomocą łomów.

Na widok wypatroszonej zakonnicy zrobiło jej się jednak gorąco, spociała się i zatkało jej dech w piersi. Zjedzona babeczka podeszła jej do gardła. Katie zaczęła się krztusić.

– Święta Mario, Matko Boża – jęknęła detektyw sierżant Ni Nuallán. – Co za diabeł wcielony mógł zrobić coś takiego?

Katie myślała, że zdoła opanować targające nią mdłości, ale się przeceniła. Z dłonią na ustach patrzyła załzawionymi oczami na sierżant Ni Nuallán. Potem odwróciła się, schyliła nad wodę i bluznęła strumieniem przeżutej babeczki z rodzynkami i ciepłej brązowej coli.

O'Donovan pochwyił ją za lewe ramię, żeby nie wpadła do rzeki, a Ni Nuallán oparła rękę na jej barkach. Oddychając głęboko, Katie czekała, aż spazmy ustaną.

– Już dobrze? – zatroszczyła się Ni Nuallán.

Katie skinęła głową i wyprostowała się, ale prawie momentalnie żołądek znów się skurczył i musiała się nachylić nad wodę. Tym razem z jej ust nie wyciekło nic prócz śliny, ale czuła się tak, jakby jej kiszki zapętyliły się w skomplikowany węzeł.

Stała nad wodą około minuty. Kiedy w końcu poczuła się lepiej, otarła

chusteczką oczy i usta i wydmuchała nos.

– Dziękuję, już dobrze – rzuciła. – Bardzo dziękuję.

– Może niech któryś funkcjonariusz odwiezie panią do domu – zaproponował detektyw O’Donovan. – Pewnie się pani ostatnio przepracowywała, tyle jest roboty. A może zaszkoziła pani kanapka z łososiem z naszego bufetu.

– Nie, nie, ogólnie czuję się świetnie. Muszę tu zostać i wszystkiego doglądać.

– O, nie, pani nadkomisarz – zaproponowała Ni Nuallán. – Wiem, że to załatuje niesubordynacją, ale naprawdę jestem zdania, że powinna pani pojechać do domu i resztę dnia odpoczywać. Mówię serio.

Lewą ręką trzymała prawą dłoń Katie i patrzyła jej prosto w oczy. Czyżby wiedziała, że przełożona jest w ciąży? W głosie sierżant detektyw było coś, co świadczyło, że wyczuła w niej ostatnio jakąś odmianę, która nie miała nic wspólnego ze sprawą uśmierconych koni, zamordowanych zakonnic i z Johnem. Może zadziałała kobieca intuicja.

– No tak, ma pani rację – przyznała Katie. – A niesubordynacją proszę się nie martwić. Dziękuję za życzliwość.

– Jest pani pewna? Nie musi pani wracać na komendę, mogę jutro rano wysłać kogoś po panią do domu.

– Nie, dzięki. Nie miałam czasu zjeść lunchu i teraz mnie zemdliło, to wszystko.

Wspięły się na most, technicy tymczasem dalej robili zdjęcia. Katie wciąż odczuwała nudności i unikała spojrzeń na zwłoki zakonnic. Miała usta pełne śliny, ale udawało jej się powstrzymać odruch wymiotny.

Pół godziny później ciało zapakowano do czarnego foliowego worka i go zasunięto. Następnie wniesiono je na szosę, ułożono na wózku i zawieszono do karetki. Z Biura Patologa Krajowego w Dublinie przyjechał do Cork doktor O’Brien, żeby przeprowadzić autopsję siostry Bridget. Kiedy z nią skończy, będzie mógł się zająć drugą zakonnicą.

– Co z tymi końmi? – spytał O’Donovan, podchodząc do Katie. – Mógłbym się kopnąć do Dromsligo i zobaczyć, czy robią jakieś postępy.

Spojrzała na zegarek.

– Lepiej zadzwonię najpierw do tego gościa z ISPCA. Robi się późno, a oni pewnie już na dzisiaj kończą. Pojadę tam jutro z rana, chyba że wypadnie mi coś innego. Może nieładnie to zabrzmie, ale ludzkie szczątki muszą mieć pierwszeństwo przed końskimi.

Wyjęła iPhone’a i wybrała numer, który podał jej Tadhg Meaney. Długo nie odbierał i już myślała, że trzeba będzie zostawić mu wiadomość, ale zadzwoniła po raz drugi i wtedy odebrał natychmiast.

– Halo? Halo? Tadhg Meaney! – rzucił zdyszonym głosem.

– O, Tadhg, jak się pan miewa? Tu detektyw nadkomisarz Maguire. Przepraszam, że nie mogłam przyjechać po południu. Coś się zdarzyło i musiałam się tym zająć.

– Nic nie szkodzi, pani nadkomisarz. Właśnie przed chwilą skończyliśmy, bo trzeba było porozdzielać te konie i je poukładać. Niektóre są w strasznym stanie, no, koszmar, mówię pani.

Katie przełknęła ślinę i liczyła, że weterynarz nie zacznie szczegółowo opisywać zwłok.

– A więc dalej pan nie wie, jak zginęły? Żyły, kiedy zrzucano je z klifu, czy były już martwe?

– Dalej nie wiem – przyznał Meaney. – Mówiąc szczerze, być może nigdy się tego nie dowiemy, chyba że umarły na jakąś chorobę albo je uśpiono. No i jest jeszcze jedna rzecz, która nas nurtuje.

– Tak?

– Prześwietliliśmy już trzy zwierzęta, trzy spośród tych, które były w dość dobrym stanie. Wszystkie miały mikroczipy, owszem, ale tu pojawia się zagadka. Żaden z ich numerów nie pasował do tych, które były zarejestrowane w Weatherbys.

– To rzeczywiście zagadkowe – przyznała Katie. Weatherbys to agenda, która trzyma pieczę nad irlandzką księgą ogierów, dokumentami oraz numerami mikroczipów każdego konia i osła w kraju.

– Pytanie, pani nadkomisarz, brzmi tak: Po co zawracać sobie głowę czipowaniem konia, skoro nie zamierza się go rejestrować? – dodał Meaney. – Wychodzi na to, że te konie nie tylko są martwe. W sensie prawnym one w ogóle nie istniały.

## Rozdział 10

Ranek był pochmurny, ciemny i brzydki i Katie musiała zapalić światło w gabinecie. Wieczorem udało jej się zjeść trochę gulaszu przygotowanego przez Johna, a dzisiaj wcale nie męczyły jej mdłości. Dobrze spała – nawet jeśli śniła jej się wybebeszona zakonnica, to tego nie zapamiętała.

Przeczytała wiadomości pozostawione na jej biurku i podpisała wszystkie listy; właśnie się zbierała, by wyruszyć do Dromsligo, kiedy do gabinetu weszła Ni Nuallán z kartką papieru w dłoni.

– Siostra Rose przesłała mi mailem rozkład klasztornego ogródka – oznajmiła. – Musiała poczekać, aż reszta sióstr pójdzie na medytację.

Położyła plan na biurku Katie. Ogródek miał kształt rombu o powierzchni nieco poniżej jednej trzeciej hektara, mury od wschodu i południa odgradzały go od sąsiadującej z klasztorem działki mieszkalnej. Obok wschodniej ściany znajdował się ogród warzywny, a przy południowej – szeroki zielnik. Pośrodku warzywnika, jakieś dwadzieścia pięć metrów od wschodniej ściany, siostra Rose nakreśliła krzyż. Nic na planie nie napisała, nie było tam zdania w rodzaju „Tutaj znalazłam kość szczękową”; nie dołączyła również do planu żadnej wiadomości.

– Ona dosłownie truchleje na myśl, że ją nakryją – wyjaśniła przełożonej detektyw sierżant.

Katie patrzyła przez chwilę na plan.

– Prędzej czy później i tak się to wyda – rzuciła w końcu. – Będziemy musieli wnioskować o nakaz przeszukania, a sędzia będzie chciał wiedzieć, na jakiej podstawie chcemy rozkopywać klasztorny ogródek.

Gdyby zachodziła pilna konieczność rewizji, Katie sama mogłaby wydać nakaz; jednakże siostra Rose dopiero po upływie sześciu tygodni zgłosiła znalezienie kości, więc nie wydawało się prawdopodobne, by czyjemuś życiu zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo. Poza tym było raczej wykluczone, by matka O’Dwyer czy któraś z sióstr z klasztoru Bon Sauveur spróbowały w pośpiechu opuścić kraj, dlatego o wydanie nakazu Katie musiała się zwrócić do sądu hrabstwa.

– Pojadę i złożę wniosek – zaproponowała Ni Nuallán. – Powinien być gotowy, kiedy wróci pani z Dromsligo.

– No dobra, świetnie. Ale Bóg jeden wie, co w tym ogrodzie znajdziemy. Oby nic prócz czerwonych maków.

\* \* \*

Detektyw Horgan wioził ją nieoznakowaną policyjną toyotą prius. Kiedy jechali N20 na północ do Mallow, rozpadało się. Krople deszczu dudniły

o przednią szybę tak uporczywie, że wycieraczki ledwo nadały je zbierać.

Katie miała wrażenie, że Horgan jest wyjątkowo spokojny. Przeważnie żartował jak najęty i plótł niestworzone historie; do tego robił kolegom najgłupsze psikusy. Kiedyś na przykład kazał swojej dziewczynie zadzwonić na policję i poskarżyć się, że ją „zwalcono”. Kiedy funkcjonariusz zapytał: „Chciała pani powiedzieć »zgwałcono«?”, odparła: „Nie, tylko mnie walec przejechał”.

Tego ranka siedział jednak za kierownicą ponad dwadzieścia minut i nie odezwał się ani słowem. Czoło miał zmarszczone, jakby nad czymś dumał.

– Wszystko gra? – zapytała Katie.

– Mm, co? Tak. Super, dziękuję.

– Bo chyba coś pana gryzie. Czyżby kłopot z jakąś sprawą, którą pan prowadzi?

– Nie, skąd! Muszę się tylko mocniej pochylić nad paroma świadkami, wie pani. Ale poza tym wszystko jest w porządku.

Przejechali w milczeniu jeszcze parę kilometrów. Deszcz odpuścił i chmury się rozsunały, nagle zrobiło się widniej.

– Powie mi pan wreszcie, o co chodzi? – nie dawała za wygraną Katie.

– O nic takiego – odparł detektyw Horgan. – To sprawa osobista.

– Horgan, jeśli sprawa ma wpływ na pana podejście do pracy, to muszę o niej wiedzieć bez względu na jej charakter. Detektyw komisarz Fennessy miał problemy w domu, o szczegółach nie warto mówić, i co się z nim stało? No właśnie, nadal nie mamy zielonego pojęcia, co się z nim stało. Może już nie żyje, a my nawet o tym nie wiemy.

Dojeżdżali do Mallow. Centrum Weterynaryjne dla Koni Victora Dowlinga leżało w północno-zachodniej części miasta. Minęło prawie osiem lat od czasu, kiedy Katie ostatnio tam była, krótko po jego otwarciu. Cork rozpaczliwie potrzebowało schroniska dla porzuconych koni: starych jałowych kobył, wierzchowców wyścigowych po przejściach, koni z zapaleniem błazek kopytowych oraz zwyczajnych, niemiłosiernie zmalretowanych i wyeksploatowanych szkap. Jeździła do ośrodka dlatego, że trafiały do niego zwierzęta w następstwie zarzutów postawionych przez Gardę, związanych z kradzieżą bądź okrutnym traktowaniem.

Nim znaleźli się przed zjazdem do Dromsligo, detektyw Horgan zwolnił i zjechał na pobocze.

– Chodzi o moją dziewczynę Muireann – powiedział, gdy zgasił silnik. – Wpadliśmy. Nie chciałem tego, ale teraz pojęcia nie mam, co robić.

– Który to miesiąc?

– Nie wiem dokładnie. No, może wiem. Będzie dwa miesiące z górą. Pojechaliśmy do Dingle i wzięliśmy pokój w Skellig. Przez cały czas nic tylko sikało z nieba i sikało, więc nie wychodziliśmy z hotelu i wie pani. W telewizji nie

było na czym oka zawiesić.

– Ona chce usunąć?

Pokręcił głową.

– Proponowałem jej to. Powiedziałem, że dam jej na bilet do Anglii w razie czego. Ale ona o aborcji nawet słyszeć nie chce. Już zawiadomiła mamę, a cała jej rodzina jest religijna na zabój, rozumie pani?

– I co pan teraz zrobi? Ożeni się pan z nią?

Twarz Horgana wyglądała jak obraz rozpaczy.

– Lubię ją. Pośmiać się z nią można, lubi w klubach posiedzieć i w ogóle. Znaczy lubiła kiedyś, bo teraz to się zrobiła ach, ach, cała serio i procenty są be. Ale hajtać się z nią? Jezu, nie wyobrażam sobie, że mógłbym z nią przesiedzieć ciągiem dwa dni, a co dopiero całe, kurde, życie.

– Ona myśli, że pan się z nią ożeni?

Detektyw Horgan skinął głową.

– Idziemy przedwczoraj French Church Street, a ona nagle staje przed sklepem z sukniami ślubnymi i wlepia gały w wystawę. Nic nie mówi, roześmiana od ucha do ucha, i ściska mnie za rękę... no wie pani.

– Jeżeli nie chce się pan z nią żenić, to niech pan jej powie. Im prędzej, tym lepiej.

– Jezu, ale się na mnie wścieknie, jak to usłyszysz!

– Przykro mi, Horgan, ale nie ma pan wyboru. Może jej pan powiedzieć, że zapewni dziecku opiekę finansową, kiedy się urodzi, i będzie się pan nim interesował. Ale proszę się z nią nie żenić, jeśli naprawdę jej pan nie kocha. To by nie było w porządku ani wobec żadnego z was, ani wobec dziecka.

Z rezygnacją wydał policzki.

– Ma pani rację, wiem. Mama i tata ożenili się z mojego powodu, a później się nienawidzili. I to jak! Mama zawsze mówiła, że Bóg dał nam miłości światło, ale diabeł dał dzieci po to, żeby to światło zgasić.

Katie mimo woli położyła sobie rękę na brzuchu i w myślach zadała sobie pytanie, co powie John, kiedy mu oznajmi, że jest w ciąży.

– No dobra – rzuciła. – Jedźmy już i obejrzyjmy te konie. Specjalnie rano nic nie jadłam i teraz umieram z głodu.

Horgan uruchomił silnik i wąską szosą wśród szpaleru żywopłotów pojechali ku Dromsligo.

\* \* \*

Zaparkowali przed siedzibą ośrodka, budynkiem w piaskowym kolorze, porośniętym bluszczem i otoczonym pomalowanymi na biało stajniami. Gdy tylko Katie wysiadła z samochodu, wyszedł jej na spotkanie Tadhg Meaney. Był w tweedowej czapce i szeleszczącym brązowym sztormiaku.

– W samą porę, pani nadkomisarz. Szedłem akurat do traktorowni.

– Jakież postępy? – zapytała. – I proszę mi mówić Katie albo Kathleen, jeśli chce pan być bardziej oficjalny.

Przemierzyli razem podwórze, a potem obeszli stajnie i znaleźli się przed ogromną drewnianą rudera z krytym dachówką zapadniętym dachem, która bardziej przypominała szopę niż stodołę. Katie poczuła zapach koni, zanim je zobaczyła. Wydzielały zawieszistą lepką woń, której smak czuła na języku. Zawsze myślała, że rozkładające się ludzkie ciało cuchnie zielono. Ten zapach miał ciemniejszą barwę: zielonkawomahoniową. Wyjęła naperfumowaną chustkę, którą nosiła zawsze w kieszeni płaszcza, i podniosła ją do nosa. Meaney zobaczył to i posłał jej krzywy uśmiech.

– Nie mam pani za złe – powiedział. – Ja sobie zawsze nacieram nocha vicksami i biorę do ssania pastylki Fisherman’s Friend.

Wielkie podwójne wrota stały otwarte na oścież. Na betonowej posadzce rozciągnięto plandeki i ułożono na nich truchła dwudziestu trzech koni i źrebaków, w trzech rzędach; te z najbardziej zaawansowanym procesem gnilnym trafiły na przód. Z niektórych zostały jedynie szkielety obciążone włochatą skórą. Przypominały straszdyła z sennego koszmaru; mewy wydziobały im oczy, więc oczodoły ziały pustką. Te leżące z tyłu były w dużej części nienaruszone, tylko ich brzuchy rozděły się przeraźliwie.

– O rany – jęknął detektyw Horgan, machając ręką przed nosem. – Ale dają czadu w niuch.

Wnętrze stodoły, rzęsiście oświetlone przenośnymi lampami halogenowymi na trójnogach, wyglądało jak plan filmowy. Dwaj weterynarze z ISPCA, w białych kombinezonach ochronnych i maskach, kucali obok konia w drugim szeregu. Jeden pobierał próbki krwi dużą strzykawką podskórną, drugi powoli przesuwiał między łopatkami zwierzęcia skanerem do wykrywania czipów.

– Może się uda sprawdzić wszystkie przed końcem dnia – odezwał się Tadhg Meaney. – Są trzy czterolatki, siedem trzylatków, dziewięć dwulatków i cztery źrebaki. Ani jedno źrebię nie zostało oczipowane. – Zawiesił głos i po chwili dodał: – Bogu dziękuję, że słona woda zakonserwowała zwłoki i że jest zimno. W innym razie much byłoby tyle, że nie widzielibyśmy czubków własnych nosów.

Katie odsunęła chusteczkę od twarzy i starała się nie wciągać głęboko powietrza.

– Mówił pan, że mikroczipy trzech pierwszych przebadanych koni nie zgadzają się z żadnymi numerami zarejestrowanymi w Weatherbys.

– Owszem. I tak jak wspomniałem, jest to zagadka. Później przeskanowaliśmy jeszcze dziewięć koni i wynik był ten sam: oczipowane, ale niezarejestrowane. Wszystkie mają standardowe transpondery ISO i zgadza się pierwszych osiem z piętnastu cyfr. Zaczynają się od trzysta siedemdziesiąt dwa,



czyli numeru kodowego Irlandii. Jednak ich osobistych numerów identyfikacyjnych nigdy oficjalnie nie zarejestrowano. Sęk w tym, że nie mamy dokumentów tych biednych stworzeń i nie możemy zweryfikować, czy numery pasują, czy też coś z nimi zachachmęcono. To znaczy, jeśli w ogóle kiedykolwiek miały dokumenty.

– Wygląda mi to na stary przekręt wyścigowy – wtrącił się Horgan.

– Owszem – zgodziła się z nim Katie. – Ale dokumenty zwykle podrabia się po to, żeby załatwić przyjęcie chorego konia w rzeźni, prawda? Za konia zdatnego do konsumpcji dostaje się teraz sześćset albo siedemset euro. Ale to są konie wyścigowe. Mięsa z nich wszystkich nie starczyłoby na kilo kiełbasy. W zasadzie to trzeba byłoby hyclom płacić za to, żeby się ich pozbyć.

– Chodzi mi po głowie, że to były tak zwane słupy – powiedział Meaney. – Od czasu gdy wprowadzono obowiązkowe mikroczipy, trenerom koni wyścigowych trudniej jest wystawiać jednego wierzchowca w miejsce drugiego. Ale nadal są sposoby na to, żeby fałszować dokumenty i zamieniać czipy. W biznesie wyścigowym panuje teraz chaos jak nigdy, tylko tyle powiem. Że już nie wspomnę o korupcji. I okrucieństwie.

– Ile wam zajmie analiza krwi? – spytała Katie.

– Przebadamy w zasadzie wszystko, chociaż głównie będziemy zwracali uwagę na obecność fenylbutazonu. Pierwsze wyniki powinienem mieć dla pani jutro albo pojutrze.

Katie przycisnęła chusteczkę do twarzy, lecz perfumy Chloé w nikłym stopniu maskowały przytłaczający odór martwych koni; mocny kwiatowy zapach sprawiał nawet, że był on jeszcze dotkliwszy. Zagulgotało jej w żołądku i miała nadzieję, że weterynarz tego nie usłyszał.

– Dzięki, Tadhg. Będę czekała na informacje od pana.

Spoglądał na konie i milczał. Był tak przygnębiony i smutny, że chciała mu szepnąć coś pocieszającego, cokolwiek, choćby „Tadhg, to nie była twoja wina”.

Odwróciła się, ale Meaney został. Dopiero kiedy ona i detektyw Horgan wyszli na zewnątrz i skręcali za róg stodoły, weterynarz krzyknął:

– Dziękuję, że pani przyjechała! Odezwę się, jak tylko będę mógł!

\* \* \*

– No i co pan sądzi? – zapytała Horgana, kiedy zmierzali wąską wiejską drogą w kierunku szosy N20.

– Hm, śmierdzi mi ta sprawa i to nie tylko szlachtowaną koniną. Tak jak mówiliśmy, musi chodzić o przekręt z wyścigami. Ale czegoś tu nie jarzę. Jeśli ktoś jest taki cwany, żeby wykręcić szachrajstwo z dwudziestoma trzema końmi czystej krwi, to dlaczego je zrzucił z urwiska w miejscu, w którym ktoś prędzej czy później musiał je zobaczyć? Czemu ich nie skremował, nie utopił w bagnie, nie

obciążył kamorami i nie wywiózł hen daleko w morze, gdzie nikt by ich nigdy nie znalazł?

– Może myślał, że odpływ je zgarnie.

– Możliwe, ale są odpływy i są przyływy, prawda? Nawet gdyby zabrał je odpływ, przyływ mógł je wyrzucić z powrotem na plażę. Ten, kto zrzucił te konie z klifu, zrobił to albo z cholernym pomysłem, albo jest tęższy, niż ustawa przewiduje.

Katie pokręciła głową i mimo woli się uśmiechnęła.

– Horgan, jesteśmy w Cork. Moim zdaniem szanse, że ten ktoś kierował się cholernym pomysłem, są dosyć marne. Stawiałabym raczej na tępotę.

Dojechali do N20. Jedynym pojazdem w polu widzenia był srebrny mercedes zaparkowany w zatoczce przy pasie dla samochodów jadących z naprzeciwka, jakieś trzydzieści metrów dalej na północ. Detektyw Horgan już miał wyjechać na szosę, kiedy mercedes ruszył z szarpnięciem i pomknął im naprzeciw.

Katie odruchowo chwyciła kierowcę za rękę.

– Cofaj!

– Że co?

– Cofaj!

Wrzucił wsteczny bieg, lecz w tej samej chwili huknęło potężnie i głowa detektywa odskoczyła w tył. Toyotę zarzuciło w lewo i rąbnęła w trawiastą skarpe. Katie uderzyła mocno o zagłówek, lecz momentalnie schyliła się na bok, kryjąc głowę.

Minęło kilka sekund. Silnik toyoty zgasł i zrobiło się cicho.

– Horgan? – odezwała się Katie wciąż opierając głowę o jego udo. – Hoggy, nic ci nie jest?

Poczuła na uchu ciepłą mokrą kroplę i momentalnie się wyprostowała. Srebrny mercedes znikł i szosa była pusta. W przedniej szybie ziała dziura o średnicy około dwóch centymetrów. Katie spojrzała na detektywa i zobaczyła, że jego głowa osunęła się na pierś i z czoła cieknie krew. Tył głowy Horgana zamienił się w zlepek włosów i krwi; na kołnierzyk koszuli skapywała różowawoszara tkanka mózgowa.

Katie dotknęła płątka swojego ucha i spojrzała na palce – były czerwone. Przesunęła po nich chusteczką, a później otarła ucho i sięgnęła po nadajnik, by wezwać detektywa komisarza O'Rourke'a.

– Francis? – usłyszała samą siebie. – Tu detektyw nadkomisarz Maguire. Ostrzelano nas. Detektyw Horgan dostał. Tak. Jestem przy wjeździe z Dromsligo na N Dwadzieścia, jakiś kilometr na północ od Mallow. Niech nadkomisarz McCarthy przyśle mi kogoś z lokalnej policji i pan też niech tu czym prędzej podjedzie. Proszę ze sobą zabrać O'Donovana. Potrzebna mi jest ekipa techniczna.

Wysiadła z samochodu i stanęła obok, zimny wiatr targał jej włosy.

– Strzał padł ze srebrnego mercedesa kombi. Ogłóście alarm, niech zatrzymują wszystkie takie wozy w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od Mallow. I ostrzegam, pasażerowie mogą być uzbrojeni i niebezpieczni.

– Wszystko będzie załatwione – zapewnił ją detektyw komisarz O'Rourke. – Pani nie jest ranna, prawda?

– Nie, nie. W ogóle. Próbowali rąbnąć mnie, ale zamiast mnie trafili biednego Horgana.

Opuściła mikrofon i otwartymi do połowy drzwiami zasłoniła się przed wiatrem. Trzęsło ją po części z zimna, a po części z powodu szoku i nie mogła nad tym zapanować, ale nie chciała siadać na fotelu pasażera. Nie mogła się nawet zmusić, by spojrzeć na Horgana, który z pochyloną głową siedział za kierownicą. Mimo to widziała jego zakrwawioną dłoń opartą na kolanach. Zbierało jej się na wymioty i tylko tyle mogła zrobić, by je powstrzymać. Nadal czuła posmak gnijących końskich zwłok na języku i woń perfum Chloé, a wiatr niósł z okolicznych pól smród gnojówki.

Pierwszy radiowóz nadjechał już po siedmiu minutach, niespełna minutę później dotarł na miejsce drugi. Migwały niebieskimi kogutami, ale droga była pusta, więc nie włączono syren. Wsiadła czwórka funkcjonariuszy i podeszła ostrożnie do Katie.

– O Jezu – jęknął ten, który się schylił do bocznego okienka toyoty. Przeżegnawszy się, dodał: – Prosto między oczy.

– Pani nie jest ranna? – zagadnęła młoda policjantka.

– Nie, Bogu dzięki – odparła Katie. – Bardzo dziwne mi się wydało, że strzelili tylko raz.

– Domyśla się pani, kim byli sprawcy? – spytał inny funkcjonariusz.

– Błatego pojęcia nie mam. Nie wiem nawet, skąd wiedzieli, kim jesteśmy i że będziemy akurat tu, w Dromsligo.

– Może was z kimś pomylili – zasugerował. – Mieliśmy ostatnio na tym terenie kilka zatargów między rodzinami z marginesu.

– To możliwe, ale raczej mało prawdopodobne. Nie całkiem pasujemy do tego profilu, zgodzi się pan?

– Może byśmy odstawili panią do Cork? To musi być cholerny wstrząs, no nie? Zobaczyć, jak kolega tuż obok dostaje kulkę.

– Dzięki, ale wolałabym jeszcze trochę zostać – odparła Katie. – Jedzie tutaj detektyw komisarz O'Rourke z Anglesea Street, a poza tym chcę pogadać z technikami, kiedy już tu dotrą.

– No to może chociaż przycupnie pani chwilę w naszym wozie? – namawiała ją funkcjonariuszka. Była pulchna i miała ciemnoniebieskie oczy. – Porządnie rozdygotana pani jest, a tam będzie przynajmniej ciepło.

Katie zamierzała odrzucić i tę propozycję. Ktoś zastrzelił detektywa

Horgana, a ona była prawie pewna, że mierzono do niej, i nie chciała odchodzić i go zostawiać. Boże drogi, przecież ten chłopak dwa tygodnie temu obchodził dwudzieste siódme urodziny. Katie trzęsa się i miała wrażenie, że nawet asfalt drży jej pod stopami, więc się uśmiechnęła.

– Tak, dziękuję, chyba skorzystam.

– Mam w samochodzie ciepłą herbatkę – dodała funkcjonariuszka, prowadząc ją do radiowozu.

Katie usiadła z tyłu i wyjęła z kieszeni iPhone'a; chciała się skontaktować z detektywem komisarzem O'Rourkiem i sprawdzić, ile mu zajmie dojazd do Dromsligo. Dostała wiadomość od Johna.

Mam nadz. że nie jesteś zb. zaj. wieczor. Zam. stol. w Hayfield. Trzeba ucz. niesamow. sprzed. szczep. na gryp.!

Zaczęła mu odpisywać, że detektyw Horgan zginął, jadąc z nią samochodem, ale po kilku słowach skasowała tekst. Czy wolno robić ze śmierci wymówkę, by nie pójść na kolację?

A najgorsze, że musiała przekazać wiadomość Muireann, jego dziewczynie.

## Rozdział 11

Została na miejscu zdarzenia aż do przybycia detektywa komisarza O'Rourke'a i O'Donovana; dziesięć minut później dotarła ekipa czterech techników laboratoryjnych. Policja z Mallow zamknęła trasę N20 na prawie dwie godziny; dojechało jeszcze trzech funkcjonariuszy i siedmiu rezerwistów Gardy, którzy pełzając na czworakach, mieli poszukiwać śladów na powierzchni szosy.

Na poboczu odcisnęły się opony srebrnego mercedesa, technicy je obfotografują i zrobią wyciski. Tyle że strzał prawie na pewno padł z karabinu, zatem odnalezienie łuski było mało prawdopodobne. Katie zdążyła się ogrzać, a jej żołądek się uspokoił, wysiadła więc z radiowozu, żeby obserwować pracę techników i pomówić z O'Rourkiem.

– Czy Horgan pracował nad czymś, co by mogło ściągnąć na niego zagrożenie? – spytał detektyw komisarz.

– W zeszłym tygodniu aresztował Jurgisa Walunisa – odparła Katie. – To młodszy brat Algisa Walunisa, tego litewskiego handlarza narkotyków, o którym rozmawialiśmy przedwczoraj. Algis potrafi ostro zareagować, jeśli go ktoś zezłości. Bóg wie, ile razy go zgarnialiśmy, ale czy znajdziemy kiedyś świadka, który zgodzi się zeznawać przeciwko niemu w sądzie?

– Uważa pani, że mógł to zrobić?

Katie zastanowiła się i pokręciła głową.

– To nie jego styl. On lubi, jak ofiara błaga o litość, no i zwykle korzysta z noża, stłuczonej butelki albo kija baseballowego.

– Przychodzi pani do głowy ktoś inny?

– Horgan rozpracowywał dwóch szemranych gości z Togher, bo miał cynk, że należą do Prawdziwej IRA i obaj posiadają broń palną. Nie wiem ze szczegółami, jak to się rozwijało, ale wczoraj rano mówił mi, że w ten weekend ma nadzieję dokonać aresztowania.

– A jeśli tym tutaj nie chodziło o Horgana? Jeśli to panią wzięli na cel?

– Owszem, taka była moja pierwsza myśl – powiedziała Katie. – Są całe tabuny bandziorów, którzy odetchnęliby z ulgą, gdyby udało się mnie sprzątnąć.

Podszedł do nich Denis McBride w kombinezonie ochronnym, trzymając w szczypcach pocisk. Nosił okulary i równo przystrzyżoną brodę; swoją pracę traktował z głęboką powagą i był jednym z najlepszych w kraju speców od balistyki.

– Wyciągnąłem go z tapicerki na tylnym siedzeniu – oznajmił. – To pocisk siedem sześćdziesiąt dwa na pięćdziesiąt cztery milimetry R, często wykorzystywany do karabinów snajperskich, zwłaszcza w Rosji i krajach Europy Wschodniej.

– No cóż, wiemy, że większość karabinów używanych przez przestępców z Cork przeszmyglowano tutaj z państw bałtyckich i Czech – powiedziała Katie. – Więc owszem, to mógł być Walunis lub ktoś z jego gangu, nadal jednak nie sądzę, by podszedł do sprawy z takim wyrachowaniem. To był zaplanowany zamach, a z tego, co słyszałam, Walunis musi się mocno nakręcić przed robotą.

– Oczywiście będę musiał prześwietlić ten pocisk w laboratorium – dodał Denis McBride. – Ale gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że został wystrzelony z karabinu Mosin-Nagant lub Dragunow albo z jakiejś broni pochodnej. Trzaskano je na licencji w wielu krajach, w Finlandii, Polsce, Norwegii, i zwykle nie są zbyt drogie, na czarnym rynku chodzą po sześćset, siedemset euro.

– Dzięki, Denis. – Katie spojrzała za siebie na toyotę. Wnętrze oświetlały błyski aparatów, widziała więc detektywa Horgana za kierownicą i krew, którą zbryzgane było oparcie fotela. Odwróciła się do detektywa O'Rourke'a. – Myślę, Francis, że pojedę teraz na komendę, jeśli zechciałby mnie pan podwieźć.

– No jasne. Jak na mój gust, to ma pani dosyć na dzisiaj. Gdybym był na miejscu pani chłopca, dałbym pani coś słodkiego do jedzenia na dobry sen i kazał iść spać.

W innych okolicznościach Katie by się uśmiechnęła. Nie dostała nic słodkiego na dobry sen od czasów szkolnych, kiedy miała ospę wietrzną; była to kromka białego chleba umoczona w gorącym mleku wymieszanym z łyżką miodu. Na myśl o matce Katie nagle stanęła gęź w gardle.

\* \* \*

Dojeżdżali do miasta, kiedy zaćwierkał iPhone Katie. Dzwonił detektyw Dooley.

– Chciałem tylko zapytać, czy nadal jest pani w Dromsligo.

– Nie, nie, już jadę z powrotem – odparła. – Za parę minut będę na miejscu. Jesteśmy w Blackpool, właśnie mijamy browar.

– Jezu, to była makabra, jak usłyszeliśmy o Horganie. Nie mogliśmy uwierzyć.

– Wiem, Dooley, wiem. Później możemy się wszyscy spotkać i pogadać. Myślę, że nam to dobrze zrobi.

– Pani nic się nie stało?

– Jestem w szoku tak jak pan. Ale ranna nie jestem.

– Bogu dzięki i za to. Więc do zobaczenia, jak już pani będzie na miejscu.

Ton jego głos wskazywał, że Dooley chce coś dodać, ale się waha.

– Ma pan coś jeszcze?

– Nie, nie, to może poczekać. Przecież za chwilę pani dojedzie.

– Proszę mówić, słucham.

– No właśnie dlatego chciałem wiedzieć, gdzie pani jest. Ktoś się zgłosił

w odzwie na apel, który pani wygłosiła w telewizji.

– W sprawie martwych koni?

– Tak jest. Wydaje mi się, że to może być dobry namiar. Nawet więcej niż dobry.

– Zgoda, to brzmi zachęcająco. Powie mi pan na miejscu. Niedługo będę na komendzie.

Przejechali most Christy Ring i byli na Merchants Quay. W zapadającym zmierzchu zapalały się latarnie nad rzeką. Katie nigdy nie lubiła tej pory roku. Zawsze przypominała jej o szczęśliwych czasach, które nie wrócą, i o wszystkich ludziach, których straciła.

Detektyw komisarz O'Rourke skręcił na parking komendy i zaciągnął hamulec ręczny.

– Przepraszam, że o to pytam. Bez urazy, ale nie przegina pani z pracą?

– Nie, Francis, słowo. I dziękuję.

Detektyw Dooley czekał w jej gabinecie. Z wystającym ze spodni skrawkiem koszuli i przekrzywionym czerwonym krawatem wyglądał jak sztubak po przegranej bójce.

– Że też akurat musiało paść na Horgana – odezwał się, kiedy wieszala płaszcz. – Fajny był z niego gość, zawsze można się było z nim pośmiać. Jezu, kto by go chciał zabić? Pół godziny temu było o nim w serwisie, ale nie podali nazwiska. Panią też widziałem.

– Później wszystko opowiem – rzuciła Katie. – Teraz wolałabym zająć się robotą.

– Nic pani nie podpowiada intuicja, kto mógł strzelać?

– No właśnie nie. Denis McBride mówi, że pocisk prawdopodobnie pochodził z rosyjskiego lub wschodnioeuropejskiego karabinu snajperskiego, ale na razie można tylko zgadywać, kto go użył i dlaczego, a nawet kogo brał na cel. Możliwe, że nie Horgana.

– Znaczą, że mógł celować do pani?

– Tak jak powiedziałam, odłóżmy to na później. – Usiadła za biurkiem. – Teraz chciałabym usłyszeć o tym bardzo dobrym cynku.

– Racja. Dwoje młodziaków zgłosiło się jakąś godzinę temu na komendę. Są teraz na dole w poczekalni dla gości. Nie widzieli w telewizji pani apelu, ale znajomy im o nim wspomniał, a oni połączyli jedno z drugim.

Detektyw Dooley stuknął dwa razy w biały telefon komórkowy i podał go Katie. Na ekranie widniało zdjęcie selfie chłopaka i dziewczyny, mniej więcej osiemnastoletnich, z włosami smaganymi przez wiatr, wyszczerzonymi w uśmiechach zębami i uniesionymi kciukami. Za nimi biegł w górę porośnięty trawą stok, a na nim pasły się trzy konie: dwa kasztanki i gniadosz. Głowa i prawe ramię chłopaka częściowo zasłaniały zwierzęta, lecz ich sierść lśniła w słońcu

i Katie widziała, że cieszą się dobrym zdrowiem, nie są wyliniące ani łękowate na grzbietach. W tle widać było wąski niebieski pas morza, więc para młodych ludzi najwyraźniej stała na klifie. Katie przyjrzała się zdjęciu dokładniej.

– Coś takiego – szepnęła i pokręciła głową, bo ukazywało ono nie tylko konie. Na prawo rysował się tył masywnej ciemnozielonej przyczepy z zamontowaną klatką. Obok niej stało dwóch mężczyzn i paliło papierosy. Jeden miał na sobie czerwoną koszulę w kratę i jasnobrązową czapkę, drugi – białą koszulę bez kołnierzyka i czarną kamizelkę. Stali odwróceny plecami, więc twarze nie było widać, lecz Katie dojrzała pierwszych sześć znaków na tablicy rejestracyjnej przyczepy: 131-C-74.

– Szczyt klifu w Nohaval Cove – zakomunikował Dooley. – A to jest siedmioipółtonowa przyczepa Annard Renault Midlum przystosowana do przewożenia koni. Sprawdziłem w RSA, została zarejestrowana w marcu dwa tysiące trzynastego roku na niejakiego Paddy’ego Fearona ze Spring Lane Halting Site.

Katie nadal przyglądała się fotce.

– Wygląda, że zdjęcie było zrobione latem.

– Osiemnastego lipca. Chodzili ze sobą od miesiąca. Tak między nami, to ta parka chyba szukała miejsca, żeby się bzyknąć na świeżym powietrzu. Aż tu nagle zjawia się ta przyczepa i dwóch zakapiorów, płoszą ich, więc młodzi biorą nogi za pas.

– Chciałabym zadać im parę pytań – powiedziała Katie. – To jest ich telefon?

– Tak, ale już przerzuciłem kopię tego selfie na mojego laptopa.

– Dobrze – rzuciła, wstając. – Na fanfary jeszcze za wcześnie, ale niewykluczone, że ma pan rację. To może być przełom, na który czekaliśmy.

Detektyw Dooley odprowadził ją do drzwi.

– Pani nadkomisarz? – odezwał się, kiedy wychodziła.

– Tak, słucham?

Dotknął palcami swojego lewego policzka.

– Przepraszam, ale chyba ma pani krew na twarzy.

\* \* \*

Gdy Katie i Dooley weszli do poczekalni dla gości, młodzi ludzie trzymali się za ręce, a ich miny zdradzały niepokój.

– Chyba nie musimy tutaj długo siedzieć, co? – zapytał chłopak. – Od godziny powinienem być z powrotem w pracy.

– Nie będziemy was trzymali – zapewniła Katie. – Chciałam tylko zamienić z wami parę słów, zanim wyjdziecie. Jestem detektyw nadkomisarz Maguire, a wy?

– Michael, Michael Calvey, a to jest Shelagh McGee.



Katie oddała chłopakowi komórkę.

– Jestem wam naprawdę wdzięczna, że przyszlście i pokazaliście nam swoje zdjęcie. Jeszcze tego nie wiemy na pewno, musimy to i owo zbadać, ale być może dostarczyliście nam bardzo ważnego dowodu.

– Taki jeden nasz znajomy słyszał w telewizji o tych koniach, co to je zwalono ze skarpy w Nohaval Cove. Przypomniał, jak mówiliśmy, że przegnało nas stamtąd dwóch gości.

– Detektyw Dooley wspomniał, że to było w lipcu.

– No, tak. Chcieliśmy tylko pobyc trochę ze sobą, no nie? Oboje nadal mieszkamy z rodzicami i to masakra jest. Moi młodszy brachole pukają do mnie non stop do pokoju i krzyczą: „Posuwasz ją?!”.  
– U mnie tak samo – podchwyciła Shelagh, rumieniąc się na twarzy. – Mama przeważnie stuka i pyta, czy chcemy się napić herbaty albo zjeść ciasto, ale tak naprawdę to nas pilnuje.

– Wybraliście się więc na skarpe w Nohaval Cove, żeby pobyc trochę na osobności?

– No, dokładnie – potwierdził Michael. – Był superdzień, ciepło, ale przeważnie nikogo tam nie ma, bo trudno dojechać, co nie? A ja miałem wtedy motor, yamahę sto dwudziestkę piątkę więc nie było problemu.

– O jakiej porze to się działo? – chciała wiedzieć Katie.

– Jakoś tak o trzeciej po południu. Zjedliśmy burgery w McDonalddie, a potem wpadliśmy na pomysł, że wyskoczymy z miasta i pospacerujemy nad morzem.

– A kiedy nadjechała ta przyczepa z klatką?

– Niedługo po nas. Dziesięć, może piętnaście minut, coś koło tego. Widzimy, jak nadjeżdża połą drogą, i myślimy sobie: Jezu, po co ktoś tu się telepie z końską budą? Widzieliście na zdjęciu, że duża była.

– Zatrzymała się niedaleko od miejsca, gdzie siedzieliśmy – wtrąciła Shelagh. – Potem ci dwaj goście wysiadają i się na nas gapią z taką miną, że niby co wy tu, kurna, robicie? Takim zabójczym wzrokiem, no nie? Mikey mówi: „Nic się nimi nie przejmuj, to wolny kraj, mamy prawo tu być tak samo jak oni, może długo nie zostaną”.

– Ale wtedy oni wypuścili konie? – domyśliła się Katie.

– No tak, i te konie chodziły i skubały trawę, a ci dwaj zajarali. Wtedy pstryknęliśmy sobie to selfie. Tamci chyba nie zauważyli, o czymś gadali i bardzo ich to wcięło. A my już i tak postanowiliśmy się zwijać, bo przecież po to żeśmy tam jechali, żeby pobyc sam na sam.

– Tamci odezwali się jakoś do was?

– No pewnie! – przytaknął Michael. – Ten w czerwonej koszuli dokończył papierosa, podchodzi i mówi: „Jazda stąd, już”. Tak po prostu. Jazda stąd! A ja mu

na to: „Taak, koleś, a jak nie, to co?”. Wtedy on mówi: „Coś mi się widzi, że szukasz guza i jak nic go zarobisz”.

Shelagh ujęła w ręce lewą dłoń chłopaka.

– Mikey tak jakby chciał się postawić temu gościowi, ale wiedziałam, że nie ma szans, co nie znaczy, że nie umie o siebie zadbać. Więc mówię: „Chodźmy stąd, Mikey” i odeszliśmy.

– Oglądaliście się za siebie, żeby zobaczyć, co ci dwaj knują?

– Ja się raz obejrzałam. Dalej stali i gapili się za nami.

– I widziała pani konie?

Dziewczyna skinęła głową.

– Tak. Ale myślałam tylko o tym, żeby jak najprędzej stamtąd prysnąć. Stracha miałam jak nie wiem co, mówię pani.

Katie wstała.

– Michael, Shelagh, dziękuję, że się zgłosiliście. Naprawdę nam pomogliście. Będziemy mogli się z wami skontaktować w razie potrzeby?

– Ale nie dacie naszych nazwisk do gazety albo coś w tym guście? – upewniał się chłopak.

– Nie, nic z tych rzeczy. I wątpię, czy wezwiemy was do sądu w charakterze świadków. To selfie, które sobie zrobiliście, jest dla nas najważniejszym dowodem. Mamy od czego zacząć poszukiwania.

Detektyw Dooley odprowadził dwoje młodych ludzi korytarzem do dyżurki i wyjścia. Katie zaczekała na niego przed poczekalnią.

– Trzeba będzie to rozegrać bardzo, bardzo ostrożnie. Wie pan, czym jest Spring Lane. Nawet jeśli nam się uda namierzyć tego Paddy’ego Fearona, zapewne powie, że w życiu nie miał przyczepy do przewożenia koni albo że wcale nie jest Paddym Fearonem, tylko kimś zupełnie innym. Zakładając, że w ogóle uda nam się do niego dotrzeć i go przesłuchać, bo obrzucą nas krzeselkami i butelkami albo jakiś poprawny politycznie urzędnik z opieki społecznej oskarży nas o rasizm.

– Nie, no jasne – zgodził się z nią Dooley. – Ani mi w głowie ładować się na siłę do Spring Lane. Zacznę od tego, że dyskretnie popytam wśród Romów. Znam tam parę dziewczyn, które uważają mnie za didżeja. Poza tym spróbuję zlokalizować tę przyczepę. Może się nam poszczęści i okaże się, że nie przemalowali jej sprejem, nie zdarli z niej lakieru albo nie spalili na jakiejś farmie.

– Komisarz O’Rourke ma dobre układy wśród romskiej społeczności – poinformowała go Katie. – Zamienię z nim słowo.

Spojrzała na zegarek.

– Pogadam o Horganie z komendantem MacCostagáinem, a potem chyba zrobimy ogólną naradę. Pewnie trzeba też będzie zwołać konferencję prasową, kiedy już się poinformuje najbliższych krewnych Horgana.

Dooley wzruszył ramionami i skinął głową, ale się nie odzywał. Katie

podeszła do niego i poprawiła mu krawat.

– No, dajże już spokój, Dooley – odezwała się łagodnie. – Ten fach zawsze był związany z ryzykiem. Między innymi dlatego go uprawiamy. Niech pan włoży koszulę w spodnie, weźmie głęboki oddech i przypomni sobie, czym Horgan ostatnio pana rozbawił.

– Powtarzał, że jak go stukną, zrobi dziką awanturę.

– E, wątpię – odparła Katie. – Jak go znam, to siedzi teraz przed świetlistą bramą i tylko czeka, żeby palnąć świętemu Piotrowi jeden ze swoich beznadziejnych żarcików z cyklu puk, puk, kto tam.

\* \* \*

MacCostagáin siedział przy swoim biurku z miną jeszcze bardziej posępną niż zwykle. Oprócz niego w gabinecie byli detektyw komisarz O'Rourke, nadkomisarz Pearse, sierżant O'Farrell i nowy, pełen zapału rzecznik prasowy komendy, Mathew McElvey.

– No cóż, Katie, to jest szok bez dwóch zdań – zagaił MacCostagáin. – Francis mówi, że nic się pani nie stało, dobre i to.

– A ja nadal zachodzę w głowę, kto mógł to zrobić – odparła. – Listę podejrzanych można ciągnąć w nieskończoność, ale dlaczego teraz i akurat tam?

Nadkomisarz Pearse w teatralny sposób wydmuchał nos.

– Ma pani rację, to jest zagwozdzka – przyznał. – Bo poza wszystkim, skąd oni, u diabła, wiedzieli, że właśnie wtedy byliście w Dromsligo i jakim jechaliście samochodem?

– Pojęcia nie mam. Chyba że znów mamy wtykę w komendzie.

– Mogli czekać tu, przed budynkiem, i ruszyć za wami – zauważył Pearse. – To jednak byłoby ryzykowne z powodu obowiązujących w okolicy ograniczeń parkingowych. Jest zatoczka załadunkowa przy Eglinton Street naprzeciwko wjazdu na parking, ale nawet gdyby nie kazano im się przesunąć albo nie wystawiono mandatu, wyłapałaby ich kamera monitoringu miejskiego. Poleciałem sierżantowi Byrnesowi przejrzeć nagrania z dzisiaj, właśnie to robi.

– Mam tutaj wszystkie dane najbliższych osób z rodziny Horgana – powiedział O'Rourke, unosząc wydartą z notesu kartkę. – Nie wiem, czy czuje się pani na siłach sama ich poinformować, czy wolałaby pani, żebym ja to zrobił. Jego dziewczyna dzwoniła już ponoć na komendę i pytała o niego, ale powiedziano jej, że nie można się z nim skontaktować.

– Gdzie oni mieszkają? – rzuciła Katie.

– Przy Old Youghal Road w Mayfield.

– W porządku, sama się tam wybiorę. Wezmę Kynę Ni Nuallán. Ona jest świetna w przekazywaniu złych wiadomości.

MacCostagáin spojrział na zegarek.

– Jeśli zdoła pani wrócić przed siódmą, Katie, będziemy mieli zebranie w sali konferencyjnej. Kontaktowałem się już z Centrum Pomocy Psychologicznej, mogą przysłać terapeutę, jeśli ktoś z bliskich Horgana będzie odczuwał taką potrzebę. Później zorganizujemy krótką konferencję dla mediów.

– To będzie o ósmej, zdążymy na serwis o dziewiątej i terminy oddawania tekstów w redakcjach gazet – dodał Mathew McElvey. Zdaniem Katie bardziej wyglądał na ekspedienta w sklepie z artykułami pościelowymi niż na rzecznika prasowego Gardy, a poza tym była przekonana, że depiluje sobie brwi. Tak czy owak, zręcznie sobie poczynał z przedstawicielami mediów; nie ujawniał im zbyt wielu szczegółów operacyjnych.

Już kierowała się do drzwi, kiedy komendant ją zatrzymał.

– Katie, jeszcze jedno. – Wstał od biurka.

Wyszli na korytarz i odprowadził ją do przeszklonej klatki schodowej na tyłach gmachu, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać.

– Tylko proszę mi nie mówić, że odezwali się do pana z biura rzecznika komendy głównej.

– Zgadła pani. W czwartek rano przyjedzie dwóch ludzi, żeby zadać pani kilka pytań odnośnie do Bryana Molloya. On zarzuca pani nie tylko to, że go pani zastraszała i nękała. Oskarża panią, że preparowała pani dowody przeciwko niemu. Mówi, że przekupiła pani kilku informatorów ze świata przestępczego w Limerick, i twierdzi, że może przedstawić na to świadków.

Katie stała z otwartymi ustami, nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Ten człowiek to chodząca hańba, słowo daję. Pan wie, jaki z niego gnój.

– Bez komentarza, Katie. W Limerick naprawdę wszystko poukładał, słusznie zebrał za to pochwały i zawsze był wobec mnie uczciwy.

– Tak, ale pan jest mężczyzną i graliście razem w golfa.

– Owszem, ale myślę, że tak naprawdę to pani mu się podobała.

– No cóż, nie będę się teraz nim przejmowała. Mam poważniejsze zmartwienia. Muszę na przykład oznajmić państwu Horganom, że stracili jedyne go syna, i jego dziewczynie, że dziecko, które nosi, przyjdzie na świat jako sierota.

– O nie, naprawdę? – zdziwił się główny nadkomisarz MacCostagáin. – To dopiero tragedia.

– Zdradził mi to w drodze do Dromsligo. Mówił, że nie wie, jak postąpić. Lubił tę dziewczynę, ale żenić się z nią nie chciał.

– Panie Jezu, latarnio niebieska, aniołowie będą ronić łzy. A skoro o tym mowa, to co z tą fruującą zakonnicą? Myśli pani, że sprawa ma związek z tamtą siostrą zabita w domu opieki Mount Hill?

– Protokół z sekcji zwłok dostanę od doktora O'Briena najwcześniej jutro wieczorem – odparła Katie. – O ile mi wiadomo, jeszcze jej nawet nie zidentyfikowaliśmy. Mogła należeć do całkiem innego zakonu. Mam nadzieję, że

Kyna Ni Nuallán coś wyjaśni. Przed wyjazdem do Dromsligo wysłałam ją po nakaz przeszukania ogrodu w klasztorze Bon Sauveur. Powinna go już zdobyć.

– A tak, ta dziecięca szczeka. Proszę do mnie wejść na słówko, jak tylko uzyska pani ten nakaz. Skompletowanie zespołu do przeszukania zajmie co najmniej dzień lub dwa. Trzeba będzie ściągnąć ekipę inżynierską z radarem gruntowym. A jeśli oni na coś natrafią, wtedy zavezwiemy archeologów kryminalistycznych.

Po schodach szła akurat jakaś funkcjonariuszka, stukając obcasami. Komendant uśmiechnął się do niej i zaczekał, aż zniknie z pola widzenia. Potem na jego twarz wrócił dyżurny wyraz tragizmu.

– Innymi słowy, w ten sposób szlag trafi mój roczny budżet – dodał.

## Rozdział 12

Detektyw sierżant Ni Nuallán czekała na nią w gabinecie; trzymała niebieską foliową teczkę i wyglądała przez okno. Katie zamknęła za sobą drzwi, a następnie podeszła do okna i stanęła przy niej. Żadna nie odezwała się ani słowem, tylko patrzyły sobie głęboko w oczy i usiłowały odczytać, co czuje ta druga.

Znowu się rozpadało, deszcz stukał cicho o szybę.

Katie bez słowa wzięła Kynę w ramiona i mocno ją przytuliła. Ta upuściła teczkę na wykładzinę i także ją objęła. Pocałowały się czule, ale z zachowaniem przyzwoitości, nie zamykając oczu, jakby pragnęły się sobie przyjrzeć z jak najmniejszej odległości.

– Bogu dzięki, że wyszłaś bez szwanku – odezwała się Kyna, dotykając policzka Katie, a potem pogłaskała ją po włosach.

Przez chwilę dotykały się czołami, a potem Katie uściśnęła szybko jej dłoń i podeszła do biurka. Kyna schyliła się, wzięła teczkę i podążyła za przełożoną.

– Udało ci się zdobyć nakaz? – spytała Katie.

– Tutaj jest, podpisany i podstemplowany. Pana sędziego Monaghana trzeba było trochę urabiać, bo chcemy grzebać na przyklasztornym terenie zielonym, którego nikt nigdy nie pielęgnował oprócz sióstr zakonnych. Przeważyla chyba moja wzmianka o setkach dziecięcych szkieletów, które znaleziono w Tuam. Gdyby odmówił wydania nakazu, musiałby się z tego tłumaczyć, a Wysoki Sąd Monaghan nie lubi się tłumaczyć przed nikim. A jeszcze bardziej nie lubi skandali.

– Dobrze – pochwaliła Katie. Otworzyła teczkę i szybko przejrzała nakaz. – Nawet więcej niż dobrze. Zezwolił nam nie tylko na przeszukanie klasztornego ogrodu, ale także budynku. Jak ty go do tego nakłoniłaś?

– Przekonałam go argumentem, że jeśli będziemy mogli przeszukać całą siedzibę, być może uda się nam znaleźć bardzo ważne dowody dodatkowe. Może zostały jakieś ubranka należące do dzieci umieszczonych w klasztorze. Albo wykazy nazwisk, które pozwolą ustalić ich losy. Na przykład, które zostały adoptowane, a które umarły i na co, i gdzie się podziały szczątki?

– Świetna robota, Kyno. Dobrze. A udało ci się skontaktować z doktorem O'Brienem?

– Tylko na chwilę. Siedział po uszy w robocie, kiedy zadzwoniłam. Przywieziono mu na sekcję tę drugą zakonnicę. Potwierdził, że przyczyną śmierci siostry Bridget było uduszenie, najprawdopodobniej za pomocą poduszki z gęsiego puchu, bo znalazł gęsie piórko, które przywarło do tylnej ściany jej przelyku. Bezpośrednio przed śmiercią padła ofiarą penetracji z użyciem pomalowanej na niebiesko figurki z tworzywa... penetracji waginalnej i analnej. Analna spowodowała perforację odbytu i stąd krew, którą widzieliśmy na prześcieradle.

– Tej drugiej zakonnicy pewnie jeszcze nie zdążył zbadać.

– Nie, jeszcze nie. W każdym razie nie zrobił dokładnych oględzin. Ale jego zdaniem wiele wskazuje, że zmarła z upływu krwi. Innymi słowy, wisiała za szyję na balonach, ale sznur nie był zaciśnięty tak mocno, by ją udusić. Uważa, że raczej nie była przytomna, ale lecąc nad Glashaboy, prawdopodobnie jeszcze żyła.

– Matko... Bardzo bym się zdziwiła, gdyby tych dwóch zabójstw coś ze sobą nie łączyło. Kimkolwiek jest sprawca, trudno mu zarzucić brak wyobraźni. Albo jej.

– Nie sądzę, żeby chodziło o kobietę, pani komisarz – odparła Kyna. – Wątpię, by kobieta potraktowała drugą w taki sposób. Zwłaszcza z użyciem tej figurki. To był gwałt.

Słowo „gwałt” Kyna wypowiedziała ze współczuciem. Kiedy Katie popatrzyła na nią, nie mogła zobaczyć wyrazu jej twarzy, bo detektyw sierżant odwróciła głowę. Przez chwilę kusilo Katie, by zapytać, ale zrezygnowała. To nie był czas na psychoanalityczne dociekania. Musiały pojechać do Mayfield i przekazać rodzicom detektywa Horgana wiadomość o śmierci syna.

\* \* \*

Horganowie mieszkali w małym domku pomalowanym na pomarańczowo, jednym z usytuowanych tarasowo budynków naprzeciwko pubu Cotton Ball. Dwa stojące po bokach miały bury kolor i były zapuszczone, a ich podjazdy pokrywały niepomalowane tłucznie i śmieci. Horganowie najwyraźniej jednak byli dumni ze swojej posesji. Frontowy ogród otaczał niski dziurkowany murek, w dwóch drewnianych donicach rosły ligustry. Przed domem stał zaparkowany kilkuletni hyundai hatchback, z jego lusterka wstecznego zwisała tekturowa choineczka.

Ni Nuallán naciśnęła dzwonek i drzwi momentalnie otworzyła niska ciemnowłosa dziewczyna w niebieskiej wełnianej sukience. Miała bladą owalną twarz bez makijażu, ale widać było na niej dwie fioletowe plamy od cienia do powiek. Za nią w wąskim korytarzu ukazała się kobieta w średnim wieku, w okularach, w jasnobieżowym zapinanym swetrze. Na widok Katie i Kyny zakrzyknęła głośno z przestraszeniem.

– Na święte serce Jezusowe, wiedziałam, że to on! Nie mówcie mi, że to mój syn!

Po policzkach ciemnowłosej dziewczyny spłynęły łzy o fioletowym zabarwieniu.

– Niech panie wejdą, tak będzie lepiej – powiedziała, ustępując z drogi.

Pani Horgan zaprowadziła policjantki do małego, ponuro wyglądającego saloniku, w którym pachniało tak, jakby zwykle nikomu nie pozwalano w nim siadać. Stoliki przykrywały koronkowe obrusy, koronkowa serwetka leżała na

gzymisie kominka, na którym umieszczono kolekcję porcelanowych piesków. Nad kominkiem zawisła okazała reprodukcja obrazu Jacka Butlera Yeatsa z galopującym koniem, *The Whistle of a Jacket*.

– Sąsiadka przysłała i mówiła, że słyszała w wiadomościach o morderstwie detektywa z Cork – odezwała się pani Horgan, z żalu skręcając w palcach brzeg swetra. – Nie wiem, skąd miałam pewność, że to Kenny. Po prostu czułam to w żyłach. Kazałam Muireann dzwonić na komendę, a oni, że go nie ma, i wtedy już na mur wiedziałam. Cały dzień tu siedzę i czekam, aż przyjdziecie zawiadomić, że to był on, i w końcu przyszłyście.

– Czy on... czy on cierpiał? – chciała wiedzieć Muireann.

– Nie – zapewniła łagodnym tonem Katie. – Byłam z nim, kiedy to się zdarzyło. Błyskawicznie, nawet nic nie poczuł.

– Boże, mój Boże, nie wiem, co powie jego ojciec. – Pani Horgan szlochała. – Będzie zdruzgotany. Kenny to był zawsze jego najdroższy skarb.

W najprostszych i najkrótszych słowach Katie wytłumaczyła, jak zabito detektywa Horgana.

– Wiecie może, kto to zrobił? – spytała Muireann. Jedną ręką trzymała się za brzuch.

Katie pokręciła głową.

– Nie, nie wiemy. W naszym fachu, jeśli policjant jest coś wart, na pewno zrobi sobie paru bardzo groźnych wrogów, ale nie mamy pojęcia, kto mógł chcieć pozbawić życia Kenny'ego. Ale prędzej czy później się dowiemy, przyrzekam to paniom, i ten ktoś za to zapłaci.

– Nie umiem wyrazić, jak bardzo będzie go nam brakowało – wtrąciła Kyna. – Był jednym z najzabawniejszych, najcieplejszych ludzi, z jakimi pracowałam. Nigdy nie było wiadomo, robi sobie żarty czy nie.

Pani Horgan zakryła usta dłonią i skinęła głową, Muireann próbowała się uśmiechnąć przez łzy.

– I był świetnym detektywem – dodała Kyna. – Wiercił podejrzanemu dziurę w brzuchu, aż tamten w końcu puszczał parę. Nie tylko dla rodziny i jego przyjaciół jest to wielka strata, ale również dla Gardy.

– Niestety, trzeba będzie zrobić sekcję – oznajmiła Katie. – To rutynowa procedura po takim zdarzeniu. Ale jeśli skontaktują się państwo z Jerhem O'Connorem, przedsiębiorcą pogrzebowym z Coburg Street, to wam powie, jak można załatwić, żeby mogli go państwo zobaczyć od razu po wszystkim, i pomogą przy pochówku. Wszystkie koszty pokryje oczywiście Garda Síochána.

Pani Horgan poszła do kuchni zaparzyć herbaty. Policjantki nie miały już czasu, ale trudno im było odmówić. Muireann ocierała oczy chusteczką.

– Pomogę – odezwała się Kyna, wyjęła swoją chusteczkę i starła jej z twarzy resztę rozmazanego łzami cienia do powiek.



– Dzisiaj rano rozmawiałam z Kennym, tak prywatnie – odezwała się Katie.  
– Zwierzył mi się, że spodziewa się pani jego dziecka.

– Powiedział pani? – zapytała szeptem dziewczyna, po czym zerknęła w stronę drzwi, jakby chciała się upewnić, że pani Horgan nie słyszy. – Nawet rodzicom jeszcze o tym nie wspomniał. No bo ojciec jest chory na serce, leży teraz w Mercy, i Kenny nie chciał mu mówić, bo bał się, że ojciec dostanie ataku. Dlaczego pani powiedział? Nie zmienił chyba zdania, co? Z początku chciał, żebym usunęła, ale potem uznał, że jednak może być. Mieliśmy się pobrać.

Katie ujęła jej dłoń. Muireann zamrugowała, przytłoczona żalobą, a jednocześnie pełna nadziei.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Katie skłamała:

– Cieszył się jak nie wiem co, Muireann. Mówił, że panią kocha, że bardzo chce wziąć z panią ślub i wychować wspólnie wasze dziecko. Powiedział mi o tym, bo był szczęśliwy i chciał się z kimś tym szczęściem podzielić.

Oczy dziewczyny znów wypełniły się łzami, jej dolna warga zadrżała.

– Jakie to smutne. Martwiłam się, że nie chce się ze mną hajtnąć. Ja zaczynałam, że trzeba ustalić datę ślubu, a on wtedy tracił humor i mówił, że nie chce o tym gadać. Tata powiedział, że go zabije, jeśli się ze mną nie ożeni.

– Pani tata to powiedział? – spytała Katie.

– Och, on tak naprawdę nie myślał, no skąd!

– Jest pani pewna?

– No jasne.

Katie spojrzała na Kynę, a ta uniosła brwi; najwyraźniej były zdania, że muszą się przyjrzeć bliżej ojcu dziewczyny. Rozgniewani podpici ludzie, których coś rozczarowało, często rzucają groźby, że zabiją tych, którzy jakoś im podpadli. Przeważnie jest to tylko czcza gadanina, lecz od czasu do czasu spełniają swoje zapowiedzi. Na dodatek zdarza się to częstokroć tym, po których najmniej można się tego spodziewać.

Ojciec Katie, były komisarz Gardy, powtarzał sentencję sir Johna Pentlanda Mahaffy'ego: „W Irlandii to, co nieuniknione, nie zdarza się nigdy, a ustawicznie dzieje się to, co niespodziewane”.

Pani Horgan przyniosła tacę z herbatą. Kobiety siedziały, pijąc i posyłając sobie smutne uśmiechy, ale żadna nie skosztowała ciastek imbirowych.

– Kenny zawsze lubił sobie żartować, nawet jak był mały – wspominała gospodyni. – Mówił na przykład: „Puk, puk!”, a myśmy odpowiadali „Kto tam?”. On wtedy: „Pocio!”. „Jaki Pocio?” „Pocio mam odrabiać pracę domową?”

Wzięła głęboki oddech i odstawiła filiżankę, rozlewając herbatę na spodek. Wtedy się rozpląkała i szlochła z opuszczoną głową i twarzą zakrytą dłońmi. I nie można było nic zrobić, żeby ją pocieszyć.

\* \* \*

Katie dojechała do domu o wpół do pierwszej w nocy. Skręcając na podjazd, zobaczyła, że stoi tam już lśniący czarny ford c-max. Wsiadła sztywno z samochodu i w tej samej chwili drzwi domu się otworzyły. Wyszedł John, a Barney zaraz za nim, wężąc i parskając.

– Jak się czujesz, kochanie? – zagadnął John. Wziął od niej teczkę, objął ją i ucałował. – Boże, ale masz za sobą koszmarny dzień.

Przycisnęła na chwilę głowę do ciemnozielonego, grubo dzierganego swetra, żeby poczuć kojącą bliskość Johna i wtulić się w jego zapach. Spojrzała mu w oczy.

– Już dobrze. Skonana jestem i tyle. Marzę o prysznicu, kubku gorącej czekolady i miękkim ciepłym łóżku.

Skinieniem głowy wskazała c-maxa.

– Chyba go nie wzięłaś z wypożyczalni, co? Znam kierownika centrum Forda w Forge Hill. Wynająłby ci takiego za darmo.

– Nie, kupiłem. Przecież nie mogę mieszkać w Cobh bez samochodu, prawda?

Otoczył ją ramieniem i weszli do domu.

Katie powiesiła płaszcz i przeszła do salonu. Grał telewizor, choć głos był ściszony. Leciał właśnie reportaż o osobach dobrowolnie przekazujących swoje zwłoki na rzecz Trinity College w Dublinie, który już kiedyś oglądała. Jakie to ponure i aktualne, pomyślała.

– Widziałem cię w wieczornym serwisie – powiedział John. – Zaimponowało mi to, jak się trzymałaś.

– A co mogłam zrobić? Horgan zginął i żadne lamente nie przywrócą mu życia. Ale jednak to był szok. Właśnie mieliśmy skręcać na N Dwadzieścia, kiedy wyjechał przed nas ten mercedes i nagle trach.

– Zrobię ci drinka. Jesteś w ogóle głodna? Jadłaś coś?

– Nie, ale już mi się odechciało jeść. Drinka też mi nie szkodzi. Po prostu mnie przytul, dobrze? Tylko tego mi w tej chwili trzeba. Przytulenia.

Usiadł obok niej na kanapie, przygarnął ją i głaskał po szyi i włosach.

– Jestem zdeterminowany, żeby to się udało – powiedział. – Nie kupowałamby samochodu, gdybym nie zamierzał zostać. Już się z tym pogodziłem, że będą takie dni jak dzisiaj, że trzeba będzie coś odkładać na później, bo masz kryzys w pracy i musisz sobie z nim radzić.

– Dziękuję – odparła. – Przykro mi z powodu Hayfield Manor. Możemy się wybrać kiedy indziej, prawda? Co to było? To, co mieliśmy dzisiaj świętować.

– Upchnąłem dużą partię szczepionki na gripę do Holandii, po prostu. Załatwiłem umowę z MediBio i sprawy zaczęły się toczyć całkiem fajnie... Ale Chryste Panie, Horgan nie żyje, ty też mogłaś zginąć. Sprzedaż paru zastrzyków

szczepionki nie wytrzymuje z tym porównania.

– Jestem z ciebie naprawdę dumna, John.

Pocałował ją najpierw w czoło, a potem w usta. I jeszcze raz.

– Nadal nie wiesz, kto do was strzelał?

– Nie. I srebrnego mercedesa też nie zlokalizowaliśmy. Patrole zatrzymały siedem samochodów pasujących do opisu w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Dromsligo, ale wszyscy pasażerowie byli czyści.

– Tragedia – rzucił John. – Spotkałem Horgana tylko parę razy, kiedy przyjeżdżałem po ciebie na komendę, ale wyglądał na fajnego gościa. I taki młody był... cholera.

– Mieliśmy zebranie na komendzie. Brat O’Leary przyjechał z kościoła Świętej Trójcy i odmówiliśmy modlitwy. Połało się dużo łez, ale myślę, że wszystkim to dobrze zrobiło.

– A z tymi zakonnicami są jakieś postępy?

Katie odsunęła się od niego i pokręciła głową.

– Nie... i wolałabym raczej o tym teraz nie mówić, ale dzięki. Ciarki mi chodzą po plecach na samą myśl.

– Powinnaś coś zjeść, na litość boską.

– Nie, nie. Napiję się tylko gorącej czekolady. Będzie super. Kubek gorącej czekolady i dobrze się wyspać.

– Katie?

– Co?

– Z nami wszystko gra, prawda? Cieszysz się, że wróciłem?

– Naprawdę musisz się o to pytać?

Pocałował ją, wstał i poszedł do kuchni. W drzwiach salonu stał Barney i gapił się na Katie, jakby mówił jej wzrokiem: „Masz mu powiedzieć. Nie wolno ci dłużej utrzymywać tego w tajemnicy”.

## Rozdział 13

Śniadanie w domu seniora Greendale podawano wcześniej. O siódmej rano osiemnastu z dwudziestu pięciu pensjonariuszy siedziało w półokręgu na fotelach w oranżerii w przedniej części budynku; z kocami na kolanach drzemali lub oglądali program telewizyjny *Ireland AM*. Pozostali, unieruchomieni w łóżkach, zostali w swoich pokojach.

Kierowniczka ośrodka Eileen O'Shea wyszła z gabinetu o wpół do ósmej, żeby powiedzieć wszystkim „dzień dobry”; towarzyszyła jej przełożona pielęgniarka Mary McConnell. Eileen O'Shea była wysoką przystojną kobietą z szerokimi brwiami i krótkimi ciemnymi włosami, które, jak się zdawało, były ufarbowane na nieco ciemniejszy kolor niż naturalny. Miała na sobie tweedowy kostium w kolorze lawendy i jasnobrązowe sznurowane półbuty. Mary McConnell była niska i puciołowata, nosiła włosy splecione w niedbały francuski warkocz. Jej długi foliowy fartuch szeleścił, kiedy szła z tabliczką w ręku.

Eileen zbliżyła się do starszej pani w okularach, które ogromnie powiększały jej oczy.

– Jak się dziś pani miewa, Bredo? – zagadnęła, niemal krzycząc; wiedziała, że staruszka notorycznie zapomina włożyć aparat słuchowy.

– Wtorek dzisiaj, no nie? – odrzekła Breda, głośno się oblizując. – Powinnam iść na rynek odebrać wiadomości.

– Nie, Bredo, jest środa. Dzisiaj nie trzeba iść. Może to pani odłożyć na za tydzień.

Staruszka wlepiła w nią wielkie rybnie oczy.

– A pani to kto? Kto panią wpuścił? Bo chyba nie Patrick. Ciągle powtarzam temu chłopakowi: „Nie otwieraj drzwi, póki nie wiesz, kto dzwoni”. Tak jak wujek Paul, niech Bóg ma w opiece jego duszę.

– Ona dalej jest na donepezilu? – spytała Eileen oddziałową. – Może doktor Murphy powinien jej zrobić nowe badanie.

– Niektóre dni miewa gorsze, ale ogólnie nie jest z nią źle – odparła Mary, zerkając na tabliczkę. – Uskarża się na efekty uboczne, ale wybór jest dla niej prosty: albo biegunka, albo demencja. Jednego i drugiego odpędzić nie sposób.

– Kto panią wpuścił? – dopytywała się coraz bardziej pobudzona Breda. – Chyba nie Patrick, co?

– Nie – zapewniła ją Eileen. – To nie Patrick. Proszę się nie denerwować. Przyszłam tylko zobaczyć, jak się pani czuje.

Obok Bredy siedziała malutka, smutno uśmiechnięta babunia z bordową chustą na ramionach. Bardziej przypominała małe leśne zwierzątko niż kobietę. Eileen już miała się do niej odezwać, kiedy usłyszała dzwonek u drzwi. Obejrzała

się, żeby zobaczyć, kto przyszedł, bo ganek znajdował się tuż obok oranżerii. Stała tam zakonnica w długim czarnym czepku i czarnym habicie do kostek. Była odwrócona plecami, więc Eileen nie mogła dojrzeć jej twarzy.

– Lucy, otworzyłabyś?! – zawołała. Ale młoda rudowłosa pomocnica już zmierzała żwawym krokiem w kierunku wejścia. Otworzyła drzwi i Eileen usłyszała, że rozmawia z zakonnica, choć nie rozróżniała słów. Po dłuższej chwili Lucy wróciła i powiedziała:

– To siostra Margaret Rooney z klasztoru Bon Sauveur. Mówi, że przyszła w odwiedziny do siostry Barbary.

– Och. Hm, to nie jest pora odwiedzin, prawda? Ale skoro jest z Bon Sauveur, to możemy dla niej zrobić wyjątek. To pierwszy od lat gość z klasztoru, który przyszedł do siostry Barbary. Będzie uszczęśliwiona. Ależ tak, zaprosz ją do środka, niech wejdzie.

Eileen poszła na drugi koniec oranżerii. Siostra Barbara jak zwykle usadowiła się z dala od reszty podopiecznych, twarzą do okna, za którym było małe betonowe podwórze z wnęką, a w niej malowana figurka ojca Pio. Siostra Barbara nigdy nie oglądała telewizji. Całymi dniami siedziała z różańcem w ręku i bez ustanku mamrotała modlitwy do świętej Anastazji, prosząc, by święta zjawiła się u drzwi i ją zabrała. *Veni, Santa Anastasia, et salva me*, i tak w kółko.

Eileen zaświtało, że w młodości siostra Barbara musiała być ślicznotką. Miała twarz w jakże lubianym w latach pięćdziesiątych kształcie serca. Teraz jej włosy były zmierzwiłone, siwe i przeredzone, wycierała spod nich biała skóra, a pokryta zmarszczkami twarz przypominała ostatnie, przez nikogo niechciane jabłko w misce. Kiedy Eileen się do niej zbliżyła, zakonnica uniosła głowę i uśmiechnęła się ze smutkiem, jakby mówiła: „Czy takie już zawsze będzie moje życie aż do końca, czy mam patrzeć na to maciupkie podwórze i tylko się modlić, żeby mnie wzięto do nieba?”.

– Siostrzo Barbaro, mam dla siostry niespodziankę – oznajmiła Eileen. – Przyszedł gość w odwiedziny. Siostra zakonna z Bon Sauveur.

– Gość? Któż taki? Nie matka Kelly? Nie, to niemożliwe! Co mi do głowy przychodzi? Matka Kelly musiała umrzeć przed laty.

– Mówi, że nazywa się Margaret Rooney. O, właśnie tu idzie.

Barbara obróciła się na fotelu, żeby zobaczyć zakonnice i pomocnicę Eileen, które przemierzały oranżerię.

– Siostrzo Barbaro! – powiedziała zakonnica i wyciągnęła obie ręce. – Jak miło cię widzieć!

– Zdumiona jestem – odrzekła siostra Barbara. – Stokrotne dzięki za trud, który sobie zadałaś, by mnie odwiedzić. Czy jest jakiś szczególny powód?

Rudowłosa dziewczyna przyniosła krzesło ze sklejki, a Margaret zdjęła kornet i usiadła obok siostry Barbary.

– Rozmawialiśmy po medytacji w zeszłym tygodniu i kiedy usłyszałam o twojej długoletniej służbie w klasztorze, doszłam do wniosku, że muszę się z tobą spotkać osobiście i porozmawiać.

Eileen popatrzyła na zmarszczki w kącikach ust siostry Margaret i oceniła, że zakonnica jest nieco po pięćdziesiątce. Nadal jednak wyglądała na znacznie młodszą, miała niebieskie kocie oczy, wydatne kości policzkowe i lekko nadąsane usta, toteż Eileen trudno było sobie wyobrazić, czemu tak atrakcyjna kobieta postanowiła przyjąć święte śluby.

Mimo to nie mogła być całkowicie nieświadoma swojej urody. Uwagę Eileen zwróciło to, że zakonnica ma starannie wydepilowane brwi oraz wypielęgnowane i umalowane paznokcie, jakkolwiek lakier był przezroczysty. Być może zakonnicom pozwala się obecnie na odrobinę skromnej kosmetyki.

– Napije się siostra herbaty? – zapytała ją. – A siostra Barbara ma ochotę?

– Ja dziękuję – odparła Margaret. – Niedawno piłam.

– A ja poproszę – powiedziała siostra Barbara. Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń swojego gościa. – Naprawdę sobie nie wyobrażasz, ile to dla mnie znaczy, że przyszłaś mnie zobaczyć. Już myślałam, że całkiem o mnie zapomniano.

– No, dajże spokój. – Siostra Margaret się uśmiechnęła. – Zdajesz sobie sprawę, czegoście dokonali w Bon Sauveur, ty i inne siostry? Jak ktokolwiek mógłby o tym zapomnieć?

– Mów zatem, co o mnie opowiadały. Nie, nie powinnam pytać, prawda? Toż to próżność. Jestem zaskoczona, że któraś o mnie pamięta.

– Och, niewiele sióstr cię pamięta, tak sędzę. Większość jest już zbyt stara albo odeszła. Niektóre dziewczęta jednak, które przyjęłyście, te, które opuściła Boża łaska, one cię nie zapomniały. One i ich dzieci. Pamiętają, jakby to było wczoraj. Śnisz im się w nocy, niektórym przynajmniej. Widzą przed sobą twoją twarz tak samo wyraźnie jak ja w tej chwili.

Starsza zakonnica puściła pomału dłoń młodszej. Ujęła czerwony jaspisowy różaniec spoczywający na jej kolanach i owinęła go sobie wokół palców. Jej czoło się zmarszczyło i wpatrywała się w Margaret, jakby ta przemawiała do niej w obcym języku, który ona rozumiała tylko połowicznie.

– A te dziewczęta? Ich dzieci? – dopytywała się. – Co o mnie mówią?

– Przeróżne rzeczy. Jak im czytałaś Biblię, jak uczyłaś je szyć i prać ubrania, prasować, zamiatać podłogi i myć okna. Jak im uświadamiałaś, co z nich były za dziwki i wywłoki, i mówiłaś, że już nigdy nie będzie im wolno wejść między pobożnych ludzi.

Siostra Barbara już miała coś odrzec, kiedy zjawiła się asystentka Eileen z imbrykiem herbaty i dwoma kruchymi ciastkami na spodku. Postawiła wszystko na stoliku i obdarzyła zakonnice uśmiechem.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Och, doskonale – odpowiedziała siostra Margaret. – Właśnie wspominałyśmy sobie z siostrą Barbarą dawne czasy w klasztorze, prawda, siostrzo?

Tamta milczała i tylko obserwowała swojego gościa z głęboką podejrzliwością.

– Powiedz no mi – odezwała się, kiedy asystentka Eileen wróciła do gabinetu – kto cię tu dzisiaj przysłał?

– Bóg – odparła siostra Margaret. Wzięła ciasteczko i włożyła je do ust. – Bóg mnie przysłał. – Gryzła przez chwilę, a potem dodała: – Świętą misję realizuję, siostrzo Barbaro. I aż się dziwię, że przez te wszystkie lata spędzone tutaj nie myślałaś z drzeniem serca, że ta chwila kiedyś nadejdzie.

– Nie pojmuję, o czym mówisz – odpowiedziała stara zakonnica. – Jaka chwila? Modłę się do świętej Anastazji i nic więcej. Wolałabym być z nią w niebie, zamiast w tym miejscu, gdzie każdy dzień jest pusty i taki sam.

– O tak, święta Anastazja. Cóż z niej była za męczennica! Ile za wiarę wycierpiała! Taka jaśniejąca pochodnia.

Siostra Barbara milczała chwilę i patrzyła na siostrę Margaret, gdy ta dojadła ciastko.

– Kim ty naprawdę jesteś? – zapytała. – Czego ode mnie chcesz?

\* \* \*

– Eileen! – krzyknęła łamiącym się głosem Breda. – Eileen, ziąb tu jest okropny!

Kierowniczka stanęła w drzwiach gabinetu z telefonem w dłoni.

– Centralne jest odkręcone na maksa, Bredo, o co te krzyki? Właśnie rozmawiam z resortem opieki zdrowotnej.

– Wiem, że centralne jest włączone, ale przeciąg się zrobił.

– Przeciąg? Co też pani opowiada.

– Pani tu przyjdzie i zobaczy. Trzęsie mnie aż strach.

Eileen weszła do oranżerii i niemal natychmiast sobie uprzytomniła, że Breda ma rację: z przeciwnej strony pomieszczenia ciągnął ostry, lodowato zimny powiew. Większość starszek zmorzył sen, lecz Breda siedziała wyprostowana z kocem podciągniętym do samej szyi.

Z telewizora buchały salwy śmiechu opery mydlanej, mimo to Eileen wyraźnie słyszała stukanie, nieregularne, lecz natrętne. Puk, puk, puk, puk. Uprzytomniła sobie, że drzwi pożarowe, te, które wychodziły na tylne podwórze, są niezamknięte. Można je było otworzyć jedynie od środka za pomocą dźwigni alarmowej i nie dało się ich zamknąć od zewnątrz.

Przemierzywszy oranżerię, zobaczyła, że fotel siostry Barbary stoi pusty; koc leżał na podłodze, a różaniec tuż obok. Filiżanka była opróżniona, ale na spodku zostało ciastko.

Eileen wyszła na dziedziniec. Deszcz nie padał, ale szarawy poranek był wilgotny i bardzo zimny. Szybkim krokiem okrążyła front budynku, mijając ganek. Po przeciwnej stronie znajdował się parking na trzy samochody oraz wysoka drewniana brama prowadząca do tylnego ogrodu. Na parkingu stał tylko jeden wóz, jej peugeot 206, a kiedy Eileen spróbowała otworzyć bramę, okazało się, że jest mocno zaryglowana, tak jak być powinno.

Wyszła na chodnik i spojrzała w stronę Carrigaline Road. Jezdnia była pusta. Nic nie jechało, w odległości stu metrów nie stał zaparkowany żaden samochód.

Wróciła do budynku i zamknęła drzwi pożarowe, starannie unikając dotyknięcia dzwigni alarmowej. Czym prędzej przeszła do gabinetu.

– Lucy, dzwoń po ochronę, dobrze? Już, od razu. Wydaje mi się, że porwano siostrę Barbarę.

– Co takiego?!

– Zniknęła i nie ma po niej śladu. Przyjmowała gości, siostrę zakonną z Bon Sauveur. Siedziały sobie razem i gawędziły, aż tu nagle ona zniknęła i drzwi pożarowe są otwarte.

– Jest pani pewna, że jej nie ma w pokoju? – dociekała Lucy. – Może zaprowadziła tam tę siostrę, żeby się pochwalić swoim ołtarzykiem.

– Ale po co by otwierały drzwi pożarowe?

– Może chciała jej pokazać posąg ojca Pio i nie zamknęła ich dobrze.

– Zaczekaj tu – poleciła Eileen. Ruszyła energicznie korytarzem prowadzącym do pokoi podopiecznych. Ostro biorąc zakręty, prawie biegiem pokonała ostatnie pięćdziesiąt metrów do pokoju siostry Barbary. Wyszukała klucz wśród pęku innych i otworzyła drzwi. Wewnątrz nikogo nie było, tylko pedantycznie zaścielone łóżko z ciemnobrązową kapą oraz ołtarzyk, który zakonnica zrobiła dla świętej Anastazji, ze świeczkami, sztucznymi kwiatami i ociekającym żalością obrazkiem świętej męczennicy.

Eileen popędziła z powrotem do gabinetu.

– Nie ma jej tam – oznajmiła. – Dzwoń pod sto dwanaście. Ta zakonnica ją zabrała, jestem tego pewna.

– Może zawiozła ją do klasztoru. No wie pani, taka mała wycieczka typu „dawnych wspomnień czar”.

– Lucy, przestań snuć teorie, na miłość boską, i zrób to, o co cię proszę!

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wybrała numer 112.

– Ale nie kumam, czemu zakonnica miałaby uprowadzać drugą zakonnice. No bo niby po co? Gdyby to był facet, tobym jeszcze zrozumiała.



## Rozdział 14

O dziewiątej, kiedy Katie i detektyw O'Donovan przyjechali do kliniki Uniwersytetu w Cork, doktor O'Brien już pracował w kostnicy.

Nie odezwał się ani słowem, gdy weszli podwójnymi wahadłowymi drzwiami, bo miał na twarzy maskę chirurgiczną. Niczym porucznik Columbo uniósł jednak rękę na znak, że odnotował ich przybycie.

Katie i O'Donovan czekali, aż poprosi ich o podejście do stołu autopsyjnego ze stali nierdzewnej. Stał pochylony nad bladymi obnażonymi zwłokami zakonnicy, którą powieszono na balonach nad Glanmire, i bacznie obserwował, jak jego młody asystent zaszywa żołądek. Katie tego ranka nie wymiotowała, ale wolała się nie zbliżać, dopóki tamci nie skończą.

W kostnicy były jeszcze cztery wózki, wszystkie przykryte ciemnozielonymi prześcieradłami. Domyśliła się, że pod jednym z nich spoczywa ciało detektywa Horgana przywiezione z Dromsligo.

Było chłodno i srebrzystoszare światło wpadające do pomieszczenia sprawiało, że Katie miała wrażenie, iż znajdują się na czarno-białym zdjęciu, a wszystko dzieje się dawno, dawno temu. W pewnym sensie nawet tak było, wiele bowiem badanych przez nich zbrodni miało swoje źródła w zadawnionych urazach i rodzinnych waśniach oraz w charakterystycznej dla okolicy Cork niezdolności do zapominania najdrobniejszych nawet krzywd. Ludzie krzywo patrzyli na brytyjskich turystów, bo w roku 1920 Czarno-Brunatni puścili z dymem całe śródmieście.

Asystent założył ostatni szew i doktor O'Brien zdjął maskę.

– Pierwszorzędna robota, Aoife – powiedział. – Mam parę koszul do załatania, więc cię o to poproszę.

Skinął ręką na Katie i detektywa O'Donovana. Był niski i zaokrąglony i nosił okulary z grubymi oprawkami; wydawało się, że od ostatniego pobytu w Cork przytył i wyhodował podwójną brodę.

– Cześć, Ailbe – przywitała go Katie.

– Miło mi znów widzieć panią detektyw nadkomisarz. Szkoda, że zawsze spotykamy się w tak tragicznych okolicznościach. Pana także miło mi widzieć, detektywie.

Katie spojrzała na zwłoki zakonnicy i kojarzące się z Frankensteinem szwy, które zamykały jej brzuch. Mimo to, poza tą straszną raną i purpurowymi sińcami na szyi od zaciśniętego sznura, wyglądała na osobę, która przed śmiercią była w nie najlepszej kondycji fizycznej. Miała drobne zmarszczki na skórze i była dobrze odżywiona, paznokcie u rąk i stóp zostały niedawno obcięte. Na włosach widać było rękę fryzjera, a brwi miała wydepilowane.

Z zamkniętymi oczami bardziej wyglądała na kogoś, kto śpi, niż nie żyje. Miała owalną twarz i długi cienki nos, a jej wąskie usta znamionowały zaciętość.

– Całkiem zadbana – stwierdziła Katie. – Ile pana zdaniem ma lat? Pod osiemdziesiątkę?

– Oj, chyba więcej. Osiemdziesiąt parę. Ale, jak pani zauważyła, była zadbana. Coś niesamowitego, te różnice w wyglądzie w zależności od stylu życia. Leżeli na tym stole faceci, którym jak nic dałoby się sześćdziesiąt parę lat, a później okazywało się, że mają zaledwie czterdzieści pięć. Wóda, papierochy i frytki, oto główni winowajcy.

Opuścił ręką dolną szczękę denatki, żeby Katie mogła się przyjrzeć uzębieniu.

– Proszę spojrzeć, zaledwie dwie korony. Reszta zębów to jej własne, z wyjątkiem zęba mądrości i brakującego przedtrzonowca.

Detektyw O'Donovan zerknął nad ramieniem Katie.

– To by potwierdzało, że jest prawdziwą zakonnice. Sporo kobiet w tamtych czasach kazało sobie usuwać wszystkie zęby, to było coś w rodzaju prezentu ślubnego, prawda?

– Jeszcze nie ustaliłem definitywnie, czy była dziewicą – powiedział O'Brien. – Ale na pewno nigdy nie rodziła. Co przemawia za tym, że mogła być prawdziwą zakonnice. Wasi technicy zrobili mnóstwo zdjęć, więc myślę, że ją wkrótce zidentyfikujecie. Jeśli była tak dobrze odkarmiona i zadbana, to znaczy, że ktoś musiał się nią codziennie zajmować i pewnie zauważy jej zniknięcie, prawda?

– Czego użyto do rozcięcia ciała? – dopytywała się Katie. – Ustalił pan to już?

– Zapewne noża rzemieślniczego, na to wskazuje kąt, pod jakim klinga weszła w ciało tuż pod mostkiem. Poza tym w dwóch lub trzech miejscach nie przebiła się przez mięsień aż do jamy brzusznej... o, spójrzcie tutaj. Sprawca musiał powtarzać cięcie, i to kilkakrotnie. Z czego wnoszę, że klinga była krótka, ale wyjątkowo ostra.

– Czy ona jeszcze żyła, kiedy to się działo?

Doktor O'Brien zdjął okulary, chuchnął na szkła i potarł je skrawkiem fartucha.

– Bez najmniejszych wątpliwości. Powiedziałbym nawet, że prawdopodobnie żyła jeszcze, kiedy upadła na ziemię, choć wtedy doszło już do nieodwracalnych uszkodzeń mózgu spowodowanych niedoborem tlenu i utratą krwi.

– Przypuszczam, że zbadał pan zwłoki na obecność leków? – dopytywała się Katie.

– Naturalnie. I to jest dość ciekawe. Brała propranolol, środek na zaburzenia rytmu serca, co nie dziwi u kobiety w jej wieku. Ale wykryłem też ślady

flunitrazepam.

– Inaczej rohypnolu – dopowiedziała Katie. – To znaczy, że ktoś mógł jej podać tabletkę gwałtu?

– Hm, mogła ją wziąć jako lek na bezsenność. W mediach słyszy się najprzeróżniejsze rzeczy, ale ten środek używany jest najczęściej z takim właśnie przeznaczeniem.

– Ktoś podał zakonnicy tabletkę gwałtu – odezwał się detektyw O'Donovan, kręcąc głową. – W tej robocie człowiek co dzień uczy się czegoś nowego, no nie?

Katie długo przyglądała się bez słowa martwej zakonnicy, prawie jakby oczekiwała, że nagle usiądzie prosto i sama zrelacjonuje, co ją spotkało. Ta tymczasem leżała dalej nieruchoma i niema, a jej włosy lśniły srebrem w srebrzystoszarym blasku dnia.

– Czy ma na ciele siniaki? – zapytał detektyw O'Donovan. – Jakies ślady pobicia albo przygniatań do podłoża, odciski o rozmiarach dłoni na przykład?

– Nic – odparł O'Brien. – Wygląda na to, że się nie broniła, co może wskazywać, że napastnik otumanił ją rohypnolem. Gdyby tak zrobił, nie potrzebowałby jej ogłuszać ani krępować, bo byłaby jak trup, że się tak wyrażę.

– Po pierwsze, musimy się dowiedzieć, kim jest i skąd pochodziła – rzuciła Katie. – Patricku, mógłby pan załatwić, żeby rozesłano jej zdjęcie do wszystkich klasztorów, szpitali, szkół i sklepów charytatywnych, w których mogą pracować zakonnice? Ja pogadam z Mathew McElveyem i każę mu wysłać e-mailem zdjęcie do prasy. Trzeba też zaglądnąć na media społecznościowe, na Twittera, Facebooka i tak dalej. Sprawdzić, czy ktoś wysyłał posty z groźbami wobec zakonów religijnych, w szczególności żeńskich.

– Rany, będą tego tysiące – jęknął O'Donovan. – Albo i miliony, też bym się nie dziwił. Tygodniami będziemy je sortowali!

– Wiem, ale taka już nasza robota.

– Owszem, jasne. No dobra. Podpowiem im, żeby przeskakiwali tweety dotyczące kardynała Seána Brady'ego<sup>5</sup>, to oszczędzi nam trochę pracy.

Katie odwróciła się znów do patologa.

– Czy tam leży detektyw Horgan? – zapytała, wskazując skinieniem głowy trzy wózki przykryte prześcieradłami.

– Tak, jest następny na mojej liście. Chce pani zerknąć?

– Nie, myślę, że to nie będzie konieczne. A pozostałe dwa ciała?

– Topielcy znaleźni rano w rzece. Mężczyzna i nastolatka. Ich zgony nie budzą żadnych podejrzeń. Skoro już tutaj jestem, będę badał przyczynę śmierci, ale wątpię, żebym musiał robić pełną autopsję.

– Wiadomo, kto to jest?

– Zdaje się, że nie ustalono jeszcze ich tożsamości. Ale po wyłowieniu ciał z wody wezwano Gardę, więc wasi ludzie o nich wiedzą. Pijany facet

i samobójcy, tak bym ocenił na pierwszy rzut oka.

– Całe Cork w pigułce – podsumował detektyw O'Donovan. – Czasem się zastanawiam, co też Wszchemogący zamyślał, kiedy stawiał miasto pełne pijaków i burdela z rzeczką płynącą samym środkiem.

– Dał wam szansę, żebyście sobie sami wymierzali kary – odpowiedział mu doktor O'Brien. – Dzięki temu sporo oszczędza na piorunach.

\* \* \*

Już mieli wychodzić z kostnicy, gdy Katie się zawahała i odwróciła. Spojrzała na okryte prześcieradłami wózki ze zwłokami i przyszło jej na myśl, że może jednak byłoby lepiej poprosić O'Briena o ich pokazanie.

– Co się stało? – spytał O'Donovan, przytrzymując wahadłowe drzwi do połowy otwarte.

– A, nic... Chodźmy już. Miałam jakieś takie dziwne przeczucie co do tej dwójki topielców.

– Dziwne przeczucie? Jakie? Chce pani na nich rzucić okiem?

– Nie, ma pan rację. Doktor O'Brien mówił, że w ich śmierci nie było nic podejrzanego, prawda?

– Hm, zna pani statystyki. Trzydzieści sześć procent wszystkich, którzy toną w Lee, to samobójcy, a trzydzieści procent jest ululanych. Reszta ginie przypadkowo, ale mniej niż jeden procent jest rozmyślnie spychanych do wody.

– To nie tak, chodzi o to, że... – zaczęła Katie, lecz wtedy zaświergotał jej telefon. Dzwoniła detektyw sierżant Ni Nuallán.

– Pani komisarz, właśnie odebraliśmy zgłoszenie o zaginięciu sędziwej siostry zakonnej. Zabrała ją z domu opieki w Douglas inna zakonnica, która przyjechała do niej w odwiedziny.

– Boże... Aż nie mogę w to uwierzyć, Kyno.

Detektyw O'Donovan otworzył szerzej drzwi i oboje wyszli z kostnicy na parking. Było zimno, więc rozmawiając z Ni Nuallán, Katie zapinała lewą ręką płaszcz.

– Wiadomo, skąd przyjechała tamta zakonnica?

– No, nie. Rozmawiałam przed chwilą telefonicznie z kierowniczką tego ośrodka, niejaką Eileen O'Shea. Powiedziała, że ta zakonnica przyjechała około siódmej piętnaście i oznajmiła, że chce się widzieć z siostrą Barbarą Flynn. Przedstawiła się jako siostra Margaret Rooney i wyjaśniła, że jest z klasztoru Bon Sauveur, w którym siostra Barbara mieszkała, zanim ją stamtąd zabrano do ośrodka. Pani O'Shea je zostawiła i rozmawiały. Jakies dziesięć minut później musiała odebrać telefon w swoim gabinecie, a kiedy stamtąd wyszła, zakonnice już zniknęły, obie. Szukała ich na zewnątrz, ale nie było po nich śladu.

– Skontaktowała się pani z Bon Sauveur?

– Tak, jasne. Rozmawiałam z samą matką O’Dwyer. Potwierdziła, że siostra Barbara należała kiedyś do ich zgromadzenia, ale nigdy nie było tam żadnej siostry Margaret Rooney.

– Nigdy?

– Nawet zajrzała na moją prośbę do rejestru. Była kiedyś jedna Mary Rooney, ale w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym, a ze słów pani O’Shea wynika, że ta zakonnica wyglądała na czterdzieści parę lat.

– Rozesłała pani rysopis?

– Rozesłałam. Sierżant O’Farrell zwrócił się do wszystkich patroli. Trudno nie zauważyć osiemdziesięcioletniej babuni w długim musztardowym swetrze, która podróżuje w towarzystwie zakonnicy w czarnym habicie. To znaczy, jeśli ona naprawdę była zakonnica. Pani O’Shea zwróciła uwagę, że ta siostra miała wydepilowane brwi i polakierowane paznokcie.

– Z tego, co słyszę, ta pani Sherlock O’Shea powinna zostać detektywem, a nie kierowniczką domu starców. Właśnie wyjeżdżam ze szpitala, za dziesięć minut będę w komendzie.

Wsiadli do radiowozu i O’Donovan uruchomił silnik.

– Znowu kłopot z zakonnica – poinformowała go Katie.

– Tyle załapałem. Co tym razem?

Zrelacjonowała mu rozmowę z Kyną, gdy zmierzali do centrum miasta.

– Mam nadzieję, że nie znajdziemy jej martwej, tak jak dwóch poprzednich.

– Myśli pani, że jest jakieś powiązanie?

– Zna mnie pan. Twardo trzymam się zasady, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków. Ale trzy zakonnice w trzy dni... Nie mogę uciec od myśli, że musi istnieć związek między morderstwem siostry Bridget, tamtą, która fruwała nad ziemią, i teraz tą zaginioną.

– Ale jaki?

– Klasztor Bon Sauveur.

– Może pani mieć rację – przyznał O’Donovan. – Jutro z rana jedziemy tam na wykopki w ogrodzie, no nie? Znaczący jeśli ekipa poszukiwawcza jest gotowa. Te zakonnice naprawdę sobie pomyślą, żeśmy się na nie uwzięli.

– Oby do nich dotarło, że tylko szukamy prawdy, nic więcej. Może i rzeczywiście ktoś się na nie uwziął, ale nie my.

## Rozdział 15

Detektyw Dooley zaparkował forda focusa przed wjazdem do Spring Lane Halting Site, za porzuconą przyczepą mieszkalną z wyrwanymi drzwiami i chwastami sterczącymi z okien. Opuścił zasłonę przeciwsłoneczną i spoglądając w lusterko wsteczne, zaczesał fryzurę w stylu duetu Jedward; potem wysiadł i obciągnął lśniąca pikowaną kurtkę z czarnego nylonu, którą kupił rano w Penney's.

Rozejrzał się. Słysząc było krzyki dzieci i głośną muzykę. Poza tym miejsce było wyjątkowo ponure. Leżało na północ od miasta, za Ballyvolane Business Park, obok osiedla mieszkaniowego i zarosłych chaszczami ugorów. Szarawe poduchy chmur wisały nisko, wiatru prawie nie było.

Szedł w dół wzniesienia ku placowi postojowemu, od czasu do czasu przeskakując kałuże. Na placu ustawiono na chybił trafił przyczepy mieszkalne i domy z prefabrykatów, niewiele lepsze od szop. Od północy i wschodu pięły się strome skarpy z piasku i żwiru, wysokie na ponad dwadzieścia metrów. Wschodni stok był niemal pionowy; stojący na jego wierzchołku płot zwieńczony drutem kolczastym odgradzał go od osiedla mieszkaniowego. Po przeciwnej stronie placu utworzyła się brązowa laguna, gdyż padający niedawno deszcz zalał szambo wolno stojących sanitariatów. Dwaj malcy jeździli w niej w kółko na rowerkach i powierzchnię marszczyły fale.

Przed jednym z mobilnych domów, paląc papierosy i rozmawiając, stało kilka kobiet. Wszystkie się odwróciły i wlepiły wzrok w nadchodzącego Dooleya. Zamachał do nich ręką, choć odniósł wrażenie, że nigdy w życiu nie widział kobiet wyglądających tak groźnie. Trzy miały odsłonięte ramiona z bicepsami, które przypominały szynki na stoisku Toma Durcana na Angielskim Rynku, z tą różnicą, że te ozdobione były tatuażami. Prawie wszystkie nosiły w uszach olbrzymie okrągłe kolczyki, a włosy miały na cygańską modłę odgarnięte do tyłu.

Nieopodal trzech młodych mężczyzn stało przy motorze, na którym czwarty podskakiwał raz po raz na siodelku, usiłując go zapalić. Co jakiś czas silnik porykiwał i wtedy wszyscy wznosili okrzyki; po chwili jednak motor znowu milkł i wtedy rozlegał się głośny chór rozczarowania:

– O Jezuu, Michael, kurde!

– *Slum hawrum* – zagadnął detektyw Dooley, podchodząc do kobiet. – Co to za uciecha?

– Czego chcesz, chłopak? – spytała starsza kobieta, wydmuchując dym. Miała długie przetłuszczone włosy z rudymi i czarnymi pasemkami oraz blaknące limo pod okiem.

– Szukam Paddy'ego Fearona. Jest tu gdzieś?

– Może jest, może nie. Czego ty chcesz od niego?  
– Robotę dla niego mam chyba, może by go zainteresowała. Mówił, że mogę tu do niego zajść w razie czego.  
– Taa, a skąd ty go niby znasz?  
– Trochę stąd, trochę zowąd. W Waxy's go ostatnio widziałem.  
– Taa? – odezwała się jedna z młodszych. – A niby czemu gość taki jak Paddy Fearon miałby mieszkać w takiej dziurze zasranej?

Dooley wzruszył ramionami.

– No, mówił, że tu go mogę znaleźć.

Kobieta pstryknęła peta na beton.

– No chodź, koleś, to ci pokażę.

Ruszyła, kołyszając biodrami, a detektyw Dooley podążył za nią. Miała włosy czarne jak sadza, ściągnięte w koński ogon, i gdyby nie nosiła sztucznych rzęs i grubego pomarańczowego podkładu na twarzy, mogłaby się prezentować całkiem atrakcyjnie. Miała jednak nadwagę; pod bolerkiem z lamparciej skóry falowały obfite piersi, a obcisłe czarne legginsy tylko podkreślały olbrzymie rozmiary jej pośladków i ud.

– Jak tobie na imię? – zapytała. Minęli grupkę młodzianów zajętych uruchamianiem motocykla; ci odwrócili głowy i odprowadzali ich wzrokiem.

– Declan. A tobie?

– Tauna.

– Długo mieszkasz w Spring Lane?

– Tu się urodziłam i wyrosłam, nie? W dziewięćdziesiątym drugim. Strzelec. Moje dzieciaki też się tutaj rodziły.

– Przed chwilą powiedziałaś, że to zasrana dziura. Czemu tu siedzisz, skoro jest tak źle?

– A niby gdzie mam iść?

– No, nie wiem. Nie daliby wam domu komunalnego?

– O, nie! I tak bym nie chciała. Mieszkała ja kiedyś w domu, ale nigdy więcej. Jezu, ale to był kanał. Jak w klatce się czułam, ledwo żem oddychała. I taka jak palec sama, bez rodziny i koleżanek obok.

– No, ale tutaj? – dziwił się detektyw Dooley. Mijali właśnie budynek z pustaków, w którym były wspólne ubikacje; na zewnątrz stała jedna jedyna pralka.

– Chlew, no tak. Dzieciaki stale mają zatrucie, łazienek nie ma, pryszniców nie ma, woda chlorem jedzie, człowiekowi pić się odechciewa. Miejscowi patrzą na ciebie, jakby piach ich w oczy gryzł. Najlepiej by nas murem ogrodzili i zapomnieli, że żyjemy.

– Ale?

– Ale jak ja już mówiła, tu się urodziła i wychowała, to gdzie pójdę?

Doszli do pomalowanej na beżowo przyczepy na końcu osiedla, u podnóża wschodniego stoku. Była okazalsza niż większość pozostałych i w lepszym stanie, lecz otaczał ją wszelkiego rodzaju złom, od zardzewiałego kompresora od diesla, przez szafkę kuchenną bez szuflad, rower bez przedniego koła i kanapę bez siedziska, po deskę do prasowania. Obok przyczepy stał cętkowany koń i pojadał owies z żółtego plastikowego wiaderka, które miał przywiązane u pyska.

Kawałek dalej, na prostokątnym kawałku betonu, stała przyczepa do przewozu koni, pomalowana na wojskową zieleń, a obok zaparkowano granatowego opla insygnię; wóz był pochlapany błotem, ale w miarę nowy.

Tauna wspięła się po schodkach do drzwi przyczepy i głośno zapukała. Szybko zeszła na dół, bo drzwi otwierały się na zewnątrz.

Stanął w nich mężczyzna w średnim wieku, w zamszowej czapce i koszuli w żółto-czarną kratę. Miał małe zezujące oczka i złamany nos, a jego policzki i szyja usiane były dziobami.

– Czego ty chcesz, Tauna? – zapytał, patrząc na detektywa Dooleya. – Zarabany jestem aż po jajca.

– Declan mówi, że może ma robotę dla ciebie. Co nie, Declan?

– No tak – potwierdził Dooley. – Jak leci, Paddy? Kopę lat żeśmy się nie widzieli.

– Że niby jaką kopę lat? W życiu ja cię nie widział.

– Gadasz! Pół roku temu, nawet nie, w Waxy's.

– Nawalony ja musiał być, bo cię nie pamiętam, chłopak.

– Tego wieczoru Danny Perrott przyprowadził pitbula do baru i pies ci nasrał na buta. Nie mów, że nie pamiętasz.

Tauna parsknęła chrapliwym śmiechem nałogowej palaczki.

– Nic żeś nie gadał, Paddy! Nasrał ci na buta? Ale jaja!

– Danny'emu wesoło nie było, jak ja go w łeb walnął i kopnął jego kundla w dupę – odciął się Paddy i popatrzył jeszcze uważniej na Dooleya. – No, może i cię pamiętam. O czym to żeśmy gadali?

– O koniach, a jak – odparł Dooley. – Bo niby o czym?

– Taa, o koniach. – Paddy skinął głową i kiwał dalej, jakby stopniowo przypominała mu się ich rozmowa.

– Mówiłeś, że coś z końmi kombinujesz, no nie? A ja na to, że może od czasu do czasu załatwię ci robotę. No i załatwiłem.

– Taa? Nooo. Zgadza się. Czyli co to za robota?

Detektyw Dooley spojrzał na Taunę.

– Może pogadajmy na osobności. Bez obrazy, Tauna.

Dziewczyna się skrzywiła.

– Nie ma sprawy, chłopak. I tak muszę iść dzieciakom jeść dać.

– Dzięki i uszanowanie. Ile masz dzieci?



– Czwórkę tylko. Piąte było w drodze, ale Pan postanowił zabrać go z powrotem, jak ja była w piątym miesiącu. Na pewno gdzieś tam sobie jest, a tam o wiele lepiej niż tu, ja ci mówię. Z moim bratem tam jest.

Detektyw Dooley odprowadzał ją wzrokiem, gdy mijala sanitariaty, zmierzając do koleżanek. W połowie drogi odwróciła się, puściła mu oko i kiwnęła małym palcem.

– A to żeś się wślizgnął, chłopak. – Paddy zachichotał chrapliwie. – Znaczy jeśli lubisz szemrane laski.

– Taa, powiedzmy – odparł Dooley.

– No, włącz – zaprosił tamten i skinął ręką.

Wnętrze przyczepy było tak zagracone sprzętami i bibelotami, że prawie nie dało się ruszyć. W oknach wisiały złote aksamitne zasłony z brązowymi frędzlami, na ogromnej kanapie pokrytej brązową kapą z włókna syntetycznego piętrzyły się brązowo-złote poduszki. Każda półka zawalona była wazonami w kwiaty, figurkami religijnymi, pudełkami z onyksu i porcelanowymi zwierzakami, ale nigdzie nie było ani jednej książki.

Na kanapie siedzieli ogolony na łysa mężczyzna w wieku Paddy’ego, ubrany w biały bezrękawnik i czarne spodnie od dresu, i dziewczyna w jaskraworóżowych legginsach z zaczesanymi do tyłu blond włosami. Była wychudzona aż do bólu, więc jej oczy wydawały się ogromne jak u postaci z kreskówek Disneya.

– Mówiłeś, że jak się nazywasz? – zapytał Paddy Dooleya.

– Declan. Declan O’Leary.

Paddy odwrócił się do łysola.

– Declan był w Waxy’s tego wieczoru, kiedy pies Danny’ego Perrotta mnie zafajdał.

Łysol uśmiechnął się, wypuszczając dym z papierosa i ukazując szczerbate zęby.

– Jezu, nigdy w życiu bym tego nie zapomniał, gdybym w ogóle coś, kuźwa, zapamiętał. – Wyciągnął sękatą dłoń oblepioną złotymi sygnetami. – Beval. A ta chudzina to Patia.

– Weź przestań mnie tak przezywać – zapięła nosowym głosem dziewczyna.

– Niby, kuźwa, czemu? Przecież, kuźwa, prawda, nie? Więcej jest mięsa na rzeźnickim ołówku niż na tobie.

– Declan mówi, że ma dla nas robotę – oznajmił Paddy. – Napijesz się, Declan?

– Nie, nie, dzięki – odrzekł detektyw Dooley. – Psy mnie parę razy zhaltowały, a za nic bym nie chciał stracić prawka.

– No, ale siadaj. Co to za robota?

Dooley skinieniem głowy wskazał Patię.

- Można przy niej nawijać?
- Nie grozi nic. Patia nie odróżni kłoca od czekolady.
- Weź przestań tak o mnie gadać, dobra? – zapiszczała dziewczyna.
- O, już przymknij buźkę – rzekł Beval.

Patia naburmuszyła się i wydeła usta, ale się nie odezwała. Detektyw Dooley nie miał szans zgadnąć, co ją łączy z Bevałem: czy jest jego żoną, dziewczyną, córką czy zabłąkaną ćpunką, która przypałała się tam z osiedla. Usiadł obok, a ona przysunęła się bliżej Bevala, żeby zrobić miejsce.

– Mam znajomego w Kilmichael, który chce, żeby ktoś się zajął paroma szkapami – zaczął. – W sumie będzie ich dziewięć.

– Dziewięć? Z dziewiątką mogę ja załatwić sprawę bez problemu – odparł Paddy.

– Chodzi o to, że żaden nie nadaje się na mięso, więc kumpel nie może ich opchnąć w rzeźni. Wszystkie prócz dwóch to konie czystej krwi, a jeśli nie są naszprycowane xylazyną, to fenylobutazonem albo sterydami. Ale, jak gadaliśmy w Waxy's, to mówiłeś, że możesz się uwinąć z końmi tanio, bez bulenia pełnych opłat w hyclowni.

– No, niby się zgadza. We wszystkich hyclowniach podbili ostatnio ceny, w niektórych o trzydzieści trzy procent, więc dla porównania ja mogę ci zaproponować bardzo oszczędną usługę. Za dorosłego konia Fitzgerald's stuknie cię na jakieś sto pięćdziesiąt jojo, zależnie od wagi, no i od tego, jak daleko musieliby po niego jechać. Ale dziewięć sztuk... mógłbym się ich pozbyć za, dajmy na to, pięć stów w sumie.

Dooley uniósł brwi.

– Brzmi całkiem, całkiem. A nie zszedłbyś do czterystu pięćdziesięciu?

Paddy zapalił papierosa zapalniczką i bez słowa pokręcił głową.

– Nie da się zejść niżej, pięć stów – wtrącił Beval. – Nie znajdziesz nikogo taniej.

– Dobra – rzucił Dooley. – Dryndnę do kumpla, zobaczę, co on na to.

– Gość ma dokumenty na wszystkie konie? – spytał Paddy.

– O ile wiem, tak, i zdaje mi się, że wszystkie są oczipowane. To chyba nie problem, co?

– Nie, skąd. Jak dla mnie, mogłyby mieć imiona wytatuowane na zadkach.

– To co ty właściwie z nimi zrobisz?

Paddy stuknął palcem w bok nosa.

– Tajemnica zawodowa, chłopak. Jakbym ci powiedział, sam byś się, kuźwa, za to wziął i wysiadał mnie z roboty.

Dooley wyjął iPhone'a, uniósł go, stuknął w ekran i powiedział:

– Nie, tutaj nie mam porządnego zasięgu, muszę wyjść na zewnątrz.

– Tylko nie zapomnij spytać kumpla, kiedy chce to załatwić – dodał Paddy. –

Jest parę wyścigów w Mallow i Greenmount, na których mam być, i masa innych zleceń do odwołania. Nie ma, kuźwa, chwili odsapki dla złoczyńców.

Detektyw wyszedł z przyczepy i zadzwonił do komisarza O'Rourke'a. Ten odebrał po kilku sygnałach.

– To Dooley, panie komisarzu. Jestem w Spring Lane, przed chwilą rozmawiałem z Paddym Fearonem i jego kumplem. Mówi, że może się dla mnie pozbyć dziewięciu koni za pięćset euro.

– Brawo, Dooley. Ile czasu potrzebujemy na zebranie dziewięciu koni?

– Rozmawiałem już z dwoma trenerami, Michaeliem O'Malleyem i Kevinem Corganem. O'Malley może nam dać pięć gotowych do rzeźni, a Corgan dostarczy pozostałą czwórkę. Możemy to wyznaczyć na sobotę lub poniedziałek, zależy od Fearona.

– Super, więc niech pan to załatwia.

W trakcie rozmowy Dooley zobaczył Taunę, która stała po przeciwnej stronie placu i dalej plotkowała z koleżankami. Na jego widok dmuchnęła dymem z papierosa i posłała mu całusa. O Jezu, pomyślał. Ciekawe, co by powiedzieli znajomi i rodzina, gdybym stanął w drzwiach z dwudziestoczteroletnią Romką z włosami związanymi w koński ogon, kolczykami dyndającymi w uszach, tyłkiem jak cysterna i czwórką dzieci na dokładkę.

Wszedł po schodach do przyczepy Paddy'ego.

– No? – zagadnął gospodarz. – Co ci koleżka szepnęła?

– Mówi że pięćset jest do przyjęcia i chciałby, żebyś się z tym uwinął jak najprędzej.

– Dobra – zgodził się Paddy. – W weekend mnie nie ma, ale pewnie dam radę w poniedziałek albo we wtorek. Trochę z tym zejdzie, bo mogę przewieźć tylko po trzy szkapy, ale tak, da się to dla niego załatwić. Mógłbyś podjechać jutro rano z jego adresem i kasą.

– Chcesz cały szmal przed robotą?

– No, takie są moje normalne warunki.

– A jak zgarniesz forszę i więcej cię nie zobaczę?

Paddy uśmiechnął się, Beval również, ale ich uśmiechy nie wyrażały rozbawienia, tylko groźbę.

– Takie sugestie to mi nie pasują – powiedział Paddy. – Jak myślisz, że nie możesz mi zaufać, to może zejdź trzy stopnie na dół i pierdol się.

– Bez obaw, tak tylko się wygłupiam – uspokoił go Dooley. – Stawię się tu jutro z czym trzeba.

Paddy splunął obficie w dłoń i ją wyciągnął. Detektyw uściśnął jego rękę, patrząc mu prosto w przekrwione oczy.

Potem wyszedł z przyczepy, wsiadł do samochodu, wyjął ze schowka plastikową buteleczkę żelu antybakteryjnego o zapachu cytrynowym i długo

czyścił nim ręce.

## Rozdział 16

Komendant MacCostagáin wszedł do gabinetu Katie.

– Dzień dobry, Katie, mamy piękny słoneczny dzień od samego rana! W każdej chwili możemy zaczynać kopanie w Bon Sauveur. Większość ekipy jest skompletowana i nie będziemy potrzebowali radaru gruntowego ani koparki mechanicznej, chyba że później, jeśli w ogóle. Zależy, co znajdziemy.

Katie uniosła głowę znad raportu przysłanego przez weterynarza Tadhga Meaneya. Wstępna analiza toksykologiczna dwudziestu trzech koni wykazała w organizmach wszystkich jedno- i dwulatków obecność xylazyny i detomidyny, środków podawanych zwierzętom po to, by je uspokoić przed zabiegiem medycznym lub w celu ich spowolnienia na torze wyścigowym.

– Kogo mamy w tej ekipie? – zapytała. Odsunęła na bok raport i wzięła do ręki nakaz przeszukania klasztoru Bon Sauveur, a także kopię planu, który siostra Rose przysłała mailem detektyw sierżant Ni Nuallán.

– Piętnaście osób w sumie. Trzech techników, czterech funkcjonariuszy i ośmiu rezerwistów. Sierżant O’Farrell zrobi im zaraz odprawę i będą gotowi do drogi. Wiem od Kyny Ni Nuallán, że sama paliła się pani do tej roboty.

– A tak, owszem. Z tego, co mi powiedziała o matce O’Dwyer, wywnioskowałam, że powinnam się z nią spotkać twarzą w twarz. Jeśli kontakty z matkami przełożonymi czegoś mnie nauczyły, to tego, że są szczone jak lisy i mniej więcej tak prostolinijne jak korkociąg w starej szufladzie.

– Ostre słowa, nie sądzi pani? – Komendant niemal zdobył się na uśmiech.

– Proszę mi wierzyć, zakonnice robią wszystko, byleby tylko uchronić się przed światem zewnętrznym. Może nie kłamią wprost, ale nie wyjawiają prawdy. Wie pan, co się stało w Tuam, a ja mam tylko nadzieję, że nie wykryjemy czegoś podobnego tutaj. Kenny Horgan mawiał, że Kościół naucza ewangelii świętego Marka, świętego Łukasza, świętego Jana i świętego Mat-klamczucha.

MacCostagáin znów się zmartwił.

– Tak, Kenny Horgan... Miałem telefon z komendy głównej w Dublinie. Wspomnieli o państwowym pogrzebie.

– Bo Kenny na niego zasłużył. Urządzili przecież państwowy pogrzeb detektywowi Donohue w Dundalk, prawda?

Na chwilę oboje zamilkli, myśleli o Horganie. MacCostagáin odezwał się pierwszy.

– A zatem, Katie, jaki ma pani plan?

Zerknęła na zegarek.

– O czternastej trzydzieści muszę być w sądzie na przesłuchaniu Michaela Gerrety’ego, więc chyba pojedę teraz do Bon Sauveur, a w tym czasie ekipa

poszukiwawcza zakończy odprawę. Im prędzej zaczniemy, tym lepiej. Coś się tam dzieje w tym klasztorze, coś, co ma związek z tymi zabitymi siostrzyczkami, jestem o tym przekonana.

– Ale jeszcze nie ustalili tożsamości tej latającej zakonnicy, tak?

– Nie ustalili albo ktoś nie chciał ustalić – odparła Katie. – Patrick wczoraj wieczorem zawiózł do Bon Sauveur jej zdjęcie i wszystkie zakonnice zaprzeczyły, że ją znały, łącznie z matką O’Dwyer. Ale tak naprawdę zastanowiło go to, że niektóre prawie nie patrzyły na to zdjęcie. Odniósł wrażenie, i to mocne, że nakazano im mówić, że jej nie rozpoznają.

– Nie wolno za dużo wnosić na tej podstawie. Trudno jest się przyglądać fotografii zmarłej osoby, zwłaszcza jeśli mogło się ją znać.

– Owszem, poza tym żadna siostra z innych klasztorów także jej nie rozpoznała. Pokazywaliśmy je wszystkim: klaryskom, urszulankom, służebnicom Matki Dobrego Pasterza, Małym Siostron Wniebowzięcia, prezentkom. Pytaliśmy również w szkołach zakonnych. Ja jednak dalej mam przeczucie co do Bon Sauveur.

– Tylko proszę nie dręczyć tej matki O’Dwyer. Nie chcę, żeby biskup Buckley zwał mi się na głowę jak tona gruzu.

– Chyba mnie pan już zna, panie komendancie. Będę miła i uprzejma.

MacCostagáin patrzył na nią chwilę z przechyloną głową, a potem spytał:

– Nie pogniewa się pani, jeśli powiem pani komplement?

Nie zdołała powstrzymać nagłego i nieprzyjemnego uderzenia gorąca. Chyba nikt dotąd nie słyszał, by komendant Smętek skomplementował jakiegoś funkcjonariusza czy w ogóle wyraził się dobrze o czymkolwiek. Po zjedzeniu do połowy kanapki z szynką w bufecie głośno oznajmiał, że jest kompletnie bez smaku.

– Rozkwita pani – rzekł. – Nie wiem, co to jest, ale jakoś tak pani promienieje.

– Dziękuję, panie komendancie – odparła Katie jak najbardziej oficjalnym tonem. – To miłe z pana strony.

\* \* \*

Matka O’Dwyer założyła okulary i ze zmarszczonym czołem, poruszając ustami, przeczytała nakaz rewizji.

– Nie rozumiem – oświadczyła. – Dlaczego, na Boga, życzyacie sobie robić tutaj rewizję?

– To tylko rutynowe czynności, matko O’Dwyer – zapewniła ją Katie. – Jak siostra widzi w treści nakazu, w ogrodzie znaleziono kość szczękową małego dziecka i musimy sprawdzić, czy nie ma innych szczątków.

– Innych szczątków? Co to znaczy „innych szczątków”?

– Więcej kości dziecka, którego szczękę znaleźliśmy. Lub kości innych dzieci, skoro już o tym mowa.

– Toż to nonsens! – obruszyła się matka O’Dwyer. – Nasze siostry codziennie pielęgnują ogród. Uprawiamy własne warzywa. Kapustę, ziemniaki, brukiew. Również kwiaty. Gdyby były „inne szczątki”, do tej pory z pewnością byśmy je odkryły.

– Całkowicie to rozumiem – przytaknęła Katie. – Tyle że prawo wymaga od nas, żebyśmy zyskali pewność. Bardzo mi przykro z powodu wszelkich zakłóceń, które możemy spowodować.

– Kto zatem znalazł tę dziecięcą szczękę? – chciała wiedzieć matka O’Dwyer. – Ludzie z zewnątrz nie mają dostępu do naszego ogrodu. Nie powie mi pani, że natknęła się na nią jedna z naszych siostr.

– Tego, niestety, nie wolno mi siostrze ujawnić.

Zakonnica otworzyła i zamknęła usta, jakby z trudem łapała powietrze.

– Stanowimy tutaj zgromadzenie, pani detektyw nadkomisarz. Więcej niż zgromadzenie, rodzinę, w oczach Boga jesteśmy spokrewnione. Jeżeli jedna z nas przewiniła, jest rzeczą niezbędną, by pozostałe o tym wiedziały.

– Zgłoszenie do Gardy, że znaleziono szczękę małego dziecka, trudno uznać za przewinienie religijne, matko O’Dwyer.

– Tak pani uważa! Istnienie naszego zgromadzenia bez reszty zależy od naszej szczerości i wzajemnej lojalności! Jest pani świadoma, że będę musiała pytać każdą siostrę po kolei, czy to ona się z wami skontaktowała?

– Obawiam się, że będę zmuszona poprosić siostrę o zaniechanie tego – poinformowała ją Katie. – Mogłoby to nam utrudnić poszukiwania.

– Pani detektyw nadkomisarz, jestem matką przełożoną tego klasztoru. To mój obowiązek.

– Matko O’Dwyer, jeśli podejmie siostra próbę przepytывania członkiń zgromadzenia o ten fragment kości, będę zmuszona się zastanowić, czy nie aresztować siostry na podstawie Ustawy o porządku publicznym z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego, ustęp dziewiętnasty. – Katie mówiła lekkim tonem, a jednocześnie tak, by zakonnica miała świadomość, że te słowa są bardzo poważne. – Mogłoby to oznaczać grzywnę lub pół roku pozbawienia wolności albo jedno i drugie. Jak dotąd nigdy w toku mojej kariery zawodowej nie zdarzyło mi się aresztować matki przełożonej klasztoru. Ale jak to mówią, zawsze musi być ten pierwszy raz.

Matka O’Dwyer powoli zdjęła okulary i patrzyła na Katie, jakby ta wypowiedziała straszne bluźnierstwo. Wciągnęła głęboko powietrze, aż poruszyły się chrapki jej nosa, ale nic nie odparła. Cóż za bezmiar katolickiego opanowania, pomyślała Katie, przynajmniej za to cię podziwiam.

W tej samej chwili w drzwiach gabinetu matki przełożonej stanęła detektyw

sierżant Ni Nuallán. Tuż za nią pojawiła się ubrana na biało młoda nowicjuszka. Ni Nuallán zapukała lekko do drzwi i powiedziała:

– Proszę pani? Przepraszam, że przerywam, ale ekipa już przyjechała.

– A więc za pozwoleniem siostry możemy zaczynać – zwróciła się Katie do matki O’Dwyer, choć obie wiedziały, że jej odmowa nie zrobiłaby żadnej różnicy.

– Dobrze w takim razie – rzuciła przełożona, a kiedy Katie się odwracała, zakonnica dodała ostrym tonem: – Przypuszczam, że siostry Barbary nie udało wam się odnaleźć?

– Z żalem przyznaję, że nie – odparła Katie. – Wczoraj po południu użyliśmy do poszukiwań psów tropiących i natrafiły na ślad przed domem opieki, ale zaraz po jakichś dwudziestu metrach go zgubiły. To by wskazywało, że wywieziono ją jakimś pojazdem, który czekał w pobliżu. Czy za jej zgodą, czy nie, tego nie jesteśmy w stanie stwierdzić. Oczywiście rozesłaliśmy rysopis poszukiwanej, ale dotychczas pozostał bez odzewu. Zapewne widziała go siostra w wiadomościach.

– Nie, nie widziałam. Modliłam się i medytowałam. Siostra Barbara jest w rękach Boga, jak my wszyscy. Zawsze powinniśmy pamiętać, że nasze zasługi są Jego zasługami, porażki natomiast są tylko nasze.

Katie miała świadomość, że jest to subtelny przytyk do tego, że Garda nie zdołała rozwiązać zagadki morderstwa siostry Bridget i dowiedzieć się, co spotkało siostrę Barbarę. Posłała matce O’Dwyer wątył uśmiech.

– Dziękuję siostrze za współpracę – powiedziała. – Postaramy się ograniczyć do minimum zniszczenia w ogrodzie i spowodować jak najmniej zakłóceń w murach klasztoru.

– Podejrzenie zawsze jest rodzajem zakłócenia i zawsze pozostawia po sobie ślad, którego nie sposób naprawić – odparowała matka O’Dwyer.

– Tak, no cóż... Czy mogłaby siostra tymczasem wskazać detektyw sierżant Ni Nuallán miejsce, w którym przechowujecie archiwa, zwłaszcza te odnoszące się do okresu, kiedy klasztor Bon Sauveur służył jako schronisko dla samotnych matek. Będziemy chcieli zapoznać się z dokumentami aż do lat pięćdziesiątych, co najmniej.

– Sostro Rose, proszę iść i odszukać siostrę Caoilainn, dobrze? – poleciła przełożona. – Siostra Caoilainn trzyma wszystkie księgi. Jest tutaj pomieszczenie, w którym można je przejrzeć, jeśli sobie panie życzą. Przypuszczam, że nie będziecie chciały wynosić ich poza budynek.

– Zależy od tego, co znajdziemy – odparła Katie.

Matka O’Dwyer spojrzała na nią z mocno zaciśniętymi ustami. Katie nie należała do wysokich kobiet, lecz zakonnica była od niej znacznie niższa. Mimo to wyglądała, jakby lada chwila miała eksplodować potężnym wybuchem gniewu, który mógłby zmieść cały klasztor.

– Jeśli będę potrzebna, znajdą mnie panie w kaplicy – oznajmiła drżącym



głosem. – Będę się modliła do Boga, żeby udzielił wam daru dyskrecji i trzeźwego osądu oraz przebaczył wszelkie grzechy nadgorliwości i zaniedbania.

Odwróciła się i wyszła z gabinetu, zanim Katie zdążyła obmyślić ripostę, która by sprawiła, że biskup Buckley zważyłby się komendantowi MacCostagáinowi na głowę jak tona gruzu.

\* \* \*

Katie przeszła do klasztornej ogrodu. Technicy laboratoryjni już rozpoczęli pracę; klęczeli na grządce kwiatowej wokół miejsca, które siostra Rose oznaczyła na szkicu znakiem X. Reszta ekipy stała w pobliżu; rozmawiali i dla rozgrzewki zacierali dłonie. Bill Phinner pił kawę z papierowego kubka. Ranek był słoneczny, a niebo jasnoniebieskie, lecz wysoki klasztorny mur sprawiał, że południowa strona ogrodu leżała w cieniu, wilgotna i tak zimna, że chłód przenikał aż do kości.

– O Jezu – odezwał się patolog, kiedy podeszła do niego Katie. – Istny Bałtyk tutaj. Szkoda, że nie zostałem w laboratorium i nie dokończyłem tych analiz chemicznych.

– Nie wiem, czy coś tu znajdziemy. – Katie rozejrzała się. – Ta szczęka mogła tu trafić skądkolwiek. Pies albo lis mógł ją wykopać w zupełnie innym miejscu i tutaj upuścić.

– Cóż, zawsze jest taka możliwość – przytaknął Bill. – Wkrótce się przekonamy. À propos, zajrzałem rano do pani gabinetu, ale już pani wyjechała. Zostawiłem na biurku raport o tych balonach, na których wisiała zakonnica.

– Tak? Coś ciekawego?

– Balony meteorologiczne, można je nabyć online z wielu źródeł, takich jak na przykład Weather Balloons „R” Us, i nie są drogie. Wszystkie były napełnione heliem, ale do tej pory nie wiemy, skąd mógł pochodzić. Kontaktowaliśmy się z dostawcami przemysłowymi na naszym terenie, nawet tymi, którzy zaopatrują partie polityczne, ale żaden nie sprzedał takiej ilości, która by wystarczyła do uniesienia nad ziemię kobiety ważącej czterdzieści cztery kilogramy.

– Gdzie jeszcze można zdobyć taką ilość helu? Może w fabryce? Mogą go trzymać w koszarach Collins do balonów wojskowych. Albo na wydziale fizyki naszego uniwersytetu? Stacja pogodowa na lotnisku? Wypuszczają tam balony czy boją się, żeby nie wpadały na samoloty?

Bill pokręcił głową.

– Rozmawiałem z sierżantem O’Farrellem. Na razie nikt nie zgłosił zaginięcia helu.

– Dalej nie mogę rozgryźć, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu – wyznała Katie. – Jeśli się chce zamordować zakonnice, to czemu jej po prostu nie zabić i nie zakopać w miejscu, w którym nikt jej nigdy nie znajdzie. Urządzenie takiego spektaklu, i to z balonami, ogromnie zwiększa ryzyko wpadki.

– Sama pani wie, tak samo jak ja, że wielu mordercom właśnie o to chodzi, żeby coś udowodnić. Ten, kto przywiązał tę zakonnice sznurkami do balonów, kimkolwiek był, uważał pewnie, że ma coś ważnego do zakomunikowania. Tylko Bóg jeden, albo Diabeł, wie co.

– Zgadzam się. – Katie patrzyła, jak jeden z techników starannie przesiewa glebę przetakiem ogrodowym. – Na przykład siostra Bridget, potraktowano ją brutalnie figurką świętej. Mogę iść o zakład, że miało to znaczenie, nie wiemy tylko jeszcze jakie.

– Jeden z moich ludzi to objaśnił, ale raczej nie przytoczę jego słów.

– Nie będę dociekać – rzuciła Katie. – Proszę dzwonić, jak na coś wpadniecie.

Właśnie odchodziła, kiedy technik z przetakiem uniósł rękę.

– Tutaj! Szefie, coś tu jest!

Bill przemierzył trawnik, Katie podążyła za nim. Technik klęczał na grządce kwiatowej w połowie drogi między miejscem, w którym siostra Rose znalazła kość, a klasztornym murem z szarego piaskowca. Uniósł sito, żeby Katie i Bill mogli zobaczyć znalezisko. Była to podobna do patyka kostka długości około ośmiu centymetrów, upstrzona brązowymi plamami od ziemi, w której leżała zagrzebana. Bill naciągnął czarne rękawiczki, wziął kość i przyjrzał się jej dokładnie.

– Ludzka, bez dwóch zdań. Kość piszczelowa z łydki. Powiedziałbym, że pochodzi od mniej więcej rocznego dziecka, w zależności od tego, jak było odżywione.

– Jak długo pana zdaniem tu leżała? – zapytała Katie.

Wydął dolną wargę.

– Trudno stwierdzić tak od ręki. Ale jeśli to kość tego samego dziecka, od którego pochodzi ten kawałek szczęki, to co najmniej czterdzieści lat. Z pewnością na tyle wygląda.

– A jeśli to kość innego dziecka?

Bill uniósł brwi, ale nie odpowiedział.

\* \* \*

Robiło się późno i Katie musiała niebawem wrócić na Anglesea, by zabrać papiery na przesłuchanie Michaela Gerrety'ego w sądzie, ale została jeszcze jakiś czas w klasztorze. Czuła się prawie tak, jakby była to winna zaginionym dzieciom, których żalosne szczątki znaleziono w ogrodzie.

Detektyw sierżant Ni Nuallán wyszła z budynku i podeszła do niej. Katie skinieniem głowy wskazała techników przesiewających glebę.

– Widzi pani? Znaleźli drugą kość, tym razem dziecięcą piszczel.

– O Boże. Mam bardzo, ale to bardzo złe przeczucia co do tego miejsca – powiedziała Ni Nuallán. – Powinna pani rzucić okiem na to, do czego się

dokopałam w archiwum, a przecież na razie tylko zrobiliśmy rysę na powierzchni.

– Na co pani natrafiła?

– Na wiele rzeczy, których oczywiście należało się spodziewać. Nazwiska wszystkich niezamężnych matek, które przyjęto do Bon Sauveur, ich dzieci oraz daty chrztów. Ale są również teczki z korespondencją z agencjami adopcyjnymi w USA.

– I co w tym takiego złego? Większość z tych dziewcząt nie była w stanie zadbać o swoje dzieci, prawda? Zwłaszcza że nie mogły liczyć na wsparcie rodziców.

– Nie, ale po narodzinach dzieci siostry zmuszały matki do pisemnego zrzeczenia się wszelkich praw rodzicielskich. Potem z zasady oddziały noworodki i niemowlęta od matek, czy matkom się to podobało, czy nie, i wysyłały je do rodzin w Ameryce. Na razie nie udało mi się stwierdzić na pewno, ile ich było, ale może chodzić o setkę. Albo i dwa razy tyle.

Katie mimowolnie pomyślała o dziecku, które w niej rosło, i o żalu, który spadł na nią, gdy znalazła małego Seamusa martwego w łóżeczku. Nadal go odczuwała.

– Proszę mi tylko nie mówić, że mamy tu powtórkę z Filomeny – odparła. – Wciąż dochodzą do mnie pomruki z diecezji w związku z tymi biednymi wykastrowanymi chórzystami.

– Coś mi się zdaje, że może być jeszcze gorzej. Sądząc po tym, co znaleźliśmy w księgach rachunkowych, siostry żądały zapłaty od rodziców adopcyjnych, i nie były to wcale sumy symboliczne. Będziemy musieli ściągnąć biegłego księgowego, żeby je przeanalizował.

– Ile siostry sobie życzyły?

– W niektórych przypadkach osiem, dziewięć lub nawet dziesięć tysięcy dolarów, a kiedy się pomyśli, ile był wart dolar w latach sześćdziesiątych... siedem razy tyle co teraz, lekko licząc. Niektóre wpłaty zaksięgowano jako „koszty”, ale większość została zapisana w rubryce „Donacje charytatywne na rzecz Świętej Misji Zgromadzenia Bon Sauveur”.

– Rozumiem. Są jakieś zapisy mówiące o tym, co zakonnice robiły z tymi pieniędzmi?

– To nie jest jasne. Prawie wszystkie wpłaty jak gdyby wyparowały z ksiąg. Właśnie powinien się temu przyjrzeć ktoś, kto zna na wylot kwestie machlojek księgowych.

– Ale wygląda na to, że siostry mogły sprzedawać dzieci niezamężnych matek dla zysku?

– W tak drastyczny sposób bym tego nie ujęła. Nie w rozmowie z matką O'Dwyer. Ale w zasadzie tak to było. Na to w każdym razie wygląda.

– No dobrze. Myślę, że najlepiej będzie zawieźć całe archiwum na komendę.

Można to zrobić, nie łamiąc warunków nakazu rewizji, prawda? Jeśli nie będzie pani miała pewności, czy jakaś księga ma znaczenie dla śledztwa, proszę ją zabrać tak czy inaczej. Zawsze możemy zwrócić.

Katie zrobiła pauzę, a potem dodała:

– Proszę nic nie mówić matce O’Dwyer i pozostałym siostrom. Na ile to możliwe, proszę to zachować dla siebie. Istnieje możliwość, że ta sprawa ma związek z siostrą Bridget lub tą latającą zakonnicą, którą zamordowano, a może nawet i z tą zaginioną. Jeśli tak, to nie chcę, by sprawca wiedział, że o tym wiemy.

– Rozumiem – odparła detektyw sierżant Ni Nuallán oficjalnym tonem. Zawsze ściśle trzymała się procedur, nie działała pod wpływem impulsu, i był to jeden z powodów, dla których Katie właśnie jej zleciła kontrolę archiwum Bon Sauvreur.

Teraz usłyszała rezerwę w jej głosie.

– Posłuchaj, Kyno, może się okazać, że to nie ma związku z tamtymi zakonnicami, ale na pewno nadal żyje wiele osób zamieszanych w ten przekręt adopcyjny, jeśli to rzeczywiście był przekręt, a ja nie chcę ich alarmować. Bo może uda nam się zgromadzić materiał dowodowy przeciwko nim.

– Tak, rozumiem. – Ni Nuallán zawiesiła głos i po chwili dodała: – Wie pani co? Wystarczy tylko spojrzeć na zdjęcia w poczekalni przed gabinetem matki O’Dwyer, na te nastolatki ze swoimi maluchami. Przez całe życie nie widziała pani tylu młodych ludzi, od których bije smutek i beznadzieja. Teraz już wiem dlaczego.

Katie ujęła jej dłoń.

– Znasz mnie, zwykle jestem zawziętą przeciwniczką wyciągania wniosków przed zebraniem wszystkich dowodów, ale mamy tu do czynienia z Kościołem, a ci ludzie to odwieczni mistrzowie demonicznych zagrywek i liczą na to, że okażemy im szczególne względy tylko dlatego, że noszą kościelne szaty. W tym przypadku wołałabym im okazać brak względów niż wyjść na frajerkę.

Owinęła sobie szyję szalem i odwróciła się, by odejść. Zanim jednak ruszyła z miejsca, zawołał ją Bill:

– Pani nadkomisarz! – Stał po przeciwnej stronie trawnika i trzymał w obleczonej w czarną rękawicę dłoni coś, co przypominało wyglądem pękniętą filiżankę.

Kiedy Katie podeszła bliżej, uświadomiła sobie, że jest to maleńka ludzka miednica. Nie była zniszczona, ale ubrudzona ziemią tak samo jak kość piszczelowa.

– Teraz już nie może być wątpliwości – oznajmił patolog. – Tego nie upuścił pies ani lis. Gdzieś w tej grządce leży całe dziecko i zostało tu pogrzebane rozmyślnie przez istotę ludzką. Albo przez taką, która za ludzką uchodziła.

## Rozdział 17

Siostra Barbara otworzyła oczy. Spoczywała na pojedynczym łóżku w pustej sypialni, do której wpadały promienie zimowego słońca. Ściany pokrywał niepomalowany tynk, jakby kiedyś była na nich tapeta, którą teraz w całości zdarto. W jedynym oknie nie było zasłon ani firanek, na podłodze nie leżała wykładzina. Jedyne oprócz łóżka wyposażenie stanowił fotel na kółkach.

Stopniowo zdołała się dźwignąć do pozycji siedzącej. Łupało ją w głowie i trudno jej było się skupić. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Ostatnie, co pamiętała, to to, że siedziała na fotelu w domu opieki i rozmawiała z siostrą z klasztoru Bon Sauveur, która ją odwiedziła... Jak ona miała na imię?

Z zewnątrz dobiegały jakieś głosy i trzasnęły drzwi samochodu. Potem siostra usłyszała, że samochód odjeżdża i ktoś pokrzykuje. Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał tętent końskich kopyt. A później rozległo się więcej głosów i niecierpliwe parskanie konia.

Gdzie ja na Ojca Świętego jestem? – zachodziła w głowę siostra Barbara. I jak tu trafiłam?

Wstała. Podłoga zakołysała się jej pod stopami i przesunęła niczym leniwa fala przyływu. Siostra zdołała jednak uchwycić się mosiężnej poręczy w nogach łóżka i po chwili odzyskała równowagę.

Postąpiła krok w stronę okna, potem następny. Ostatnie trzy zrobiła w pośpiechu i złapała się ramy okna, żeby nie upaść. Tylko raz w życiu była pijana, kiedy miała siedemnaście lat, na urodzinach wujka Bernarda; właśnie tak się czuła w tej chwili, jak pijana.

Przez okno zobaczyła rozciągający się asfaltowy dziedziniec, a dalej po prawej stronie rząd stajni z drzwiami pomalowanymi na biało. Dokładnie na wprost okna czarnowłosa kobieta w brązowym tweedowym żakiecie rozmawiała ze szpakowatym mężczyzną, który trzymał wodze rosłego gniadosza. Siostra Barbara nie mogła rozróżnić słów, ale brzmiały tak, jakby nieznajoma mocno go za coś beształa. Mówiła szorstkim głosem i raz po raz dźgała go palcem w pierś.

Za podwórzem była asfaltowa droga, z jednej strony obsadzona lipami o pożółkłych liściach, a z drugiej odgródzona płotem od łąki, na której pasło się kilka koni. Dalej zaczynał się rdzawy las, a za nim wznosiły się mgliste zielone pagórki. Jeśli siostra Barbara mogła być czegoś absolutnie pewna, to tego, że nigdy w życiu tam nie była.

Chwilę stała i patrzyła przez okno, nie mając pewności, czy zdoła dowlec się bezpiecznie do łóżka. Nadal dudniło jej w głowie i zaschło jej w ustach. Po jakimś czasie czarnowłosa kobieta w tweedowym żakiecie machnęła ręką na szpakowatego, a ten odprowadził konia. Odwracając się, spojrzała w górę

i zobaczyła zakonnice. Nie pozdrowiła jej w żaden sposób, tylko odbiła szybko w lewo i zniknęła z pola widzenia.

Siostra Barbara wzięła trzy głębokie oddechy, a potem wypuściła z palców bok ramy okiennej. Bardzo powoli, z rozłożonymi ramionami niczym zombie, poczłapała w kierunku łóżka. Od celu dzieliły ją zaledwie dwa kroki, kiedy pokój jakby się przechylił, a ona poleciała na bok i uderzyła mocno lewym policzkiem i ramieniem o podłogę.

Na wpół ogłuszona, nie mogąc stanąć na nogi, trzęsła się z bólu i bezsilności.

– Święta Anastazjo, chroń mnie – wyszeptała. – Ty, któraś tyle wycierpiała, bo nie chciałaś się wyprzeć swojej wiary, ulżyj mi, proszę, w cierpieniu.

Nie leżała jednak długo, kiedy usłyszała kroki na schodach. Zdawało się, że wchodzi więcej niż jedna osoba; rozległ się kobiecy wprawdzie głos, ale bardzo niski.

Drzwi pokoju się otworzyły i weszła czarnowłosa kobieta, którą widziała na podwórzu. Siostra Barbara zobaczyła najpierw jasnobrązowe kozaki na obcasach. Później uniosła nieco głowę i zauważyła, że nieznajoma zdjęła zakiet i ma na sobie beżowy golf i spódnicę kolorze ciemnej czekolady. Na jej szyi wisiał owalny srebrny medalion.

Za nią do pokoju wszedł niski łysy mężczyzna w obcisłej koszulce i dżinsach. Jego jakby spłaszczona głowa przypominała halloweenową wydrążoną dynię; w odstających uszach miał srebrne kolczyki. Klatka piersiowa była szeroka, lecz nogi miał krzywe, jakby całe życie spędził, jeżdżąc konno. Niósł upačkaną płócienną torbę, w której chyba niósł coś ciężkiego; zabręczała, kiedy postawił ją na podłodze.

– Ależ, siostrzo Barbaro – odezwała się brunetka. – Co ty tam porabiasz na podłodze, dziewczyno, skoro możesz sobie kimać wygodnie w takim rewelacyjnym łóżeczku?

Przyklęła obok zakonnicy i przechyliła głowę siostry Barbary, tak by spojrzeć jej prosto w oczy. Z bliska Barbara zobaczyła, że to ta sama kobieta, która odwiedziła ją w domu opieki Greendale i podała się za siostrę Margaret z Bon Sauveur.

Teraz jednak roztaczała się wokół niej woń jaśminowych perfum, tak mocna, że siostra czuła jej smak na języku. Z miejsca, w którym zakonnica leżała, widać było białe satynowe majtki pod spódnicą kobiety.

– Dermot – odezwała się nieznajoma, wstając – pomóż mi dźwignąć tę starą mizerotę na nogi, co?

– Kim pani jest? – zapytała trwożnie siostra Barbara. – Bo nie jest pani naprawdę siostrą z Bon Sauveur, prawda?

– Och, tobie to nie można oczek zamydlić, co, siostruniu? Z siostry Barbary zawsze była bystrzacha.

Chwyliła zakonnice za prawą rękę i choć ta usiłowała ją odtrącić, trzymała tak mocno, że aż bolało. Mężczyzna, którego nazwała Dermotem, złapał drugie ramię siostry Barbary, wyciągnął je spod niej i razem postawili ją na nogi. Chwiała się i potykała, ale tych dwoje prawie przeniosło ją do łóżka i rzuciło na wznak. Usiłowała usiąść, lecz kobieta ją pchnęła.

– Poleż sobie. Przyda ci się odpoczynek.

– Kim pani jest? – zapytała ponownie siostra Barbara. – Gdzie ja jestem? Czego ode mnie chcecie?

– Nie poznajesz mnie? – odpowiedziała pytaniem kobieta. – No, w sumie nic dziwnego po czterdziestu jeden latach. Tyle czasu upłynęło, siostrzo Barbaro, czterdzieści jeden lat.

– Nadal nie wiem, kim pani jest.

– A więc odświeżę ci pamięć, siostruniu. Riona Nolan. Chuda mała Riona Nolan, lat piętnaście i pół, zawleczona do klasztoru przez własną matkę, bo zaszła w ciążę i ściągnęła tym wiekuiącą hańbę na ród Nolanów. Nazywam się teraz Riona Mulliken, ale chuda mała Riona Nolan dalej we mnie żyje i jest tak samo zestrachana jak tamtego dnia. I mała chuda Riona Nolan nigdy ci nie zapomni, co dla niej miałas wtedy, dawno temu, kiedy ona potrzebowała jedynie chrześcijańskiej dobroci.

Zakonnica znowu spróbowała usiąść, lecz Riona ponownie ją popchnęła.

– I nie zapomni, jak żeście mnie traktowały, wy świętoszkowate wiedźmy bez serc, wszystkie. Jak postąpiłyście z moim Sorleyem.

– A więc bylas jedną z upadłych dziewcząt, któreśmy przyjęły?

– Upadłych! Upadłych! Mówiłyście o nas jak o koniach, które padły na polu! Ja tylko zaszłam w ciążę, to był mój cały upadek, a nie doszłoby do tego, gdyby matka mnie uświadomiła i gdyby Kościół nie zakazywał aborcji i stosowania prezerwatyw.

– Przyznaję, że cię nie pamiętam – powiedziała siostra Barbara. – Jednakże... jeśli uważasz, że nie dałam ci pociechy, której potrzebowałas, albo nieumyślnie źle cię potraktowałam, to jest mi naprawdę przykro i proszę o przebaczenie.

– Przebaczenie! – Riona odwróciła się do Dermota, który stał przy oknie ze skrzyżowanymi na piersi rękami, jakby na coś czekał. – Słyszałeś to? Ona mnie prosi o przebaczenie!

Wzruszył ramionami, parsknął i otarł nos wierzchem dłoni; najwyraźniej miał to gdzieś. Riona odwróciła się do zakonnicy.

– Można prosić o przebaczenie najróżniejszych rzeczy i ludzie wybaczą. Ale jeśli rujnuje się komuś całe życie, wtedy nie można się spodziewać od niego przebaczenia, prawda? Jeśli odbiera mu się wszystko: godność, pewność siebie, rodzinę, przyjaciół, a do tego dziecko, które kocha, które daje mu poczucie

wartości... Naprawdę przychodzi ci do tego twojego łba myśl, że możesz się spodziewać przebaczenia i na nie zasługujesz?

– Jest mi przykro, tylko tyle mogę ci rzec – odparła siostra Barbara. – Czy twoje dziecko zostało oddane do adopcji?

Riona wydeła wargi i skinęła głową, w jej oczach załśniły łzy.

– Wobec tego jest mi przykro – powiedziała zakonnica. – Ale musisz pamiętać, że czasy były wtedy inne. Ludzie nie byli tak liberalni jak obecnie. Na pewno bardzo starannie to rozważyłyśmy, zanim zdecydowałyśmy się oddać twoje dziecko do adopcji. Mówisz, że miałaś zaledwie piętnaście lat. Na pewno uważałyśmy, że tak będzie najlepiej dla twojego dziecka i dla ciebie też, powinnaś to teraz rozumieć. Przecież sama byłaś tylko dzieckiem.

– Och, tak myślałyście, co? Szkoda tylko, że mnie nie zapytałyście. Nikt nigdy nie powiedział: „Riono, czy sądzisz, że dla ciebie i Sorleya będzie lepiej, jeśli was rozdzielimy i nigdy więcej się nie zobaczycie?”. Nawet mi nie powiedziałyście, że go oddajecie. Podeszłam do jego łóżeczka z butelką ciepłego mleka, a jego już tam nie było. Nawet nie mogłam go ucałować na pożegnanie.

Siostra Barbara na chwilę zamknęła oczy. Potem otworzyła je i oblizwała wargi.

– Czy mogłabym się napić wody? – poprosiła.

– Nie.

– Strasznie mi zaschło w ustach. Podałaś mi jakiś narkotyk? Nie mogę sobie przypomnieć, jak opuściłam Greendale.

– Ty w ogóle nie za wiele pamiętasz, co? Nawet tego, że oddałyście moje maleństwo kompletnie obcym ludziom. Jak możesz tego nie pamiętać? Z drugiej strony, chyba to rozumiem. Sorley nie był jedynym dzieckiem, które oddałyście do adopcji, prawda? Oczywiście, że nie. Moja koleżanka Clodagh miała dwie dziewczynki bliźniaczki i je też zabrałyście. Wiesz, co się stało z Clodagh? Wiesz?

– Przykro mi, ale tego też nie pamiętam.

– Powiesiła się w swoje siedemnaste urodziny. Bliźniaczki jej zabrano, ale rodzice i tak nie chcieli jej przyjąć z powrotem do domu. W urodziny nikt nie dał jej nawet kartki z życzeniami, więc się powiesiła. Poszłam na jej pogrzeb i byłam na nim sama.

– Życie bywa czasem bardzo okrutne – zauważyła sentencjonalnie siostra Barbara.

– Nie, siostruniu – odparowała Riona. – Życie nie jest okrutne. To ludzie są okrutni. W kółko mi opowiadałyście o waszej najdroższej świętej Anastazji, jak okrutnie się z nią obeszli Rzymianie. Tego tylko nie rozumiałyście, że ty i twoje siostry z Bon Sauvreur byłyście dla nas tak samo okrutne jak Rzymianie wobec świętej Anastazji. Nie torturowałyście nas tak jak oni Anastazję. Nie odcinałyście nam dłoni, stóp i piersi i nie paliłyście na stosie, ale robiłyście prawie to samo.



Clodagh straciła życie i nie ona jedna je sobie odebrała, a większość pozostałych znosiła psychiczne męczarnie, które się nie skończą, dopóki nie umrzemy i nas nie pochowają.

– Nie wiem, co ci mogę odpowiedzieć. Nigdy sobie nie zdawałam z tego sprawy. Zawsze myślałam, że dyscyplina, którą nakładamy na dziewczęta, naprawi was moralnie i doprowadzi z powrotem do Jezusa. Że wysyłając wasze dzieci do adopcji, uwalniamy was od ciężaru, na dźwiganie którego byłycie o wiele za młode i który do końca życia będzie wam przypominał o waszej hańbie.

– O hańbie?! O jakiej hańbie?! Przespałam się z Tonym O’Riordanem w furgonetce mojego brata! Raz jeden! Nie wstydziałam się tego! Zrobiłabym to znowu, gdyby się nie spiknął z Bernadette Gibney!

Riona nachyliła się nad zakonnicą, oddychając głęboko, jakby właśnie wbiegła po schodach. Ta spojrzała na nią.

– Dlaczego mnie tu przywiozłaś? Tylko po to, by mi powiedzieć, jak podle was wszystkie traktowałyśmy? Jestem już starą kobietą. To było dawno temu, jak słusznie zauważyłaś, i jeśli mam być z tobą całkowicie szczerą, większość tamtych wydarzeń wyleciała mi z pamięci.

– To, że coś ci wyleciało z pamięci, nie znaczy, że tego nie zrobiłaś. To, że zapomniałaś, nie znaczy, że nie zasługujesz z tego powodu na karę.

– W jaki sposób możesz mnie ukarać bardziej, niż zrobił to już czas? Codziennie modlę się do świętej Anastazji, żeby mnie zabrała.

– Twoje modły mogą zostać spełnione – odparła Riona, stając prosto. – Od ciebie zależy, w jaki sposób.

Na chwilę w pokoju zapadła całkowita cisza, żadna z trzech osób się nie poruszała. Potem Dermot otworzył usta i paznokciem kciuka zaczął sobie wydłubywać okruch pokarmu z zębów. Okno zagrzechotało cicho, z zewnątrz dobiegły odgłosy końskich kopyt.

Siostra Barbara się przeżegnała.

– Co zamierzacie zrobić? – spytała tak cicho, że jej głos ledwo dało się słyszeć. – Planujecie mnie zabić?

## Rozdział 18

Katie zatrzymała samochód przed gmachem sądu przy Washington Street i była już spóźniona o pięć minut, kiedy odezwał się jej iPhone. Doktor O'Brien dzwonił ze szpitala i korciło ją, żeby nie odbierać, lecz aparat brzęczał i brzęczał. Wysiadła z samochodu i ruszyła szybko po schodach między wysokimi korynckimi kolumnami. Przed wejściem do budynku zebrał się tłumek dziennikarzy, a także prawnicy, krewni i urzędnicy. Był także młody człowiek z rudą brodą i ręcznie napisanym na tablicy apelem o treści UWOLNIĆ LICZNIK WOLNEJ WODY.

– Tak? – odezwała się Katie, stając przed drzwiami. – Ailbe, proszę posłuchać, właśnie wchodzę do sądu. Mogę później oddzwonić?

– Uff! – westchnął doktor O'Brien. – Już się martwiłem, że nie złapię pani na czas.

– Dlaczego?

– Idzie pani na przesłuchanie Michaela Gerrety'ego, tak?

– Owszem. I naprawdę mi się spieszy.

– Proszę posłuchać. Kiedy wybraliście się do kostnicy, żeby zobaczyć zwłoki latającej siostry, było tam dwoje topielców przykrytych kocami. Miałem im wystawić świadectwa zgonu.

– Tak, pamiętam, ale proszę się uwijać. Woźny sądowy już macha na mnie ręką.

– Nie musi pani tam wchodzić.

– Że co? O czym pan mówi?

– O młodej utopionej dziewczynie. Jeden z funkcjonariuszy Gardy zjawił się jakieś dwadzieścia minut temu z następnymi zwłokami, które znaleziono w rowie przy N Siedemdziesiąt Jeden. Zobaczył tę dziewczynę na stole i momentalnie ją rozpoznał. Sprawdziliśmy w programie PULSE i nie ma wątpliwości. To Roisin Begley.

Katie poczuła, jakby ktoś zdzielił ją pięścią w mostek. Oparła się o najbliższą kolumnę.

– Nie mogę w to uwierzyć. Roisin Begley. To naprawdę ona?

– Przykro mi, ale nie ma żadnych wątpliwości. Ma małe znamię na górnej wardze po lewej stronie.

Katie wzięła głęboki oddech, potem drugi. Mięśnie brzucha stwardniały jej na kamień, potarła je więc z wolną ręką, żeby się rozluźnić.

– No dobrze. Chyba się cieszę, że mnie pan złapał. Ale naprawdę nie jest mi wesoło, że zobaczę zadowoloną gębę Michaela Gerrety'ego po tym, jak się dowie, że zszedł jedyny świadek zeznający przeciw niemu. Zapewne nie ma śladów brutalnego traktowania, co?

– Mogła zostać zepchnięta do rzeki, ale na ciele brak podejrzanych zasinień, dziewczyna bez wątplenia zmarła od utonięcia. Nie stwierdziłem również obecności alkoholu i środków odurzających, w żołądku znalazłem tylko resztkę częściowo strawionej pizzy.

– Co za tragedia! Taka młoda głuptaska... taka ładna... Wyślę detektywa Dooleya do jej rodziców. Pewnie stawią się później w szpitalu, żeby dokonać oficjalnej identyfikacji. Załatwię sprawy tu w sądzie, a potem się do pana odezwę.

– Zrobiła pauzę i dodała: – Czasem chce mi się głośno kląć, Ailbe, wie pan, co mam na myśli? To wszystko jest takie bezsensowne. Takie smutne.

– Owszem – przytaknął doktor O'Brien. – Ale w końcu tak to jest w życiu. Ja widuję dowody tego codziennie, rozciągnięte na stole. Młode i stare, ładne i mniej ładne. Ma pani całkowitą rację, Katie. Bezsensowne to i smutne.

\* \* \*

Kiedy Katie wpadła do sali sądowej, prokurator Finola McFerren rozmawiała właśnie z woźnym sądowym o twarzy czerwonej jak burak i na widok nadkomisarz uniosła z ulgą brwi.

– Och, zdążyła pani! Bogu dzięki! A już myślałam, że będę musiała poprosić o odroczenie.

– Pani nadkomisarz gotowa? – odezwał się woźny i skinął głową na siedzącego z boku pomocnika, by podszedł do sędziego i oznajmił mu, że przesłuchanie może się rozpocząć.

Katie zobaczyła Michaela Gerrety'ego, który siedział w boksie obok funkcjonariusza Gardy. W białej koszuli, fioletowym krawacie i granatowym garniturze od znanego projektanta był przystojny jak zwykle; miał szeroką twarz i falujące kasztanowe włosy. Do klapy przypiął różową wstążkę na znak poparcia dla kampanii walki z rakiem piersi w Irlandii. Jezu, pomyślała Katie, ten facet nie omieszka wykorzystać żadnej sztuczki.

Nawet na nią nie spojrzał, choć wiedział oczywiście, że Katie mu się przygląda; ziewnął, jakby miał pewność, że przesłuchanie jest całkowicie daremne i że sąd tylko marnuje jego czas.

– Nie musi pani... proszę nie zawiadamiać sędziego – odezwała się Katie. – Wycofujemy zarzuty, od razu.

– Co? – zdziwiła się Finola. Była to wysoka kobieta podobna do jastrzębia i nawet na siedząco wywoływała lęk, zwłaszcza z peruką na głowie. Wzięła do ręki rozłożone na blacie papiery i zmieła je ze złością. – Pani detektyw nadkomisarz! Przygotowania do tej sprawy zajęły nam całe tygodnie. Tygodnie! Myślałam, że ostrzy sobie pani zęby na Gerrety'ego. Co się zmieniło?

– Roisin Begley znaleziono utopioną. Pięć minut temu dzwonił do mnie patolog.

Prokurator upuściła papiery na stół.

– Matko Boska! To koszmar jakiś. Zawiadomiono już rodziców?

– Wysłałam do nich detektywa. Później sama się do nich wybiorę.

– A więc to koniec? – wtrącił woźny. – Posiedzenia sądu nie będzie?

– Wobec faktu, że jedyna powódka zmarła, nie – odparła Katie.

– Hm, przykro mi to słyszeć. Pójdę zawiadomić pozwanego.

Finola McFerren wstała, zdjęła perukę i zaczęła zbierać dokumenty.

– Czy to było samobójstwo? – spytała. – Zostawiła list czy coś w tym rodzaju?

– Jeszcze mi nic nie przekazano – odpowiedziała Katie. – Jeśli zostawiła, to pewnie znajdziemy go w jej domu lub w telefonie.

Przez cały czas intensywnie obserwowała Michaela Gerrety'ego. Chciała zobaczyć jego minę, kiedy woźny oznajmi mu, że prokurator wycofuje zarzuty przeciw niemu. W razie gdyby dojrzała najdrobniejszy sygnał, że Gerrety wie już o śmierci Roisin Begley, byłaby to dla niej zachęta do wszczęcia śledztwa na całego, nawet jeśli dziewczyna zostawiła list pożegnalny.

Michael Gerrety był jednak wystarczająco bystry i nawet jeżeli wiedział o tym, że Roisin Begley nie żyje, tylko zmarszczył lekko brwi, a potem skinął woźnemu głową. Ani cienia uśmiechu. Żadnej nadmiernej reakcji. Jedyne gest oznaczający, że przyjął jego słowa do wiadomości. Kiedy funkcjonariusz wyprowadzał go z boksu, Gerrety odwrócił się do Katie i zobaczył, że mu się przygląda, lecz jego twarz pozostała nieprzenikniona.

– I co robimy? – rzuciła Finola.

– Można zrobić tylko jedno. Prowadzić dalej obserwację Gerrety'ego i czekać, aż popełni następny błąd. Są przestępstwa, w które można kogoś wpuścić, ale sutenerstwo i stręczycielstwo nieletnich dziewcząt do nich nie należą.

Kobiety wyszły z sali. Na schodach Michael Gerrety rozmawiał właśnie z Fionnułą Sweeney z RTÉ oraz z dziennikarzami z „Examinera” i „Echa”.

– Tak, to jest tragedia – prawil. – A dla mnie polega ona również na tym, że już nigdy nie będę mógł udowodnić wszystkim, że nie wykorzystałem tej nieszczęsnej dziewczyny. Roisin była wolnym duchem, pięknym i pełnym życia. Robiła to, co chciała, i nikt nie mógł jej powstrzymać. Nie wiemy jeszcze, jak i dlaczego zginęła, ale mam całkowitą pewność, że nie miało to absolutnie nic wspólnego z Cork Fantasy Girls.

Martin Docherty z „Examinera” uniósł wyżej dyktafon.

– Wszystko to bardzo ładne słowa, panie Gerrety, ale najważniejsze pytanie brzmi, czy uprawiał pan z nią seks.

– Roisin była nieletnia – odparł Gerrety.

– Z całym szacunkiem, ale nie o to pytałem.

– Wiem, ale tylko taką odpowiedź pan ode mnie usłyszysz. Jeśli zasugeruje

pan w swojej gazecie, że utrzymywałem intymne stosunki z nieletnią, to bardzo proszę. Z wielką przyjemnością spotkam się z panem w sądzie. Wniosę przeciwko panu pozew o oszczerstwo.

Do akcji wkroczył adwokat Michaela Gerrety'ego, James Moody, i zarządził koniec pytań. Fionnuala Sweeney tymczasem spostrzegła Katie i z mikrofonem zbiegła do niej schodami; towarzyszył jej kamerzysta.

– Pani detektyw nadkomisarz Maguire! Jako oficer policji na pewno jest pani bardzo poruszona tym, że zarzuty musiały być wycofane.

– W tym momencie porusza mnie jedynie strata cudownego młodego życia – odparła Katie. – Jeśli chodzi o zarzuty przeciwko Michaelowi Gerrety'emu, to mogą one poczekać.

– Ale mówiła pani nieraz, że jest zdeterminowana, by zrobić porządek z seksbiznesem w Cork.

– Tak mówiłam i to się nie zmieniło. Ale to jedyny komentarz, którego mogę w tej chwili udzielić. Dodam tylko, że osobiście złożę kondolencje rodzinie Roisin Begley i wyrażę najgłębsze współczucie w imieniu całej policji miasta Cork.

Michael Gerrety i James Moody wsiedli do lśniącego czarnego mercedesa, który zajechał pod krawężnik. Towarzyszył im ogolony na łyso mężczyzna w nylonowej czarnej kurtce, który wyglądał tak, jakby mógł łamać dachówki w zębach.

Zanim Gerrety schylił głowę, zerknął jeszcze raz na Katie i także tym razem jego twarz była całkowicie pozbawiona emocji.

Katie odgadywała jednak jego myśli. Czy kazałem utopić Roisin Begley? Chciałabyś to wiedzieć.

## Rozdział 19

Riona siedziała na fotelu na kółkach, a Dermot szukał czegoś w płóciennej torbie, raz po raz wciągając nosem powietrze.

– My naprawdę myślałyśmy, że robimy dla was to, co najlepsze – powtórzyła siostra Barbara. – Wy, dziewczęta, zbłądziłyście. Rodziny was odrzuciły. Całe przyzwoite społeczeństwo odwróciło się do was plecami. Tylko my byłyśmy przygotowane na to, by was przyjąć i zająć się wami. Co byście bez nas zrobiły?

– O, na pewno byłoby nam ciężko, to na bank – odparła Riona. – Niektóre może nawet nie poradziłyby sobie, gdybyście nie dały nam dachu nad głową. Ale czy przyszło wam kiedyś do łbów, że nie jesteśmy kobietami upadłymi, tylko młodymi głupiutkami dziewczynami, których jedyna wina polegała na tym, że uległy uczuciom, którymi sam Bóg nas obdarzył?

– Nigdy was nie osądzałyśmy! Otwierałyśmy dla was serca!

– Wcale nie, wy świętoszkowate hipokrytki! Przez was nasze życie było nie do zniesienia! Zamiast nas przyjmować, powinnyście wytłumaczyć naszym rodzicom, żeby okazali nam trochę chrześcijańskiego przebaczenia, zamiast wlec nas do Świętej Małgorzaty i wyrzekać się nas. Moja własna matka rzuciła we mnie walizką, walizka się otworzyła i wszystkie rzeczy wysypały się na ziemię, a padał deszcz.

– Musisz zrozumieć, że ściągnęłaś na nich wstyd. Nie możesz temu zaprzeczyć. Ich znajomi i sąsiedzi nigdy więcej by się do nich nie odezwali.

– No to może trzeba było iść do znajomych i sąsiadów i powiedzieć im, żeby i oni okazali nam trochę miłosierdzia. O tak, pewnie wmawiałyście sobie, że postępujecie jak święte, a tymczasem w zgodzie ze wszystkimi potwierdzałyście, że jesteśmy szmatami. A co z chłoptasiami, którzy nas przelecieli? Żadnego nie zamknęli w klasztorze, nie kazali mu harować za darmo jak niewolnikowi. Gdzie były pralnie dla chłopców, którzy nie umieli trzymać zapiętych rozporków?

Dermot wy dobył z torby sekator zębatkowy, jakich ogrodnicy używają do ścinania grubych i twardych gałęzi. Podszedł z nim do łóżka, tnąc powietrze, a potem uniósł lewą rękę. Siostra Barbara zobaczyła, że z małego palca została mu tylko połowa.

– Szkoda, że takiego nie miałem, kiedy sobie upierdzieliłem palucha. Nie przecinają do końca, nie za pierwszym razem.

Siostra Barbara spojrzała na niego z niepokojem, ale on tylko wyszczerzył do niej swoje krzywe zęby.

– Co wy chcecie zrobić? – spytała chrapliwym szeptem.

Odpowiedziała jej Riona:

– Odebrałyście nam dzieci, siostrzo Barbaro. Nasze dzieci. Nasze maleństwa. Nie wiem, ile z nich zaniedbałyście tak, że zmarły, ale wiem, że było ich więcej niż kilka. A nawet jeśli zdołały przeżyć, kradłyście je nam, kradłyście je z kołyszek i wysyłałyście do adopcji. Na metrykach urodzenia zmienialiście nazwiska. Zmienialiście nawet daty i miejsca urodzenia, żeby kiedy dorosną, nie mogły nas odnaleźć. Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile ściągnęłyście cierpienia? Nie tylko na nas, ale także na nasze pociechy? Wiesz, ile łez przelałyśmy i wciąż przelewamy z waszego powodu? Samymi łzami mogłybyśmy zapełnić dwa razy Atlantyk!

– Nie byłyście odpowiednimi i przyzwoitymi matkami – odparowała zakonnica gniewnym głosem. – One nawet do was nie należały, te dzieci. Należały do Boga. Dlatego oddawałyśmy je do adopcji.

– A te, które pomarły na zapalenie płuc, gripę albo udusiły się ciastkami, których nie powinno się im dawać? Co z nimi?

– One także były Bożymi dziećmi. Nie waszymi. To Bóg postanowił je zabrać z powrotem w swoje ramiona. Kim ty jesteś, by zarzucać mu, że oszczędził im koszmarne życie?

– Kto był tym Bogiem i wiedział, czy ich życie będzie koszmarne, czy nie? A nawet jeżeli miałyby być koszmarne, to czy nie uczyłyście nas zawsze, że trzeba znosić najgorsze cierpienia, i na tym właśnie polega świętość?

– Tak, to akurat jest prawda – zgodziła się siostra Barbara. – Więc dlaczego się teraz skarżysz?

– Bo ja nigdy nie udawałam świętej tak jak ty i twoje siostrzyczki – odparła Riona. – Ale teraz dam ci szansę pokazać mi, jaka jesteś święta. – Wstała, podeszła do łóżka i usiadła tuż obok zakonnicy.

– Co zamierzacie zrobić?

– Pamiętasz, jak mój Sorley był malutki? Jak przychodziłaś wieczorem do dormitorium i śpiewałaś mu pioseneczkę?

– Nie, przykro mi. Nie pamiętam ciebie ani twojego synka. Tak wiele było dziewcząt. Tak dużo dzieci.

– Dostawałam alergii, kiedy to robiłaś. Do nas, dziewcząt, mówiłaś tak, że aż mi się zęby zaciskały. Ale co mogłam zrobić? Ja piętnastolatka, a ty świątobliwa siostra. Przecież nie mogłam ci powiedzieć, żebyś się odpierdoliła.

– Co to była za piosenka?

Riona nachyliła się nad nią i chwyciła ją za chude nadgarstki z niebieskimi żyłkami. Przygniotła je mocno do materaca z końskiego włosia. Zbliżyła twarz do twarzy zakonnicy, ich nosy prawie się stykały; siostra Barbara mrugała i było widać, że trudno jej skupić wzrok.

Duże piersi Riony naciskały jej klatkę piersiową, tak że wyczuwała pod swetrem druty mocnego usztywniającego stanika.

– Wiesz co, siostrzo Barbaro? Cuchnie ci z gęby. Cuchnie jak zgniły kurczak,

jak stara torba. Ale wiesz, czym śmierdzi najbardziej? Twoim ścierwem.

– Nieważne, co mi zrobisz – powiedziała zakonnica, wodząc wzrokiem na wszystkie strony, byle tylko nie patrzeć prosto na Rionę. – Święta Anastazja powiedziała swoim oprawcom, żeby robili najgorsze, bo to znaczyło, że tym rychlej pójdzie spotkać się z Jezusem.

– *Małe gołe stópki, białe, z dołeczkami* – odrzekła Riona.

– Och, ta piosenka! – zdziwiła się siostra Barbara. – Oczywiście, że pamiętam! Ale śpiewałam ją wszystkim dzieciom, nie tylko twojemu!

– *W długiej nocnej koszulce* – ciągnęła Riona, dalej wpatrując się z bliska w oczy siostry Barbary. – *Daj, policzę ci te malutkie różowe paluszki... różowe jak muszelki albo i różyczka.*

Zawiesiła głos. Nie odwróciła się do Dermota i nie dała mu żadnego sygnału, on jednak sięgnął ręką w dół i chwycił lewą stopę siostry Barbary. Ta wierzgnęła nogą, żeby ją wyrwać, ale Dermot był o wiele za silny i nie poruszyła stopą ani o milimetr, jakby była sparaliżowana. Rozłożył zakrzywione ostrza sekatora i wsunął między nie jej paluch.

– Nie! – zawołała. – Nie róbcie tego, proszę! Przyznaję, że wtedy przed laty nie przebaczyłam ci twojego grzesznego postępowania, ale teraz przebaczam! Przebaczam! Będę się modliła za ciebie i twojego syna codziennie do końca życia!

– Że co? Zdawało mi się, że święta Anastazja kazała oprawcom uwijać się z robotą.

– To były inne czasy, Riono, inne miejsce. To było w trzecim wieku, tam gdzie teraz jest Serbia.

– A co to za różnica? Ból to ból, siostruniu Barbaro, nieważne, kiedy go czujesz i gdzie. Myślisz, że cierpiałam mniej niż Anastazja, kiedy traciłam mojego Sorleya? Pewnie bardziej, bo mój ból trwa od ponad czterdziestu lat.

– Błagam cię, żebyś tego nie robiła. Czemu to się przysłuży?

– To jest twoja kara, taki jest cel! – odparła Riona. – Nie uważasz, że swoim postępowaniem zasłużyłaś na karę?

– Jeśli zrobiłam coś złego, Bóg mnie za to pokarze!

– Przy założeniu, że Bóg istnieje.

– Oczywiście, że istnieje! Cóż ty pleciesz?!

– Tak, ale założmy, że nie istnieje. Jeśli Boga nie ma, pójdziesz do grobu bez kary, a tej myśli bym nie zniosła. Nie sądzisz, że to okropnie bolesne wiedzieć, że tak wiele siostrzyczek z Bon Sauveur już sobie pomarło, a ja nie miałam szansy dopiec im tak, jak one mnie dopiekły?

Zapadła długa cisza. Zakonnicy najwyraźniej nie przychodziła do głowy żadna riposta. Zaczęła łapać powietrze w krótkich i płytkich oddechach, trochę dlatego, że biust Riony napierał mocno na jej klatkę piersiową, a po części z przerażenia.



– *Pierwszy to pani, co w słońcu sobie siedzi* – śpiewała bardzo cicho Riona.

– Proszę – wykrztusiła siostra Barbara, ale właśnie w tej chwili Dermot ścisnął rączki sekatora i ostrza przecięły skórę i mięso dużego palca.

Zakonnica drgnęła i wydała dźwięk, który bardziej przypominał śmiech niż okrzyk bólu. Dermot nacisnął po raz drugi i sekator przebił do połowy kość. Rozległo się chrupnięcie, które można by było pomylić z odgłosem towarzyszącym odcinaniu grubej gałęzi drzewa.

Tym razem siostra Barbara wrzasnęła. Dźwięk był tak wysoki, że niemal przekraczał zakres ludzkiego słuchu i bardziej niż z bólu brał się ze świadomości zakonnicy, że utraci palec.

Dermot zacisnął sekator trzeci raz. Dało się słyszeć następne chrupnięcie, trysnęła krew i palec spadł na materac.

– Panie mój, Święta Boża Rodzicielko, święta Anastazjo, ocalcie mnie przed tym czyścem – wymamrotała siostra Barbara i Riona poczuła, że zakonnica spluwa jej w twarz. Chciała zetrzeć ślinę, ale była zdeterminowana, by utrzymać siostrę Barbarę unieruchomioną. W młodości zaznała od niej o wiele gorszych rzeczy niż opluwanie i zniesie to, aż razem z Dermotem z nią skończą.

– *Drugi to maluszek* – śpiewała.

– O Boże, proszę, o Boże, proszę! Nie róbcie tego, o Boże, proszę! – zawodziła zakonnica. Dermot jednak wziął między ostrza sekatora drugi palec i obciął go dwoma cięciami. Zakrwawił sobie dłonie, więc otarł je o materac.

Siostra Barbara krzyknęła „oj!”, a potem znowu „oj!” i jeszcze raz „oj!”. Ból był tak wielki, że nie potrafiła jasno myśleć, a tym bardziej prosić tych dwoje, żeby przestali ją dręczyć. Riona musiała użyć wszystkich sił i całego ciężaru ciała, by utrzymać ją w pozycji leżącej.

– ...*a trzeci to zakonnica!* – zaśpiewała, ze złością akcentując słowo „zakonnica”.

W tym momencie Dermot odciął trzeci palec. Twarz siostry Barbary pobladła tak bardzo, że przypominała pomarszczonego ducha, oczy powędrowały ku górze, tak że widać było jedynie ich białka. Nadal była jednak przytomna, bo co jakiś czas wykrzykiwała „oj!” i „och!” i wydawała krótkie urywane wrzaski.

– *Czwarty to lilija z piersią niewinności* – zaśpiewała Riona.

Trach. I trach.

– Szczypce, coś pięknego – zachwycił się Dermot. – Sam będę se musiał takie zafundować.

– *Piąty to ptaszek, co w gniazdeczku śpi.*

Trach i mały palec siostry Barbary odpadł od stopy.

Znowu zapadła cisza.

– Co dalej? – zapytał Dermot po chwili.

– A jak myślisz? Ma dziesięć palców, nie? Zaśpiewam jej na bis.



## Rozdział 20

Katie zamierzała wyjść wcześniej z komendy, ale zanim się uporała z papierkową robotą, było już po szóstej i zachodziło słońce. W weekend zegary zostaną cofnięte i w niedzielę o tej porze od prawie godziny będzie już ciemno. Nienawidziła wczesnych zimowych wieczorów. Zawsze jej przypominały, że Seamus nie dożył drugiej Gwiazdki.

Zamknęła teczkę na biurku i wstała. Akurat wtedy wszedł detektyw Dooley.

– O, jak dobrze, że panią złapałem. Właśnie wracam od Begleyów.

– Jak oni to przyjęli? Chociaż nie wiem, czy muszę o to pytać.

– Ogólnie bardzo źle. Pani Begley jest w okropnym stanie. Zostawiłem u niej psychoterapeutkę, żeby ją chociaż trochę uspokoiła.

– Zobaczę, może jakoś uda mi się do nich jutro zajrzeć, ale naprawdę nie wiem, czy warto się narzucać.

Dooley uniósł przezroczystą foliową kopertę z arkuszem papieru w środku.

– Roisin zostawiła list. Leżał wsunięty pod poduszkę w jej pokoju, więc znaleźli, kiedy było już za późno.

Podał kartkę Katie. Był to arkusz formatu A4 w linie, wyglądał jak wydarty ze szkolnego zeszytu. Pismo było duże i kulfontaste, zrobione niebieskim tuszem.

*Drodzy Mamo i Tato, Shauno, Keevo i Tomie, znienawidzicie mnie, wiem, ale nie dam rady iść do sądu i opowiadać wszystkim, co robiłam. Kocham Was wszystkich bardzo, ale wolalabym się wcale nie urodzić. Wszystko było nie tak w mojej głowie i tylko w jeden sposób mogę to naprawić, to znaczy zgasić światło raz na zawsze. Spróbujcie dobrze o mnie myśleć. Kocham Was, kocham. Kocham Was bardzo*

*Roisin*

XXXXX

Katie odczytała tekst ponownie i go zwróciła.

– Boże... – powiedziała. – Chce mi się płakać. Biedna dziewczyna.

– Wziąłem jeden jej zeszyt, żeby grafolog miał z czym porównać charakter pisma. Technicy będą szukali odcisków i próbek DNA, ale wątpię, czy wiele znajdą.

– Dziękuję, Robercie. Przykro mi, że musiał pan spełnić ten obowiązek i przekazać wiadomość rodzinie.

– Nie, bardzo dobrze, że mnie pani do nich wysłała. Jej rodzice wiedzieli, że to ja wyciągnąłem ją z tego tak zwanego salonu masażu, więc to ja powinienem do nich pójść. Piękna z niej była dziewczyna. Tylko za bardzo niesforna na swoje nieszczęście.

Katie włożyła płaszcz. Resztki promieni wieczornego słońca padały na zielone tafle szyb Elysian Tower; widać było światła zapalone w mieszkaniu Michaela Gerrety'ego na ostatnim piętrze. Zastanawiała się, co się teraz dzieje w jego głowie, czy pamięta o Roisin Begley, czy też zdążył już całkowicie wymazać ją z sumienia. Bez względu na to, czy ta dziewczyna naprawdę sama się utopiła, czy nie, i tak ponosił za to odpowiedzialność.

– Wszystko gra? – zatroszczył się detektyw Dooley.

– Tak, pewnie, dziękuję, Robercie. Jestem po prostu trochę zmęczona.

– Pamięta pani, co mi pani powiedziała pierwszego dnia, jak tu przyszedłem? Zgasła lampkę na biurku.

– Nie, nie pamiętam.

– Powiedziała pani: „Nie uda się panu zadbać o wszystkich, trzeba jak najlepiej zająć się tymi, którymi może się pan zająć”.

– Ja coś takiego mówiłam? Bardzo filozoficzne jak na mnie.

– I jeszcze tak pani powiedziała: „Diabeł często ma buźkę aniołka”.

Katie zamknęła drzwi gabinetu i ruszyli oboje korytarzem.

– Moja babcia tak mawiała. Wydaje mi się, że miała na myśli miejscowego księdza, ale jest to równie prawdziwe w odniesieniu do kryminalistów. I polityków. Oraz komisarzy niektórych komendantów.

I jeszcze do niejakiego Davida Kane'a, który mieszkał po sąsiedzku i mnie zapłodnił.

\* \* \*

Kiedy dojechała do domu, Johna nie było, ale zostawił światło na ganku i zapaloną lampę stołową w salonie, a także zaciągnął zasłony.

Na stole w kuchni leżała kartka:

*Pojechałem do Bishopstow. Niedługo wrócę. Barney był już na spacerze. Upiekłem moją pikantną pieczeń. Kocham Cię, det. nadkom!*

Katie zdjęła szary tweedowy kostium i włożyła džinsy i powyciągany biały sweter. Dżinsy robiły się ciut za ciasne w pasie, więc nie zapięła górnego guzika, ale sweter go zakrywał i miała nadzieję, że John nie zauważy. Usiadła w salonie ze szklanką tanory i włączyła telewizor. Przed chwilą zaczął się serial *Fair City*, ale opuściła już tyle odcinków, że nie mogła rozwikłać, co robi Callum, żeby dopomóc Dermotowi i Jo.

Skakała więc po kanałach, szukając czegoś innego do oglądania, kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód Johna. Poszła mu otworzyć, a Barney podskakiwał radośnie u jej nóg.

John wszedł z czarną teczką dla plastików, szeroką na ponad metr. Zaniósł ją do salonu i oparł o kanapę, a następnie zdjął brązową sztruksową kurtkę i powiesił w holu. Katie objęła go i pocałowała, a on odwzajemnił pocałunek.

– No więc po co pojechałeś do Bishopstown? – spytała.

Wszedł do salonu, targając sobie ręką włosy.

– Właśnie po to pudło na kanapki gigant.

– Och, przestań się wygłupiać.

– To są moje rysunki i obrazy. Kiedy sprzedałem farmę, dałem je na przechowanie Williamowi O’Brienowi. Zawsze sobie wyobrażałem, że po wyjeździe do San Francisco będę tak zapracowany, że na sztukę zabraknie mi czasu. Ale teraz... hm... wróciłem, mam sporo wolnego czasu, więc znowu mogę się tym zająć. I jestem na tyle próżny, że pomyślałem, że zechcesz rzucić okiem.

– Nigdy mi nie wspomniałeś, że masz uzdolnienia plastyczne – odparła Katie.

– W domu na ścianach wisiało kilka moich pejzaży i portret mamy, Panie, świeć nad jej duszą.

– Tak, pamiętam je. Ale nie wiedziałam, że ty je namalowałeś.

– Zawsze lubiłem rysować. W szkole byłem najlepszy z plastyki. Spójrz.

Rozpiął teczkę i ją otworzył. Wewnątrz znajdowało się dwadzieścia albo trzydzieści arkuszy papieru rysunkowego ze szkicami pól, drzew i ludzi w pubach. Uniósł je i pod spodem ukazało się co najmniej dziesięć obrazów olejnych – pejzaży, scenek z rzeką oraz portretów miejscowych, przeważnie kobiet. Wszystkie były w posępnych odcieniach szarości i zieleni; John świetnie zdołał uchwycić szarzyznę Cork w mokre pochmurne dni, a jego portrety były pieczołowicie dopracowane. Siedzący ludzie wyglądali, jakby za chwilę mieli otworzyć usta i przemówić.

– Są fantastyczne – pochwaliła Katie. – Nie miałam pojęcia, że jesteś tak utalentowany!

Przejrzała wszystkie po kolei, aż doszła do ostatniego, który przedstawiał nagą chudą dziewczynę wyglądającą przez okno na deszczowy ogród. Miała długie ciemne włosy związane szarą aksamitną wstążką i skromnie obracała się twarzą w stronę malarza.

– Kto to taki? – zainteresowała się Katie.

– Hm... to moja była, Belinda.

– Bardzo ładna dziewczyna.

– Ładna, owszem, ale kłótniwa. Cokolwiek powiedziałem, ona miała inne zdanie. Ja na przykład mówiłem, że serek to sweterek, a ona, że serdelek.

Katie parsknęła śmiechem.

– Całkiem jak moja siostra Moirin. Nie zgadza się ze mną dla zasady. Zjadłaby na śniadanie miskę pajaków, gdybym jej powiedziała, że nie cierpię ich smaku.

John schował ostrożnie obrazy i rysunki do teczki i ją zamknął.

– Wiesz co, Katie? To ty mnie zainspirowałaś, żeby wrócić do malowania.

– No co ty? Niby jak?

– Mówię poważnie. Chciałbym ci pokazać, jak bardzo cię kocham, i pomyślałem, że jeśli będę cię mógł namalować, to może udowodnię, jak zależy mi na tym, żeby z tobą być. A poza tym, cholera, jesteś taka piękna! Naprawdę chcę uczcić tę urodę portretem.

– Ale chyba nie aktem, tak jak Belindę? – dociekała Katie.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli pozwolisz. Masz fantastyczne ciało.

– Ostatnio przybrałam na wadze. Za dużo placków ziemniaczanych w bufecie.

– Ależ skąd! Wspaniale wyglądasz. Wcale nie masz nadwagi.

– John, jestem oficerem Gardy. Mam wątpliwości, czy pozowanie do portretu na golasa mi przystoi. Wyobraźmy sobie, że taki obraz wpadłby w czyjeś ręce.

– Czyje na przykład? Powiesimy go na ścianie w sypialni i będziemy mieli dla siebie. Katie, skarbie, ja cię kocham, szaleję za tobą, a to sprawiłoby mi ogromną radochę. Muzycy piszą piosenki o swoich ukochanych, prawda? *Lady in Red*, *Wonderful Tonight*, *Layla* i tym podobne. Namalowanie tego obrazu byłoby dla mnie tym samym.

– No, nie wiem, John. Ja też cię kocham. Naprawdę. Ale może w tej ślicznej sukience od Sarah Pacini, którą kupiłam w zeszłym tygodniu. A może tylko głowę i ramiona.

Przytulił ją i zaczął całować.

– Katie Maguire, chcę cię gołą, taką, jaka jesteś – powiedział po chwili. – Chcę cię namalować centymetr po centymetrze.

Uśmiechnęła się i go pocałowała.

– Daj mi się zastanowić – poprosiła.

– No pewnie. Pomyśl, ale potem musisz się zgodzić. Będę czekał na ciebie z paletą w dłoni i pędzlem w pogotowiu.

Katie roześmiała się i szturchnęła go.

– Jesteś seksmaniakiem, wiesz?

– A jak uważasz, dlaczego nim jestem? – odpowiedział pytaniem John. – Wszystko przez ciebie.

\* \* \*

Około drugiej w nocy John sięgnął ręką do koszuli nocnej Katie i ją uniósł. Pogładził ją po udzie, a potem dotknął biodra.

– Nie, John, proszę – szepnęła i ściągnęła koszulę w dół.

– Co się stało? Kiedy się ostatnio kochaliśmy?

– Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać. Powiedz tylko, co się stało. Zrobiłem coś? Zdenerwowałaś się, bo chcę cię namalować? Czy o to chodzi?

Odwróciła się i pogładziła go po kłującym policzku.

– Nie, skąd. Tylko że ostatnio mam w pracy jeden wielki koszmar. Zastrzelili Kenny’ego Horgana, a dzisiaj ta afera z Roisin Begley.

– Jaka afera?

– Znaleziono tę dziewczynę w rzece. Wygląda, że popełniła samobójstwo, bo nie była w stanie zeznawać w sądzie przeciwko Michaelowi Gerrety’emu.

– O Jezusie, Katie. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nic dziwnego, że jesteś roztrzęsiona.

– Nie lubię przenosić pracy do domu. Mam opowiadać przy kolacji o tym, że ktoś rozkwasił sobie twarz o szybę samochodu albo że udusił się własnymi wymiocinami?

Przyciągnął ją do siebie, pocałował w czoło i pogładził palcami po włosach. Pomyślała, że fryzjer obciął je za krótko.

– Hej – odezwał się John na amerykańską modłę, którą podłapał w czasie pobytu w San Francisco. – Wiedziałem od początku, z czym musisz się mierzyć. Już na samą myśl o tym, co się stało w Knocknadeenly, człowiek do końca życia może się budzić z krzykiem. Pociąć kobiety w taki sposób... nadal mi się to śni.

– Przepraszam – powtórzyła Katie.

– Nie przeproś. Uwierz mi, za nic nie musisz przeproszać. Ale kocham cię, skarbie, podniecasz mnie i chcę myśleć, że może nam być razem naprawdę dobrze.

Powiedz mu, że jesteś w ciąży.

Nie mogę, nie teraz. Jestem zbyt zmęczona i zestresowana, on też jest zestresowany, mimo że stara się mówić spokojnie i mnie pokrzepiać.

Przez chwilę bez słowa trzymali się w objęciach. Gdzieś w oddali, w Cobh, zegar wybił trzecią; za dnia nigdy go nie słyszała. Zegar dla samotnych i tych, co nie mogą zasnąć.

Dotknęła znów policzka Johna.

– Zgoda – powiedziała.

– Na co?

– Będę ci pozowała.

– Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek na siłę.

– To nie będzie na siłę. Ale wiesz, że nie dam rady siedzieć całkiem bez ruchu? Mama zawsze mnie nazywała Duszką Wiercipiętą. Ale się postaram, słowo. Ty tego chcesz, a jeśli ty chcesz, to i ja. Kocham cię, John. Nigdy o tym nie zapominaj, bez względu na wszystko.

Pocałował ją.

– A wiesz, co moja mama mówiła do taty? „Czasem nie mogę patrzeć na

twoją gębę, ale żyć bym bez ciebie nie mogła”.

– Bardzo romantyczna kobieta z niej była, z tej twojej mamy, co? A teraz muszę się trochę przespać.



## Rozdział 21

Następnego dnia o wpół do dwunastej na Anglesea Street zjawili się dwoje śledczych z biura rzecznika w Dublinie. Katie rozmawiała właśnie przez telefon z doktorem O'Brienem. Zapukali do otwartych drzwi jej gabinetu, a ona zaprosiła ich machnięciem ręki.

Usiedli na krzesłach naprzeciwko jej biurka i posłali jej niezręczne uśmiechy. Oboje byli w szarych strojach – kobieta w szarym kostiumie ze spodniami, mężczyzna w szarym garniturze. On miał klatkę piersiową jak dębowa beczka, czerstwe, rumiane policzki i tłuste włosy zaczesane do tyłu. Ona była bardzo szczupłą kobietą, z dużym nosem o dziwnym kształcie i ze smutnymi oczami, jakby w każdej chwili miała się rozsłochać. Jedno z nich pachniało jakąś maścią, ale Katie nie wiedziała które.

– Zakończyłem już autopsję Roisin Begley – oznajmił doktor O'Brien. – Nadal czekam na wyniki badań mieszków włosowych na obecność środków farmakologicznych. Powinienem je dostać jutro po południu lub pojutrze. W krwi i moczu brak jest narkotyków i alkoholu. Może pani przekazać Begleyom, że pracownicy firmy pogrzebowej mogą już przyjechać i zabrać ciało.

– Bardzo dziękuję, Ailbe. Proszę się odezwać, jak tylko będzie pan miał wyniki badań włosów.

Katie odłożyła telefon i obeszła biurko, żeby uścisnąć dłonie swoim gościom.

– Jestem Enda Blaney, a to mój zastępca Partlan McKey – powiedziała kobieta z ostrym akcentem rdzennego mieszkańca północnego Dublinia. – Mamy się zająć zbadaniem skargi złożonej przeciw pani przez byłego pełniącego obowiązki komendanta Bryana Molloya.

– Rozumiem – rzuciła Katie, siadając. – Uprzedził mnie o tym komendant MacCostagáin, poza tym otrzymałam państwa e-mail. Nie pojmuję tylko, dlaczego złożył tę skargę w komendzie głównej i na jakiej podstawie państwo zajmujecie się tą sprawą. Myślałam, że rozpatrujecie wyłącznie publiczne zażalenia na funkcjonariuszy Gardy.

– Owszem, to prawda – potwierdziła Enda. – Ale przypadek Bryana Molloya należy, że się tak wyrażę, do szarej strefy, bo on odszedł z Gardy i w sensie prawnym jest teraz cywilem.

– Może i tak, ale jego zażalenie odnosi się do okresu, w którym był czynnym funkcjonariuszem.

– I właśnie dlatego wspomniałam o szarej strefie. Niestety, jest jeszcze jedna komplikacja. Otrzymaliśmy inną skargę związaną z tamtą, od niejkiej Jilleen Quaid. Otóż twierdzi ona, że wymusiła pani na niej fałszywe zeznanie, jakoby jej

brat Donie został wynajęty przez Bryana Molloya do wykonania wyroku na gangsterze z Limerick, Niallu Dugganie.

– Wymusiłam? Niby w jaki sposób? Złożyła mi zeznanie z własnej nieprzymuszonej woli. Przekazała mi pistolet, który Bryan Molloy dostarczył jej zmarłemu bratu, żeby ten mógł zastrzelić Nialla Duggana, i list, w którym Donie przyznawał się do swojego czynu. Nadal są w moim posiadaniu.

Partlan otworzył bladozieloną kopertę, którą trzymał na kolanach.

– Pani Quaid oświadczyła nam, że zanim spotkałyście się w barze Cauldron w Limerick, nigdy nie widziała ani pistoletu, ani żadnego listu – oznajmił. – Powiedziała jej pani, że postawiła sobie za cel usunięcie Bryana Molloya ze stanowiska nadkomisarza pełniącego obowiązki komendanta i że jeśli ona pomoże pani udowodnić, że zapłacił Doniemu Quaidowi za zamordowanie Nialla Duggana, to będzie jego koniec. Użyła pani słów: „Będzie wyrolowany”.

– Wybacz pan, ale to są jakieś bzdury – odparowała Katie. – Wątpię, czy kiedykolwiek użyłam słowa „wyrolowany”. Poza tym mam bardzo wiarygodnego świadka. Jilleen Quaid przedstawił mi Gary Cannon, były sierżant z Henry Street, który siedział obok mnie w Cauldron, kiedy Jilleen wręczała mi pistolet i list.

Enda pociągnęła się za koniec nosa, jakby nieco zaskoczona faktem, że wciąż go ma.

– Wiemy o tym, pani detektyw nadkomisarz. Pani Quaid powiedziała nam, że to były funkcjonariusz Gardy, sierżant Cannon, umówił was ze sobą. Z przykrością jednak informuję panią, że w zeszły czwartek znaleziono go martwego w jego domu.

– Nie żyje? Jak do tego doszło?

– Wygląda na samobójstwo – odparł Partlan. – Wypalił sobie w usta ze strzelby. Prawie urwało mu głowę.

– Zostawił list?

– Wie pani równie dobrze jak my, że zaledwie jeden samobójca na sześciu zostawia list – odrzekła Enda. – Cannon nie zostawił.

– Czy on był żonaty?

– Owszem. Jego żona mówiła, że wpadł w depresję, bo nie mógł znaleźć pracy. Poza tym zdaje się, że miał poważne długi hazardowe.

– Rozmawiał z żoną o Bryanie Molloyu? Albo z którymś ze znajomych?

– Nie przepadał za Bryanem Molloyem. Obarczał go winą za utratę posady na Henry Street. Może to był powód, dla którego tak ochoczo pomógł pani znaleźć fałszywe poszlaki świadczące przeciwko Bryanowi Molloyowi.

– Zaraz, chwileczkę – rzuciła Katie. – Mówicie tak, jakbym naprawdę sfalszowała dowody przeciwko niemu, a ja tego nie zrobiłam. Nasi technicy poddali ten pistolet analizie i potwierdzili, że była to broń należąca do funkcjonariusza Gardy i że spiłowano z niej numer seryjny, ale nie pochodziła

z Limerick. W komendzie miejskiej Gardy w Tipperary pobrał ją na swoje nazwisko komisarz Colm McManus i tak się składa, że był on kolegą Bryana Molloya z łąki masońskiej i grywali razem w golfa. Komisarz McManus utrzymywał, że zgubił ją podczas pościgu za podejrzanym nad brzegiem rzeki Ara. Ale najwyraźniej nie mówił prawdy.

– Odbyla pani rozmowę z komisarzem McManusem? – spytała Enda Blaney.

– Nie. To jeszcze jeden martwy świadek, mówię to z przykrością. Komisarze Gardy odchodzą w najróżniejszy sposób, ale on zatruł się tlenkiem węgla podczas urlopowej wycieczki przyczepą turystyczną do Killorglin.

– A więc nie ma nikogo, kto mógłby podważyć zeznanie Jilleen Quaid przeciwko pani?

Katie była coraz bardziej zniecierpliwiona tym przesłuchaniem, lecz usilnie starała się trzymać złość w ryzach.

– Na to wygląda, ale dowody rzeczowe są jednoznaczne bez względu na to, czy mam żywych świadków, czy nie. Mam list Doniego Quaida i mogę poddać analizie grafologicznej charakter pisma, by potwierdzić, że to on go pisał. Ale najważniejsze, pocisk wyjęty z ciała Nialla Duggana z całą pewnością wystrzelono z pistoletu, który jest jednym z posiadanych przeze mnie dowodów, a skąd bym go wzięła, gdyby nie dała mi go Jilleen Quaid?

– Mógł go pani dać Gary Cannon – powiedział Partlan. – Tak samo jak pani zależało mu na tym, by Bryan Molloy stracił pracę.

– Może pan sugerować, że dostałam pistolet od Gary’ego Cannona, jeśli jest pan ślepy – odcięła się Katie. – Oczywiście prawda jest taka, że mi go nie dał, a poza tym, skąd by go miał? Jeśli komuś zależało na tym, by ktoś inny stracił pracę, to właśnie Bryan Molloy wykorzystywał każdą okazję, by kopać pode mną dołki. Wystarczy posłuchać, jak się o mnie wypowiadał na konferencjach prasowych, i przeczytać jego raporty.

– Już to zrobiliśmy – oznajmiła Enda. – Wyraża się o pani krytycznie, ale nie bez pewnych podstaw. Mówiąc ogólnie, z powodu źle prowadzonego przez panią śledztwa doszło do szeregu porwań i w konsekwencji dwóch młodych funkcjonariuszy Gardy straciło życie.

Partlan wyjął z kartonowej teczki arkusz papieru i go uniósł.

– Mamy także raport zastępcy komendanta O’Reilly’ego, który potwierdza i podtrzymuje skargę Bryana Molloya. Napisał w nim, że postępowała pani „pochopnie i nieprofesjonalnie, podejmowała niepotrzebne ryzyko bez dostatecznych informacji pozwalających przewidzieć wszystkie możliwe konsekwencje.

– To mnie nie zaskakuje – odparowała Katie. – Zastępca komendanta O’Reilly miał bardzo ważne powody do tego, by się mnie pozbyć, tak jak Bryan Molloy. A tak się składa, że mam list od detektywa komisarza Fennessy’ego, który

potwierdza, że obaj mataczyli. Usiłowali wyłudzać środki z funduszy publicznych.

– Widzieliśmy ten list – powiedział Partlan. – Detektyw komisarz Fennessy miał w tym czasie zaburzenia równowagi psychicznej, co sam przyznaje. I oczywiście nie mamy pojęcia, gdzie teraz przebywa, nie wiemy nawet, czy żyje. W liście wyraźnie sugeruje, że rozważa popełnienie samobójstwa.

Katie już miała odpowiedzieć, kiedy zadzwonił jej telefon. Wzięła go do ręki i warknęła:

– Detektyw nadkomisarz Maguire.

– To ja, pani komisarz, Kyna. Musi pani przyjechać do klasztoru, jak najprędzej.

– Co się stało? Matka O’Dwyer daje się pani we znaki?

– Matka O’Dwyer? Nie. Zamknęła się w gabinecie i z nikim nie rozmawia. Chodzi o to, co znaleźliśmy w ogrodzie. Odkryliśmy nieużywane szambo, pełno w nim dziecięcych kości. Wygląda, że są ich setki. Drugie Tuam, a może i gorzej.

– Zaraz tam będę – powiedziała Katie. – Jest z panią Patrick, prawda?

– Tak, on i sierżant O’Farrell. Zamknął klasztor, ale dyskretnie, żeby nie ściągnąć uwagi mediów.

– Dobrze. Powinam być góra za dziesięć minut.

Odłożyła telefon. Enda i Partlan przyglądali się jej z wyczekiwaniem.

– Muszę się zwijać – oznajmiła Katie. – Sytuacja jest krytyczna, muszę więc państwa najuprzejmiej pożegnać.

– Przyjechaliśmy tutaj specjalnie z Dublina – zaprotestowała Enda Blaney. – Od wielu dni przygotowywaliśmy się do tej rozmowy.

– Wiem, ale zrzędzeń losu nie mogę, niestety, z góry ustalić. Ta sprawa jest o wiele ważniejsza. Poza tym nie mam państwu w zasadzie nic więcej do powiedzenia, przynajmniej na tym etapie. Muszę zobaczyć zażalenie na piśmie w całości, z dowodami, a nie tylko domniemania i bezpodstawne zarzuty. Wtedy porozmawiam ze swoimi prawnikami i odezwę się do państwa.

– Mamy do pani jeszcze wiele pytań, pani detektyw nadkomisarz.

– Może i tak, ale ja w tej chwili nie udzielę państwu dalszych odpowiedzi. Macie umówione jakieś inne spotkania tu w Cork?

– Nie, przyjechaliśmy tylko po to, żeby spotkać się z panią. Wczoraj rozmawialiśmy w Phoenix Park z zastępcą komendanta O’Reillym. Muszę nadmienić, że bardzo nam się to wszystko nie podoba. Chcieliśmy przynajmniej usłyszeć, co ma pani do powiedzenia na temat nękania i zastraszania Bryana Molloya.

– Mówię to całkiem prywatnie – zaczęła Katie. – Ujmę to tak: Jeśli Bryan Molloy skarży się, że ja go nękałam, to równie dobrze irlandzki staffik mógłby powiedzieć, że jakaś pani swoją ostentacyjną bezbronnością sprowokowała go do ugryzienia jej w nogę.

– Irlandzkie staffiki chyba nie mówią – zauważyła Enda Blaney.  
– W takim razie i ja nie będę – odparła Katie. – Na mnie już czas.  
Powodzenia i żegnam państwa.

\* \* \*

Znów siąpił deszcz i dwóch funkcjonariuszy stojących przy bramie klasztoru Bon Sauveur przemokło. Wyglądali żałośnie, ale kiedy Katie wjeżdżała na parking, zasalutowali jej.

Detektyw sierżant Ni Nuallán czekała w ogrodzie na tyłach budynku; w granatowym prochowcu z postawionym kołnierzem wyglądała jak postać z *Władcy Pierścieni*.

Tłoczyło się tam co najmniej trzydziestu rezerwistów i techników, a funkcjonariuszy było jeszcze więcej. Katie widziała blade twarze zakonnic, które śledziły z okien ich poczynania. Sprowadzono małą żółtą koparkę, która podskakując na gąsienicach, przesuwiała się w przód i w tył. Zdzierала murawę z trawnika i odsłaniała mokry szary beton zbiornika. Rozkopano już część klombu i pod murem klasztoru piętrzył się okazały zwal ziem.

Bill Phinner, który podszedł do Katie, tak jak wszyscy pozostali miał smutek na twarzy.

– Trudno w to uwierzyć – powiedział. – Szkielety maluchów w hrabstwie Galway, teraz tutaj. Wygląda na to, że zakonnice miały przeciwioną metodę pozbywania się martwych dzieci.

Zaprowadził ją do miejsca obok klombu, gdzie z szamba zerwano już warstwę trawy. Metalowa kłapa o szerokości około czterdziestu pięciu centymetrów stanowiła wejście do podziemnej komory. Bill zaświecił specjalistyczną latarką w głąb otworu i skinął na Katie.

– Boże... – westchnęła. Komorę prawie po brzegi zapełniała płatanina małych szkieletów. Widziała dziecięce czaszki, drobniutkie klatki piersiowe i miednice jeszcze mniejsze niż ta, którą znaleziono na grzędce kwiatowej. Kyna miała rację: wrzucono tam dziesiątki małych.

Woń była taka, jakiej Katie nigdy jeszcze nie czuła. Zwykle miała wrażenie, że śmierć ma zapach zieleni, ale ten był ciemnobrązowy.

– Mam tylko nadzieję, że były martwe, kiedy je tu wyrzucano.

– Ja także – powiedział Bill. – Ale nie sądzę, by siostry zakonne, nawet te z Bon Sauveur, były tak wyprane z uczuć, żeby wrzucać do szamba żywe maluchy.

– Wydobycie ich stamtąd będzie cholernie ciężkim zadaniem – stwierdziła Katie. – Nie myśli pan chyba o dopasowaniu do siebie wszystkich kości?

– O to właśnie chciałem panią spytać. To dość typowe szambo, czyli takie z trzema komorami, każda o pojemności czterech tysięcy litrów. Jeśli wszystkie są zapełnione kośćmi tak jak ta, Bóg jeden wie, ile jest tu tych szkieletów. Gdybyśmy

chcieli dopasować wszystkie, trzeba by było zrobić analizę DNA prawie każdej kostki. Koszty byłyby astronomiczne. Choćby za same nadgodziny.

– Nie oczekuję od pana, że podejmie pan taką próbę – odparła Katie. – Nawet gdyby udało się panu je wszystkie dopasować, i tak byśmy nie wiedzieli, kim były te dzieci, chyba że zgłosiłyby się do nas ich matki. A te spośród nich, które jeszcze żyją, pewnie miałyby opory przed przyznaniem się, że wydały kiedyś na świat nieślubne dziecko.

Zajrzała ponownie do zbiornika i wydało jej się, że jedna malutka czaszka patrzy na nią z wyrzutem, jakby pytała: „Gdzie ja jestem? Co ja tu robię? Powinam być w małej trumience na cmentarzu, pod płytą z nazwiskiem”. Do jej powierzchni wciąż przyczepione były pojedyncze jasne włoski.

– Będziemy w stanie obliczyć, jak długo tam leżały i w jakim wieku zmarły – zapewnił Bill. – A także ustalić płeć. Dziewczynki po urodzeniu mają znacznie lepiej rozwinięty szkielet niż chłopcy, ale kości chłopców charakteryzuje wyższa gęstość mineralna, a ich kości długie są zazwyczaj większe. Są jeszcze inne badania, jedne bardziej, drugie mniej wiarygodne.

Katie odwróciła się do detektyw sierżant Ni Nuallán.

– Czy w tych księgach, które matka O’Dwyer nam przekazała, są zarejestrowane wszystkie dzieci, które urodziły się tutaj, ale zmarły?

– Nie. Na razie trafiliśmy tylko na rejestr urodzeń. Jeśli w klasztorze przechowywany jest rejestr poronień i zgonów, to matka przełożona nam go nie ujawniła.

Koparka zawarczała i zamilkła, a po chwili dwóch techników zaczęło łomami podważać klapę następnego zbiornika. Po jakichś dwóch minutach zaświecili latarkami do otworu. Detektyw O’Donovan spojrzał w głąb i podszedł do Katie z poważnym wyrazem twarzy.

– Tam też są – oznajmił. – Co najmniej tyle samo, moim zdaniem.

Zbliżyła się do klapy i zajrzała do wnętrza szamba.

– Dobrze – rzuciła. – Róbcie dalej swoje. Chyba przyszedł czas, żebym zamieniła parę słów z matką O’Dwyer.

Usłyszała chrapliwe krakanie. Uniosła głowę i zobaczyła, że kilka wron usiadło na dachu klasztoru i mierzwiło sobie dziobami pióra, strzepując z nich deszczówkę.

## Rozdział 22

Głos siostry Barbary zamienił się w chrapliwy nieprzytomny bełkot, od czasu do czasu przerywany piskami, które brzmiały jak zawodzenie dziecka, a nie okrzyki bólu osiemdziesięcioletniej kobiety. Riona wciąż dociskała ją do materaca, mimo że zakonnica była już półprzytomna i prawie nie stawiała oporu, trzęsła się tylko, jakby miała potworne dreszcze.

Dermot odciął ostatni – duży – palec u jej nogi. Zostawił go na koniec, bo łatwiej było go dobrze uchwycić sekatorem, kiedy sąsiedni został usunięty. I tak musiał ścisnąć rączkami trzy razy, żeby przeciąć kość. Siostra Barbara nie krzyczała już, kiedy to robił, więc chrząst zabrzmiał tym głośniej.

– Gotowe – rzucił Dermot. – Notabene teraz to ona cię już nie zlekceważy. „Będę grzeczna”, powie.

– Czasem mnie zaskakujesz – odparła Riona. – Myślałeś, że ebola to zespół rockowy, a teraz używasz łacińskich zwrotów.

Zbierał skrwawione odcięte palce z łóżka i wrzucał je do foliowej torebki na jedzenie.

– Bracia w Chrystusie mnie wyuczyli. Z tej szkoły wychodziło się z trzema umiejętnościami mniej więcej, a jedną z nich była łacina. Przydawała się jak znalazł, kiedy człek chciał zostać mechanikiem samochodowym albo tynkarzem.

– A te dwie pozostałe jakie były?

Dermot otarł nos wierzchem dłoni, w której dyndała torebka z palcami.

– Sodomia to raz, a dwa, jak się uchylić, żeby śmietana nie prysnęła ci w twarz.

– Ci Bracia w Chrystusie. – Wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby mówiła o karaluchach.

Siostra Barbara jęknęła, zakaszła, oblizała usta i otworzyła oczy.

– Stopy mnie bolą – powiedziała. – Okropnie. Co wyście mi zrobili?

– Notabene. – Dermot uśmiechnął się, unosząc zakrwawioną torebkę i machając nią tak, by zakonnica dobrze ją widziała.

– Mogę prosić trochę wody? – jęknęła.

– Nie – odrzekła Riona.

– Tak bardzo chce mi się pić. Błagam.

– Nie obchodzi mnie, czy język zasechł ci jak farfocel Gandhiego. Masz doświadczyć tego, czego zaznała święta Anastazja. Zawsze chciałaś być męczennicą taką jak ona, prawda? No więc teraz masz szansę.

– Potwornie mnie boli, koszmarnie – skarżyła się zakonnica. Z kącików jej oczu spływały łzy. – Nie zadawaj mi więcej bólu. Teraz rozumiem, jak bardzo was krzywdziłyśmy u Świętej Małgorzaty, odbierając wam wasze maleństwa. Ale

proszę. To było dawno temu i świat, tamten świat bardzo się różnił od tego teraz.

– Pamiętasz obrazek świętej Anastazji, który miałaś zawieszony nad łóżkiem, siostrzo Barbaro? – zapytała Riona. – Któregoś dnia, tydzień przed urodzeniem mojego małego Sorleya, zabrałaś mnie do siebie, pokazałaś ten obrazek i wytłumaczyłaś, co znaczą wszystkie symbole, atrybuty świętej Anastazji. Była tam gałązka palmy symbolizująca pokój i garniec z lekami, bo święta uzdrawiała i czyniła egzorcyzmy. Ale była też misa ognia, ponieważ Anastazja zginęła śmiercią męczennicy. Och, pamiętam twoją opowieść, jakby to było wczoraj. I mówiłaś jeszcze, że się zhańbiłam, że nie ma we mnie krzty przyzwoitości, że gdzie mnie do twojej świętej Anastazji.

Zakonnica jęknęła i wzdrygnęła się, ale zdołała się powstrzymać przez zamknięciem oczu.

– Niestety, nie mam dla ciebie misy ognia – ciągnęła Riona – ale mam coś, co można nazwać jej współczesnym odpowiednikiem. Dermot, zechcesz czynić honory?

Dermot podszedł do swojej płóciennej torby. Pogmerał w niej i wydobyl robot kuchenny z ciężką czarną podstawą i szklanym blenderem. Rozwinął przewód, przemierzając pokój, i podłączył go do kontaktu obok nóg łóżka. Siostra Barbara usiłowała unieść głowę i zobaczyć, co robi, lecz Riona nadal mocno ją przyciskała i zasłaniała widok.

Zakonnica opuściła ciężko głowę na materac.

– Mam nadzieję, że Pan przebaczy ci to, co dzisiaj czynisz, Riono. Wiem, że cierpiełaś, dziecko, ale męki, które będziesz znosiła w piekle całą wieczność... te męki znacznie przewyższą wszystko, co musiałaś dotąd wycierpieć w życiu.

– Nie wierzę w piekło, siostruniu Barbaro. Nie wierzę w nie tak, jak nie wierzę w niebo. Tym, co zrobiłaś mnie i mojemu Sorleyowi, wydarłaś ze mnie wiarę do cna. Może istnieje Bóg. Ktoś musiał zmajstrować ten świat i wszystko, co na nim jest. Ale, według mnie, istnieją dobrzy ludzie i okrutni ludzie, i tyle. Okrutni zadają ból, to fakt, ale najgorszy zadają ci dobrzy, którym się zdaje, że wiedzą, co dla ciebie najlepsze.

– Ty... ty mogłaś stracić wiarę w Boga, Riono – wykrztusiła siostra Barbara. Tak się trzęsła, że ledwie była w stanie mówić. – Ale Bóg dalej w ciebie wierzy.

– Dermot – rzuciła Riona, odwracając głowę nad ramieniem. – Misę ognia proszę.

Zamocował blender i ustawił robot pod takim kątem, by wsunąć w niego zakrwawioną lewą stopę siostry Barbary. Kikuty palców oparły się o metalowe ostrza.

Zakonnica zamknęła oczy.

– *Veni, Santa Anastasia, et salva me* – wyszeptała.

W tej samej chwili Dermot włączył robot i ostrza z chrzęstem wbiły się



w ciało i kość. Z klosza blendera trysnęła na materac krew i Riona poczuła krople padające na tył swetra. Przyciskała siostrę Barbarę do łóżka i nie przejmowała się krwią. Sweter można uprać, ale nie było detergentu, który zmyłby czterdzieści lat żaloby.

Dermot trzymał blender włączony przez jakieś piętnaście sekund, lecz potem kości stopy zakonnicy zakleszczyły się między ostrzami i musiał wyłączyć robot.

– Zablokuj piłkę na minutkę – rzekł. – Muszę wydłubać trochę tego szajsu.

Kiedy to powiedział, siostra Barbara zadrżała konwulsyjnie. Jej koścista pierś uniosła się pod biustem przygniatającej ją kobiety, a potem z gardła zakonnicy wyrwał się cienki świszczący pisk.

– Siostro Barbaro? – rzuciła Riona. – Siostro Barbaro?

Zakonnica leżała dalej w całkowitym bezruchu. Miała otwarte oczy i wyglądała, jakby wlepiła je w żyrandol pod sufitem, lecz jej twarz miała kredowobeżowy odcień, prawie taki sam jak otynkowane ściany.

– Siostro Barbaro? – powtórzyła Riona i potrząsnęła nią, ale bez skutku.

– Co jest grane? – zapytał Dermot, który grzebał szpatułką w kloszu blendera, wyciągając odłamki kości, skrawki skóry i krwawe strzępy mięsa. Zerknął nad ramieniem Riony. – O Jezuu, horror, że strach się bać. Chyba nam nie umarła, co? Dopiero ją żeśmy, kuźwa, napoczęli.

Riona puściła nadgarstki siostry Barbary i znów ją szarpnęła, zakonnica jednak tylko zakołysała się bezwładnie na łóżku.

– Siostro Barbaro! Słyszysz mnie? Siostro Barbaro!

Uderzyła ją dłonią najpierw w lewy policzek, a potem w prawy, lecz kobieta nawet nie mrugnęła.

– Może powinniśmy spróbować animacji? – zasugerował Dermot i dwa razy uruchomił na krótko robot, żeby sprawdzić, czy ostrza są czyste.

– Jakiej animacji? A, masz na myśli reanimację. Po pierwsze, nie mam zielonego pojęcia, jak się to robi, a po drugie, wydaje mi się, że jest już za późno.

Dermot obszedł łóżko i skrzywił się na widok siostry Barbary.

– Chyba masz rację. Czerstwy chlebek. Nie dziwota, w jej wieku. No wiesz, stara pikawka nie wytrzymała.

Riona wstała i otarła dłonie.

– Szkoda. Wygląda na to, że umiłowana święta Anastazja jednak ją zabrała.

– By nie było warto się do nich modlić, gdyby święci nie okazywali nam ani ciut miłosierdzia, co nie?

– Mimo to chcę, żeby wyglądała, jakby poddano ją takim samym torturom jak świętą Anastazję – nalegała Riona.

– Babcia już u stworzyciela. Co ci, kuźwa, zależy?

– Zależy mi, żeby coś udowodnić i żeby wszyscy wiedzieli, że chcę coś udowodnić. To, co te siostrzyczki wyczyniały, to był czysty mord.

– Ale twojego Sorleya nie zamordowały.

– Równie dobrze mogły go zamordować. Mnie też mogły zamordować, skoro o tym mowa.

Stali oboje przy łóżku i patrzyli na siostrę Barbarę. Bardzo powoli zaciśnięte palce zakonnicy otworzyły się, jakby wypuszczała z nich ostatni nikły okrusz życia, a potem opadł jej podbródek. Z głośnym klapnięciem odkleiła się sztuczna szczeka i Dermot podskoczył.

– O Jezusie, jużem myślał, że coś do mnie zagada. Kuźwa, naprawdę.

– Przemówi do tego, kto ją znajdzie, spokojna twoja głowa. Powie: „Spójrz na mnie, tak kończą ci, którzy traktują nieszczęsną młodą dziewczynę jak kurwę, a jej dziecko jak kurewskie nasienie”.

– No to co mam teraz zrobić? – zapytał Dermot.

– Chcę, żebyś zrobił to, co ci mówiłam.

– Jak? Z wtykaniem i tym wszystkim?

Riona odwróciła się do niego. Miała nieobecne spojrzenie, jak gdyby jej myśli powędrowały bardzo daleko. Wtem nisko wiszące zimowe słońce zaświeciło przez szybę, padło na jej twarz i gęste czarne włosy. Miała hiszpańską urodę, o takich jak ona niektórzy mówią czarne Irlandki, choć włosy Riony nie miały już naturalnej barwy, lecz były farbowane.

Nagle skupiła wzrok.

– Tak, Dermot. Wszystko. Przecież za to ci płacę, prawda?

Wzruszył ramionami.

– No, nie ma sprawy. Nie mój cyrk, nie moje małpy.

– Przebiorę się – oznajmiła, obracając głowę i pociągając za sweter, żeby zobaczyć plamy z krwi. – Zadzwoń, jak skończysz, a ja ci powiem, dokąd ją odstawimy.

– Ale bez balonów, tak?

– Bez. Święta Anastazja czyniła ponoć najróżniejsze cuda, ale od latania stroniła.

## Rozdział 23

Drzwi gabinetu matki O'Dwyer były zamknięte, więc detektyw sierżant Ni Nuallán zapukała cicho. Czekaając, posłała Katie niepewny uśmiech. Ta wyczytała w nim coś, co ją zaniepokoiło. Nie był konspiracyjny, radosny ani podszyty złośliwością. To był uśmiech kogoś, kto chce się ujawnić i zrobić wyznanie, ale jeszcze nie zebrał się na odwagę.

Właśnie miała zapytać, o co chodzi, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich przełożona w granatowoczarnym habicie. Oddychała ciężko niczym miniatura Darth Vadera.

– Tak? – odezwała się.

– Nie chciałam przeszkadzać, matko O'Dwyer – zaczęła Katie.

– Ale przeszkodziła pani. Rozmawiam przez telefon z jednym z generalnych wikariuszy.

– Na pewno siostra wie już, co odkryliśmy w waszym ogrodzie.

Chwila ciszy, a potem dwa chrapliwe oddechy.

– Siostra Brenda Murphy mnie powiadomiła, owszem.

– Będziemy chciały zadać siostronom w związku z tym parę pytań – oświadczyła Katie. – Czy możemy wejść?

– W tej chwili nie mogę odpowiedzieć na żadne pytania, pani detektyw nadkomisarz – oznajmiła matka O'Dwyer i uniosła rękę do drzwi, jak gdyby chciała je zamknąć.

Katie także podniosła rękę, jakby chciała ją przed tym powstrzymać.

– Matko O'Dwyer, natrafiliśmy na szczątki kostne prawdopodobnie co najmniej setki dzieci. Nie kilkorga, lecz setki. Jest matka przełożoną tego klasztoru, więc nie byłoby z mojej strony nierozsądne, gdybym przyjęła założenie, że siostra wie o ich istnieniu.

– Już mówiłam, że nic pani nie powiem. Dzisiaj rano nawiązałam kontakt z Jego Wielbnością Monsignorem O'Learym z urzędu diecezji. To właśnie on czeka na mnie teraz przy telefonie.

– I jak zareagował, kiedy mu siostra powiedziała o tym, co znaleźliśmy?

– Pouczył mnie, żeby poczekać, aż biskup zostanie poinformowany o sprawie i będzie mógł pomówić z naczelnym radcą prawnym Kościoła, Diarmuidem O'Catháinem.

– Już uprzedzałam, że jeśli siostra odmówi nam pomocy, mogę aresztować siostrę za utrudnianie śledztwa – przypomniała Katie.

– Zrobi pani to, co uważa za stosowne – odparowała matka O'Dwyer.

– Jeśli chodzi o te dzieci, czy trzymacie rejestr ich zgonów? Nie przekazała go siostra obecnej tu detektyw sierżant Ni Nuallán. Czy zgodnie z prawem te zgony

zgłoszono koronerowi?

- Poronienia nie muszą być odnotowywane.
- Wiem o tym, ale po rozmiarach niektórych kości w szambie widać wyraźnie, że większość dzieci była o wiele większa niż noworodki.
- Nie będę tego komentowała.
- Zapytam, matko O’Dwyer, wprost: czy wiedziała siostra, że one tam są?
- Nie mam na ten temat nic więcej do powiedzenia. Jestem pewna, że pan O’Cathain lub któryś z jego wspólników wkrótce się z państwem skontaktuje. Mój jedyny komentarz jest taki, że dzieci z nieprawego łoża nie mogły być chrzczone, a nieochrzczonych osób nie można było pochować w poświęconej ziemi.

Katie musiała bardzo trzymać się w ryzach, żeby nie zapytać zakonnicy o sposób pozbycia się jej ciała po śmierci? Czy chciałyby, żeby wrzucono je nagie do oczyszczalni ścieków w Carrigrenan? Przypomniał się jej pogrzeb Seamusa, kwiaty i cześć, z jaką składano w ziemi jego małą trumnę. Oprócz psalmów odśpiewali *Morning Has Broken*. Pomyślała o malutkim życiu, które teraz rośnie w jej ciele.

– Proszę więc rozmawiać dalej z Monsignorem O’Learym – powiedziała. – Bo jeszcze przyjdzie mu do głowy, że puszcza siostra parę, a tego byśmy nie chcieli, prawda?

Przełożona schyliła głowę i odparła:

– Zatem miłego dnia życzę, pani detektyw nadkomisarz. I Bóg z wami.

\* \* \*

Tego dnia Katie zrobiła odprawę później niż zwykle. Po powrocie z klasztoru Bon Sauveur przez dwie godziny naradzała się z Casie Driscoll, swoją adwokat, w jaki sposób zareagować na dochodzenie prowadzone przez biuro rzecznika policji. Casie miała na sobie krzykliwy tweedowy kostium w żółto-czarną kratę i ogromne okulary w rogowej oprawie, a jej fioletowe włosy były zawsze rozczochrane, jednak na przekór swojej aparycji i asertywnej postawie prawniczka podpowiadała jej, by zachowywała się jak najbardziej powściągliwie i tylko reagowała na posunięcia drugiej strony, unikając agresji.

– Niezależnie od tego, co zrobił Bryan Molloy i co o tobie napłótl, nie zrobiłaś nic złego. Wszystkie twoje poczynania były całkowicie zgodne z przepisami. Nie obrzucaj więc tamtych błotem, nawet jeśli oni tak robią. Bo w ten sposób tylko przydasz powagi ciskanemu przez nich błotu.

Katie nie bardzo wiedziała, jak można przydać błotu powagi, ale rozumiała intencje swojej adwokatki.

Odprawa była krótka i frustrująca. Prawie wcale nie zrobili postępu w śledztwie dotyczącym morderstwa detektywa Horgana. Za sklepem Tesco w Manor West Retail Park w Tralee w hrabstwie Kerry znaleziono spalonego

srebrnego mercedesa klasy S, samochód tego samego typu, z jakiego oddano strzał. Firma Frank Hogan Motors w Limerick sprzedała go Williamowi Innesowi, agentowi ubezpieczeniowemu zamieszkałemu w Castletownroche. Syn pożyczył od niego mercedesa i poważnie go uszkodziwszy, sprzedał niejakiemu Devine'owi za gotówkę, żeby nie utracić zniżki za bezwypadkową jazdę.

– Znamy tego Devine'a? – spytała Katie.

– Nie – odpowiedział detektyw komisarz O'Rourke. – Facet dał Innesowi wizytówkę z adresem w Limerick przy Cathedral Square, ale mieści się pod nim bar Donkey Ford's z rybą i frytkami, a numer telefonu był do samarytanek.

– Gdzie teraz jest ten wóz? Czy technicy mieli okazję go zbadać?

– Jest u nas, sprowadziliśmy go jakąś godzinę temu. Obejrzeliśmy go, ale nic szczególnego nie rzuca się w oczy. Żadnych łusek ani tym podobnych. Może to nawet nie jest to samo auto, z którego do was strzelano, więc szukamy dalej.

– A o latającej zakonnicy coś mamy? – indagowała Katie.

Detektyw O'Donovan pokręcił głową.

– Zupełnie nic. Pokazaliśmy zdjęcie chyba każdemu w Cork, kto złożył śluby zakonne, i oczywiście w telewizji je pokazywali, no i w gazetach. Może ona w ogóle nie była prawdziwą zakonnicą, tylko zabójca najpierw ją przebrał.

– Jeśliby tak było, to czym, pana zdaniem, mógł się kierować?

– Bóg jeden wie. A jakim motywem się kierował, patrosząc ją i puszczając na balonach nad Glashaboy?

– Jeśli to rozpracujemy, zdobędziemy o wiele wyraźniejszy profil sprawcy – odparła Katie. – Bo w przeciwnym razie będziemy jeszcze bardziej skołowani – dodała po chwili.

– W sprawie Roisin Begley też nic nowego – oznajmił detektyw Dooley. – Kamera monitoringu ją zarejestrowała, kiedy dziewczyna przechodziła przez restaurację Pana w niedzielę o dwudziestą drugą trzydzieści cztery. Rodzice myśleli, że leży w tym czasie w łóżku. Miała na sobie tę samą różową kurtkę, w której wyciągnięto ją z rzeki. Ale była sama i nic nie wskazuje, by ktoś za nią szedł.

– Czy widziano ją wtedy po raz ostatni?

– Tak, owszem. Zaraz potem musiała jakoś dotrzeć do rzeki i wskoczyła do niej albo ją wrzucono.

– A co z końmi? – spytała Katie.

– Wszystko przebiega zgodnie z planem. Dzisiaj rano pojechałem do Spring Lane i dostarczyłem Paddy'emu Fearonowi pięć stów. Bardzo był zadowolony, ogłędnie mówiąc. Pierwsze trzy konie ma odebrać w Kilmichael w poniedziałek wczesnym rankiem, a później w ciągu dnia wróci po sześć kolejnych.

– Czy on się nie zorientuje, skąd naprawdę te konie pochodzą?

– Nie. Wszystkie papiery będą lipne, a szkapy będą się paść na polu jakies

trzy kilometry od stadniny ogierów Josha O'Malleya. Będziemy jechali za Fearonem, dokądkolwiek się skieruje, i mam nadzieję, że dopadniemy go, zanim koniom stanie się jakaś krzywda. Ale wątpię, czy to będzie Nohaval Cove, ostatnio w mediach było za dużo szumu o tym miejscu.

– Ale jest pan pewien, że on niczego nie podejrzewa? – dociekała Katie. – Nie zatrzyma sobie tych pięciu stów, w ogóle się nie pokaże i nie wyprze się, że umówiliście się na cokolwiek?

– Nie sądzę, raczej nie. Chyba go przekonałem, że już się kiedyś spotkaliśmy. Jedna znajoma Cyganka opowiedziała mi, że któregoś razu był wieczorem w Waxy's i pies kumpla zrobił mu kupę na but. Udałem, że ja też tam wtedy byłem i że właśnie tego wieczoru mi szepnął, że może tanim kosztem pozbyć się koni. Musiał być mocno wstawiony i nie pamiętał, czy tam byłem.

– Pies narobił Paddy'emu Fearonowi na but? – zdziwił się detektyw Sheedy. – Jezu! Nie do wiary, że ten biedny zwierzak jeszcze dycha.

– A te martwe konie? – dopytywała Katie. – Tadhg Meaney odezwał się i coś powiedział?

– Nie za dużo – odparł Dooley. – Weterynarze mają już pewność, że konie musiały żyć, kiedy zrzucano je ze skarpy. Większość ma w organizmie ślady narkotyków otumaniających, ale nie tyle, żeby zabić. To potwierdza pierwsze spostrzeżenie Tadhga Meaneya, że zginęły od upadku, a nie, że zrzucano je ze skały tylko po to, by się ich pozbyć.

– I nie zdołaliśmy stwierdzić, skąd pochodziły?

– Ci z Weatherbys byli bardzo chętni do współpracy, ale że nie mają w rejestrach numerów czipów tych koni, niewiele mogli zdziałać. Te zwierzęta były jak mary, które nigdy nie istniały, rozumie pani?

– No dobrze – rzuciła. – Detektyw sierżant Ni Nuallán zadzwoniła tuż przed odprawą, mogę więc zrelacjonować wam nasze postępy w klasztorze Bon Sauveur. Podniesiono klapę trzeciej komory szamba i ona także, jak się okazuje, jest prawie całkowicie zapełniona dziecięcymi kośćmi. W tej chwili nie sposób określić ich liczby.

– Technicy robią zdjęcia i pomiary, ale zostawią na noc kości w nienaruszonym stanie. Jutro zaczną je wydobywać, tyle że będzie to bardzo powolna i żmudna robota.

Detektyw Byrne uniosła rękę.

– Czy uda im się poskładać w całość poszczególne szkielety? Tak, żeby każdemu dziecku przydzielić własną trumnę?

– Wątpię, Maureen – odpowiedziała Katie. – Gdybyśmy znaleźli rejestr zgonów, to byłoby coś na początek, ale jak dotąd, klasztor go nam nie przekazał. Poza tym musielibyśmy przeprowadzić analizę DNA niemal każdej kości z osobna, a to byłoby niesłychanie kosztowne i czasochłonne. Powiem pani szczerze, że

w najlepszym razie możemy mieć nadzieję, że wyprawimy im przyzwoity zbiorowy pogrzeb i postawimy tablicę pamiątkową. Te dzieci długo nie pożyły i miały nieszczęśliwe życie, na to w każdym razie wygląda, ale my przynajmniej potwierdzimy ich istnienie, a siostry z Bon Sauveur nie zrobiły nawet tego.

– No cóż, amen. – Detektyw Brennan się przeżegnał.

– Znaleźliśmy te szkielety w szambie, ale nie sądzę, byśmy mogli zaprzestać dalszych poszukiwań – powiedziała Katie. – Jak wiecie, o istnieniu tych szczątków powiadomiła nas jedna z zakonnic, która natrafiła na kość szczękową dziecka w klombie kwiatowym. Zaczęliśmy kopać i wyciągnęliśmy miednicę i kość nogi z grządki. Bardzo możliwe, że w innych miejscach w klasztornym ogrodzie leży pochowanych więcej dzieci. I dlatego zamierzam wezwać ekipę z radarem gruntowym. W weekend detektyw komisarz O'Rourke i tak jedzie do Dublina na konferencję poświęconą bezpieczeństwu, a przy okazji porozmawia ze specjalistami od radarowego badania gruntu. Mają tam skaner, który może wykryć każdą oznakę ludzkiej działalności pod ziemią niezależnie od tego, jak dawno temu się odbyła. Między innymi kopanie mogił i inne zakłócenia układu gleby.

– A mogą zlokalizować kości? – spytał detektyw Brennan.

– Kości nie – odparła Katie. – Ale jeśli wykryją jakieś zakłócenie pod trawnikami, będziemy mogli wezwać inną wynajętą ekipę, która wykopie rowy w równych odstępach. Jeśli byłyby tam kości, na pewno byśmy je znaleźli. Sprawdziłam, ile by to kosztowało. Cena wynosi około dwóch tysięcy euro dziennie, a ci z ekipy radarowej mówią, że ukończyliby skanowanie w trzy dni, może nawet zajęłoby im to mniej czasu. Wydaje mi się, że to niedużo za szansę, by się dowiedzieć, ile dzieci umarło, kto był za to odpowiedzialny i kto pozbył się ich zwłok w taki sposób, jakby były odpadkami. Jest o wiele za wcześnie, by stwierdzić to na pewno, ale uważam, że stoimy wobec możliwości postawienia zarzutów z kodeksu karnego.

Nagle Katie zakręciło się w głowie, tak że musiała natychmiast usiąść.

– Przepraszam, to był długi dzień.

– Dobrze się pani czuje? – szepnął jej prosto do ucha detektyw komisarz O'Rourke.

– Tak, Francis, oczywiście – zapewniła go. – Dziękuję.

Rozejrzała się po twarzach detektywów zgromadzonych w sali.

– Słuchajcie, jeszcze jedno chcę powiedzieć. Mamy w tej chwili w toku kilka ważnych i wyjątkowo trudnych śledztw, które w dodatku są bardzo delikatnej natury, zwłaszcza to dotyczące szczątków znalezionych w Bon Sauveur. Pragnę wam wszystkim podziękować za trud, który w nie wkładacie. To jest wzorowa robota. Jeśli nie ma więcej pytań, to by było na dzisiaj wszystko.

Katie nie ruszyła się z miejsca, gdy wszyscy wychodzili z pomieszczenia; został tylko detektyw komisarz O'Rourke, który siedział obok niej. Z małej butelki

stojącej na stole nalał do szklanki wody źródlanej i podał ją Katie. Nie odezwał się ani słowem, ale widziała jego wzrok i miała świadomość, że nie jest głupi.

– Oby nigdy dach nam się na głowy nie zawalił – powiedziała, unosząc szklankę.

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział na toast. I oby nasza przyjaźń nigdy nie runęła, pomyślał.



## Rozdział 24

Po wyjściu z komendy Katie poszła do sklepu Dunne's przy St. Patrick's Street. Miała do zrobienia duże zakupy, bo lodówka w domu była prawie pusta, ale to będzie musiało poczekać do niedzieli. Wzięła parę kotletów schabowych i fasolkę szparagową na wieczór, a na śniadanie płatki zbożowe, sok grejpfrutowy i kawę.

Kiedy stała w kolejce do kasy, minął ją niski, mocno zbudowany mężczyzna w długim brązowym prochowcu sięgającym prawie do ziemi. Nosił ubrylantowane, zaczesane do tyłu włosy i złoty kolczyk w uchu, a jego twarz wyglądała tak, jakby ktoś bardzo mocno przyciskał ją do szyby wystawowej. Na widok Katie zatrzymał się i uśmiechnął. Mimo że brzydki, miał nieskazitelne białe zęby. Udała, że go nie widzi, bo wiedziała, kim jest: był to Dovydas Karosas, jeden z alfonsów Michaela Gerrety'ego. Kilkakrotnie próbowała doprowadzić do jego deportacji na Litwę, ale miał tutaj rodzinę i nie zdołała przekonująco udowodnić, że trudni się seksbiznesem.

Szczerzył do niej zęby, bo wiedział, że musiała zrezygnować ze ścigania jego szefa. To jeszcze bardziej wpędziło ją w depresję. Nie mogła przestać myśleć o Roisin Begley i setkach dziecięcych kości w klasztorze Bon Sauveur. Kiedy przyszło do płacenia, zobaczyła, że zostawiła torebkę w samochodzie, i z trudem powstrzymała łzy napływające jej do oczu.

Co z tobą, Katie Maguire? – ganiła się w duchu, idąc St. Patrick's Street. Jesteś dorosłą kobietą, a nie dziewczynką. Na dodatek detektywem nadkomisarzem. Masz być zawsze silna i opiekować się innymi, na tym polega twoja praca, nie wolno ci się rozklejać tylko dlatego, że targają tobą emocje i zapomniałaś wziąć torebkę z samochodu.

Kiedy jednak otworzyła drzwi i wyciągnęła po nią rękę, nagle poczuła się samotna i słaba, bo nie miała nikogo, kto roztoczyłby nad nią opiekę. Wiedziała, że John czeka na nią w domu, ale jak długo to potrwa, gdy już się dowie, że ona jest w ciąży?

Wracając do Dunne's, minęła Dovydasa Karosasa, który stał przed sklepem z męską odzieżą, Gentleman's Quarters, i rozmawiał z ciemnowłosą młodą kobietą w krótkiej cętkowanej kurtce. Uśmiechnął się i krzyknął:

– *Labas vakaras, mano numylėtinis. Gera matyti tave!*

Katie nie miała pojęcia, co powiedział, ale puściła to mimo uszu. Wzięła głęboki oddech i weszła do sklepu po koszyk, który zostawiła przy kasie. Czowała się już silniejsza, lecz miała także świadomość, że w jej życiu nagromadziła się masa ciemnych chmur. Kiedy ukończyła szkołę policyjną Templemore, ojciec powiedział: „Bardzo jestem z ciebie dumny, Katie, ale należysz teraz do Gardy

i musisz to ode mnie usłyszeć: choćby nie wiem jaka była pogoda, na ciebie już zawsze będzie lało jak z cebra”.

\* \* \*

Wieczorem po wyjściu spod prysznic i wytarciu się Katie spojrzała na siebie w zaparowanym lustrze na drzwiach. Nie było wątpliwości, że lekko urósł jej brzusek, ale nie wyglądała na tak ciężarną, jak się czuła. Włożyła gruby różowy szlafrok i przeszła do salonu. John siedział na kanapie z dużym szkicownikiem na kolanie i rysował Barneya kredką świecową w kolorze terakoty. Pies jakby rozumiał, co robi jego pan, bo siedział cierpliwie przy kominku z wywieszonym jęczorem i nie poruszał się. Nie podniósł łba, nawet kiedy Katie weszła do pokoju.

Uklękła obok Johna na kanapie i spojrzała mu przez ramię.

– Świetne rysunki! Naprawdę uchwyciłeś podobieństwo.

– Myślałem o tym, żeby mu zrobić pełnowymiarowy portret w akrylu. Jak już namaluję ciebie.

– Może jego najpierw?

– Chyba się nie wycofujesz rakiem, co? – zapytał. – Miałem nadzieję, że dziś wieczorem zrobię parę wstępnych szkiców. Jutro przez większość dnia będę wolny, więc mogę zacząć.

– Nie, nie, wcale się nie wycofuję. Obietnica to obietnica. Tylko wydaje mi się, że w tej chwili nie wyglądam najkorzystniej. Mam włosy jak ptasie gniazdo i spuchnięte oczy. Nie wiem, jak w ogóle widzisz we mnie coś atrakcyjnego.

Nachylił się i pocałował ją.

– Jesteś piękna i to jest atrakcyjne. Zawsze pięknie wyglądasz. A jeśli martwisz się o spuchnięte oczy, mogę je na portrecie poprawić. Swoboda artystyczna, tak to się chyba nazywa. Sprawdza się prawie tak jak chirurgia plastyczna.

Katie wzięła poduszkę i rąbnęła go w głowę.

– Chyba w życiu nie usłyszałam tak dwuznacznego komplementu!

John się uśmiechnął, zamknął szkicownik i wstał.

– Masz ochotę teraz popozować? To potrwa mniej więcej dwadzieścia minut.

– Jestem wypluta, John. Może jutro.

– Nic nie będziesz musiała robić. Po prostu poleżysz sobie na kanapie, wyglądając apetycznie.

– No dobra, ale tylko chwilę. I zamknę Barneya w kuchni.

– To tylko pies, Katie. Nie podnieci się, jeśli zdejmiesz ubranie.

– Tego nie możesz wiedzieć. To pies, ale mimo wszystko facet.

Roześmiał się i pokręcił głową.

– Zgoda, ale przynies mi jeszcze piwo, skoro już tam idziesz.

Po powrocie Katie zdjęła szlafrok i usiadła nago na kanapie. Nie wstydziła się, ale czuła się dziwnie. John patrzył na nią zwięzionymi oczami, jakby była obcą kobietą, a nie jego ukochaną.

– No dobrze... – rzucił w końcu. – Podciągnij nogi, o tak... A teraz unieś prawą rękę i oprzyj się o poduszki. Doskonale. Skręć głowę lekko w lewo... trochę bardziej, o tak, ale oczy w moją stronę. I postaraj się wyglądać uwodzicielsko... Jakbyś musiała się o to starać!

– Co z włosami?

– Włosami się nie przejmuj, później to ogarnę. Teraz spróbuję uchwycić ogólną pozę.

John usiadł w fotelu naprzeciwko, założył nogę na nogę i zaczął rysować. Wsuwał koniuszek języka między zęby, skakał wzrokiem w górę i w dół szkicownika, kreśląc zarys postaci Katie.

– Jesteś pewien, że w tej pozycji moje cycki nie wyglądają na obwisłe? – zapytała.

– Masz fantastyczne cycki. Nie martw się tym.

– Są o wiele za duże. Nie mógłbyś ich namalować mniejszych?

– Chcesz, żebym cię przedstawił nierzetelnie? Zadziwia mnie pani, pani detektyw nadkomisarz!

Przez kilka minut rysował. Kiedy było oczywiste, że rysuje jej twarz, Katie umyślnie zrobiła zeza.

– O, rewelacyjnie! – zawołał. – Zezowata Wenus, tak nazwę ten portret.

– Jeden z naszych sprzętaczy ma zeza – podchwyciła Katie. – Za nic nie chciałabym go przesłuchiwać, bo nigdy nie wiadomo, czy patrzy na ciebie, czy nie. Jest tak zezowaty, że kiedy płacze, łzy ciekną mu po plecach.

John rysował jeszcze jakiś czas, a potem zmarszczył czoło.

– Możesz unieść trochę wyżej lewe kolano? – zapytał. – Nie, nie tak, to za dużo. Pokażę ci.

Odłożył notatnik, podszedł do niej, ujął jej lewe kolano i zgiął delikatnie.

– Właśnie tak, idealnie. – Przesunął dłonią w dół po łydce aż do kostki, chwycił ją za stopę i połaskotał.

– Nie rób tak! Wiesz, jakie mam łaskotki! Przez ciebie się zsikam!

– Świetnie, lubię, kiedy jesteś mokra – odparł ze śmiechem.

Uklęknął na kanapie obok i pocałował ją w czoło, w czubek nosa, w policzek i w usta. Gładził przy tym jej rękę, a potem bok, zsuwał palce coraz niżej, aż dotarł do wrażliwego miejsca na biodrze i Katie aż podskoczyła.

Trzymał w dłoni jej lewą pierś, łagodnie ją ściskając i obracając w palcach sutek, aż ten zaczął sztywnieć.

– John... – stęknęła Katie, kiedy oboje zaczerpnęli powietrza.

Pocałował ją ponownie i wstał, a potem skrzyżował ręce, żeby zdjąć

granatowy sweter. Naładowane elektrostatycznie włosy na jego klatce piersiowej, układające się w kształt krzyża, uniosły się, co wyglądało jak mały cud.

– John... – powtórzyła, ale miała świadomość, że pragnie go tak samo jak on jej.

Rozpiął pleciony pasek ze skóry, ściągnął dżinsy i odkopnął je na bok. Jasnoniebieskie bokserki podkreślały sztywność penisa; kiedy je zdejmował, podskoczył zahaczony elastycznym ściągaczem. Katie wyciągnęła rękę, chwyciła go w lewą dłoń i mocno ścisnęła. Spoglądała Johnowi wyzywająco w oczy, jak gdyby mówiła: „Myśl sobie, co chcesz, ale on jest mój, jest i zawsze będzie”. Przesuwała dłoń powoli w górę i w dół, a John mruknął cicho i przymknął oczy.

– Wiesz, jak wyglądasz? – spytała. – Jak bóg.

Sięgnęła za siebie ręką, złapała róg poduszki i odrzuciła ją przez całą szerokość pokoju. Dzięki temu mogła leżeć na wznak na kanapie i rozłożyć uda. John wsunął się między jej kolana, nachylił i pocałował. Dyszał ciężko, a jego oddech pachniał piwem. Nie puszczając jego członka, wprowadziła go między wargi gładkiej nawilżonej pochwy. Czowała, że jest mokra, o wiele bardziej niż zazwyczaj.

John napałł i wszedł w nią, Katie jednak dalej go trzymała, choć aż do bólu pragnęła poczuć go jak najgłębiej w środku.

– John – odezwała się bardzo cicho.

– Co?

– Delikatnie, dobrze? Bardzo, bardzo delikatnie.

Nic nie powiedział, ale widziała po jego oczach, że nie rozumie dlaczego. Na początku ich związku, czasami kochali się pomału, niemal sennie, zwłaszcza gdy oboje byli zmęczeni lub za dużo wypili. Ale Katie przeważnie chciała, by wchodził w nią z całej siły. Lubiła, gdy sięgał głęboko i trochę szorstko. Wchodził nieraz tak daleko, że dotykał szyjki macicy. Wtedy się wzdrygała.

– Mhm... Jeśli chcesz delikatnie, będę delikatny. Będę jak kot czołgający się w trawie.

– Wiesz, że bardzo cię kocham, prawda?

– Tak, a ja ciebie.

Pozwoliła mu wsunąć się głębiej i poczuła łaskotanie jego włosów łonowych na swojej gołej skórze.

– Jest jak w niebie – zamruczała.

– A to dziwne, bo i ja tak pomyślałem.

Był silny i umięśniony, ale czowała, że bardzo się kontroluje. Wsuwał się w nią powoli i rytmicznie, a jednocześnie masował jej pierś i pieścił sutek. Czowała, jak napinają się mięśnie dna miednicy, o wiele pręcej i mocniej niż zwykle; mięśnie brzucha także zrobiły się twarde jak kamień. Jednak John dalej poruszał się łagodnie i z umiarem, mimo że jego penis, sztywny i lekko zakrzywiony,

przypominał teraz śliski kiel.

Zaczął dyszeć mocniej i napierać z większą siłą, i właśnie w tym momencie zadzwonił iPhone Katie. John znieruchomiał i otworzył oczy.

– Nie zwracaj uwagi – wystękała.

– A jeśli to z pracy?

– Nie, to niemożliwe. Nie zwracaj uwagi.

Ale telefon dzwonił i dzwonił i wiedziała, że to ktoś z komendy w pilnej sprawie. Nigdy nie nęcano jej w domu bez poważnego powodu.

John uniósł się i zsunął z niej, a ona usiadła i wzięła iPhone'a ze stolika.

– Detektyw nadkomisarz Maguire.

– Tu Patrick O'Donovan, pani komisarz. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Zadzwoniłbym do komisarza O'Rourke'a, ale już wyjechał do Dublina.

– Nie ma problemu, Patricku. O co chodzi?

– Kolejna martwa zakonnica. Uważamy, że to może być ta, która zniknęła z domu opieki w Douglas. Na to w każdym razie wygląda, sądząc po zdjęciu, które nam dali.

– Gdzie ją znaleziono?

– W fontannie na Grand Parade. Nie mamy pojęcia, jak się tam znalazła, bo w pobliżu pełno było wtedy pijanej młodzieży. Jak są nawaleni, stale wskakują do tej fontanny i z niej wyskakują, ale zauważyli, że w wodzie ktoś leży i nie wyskakuje.

– Wyciągnięto już zwłoki?

– Jeszcze nie. Chłopcy z technicznego dopiero dojechali na miejsce i przyszło mi na myśl, że pani też chciałaby zerknąć. Oczywiście jest pełno dziennikarzy. Nie mam pojęcia, kto im puścił cynk.

– Dobrze, Patricku. Dzięki. Proszę mi dać pół godziny.

John wstał, penis zdążył mu już opaść.

– Przepraszam – rzuciła Katie. – Znaleźli następną martwą zakonnice. Tym razem na Grand Parade, w fontannie Berwick.

– Chcesz, żebym cię podwiózł?

– Nie, dam sobie radę. Może będę musiała zostać dzisiaj w mieście.

– Nie musisz przeproszać.

– Wiem, ale...

– To nie jest tylko twoja praca, skarbie, to jesteś ty. Kiedyś tego nie rozumiałem. Wiem, że musisz jechać, więc jedź. Przynajmniej coś zjadłaś i wzięłaś prysznic.

– Nie wspominając o połówce pieprzenia.

– Hej, kiedy ja używałem takich brzydkich słów, mama wpychała mi do buzi kostkę szarego mydła. Dalej czuję w ustach ten smak.

Katie podeszła do Johna, objęła go i przywarła do niego całym ciałem. Poczwała na gołym brzuchu wciąż lepkiego penisa.

– Nie ma brzydkich słów, kiedy się jest zakochanym – powiedziała i pocałowała swojego mężczyznę w klatkę piersiową.

Pogłaskał ją po rudych włosach.

– Katie Maguire... – Powiedział to w taki sposób, że zabrzmiało jak wyznanie miłości albo jak słowa, które mężczyzna wypowiada we śnie, kiedy miejsce na łóżku obok jest puste.

## Rozdział 25

Ozdobna fontanna pośrodku Grand Parade została odgradzona w promieniu pięćdziesięciu metrów. Ulicę zapełniały radiowozy i furgonetki ekipy technicznej; przyjechał także ambulans. Było zimno i chodniki nadal błyszcząły od wody, ale mniej więcej przed godziną przestało padać. Mimo to za rozpiętą przez Gardę taśmą odgradzającą miejsce zbrodni wciąż kłębiła się wataha podpitych młodych ludzi, którzy rozmawiali, gwizdali i pokrzykiwali.

Jakiś funkcjonariusz uniósł taśmę, żeby Katie mogła przejechać. Skręciła w prawo w Oliver Plunkett Street, dokładnie naprzeciwko fontanny, i tam zaparkowała. Podeszedł detektyw O'Donovan i otworzył jej drzwi.

– Zaczyna się wyłaniać pewna prawidłowość – powiedział.  
– Skąd taki wniosek? – spytała Katie i wysiadła.  
– No, wie pani, po pierwsze, trzy starsze zakonnice giną zamordowane w ciągu jednego tygodnia. I wszystkie zostają zabite tak, że wygląda to na jakiś rytuał.

Katie klepnęła go w plecy okryte nylonową kurtką.

– Przepraszam, tak się tylko wygłupiałam. To jasne, że ktoś realizuje swój plan, chociaż każdą z tych zakonnice zabito w inny sposób. Ale na pewno ma pan rację i między tymi zabójstwami istnieje jakiś związek.

Podeszli do fontanny. Niższa niecka w kształcie listka koniczyny miała jakieś siedem metrów średnicy i wyrastał z niej podest drugiej – o średnicy około dwóch i pół metra. W tej stała trzecia niecka o średnicy około półtora metra, zwieńczona czwartą – całkiem małą, podpartą delfinem. Zakręcono wodę, która w normalnych okolicznościach tryskała z wierzchołka fontanny i spadała kaskadami, przelewając się z wyższych niecek do tych znajdujących się poniżej.

Trzech techników zebrało się wokół boku niecki w kształcie listka koniczyny, jeden klęczał i robił zdjęcia. Ciało zakonnicy leżało blisko brzegu, przykryte ciemnozielonym prześcieradłem; obok stało dwóch posepnie wyglądających funkcjonariuszy.

Katie zobaczyła Billa Phinnera, głównego patologa. Miał na sobie grubą brązową pikowaną kurtkę i rybacki sweter; spod kołnierza wystawała mu piżama w niebieskie paski.

– Trzech chłopaków ją wyłowiło, myśleli, że się topi – zaczął, wyjmując chusteczkę i wycierając nos. – Ale była sztywna jak decha, więc dotarło do nich, że z ratowania nici.

– Rozmawiałem z tymi chłopakami – oznajmił detektyw O'Donovan. – Obchodzili urodziny jednego z nich, podpuszczali się, który wskoczy do fontanny, jak to młodzi. Mówili, że wielu to robiło, i wszyscy byli kompletnie ululani. Ktoś

musiał jakoś przenieść zmarłą przez ulicę i wrzucić do wody, ale żaden z nich tego nie zauważył. Wiedzą tylko, że któryś wskoczył i zobaczył, że w wodzie unoszą się zwłoki.

Katie odwróciła głowę i oceniła położenie kamery monitoringu miejskiego na Grand Parade.

– Powinno się zarejestrować, jak ją niosą do fontanny – stwierdziła. – A ci chłopcy? Któryś robił zdjęcia albo nagrywał film?

Detektyw O'Donovan rozpiął kieszeń kurtki i wyjął dwa iPhone'y w osobnych torebkach na dowody, z zapisanymi nazwiskami i adresami właścicieli.

– Jeden nagrał filmik, ale mówi, że nie ręczy za stabilność obrazu, bo on sam nie był zbyt stabilny, a poza tym mogło się nagrać parę mocnych słów. Drugi fotografował dziewczyny, które wiosłowały rękami w fontannie i świeciły majtkami. To było tuż przed znalezieniem zwłok, więc w tle mogło mignąć coś, co nam się przyda. Rzuciłem szybko okiem na ten filmik, ale kręciła się tam taka masa dzieciaków, że trudno coś rozróżnić.

– Dziękuję, Patricku – powiedziała Katie. – Trzeba dostarczyć je jak najszybciej na komendę i spróbować powiększyć. I obejrzeć ten zapis z kamery monitoringu miejskiego.

Rozejrzała się.

– To nieprawdopodobne, żeby przestępca porzucił ciało ofiary w piątek wieczorem na jednej z najruchliwszych ulic miasta. On albo oni musieli wiedzieć, że kamera ich złapie.

Patrick skinął głową.

– Tak jakby wystawiali dwa palce do góry, no nie?

– Skończyliśmy fotografować ofiarę i fontannę – oznajmił Bill. – Pobraliśmy także próbki wody z niecki. Istnieje szansa, że powiedzą nam, czy ofiara nadal krwawiła, kiedy ją wrzucano, innymi słowy, czy jeszcze żyła.

– Można już ją stamtąd zabrać?

– Tak. Jak tylko rzuci pani na nią okiem, od razu wyruszy do Wilton Hilton.

– O Jezu, doktor O'Brien będzie cały w skowronkach. Miał nadzieję, że jutro wróci do Dublina. Są jego urodziny.

– Jest pani gotowa? – odezwał się Bill i prawie ojcowskim gestem wysunął rękę w jej kierunku. Zorientowała się, że wyczuł jej opór przed patrzeniem na zwłoki zakonnicy. Czy to takie widoczne, że grają we mnie hormony? – pomyślała. Najpierw Francis O'Rourke, teraz Bill Phinner. Mogłabym chodzić z dużą tabliczką z napisem: „Kobieta ciężarna. Traktować ostrożnie, bo się rozplącze. Albo zwymiotuje. Albo wpadnę w złość”.

Gdy dotarli do zwłok, młoda laborantka uniosła prześcieradło, którym były okryte. Obaj pilnujący ich funkcjonariusze jednocześnie odwrócili głowy.



Zakonnica była w czarnym habicie i czarnym czepku. Głowę i szyję zakrywał biały kornet, ale brakowało czarnego welonu. Twarz miała sinobiałą barwę i fakturę papki papierowej. Otwarte oczy zaszyły mgłą, a usta były szeroko rozchylone, jakby kobietę coś straszliwie przeraziło. Bill uklęknął i podniósł habit, żeby Katie mogła zobaczyć stopy. Nie miała ani jednego palca. Poza tym skóra obu stóp wyglądała jak strzępiasta splątana masa, a ciało pod nią zostało w jakiś sposób porozrywane, więc ostre kości sterczały niczym połamane zęby.

– Mam tylko nadzieję, że nie żyła i nie była przytomna, kiedy jej to robiono – powiedziała Katie.

– Tego nie sposób stwierdzić – odparł Bill. – Ale na tym nie koniec.

Podwinął rękawy habitu i pokazał Katie, że obie ręce okaleczono w taki sam sposób. Nie miały palców, a straszliwie pokiereszowane dłonie przypominały zwierzęce łapy.

– Na razie nie wiemy, czy odniosła jakieś inne obrażenia. Ciało jest już w stanie stężenia pośmiertnego, a jego temperatura wskazuje, że ta kobieta prawdopodobnie nie żyje od sześciu do ośmiu godzin, w zależności od miejsca, w którym się znajdowała. Temperatura otoczenia wynosi w tej chwili siedem stopni, a wody w fontannie tuż poniżej pięciu, więc woda mogła trochę wystudzić zwłoki, ale na pewno nie leżały tutaj długo, bo ktoś musiałby je zauważyć. Będziemy mogli ustalić o wiele więcej, kiedy przewieziemy je do kostnicy.

– Czy to ta zakonnica, która zniknęła z domu opieki w Greendale? – spytała Katie detektywa O'Donovana.

Ten stuknął w ekran iPhone'a i pokazał jej zdjęcie siostry Barbary, które dostali od Eileen O'Shea. Katie wzięła telefon, przyjrzała się dokładnie fotografii i ustawiła aparat tak, by porównać ją ze zwłokami.

– Ja bym powiedziała, że tak. Jak ona się nazywała?

– Siostra Barbara Flynn. Spędziła w klasztorze Bon Sauveur prawie pięćdziesiąt lat.

– No cóż, teraz przynajmniej wiemy na pewno, że dwie z trzech zamordowanych zakonnice były z Bon Sauveur. Ale nikt z klasztoru nie rozpoznał latającej zakonnicy?

– Tak w każdym razie wszystkie przysięgały.

– Hm, może ją znały, a może nie. Ale jedno panu powiem. W poczekalni przed gabinetem matki przełożonej wisi na ścianach cała kolekcja zdjęć grupowych. Nie mam pojęcia, z jakiego okresu pochodzą, ale są na nich wszystkie siostry, a także młode matki i dzieci, które te zakonnice miały rzekomo otoczyć opieką.

– Wobec tego pojedę tam jutro z samego rana i zobaczę, może rozpoznam tę od balonów na zdjęciu – powiedział detektyw O'Donovan.

– Dobrze. I proszę się nie przejmować przełożoną. Jeśli nie zdoła pan od

razu zidentyfikować latającą zakonnicy, nakaz rewizji upoważnia pana do tego, by zarekwirować zdjęcia jako możliwe dowody i przywieźć je na komendę, żebyśmy mogli dokładnie się im przyjrzeć.

Karetka podjechała tyłem do fontanny i zwłoki siostry Barbary uniesiono i złożono na nosze.

– Mogą już zabrać ją do kostnicy – zarządził Bill, który podszedł do Katie i O'Donovana. – Pojadę tam od razu z Tyrone'em i Eithne i zaczniemy wstępne oględziny. Zbliżają się święta i wszystkim nam przyda się kasa z nadgodzin.

– Och, przestań pan – zachnął się detektyw O'Donovan. – Kurde, nienawidzę świąt.

– A pani? – zwrócił się Bill do Katie. – Rano przekażę pani najświeższe informacje. O której mniej więcej godzinie będzie pani w pracy?

– Nie, Bill – odparła. – Myślę, że pojadę z panem. Chcę zobaczyć, co zrobiono tej biedaczce.

Bill uniósł jedną czarną brew; wyglądała jak wrona zrywająca się do lotu z dachu.

– Jest pani pewna? Zejdą nam na tym trzy, cztery godziny. Może więcej.

Katie myślała o powrocie do domu i Johna, który będzie na nią czekał i pewnie zechce dokończyć to, co zaczęli. A ona będzie leżała obok niego, usiłując odpowiednio reagować, oczami wyobraźni zaś będzie widziała tylko okaleczone stopy siostry Barbary.

– Nie, pojadę z wami. I tak już nie zasnę, a poza tym czas, żeby wreszcie stanęła panu nad głową przy robocie.

– Jak pani chce – odrzekł patolog. – Tylko proszę nie przeginać z wysiłkiem, dobrze?

– Bill, czy pan próbuje mi coś powiedzieć?

– Nic, czego by już pani nie wiedziała. Ale mam trzy córki i robię to, co robię, od dwudziestu trzech lat, więc miałem do czynienia z kobietami w najróżniejszym stanie. I tu postawmy kropkę, dobrze?

Posłał jej konspiracyjny uśmiezek i odszedł, a Katie stała chwilę i patrzyła za nim. Trochę ją zaniepokoiło, że ktoś zauważył w niej zmianę, ale czuła także ulgę: ktoś jeszcze wie, że ona jest w ciąży, więc ta wiedza nie jest już tajemnicą.

Detektyw O'Donovan stał obok fontanny, więc zamachała do niego ręką.

– Patricku! Jadę do szpitala! Później się zobaczymy!

\* \* \*

Na parkingu kliniki uniwersyteckiej panował chaos. Autokar wiozący trzydziestu dwóch kibiców z Cork, którzy wracali z meczu hokeja na trawie przeciwko drużynie Kerry, przewrócił się na rondzie. Stało się to na drodze N22, w miejscu, w którym krzyżowała się z Model Farm Road. Siedemnaście osób

odniosło obrażenia, w tym trzy poważne. Pozostali krążyli wokół szpitala, otumanieni i wciąż pijani. Niektórzy, poobijani i zakrwawieni, siedzieli na murku, opierając głowy na dłoniach. Inni błakali się, coś wykrzykując i przeklinając.

Katie przeszła przez recepcję i skierowała się prosto do kostnicy. Na zewnątrz panował harmider, toteż cisza w środku tym mocniej kojarzyła się ze śmiercią. Był tam już Bill Phinner z dwoma technikami i asystentem, który miał krzywo zapięty biały kitel i zmierzwione włosy, jakby dopiero co wstał z łóżka. Znajdowali się w końcowej części kostnicy; jarzeniówki świeciły tylko nad ich głowami, wyglądali więc, jakby byli na scenie. Stali wokół zwłok siostry Barbary, które spoczywały na stalowym stole autopsyjnym. Zdjęli kornet i szkaplerz, ale nadal miała na sobie habit z paskiem z czarnej wełnianej plecionki.

– O, jest pani! – rzucił Bill.

– Rejwach na zewnątrz jak wszyscy diabli – powiedziała Katie.

– Tak to jest, jak się pije i siada za kierownicą. Gadałem z jednym policjantem, kierowca miał w wydychanym powietrzu pięćdziesiąt trzy mikrogramy alkoholu i nie mógł nawet wymówić nazwiska. Ale to zrozumiałe, skoro nazywa się O’Siodhachain.

Katie podeszła do stołu. Była już spokojniejsza, zmusiła się do zachowania dystansu wobec sprawy. Zwłoki siostry Barbary nadal były w stanie stężenia pośmiertnego i bardziej przypominały plastikową figurę z witryny Brown Thomas niż prawdziwą zakonnice.

– Zmierzyliśmy ponownie temperaturę i zbadaliśmy oczy – zaczął Bill. – Powiedziałbym, że zgon nastąpił wczoraj o godzinie piętnastej.

– Dokładnie pan to oszacował.

– Hm, szczerze mówiąc, to mogło być godzinę wcześniej albo godzinę później. Ale ja bardzo wierzę w to, co mówią oczy. O wiele dokładniej wskazują czas śmierci niż *rigor mortis* czy *livor mortis*. Proszę spojrzeć tutaj. Widzi pani... są zamglone, bo potas w czerwonych ciałkach krwi uległ rozpadowi, a gałki oczne się spłaszczyły z powodu spadku ciśnienia krwi.

Katie spoglądała na siostrę Barbarę, a ta patrzyła na nią niewidzącymi oczami. Jej usta nadal były przeraźliwie rozwarte, jakby mówiła: „Boże drogi w niebiesiech, czym ja sobie zasłużyłam na takie traktowanie?”.

– Zdejmiemy z niej wszystkie ubrania i zobaczymy, jakich jeszcze obrażeń doznała, zrobimy niezbędne zdjęcia i pomiary, ale resztę zostawimy doktorowi O’Brienowi. Kto mógłby sobie zażyczyć lepszego prezentu na urodziny? No to dawaj, Tyrone.

Tyrone był poważnie wyglądającym młodzieńcem w okularach bez oprawek i miał sterczące czarne włosy. Wziął nożyce chirurgiczne i zaczął ciąć czarny materiał habitu. W zwykłych okolicznościach zakonnica miałaby na sobie dwie halki, wierzchnią z czarnej serży i drugą, także czarną z bawełny, jednak kiedy

Tyrone doszedł nożyczkami do wełnianego paska, ukazały się poplamione patykowate nogi i wszyscy zobaczyli, że pod habitem jest naga.

– Nie miała na sobie habitu, kiedy porwano ją z domu opieki – oznajmiła Katie. – Zabójca celowo ją tak wystroił.

– Cieszę się, że to pani ma znaleźć motyw zabójstwa, a nie ja – powiedział Bill. – Ja muszę tylko określić, co jej zrobiono. Pamięta pani tego gościa, którego zadźgano na śmierć w Sallybrook? Morderca ubrał go w ciuchy matki, łącznie z bielizną. Nie udało wam się dowiedzieć, dlaczego tak zrobił, prawda?

– To był świrus i tyle – odparła Katie. – Wątpię, by sam zdawał sobie sprawę, czym się kierował.

Obserwowała, jak Tyrone przecina habit aż do kornetu, a potem rozcina rękawy. Później razem z Billem unieśli zwłoki, żeby Eithne mogła wyciągnąć spod nich materiał, zwinąć go i wrzucić do obszernej torby na dowody. Eithne była bardzo ładną dziewczyną, miała blond włosy ostrzyżone tak, że wyglądały jak dmuchawiec; należała do zespołu Billa dopiero od pięciu miesięcy, ale już wykazała się profesjonalizmem w dziedzinie patologii i była naprawdę biegłym technikiem.

– Boże – westchnęła Katie na widok w pełni obnażonego ciała zakonnicy. – W jakim ona jest stanie!

Siostra Barbara została okrutnie wychłostana. Jej zwłoki przecinało mnóstwo ukośnych purpurowych pręg od szyi aż do kolan i na ramionach. Dzielili ją odległość mniejsza niż pięć centymetrów, ale w dolnej części brzucha i w okolicach genitaliów było ich więcej i skóra w niektórych miejscach popękała.

Najbardziej jednak zaniepokoiło Katie to, co zrobiono z jej piersiami. Bładobrazowe sutki były nienaruszone, lecz ciało wokół musiało zostać przypalone, tak że powstały pęcherze, które układały się we wzór przypominający promienie słońca, o średnicy około piętnastu centymetrów. Nad każdym znajdował się mały krzyż, ale na prawej piersi był silniej zaznaczony niż na lewej. Bill wyciągnął rękę i przesunął obleczonym w czarną rękawicę palcem po przedzie widniejącej na prawym udzie siostry Barbary.

– Powiedziałbym, że chłostano ją czymś w rodzaju dyscypliny. Składa się z wielu cienkich bawełnianych sznurków z węzełkami na końcach. Widać to po skupiskach pręg, które się na siebie nakładają. Bardzo bolesne, jeśli ofiara żyje.

– Myśli pan, że żyła?

Bill pokręcił głową.

– Doktor O'Brien będzie musiał zrobić kilka badań, żeby to stwierdzić z całkowitą pewnością, ale moim zdaniem była już martwa. Trudno jest to jednoznacznie ocenić, zwłaszcza jeśli z ciałem obchodzono się brutalnie, ale w siniakach zadanych za życia ofiary znajdzie pani pewien związek chemiczny, leukotrien, który wywołuje zapalenie. W siniakach pośmiertnych nie występuje,

a wydaje mi się, że właśnie z takimi mamy tu do czynienia.

– Ile trzeba mieć w sobie nienawiści, żeby smagać tak kogoś biczem nawet wtedy, gdy ta osoba nie może już nic czuć? – zapytała Katie.

– Jak powiedziałem, ja tylko zbieram dowody. Motywy zostawiam pani.

– A jej piersi? Ten wzór... przypomina monstrancję.

Bill przyjrzał się dokładniej piersiom zakonnicy.

– Eithne? Co o tym sądzisz?

– Uważam, że detektyw nadkomisarz Maguire ma rację – odparła laborantka tak cicho, że Katie ledwie ją usłyszała. – Wygląda to tak, jakby ktoś wyjął lunę ze środka monstrancji, podgrzał ją do czerwoności i przyciskał do obu piersi. Moja babcia ma prawie taką samą monstrancję jak ta, z krzyżem na wierzchu.

– I zrobiono to *post mortem*? – spytała Katie.

– Ja bym powiedział, że tak – odparł Bill. – Nie mogę być pewny na sto procent, ale zaczerwienienie nie wygląda tak strasznie, jak by wyglądało, gdyby ofiara żyła.

– A co z jej dłońmi i stopami?

– Jestem raczej pewien, że była żywa, kiedy odcinano jej palce u nóg, może także u rąk. I nie zdziwiłbym się, gdyby umarła z powodu szoku, jaki przeżyła, kiedy to robiono. W końcu była już starszą panią. Nie będziemy wiedzieli, w jakim stanie było jej serce, dopóki nie przebadają jej doktor O'Brien albo nie dostaniemy jej karty zdrowia.

Katie patrzyła długo na okaleczone ciało zakonnicy, na poparzenia w kształcie słonecznych promieni na jej piersiach. Z poodcinanymi członkami, wychłostana i napiętnowana rozgrzanym metalem, mogłaby być ofiarą obrzędowej kary w starożytnych czasach gaelickich, przed nadejściem chrześcijaństwa, gdy Irlandią władali mityczni bogowie ludu Tuatha Dé Danaan.

– A więc mamy trzy zamordowane zakonnice i ciała wszystkich trzech po śmierci potraktowano tak, jakby odprawiano jakiś rytuał – powiedziała.

– Wielkiej różnicy to nie zrobiło, bo albo nie żyły, albo były bliskie zgonu – wtrącił Bill. – Tak czy siak, wątpię, by zdawały sobie sprawę, co z nimi robiono.

– I właśnie do tego zmierzam – powiedziała Katie. – Jeśli nie były świadome tego, co się z nimi dzieje, to po co im to robiono?

Bill wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, prawdę mówiąc. Może, tak jak pani powiedziała, sprawca miał w sobie tyle nienawiści.

– Wydaje mi się, że jest w tym coś więcej. Nie sądzę, by ciała zakonnice okaleczano po to, by dać im nauczkę. Myślę, że chodziło o pokazanie nam czegoś... nam, to znaczy całemu społeczeństwu, panu, mnie, Kościołowi. Nam wszystkim. Ale najbardziej Kościołowi.

– No tak – przyznał Bill. – Ale to nam nie zawęzi kręgu podejrzanych.

Proszę mi przedstawić osobę w średnim wieku w Cork, która do dziś nie chowa urazy do jakiejś zakonnicy lub księdza z czasów młodości, a ja pani pokażę wędzonego śledzia, który odśpiewa pastorałkę.

## Rozdział 26

Już się rozwidniało, kiedy Katie dojechała na Anglesea. Zapowiadał się kolejny dzień szarugi i mżawki. Wzięła prysznic i zmieniła bieliznę, a potem zeszła do bufetu na śniadanie. Czuła zmęczenie, ale nie miała ochoty iść do łóżka, jeszcze nie. Zbyt wiele kotłowało jej się w głowie i wiedziała, że jeśli położy się w ciemności z zamkniętymi oczami, nie zdoła zasnąć.

Siedziała przy zalanym deszczem oknie nad talerzem z dwoma gotowanymi jajkami i tostem, kiedy wszedł detektyw O'Donovan. Wyglądał na jeszcze bardziej rozczochranego i przemęczonego niż zwykle.

– Dzień dobry, pani komisarz. Komendant MacCostagáin powiedział mi, że pani przyjechała. Mogę się przysiąc na minutę? Nie żebym chciał przeszkadzać w śniadaniu...

– Jasne, proszę – odparła Katie i policjant odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

– Ta zakonnica, siostra Barbara... – zaczął. – W jakim była stanie?

– Gorszym, niż pan sobie wyobraża, proszę mi wierzyć. Obcięto jej palce u rąk i nóg, sam pan widział, ale była też schłostana jakimś biczem i miała przypalone obie piersi. Zdaje się, że zabójca podgrzał monstrancję do czerwoności i przyciskał ją do klatki piersiowej niczym żelazo do piętnowania. Nie do pomyślenia!

– Matko Boska – westchnął O'Donovan i spojrzał na gotowane jajka Katie. – No to się nie dziwię, że nie zamówiła pani bekonu. Przepraszam, kiepski żart – dodał po chwili. – Kenny Horgan by coś takiego palnął.

Pokręciła głową na znak, że jest zbyt zmęczona, by się przejąć.

– Zdażył pan już obejrzeć zapis z kamery monitoringu miejskiego i te filmiki na komórkach?

– Tak, już obejrzałem. Właśnie dlatego przyszedłem tu do pani. Na budynku Property House na rogu Oliver Plunkett Street jest kamera i wychwyciła dwóch gości z zakonnica, którzy wyszli z Tuckey Street naprzeciwko. Przetargali ją przez chodnik, unieśli w górę i wrzucili do fontanny. A potem odeszli sobie tą samą drogą.

– I nikt ich w tym czasie nie zauważył?

– Kręcił się tam tłum młodzieży, wszyscy totalnie urąbani. Jakieś dziewczyny wskakiwały nawet do fontanny akurat wtedy, gdy ci dwaj upuszczali zakonnice.

– Jak wyglądali, ci dwaj?

– Obaj mieli czarne kaptury, więc nie widać twarzy, i przez większość czasu trzymali się po stronie fontanny niewidocznej dla kamery. Tak jakby się za nią

kryli i nijak nie da rady ich wyraźnie zobaczyć. Ale obydwaj byli napakowani. Targali tę zakonnice między sobą, ale można by przysiąc na Boga, że ona idzie między nimi na własnych nogach. Dopiero jak się człowiek przyjrzy dokładnie, widać, że jej stopy wloką się po chodniku.

– A w nagraniu na iPhone nie widać ich wyraźniej?

– Nie bardzo. Ten chłopczek, który je robił, był tak samo uwalony jak jego kumple, więc obraz skacze i trzęsie się. Przez ułamek sekundy widać trochę tych dwóch gości, jak odwracają się plecami zaraz po wrzuceniu zakownicy do wody.

– Ale oprócz tego ma pan jakieś zdjęcia, tak? – spytała Katie.

– No, do tego zmierzałem. Jest w sumie siedem fotek, na wszystkich są trzy młode dziewczyny, które tańczą w fontannie, zadzierają kiecki i świecą majtkami. Ale na którymś widać połowę twarzy jednego z tych zakapturzonych typów. Odwrócił głowę, żeby zerknąć na dziewczyny, i wtedy kamera go capnęła. Jak powiedziałem, to tylko połówka gęby, ale gość jest brzydki jak noc i ktoś go powinien rozpoznać. Aha, i jeszcze nosi kolczyk w uchu, to może pomóc.

– Dobra robota, Patricku – pochwaliła Katie. – Jak tylko skończę jeść, przyjdę zobaczyć. Może przez ten czas zadzwoniłby pan do Eithne O’Neill, jeżeli się jeszcze nie położyła? Wczoraj w nocy pracowała przy zwłokach siostry Barbary. Może z pomocą magii komputerowej dałaby radę zamienić połówkę gęby w całą gębę.

– Nie ma sprawy – odparł, cmokając. – Każdy pretekst jest dobry, żeby pogawędzić z Eithne.

Katie posłała mu ostre spojrzenie.

– Przepraszam, przepraszam – rzucił od razu. – Zmachany jestem i mi się wymknęło. Później się zobaczymy.

Drugie jajko zdążyło wystygnąć i żółtko prawie całkiem stwardniało, ale Katie zmusiła się, żeby je zjeść. Siedziała i patrzyła na plac parkingowy, a deszcz siąpił na szybę i ściekał po niej. Po raz pierwszy od dawna naszyły ją wątpliwości, czy dla pracy nie poświęciła zbyt wiele.

\* \* \*

Po śniadaniu zeszła do pomieszczenia telewizyjnego, żeby na własne oczy obejrzeć nagranie z dwoma mężczyznami w kapturach na głowie, którzy przenieśli siostrę Barbarę z Tuckey Street do fontanny i wrzucili ją do wody. Detektyw O’Donovan miał rację: przemierzając chodnik, kołysali nią między sobą i każdy postronny obserwator mógł pomyśleć, że kobieta idzie bez pomocy. Z pewnością by się nie domyślił, że jest martwa.

Kiedy zbliżali się do fontanny, z wody wyszedł jakiś chłopak; zaraz potem wskoczyły do niej trzy dziewczyny i właśnie wtedy wrzucono do wody zwłoki zakownicy, twarzą w dół. Mężczyźni bez pośpiechu oddalili się w kierunku Tuckey



Street i wyszli z pola widzenia kamery.

Katie poprosiła, żeby wyświetlono na ekranie zdjęcia z iPhone'a. Na przedostatnim widać było, jak jeden z mężczyzn odwraca się, żeby spojrzeć na dziewczyny. Detektyw O'Donovan miał rację. Płaska gęba była tak szpetna, że babcia Katie powiedziałaby o niej „brzydka jak kość”. Mawiała, że takim brzydalom matki muszą przywiązywać kość pod szyją, żeby choć pies chciał się z nimi bawić.

Tego dnia Katie nie mogła dużo więcej zrobić. Prace wykopaliskowe w klasztorze Bon Sauveur wstrzymano na czas weekendu, a radar gruntowy miał dotrzeć z Dublina najwcześniej we wtorek. Śledztwo w sprawie zabójstwa detektywa Horgana nie posuwało się ani trochę naprzód. Badanie techniczne spalonego mercedesa nie przyniosło żadnych wskazówek. A detektyw Dooley nadal nie zdołał ustalić, kto podrobił czipy dwudziestu trzech koni i skąd zwierzęta pochodziły. Niewykluczone, że to Paddy Fearon zrzucił je ze skarpy, ale tego również nie można było dowieść.

Pojechała do domu. Zastała Johna siedzącego przy stoliku w salonie; stały na niej mała przenośna sztaluga, paleta oraz pudełko z farbami akrylowymi.

– Hej, skarbie! – zawołał. Odłożył pędzel, podszedł i ją objął. – Pospałaś chociaż trochę w nocy?

– Nie, w ogóle. Większość czasu spędziłam w kostnicy.

– O, to cudownie. W kostnicy! Ale musisz być umęczona. Może teraz byś się zdrzemnęła? Nie musisz chyba jechać dzisiaj na komendę, co?

– Nie – odparła. Podszedł Barney, więc poklepała go po łbie i pociągnęła za uszy. – Ale do łóżka też mi się nie chce kłaść. Jeszcze nie teraz.

– Jadłaś coś?

– Tak, śniadanie. Ale napiłabym się kawy.

– Jasne. Chodź i siadaj. Sprzątnę ten cały malarski kramik.

– Czy to jestem ja? – zapytała, skinieniem głowy wskazując deskę na sztaludze.

John ustawił ją bokiem, tak by Katie nie mogła widzieć obrazu.

– Tak, to ty. Ale jeszcze nie skończyłem, więc żadnego podglądania.

– Jeśli wyglądam na nim choć trochę tak, jak się czuję, i tak nie chcę go widzieć.

Uśmiechnął się i delikatnie pogłaskał ją po policzku. Widziała po jego spojrzeniu, jak bardzo ją kocha, i od razu zrobiło jej się lepiej. Opadła na kanapę, a Barney podszedł i usiadł obok bardzo wyprostowany, jakby trzymał przy niej straż.

Kiedy John wrócił z kuchni z kawą, Katie już spała.

## Rozdział 27

Riona wychodziła z wybiegu dla koni z Saint Sparkle'em i jego właścicielem, Gerrym Brickleyem, kiedy dogonił ją Paddy Fearon. Rozejrzał się ukradkiem jak czarny charakter z teatru pantomimy, sprawdzając, czy jakieś kamery telewizyjne nie są skierowane w ich stronę i czy nie ma w pobliżu policji.

– Riona? – zagadnął. – Chono ze mną na słówko, dziewczyna. Tylko migiem, bo to pilne.

Gerry rozmawiał z nią o honorariach za wypożyczenie ogiera Saint Sparkle i teraz się skrzywił. Był człowiekiem nienawykłym do tego, że ktoś wpada mu w słowo.

– To będzie musiało poczekać – odparła Riona, nie patrząc na Paddy'ego, tylko uśmiechając się do tłumu ludzi zgromadzonych za parkanem. – Flaga idzie w górę za niecałe dziesięć minut.

Barwy Saint Sparkle'a były szkarłatno-białe, ona zaś miała na sobie odpowiednio dobrany kostium z wełny, szkarłatny toczek z piórami i szkarłatne kozaki. Gerry paradował z czerwoną jedwabną różą w klapie marynarki ze sztruksowym kołnierzykiem, która gryzła się z ceglastym kolorem jego twarzy. Była niedziela po południu, pierwszy dzień wyścigów w Mallow, i tor zappełnił się tysiącami widzów.

– Coś mnie się zdaje, że z chęcią usłyszysz. – Paddy przytrzymał jedną ręką kołnierz kozucha, jakby się bał, że ktoś w tłumie może czytać jego słowa z ruchu warg.

Mimo że dżokej Josh Teagan dosiadał już wcześniej Saint Sparkle'a na wybiegu, to czteroletniego gniadosza prowadził szpakowaty stajenny Riony, ten, którego kobieta besztala na oczach siostry Barbary patrzącej z okna na piętrze.

– Ryan, weź go ode mnie, co? – powiedziała Riona, po czym zwróciła się do Gerry'ego: – Wybacz, to potrwa chwilę. Dogonię was.

Gerry ponownie spojrzął na Paddy'ego, marszcząc czoło.

– Ale chyba nic się nie stało?

– Nie, nie, wszystko jest w porządku. Zaraz będę z powrotem. – Szła dalej za Saint Sparkle'em wzdłuż trybuny, lecz zwolniła, gdy Gerry oddalił się na dziesięć metrów i nie mógł jej słyszeć. Wtedy odwróciła się do Paddy'ego. – No to mów, tylko się streszczaj. Nie mam za dużo czasu.

– To i będzie szybko. Bo parę dni temu zgłasza się do mnie w Spring Lane jeden gość i mówi, że spotkał mnie kiedyś wieczorem w Waxy's, chociaż ja osobiście żem go tam nie widział.

Widzowie hałasowali, a z głośników popłynęło ogłoszenie i Rionie trudno było usłyszeć, co mówi Paddy; musiała się do niego nachylić bardziej, niż miała na

to ochotę. Mocno zalatywał papierosami i whisky.

– No, no, dalej – ponagliła go, nie spuszczać oczu z lśniącego zadu Saint Sparkle’a i śmigającego czarnego ogona.

– Tak czy owak, koleś mnie prosi, żeby ja pozbył się dla niego koni, w sumie dziewięć. Mówi, że w Waxy’s usłyszał ode mnie, że ja tanio załatwiam. Dał pięćset jojo i jutro rano mam te konie odebrać.

Riona stanęła jak wryta.

– I co planowałeś z nimi zrobić? Spuścić je z klifu tak jak moje?

– Ej, co jest! Bez takich fauli! One nie były twoje, te szkapy. Twoje to ja zabrał do hyclowni. A w ogóle to nie ja.

– Jasne, że ty. We wszystkich wiadomościach o tym trąbili, w razie gdybyś nie zauważył. Dwadzieścia trzy konie czystej krwi znalezione na plaży w Nohaval Cove.

Stajenny Riony zatrzymał się i czekał na nią, więc przyspieszyła kroku. Paddy ją dogonił.

– To jakby dowód jest, no nie? Ty mi nie dała do skasowania dwadzieścia trzy. Tylko jednaście. No, piętnaście ze żrebakami.

– To nie jest żaden dowód, to tylko potwierdza, że jakiś niczego niepodważający frajer też ci zapłacił za pozbycie się koni. Brykaj, Paddy, nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia.

– Chwila, czegoś ty jeszcze nie usłyszała. Ten gość, co to chciał, żeby skasować dla niego szkapy, wpadł w oko jednej lasce w Spring Lane, Taunie.

– Paddy, może tego nie zauważyłaś, ale mój koń wychodzi właśnie na najważniejszą gonitwę dnia.

– No tak, ale Tauna widziała wczoraj tego gościa w centrum miasta. Stał on na schodach komendy przy Anglesea Street, gadał i rechotał z dwoma w mundurach. Ten koleś nie nawinął się przypadkiem. To jest pies.

Riona zatrzymała się i wydymając szkarłatne usta, popatrzyła na Paddy’ego zwięzonymi oczami.

– Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? – spytała. – To znaczy, że policja ma mocne podejrzenie, że to ty zważyłaś te konie na plażę, i chce cię zrobić.

– Riono! – zawołał stajenny.

– No pewnie, że chcą mnie zrobić – potwierdził Paddy. – To jest jakby, kuźwa, jasne. Ale przyszło mi do głowy, żeby cię ostrzec. Jak mnie chcą dopaść, to może i ciebie. Więc jak zaczną węszyć naokoło, to liczę, że nie szepiesz im, że to ja się pozbyłem za ciebie tych szkap.

– A czego się boisz? Nie powiedziałeś przed chwilą, że zabrałaś je do hyclowni, całkiem legalnie?

– Riono! – krzyknął znów stajenny. – Stewardzi nas popędzają, mówią, że jeszcze chwila i wykluczą nas z tej gonitwy!

– Wcale nie zawiozłeś ich do hyclowni, co, Paddy? Zrzuciłeś je z klifu. Ty to zrobiłeś, franco załgana! Zgarnąłeś forse, którą ci dałam, i zważyłeś je z klifu!

– Ja nic nie mówię, nic a nic – odparł Paddy. – Ostrzegam ciebie i tyle.

– No nie! Nie mogę uwierzyć. Coś ty zrobił z ich papierami?

– Pewnie je spalił. Znaczy by spalił, gdybym to ja był.

– Riono! – ryknął stajenny i tym razem w jego głosie słycać było desperację.

– Riono! – przyłączył się do niego Gerry. – Co się dzieje?

– Muszę iść – rzuciła. – Pogadamy po ważeniu. Wyślę ci esemesa i powiem, gdzie się spotkamy.

– Nie wysyłaj esemesa. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby gliny włamały mi się do telefonu. Spotkamy się w barze dla członków klubu jeździeckiego.

– Tylko mi nie mów, że do niego należysz?

Paddy stuknął się w bok nosa, odwrócił i przecisnął przez tłum. Riona stała chwilę w miejscu, czerwone piórka jej toczka drgały w lekkich podmuchach wiatru. Potem ruszyła szybko w ślad za Saint Sparkle'em.

\* \* \*

– O co chodziło? – spytał Gerry, kiedy zmierzali do barierki, żeby obserwować start. W gonitwie O'Grady Insurance Group Steeplechase brało udział jednaście koni i wszystkie wierzgały, czekając, aż flaga pójdzie w górę.

– A, to weterynarz – odparła Riona. – Jedno moje źrebię ma zapalenie nasady kości i pytał, czy może mu dać sterydy.

– Nie rozumiem, co w tym pilnego. – Gerry zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy Paddy wciąż tam jest. – Poza tym on mi nie bardzo wygląda na weterynarza.

– Naprawdę? A jak, według ciebie, powinien wyglądać weterynarz?

– Chyba nie tak jak bukmacherski konik. – Gerry odwrócił się i obiema dłońmi osłonił oczy, żeby dobrze widzieć miejsce startu. – Ale coś ci powiem. Saint Sparkle nigdy nie wyglądał lepiej. Z przyjemnością patrzę, jak bryka. Najwyższa półka.

– W Ballinrobe dobrze się spisał, no nie? Miejmy nadzieję, że dzisiaj będzie jeszcze lepiej. Wygrana jest warta trzydzieści dwa i pół tysiąca euro.

Nagle śmignęła flaga i konie poszły. Od tłumy widzów na trybunie i w nowym pawilonie wzniósł się wielki ryk. Elegancko ubrana dziewczyna obok Riony zaczęła podskakiwać i piszczeć:

– Lucky William! Dawaj, Lucky William!

Kiedy konie dobiegły do pierwszego płotu, stawka była mocno zwarta, Saint Sparkle szedł czwarty. Wszystkie przeskoczyły gładko i do drugiego płotu wciąż szły równo, ale na pierwszym rowie jeden wierzchowiec się przewrócił, a dwa inne

zderzyły się przy zeskoku; reszta stawki się rozciągnęła. Saint Sparkle, który nadal szedł mocno, przesunął się na trzecią pozycję.

– Uda mu się, co? – rzucił Gerry, ściskając Rionę za ramię. – Uda mu się, cholera, jak nic!

Poklepała go po dłoni.

– Wstrzymaj się jeszcze z liczeniem forsy! Ale rewelacyjnie idzie, prawda? Spójrz tylko! Dawaj, Josh! Teraz, teraz! No, dawaj, chłopie!

Konie minęły ostatni wiraż i Saint Sparkle nadal był trzeci. Na ostatniej prostej przed metą rozstawiono dwa płoty z rowem pośrodku, co miało być sprawdzianem wytrzymałości wierzchowców na ostatnim odcinku. Ryk widzów jeszcze bardziej przybrał teraz na sile i brzmiał niczym odgłos wichru wiejącego przez betonowy tunel.

Saint Sparkle przesadził pierwszy płot, ale potknął się mocno i został wyprzedzony przez Lucky’ego Williama, a potem przez White Russiana.

– Dawaj! – wrzeszczał Gerry. – Dawaj, Josh, na miłość boską! Jeszcze wygrasz, chłopie! No, dawaj!

Josh usiłował popędzić Saint Sparkle’a pejcem, ale koń całkowicie wytracił rozpęd i zbliżając się do rowu, kilka razy opuścił łeb na znak, że nie ma siły bądź woli, by go pokonać. Josh zrobił kółko, ale nie było sensu podchodzić drugi raz do rowu. Wyprowadził konia z toru i ruszył w kierunku trybuny.

Krzyk tłumu kibiców huknął jeszcze głośniejsze, gdy Gentleman Jim jako pierwszy minął słupek. Przed gonitwą jego szanse oceniane były na 10 do 1, Saint Sparkle’a zaś na 7 do 2.

Twarz Gerry’ego zrobiła się purpurowa z gniewu i rozczarowania.

– Co tam się, kurwa, stało? Powinien to wygrać spacerkiem, a on nawet nie skończył wyścigu!

Riona pokręciła głową.

– Przykro mi, Gerry, naprawdę mi przykro. Powinien był wygrać spacerkiem, masz rację, ale sam widziałeś, że źle spadł po pierwszym płocie. Modłę się, żeby tylko nie złamał kostki.

– Nie ty jedna, Riono, ja też. Jeśli złamał kostkę, to już po nim. Nie mogę, kurwa, uwierzyć.

Przepchnęli się przez szeregi widzów do trawiastego kręgu za pawilonem; Josh zsiadł już z konia. Dwie dziewczyny ze stadniny Riony trzymały Saint Sparkle’a i klepały go, żeby się uspokoił. Wierzchowiec pocił się, dyszał chrapliwie i parskał raz po raz. Ryan stał schylony i obmacywał jego pęciny i stawy skokowe.

– No i co? – niecierpliwiał się Gerry. – Złamał sobie coś?

Ryan dotknął ostatniego stawu i wyprostował się.

– Nic takiego nie widzę, proszę pana. Może i ma jakieś pęknięcie, ale stoi

swobodnie i chodzi jak należy.

– Więc co się stało? – dociekał Gerry. – Był już blisko, mógł dobiec do mety i zabrakło mu pary. W Ballinrobe tak nie było. Tam zasuwał jak pociąg ekspresowy i doleciałby do Castlebar, gdybyś nie ściągnął mu wodzy.

– Muszę powiedzieć, że osłabł już na czwartym płocie, czułem to – oznajmił dżokej, zdejmując czerwono-żółtą czapkę. Miał ostro zakończony nos i błyszczące, bardzo wąsko osadzone oczy. – Od początku wyrwał jak torpeda. Wysoko skakał, z dużym zapasem na płotach, ale wcale go to nie spowalniało. A potem nagle ciach! Jakby mu ktoś prąd wyłączył.

– To jest, kurwa, koń, a nie telewizor – warknął Gerry. – Modlę się, żeby jakiego wirusa nie złapał.

– W moich stajniach nie ma boreliozy, Gerry – odparowała Riona. – Sparkle zawsze był nerwowy, wiesz przecież. Z jakiegoś powodu stracił dzisiaj pewność siebie, i tyle.

– Ach tak? A co to mógł być za powód? Jesteś jego trenerką. Podobno znasz się na tej całej końskiej psychologii.

– Nie znam jeszcze odpowiedzi na to pytanie, ale się dowiem i zrobię wszystko, żeby się to nie powtórzyło.

– No to się postaraj. Połóż go na kozetce i niech ci opowie o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie czy cholera wie o czym, co sprawiło, że stracił pewność siebie. On stracił tylko pewność siebie, ale ja szansę na wygraną trzydziestu dwóch tysięcy euro. Kurwa, nawet jakby przyszedł drugi, wygrałbym dziewięć kawałków!

– Gerry, już ci mówiłam, że mi przykro. Albo jest fart na torze, albo go nie ma, zawsze tak było, nie? Weterynarz zbada gruntownie Sparkle’a, zadzwonię do ciebie, gdyby to było coś poważnego, a jak nie, to też zadzwonię.

Gerry kręcił się w kółko i usiłował wymyślić coś jeszcze, żeby dać upust złości.

– Jezu, muszę się napić! – rzucił.

\* \* \*

Riona podeszła do Paddy’ego. Siedział na stołku barowym w samym końcu sali, po przeciwnej stronie od okien, a przed nim stała duża szklanka whisky. Wyglądał jak niechlujne, stare brązowe ptaszysko przycupnięte na słupie bramy.

– Czego se łykniesz, dziewczyna? – spytał, nie patrząc na nią.

– Od ciebie niczego, dzięki wielkie. Co tam ci chodzi po łbie?

– Tego konia też będziesz ty się chciała pozbyć, no nie? I to migiem. Nie zabłysnął on dzisiaj, co? W ogóle nie była z niego iskra, chociaż Sparkle mu na imię.

– Zdawało mi się, że dałam bardzo jasno do zrozumienia, że nie chcę mieć

z tobą więcej nic wspólnego – odrzekła Riona. – Jak tyś to sobie, do cholery, wymyślił? Że zrzucisz tyle koni z klifu i ujdzie ci to na sucho? Chyba cię pogięło.

– W Clare tak zrobili i im uszło. Ale nie mówię, że to ja był.

– No więc co zrobisz z tymi końmi, za których sprzątnięcie zapłacił ci ten glina?

– Nic ja nie zrobię, jasna sprawa. To, co mi bulnął, nie starczy, żeby je zawieźć do Fitzgerald's.

– I myślisz, że gliny tak po prostu puszcza to w niepamięć? Jeśli nie przyjedziesz po te konie, zanim się obejrzyś, zapukają do tej twojej niby-mobilnej chaty. Co im wtedy powiesz?

– Wszystkiego się wyprę. Powiem, że ja w życiu tego gościa nie widział.

Riona potrząsnęła głową tak mocno, że zakołysały się szkarłatne pióra na toczku.

– Jesteś jeszcze bardziej tępy, niż myślałam, Paddy Fearonie. Jeśli ten facet był tajniakiem, to nie sądzisz, że nagrywał wszystko, co mówiłeś? Może nawet ma zapis wideo. Mają teraz kamerki nawet w guzikach od kurtki.

– No, sam już nie wiem, kuźwa. Coś tam wykombinuję.

– Rób, jak uważasz – powiedziała Riona. – Ale nie wolno ci nawet słówkiem wspomnieć o mnie, słyszysz? Bo jak puścisz parę, to nie konie polecą z klifu w Nohaval Cove.

Paddy właśnie miał unieść szklankę z whisky do ust, lecz opuścił ją i popatrzył na rozmówczynię.

– Mówię serio – ciągnęła. – Nie wiesz, z kim masz do czynienia, kiedy się ze mną zadajesz, i lepiej dla ciebie, żebyś się nie dowiedział.

Z balkonu z widokiem na tor wszedł Gerry i przemierzył bar.

– A, Riona! – zawołał. – Przyszłaś tu zalewać smutki? I twój weterynarz także! Nadal tu jest! A ja myślałem, że pojechał leczyć twojego żrebaka z tego czegoś, co to ja nawet nie wiem, jak się nazywa.

– Właśnie zbierał się do wyjścia. – Riona bez mrugnięcia okiem wpatrywała się w Paddy'ego.

Ten wychylił resztkę whisky i zsunął się ze stołka.

– No to powodzenia tobie – rzucił do Riony i wyszedł.

– I wzajemnie, chłopak – mruknęła cicho. – Bo ci się przyda.

## Rozdział 28

W poniedziałek Katie dojechała na Anglesea wcześniej rano. Dzień, choć zimny, był jasny i suchy, więc ekipa poszukiwawcza w Bon Sauveur już rozpoczęła pracę. Detektywi Dooley i Brennan mieli śledzić Paddy'ego Fearona po tym, jak odbierze pierwsze trzy konie z łąki w Kilmichael. W niedzielę późnym wieczorem odebrała telefon z informacją, że na przystani promowej w Ringaskiddy celnicy aresztowali troje niepełnosprawnych, którzy przewozili znaczne ilości heroiny ukryte w odzieży.

Była to pospolita praktyka przemytników – wykorzystywać osoby upośledzone umysłowo lub dzieci do transportu prochów. Prawo stanowiło, że osobę można przeszukać tylko pod warunkiem, że rozumie powód rewizji. W gabinecie czekał na Katie stos notatek i raportów, ale przejrzawszy je, zauważyła z ulgą, że nie ma nic w związku z dochodzeniem biura rzecznika komendy głównej policji. Bardzo się starała o tym nie myśleć, bo wiedziała, że racja jest po jej stronie i potrafi to udowodnić. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie będzie to łatwe, bo Bryan Molloy robił wszystko, by przekabacić jej świadków.

Właśnie zdejmowała wieczko z cappuccino, kiedy wszedł detektyw O'Donovan z oprawioną czarno-białą fotografią. Wyglądał świeżo, jakby zdążył się porządnie wyspać, był elegancko ubrany w żółtą koszulę i jasnobrązową marynarkę ze sztruksu. Katie nic nie powiedziała, ale ucieszyła się, że jest mniej zestresowany. Postawiła sobie za cel zwracać uwagę na najmniejsze objawy przemęczenia i napięcia nerwowego u swoich detektywów, zwłaszcza po tym, jak detektyw komisarz Liam Fennessy kompletnie się rozsypał. Przed trzema miesiącami zostawił wiadomość, która wyglądała jak list pożegnalny samobójcy, a potem ślad po nim zaginął – nie znaleziono go ani żywego, ani martwego.

– Oto nasza poszukiwana bez dwóch zdań – powiedział detektyw O'Donovan i położył zdjęcie na stosie papierów przed Katie.

Przedstawiało siostry z Bon Sauveur wraz z matkami i ich dziećmi – niemowlętami i trochę starszymi – z datą „7 marca 1972 roku”. Zakonnice miały posępne miny, matki wyglądały żałośnie, a z twarzy dzieci biło zagubienie. O'Donovan wskazał siostrę stojącą po prawej stronie z tyłu.

– To ona. – Przystawił do fotografii pośmiertne zdjęcie latającej zakonnicy, które rozesłano do klasztorów, szkół i ośrodków opieki dziennej. – Te dwa zdjęcia dzieli ponad czterdzieści lat, ale sprawdziliśmy za pomocą systemu rozpoznawania twarzy i nie ma wątpliwości. Na obu wygląda jak ludzki wrak, ale właśnie to pomogło. Bill mówi, że oprogramowanie biometryczne może zacząć wariować, kiedy obiekt się uśmiecha.

Katie przyjrzała się fotografiom.



– Hm... może ma taką minę, bo nie cieszyło jej zbytnio życie w zakonie. No, ja na pewno bym się nie uśmiechała, gdyby mnie wypatroszono tak jak ją i puszczono w powietrze. A nazwisko? Wiemy już, jak się nazywała?

O'Donovan odwrócił fotografię oprawioną w ramkę. Na odwrocie widniała pożółkła karteczka z wypisanymi ręcznie nazwiskami wszystkich sióstr. Nie podano jednak tożsamości żadnej z młodych matek, tak zwanych „upadłych kobiet”, ani ich dzieci.

– Coś niesamowitego, prawda? – odezwała się Katie. – Tak jakby te dziewczęta i ich małżeństwa wcale nie istniały. Te zakonnice dbały wyłącznie o siebie.

– Mona Murphy, tak nazywała się ta – oznajmił detektyw O'Donovan. – I proszę spojrzeć, tuż obok niej stoi siostra Hannah O'Dwyer, obecnie matka przełożona. Ale czy matka O'Dwyer nie powiedziała nam w oczy, bez śladu rumieńca na twarzy, że jej nie poznaje?

– Niestety, nie można kogoś aresztować za to, że ma słabą pamięć – zauważyła Katie. – W przeciwnym razie połowa Cork siedziałaby za kratkami, zwłaszcza w poniedziałek rano.

– Ale to jednak świadczy, że wszystkie trzy zakonnice pochodziły z Bon Sauveur, prawda? I musi to mieć jakieś znaczenie.

– Tak, oczywiście. Nie wiem, czy śmierć trzech zakonnice wystarczy, by można było mówić o prawidłowości, ale wydaje się to coraz bardziej prawdopodobne. Mnie jednak ciekawi to, co im zrobiono. Siostrę Bridget potraktowano za pomocą figurki Maryi, siostrze Barbarze obcięto palce u rąk i nóg i napiętnowano ją, a siostrę Monę wypatroszono i puszczono w powietrze na balonach. Wszystkie pochodziły z tego samego klasztoru, ale dręczono je i okaleczono w całkowicie inny sposób.

– No, owszem, są różnice – przyznał O'Donovan. – Ale jest też ważne podobieństwo, to znaczy wiek. Wszystkie były po osiemdziesiątce, więc musiały przebywać w klasztorze mniej więcej w tym samym czasie. Rozumie pani, co mam na myśli?

Katie popatrzyła jeszcze raz na oprawioną fotografię.

– Sugeruje pan, że zabójca również był w tym czasie w klasztorze i z jakiejś przyczyny chowa do nich urazę? Tak, to dość oczywisty wniosek. Może to jedna z tych niezamężnych matek, którymi rzekomo tak dobrze się opiekowały?

Przyjrzała się smutnym bladym twarzom „upadłych kobiet”, ale nie mogła mieć pewności, że jest wśród nich ta, która zamordowała zakonnice. Zabójczyni mogła być pierwszą lepszą dwudziestoparolatką, która przebywała w klasztorze jednocześnie z trzema siostrami. Dom Matki i Dziecka Świętej Małgorzaty rokrocznie przyjmował średnio dwadzieścia trzy dziewczęta z Cork i okolic, a to oznaczało, że podlegli Katie detektywi musieliby sprawdzić ponad czterystu

pięćdziesięciu potencjalnych podejrzanych.

– Widzi pan, na czym polega kłopot, prawda? – powiedziała. – Detektyw sierżant Ni Nuallán twierdzi, że rejestry prowadzone przez siostry są bardzo skąpe, jeśli chodzi o szczegóły. Zapisywały nazwiska i adresy domowe przybywających dziewcząt, a także odnotowywały narodziny ich dzieci. Ale nie wykazywały zgonów, a wystarczy przecież rzucić okiem na te szkielety, które odkopaliśmy, i wiadomo, że były ich setki. Główna trudność polega jednak na tym, że siostry nie zapisywały, kiedy dziewczęta opuszczały dom i dokąd się udawały. Nawet jeżeli rodziny dalej mieszkają pod pierwotnymi adresami, wątpię, by wiele z tych dziewcząt utrzymywało kontakt z rodzicami, którzy je wyrzucili. Spodziewam się, że prawie wszystkie dokądś wyjechały, powychodziły za mąż i zmieniły nazwiska. Znalezienie ich wszystkich byłoby niemożliwe. Nie mamy ani tylu ludzi, ani takich funduszy. Poza tym to tylko przypuszczenie, że odpowiedzialna za zabójstwa jest jedna z tych dziewcząt. Być może pukamy do niewłaściwych drzwi. To może być jakiś lubieżny stary ksiądz, który je wykorzystywał, kiedy były młodsze, i nie chce, żeby ktoś się o tym dowiedział.

– Nie wyobrażam sobie, żeby osiemdziesięcioletni ksiądz podwiesił martwą zakonnice pod trzema balonami z helem. Mówię teraz poważnie.

– Może i nie, ale zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Pamięta pan tego staruszka w Doughcloyne, który rozpruł żonie brzuch, nafaszerował ją jabłkami i dał świniom do zjedzenia?

– Właśnie zjadłem jabłko na śniadanie, więc wołałbym o tym nie pamiętać, jeśli nie robi to pani różnicy – odparł detektyw O'Donovan. Wziął zdjęcie do ręki, uniósł je i skupił na nim wzrok. Patrzył tak intensywnie, jakby liczył na to, że jakimś cudem któraś z zasmuconych twarzy ożyje i da mu jakiś znak. Skinie głową, poruszy wargami. – No to jaki właściwie mamy plan? – zapytał, wciąż wpatrując się w fotografię.

– Plan polega w sumie na tym, że go nie mamy. Ale przekopujemy dalej klasztorny ogród w poszukiwaniu szczątków i staramy się ustalić tożsamość brzydala, który wrzucił zwłoki siostry Barbary do fontanny Berwick.

– To akurat nie powinno być zbyt trudne z tą jego paskudną gębą.

– A może to właśnie on morduje zakonnice – powiedziała Katie. – Mógł się wychować w tym domu opieki, a wie pan, ile te dzieciaki wycierpiały. Mój ojciec opowiadał, że miał w klasie parę takich dzieci. Żeby nie wychodziły z klasztoru, zakonnice kazały im nosić wielkie drewniane trepy, które stuknęły przy każdym kroku. Traktowały je, jakby te dzieciaki nie były ludźmi, i nawet koledzy w szkole tak się do nich odnosili. Kiedy mój ojciec coś przeszkrobał w klasie, nauczyciel w ramach kary sadzał go obok kogoś z sierocińca. Dlatego, że oni cuchnęli.

– Przy mojej mamie nawet nie wspominałbym o tych sierotach – rzucił O'Donovan. – Opowiedziała mi, jak ona i parę starszych dziewczynek zrobiły

kiedyś jednej takiej psikusy. Owinęły kamień w papierek od cukierka, dały jej i powiedziały, że to smakołyk. Kiedy go odwinęła, rozpłakała się, bo w sierocińcu nigdy nie dawali im słodyczy. Mama po tylu latach dalej ma poczucie winy.

– Jak pan sądzi, Patricku? Czy takie przepełnione cierpieniem dzieciństwo może być wystarczającym motywem do tego, żeby zamordować trzy zakonnice i sponiewierać ich zwłoki?

– Trudno mi powiedzieć na pewno. Ale tak jakoś mi się wydaje, że to możliwe, wie pani... Mama mówiła, że zakonnice były zimne jak lód wobec tych dzieci, bo pochodziły z nieprawego łoża, a nauczyciele traktowali je jak śmiecie, więc inne dzieciaki brały z nich przykład. Jeśli jest się w taki sposób wychowywanym, to kto wie, jak to wpływa na psychikę? Czegóż takiego raczej się nie zapomina. Jeśli moja mama nie może sobie darować tego kamyka zawiniętego jak cukierek, a miała wtedy siedem lat, to co może czuć dziewczynka, która go dostała?

Katie wstała i podeszła do okna. Nieświadomie położyła dłoń na brzuchu. Na ulicy jakaś malutka, mniej więcej trzyletnia, dziewczynka skakała obok matki. Katie zastanowiła się, czy jej dziecko będzie dziewczynką. Czasami tak czuła. Wkrótce miała iść do lekarza na USG, ale i tak będzie za wcześnie, by to stwierdzić.

– Dobrze się pani czuje? – spytał O'Donovan.

Boże, Katie chwilami marzyła, żeby nie otaczali jej detektywi. Jeśli ktoś był choć odrobinę nie w sosie, od razu się tego czepiali. Mogła się tylko cieszyć, że John nie jest obdarzony taką supercząłą anteną.

– Czuję się wspaniale, Patricku. Świetna robota, zidentyfikował pan siostrę Monę. Dowiedział się pan, gdzie ona mieszkała?

– O ile mi wiadomo, na parterze przy Upper Lotabeg Road. Ze spisu wyborców wynika, że mieszkała wspólnie z jakąś kobietą. Chwila, moment... miałem to gdzieś zanotowane... Ta kobieta nazywa się Enda McMahon. Wybiorę się do niej osobiście i zobaczę, czy może nam jakoś pomóc.

– Doskonale. Im prędzej, tym lepiej. Ja chyba tymczasem kopnę się do Bon Sauvreur i jeszcze raz pogadam z matką O'Dwyer.

– Może jej pani ode mnie przekazać, że żartownisia z niej. Łagodnie to ująłem, jak na mnie.

## Rozdział 29

Detektywi Dooley i Brennan siedzieli w samochodzie przed barem Kilmichael od ponad dwóch godzin, kiedy zaświtało im podejrzenie, że Paddy Fearon ani myśli się zjawić.

– Typowe, kurde, typowe – rzucił Brennan. Był to rostry, barczysty mężczyzna z nosem jak kartofel i policzkami tak dziobatymi, że wyglądały jak po trafieniu śrutem strzeleckim. – Nie można nawet liczyć na to, że ten pieprzony Cygan sam się pogrąży.

Dooley spojrział na zegarek.

– Jak myślisz? Dajemy mu jeszcze pół godziny? Może przyczepa mu się zepsuła.

– Nie, w dupę z nim. Jedźmy go szukać. Znam tego Fearona kupę czasu. Łajza jakich mało. Nie dałbym mu potrzymać mojego psa na smyczy, nawet gdyby psa na końcu nie było.

Na polu usytuowanym po przekątnej od pubu pasło się dziewięć lichego sortu wierzchowców czystej krwi. Większość stanowiły emerytowane konie wyścigowe mające najlepsze lata za sobą, ale były także trzy młode po kontuzjach lub chorobach, które na zawsze wykluczyły je z toru. Detektyw Dooley załatwił z właścicielem pola, żeby puścić na nie zwierzęta swobodnie na całą dobę, i wczoraj po południu stajenni Michaela O'Malleya i Kevina Corgana je tu przywieźli w przyczepach. W razie gdyby któryś ucierpiał, zgodzono się, że ich trenerzy dostaną od Garda Síochána pełne odszkodowanie za wartość mięsa, nawet jeśli konie nie były zdatne do spożycia przez ludzi.

Detektyw Dooley wygramolił się z samochodu i stał chwilę, nadstawiając uszu. Słyszał jedynie wiatr. Kilmichael leżało na pustkowiu, z dala od wszystkiego, i jedynymi oznakami zamieszkania przez ludzi były bar Kilmichael, pomalowany na żółto-czerwono, oraz samotna stacja paliw z jedną pompą po przeciwnej stronie.

Miejscowość zasłynęła dzięki zasadzce IRA w listopadzie 1920 roku, kiedy Tom Barry i trzydziestu sześciu miejscowych ochotników zatrzymali dwie ciężarówki pełne żołnierzy oddziałów pomocniczych i zabili siedemnastu z nich. Później jednak Kilmichael nie miało już żadnego tytułu do sławy.

Drogą nie przejechał ani jeden samochód. W górze nie przeleciał samolot. Z rzadka parsknął któryś z koni, ale poza tym nic się nie działo. Dooley usiadł z powrotem za kierownicą i zapiał pas.

– Coś mi się zdaje, że wyniuchał w tobie stróża prawa – powiedział Brennan.

– Pojęcia nie mam, jak mu się udało. Jeśli byłem gliną, to skąd mogłem wiedzieć o tym, że tamtego wieczoru był w Waxy's? A jedna laska z osiedla przyczep cały czas na mnie zerkała. Nie robiłaby tak, gdyby chociaż trochę czaiła

we mnie glinę. Całkiem niezła była.

– Ale facet się nie pokazuje, tak czy nie? Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć dlaczego.

Detektyw Dooley uruchomił silnik. W tej samej chwili z baru wyszedł właściciel Kilmichael w brązowym swetrze w zygzakowaty wzór i zaczął się gapić na policjantów.

– Wybacz, przyjacielu! – zawołał Brennan. – Z wielką chęcią byśmy wpadli na kielicha, ale akurat co innego nas pili.

\* \* \*

Na osiedle Spring Lane Halting Site dojechali tuż po południu. Dooley zaparkował wóz blisko wjazdu, ale tak, żeby nie było ich widać z przyczep mieszkalnych.

– Tylko się pilnuj przed tą gwiazdą, co się na ciebie napaliła – poradził mu Brennan. – Jak spróbuje cię wciągnąć do przyczepy na molestowanko, zadzwoń do mnie na komórkę, to przylecę w dyrdy i cię wyratuję.

– Weź przestań, co? – odciął się Dooley.

Zostawił kolegę w samochodzie i wszedł na osiedle. Sześcioro lub siedmioro dzieci bawiło się, ale spostrzegł z ulgą, że nie ma gromadki kobiet, które paliły papierosy i plotkowały, kiedy był tam poprzednio. Wyparowała także większość brązowej wody ze ścieku. Zmierzając do przyczepy Paddy'ego Fearona, minął sanitariaty. Obok nich, tak jak poprzednio, był uwiązany koń, ale co ważniejsze, na betonie stała przyczepa do przewozu koni należąca do Paddy'ego.

Dooley zapukał do drzwi i cofnął się, żeby nie zarobić w łeb, kiedy się otworzą. Nikt nie odpowiedział, więc Dooley zapukał po raz drugi i znów się wycofał.

Po długiej chwili drzwi się otworzyły i w chmurze dymu z papierosa ukazał się Paddy Fearon. Miał na sobie tylko brudny bezrękawnik i granatowe spodnie od dresu poplamione jedzeniem.

– Tak? – odezwał się, wyjmując papierosa z ust. – Co tam chcesz, chłopak?

– Miałeś, zdaje się, przyjechać po moje konie. Taka była przecież umowa?

Paddy zamrugał, jakby się bardzo zdziwił.

– Jakie konie? Jaka umowa?

– Dobrze wiesz, jakie konie i jaka umowa. Wybuliłem ci za nią pięćset euro w gotówce. Miałeś przyjechać po moje konie i załatwić sprawę.

Paddy porządnie zaciągnął się papierosem.

– Zielonego pojęcia nie mam, o czym gadasz, chłopak. Przykro mi. Nie wiem, co ty, kuźwa, za jeden i coś, kuźwa, pił, ale na twoim miejscu bym się na co innego przerzucił, żebyś ty takich galopujących zwidów nie miał.

– Nie kituj mi! Wiesz doskonale, kto ja jestem. No to jak, pojedziesz do

Kilmichael po te konie i pozbędziesz się ich tak, jak było umówione?

– Kilmichael? Po kiego, kuźwa, grzyba miałby ja się bujać do Kilmichael?

– Bo ci za to bulnąłem, a tyś się zgodził.

Paddy wolno pokręcił głową.

– Nie, młodziak. Nie ja. Może uderzył ty do tej tam przyczepy? Tej żółtej. A możeś ty dalton? Tak czy siak, pomyłka jak na mój gust. A wiesz ty, co się dzieje takim, co robią pomyłki? Muszą się liczyć ze skutkami.

Od strony sanitariatów zbliżało się czterech młodych mężczyzn. Podeszli do Dooleya i stanęli tuż za nim ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Rozpoznał chłopaków, którzy mozolili się z uruchomieniem motocykla. Mieli ogolone głowy albo krótko przystrzyżone włosy, tatuaże na karkach i kolczyki. Co najmniej jeden mocno pachniał wodą po goleniu Lynx i Dooley z jakiegoś powodu poczuł, że czai się w tym większa groźba, niż gdyby załatywali piwem lub trawką.

Spojrzał najpierw w lewo, a potem w prawo. Gapili się na niego obojętnie, żując gumę. Jeden miał zęza. Dooley domyślił się, że Paddy zadzwonił do nich, kiedy on pierwszy raz zapukał do drzwi przyczepy. W kaburze pod pachą miał automatycznego sig sauera, ale mógł sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli go wyciągnie. Ktoś odniesie ciężką ranę lub zginie i całkiem możliwe, że to będzie on.

– Tak, Paddy, myślę że masz rację – powiedział, odwracając się do niego. – Musiałem się ugadać z kimś zupełnie innym. Ale ze mnie gapa, co? Jeszcze trochę i zapomnę, jak się nazywam.

– Spokojna głowa, chłopak. – Paddy wypuścił dym nosem. – Masz przebaczone.

Dooley odwrócił się, żeby odejść. Przez dłuższą nerwową chwilę czterej Romowie blokowali mu drogę, a on stał, unikając kontaktu wzrokowego. Nie patrz na nich. Każde spojrzenie mogą potraktować jak zaczepkę. Udawaj, że cię poniżyli i że chcesz tylko wyjść stąd bez guza.

– *Stafa tapa hu, feen!* – krzyknął chrapliwie Paddy. Dooley wiedział, że znaczy to „Długiego życia, koleś!”.

Młodzi mężczyźni rozstąpili się, wciąż trzymając ręce skrzyżowane na piersi i żując gumę. Przemierzał osiedle, omijając dziury w asfalcie. W połowie drogi zauważył, że Tauna obserwuje go z okna przyczepy. Gdy tylko spostrzegła, że ją widzi, pokazała mu środkowy palec i odwróciła się plecami. Był to jedynie gest, ale świadczył o tym, że Romowie dowiedzieli się, że jest policjantem. Gdyby był byle fagasem, którego Paddy wyrolował na pięćset euro, nie czułaby do niego wrogości. Ona jednak odkryła, że jest gliną, a co gorsza, spodobał się jej.

Wsiadł do samochodu. W środku było zimno, bo Brennan palił papierosa przy otwartym oknie po stronie pasażera.

– No i co, zakisiłeś ogórasa? – zapytał. – Jeśli tak, to gratulacje za tempo.

– Nie, a ty miałeś rację. Jakoś wykombinowali, kim jestem. Może któryś

mnie rozpoznał, nie wiem. Fearon udawał, że pierwszy raz w życiu widzi mnie na oczy. Nie zwracałem się do niego, żeby pozbył się jakichś koni, i nie dałem mu za to pięciuset euro.

– Chyba sobie jaja robisz! A to szmaciarz!

– Wiem. Wystarczyło, żeby mi oddał kasę i powiedział, że nie pozbędzie się koni, bo za te pieniądze nie ma jak tego zrobić. Albo że się tylko przechwalał, a tak naprawdę to takich rzeczy nie załatwia. Gdyby się tak zachował, nic bym mu nie mógł przypiąć. A tak mogę go zahaczyć za wymuszenie pieniędzy przy użyciu grózb.

Brennan podniósł szybę.

– Nie wiem tylko, co powie nasza nad. Cholernie się podjarała, żeby złapać tego Paddy’ego na gorącym uczynku, jak zwała konie z urwiska. Ale jeśli uda się postawić mu zarzut z paragrafu siedemnastego, to już coś.

– Zadzwoń lepiej do Michaela O’Malleya i Kevina Corgana – podsunął Dooley, kiedy odjeżdżali ze Spring Lane w kierunku Ballyvolane. – Niech jadą do Kilmichael i zabiorą swoje szkapy. I podziękuj za wypożyczenie.

– Ale się wściekną – rzucił jego kolega. – Liczyli na to, że więcej tych szkap nie zobaczą, a przy okazji im coś skapnie.

– Im bardziej czegoś chcesz, tym mniejsza szansa, że to zdobędziesz, tak mnie babcia uczyła.

– Moja też, albo coś w tym guście. Zawsze marzyła, że wyjdzie za Christy’ego Ringa i co jej się trafiło? Mój dziadzio moczymorda. Hm... może i nie był z niego najlepszy hokeista w Cork, nie taki jak Christy Ring, ale dać mu dziesięć pint murphy, nakierować na otwarte okno i mógł wymiatać z najlepszymi.

## Rozdział 30

Katie zapinała swój czerwony płaszcz, kiedy zadzwonił detektyw Dooley i zrelacjonował przebieg wydarzeń.

– Czyli Fearon jakoś się dowiedział, że jest pan z policji? No cóż, zawsze istnieje takie ryzyko. Ale trudno, wprowadzamy plan awaryjny i stawiamy mu zarzut wymuszenia. Jadę teraz do klasztoru Bon Sauveur pogadać z matką przełożoną, ale jak tylko wrócę, kopniemy się do Spring Lane i go zgarniemy. Jezu, czasem człowiek prawie ich żałuje, tych biednych szmaciarzy, takich jak Paddy Fearon, prawda?

Szła już korytarzem, kiedy z windy wysiadła Eithne z sekcji technicznej i ruszyła w jej stronę, machając czarną foliową kopertą.

– Co tam, Eithne? – zagadnęła ją Katie. – Jak pani sobie poradziła z gębą tego brzydala?

– Załatwione, pani nadkomisarz. Właśnie przekazałam egzemplarz detektywowi O'Donovanowi, a drugi jest dla pani. – Otworzyła kopertę i wyciągnęła pełnowymiarowy obraz komputerowy mężczyzny w kapturze, który wrzucił do fontanny zwłoki siostry Barbary.

– Boże – jęknęła Katie.

– Piękny to on nie jest, prawda? Może nie wygląda dokładnie tak jak w realu, ale program bardzo sprawnie ekstrapoluje cechy twarzy, na przykład bierze pod uwagę to, że jedna jej strona nie musi być lustrzanym odbiciem drugiej.

– No dobrze. Ja w tej chwili wyjeżdżam, ale gdyby mogła pani zostawić to na moim biurku...

– Właściwie to nie po to przyszłam. – Eithne wyjęła z przezroczystej foliowej koszulki arkusz papieru. – Badaliśmy list, który Roisin Begley rzekomo zostawiła pod poduszką.

– Rzekomo zostawiła? – zdziwiła się Katie.

– Pozornie można sądzić, że go napisała. Ale proszę spojrzeć, to jest list, a to kartka z jej szkolnego zeszytu do biologii.

– Mnie się wydają takie same.

– Na pierwszy rzut oka tak, zgoda. Są wyraźne podobieństwa, „g” i „y” mają ostro zakończone ogonki, „i” ma kreseczkę zamiast kropki. Ale litery „a” i „s” są ukształtowane zupełnie inaczej. Proszę zobaczyć: tu Roisin prawie zatacza je dwa razy. I cały tekst zapisany w zeszycie jest wyraźnie pochylony w lewo, a na kartce nie.

Katie przyjrzała się dokładniej obu próbkom pisma. Eithne miała rację. A na początku wydawały się prawie identyczne. Oprócz różnic w literach widać było wyraźnie coś jeszcze: ten, kto pisał list, naciskał długopisem o wiele mocniej, jak



gdyby pisał pomału i ostrożnie. Jakby coś kopiował.

– Mogę zeznać przed sądem, że to nie Roisin napisała ten list – oznajmiła Eithne. – Nie ma na nim żadnych próbek DNA ani odcisków palców i pisano go granatowym atramentem do pióra, którego w pokoju Roisin nie znaleźliśmy, a to jest jeszcze jedna wskazówka świadcząca o tym, że autorem był ktoś inny.

– Ktoś, kto musiał mieć dostęp do pokoju Roisin i jej zeszytów – zauważyła Katie.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Katie zwróciła jej list i próbkę pisma.

– Dziękuję, Eithne. Odkładałam wizytę w domu Begleyów, ale z tego wynika, że będę musiała się tam wybrać.

\* \* \*

Katie parkowała właśnie przed klasztorem Bon Sauveur, kiedy zadzwonił detektyw komisarz O'Rourke. Był w drodze powrotnej z Dublina i chciał jej powiedzieć, że wszystko załatwił i ekipa z radarem gruntowym przybędzie do Cork nazajutrz.

– Wyjeżdżam o piętnastej z Heuston, więc będę na miejscu o siedemnastej trzydzieści. Jest parę rzeczy, o których chcę z panią pomówić, ale nie przez telefon.

– No, teraz to mnie pan zmartwił – przyznała się Katie.

– Lepiej, żeby pani wiedziała, co jest dzieje – powiedział O'Rourke. – Co w ogóle słyhać? Czy Dooley złapał Fearona na zrzucaaniu koni ze skarpy?

– Wszystko się pochrzańło. Romowie zwęszyli, że Dooley jest gliną. Nie wiem jak, ale to nie jest totalna kłapa, bo mamy plan awaryjny. Zrelacjonuję go pokrótce, jak pan dojedzie. Idę teraz rozmówić się z matką O'Dwyer. Ustaliliśmy tożsamość latającej zakonnicy, była kiedyś w Bon Sauveur.

– Matka O'Dwyer stanowczo twierdziła, że nie, prawda? Coś podobnego! Mieliśmy jedną latającą zakonnice, a teraz mamy łączącą.

– Racja, Francis. Proszę na siebie uważać. Później się zobaczymy.

Przed wejściem do budynku Katie okrążyła go, żeby zobaczyć, jakie postępy robi w ogrodzie ekipa poszukiwawcza. Siedmiu rezerwistów nadal przesiewało sitami czarną tłustą ziemię klombu, a trzech innych zabrało się do pracy w warzywniku. Wykopali kilogramy ziemniaków, ścieli dziesiątki główek zimowej kapusty i usypali z nich kopiec przy murze.

Technicy rozbili duży namiot z niebieskiego nylonu, który całkowicie zasłonił szambo. Trójkątna płachta wejściowa była podwiązana u góry, więc idąc po trawie, Katie widziała, jak w białych kombinezonach i maskach na twarzach klęczą obok otwartej klapy jednego ze zbiorników. Wybierali z niego kości specjalnym narzędziem zaopatrzonym w chwytaki obciążone gumą, która zapobiegała ubrudzeniu bądź uszkodzeniu kości. Te wydobyte umieszczali na brezentowych plandekach i dokładali wszelkich starań, by układać z nich

kompletne szkielety.

Był tam również Bill Phinner, też w białym kombinezonie. Brał udział w pracy całego zespołu. Nigdy nie wyglądał na szczególnie radosnego, zawsze przywodził Katie na myśl ściągniętą, zatroskaną twarz Petera Cushinga w chwili, gdy szczątki Drakuli zaczynają ożywać. Dzisiaj jednak wydawał się poważniejszy niż kiedykolwiek.

– Ile do tej pory? – zapytała.

Ściągnął lateksową rękawicę i przesunął dłonią po przerzedzonych siwych włosach.

– Na razie osiemnaście. To oczywiście tylko szacunkowa liczba. Są tak przemieszane, że nie ma pewności, która czaszka jest od którego kręgosłupa czy klatki piersiowej. Ale jak skończymy, będzie można policzyć, ile dokładnie ich się w tym miejscu pozbyto, i zapewnimy tym szczątkom to, o co zakonnice nie zadbały, czyli należyty pochówek.

– A ile znaleźliście w ogrodzie?

– Trzy w grządce, ale tylko zgaduję, bo jeszcze nie zlokalizowaliśmy wszystkich szkieletów. Jak dotąd, ani jednego w warzywniku. Matka przełożona daje nam czadu, bo wykopujemy im warzywka i czym się będą żywić w następnych miesiącach? Zasugerowałem grzecznie, żeby tak jak wszyscy przespacerowały się do Dunne's Stores, daleko przecież nie mają.

– Jutro przyjadą ze skanerami gruntowymi, więc jeśli tych kości jest więcej, to je znajdziemy.

Bill popatrzył na małe szkieleciki ułożone w trzy szeregi, nie wszystkie kompletne. U niektórych brakowało kości nóg lub rąk, a dwa nie miały czaszek.

– Skończyć w taki sposób, co? I tylko dlatego, że matki nie były mężatkami. Mam nadzieję, że jest dla nich w niebie plac zabaw, chociaż bardzo w to wątpię.

– Bill! – Katie położyła rękę na jego ramieniu. – Nie zdawałam sobie sprawy, że jest pan taki uczuciowy!

– A skąd, wcale nie jestem uczuciowy. Zgorzknialec jestem, jeśli chce pani wiedzieć. Pewnie za długo już siedzę w tej robocie, ale nigdy się z tym nie pogodziłem, że ludzie są zdolni tak postępować z innymi, a najbardziej z tymi, którzy są słabi i bezbronni. Proszę tylko na nie spojrzeć. Były takie małe, nawet się nie zdążyły dowiedzieć, czym rzekomo zawiniły.

– Bill, jeszcze chwila i poryczę się.

Spojrzał na nią ze zmęczonym uśmiechem.

– Nie poryczy się pani, jest pani na to za twarda, pani nadkomisarz. I wykonuje pani tę pracę z tego samego powodu co ja. Żeby mętom, które w taki sposób skrzywdziły niewinne maleństwa, nie uszło to na sucho.

Skinęła głową i więcej się nie odezwała. Nie musiała, bo rozpostarte na płachcie dziecięce szkielety mówiły za nią.

– Proszę pana! – krzyknął jeden z techników, który właśnie wydobył jeszcze jedną malutką czaszkę.

– Do zobaczenia później – powiedział Bill do Katie i skierował się ku znalezisku.

\* \* \*

Matka O’Dwyer siedziała za biurkiem, na którym leżała Biblia. Kiedy siostra Rose wprowadziła Katie do gabinetu, przełożona wstała. Głębokie zmarszczki wokół ust upodabniały ją do trofeum wyprawionego przez łowców głów, ze zszytymi wargami.

– Dzień dobry, pani detektyw nadkomisarz – odezwała się chłodnym tonem, dokładnie wypowiadając każde słowo. – Czy łudzę się płonną nadzieją, sądząc, że przyszła mnie pani powiadomić, iż kończycie już pustoszyć nasz ogród?

– Niestety, pozostało nam jeszcze bardzo dużo do zrobienia, matko. Informowaliśmy matkę, że zamierzamy ściągnąć radary gruntowe do sprawdzenia, czy pod trawą nie zakopano więcej kości. Jutro powinny tutaj dotrzeć.

– Rozumiem. Ale czy zdaje pani sobie sprawę, że zniszczyliście nam życie? Naszą ciszę, spokój duszy i zdolność do medytowania? Nie uczyniliśmy nic poza tym, że całkowicie i bez reszty poświęciliśmy się Bogu i służbie innym ludziom, a wy ścięliście nam nawet kapustę.

– Mogę usiąść? – zapytała Katie. – Muszę zadać siostrze ważne pytanie.

– Powiedziałam pani poprzednim razem, że doradca prawny pouczył mnie, abym w ogóle nic wam nie mówiła. Pan O’Cathaín lub któryś z jego przedstawicieli wkrótce powinien się z państwem skontaktować.

Katie przysunęła sobie podobne do cebra krzesło i usiadła.

– Detektyw pokazał siostrze pośmiertne zdjęcie zakonnicy, którą znaleziono martwą w Glanmire. Mówiła siostra, że jej nie zna, a tymczasem rozpoznaliśmy w niej siostrę Monę Murphy, która należała kiedyś do tego zgromadzenia. Na jednej z fotografii, którą wypożyczyliśmy z klasztoru, stoi tuż obok siostry. Bez najmniejszych wątpliwości znała ją matka, więc dlaczego nas matka okłamała?

Przełożona nie udzieliła odpowiedzi. Dopiero teraz wróciła na swoje miejsce za biurkiem i usiadła. Położyła dłoń na otwartej Biblii i wpatrywała się w detektyw nadkomisarz, jakby nie rozumiała, co ona tam robi, albo jakby ta zadała jej pytanie w obcym języku.

– Matko O’Dwyer, naprawdę muszę wiedzieć, dlaczego nie powiedziała nam matka prawdy.

– Lękałam się – odparła zakonnica. Jej głos zabrzmiał tak, jakby miała w gardle drut kolczasty, którego zadaniem było łapanie słów, zanim się wydostaną.

– Lękała się matka? Czego mianowicie? Im prędzej się dowiemy, kto morduje zakonnice, tym lepiej będzie dla każdego.

– Doprawdy? Tak pani myśli?  
– Ależ oczywiście. Chyba nie chce matka, żeby zamordowano kolejne siostry? I żeby nie ukarano zabójcy?

– Czasami lepiej jest umrzeć niż powiedzieć prawdę – odparła matka O’Dwyer.

– O, czyżby? W jakich to okolicznościach?

Zakonnica zamilkła na prawie pół minuty i siedziała z zamkniętymi ustami, ale Katie nie zadawała więcej pytań, bo wyczuwała, że kobieta starannie rozważa, co powiedzieć.

– Wiedziałam, że to siostra Mona, jak tylko usłyszałam o tym zdarzeniu w wiadomościach – odezwała się w końcu matka O’Dwyer. – A później, kiedy znaleziono siostrę Barbarę, okaleczoną w taki sposób, byłam już zupełnie pewna.

– Słucham dalej – zachęciła ją Katie. – Pewna czego?

– Byłam pewna, że ktoś się mści na siostrach z Bon Sauveur i że mogą zginąć kolejne.

– Dlaczego matka tak pomyślała?

– Z powodu gwałtu zadanego siostrze Bridget i sposobu, w jaki udreńczono siostrę Monę i Barbarę. Mógł to zrobić wyłącznie ktoś, kto je dobrze znał.

– Dlaczego?

Matka O’Dwyer była teraz mocno pobudzona. Wstała i podeszła do okna. Widziała przez nie niebieski nylonowy namiot i rezerwistów rozkopujących ogród. Uniosła rękę jakby po to, by im pobłogosławić lub rozkazać, żeby przestali. Katie nie ruszyła się z miejsca i czekała na odpowiedź.

– Jak pani zapewne wie, pani detektyw nadkomisarz, wiele sióstr oddanych jest konkretnemu świętemu i własną drogę do boskiej ekstazy dostrzega w jego historii. Niektóre widzą swą drogę do Jezusa w cudach, których mógł dokonać wybrany przez nie święty. Inne widzą ją w ich męczeństwie. Niektóre zaś w jednym i drugim, albowiem wielu świętych męczenników czyniło cuda przed odejściem na spotkanie ze stwórcą.

Zakonnica znowu na dłuższą chwilę zamilkła, a potem podjęła:

– Siostra Bridget pokładała namiętą wiarę w Niepokalane Serce Maryi. Wierzyła, że jeśli będzie żyła tak jak Błogosławiona Dziewica, z sercem czystym i pełnym przebaczenia, osiągnie ostatecznie Boga.

– No dobrze... – odezwała się Katie. – Sugeruje więc siostra, że człowiek, który ją udusił i zgwałcił posążkiem Maryi Niepokalanego Serca, najprawdopodobniej o tym wiedział.

– Otóż to. Jeśli idzie o siostrę Monę, to jej duchowym ideałem była siostra Gemma Galgani, zwana Miłośniczką Krzyża.

Katie pokręciła głową.

– Obawiam się, że musi mnie siostra oświecić. Kim była święta Gemma

Galgani?

– Prostą dziewczyną, która w początkach dwudziestego stulecia pracowała w kuchni u zamożnej włoskiej rodziny. Za sprawą wielkiego umiłowania Jezusa często się zdarzało, że przerywała wykonywaną czynność, aby kontemplować duży krzyż wiszący na ścianie kuchni. Wzbudzał on w niej taką namiętność, że pewnego dnia krzyknęła: „Pozwól mi do siebie przyjść, pragnę ciebie!”.

– Rozumiem. I co było potem?

Matka O’Dwyer odwróciła się od okna.

– Ciało na krzyżu ożyło i jego prawa ręka oddzieliła się od krucyfiks. Ze spojrzeniem miłości w oczach On skinął na dziewczynę, by do Niego przyszła. Gemma wzniosła się do krzyża, by Jezus mógł wziąć ją w objęcia. Przycisnął jej usta do rany w swoim boku, żeby mogła napić się Jego krwi. A przez cały ten czas unosiła się w powietrzu, „jak gdyby spoczęła na obłoku”, napisał jej biograf.

– Więc ona pofrunęła, ta święta Gemma? I zabójca się postarał, żeby siostra Mona również wzleciała.

– To przekonało mnie najbardziej – oznajmiła matka O’Dwyer. – Gdyby siostra Bridget była jedyną, na pewno miałabym podejrzenia. Ale później to, co spotkało siostrę Monę i co zrobiono siostrze Barbarze, potwierdziło moje domysły.

– Nie ujawniliśmy wielu szczegółów dotyczących siostry Barbary – powiedziała Katie. – Jedynie to, że miała okaleczone ręce i stopy.

– To wystarczyło. Siostra Barbara oddawała cześć świętej Anastazji, która żyła w trzecim wieku i była uzdrowicielką i egzorcystką. Została męczennicą podczas prześladowań ze strony rzymskiego cesarza Dioklecjana. Udręczono ją, odcinając jej palce u rąk i nóg i przypalając piersi rozgrzanym do czerwoności żelazem, ale nie wyrzekła się wiary. Według jednych podań ścięto jej głowę, według innych utopiono.

Katie długo się nie odzywała. Biuro prasowe Gardy ogłosiło pewne szczegółowe informacje o stanie zwłok siostry Barbary po tym, jak znaleziono je w fontannie, lecz tego, że miała napiętnowane piersi, nie podano. Zatem podejrzenia matki O’Dwyer co do mordercy mogły być trafne: znał – lub znała – dobrze wszystkie trzy zakonnice.

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego siostra nie przekazała nam tych informacji wcześniej – powiedziała wreszcie Katie. – Nie twierdzę, że mogłoby to zapobiec porwaniu siostry Barbary, ale bardzo by nam ułatwiło zawężenie listy podejrzanych.

– Już to pani mówiłam! – warknęła matka O’Dwyer, jakby Katie wymusiła na niej te wszystkie szczegóły. – Bałam się. Wyznam moje tchórzostwo i będę błagać Pana o odpuśczenie, ale lękałam się, bardzo się lękałam, a poza tym chciałam ochronić dobre imię Bon Sauveur i diecezji.

– Czego się tak bardzo matka bała? – zapytała jak najdelikatniej Katie.

Oczy przełożonej były pełne łez.

– Kiedy przyjmowałyśmy te młode matki, które przychodziły do Świętej Małgorzaty, szczerze wierzyłyśmy, że postępujemy z tymi dziewczętami słusznie, pokazujemy im, jak bardzo zgrzeszyły, i naprowadzamy na drogę prawości. Wierzyłyśmy, że robimy to, co najlepsze dla ich dzieci, mimo że poczęto je w niemoralnych aktach i zostały naznaczone hańbą ich matek, z nią się urodziły. Że Szatan upomni się o nie jak o swoją własność, bo oczywiście nią były.

– A dzieci, które oddawałyście do adopcji? – zapytała Katie. – Podobno wierzyłyście, że należą do Boga, że właśnie dlatego wolno wam odbierać je ich naturalnym matkom i przekazywać komuś innemu.

– Niektóre spośród tych dzieci były grzeczne i rosły zdrowo, było jasne, że Bóg się do nich uśmiechnął i je zaakceptował. To je właśnie oddawałyśmy do adopcji, żeby mogły być wychowywane w bogobojnych rodzinach i żeby zostało z nich zmyte piętno grzechu poczęcia.

– Dalej nie rozumiem, dlaczego matka tak się bała o tym mówić – oznajmiła Katie. – Wszystko to działo się przed prawie trzydziestu laty. Czasy były inne, jak siostra sama powiedziała, a wy uważałyście, że słusznie postępujecie z tymi dziewczynami i ich dziećmi. Któż mógł wiedzieć, co by je spotkało, gdyby diabeł trzymał je dalej w swoich szponach.

– Nie jestem głupia, pani nadkomisarz – odparowała matka O'Dwyer. – A ta ironia mi się nie podoba. Mam świadomość, że świat bardzo się zmienił, i wiem, co się obecnie sądzi o tym, jak traktowałyśmy te dziewczęta. Metody, które w latach siedemdziesiątych uważane były za właściwe dla chrześcijańskiego wychowania, teraz nazywa się okrucieństwem. To, co według naszych księży było bezinteresowną czułością okazywaną dzieciom, które nie zaznały miłości we własnych domach, teraz uznawane jest za pedofilię. Mówię to pani w najściślejszym zaufaniu. Było siedem siostr, które uważałyśmy w naszym gronie za najbardziej świątobliwe, ale także najsurowiej pilnowały dyscypliny. Jeśli młoda matka była uparta lub bluźniła, wymierzało się jej chłostę albo kazało przez całą noc nie spać i modlić się o przebaczenie. Jeżeli dziecko było niegrzeczne lub nieposłuszne, chodziło bez jedzenia. Przyznaję, że pociągało to za sobą ofiary, głównie z powodu chorób lub niedożywienia. Siostra Bridget, siostra Mona i siostra Barbara należały do tej siódemki. Może pani sobie wyobrazić, jak media by potraktowały Bon Sauveur, gdyby to wyszło na jaw. Dlatego milczałam. Właśnie z tego powodu powiedziałam tamtemu detektywowi nieprawdę, że nie rozpoznaję siostry Mony. Gdyby to się przedostało do opinii publicznej, oznaczałoby koniec zgromadzenia w jego obecnym kształcie.

Katie odczekała, aż zakonnica wyjmie z pudełka chusteczkę, zdejmie okulary i otrze oczy. Nie przypominała już teraz miniaturowego Dartha Vadera, lecz nieszczęśliwe dziecko, które w jakiś niewytłumaczalny sposób przedwcześnie

się zestarzało.

– Ale znaleźliśmy kości, matko – przypomniała jej Katie. – Nie ma już teraz żadnego sensu w tym, by osłaniać Bon Sauveur. Są dowody, każdy może je zobaczyć.

– Nie wolno mi nic więcej mówić. Najpierw będę musiała zasięgnąć opinii doradców prawnych.

– Opowiedziała mi siostra tę całą historię, bo mimo wszystko ma siostra serce.

Matka O'Dwyer posłała jej krótki krzywy uśmiech, a potem wyjęła z szuflady notes i czarną książkę adresową.

– Przypuszczam, że będzie pani chciała poznać nazwiska czterech pozostałych sióstr ze Świętej Siódemki.

– Tak je nazywałyście? Święta Siódemka?

– Same się tak nazwały i zdawało im się, że inne siostry o tym nie wiedzą. Napiszę je pani tutaj wraz z ostatnimi znanymi adresami zamieszkania tych sióstr. Po prawdzie, nie wiem na pewno, czy wszystkie lub chociaż niektóre z nich wciąż żyją.

Katie czekała, aż zakonnica zapisze nazwiska i adresy. Spojrzała przez okno i zauważyła, że któraś z rezerwistek trzyma na sicie kość; Bill zmierzał w jej kierunku.

– Tego, co pani dzisiaj ujawniłam, nie przekaże pani dziennikarzom, prawda? – upewniła się matka O'Dwyer, wydzierając kartkę z notesu i podając Katie.

– Naprawdę uważa matka przełożona, że to by coś zmieniło? Może pomóc nam ocalić życie pozostałych sióstr, czwórki, jeśli nadal żyją.

Matka O'Dwyer tkwiła przy swoim biurku i wyglądała jak ktoś, kto poniósł klęskę.

– To katastrofa, prawda? – spytała. – Jak to jest, że akt dobroczynności może w przyszłości okazać się zbrodnią?

Katie wstała.

– Kogoś, kto potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie, matka zna o wiele lepiej niż ja.

## Rozdział 31

Katie poszła szukać detektyw sierżant Ni Nuallán, która dalej śledziła w bocznym kantorku klasztoru z siostrą Caollainn i skrupulatnie przeglądała w archiwach zapisy dotyczące wszystkich matek i dzieci przyjętych do Domu Matki i Dziecka Świętej Małgorzaty, zanim go zamknięto.

Pomieszczenie było ponure, pachniało dębową boazerią i starymi księgami. W końcowej części znajdowało się witrażowe okno z Jezusem trzymającym lampę. Siedziała pod nim siostra Caoilainn, okazała kobieta o nalanej twarzy z ciemnymi wąsami. Zagryzała kciuk i robiła wrażenie znudzonej.

– Czy byłaby siostra łaskawa na chwilę nas zostawić? – poprosiła Katie. – Muszę zamienić parę słów z detektyw sierżant Ni Nuallán.

Zakonnica wstała i zamasyście wyszła z pokoju; zadarła przy tym nos, by dać jasno do zrozumienia, co sądzi o tym, że funkcjonariuszka Gardy rządzi się w klasztorze. Gdy zniknęła, Katie zamknęła drzwi i podała podwładnej listę zakonnice, którą dostała od matki O'Dwyer. W skrócie poinformowała ją, kim są i co powiedziała o nich przełożona.

– Może pani na jakąś chwilę zostawić te książki. Trzeba pilnie zlokalizować te cztery kobiety, jeśli jeszcze żyją, i czym prędzej przydzielić im ochronę. Gdyby mogła pani pojechać na komendę i zorganizować to z nadkomisarzem Pearse'em.

– Tak, tak, zajmę się tym – odparła Ni Nuallán. – Ale zaraz potem wrócę do tych zapisków. Jeśli matka O'Dwyer powiedziała prawdę, to sprawcą może być któraś z tych młodych kobiet. To nie są same tylko listy nazwisk, jest tutaj także wór korespondencji z agencjami adopcyjnymi w Ameryce i dzienne raporty o zachowaniu dziewcząt. Niektóre się sprzeciwiały, kiedy im odbierano dzieci i przeznaczano do adopcji. Niektóre same się okaleczały i usiłowały popełnić samobójstwo, inne napadały na zakonnice. Jedna podłożyła ogień w koszu na śmieci i omal nie puściła z dymem całego klasztoru.

– Istne gniazdo robactwa – rzuciła Katie. – Pojadę teraz z panią. Muszę złożyć wizytę Begleyom.

– Begleyom? Nie do pozazdroszczenia. Dooley mówi, że byli kompletnie załamani.

– Hm, jest w tym drugie dno. Okazuje się, że pożegnalny list Roisin to najprawdopodobniej podróba.

– Żartuje pani! – zdumiała się detektyw sierżant. – Wiemy, kto mógł to zrobić?

– Aż się boję tego dowiedzieć, jeśli mam być szczerą.

– Nie myśli pani... o Jezusie.

– Nic w tej chwili nie myślę, aż do momentu, kiedy pogadam z Begleyami.



I tak im przyrzekłam, że zajrzę i złożę kondolencje, a przy okazji dam znać, jak idzie śledztwo. Teraz to będzie dość niezręczne, łagodnie rzecz ujmując, ale chyba jestem najodpowiedniejszą do tego osobą. Będę na komendzie najpóźniej o siedemnastej, tak mi się wydaje. Komisarz O'Rourke jest w drodze z Dublina i ponoć ma mi do powiedzenia coś bardzo ważnego.

– A ja... – zaczęła Ni Nuallán.

– No, co tam, Kyno?

– Nie, nie, już nic. Mniejsza z tym.

– Ależ powiedz, słucham.

– To nieważne, naprawdę. Jadę teraz prosto na Anglesea i zacznę szukać tych czterech wiekowych sióstr.

– Wszystko w porządku, nic się nie stało? – dociekała Katie.

Ni Nuallán pokręciła głową.

– Nic, naprawdę. Jeśli w ogóle coś się stało, to raczej dobrego.

Zdjęła z oparcia krzesła swój żakiet z granatowej wełny, włożyła go i szybkim niedbałym ruchem dłoni zmierzwiła sobie krótkie jasne włosy. Katie czekała chwilę, lecz w końcu zdała sobie sprawę, że jeśli coś Kynę nurtuje, to jej tego nie powie. W każdym razie jeszcze nie teraz.

\* \* \*

Begleyowie mieszkali w nowoczesnym, niedawno wybudowanym domu przy Montenotte Road, na stromym północnym stoku zbiegającym ku rzece Lee. Biały i kanciasty, miał basen od frontowej strony oraz balkon z widokiem na panoramę miasta.

Montenotte Road była obmurowana i wąska, i zastawiona samochodami, Katie musiała skręcać siedem razy, żeby wmanewrować się na podjazd. Zaparkowała za czerwonym range roverem sport Jima Begleya i wysiadła. Dom był cały oświetlony w środku i widziała ogromny plazmowy telewizor migający w jednym z pokoi na parterze. W opróżnionym basenie poruszały się na wietrze suche liście. Z południowego zachodu ciągnęła zimna bryza i Katie zdrząła.

Podeszła schodami do pomalowanych na biało frontowych drzwi i nacisnęła dzwonek. Zagrał pierwsze takty *Sonaty księżycowej* Beethovena. Czekala, zacierając ręce, żeby je rozgrzać; już miała nacisnąć dzwonek jeszcze raz, gdy usłyszała kroki i w korytarzu zapaliło się światło. Drzwi otworzyła Aileen Begley, zamrugała i powiedziała:

– Tak?

Katie pokazała odznakę.

– Detektyw nadkomisarz Maguire z komendy Gardy przy Anglesea Street. Detektyw Dooley wspomniał, zdaje się, że do państwa zajrzę. Nie przychodzę chyba o nieodpowiedniej porze?

– W tej chwili, pani nadkomisarz, każda pora jest nieodpowiednia i na pewno pani to rozumie – odparła gospodyni. – Mimo to zapraszam.

– Mogę przyjechać jutro, jeśli tak będzie dla państwa lepiej.

– Nie, nie, skoro pani już tu jest... Gorzej być nie może.

Otworzyła szerzej drzwi, żeby Katie mogła wejść. Była ciemnowłosą piersiastą kobietą w wieku około czterdziestu pięciu lat; spryskała się perfumami Estée Lauder Beautiful tak hojnie, że Katie zaczęły szczypać oczy. Pani Begley miała na sobie czarną wełnianą sukienkę o co najmniej rozmiar za małą, tak że nad legginsami, które nosiła pod spodem, rysował się wyraźny wałek tłuszczu. Spuchnięta twarz zapewne była rezultatem nadużywania alkoholu, i to od zbyt wielu już lat, ale Katie domyślała się, że kiedyś ta kobieta musiała być równie ładna jak Roisin.

Wnętrze domu urządzone było w minimalistycznym stylu, stały tam białe skórzane kanapy i obrotowe fotele, żyrandole połyskiwały trójkącikami szkła. Na jednej ścianie salonu wisiał duży pejzaż pędzla malarza z Cork, Maurice'a Desmonda; górna połowa miała ponury niebieski kolor, dolna zaś błotnistobrazowy. Na przeciwległej ścianie powieszono pokaźny krzyż i Katie nie mogła się opędzić od skojarzenia ze świętą Gemmą, która lewitowała w powietrzu, by spijać krew Chrystusa z rany w jego boku.

– Chciałabym w imieniu Gardy złożyć kondolencje pani i mężowi – powiedziała Katie. – Czy mąż jest w domu?

– Zejdzie niedługo – odparła Aileen. – Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba. – Katie zauważyła, że gospodyni zerka w kierunku kryształowej szklanki stojącej na jednym z małych stolików, w której były kostki lodu i plasterek cytryny. – Ale proszę się mną nie krępować. To musi być dla pani straszny czas. Roisin była jedynym dzieckiem, które mieszkało z państwem w domu, prawda?

– Owszem. Mamy dwóch synów, Darragha i Coileána. Darragh jest teraz w Dubaju, pracuje w firmie budowlanej, a Coileán studiuje architekturę na Uniwersytecie Cork. Obaj wrodzili się w ojca, dzięki Bogu.

– A Roisin? W kogo ona się wrodziła?

– Bóg jeden wie. Ta dziewczyna... oby spoczywała w pokoju. Nie wolno mówić źle o zmarłych, wiem, ale od samego urodzenia były z nią kłopoty. Jim zastanawiał się, czy w jakiś sposób uraziliśmy Pana i o tym nie wiemy, skoro spadło nam na barki takie dziecko.

W tej samej chwili usłyszały, że Jim Begley schodzi po schodach.

Wkroczył do salonu w chmurze dymu z cygara niczym demon w pantomimie.

– Zdawało mi się, że słyszę dzwonek do drzwi – odezwał się chrapliwym głosem.

– To jest detektyw nadkomisarz Maguire – przedstawiła gościa Aileen. – Była tak miła, że przyjechała, by złożyć nam kondolencje.

Jim był wysokim, zwalistym mężczyzną z falą białych włosów na głowie. Wszystko w nim wydawało się większe niż u normalnego człowieka. Miał olbrzymią pociągłą twarz z głęboko osadzonymi oczami i szczękę jak łycha koparki, a nos na końcu mu się rozdwajał. W popielatej bluzie Adidasa i białych dresowych spodniach wyglądał niczym karykatura dewelopera milionera, który relaksuje się w domowych pieleszach. Kiedy podał Katie rękę, zauważyła, że nosi masywny złoty sygnet ozdobiony herbem.

– Miło z pani strony, że zadała sobie trud – zagadnął. – W czwartek w parafii Świętego Józefa będzie msza pogrzebowa. Cicha impreza ze względu na okoliczności. Tylko bliska rodzina.

– Nie będzie nikogo ze szkolnych kolegów? Roisin była lubiana w szkole, z tego, co słyszałam.

– Tak, ale samobójstwo... Mord na samym sobie to grzech śmiertelny. Kiedyś w takich przypadkach w ogóle nie można było odprawiać mszy. A jeśli chodzi o zaproszenie kolegów szkolnych, to nie uważałem tego za właściwe. Płakaliby, rozpaczali i opowiadali, jaki to z niej był aniołek. Pogrzeb to nie jest okoliczność do piania peanów na cześć zmarłych. To czas na to, by czcić zwycięstwo Chrystusa nad śmiercią i udzielić pociechy tym, którzy zostali.

– Jeszcze nie mamy przesądzającego dowodu na to, że Roisin odebrała sobie życie, panie Begley. To drugi powód, dla którego do państwa przyjechałam.

– Co też pani mówi?! – Jim zaciągnął się cygarem, aż koniuszek rozjarzył się na czerwono, a potem bokiem ust wypuścił długą smugę dymu. – Ona wstydziła się zeznawać w sądzie i mówić o tym, że się prostytuowała, więc utopiła się w rzece. Jakiego jeszcze dowodu trzeba?

– Czy pozwolą państwo, że usiądę? – spytała Katie.

– Proszę bardzo – odparł gospodarz i wskazał fotel.

Katie przycupnęła na krawędzi, a on rozsiadł się obok na kanapie, z brzuchem lejącym się na kolana, i strzepnął popiół z cygara do dużej szklanej popielnicy. Jego żona wzięła swojego drinka i pociągnęła łyk, a potem jeszcze jeden. Dopiero wtedy usiadła na drugim końcu kanapy, zachowując odległość od męża.

– A więc w czym problem? – zapytał Jim Begley.

– W liście poźegnalmym znalezionym pod poduszką Roisin.

– Nie rozumiem. Bardzo jasno dała w nim do zrozumienia, że czuła przerażenie na myśl o tym, co zrobiła, i że chce to wszystko zakończyć. Chciała zgasić światło, tak napisała.

– Zgadzam się z panem, panie Begley, tak napisano w liście, ale istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że to nie Roisin go napisała. Nasi biegli poddali list

ogłędzinom i są na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent pewni, że został podrobiony.

– Co?! – zdziwiła się Aileen. – Jak to podrobiony?! Sama go znalazłam, był pod poduszką. Nikogo innego nie było tego wieczoru w domu oprócz nas. Kto inny mógł go napisać, jeśli nie Roisin?

Katie w milczeniu popatrzyła na Jima i uniosła brwi. Właśnie miał się zaciągnąć cygarem, ale opuścił je. Odwrócił się i spojrzał na żonę, a potem znów na Katie.

– Jim? – rzuciła Aileen.

Zignorował to i dźwignął się na nogi. Spojrzał z góry na Katie i głosem szorstkim jak cegła powiedział:

– Chyba będzie lepiej, jak pani wyjdzie, detektyw nadkomisarz.

– Rozmawiamy o śmierci pana córki, panie Begley. O niewyjaśnionej śmierci. Jeśli nie zechce pan mówić teraz, będę musiała zaprosić pana na komendę przy Anglesea Street i tam zadawać panu pytania, udzieliwszy uprzednio ostrzeżenia.

– A jeśli i wtedy odmówię?

– No cóż, mam wielką nadzieję, że pan nie odmówi, ale jeśli tak, aresztuję pana.

Dalej stał, górując nad Katie, i ciężko oddychał. Zapach cygara był tak żrący, że poczuła się, jakby sama je paliła. Zaczęło ją mdlić.

Zadecydowała, że wstanie i wyjdzie. Jutro przyśle detektywa Dooleya, a ten zabierze Jima Begleya na przesłuchanie. Właśnie miała się podnieść, gdy odezwała się Aileen:

– Jim? To nie ty napisałeś ten list, prawda?

Otworzył i zamknął usta niczym kolosalny łosoś wyrzucony na brzeg. Potem usiadł i Katie widziała, że się trzęsie.

– Jim? – powtórzyła Aileen. – Powiedz mi, że to nie ty. Proszę cię, Jim, powiedz.

– Ona się prostytutowała – odparł jej mąż. – Nasza córka, nasza rodzona córka. Musiałem coś zrobić, żeby wyglądało, że czuje choć trochę wyrzutów sumienia z powodu ściągnięcia na nas takiej hańby.

– A więc napisał pan ten list? – spytała Katie.

Zamknął oczy i potwierdził skinieniem głowy.

– Pani sobie nawet nie wyobraża, jak to jest, siedzieć w każdą niedzielę na mszy w kościele, a wszyscy patrzą i szepczą: „O, Begleyowie. Wiecie, jak zarabia na życie ich córka Roisin? Kurwą jest!”. Jedna z naszych najstarszych przyjaciółek podeszła kiedyś i mówi, że nie wie, jak mamy czelność przyjmować komunię razem z przyzwoitymi ludźmi.

Otworzył oczy i popatrzył na Katie, jakby prosił o zrozumienie, ale widziała,

że nadal jest w nim więcej gniewu niż żalu. Zdawało mi się, że mam piękną, mądrą córkę, i wyszła z niej dziwka – mówiły jego oczy – a to, co powiedziałyby w sądzie, zrujnowałoby nam opinię raz na zawsze.

– Och, Jim – szepnęła Aileen, wyciągając rękę i kładąc ją na jego dłoni.

– Zadowolona pani? – zwrócił się gospodarz do Katie. – Może teraz już pani sobie pójdzie.

– Wie pan, że muszę panu zadać jeszcze jedno pytanie. Czy to pan ją utopił?

Zapadła zupełna cisza i Katie gotowa była niemal uwierzyć, że straciła słuch. Przerwała ją dopiero Aileen, która wydała zduszony pisk podobny do miauczenia kociego zamkniętego w szafie. Jim ponownie wstał. Cygaro zgasło, ale on i tak je ssał.

– Prosiłem, żeby pani wyszła, detektyw nadkomisarz.

– Wyjdę od razu, jeśli odpowie pan na pytanie.

– Nie muszę odpowiadać na takie pytania. Oficer Gardy i taka bezczelna! Czy pani sobie zdaje sprawę, kim ja jestem? Jestem radnym południowo-wschodniej dzielnicy Cork, to po pierwsze. Po drugie, mógłbym panią kupić i sprzedać na rogu ulicy.

Katie wstała.

– Szkoda, że nie czuje się pan na siłach udzielić mi jasnej odpowiedzi, panie Begley. Ale myślę, że jest pan w stanie pojąć, dlaczego musiałam zadać to pytanie. W tej chwili nie będę pana dalej wypytywać, ale po dotarciu na komendę spotkam się z detektywem Dooleyem, który zajmował się sprawą Roisin. Będziemy chcieli oficjalnie pana przesłuchać.

– Nie bez adwokata – oznajmił Jim.

– Ależ proszę bardzo, ma pan prawo do adwokata – odparła Katie. – Detektyw Dooley zadzwoni do pana, żeby umówić się na spotkanie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz jego żona wstała, ujęła go za rękę i pokręciła ostrzegawczo głową. Następnie odprowadziła Katie do drzwi. Kiedy je otworzyła, do środka wpadł podmuch wilgotnego, zimnego wiatru. Usłyszały żałobne wycie syreny tankowca sunącego rzeką i szmer zeschniętych liści w niecce basenu.

– Przykro mi – rzuciła Katie. Aileen wzruszyła ramionami, jakby chciała pokazać, że jej nie wierzy. – Przykro mi, że straciła pani Roisin, i z jeszcze jednego powodu. Być może już nigdy nie będę miała szansy ścigać człowieka, który został jej alfonsiem, i dlatego będzie dalej wykorzystywał mnóstwo innych dziewcząt takich jak Roisin. Tyle że one nie zdołają mu się wymknąć tak jak ona.

– To już pani problem, detektyw nadkomisarz. Nie może pani od nas oczekiwać, że poświęcimy dobre imię rodziny tylko dlatego, że pani nie potrafi porządnie wykonywać swojej roboty.

– Dobranoc, pani Begley – powiedziała Katie i wyszła.

Aileen bardzo cicho zamknęła za nią drzwi.

Jednak Katie nie odeszła od razu. Stała obok pustego basenu i nasłuchiwała. Prawie natychmiast doszedł jej uszu krzyk kobiety i równie donośna odpowiedź jej męża. Siła głosów narastała i brzmiały tak, jak gdyby Aileen przechodziła za Jimem z jednego pomieszczenia do drugiego. Katie usłyszała trzask, potem drugi i jeszcze jeden. A później rozległo się stuknięcie podobne do odgłosu upadającego fotela.

Nagle Aileen ryknęła wyraźnie:

– Jak mogłeś?! Jak mogłeś?! To była nasza córka! Nasza córka, cokolwiek zrobiła!

Później słychać było jej płacz, a potem zrobiło się cicho.

Katie ruszyła spadzistym podjazdem w kierunku samochodu. Smutek przeważał w niej nad satysfakcją, choć była prawie pewna, że ostatecznie usłyszy czyjeś wyznanie. Wiedziała z doświadczenia, że ludzie, którzy dopuszczają się przestępstw w imię prawości, zawsze mają później najsilniejsze poczucie winy. Matka O'Dwyer stanowiła klasyczny przykład. Prawdziwi zbrodniarze, tacy jak Michael Gerrety, nigdy, ani przez chwilę, nie odczuwają wyrzutów sumienia.

Jadąc Summerhill w stronę centrum, zobaczyła młodą blondynkę czekającą na skrzyżowaniu; dziewczyna była tak podobna do Roisin, że Katie dostała gęsiej skórki. Kiedy przejeżdżała mostem Brian Boru, naszła ją myśl, że Jim i Aileen Begleyowie będą przeżywali podobny szok, ilekroć ujrzą taką dziewczynę. Już samo to będzie dla nich wyrokiem dożywocia.

## Rozdział 32

Została na Anglesea aż do dziewiętnastej czterdzieści pięć, obmyślając wspólnie z nadkomisarzem Pearse'em plan aresztowania Paddy'ego Fearona. Gdyby był zwykłym podejrzanym, po prostu wysłaliby do niego dwóch mundurowych, a ci zapukaliby do drzwi i przywieźli go do aresztu.

Paddy Fearon był jednak znaczącą postacią wśród Romów, co sprawiało, że jego aresztowanie stawało się kwestią kontrowersyjną i polityczną. Na domiar złego mieli go aresztować na osiedlu Spring Lane Halting Site, którego stan od lat stanowił przedmiot ostrych protestów Cyganów. Nadkomisarz Pearse zauważył, że kwestia stanie się równie drażliwa jak aresztowanie przez amerykańską policję czarnego aktywisty w zaniedbanym getcie.

Powiódł wzrokiem po twarzach dwudziestu funkcjonariuszy zgromadzonych w sali odpraw.

– Bez względu na to, jakie prowokacyjne słowa padną z ust Romów, a wicie równie dobrze jak ja, że będzie czego posłuchać, macie nie reagować.

– A jak nas zasypią kamulcami? – zapytał młody funkcjonariusz.

– Wtedy oczywiście sprawa przedstawia się inaczej. Możliwe, że będziecie musieli się uciec do siły fizycznej w celu dokonania aresztu albo zachowania spokoju lub uchronienia się przed obrażeniami. Jeśli jednak do tego dojdzie, musicie ograniczyć zastosowanie siły do absolutnego minimum. Nieważne, co myślicie o Romach albo jak was zbluzgają, są ludźmi i nie chcę potem słyszeć, że spałowaliście ich jak małe foki.

– O której godzinie planuje pan wejść? – spytała Katie.

Nadkomisarz Pearse wskazał dłonią plan Ballyvolane rozpostarty na stole.

– Wszyscy mają się stawić przy wjeździe na parking punktualnie o siódmej. Wschód słońca wypada jutro o siódmej dwadzieścia dwie i wtedy sześciu funkcjonariuszy wejdzie na osiedle, otoczy przyczepę Fearona i zapuka do drzwi. Nie chcę, żeby ktoś nam zarzucił, że dokonujemy aresztowań pod osłoną ciemności, choć będzie już wtedy całkiem widno, i nie chcę, by oskarżano nas, że wkraczamy z brutalną siłą.

– A jeżeli dojdzie do rozróby?

– Jeśli Fearon będzie się opierał albo zaatakuje nas ktoś z mieszkańców, czternastu funkcjonariuszy w odzieży ochronnej będzie czekało na drodze dojazdowej, w pełnej gotowości. Pozostaje kwestia przewiezienia Fearona na Anglesea na przesłuchanie...

Zabrzączał iPhone detektywa Dooleya. Ten zerknął na ekran i uniósł rękę.

– Przepraszam, że panu przerywam, ale właśnie otrzymałem wiadomość z biura prasowego. Media jakimś sposobem zwęszyły sprawę.

– Jak to się mogło stać, do kurwy nędzy? – powiedział nadkomisarz Pearse. Toczył wzrokiem po zebranych w sali funkcjonariuszach, ale ci mogli jedynie spoglądać po sobie i wzruszać ramionami. – Akurat tego właśnie nie chcemy, mediów! Jeśli Romowie myślą, że będą w telewizji, możemy się spodziewać z ich strony jeszcze większej hecy.

– Proszę się o to nie martwić – odezwała się Katie. – Pojadę na miejsce i zajmę się dziennikarzami. Wy zatroszczcie się tylko o to, żeby sprowadzić Paddy'ego Fearona na komendę. Jak wiecie, to aresztowanie stanowi tylko część śledztwa w sprawie koni znalezionych w Nohaval Cove, ale nie chciałabym, żeby pismacy już teraz połączyli jedno z drugim. Powiem im, że Fearon jest podejrzany o wymuszanie haraczy, i tyle.

– A jeśli zapytają panią o szczegóły? Na przykład, od kogo wymuszał forsy i za co?

– Uśmiechnę się do nich najśłodziej, jak umiem, i powiem to co zwykle: „To wszystko, co w tej chwili mam państwu do przekazania”.

\* \* \*

Przed opuszczeniem komendy dostała SMS-a od Johna z wiadomością, że nie będzie go w domu, kiedy ona wróci, bo ma w hotelu Silver Spring spotkanie z nowym dostawcą środków medycznych. Ale wyprowadził już Barneya na spacer i przygotował na kolację lasagne. Na koniec dodał:

Kocham Cię. I obowiązuje surowy zakaz podglądania obrazu, XXX J.

Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła zaciągnięte zasłony i zapalone światła w salonie; w całym domu było przyjemnie ciepło. Poklepała po łbie rozradowanego Barneya, który kręcił się wokół niej. Na dworze robiło się mgliście i naprawdę się ucieszyła, że nie musi go wyprowadzać.

Poszła do sypialni i przebrała się w powyciągany biały sweter, zielone spodnie od dresu i kapcie. Skrzywiła się na swój widok w lusterku; twarz jej się zaokrągliła, ale może tylko tak się wydawało, bo Katie była przemęczona i spuchły jej oczy.

Nalała do czajnika wody na herbatę, wróciła do salonu i włączyła telewizor. Malowany obraz stał na półce z książkami obok kominka, przodem do ściany. John musiał nad nim jeszcze pracować, bo zwykle, kiedy obraz był już suchy, okrywał go starym prześcieradłem z łódeczka Seamusa, a dzisiaj czuć było w powietrzu zapach farby akrylowej.

Z kubkiem herbaty usiadła na kanapie, żeby obejrzeć wiadomości o dwudziestej pierwszej. Wiodący materiał poświęcony był parze bezdomnych, mężczyźni i kobiecie, których zwłoki wczesnym popołudniem nurkowie marynarki wyciągnęli z rzeki w pobliżu szyldu Port Cork. Wiedziała już o tym; w sprawie nie było żadnych podejrzanych okoliczności. Godne ubolewania



podwójne samobójstwo. Reszta informacji dotyczyła kulejącej gospodarki Irlandii. Z ulgą zobaczyła, że prezenterka Eileen Dunne przeszła do prognozy pogody, nie wspominając o trwających poszukiwaniach dziecięcych szkieletów w klasztorze Bon Sauveur.

Kiedy była w kuchni, zabrzączał jej iPhone; John zapowiadał, że dojedzie do domu za niespełna pół godziny. Zerknęła do salonu, na odwrócony tyłem obraz. Żadnego podglądania, przestrzegł ją John. Ale jeśli zerknie szybciotko, to skąd będzie o tym wiedział?

Weszła do salonu i Barney musiał wyczuć jej niezdecydowanie, bo wstał i patrzył na nią poważnie, machając ogonem. Matko, pomyślała Katie, chyba wszyscy, których znam, czytają we mnie jak gazecie z poprzedniego dnia, nawet mój pies.

– Słuchaj – zwróciła się do Barneya – coś teraz zrobię, a ty tego nie będziesz widział, a nawet jak zobaczysz, nie powiesz mu, kiedy wejdzie tymi drzwiami, dobrze?

Pies wydał przedziwny trzeszczący dźwięk z głębi gardła, ale pozostał na miejscu i obserwował swoją panią; ogon uderzał rytmicznie o kanapę.

Podeszła do regału z książkami. Odwróciła małą drewnianą sztalugę, na której ustawiony był obraz, uważając, by nie dotknąć powierzchni. Możliwe, że farba jeszcze w pełni nie wyschła, więc Katie wolała nie ryzykować, że zostawi na niej odcisk palca. „Detektyw nadkomisarz zostawia wiele mówiący rozmazany odcisk na miejscu zakazanego oglądania”.

Na widok obrazu powoli uniosła rękę i zakryła sobie usta. Stała tak prawie minutę i gapiła się z niedowierzaniem. Jak dotąd, naszkicował tylko zarys jej nagiego ciała akrylową umbrą i z grubsza zacieniował część tła ciemnym brązem. Ale twarz była niemal skończona. Nie ulegało wątpliwości, że to Katie, świadczyły o tym oczy butelkowozielonej barwy, wyraziste kości policzkowe i lekko wydęte usta. Nadał im jednak ogromnie ciepły uwodzicielski wyraz. Dokładnie uchwycił podobieństwo, ale sprawił też, że wyglądała pięknie.

Ostatnio robił jej dziesiątki zdjęć, zwłaszcza kiedy wychodzili na spacer, obraz pokazywał jednak, jak John ją widzi. Uwiadomiła sobie, jak bardzo ją kocha.

Odwróciła obraz przodem do ściany.

– Pamiętaj, Barns, nic a nic nie widziałeś – upomniała psa. – Piśniesz choćby słówko, i przysięgam na Boga, że jesteś seter trup.

Barney powtórnie wydał skrzypiący odgłos podobny do otwierania starych drzwi i energicznie potrząsnął łbem.

\* \* \*

John dojechał do domu zmęczony i trącił whisky, ale był w dobrym humorze. Spotkanie z nowymi dostawcami przebiegło pomyślnie; spodziewał się,

że zwiększy obrót antybiotykami online o co najmniej siedem procent.

Podgrzane w piekarniku lasagne zjedli w kuchni. Katie postawiła na środku stołu czerwoną świecę i zgasiła górne światło.

– Hej – odezwał się John ze swoim amerykańskim akcentem. – To takie rou-mantyczne.

– Może cię Kocham – odparła.

– Mówisz tak tylko dlatego, że umiem zrobić lasagne.

Uśmiechnęła się do niego. Boże, jaki on przystojny, zwłaszcza teraz, kiedy te jego ciemne włosy trochę urosły. Strasznie ją kusilo, by powiedzieć: „Nie, to nie ma nic wspólnego z lasagne, po prostu dowiedziałam się, jak mnie widzisz i że mnie Kochasz.

– Muszę jutro wcześniej wstać – powiedziała.

– A kto by tam myślał o jutrze? Jutro niech samo się sobą zajmie.

– Czekam na aresztowanie jednego Roma w Spring Lane Halting Site. To znana figura w społeczności romskiej, więc mogą być kłopoty. Na dodatek media się o tym dowiedziały i dlatego muszę być na miejscu.

– O której musisz wstać?

– Piąta trzydzieści najpóźniej. O tej porze rano ruch będzie niewielki, ale zapowiadają mgłę.

– Hm – mruknął John, spoglądając na zegarek. – Zostaje nam więc siedem godzin i jedenaście minut. Chyba że sobie życzysz dokładkę lasagne.

– Nie dałabym rady. – Katie położyła dłoń na brzuchu. – Jestem nafaszerowana jak gęś.

Została przy stole i patrzyła, jak John usuwa resztki jedzenia z talerzy i układa je w zmywarce. Nafaszerowana jak gęś, pomyślała. Że też musiałam tak palnąć.

\* \* \*

Kiedy po umyciu zębów wyszła z łazienki, okazało się, że John już zasnął. Wsunęła się ostrożnie do łóżka i zgasiła lampkę nocną. Potem odwróciła się i objęła go. Przycisnęła się do pleców Johna tak, żeby wdychać jego zapach i głaskać włosy na piersi.

Z Cobh dobiegły kuranty zegara, słyszała je wyłącznie w nocy. Zamknęła oczy z nadzieją, że zdoła usnąć przed porankiem.

## Rozdział 33

Do Spring Lane Halting Site podwiózł ją Dooley. Brennan siedział z tyłu; zajadał kanapkę z kiełbasą i popijał z butelki wodę o smaku mandarynkowym. Mgła wciąż nie opadała, ale zbliżał się wschód słońca i zaczynała świecić jasnym blaskiem.

Pięć radiowozów stało przy drodze dojazdowej do osiedla przyczep, były tam również dwa oznakowane nissany terrano oraz furgonetka Mercedesa służąca jako mobilne centrum dowodzenia. Pojawiły się także trzy auta dziennikarzy i wóz nadawczy stacji telewizyjnej, jednak sierżant O'Farrell kazał im zaparkować przy centrum handlowym, tuż przy Ballyvolane Road, poza polem widzenia.

– Nie chcę, żeby tym badziewiarzom się zdawało, że są gwiazdami filmowymi – zwrócił się do Katie, kiedy do niego podeszła. Sześciu mundurowych, którzy mieli dokonać aresztowania, stało w kółku i dla rozgrzewki zacierało ręce, a funkcjonariusze w mundurach szturmowych czekali w swoich pojazdach.

Na miejscu był Dan Keane z „Examinera”, w kapeluszu na głowie wyglądał, jakby cierpiał na potężnego kaca. Zjawiła się także Fionnuala Sweeney z RTÉ, w kożuszkę i dzierganym turkusowym kapturze.

– Dzień dobry, pani detektyw nadkomisarz! – zawołała. – Podobno zawitaliście tak z samego rana do Spring Lane Halting Site, żeby aresztować Paddy'ego Fearona, jedną z czołowych postaci wśród cygańskich obywateli Cork. Może nam pani wyjawić, o co jest podejrzanym?

– W tej chwili nie będzie żadnych komentarzy, Fionnualo – odparła Katie.

– Czy to ma może coś wspólnego z końmi? – spytał Dan Keane. – Paddy Fearon miał już kłopoty z prawem za to, że dostarczał niezdatne konie do uboju.

– Później poprowadzę konferencję dla mediów, po tym, jak zadamy panu Fearonowi kilka istotnych pytań – odparła Katie. – Tymczasem nie mam nic do powiedzenia.

– Wygląda na to, że spodziewacie się zadymy – zauważył Dan Keane, wskazując skinieniem głowy funkcjonariuszy w mundurach szturmowych, którzy siedzieli w nissanach terrano.

– To tylko na wszelki wypadek – zapewniła Katie. – Miejsce aresztowania jest specyficzne i chcemy przypilnować, żeby nikomu nic się nie stało.

Podszedł sierżant O'Farrell w żółto-białej kamizelce odblaskowej, w której robił wrażenie jeszcze masywniejszego niż zwykle.

– No dobra, pani nadkomisarz. Jesteśmy gotowi.

– Świetnie. Ale pamiętajmy wszyscy o tym, co powiedział wczoraj nadkomisarz Pearse. To aresztowanie ma przebiegać z ograniczonym do minimum rozgłosem.

Sierżant O'Farrell poprowadził sześciu mundurowych do wjazdu na osiedle parkingowe. Akurat w tej chwili z budyneczku, w którym mieściły się sanitariaty, wyszło dwóch umorusanych malców w wieku około siedmiu i pięciu lat i jeden z nich zauważył policjantów. W te pędy pomknęli do najbliższej przyczepy, wrzeszcząc na cały głos:

– Mama! Mama! Gliny tu są! Mama! Gliny tu są!

– No to pięknie – jęknął sierżant O'Farrell. – Tylko tego nam było potrzeba. A ja miałem nadzieję, że zgarniemy Fearona zgrabnie i po cichu, zanim obudzi się reszta tych badziewiarzy.

– Romów – poprawiła go Katie.

– A, tak, przepraszam. Mój staruszek to jeszcze gorzej na nich wołał.

Omiijając głębokie kałuże, zmierzali w stronę przyczepy Paddy'ego Fearona. Jego uwiązany koń stał obok niej we mgle, okryty grubym brązowym kocem, i wyglądał na smutnego. Sześciu funkcjonariuszy otoczyło przyczepę – czterech ustawiło się przed schodkami frontowymi, a dwóch z tyłu, na wypadek gdyby Paddy Fearon podjął idiotyczną próbę ucieczki, na przykład wyłaząc przez okno. Katie wiedziała z doświadczenia, że głupota kryminalistów usiłujących wymknąć się wymiarowi sprawiedliwości nie ma granic. Kiedyś musieli wyciągać stukilowego złodziejaska sklepowego, który utknął we włączniku kanalizacyjnym na Paul Street.

Jeden z mundurowych stuknął mocno pałką w drzwi przyczepy i zawołał:

– Paddy Fearon! Tu policja, panie Fearon! Proszę otworzyć drzwi!

Kiedy czekali na odpowiedź, otwierały się drzwi innych przyczep i pojawiło się co najmniej dziesięciu Romów, między innymi czwórka mężczyzn, którzy próbowali zastraszyć Dooleya, kiedy ostatnio był na tym osiedlu. Wyszło także parę kobiet z plastikowymi wałkami na włosach, a dwie nosiły poszarpane satynowe szlafroki. Jedna miała jeszcze na twarzy białą jak śmierć maseczkę.

– Jezu – westchnął detektyw Brennan. – Zombie.

Sierżant O'Farrell popatrzył na zbliżających się Romów, po czym zwrócił się do mundurowych:

– Zapukajcie jeszcze raz do Fearona, Connor. Jeśli nie otworzy, będziemy musieli zastosować wejście siłowe.

Tęga kobieta w ortalionowym dresie podeszła do Katie i sierżanta O'Farrella, dysząc ciężko. Cuchnęła papierosami.

– W co wy tu sobie, kuźwa, pogrywata, co? – odezwała się. – Jakby my mało się od glin nacierpieli depresji.

– Nie ma powodu, żeby się pani denerwowała – odparła Katie. – Chcemy tylko spokojnie zamienić parę słów z Paddym Fearonem, to wszystko.

– Spokojnie zamienić parę słów? I dlatego wy tu ze sobą przywlekli całą, kuźwa, armię?

– Chodzi nam jedynie o to, żeby uspokoić sytuację – wyjaśniała Katie. – Przepraszam, jeśli państwa zaniepokoiłimy. Gdy tylko pan Fearon podejdzie do drzwi, oddalimy się i zostawimy was w spokoju.

– No ta, wszystko fajnie i miło pani gada – odparowała tęga kobieta. – Ale niby co on zrobił? Wam się zdaje, że ma prawo z nieba, że nami może pomiatać jak gnojem, bo w domach my nie mieszkamy.

– Niestety, nie wolno mi tego z panią omawiać. Panu Fearonowi nie postawiono dotychczas żadnych zarzutów i ma prawo do zachowania prywatności tak jak każdy.

Funkcjonariusz stojący na stopniach przed przyczepą Paddy’ego Fearona zapukał znowu pałką w drzwi, mocniej niż poprzednio.

– Paddy Fearon! Tu Garda! Jeśli pan natychmiast nie otworzy drzwi, będziemy je musieli wyważyć!

– On tam jest, mam nadzieję? – rzuciła Katie.

– Jest jego przyczepa na konie – odparł detektyw Dooley. – Samochód też.

– Jest, pewno, że jest – potwierdziła kobieta we fioletowym ortalionowym dresie. – Ja go widziała, jak wyglądał przez wietrznik.

Chciała coś jeszcze dodać, ale zaczęła kaszleć i nie mogła przestać. Potem zaczęła się grzmocić pięścią w klatkę piersiową i wypluwać ciągnącą się flegmę.

– Boże, jak się cieszę, że zjadłem tę kanapkę z kiełbasą – mruknął detektyw Brennan, krzywiąc się i odwracając głowę.

Funkcjonariusz przy drzwiach przyczepy wyjął pęk wytrychów i próbował ich po kolei. Wreszcie dopasował jeden, który obrócił się w zamku, ale gdy chciał otworzyć drzwi, te nie ustąpiły.

– Zaryglowane! – krzyknął.

Drugi funkcjonariusz przepchnął się jakoś przez coraz większe zbiegowisko, wyszedł poza osiedle i wrócił po chwili z łomem.

– Wy rasisty, wy! – krzyknął jeden z młodych Romów. – Pieprzone rasisty! Spieprzać, kuźwa, z osiedla i dać nam spokój!

Inni krążyli niespokojnie, jakby tylko czekali na pretekst do rozpoczęcia bójki.

Było ich już dwudziestu lub trzydziestu i Katie coraz bardziej się obawiała, że sytuacja wymknie im się spod kontroli. Zerknęła na sierżanta O’Farrella, on zaś uniesionym kciukiem pokazał jej, że podziela jej obawy. Włączył radio i zwrócił się do szturmowców czekających w pobliżu.

– Grady? Tutaj wszystko jest na granicy wrzenia, paru oprychów się ciska. Więc bądźcie gotowi natychmiast wkroczyć w razie potrzeby.

Policjant z łomem wszedł po schodkach przyczepy i wsunął płaski koniec narzędzia w szparę drzwi. Szarpnął, ale w tej samej chwili Katie ogłuszył potężny huk. Przyczepa Paddy’ego Fearona pękła na jej oczach. Okna rozleciały się

i buchnęły odłamkami szkła, aluminiowy korpus rozerwał się na przedziwne pokrzywione kształty podobne do szmat, flag i skaczących koni.

Siła wybuchu rzuciła ją do tyłu, głowa i ramię rąbnęły o asfalt. Detektywi Dooley i Brennan oraz wszyscy mundurowi także runęli. Ci dwaj, którzy usiłowali otworzyć drzwi, zginęli na miejscu. Ich pokiereszowane torsy bez nóg poleciały prawie piętnaście metrów ku gromadzie Romów. Spadły między nich z dwoma łupnięciami, rozpryskując krew na wszystkie strony. Tuż za nimi frunął w powietrzu grzechoczący grad garnków, fajansowych ozdóbek, sztuców i butelek.

Z wraku wzbila się pomarańczowa kula ognia, lecz niemal momentalnie zmieniła się w podobną do grzyba chmurę gęstego szarego dymu. Huk eksplozji odbił się echem raz i drugi, z drutów biegnących wzdłuż Ballyvolane Road zerwały się skrzeczące ze strachu wrony.

Katie usiadła. Dzwoniło jej w uszach, we włosach miała pełno piachu, a jej gabardynowy płaszcz migotał tysiącami drobinek szkła. Miała ranę na nasadzie dłoni, którą instynktownie zasłoniła twarz. Mięśnie jej brzucha stwardniały na kamień i modliła się, żeby nie ucierpiał płód, który w sobie nosiła.

Z nieba wciąż sypały się odłamki wraku, kawałki drewnianych półek i arkusze papieru; porozrywana pościel unosiła się wysoko i błyszczała we mgle niczym duchy. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był uwiązany koń Paddy'ego Fearona, który najpierw opadł na kolana, a potem przewrócił się na bok. Duży trójkątny kawał aluminium sterczał z dolnej części szyi, przebił żyłę główną i wylewał się z niej gruby połyskliwy strumień ciemnoczerwonej krwi.

Detektyw Brennan pomógł Katie wstać. Coś powiedział, ale ledwo go słyszała, a głosy ludzi dookoła brzmiały tak, jakby dochodziły z oddalonego placu zabaw. Rozejrzała się. Panował zamęt, wszyscy biegali w różne strony, ale chyba poza dwoma mundurowymi, którzy zginęli, nikt więcej nie odniósł poważnych obrażeń. Jakaś kobieta miała głęboką ukośną ranę na policzku od lecącego odłamka szkła, a paru młodych mężczyzn leżało i potrzasało głowami, jakby doznali lekkiego wstrząśnienia mózgu.

Katie podeszła do dwóch zakrwawionych ciał, które spoczywały na ziemi. W kałużach widać było szkarłatne smugi. Obaj zabici mieli swoje numery na ramionach, lecz Katie nie rozpoznawała żadnego, tak mieli zmasakrowane twarze. Ich uda przypominały ciemnoczerwone kawały mięsa. Była tak wstrząśnięta, że nie mogła uwierzyć własnym oczom, a gdy się odwróciła, omal nie straciła równowagi.

Detektyw Brennan podtrzymał ją za rękę i od razu się zreflektował:

– O, przepraszam...

– Nie, nie. Boże. Dziękuję, o mało się nie wywaliłam. O Boże, to koszmar. –

Przeżegnała się. – Ci dwaj biedacy.

– Odejdźmy stąd – powiedział Brennan. – Nic już nie możemy dla nich zrobić. No, możemy się pomodlić za ich nieśmiertelne dusze, ale to chyba wszystko.

Sierżant O’Farrell rozmawiał przez radio i głośno wzywał oddział saperski z baraków Collins, które znajdowały się nie dalej niż pięć minut jazdy od osiedla, a także karetki pogotowia i specjalistów z biura technicznego.

– Musimy natychmiast ewakuować całe osiedle – zdecydowała Katie.

– Co? – Brennan przyłożył sobie dłoń do ucha.

– Mówię, że musimy stąd wszystkich zabrać! Nie wiemy, czy w innych przyczepach nie ma bomb! To może być atak rasistowski!

– Zajmę się tym, pani nadkomisarz – odparł detektyw.

– Każcie sierżantowi O’Farrellowi zadzwonić do Bus Éireann. Niech czym prędzej przysła parę autobusów z zajezdni, ale tylko do Ballyvolane Road. I niech zadzwoni do wielbnego McSweeneya z parafii Świętego Józefa w Mayfield i spyta, czy będziemy mogli przez kilka godzin ulokować tych ludzi w sali parafialnej.

– Tak, pani nadkomisarz.

Zobaczyła, że ranny koń próbuje unieść łeb.

– Ten koń! Możemy go jakoś uratować?

Detektyw Brennan zrobił smutną minę i pokręcił głową.

– Beznadziejna sprawa. Już po nim, niestety.

Katie się rozejrzała. Niektórzy Romowie dalej chodzili po osiedlu otumanieni, ale część kobiet schowała się do przyczep i zagoniła dzieci do środka. Ośmiu funkcjonariuszy z brygady szturmowej już rozchodziło się po osiedlu; pukali do drzwi przyczep i kierowali Romów do wyjścia. Katie, chwilowo ogłuszona, słyszała pokrzykiwania, klótnie i przekleństwa.

Fionnuala Sweeney okrążała wrak przyczepy Paddy’ego Fearona ze swoim kamerzystą i mówiła coś nieskładnie do mikrofonu. Katie domyśliła się, że nadaje reportaż na żywo. Wyciągnęła rękę i klepnęła w ramię detektywa Dooleya.

– Niech pan ją stąd wyprosi, Robercie, co?

Dooley był najwyraźniej równie głuchy jak ona, lecz skinął głową. Katie patrzyła, jak detektyw podchodzi do Fionnuali, zwraca się do niej i kamerzysty, a potem wyprowadza ich, omijając sanitariaty. Kiedy zniknęli z jej pola widzenia, Katie podeszła do konia. W powietrzu wisiał odór spalonego metalu i gumy, mimo że fruwające odłamki zdążyły już opaść na ziemię.

Zwierzę przewróciło oczami i spojrzało na nią. Jezu, pomyślała, jakie miałeś nędzne życie i jak nędznie się kończy. Miejmy nadzieję, że jest gdzieś końskie niebo ze świeżą trawą, błękitnym niebem i stadami brykających koników.

Rozpięła płaszcz i wyjęła rewolwer z kabury na biodrze. Potem uklękła na jedno kolano i wycelowała w czoło konia. Na szkoleniu strzeleckim uczono, jak

dobijać konie. Wyobraziła sobie literę X nakreśloną od uszu zwierzęcia do naprzeciwległych oczu i przystawiła lufę w miejscu skrzyżowania linii. Ustawiła lufę lekko pod kątem, tak aby pocisk przeszedł przez mózg i wbił się w rdzeń kręgowy.

Koń wydał ciche, pełne żalu westchnienie, jak gdyby rozumiał, co ona zamierza zrobić, lecz się na to godził. Wtedy Katie wypaliła. Nadal była głucha, toteż odgłos wystrzału odczuła jako płaski i stłumiony. Nogi konia drgnęły jak u pacynki i zwierzę legło nieruchomo.

Kiedy się podniosła, sierżant O'Farrell dotknął jej ramienia.

– Chodźmy, trzeba panią stąd zabrać. Wprawdzie nie uważam, żeby jakiś fanatyk nienawidzący Cyganów chciał wysadzić to wszystko w powietrze, ale nigdy nie wiadomo. A jeśli to robota prowokatorów, to oni mają brzydki zwyczaj zakładania min pułapek.

– Tak – odpowiedziała Katie. Wsunęła rewolwer do kabury i oglądając się za siebie ruszyła z O'Farrellem wokół przyczepy. Koń wciąż na nią patrzył i miała nadzieję, że jej przebaczył.

\* \* \*

Minęły ponad trzy godziny, nim oddział saperski zakończył oględziny wraku przyczepy Paddy'ego Fearona. Poza tym przeszukano gruntownie wszystkie inne mobilne domy w Spring Lane Halting Site na wypadek, gdyby były w nich ukryte inne ładunki wybuchowe. Mieszkańców przewieziono autobusami do parafii Świętego Józefa, gdzie dostali herbatę i kanapki; zbadali ich również lekarz i pielęgniarka.

Katie czekała w furgonetce, w której mieściło się centrum dowodzenia; utrzymywała stamtąd łączność z komendantem MacCostagáinem i Mathew McElveyem z biura prasowego. Stopniowo wracał jej słuch, ale po upadku na twardego gruntu wciąż bolała ją głowa.

Właśnie skończyła rozmawiać z Mathew, kiedy do furgonetki wspiął się detektyw Dooley.

– Lepiej niech pani ze mną idzie i na coś zerknie – powiedział. Zauważywszy pączka i kubek herbaty, które przyniósł któryś z funkcjonariuszy, dodał: – Ale tego bym na pani miejscu jeszcze nie jadł.

Przemierzali razem osiedle. Wśród rupieci otaczających przyczepę Paddy'ego Fearona stało trzech mundurowych i sierżant; był tam stolik nocny, bojler na gaz i szkielet dziecięcego wózecka. Wszyscy gapili się na kępiastą trawę spłaszczoną podmuchem eksplozji, lecz kiedy Katie się zbliżyła, unieśli niepewnie głowy i spojrzeli na nią.

– Oczywiście trzeba go będzie oficjalnie zidentyfikować – odezwał się sierżant O'Farrell. – Ale jestem raczej pewny, że to jego chciała pani zgarnąć.



Katie spojrzała na ziemię. Za bojlerem, do połowy ukryta wśród trawy, spoczywała odcięta głowa mężczyzny ze zwężonymi oczami. Patrząc na nią, można było odnieść wrażenie, że bawi się w chowanego. Szpakowate włosy były potargane, twarz podziurawiona, a nos złamany. Wydatna grdyka pozostała nienaruszona, lecz nieogolona skóra szyi była w czerwonych strzępach; tchawica sterczała z niej niczym różowy korpus ośmiornicy.

– Paddy Fearon, nie ma wątpliwości, prawda? – odezwała się Katie. – Ale kto go tak posiekał? Komu się tak naraził?

– Och, gość miał od groma zaciekłych wrogów, o ile mi wiadomo – odparł detektyw Brennan. – Trzeba zapytać komisarza O'Rourke'a, on jest specem od takich kulturalnych typów i waśni między nimi. Wiem, że Fearon parę lat temu nadepnął na odcisk Tómasowi Ó Conaillowi, a z tym kolesiem lepiej nie zadzierać, jeśli się ceni swoje klejnoty.

Katie popatrzyła na poskręcane resztki przyczepy. Zerwało całą górną połowę, tak że widać było kuchenkę i blat, a także najeżony nierównościami ukośny kawał regału, na którym Paddy trzymał ozdóbki.

Detektyw Dooley skinął na Katie, żeby spojrzała, co pozostało z wnętrza przyczepy. Brunatna kanapa była w większości nietknięta, choć jeden róg został rozerwany i wystawały z niego kłęb nadpalonej białej gąbki oraz samotna sprężyna pośrodku. Siedziała tam odziana w spodnie od dresu reszta Paddy'ego Fearona, aż po klatkę piersiową. Jego wnętrzności leżały obok, na poduszce ze złotej satyny, cztery zakrwawione sznury ciągnęły się od rozerwanej metalowej ściany przyczepy w kierunku oddzielonej głowy.

– Jak dotąd nie ma śladu klatki piersiowej i rąk – oznajmił detektyw Dooley. – Ale gdzieś będą leżały rozrzucone. Znajdziemy je. Oddział saperów znalazł detonator. Zwykły komercyjny detonator, takiego samego używają pravicowi zamachowcy. Co jednak nie oznacza, że to na pewno oni są sprawcami tego bajzlu. No, chyba że Fearon uraził jakoś ich republikańską wrażliwość, na przykład opychał ketaminę, nie odpalając im działki z urobku.

– Czy to jest zbieg okoliczności, czy zabito go specjalnie dzisiaj rano, żebyśmy nie mogli go aresztować? – spytała Katie.

– No, to jest pytanie za sześćdziesiąt cztery miliony euro. Dziennikarze wiedzieli o tym, że się po niego wybieramy, więc mógł wiedzieć i ten, kto naszykował tę bombę. Ale kto wie skąd?

– Zadałam już to pytanie Fionnuali Sweeney i Danowi Keane'owi, ale nie chcą puścić farby. Wielkie dzięki, Sądzie Najwyższy. Ci, którzy się zastanawiają, co ważniejsze, ochrona wolności prasy czy łapanie gnojów, którzy łamią prawo, powinni zobaczyć to tutaj.

Zamilkła i spojrzała raz jeszcze na oślizgły beżowy stosik kiszek Paddy'ego Fearona na kanapie.

– Naprawdę nie chciałam tego powiedzieć. – Mówiła bardziej do siebie niż do innych. – Tylko czasem złość mnie ponosi.

Dotarła na piechotę do wjazdu na osiedle. Mgła się rozproszyła, nastał słoneczny rześki poranek. Podeszli do niej Fionnuala Sweeney i Dan Keane, a także Jean Mulligan z „Echa”; Katie udzieliła im krótkiego oświadczenia.

– Dziś rano dwóch funkcjonariuszy Gardy poniosło śmierć, kiedy zdetonowana została bomba w przyczepie w Spring Lane Halting Site w Ballyvolane. Właściciel przyczepy, pan Paddy Fearon, także doznał fatalnych obrażeń.

– Fatalnych obrażeń? – usłyszała tuż za sobą; detektyw Brennan wypowiedział cicho te słowa do detektywa Dooleya. – Rozerwało go, kurwa, na strzępy.

– Pan Fearon był prominentnym członkiem społeczności Romów – ciągnęła Katie. – Policja przyjechała do Spring Lane, by przesłuchać go w rutynowej sprawie. Tylko tyle mogę państwu przekazać w tej chwili. Skontaktujemy się z krewnymi pana Fearona, ze wszystkimi, których zdołamy znaleźć, ale trochę to potrwa, bo jak nam powiedziano, miał osiemnaścioro dzieci. Rodziny dwóch funkcjonariuszy, którzy stracili życie, jeszcze nie zostały poinformowane i do tego czasu nie podamy ich nazwisk ani żadnych innych szczegółów. Wszyscy koledzy z komendy przy Anglesea Street są wstrząśnięci i zasmuceni. Wiem, że ich odczucia podzielą członkowie Gardy w całym kraju oraz wszyscy obywatele Irlandii. Po wybuchu mieszkańcy Spring Lane Halting Site, z myślą o ich bezpieczeństwie, zostali ewakuowani. Osiedle zostało dokładnie przeszukane przez wojskowy oddział saperski i niebawem mieszkańcy będą mogli powrócić do swoich siedzib.

– Tylko jedno pytanie, detektyw nadkomisarz Maguire! – krzyknęła Jean Mulligan. – Czy Paddy’emu Fearonowi ktoś groził? Czy pojawiło się ostrzeżenie o bombie?

– To są dwa pytania, Jean, i odpowiedź na obydwa brzmi „nie”.

– Nie fatygowaliście się tutaj, żeby przesłuchać Paddy’ego Fearona, prawda? – zapytała Fionnuala. – Przyjechaliście go aresztować.

– O tym nie mogę na razie mówić, Fionnualo. Jak tylko dowiemy się czegoś więcej, zwołam konferencję prasową. Ale w tej chwili, mówię to państwu szczerze, wszyscy jesteśmy jeszcze w szoku.

Fionnuala nie odpowiedziała, tylko zmarszczyła czoło i ruszyła nagle w stronę Katie z uniesioną lewą ręką. Ta cofnęła się o krok, nie wiedząc, co dziennikarka zamierza.

– Wszystko gra, proszę się chwilę nie ruszać.

Zbliżyła się do Katie, odgarnęła jej włosy po prawej stronie głowy i pociągnęła lekko za ucho. Pokazała jej ciemnoczerwoną kroplę przypominającą

kolczyk.

– Zaschnięta krew – rzuciła. – Skaleczyła się pani w ucho, nic więcej.

## Rozdział 34

Gdy tylko minęła otwarte drzwi gabinetu komendanta, MacCostagáin zawołał:

– Katie!

Zatrzymała się i cofnęła.

– Jak się pani czuje? – Wstał i obszedł biurko. – Nie jest chyba pani ranna, co?

– Parę drobnych zadraśnień i tyle – odparła, unosząc prawą rękę z plastrem; wyglądało to, jakby miała składać przysięgę. – Ale powiem panu szczerze, że jestem w kawałkach. Jak wszyscy zresztą. Tych dwóch młodych policjantów... Spodziewaliśmy się małych kłopotów, ale nie czegoś takiego. Zna pan już ich nazwiska?

– Darragh Mullan miał dwadzieścia trzy lata, a John Burns dwadzieścia dwa. Mullan skończył Templemore półtora roku temu, a Burns dopiero co się ożenił. Michael Pearse właśnie pojechał zawiadomić rodziny.

Stali dłuższą chwilę w milczeniu; komendant miał jeszcze bardziej żalobną minę niż zwykle.

– Pójdzie pani się zbadać, Katie, tak dla pewności? – odezwał się w końcu.

– Czuję się świetnie, proszę się nie martwić. Muszę się tylko otrzepać i umyć szybko włosy.

– Powinna pani pojechać do domu i porządnie odpocząć. Nie chcę, żeby panią dopadł... jak to się nazywa, stres pourazowy. Francis O'Rourke może trzymać za panią rękę na pulsie.

– Nie, panie komendancie, naprawdę. Jestem wstrząśnięta, przyznaję, ale ogólnie czuję się nieźle i mogę się od razu zabierać do śledztwa. To mi pomoże pokonać szok. Poza tym chcę zobaczyć, co nowego znaleźliśmy w klasztorze Bon Sauveur.

– A tak... klasztor Bon Sauveur. Dzisiaj rano uderzyli do nas telefonicznie radcy prawni diecezji, zostawiłem pani kartkę na biurku. Prosili o spotkanie z rzecznikiem komendy, ale on wyjechał do Kinsale i nie wróci do jutra. Ktoś jeszcze do pani dzwonił, z biura rzecznika w Dublinie. Powiedziałem im, że uczestniczyła pani w poważnym wypadku i wróci pani na komendę najwcześniej za parę dni.

– Och, dziękuję panu... – bąknęła Katie. Nie wiedziała, co powiedzieć, bo jeszcze nie słyszała, by główny komendant wyraził się o kimś pogardliwie. Poza tym nigdy nie okazał wobec niej takiej opiekuńczości. Nie mogła wprawdzie powiedzieć, żeby z otwartą wrogością zareagował na jej nominację na detektywa nadkomisarza – w odróżnieniu od paru innych funkcjonariuszy płci męskiej przy

Anglesea – ale zawsze wydawało jej się, że jest obojętny, zbyt pochłonięty swoją ustawiczną ponurością, żeby przejmować się czymkolwiek losem.

– No więc jak się obecnie sprawy mają w Spring Lane? – zapytał.

– Sytuacja jest ustabilizowana. Odgradziliśmy teren wokół przyczepy Paddy’ego Fearona i technicy pełzają na czworakach i zbierają odpryski. Przed wieczorem powinno nam się udać wpuścić większość Romów z powrotem na osiedle. Muszę jednak zaznaczyć, że ten incydent ani trochę nie pomógł naszym relacjom z Cyganami. Niektórzy wbili sobie do głów, że to my wysadziliśmy Paddy’ego Fearona, że to niby była kontrolowana eksplozja, która miała wysadzić drzwi przyczepy, ale wymknęła się nam spod kontroli. Wierzą w to, mimo że zginęło dwóch naszych funkcjonariuszy.

– A świadkowie? Czy któryś z Romów widział kogoś zachowującego się podejrzanie wokół przyczepy Fearona?

Katie pokręciła głową.

– Nie. Ale nawet gdyby coś zobaczyli, i tak by nam nie powiedzieli. Romowie nigdy nie kablują na siebie nawzajem policji. Wiem, że to pachnie rasizmem, ale myślę, że detektyw Dooley ma trochę racji. Kiedy tam pojechał, żeby dobić z Fearonem targu na pozbycie się koni, powiedział, że wszyscy na osiedlu zachowywali się podejrzanie. Tacy po prostu są Romowie. Nikomu nie ufają i nikt im nie ufa.

– Więc czym się pani teraz zajmie?

– Napiję się kawy i zjem kanapkę z serem, jeśli w bufecie coś się uchowało. Potem pojadę do Bon Sauveur zobaczyć, jak idą poszukiwania, bo radar gruntowy powinien już być uruchomiony. Ale przede wszystkim chcę sprawdzić, czy detektyw sierżant Ni Nuallán zrobiła jakiś postęp w poszukiwaniu czterech pozostałych zakonnic spośród Świętej Siódemki, o której powiedziała mi matka O’Dwyer. Zakładając, że w ogóle jeszcze żyją. Zaoszczędzi nam to masę roboty i bólu głowy, jeśli wszystkie zmarły wcześniej w naturalny sposób.

– Doskonale. – Komendant patrzył na swoje biurko, przyciskając koniuszki palców do ust, jakby nie mógł sobie czegoś przypomnieć. Kiedy Katie odwróciła się, żeby odejść, powiedział: – Będzie pani bardzo uważała, prawda? Bo wie pani, najpierw detektyw Horgan, teraz znowu to.

– Jasne – odparła, uśmiechając się gorzko. – Zawsze uważam.

Podniósł wzrok.

– Chodzi o to, że jest pani bardzo atrakcyjną kobietą, Katie, i nie chcemy, żeby spadła na panią podobna tragedia, rozumie pani?

Czuła, że nie chciał tego powiedzieć, ale gdyby tego nie zrobił, a jej by się coś stało, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

– Dziękuję panu – rzuciła i wyszła. Jednak zmierzając korytarzem do swojego gabinetu, miała szeroko otwarte oczy i ledwie mogła uwierzyć w to, co

przed chwilą usłyszała. „Jest pani bardzo atrakcyjną kobietą”. Denis MacCostagáin nazwał ją bardzo atrakcyjną? I postanowił to zrobić akurat w chwili, gdy ona i wszyscy na komendzie wciąż byli w głębokim szoku.

Może właśnie dlatego wybrał ten moment, pomyślała. Może uznał, że i tak nie zdoła nią mocniej wstrząsnąć.

\* \* \*

Weszła do gabinetu, powiesiła płaszcz i od razu skierowała się do łazienki. Zapaliła światło, zamknęła drzwi i oparła się o ścianę twarzą do lustra nad umywalką. Jej brzuch był twardy jak piłka lekarska.

Boże, błagam, niech temu dziecku nic się nie stanie. Choćby nie wiem ile kłopotów miało mi sprawić, niech go nie spotka żadna krzywda.

Odpięła kaburę i położyła rewolwer na koszu na śmieci. Rozpięła spódnicę, zdjęła grube czarne rajstopy i majtki. Zobaczyła z ulgą, że odrobinę się zmoczyła, pewnie wtedy, gdy wybuchła bomba, ale na tym się skończyło. Stała z zamkniętymi oczami i masowała sobie brzuch; mięśnie zaczęły się stopniowo rozluźniać.

Wyszła z łazienki, trzymając w dłoni pistolet w kaburze, i zobaczyła, że czeka na nią detektyw komisarz O'Rourke.

– Jezu – odezwał się, kręcąc głową. – Szczęście, że nie zginęło nas więcej.

Katie usiadła przy biurku. Wysunęła ręce, które wciąż się trzęsły i nie mogła nad tym zapanować.

– Niech pan spojrzy! – powiedziała. – Dalej mam trzęsawkę! Najgorsze, że to się stało bez żadnego ostrzeżenia. Paddy Fearon też się niczego nie spodziewał, to jasne. Ale ciekawa jestem, czy ten, kto podkładał ładunek, zdawał sobie sprawę, że przyjdziemy po Paddy'ego.

– Media dostały cynk, więc jakie są szanse, że nie wiedziała o tym połowa Cork? Jak będziemy planowali następne aresztowanie, może byśmy wycięli pośrednika i sami to ogłosili w Red FM.

– Rozgoryczenie do niczego nas nie doprowadzi, Francis – zauważyła Katie. – Mieliśmy ten sam problem za czasów Bryana Molloya. Poufne informacje wylewały się z komendy jak przez durszlak, a on korzystał na tym finansowo. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło, nie będzie więcej ofiar w ludziach.

O'Rourke usiadł naprzeciwko niej. Obserwował przez chwilę, jak Katie usiłuje uspokoić ręce, w końcu się odezwał:

– Pani sugeruje, że sprawcy mogli wiedzieć, że przyjdziemy zwinąć Fearona, i dlatego podłożyli ładunek, a mnie się zdaje, że to jest ogólnie słuszny kierunek myślenia.

– Jestem przekonana, że zależało im konkretnie na nim – powiedziała. – Na pewno nie wierzę, że był to atak rasistowski przeciwko Cyganom.

– Zgadzam się z panią. Jasne, od lat jest zła krew między Romami a mieszkańcami osiedla komunalnego Park Court, sąsiadującego ze Spring Lane Halting Site, ale nie wydaje mi się, żeby ktoś z Park Court posunął się aż tak daleko. Myślę, że zamiast się zastanawiać, kto mógł zyskać najwięcej na śmierci Paddy’ego Fearona, powinniśmy kombinować, kto najwięcej by stracił, gdyby do tego nie doszło. Znam jego opinię od lat i powiem pani, że był znany z kablowania na ludzi, jeśli znalazł się w krytycznej sytuacji. Już kilka razy mógł zginąć i tylko fart go uratował. Tomás Ó Conaill zawsze przysięgał, że gdyby nadarzyła się szansa, ukatrupiłby go kilofem.

– Tak jak to zrobił ze swoją ciężarną dziewczyną?

– Fakt, niezbyt przyjemny gość z tego Ó Conailla. W gruncie rzeczy gnój totalny. Taki, co to wyrwałby człowiekowi oko, sprzedał mu je i zabił, gdyby ten nie miał czym zapłacić.

– Pójdę po kawę – powiedziała Katie. – Chce pan ze mną iść? Wydaje mi się, że mamy bardzo podobne odczucia względem Paddy’ego Fearona. Dooley myśli tak samo. Kiedy Fearon dowiedział się, że Dooley jest z Gardy, okazał się tak głupi, że zatrzymał sobie jego forszę. Musiał sobie zdawać sprawę, że możemy go aresztować i przycisnąć, a założę się o wszystko, że ten, kto go załatwił, nie chciał, żeby Fearon z nami gadał.

– O tych koniach zrzuconych ze skarpy?

– A o czym innym? O ile nam wiadomo, Fearon był zamieszany w zrywanie drutu miedzianego z trakcji kolejowej i handel kradzionymi rowerami, ale w nic poza tym. Z tego powodu chyba nie warto było ryzykować i wysadzać go w powietrze.

Doszli korytarzem do wind i czekali, aż któraś zjedzie na dół.

– Niech pan pomyśli, Francis – ciągnęła Katie. – W wyścigach konnych jest od groma kasy. Moim zdaniem, teraz tym bardziej musimy się dowiedzieć, do kogo te konie należały, dlaczego właściciel chciał się ich pozbyć i wybrał do tego zadania Paddy’ego Fearona. Wydaje mi się, że Fearon rzucił się na zbyt głęboką wodę.

– Zdaje sobie pani sprawę, że to wszystko zgadywanki? – spytał detektyw komisarz O’Rourke, kiedy ustawili się w kolejce w bufecie. – Być może to wcale nie Paddy Fearon zwał te konie z klifu, a wtedy będziemy musieli od nowa zacząć szukać kogoś, kto po prostu chciał wysadzić gościa w powietrze.

– Nie sądzę – odparła. – Gdyby tamtym chodziło tylko o to, żeby go sprzątnąć, po prostu zapukaliby do drzwi i go zastrzelili. Zrobił to ktoś, kto naprawdę chciał coś udowodnić. To był komunikat w rodzaju: zadrzyj ze mną, a skończysz jak na tym obrazku. Nie zwyczajne „trach!”, i po tobie, ale wylecisz w niebiosa w wielkiej eksplozji. Do tego ginie dwóch funkcjonariuszy Gardy, co wcale nie było zaplanowane.

Zaniosła dwie kawy do stolika przy oknie.

– Ci, których szukamy, Francis, nie boją się niczego – podjęła. – Ani Romów, ani nas. Wysłanie przyczepy Paddy’ego Fearona i zabicie dwóch funkcjonariuszy to był gest, dwa uniesione palce pokazane całemu światu.

– To znaczy, że mają mocny motyw – zauważył O’Rourke.

– O, tak. – Katie czuła się już o wiele pewniej i była mu wdzięczna za krzepiącą obecność, ale i tak nie była daleka od łez.

\* \* \*

Katie dopiła kawę i odsuwała już krzesło, żeby wstać.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział O’Rourke.

– Tak?

Detektyw komisarz miał poważną minę, więc powoli usiadła.

– Byłem na naradzie w Phoenix Park poświęconej bezpieczeństwu.

– I co w związku z tym? Napisze mi pan o nim raport, tak? Opowiedział im pan o nowych procedurach kontroli, które wprowadziliśmy na Ringaskiddy i na lotnisku?

– Tak, oczywiście. Ale pomyślałem, że powinna pani wiedzieć, że w barze po naradzie wpadło mi do uszu parę rozmów między funkcjonariuszami, którzy tam byli. Nazwisk nie będę wymieniał, ale jak powiem Limerick i Kilkenny, to chyba się pani zorientuje, kogo mam na myśli.

– I co mówili?

O’Rourke miał ponurą minę.

– Nie dostyszałem wszystkiego, a ponieważ mam teraz przydział tutaj, w Cork, tamci wyraźnie uważali na słowa. Ale Bryan Molloy ma u nich spore poparcie i pewnie oboje wiemy dlaczego. Dobrze im się żyło, kiedy nazywali siebie Arcykrólami Irlandii, kiedy wycofywali zarzuty wobec bogatych i sławnych, czyścili im prawa jazdy. Niemało dorabiali w ten sposób na boku, ale za pani sprawą to się skończyło. Wątpię, czy ma pani pojęcie, ile niechęci pani w nich budzi, w tych kanciarzach. No, a poza tym jest pani kobietą. Chętnie zobaczyliby panią martwą i mówię to zupełnie poważnie.

Katie nagle przypomniała sobie o pocisku, który przebił szybę samochodu, kiedy jechała z detektywem Horganem z Dromsligo. Wtedy pomyślała jednak, że to niemożliwe, by w taki sposób ryzykowali. Starzy kompani Molloya na pewno zadowolą się tym, że biuro rzecznika prowadzi śledztwo w jej sprawie.

– Dziękuję, Francis – powiedziała, kładąc dłoń na jego ręce. – Doceniam pana lojalność.

Wzruszył ramionami.

– Zawsze to mówiłem, pani nadkomisarz. Jeśli my nie będziemy o siebie dbali, to nikt nie będzie.



\* \* \*

W sali detektywów Katie zobaczyła Ni Nuallán, która wciąż siedziała przy biurku i usiłowała wytropić cztery żyjące siostry spośród Świętej Siódemki.

Panowała cisza, mimo że nadal dzwoniły telefony, a detektywi stukali w klawisze laptopów. Eksplozja ładunku w Spring Lane wywarła wpływ na wszystkich pracujących w gmachu, nie było śmiechów i żartobliwych docinków, jakie się tam zwykle słyszało.

Detektyw sierżant Ni Nuallán uniosła głowę znad klawiatury.

– Trudne to jak diabli – poskarżyła się. – Sprawdzalam w Głównym Rejestrze Cywilnym w Roscommon i wyszło, że siostra Grainne McNevin zmarła przed ośmiu laty, ale jeśli ktoś nie zapomniał odnotować zgonów pozostałych trzech sióstr, to nadal są wśród nas.

– Hm... nie chciałabym wyjść na gruboskórą, ale miałam nadzieję, że zeszy spokojnie z tego świata – powiedziała Katie.

– Zdawało mi się, że jedną namierzyłam, siostrę Virginię O’Cleary. Mieszkała z młodszą siostrą w Rochestown, ale ta młodsza umarła na raka i starszą przenieśli do domu opieki w Carrigaline. Przed chwilą próbowałam skontaktować się z tym ośrodkiem, lecz został zamknięty dwa lata temu, teraz jest tam prywatny dom i nikt nie ma pojęcia, co się stało ze staruszkami, którzy w nim niegdyś mieszkali.

– A pozostałe?

– Siostra Nessa Bolan odeszła z klasztoru przed piętnastu laty i wyjechała, by pracować w zakonie Bon Sauveur w Malawi. Założyli tam szkołę dla dzieci, które straciły wzrok z powodu niedoboru witaminy A lub odry. Jednak szkołę zamknięto po dwóch latach z powodu braku funduszy i nie mogę się dowiedzieć, jakie były dalsze losy siostry Nesy, czy wróciła do Irlandii, czy została w Afryce. W każdym razie w klasztorze w Cork już się nie pojawiła. Siostra Aibrean Callery odeszła podobno z zakonu siedem lat temu, kiedy zachorowała na nerki. Trzy miesiące była leczona w klinice uniwersyteckiej w Cork, ale ją wypuszczono i dotychczas nie udało mi się znaleźć żadnego zapisu, który by świadczył o tym, dokąd się udała lub dokąd ją zabrano.

– No dobrze, proszę próbować dalej. – Katie westchnęła. – Miejmy nadzieję, że jeśli my nie jesteśmy w stanie namierzyć tych zakonnic, to i mordercy ich nie znajdą.

Już się odwróciła, żeby odejść, lecz Ni Nuallán ją zatrzymała.

– Pani nadkomisarz, muszę z panią porozmawiać.

– Tak, o co chodzi? Chyba nic złego się nie stało?

– Mm, tak i nie. Może moment nie jest właściwy...

– Kyno, jeżeli coś panią trapi, powinna mi pani o tym powiedzieć. Od tego

przecież tu jestem.

Detektyw sierżant podniosła na nią wzrok; jej dolna warga wyduła się jak u zasmuconego dziecka. Wyglądała tak żałośnie, że Katie podeszła i położyła rękę na jej barku.

– No co tam, Kyno? Proszę powiedzieć.

– Myślę o tym, żeby zwrócić się o przeniesienie. Do Dublina, jeśli są tam jakieś wakaty.

– Ale dlaczego? Nie jest pani tu zadowolona? Proszę mi nie mówić, że znudziło się pani życie wśród nas, prostaczków.

– Nie, uwielbiam pracę w Cork. Ale w tym właśnie sęk. Uwielbiam z pani powodu.

Katie cofnęła rękę.

– Kyno.

– Tak, wiem. To obłąd. To jest obłąd, bo nic nigdy się między nami nie zdarzy. Ale ja nie umiem nic na to poradzić. Próbowалаm spotykać się z innymi kobietami i o pani nie myśleć, ale dzień w dzień przychodzę na komendę i pani tu jest, a ja panią kocham i to boli. I nie ma innego sposobu, żeby przestało boleć, mogę jedynie złożyć wniosek o przeniesienie, wyprowadzić się i nigdy więcej pani nie zobaczyć.

Detektyw Brennan siedział w przeciwległym końcu sali i mozolnie stukał dwoma palcami. Uniósł głowę i zerknął na Katie i Ni Nuallán, ale był za daleko, by usłyszeć ich rozmowę. Katie żałowała, że nie może wziąć Kyny w objęcia, przytulić, pocałować i powiedzieć, jak bardzo ją lubi i jak bardzo będzie za nią tęsknić. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić.

– Pomówmy o tym później. Niech pani się nie spieszy z tą decyzją, zanim przedyskutujemy wspólnie, jakie ma pani opcje.

– Nie mam żadnych. Zakochanie to nie jest opcja. Rzuciła pani na mnie urok i nie mogę na to nic poradzić.

– Później się jeszcze spotkamy, Kyno, tak czy owak. Nie chcę, żeby się pani męczyła.

Ni Nuallán bez słowa przeniosła wzrok na klawiaturę. Katie stała przy niej jeszcze chwilę.

– Uśmiechnij się, co, zrób to dla mnie – poprosiła w końcu.

Detektyw sierżant uniosła głowę i uśmiechnęła się, mimo że jej oczy pełne były łez.

\* \* \*

Kiedy Katie dojechała do klasztoru Bon Sauveur, słońce zaszło już za trzy wieżyczki katedry Świętego Finbarra w centrum i robiło się ciemno.

Gdy jednak zaparkowała, zobaczyła za kaplicą klasztoru oślepiającą baterię

lamp halogenowych. Było jak na stadionie, słyszała pomruk generatorów i metaliczny szczeł łopat. Parking zapełniały samochody i furgonetki biura technicznego i firmy RMR Engineering.

Przeszła do ogrodu i zobaczyła, że Eithne O'Neill rozmawia z dwoma mężczyznami w kamizelkach odbłaskowych i kaskach. Stali obok dużej maszyny na kołach, przypominającej kosiarkę do trawy, tyle że bez ostrzy. Eithne miała na sobie jasnoniebieski kombinezon, wyglądający tak, jakby go wzięła od kogoś o wiele roślejszego; jej włosy sterczały niczym pisklę, które wypadło z gniazda.

– O, detektyw nadkomisarz Maguire! – zawołała. – Dobrze, że pani jest. To jest Stephen Murtry, dyrektor techniczny RMR, a to specjalista od georadarów, Dermot Brooke. Pokazują mi, co do tej pory wykryli pod ziemią.

Mężczyźni podali Katie ręce. Stephen Murtry miał wypielęgowaną szpakowatą brodę i nosił okulary w rogowej oprawie, wyglądał prawie jak męski model reklamujący odzież dla starszych panów. Dermot Brooke był młody, otyły i rumiany na policzkach.

– Coś mi się zdaje, że macie tu delikatną sytuację, pani detektyw nadkomisarz – zagadnął Stephen, rozglądając się. – Rozkopujecie klasztorny ogródek, a zakonnice nadal tu mieszkają. W Galway przynajmniej zdążyły się wyprowadzić, sprzedać budynek i ulotnić się.

– Ale zanim zakonnice w Galway się ulotniły, postarały się, żeby ekshumować swoje drogie siostrzyczki, które leżały tam pochowane – wtrąciła Eithne. – Urządziły im uroczysty pogrzeb w hrabstwie Mayo, z błogosławieństwem tamtejszego proboszcza i wmurowaniem tablicy pamiątkowej z nazwiskami wszystkich. Inaczej potraktowały dzieci, które tam zostawiły wrzucone do dziury jak śmieci.

– Przepraszam panie na chwilę, dobrze? – powiedział Stephen. – Musimy zmienić trochę ustawienie, jeśli chcemy sięgnąć skanerem głębiej.

On i Dermot pochylili się nad radarem gruntowym, żeby dostroić ustawienie częstotliwości. Katie ściągnęła brwi i dotknęła palcem ust. Całkowicie podzielała zdanie Eithne, lecz bez względu na to, jak silne były ich odczucia względem prowadzonego śledztwa, policjanci kryminolodzy i oficerowie Gardy nie powinni wyrażać publicznie swoich opinii.

Stephen odwrócił się do Katie.

– Dotychczas obejrzeliliśmy tylko północno-zachodnią część trawnika, ale już zauważyliśmy pod powierzchnią dwie anomalie, które mogą być spowodowane ludzką działalnością. W obu miejscach zidentyfikowaliśmy obiekty o wyższej gęstości niż otaczająca je ziemia, zalecam więc sprowadzenie firmy, która wykopie rowy eksploracyjne.

– Na jakiej głębokości zakopano te obiekty? – spytała Katie.

– Jeden leży bardzo głęboko, do tej pory zeskanowaliśmy tylko jego wierzch.

Maszyna, którą tutaj mamy, to najnowszy georadar RIS-K Dwa. Kosztuje sto tysięcy euro i może wykrywać podgruntowe anomalie na głębokości do trzech metrów. Ale ta sięga o wiele głębiej i została częściowo przykryta, być może sklejką. W moim przekonaniu ktoś, kto tutaj kopał, próbował ukryć grzebane tam obiekty raz a dobrze.

– Ale macie jakąś metodę, żeby stwierdzić na pewno, czy to są kości?

– Nie, dopóki ich nie wykopimy i nie zobaczymy na własne oczy. To jedyny sposób na stwierdzenie tego z pewnością.

– Jutro z samego rana dopilnuję, żeby sprowadzić kogoś do kopania rowów – powiedziała Katie. – Który fragment terenu będziecie skanować w następnej kolejności?

– Pod warzywnikiem. Już znaleźliście tam kości, pod samą powierzchnią, więc wyobrażam sobie, że ciało nie zakopano tam aż tak głęboko.

Dermot włączył maszynę i z wolna potoczyła się po trawniku. Katie przyglądała się chwilę jej pracy.

– Jak wam idzie w zbiorniku? – zwróciła się do Eithne. – Ile ryb zdążyliście wyłowić?

– Podejdźmy, sama pani zobaczy – odparła dziewczyna i ruszyły. – Ten wybuch wczoraj w Spring Lane... to było coś strasznego. Była tam pani, prawda? Rany... Nic się pani nie stało? Nie ucierpiała pani w żaden sposób?

– Wszystko dobrze poza tym, że dalej jestem lekko głucha. Bill Phinner odjechał już stamtąd?

– Nie. Właśnie do mnie dzwonił, zaledwie pięć minut temu. Pewnie jutro przez większą część dnia będą przeczesywali teren wokół przyczepy. A później przywloką wszystko na Anglesea do analizy. Mówi, że ma mocne podejrzenia co do tego, kto skonstruował bombę, ale na razie nie ma stuprocentowej pewności.

– O, Bill jest w tym bardzo dobry. Wystarczy, że powącha osad z urządzenia, i już wie, kto je zmontował. Jeśli chodzi o semtex, to jest lepszy od psa tropiącego. No, zobaczmy te kości.

Od poprzedniej wizyty Katie w klasztornym ogrodzie jasno oświetlony niebieski namiot rozszerzył się ku wschodniej ścianie i rozłożono na ziemi więcej płacht brezentu. Stała u wejścia i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Na plandekach leżało teraz osiem rzędów małych szkieletów, ciasno, jeden obok drugiego, a w każdym musiało być ich ponad trzydzieści.

– Jak dotąd, naliczyliśmy dwieście siedemdziesiąt – oznajmiła Eithne, ściągając czarną rękawicę, żeby odgarnąć sobie włosy z oczu. – Oczywiście nie możemy mieć pewności, że wszystkie kości należą do właściwych szkieletów, ale bardzo starannie je fotografujemy przed przeniesieniem w inne miejsce. Zmierzyliśmy każdą i dzięki temu mamy dość dokładne pojęcie o wieku dzieci, po uwzględnieniu ich ubogiej diety.

– A więc w jakim wieku była większość w chwili śmierci? – zapytała Katie. Nie mogła w tej chwili nie pomyśleć o małej białej trumience, którą jej zmarły mąż Paul sam wniósł do kościoła. Seamus leżał w niej w swoim najlepszym pajacyku.

– To tylko bardzo przybliżona ocena, ale uważamy, że około dwudziestu pięciu urodziło się martwych, a większość miała od półtora roku do dwóch i pół lat. Ale niektóre są o wiele starsze. Widzi pani ten szkielet na samym końcu drugiego szeregu? To dziecko miało co najmniej siedem lat, kiedy zmarło, chociaż dziewczynka była wzrostu znacznie poniżej średniej dla jej wieku. Powodem śmierci prawie na pewno było niedożywienie.

– Wiecie, że to była dziewczynka?

Eithne potwierdziła skinieniem głowy.

– Świadczą o tym jej zęby. Do pięciu lub sześciu lat nie ma różnicy między rozwojem uzębienia chłopców i dziewcząt. Po osiągnięciu sześciu lat dziewczynki zaczynają wyprzedzać chłopców, zwłaszcza jeśli chodzi o zęby żuchwy.

Katie podeszła i przykucnęła obok szkieletu.

– Smutna, nieszczęsna dziewczynko – powiedziała. – Bardzo bym chciała wiedzieć, jak miałaś na imię.

Dwóch rezerwistów w niebieskich kurtkach podeszło do Eithne.

– Zakończyliśmy przesiewanie tego końca rabaty. Więcej kości nie znaleźliśmy, ale sierżant O'Farrell mówi, że chce, żebyśmy przyszli jeszcze jutro rano.

– Zgoda, świetnie, dziękuję. No to do zobaczenia jutro – pożegnała się z nimi Eithne.

Katie wyprostowała się i razem wyszły z namiotu. Stephen i Dermot dalej pełzali pomału georadarem po trawniku, przystając od czasu do czasu, żeby zerknąć na ekran.

– À propos – odezwała się Katie. – Odwiedziłam Begleyów w związku z listem pożegnalnym Roisin.

– I co?

– Po długim sapaniu i prychnaniu Jim Begley w końcu mi się przyznał, że sam go napisał.

– Serio? Naprawdę się przyznał?

– Wielkiego wyboru nie miał. Kiedy zaginęła Roisin, w domu nie było nikogo, tylko Begleyowie. Powiedział, że napisał tę kartkę, bo chciał sprawić wrażenie, że Roisin miała poczucie winy z powodu pracy w Cork Fantasy Girls i zależało jej, żeby nie okryć rodziny jeszcze większą hańbą.

– No to świetnie... – Eithne westchnęła. – Znacząco tragicznie, ale świetnie. To nie wyjaśnia jednak, w jaki sposób dziewczyna zginęła, prawda? Sprawa staje się jeszcze bardziej tajemnicza.

– Zapytałam Jima Begleya wprost, czy to on ją utopił. Naskoczył na mnie

jeszcze mocniej, ale jasnej odpowiedzi nie dał. Zapowiedziałam mu, że skonsultuję się z detektywem Dooleyem i prawie na pewno będziemy chcieli go jeszcze przesłuchać.

– Boże drogi. Myśli pani, że on ją naprawdę utopił?

Katie popatrzyła na dziecięce szkielety spoczywające na płachtach brezentu. Ucieszyła się, gdy jeden z rezerwistów odwiązał klapę namiotu i szczątki znikły z pola widzenia. Za życia te dzieci nie zaznały ludzkiego szacunku.

– Wydaje mi się, że byłby do tego zdolny – odparła. – Jeśli w grę wchodzi ochrona dobrego imienia rodziny, to on jest jak drut kolczasty. Innymi słowy, nie mógł ścierpieć, że ludzie patrzyli z góry na nich w czasie mszy, dlatego że ich córka się puszczała.

– Ale żeby ją utopić? Jaki ojciec zrobiłby coś takiego córce, nawet gdyby była trochę puszczałska?

– Nie wiem, Eithne, naprawdę nie wiem. Już dawno przestałam spekulować na temat ludzkich motywacji, zwłaszcza jeśli wchodzi w to religia.

Jak gdyby dla podkreślenia tego zdania, zza rogu kaplicy wyłoniła się matka O'Dwyer, stanęła i wlepiła wzrok w detektyw nadkomisarz. Jej oczy były jasne i harde niczym dwa stalowe gwoździe wbite młotkiem w twarz. Katie przyszło na myśl, żeby powiedzieć jej, ile, według najświeższych rachunków, wyciągnięto szkieletów z szamba, ale doszła do wniosku, że lepiej będzie potrzymać ją w niepewności do czasu, gdy zostaną wydobyte wszystkie. Choć zakonnica oczywiście mogła znać tę liczbę.

## Rozdział 35

Riona jeździła wkoło na Saint Sparkle'u po polu za stajniami, kiedy do stadniny wjechał swoim zakurzonym zielonym range roverem Andy Flanagan. Dermot stał oparty o płot, obserwował Rionę i palił papierosa; Andy zatrzymał się obok niego i wysiadł.

Podjechała, zsiadła z konia i podała wodze Dermotowi.

– Zaprowadź go do boksu, dobrze? Weterynarz przyjedzie niedługo.

– Wygląda, jakby nic mu nie brakowało – powiedział Dermot i odwrócił się do Andy'ego. – Co tam, koleżko? Nie dają ci spokoju ci wszyscy mężowie cudzołożnicy?

– Nie, to żony, one są najgorsze. – Andy wyszczerzył zęby. – Wszystkie sprawunki załatwiają teraz online, sprowadzają sobie do domów doręczycieli z Tesco i SuperValu, kiedy mężowie pracują. Tak jak dawniej robiły z mleczarzami. Tesco Direct? Raczej Tesco Erekt, bym powiedział!

Był szary poranek, chmury sunęły wolno, ale wiał lekki zimny wiatr i sprawiał, że lipy szeptały do siebie po cichu. Dermot smagnął czule Saint Sparkle'a w lśniący brązowy bok i go odprowadził. Andy wyjął paczkę papierosów i podsunął Rionie, ona jednak pokręciła głową.

– Koń jak się patrzy – rzucił, pstrykając zapalniczką trzy lub cztery razy, zanim błysnął płomyk. – Ale w niedzielę się nie spisał, no nie?

– Chyba na niego nie postawiłeś, co?

– Stawiam tylko jak jest ustawka, a ja mam w niej udział. Nie powiedziałaś, na którym miejscu wyląduje ani czy w ogóle skończy, jak się zresztą okazało, więc roztropnie postanowiłem zachować forsę w portfelu.

– Po prostu nie był przygotowany psychicznie, i tyle – odparła Riona. – Jest silny fizycznie, ale pesymista z niego. Jest taki jak wielu ludzi... Kiedy sobie uświadomi, że nie minie pierwszego słupka, rezygnuje. Ale jest zapisany na BoyleSports Tied Cottage Race Day w Punchestown w niedzielę za dwa tygodnie i mogę ci powiedzieć na pewno, że tę gonitwę zgarnie.

– Będzie się ścigał z Jezkim, no nie, i z Tiger Rollem? Jaka cena?

– Paddy Power dają ponad dziesięć z góry.

– Myślisz, że wygra łatwo?

– Tak, jeśli Bóg pozwoli.

Andy popatrzył na nią podejrzliwie oczami zmrużonymi tak mocno, że wyglądały, jakby ich wcale nie miał. Był ogromnym mężczyzną, miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i głowę, która wydawała się za duża do brązowego kapelusza z wąskim rondem. Plamiste policzki pokrywała misterna siatka czerwonych żyłek, duże zęby miał brązowe, nos złamany. Nosił za luźny

jasny trencz i spodnie w malinowym kolorze, które nie sięgały mu do kostek. Gdyby był budynkiem przy Adelaide Street, dawno zostałby uznany za przestarzały i gotowy do rozbiórki.

– Podobno namierzyłeś siostrę Airbean Callery – odezwała się Riona.

– Tak, owszem. Powiem ci, że nie było to łatwe, ale ją znalazłem. Mieszka z najstarszą wnuczką swojej siostry przy Waterfall Road w Curraheen. Do lutego zeszłego roku zajmowali się nią w hospicjum Marymount, ale mniej więcej rok temu cioteczna wnuczka zaproponowała, że ją weźmie.

– Dobrze się spisałeś, Andy – pochwaliła go Riona. – Mogę zapytać, jak ją znalazłeś, czy to twoja tajemnica zawodowa?

– Nie, to żadna tajemnica. Trzeba znać właściwych ludzi, i tyle. Pogadałem z Canonem O’Flynnem, który odprawiał mszę w kościele Świętej Rodziny w Military Hill, a on znał wszystkie pingwiny z Bon Sauveur. Odwiedził siostrę Aibrean, kiedy leżała w szpitalu na nerki, i później utrzymywał z nią kontakt. Podał mi jedną kluczową informację, mianowicie, że zawsze nosiła pełny kostium pingwina, nawet po odejściu z klasztoru. Znajomy portier w Wilton Hilton dał mi cynk, że po tym, jak ją stamtąd wypuszczono, trafiła do Marymount. Sęk w tym, że w Marymount nie chcieli mi powiedzieć, dokąd się stamtąd udała. Pokapowałem się, że jeśli nadal nosi pełny strój pingwina, to albo musi je sobie sama szyć, tak jak wiele zakonnice, albo je kupuje w jednym z bardzo niewielu miejsc, które nadal prowadzą sprzedaż odzieży religijnej. A że jest stara, bardzo stara i ma reumatyzm, nie sądziłem, by sama dla siebie szyła, więc sprawdziłem u dostawców świętych przyodziewków. Nie uwierzysz, większość kościelnych rzeczy sprzedaje się teraz online: kapy, alby, świece, nawet pieprzone opłatki sakramentalne. Wszystko idzie przez internet. Dziwię się, że nie ma w asortymencie chórzystów z pupami już nasmarowanymi maselkiem. Sprawdziłem na [ars.sacra.com](http://ars.sacra.com) i [churchsupplies.ie](http://churchsupplies.ie) i zaliczyłem trafienie za trzecim razem, u Mary Fitzpatrick, która prowadzi własny sklep odzieżowy w Carrigaline pod nazwą [GloryBe.com](http://GloryBe.com). Od lat szyje habity dla siostrzyczki Aibrean, a jak jej wyznałem ze łzami w oczach, że mam na imię Conor, mieszkam w Australii i jestem od dawna niewidzianym krewnym siostry Aibrean, od razu mi powiedziała, gdzie ta stara mieszka.

– I sprawdziłeś to? Ona naprawdę tam jest?

Andy wyjął iPhone’a z kieszeni trencza, stuknął w ekran brudnym palcem i podał Rionie aparat. Ta zobaczyła pomalowany na biało domek z żywopłotem i wysoką starszą panią w habicie, z twarzą białą jak owsianka. Stała w otwartych drzwiach z uniesioną ręką, jakby machała komuś na do widzenia.

– Sam je zrobiłem dzisiaj rano – pochwalił się Andy. – Tuż przy skrzyżowaniu Waterfall Road i Bandon Road.

– I jesteś pewien, że to ona?

– Gadałem z dziewczyną, która stoi za ladą w Mac’s Café w Bishopstown



Road. Zna ją. Stara przychodzi co rano, jak tylko otwierają. Herbata bez mleka i cukru i dwa ciastka owsiane.

– Brawo, Andy. A jak się miewają dwie pozostałe? Siostra Virginia i siostra Nessa?

– Zdaje mi się, że wpadłem na trop siostry Virginii. Z tą drugą sprawa jest trochę bardziej pokręcona. Ale spokojna głowa. Namierzę obie, tak czy siak. Nie nazywaliby mnie Znajdźka Flanagan bez powodu.

– Kto cię tak nazywa?

– No, nikt. Przed chwilą wymyśliłem. Ale dobrze brzmi, nie sądzisz?

Riony ani trochę to nie rozbawiło. Andy z jakiegoś powodu gapił się na różowy puder, który przywarł do delikatnych włosków na jej górnej wardze. Może nie miał odwagi patrzeć jej prosto w oczy. Trudno by mu było to wytłumaczyć, ale była jedną z najbardziej przerażających osób, jakie znał, nie wyłączając słowackiego handlarza narkotyków, Vickiego, który zagroził kiedyś, że obetnie mu klejnoty ząbkowanymi nożyczkami.

– Wejdz do domu, to ci zapłacę za znalezienie siostry Aibrean – powiedziała Riona. – Rozumiesz, że z chwilą, kiedy ta forsa przechodzi z moich rąk do twoich, nigdy nie słyszałeś o kimś takim jak siostra Aibrean, nikt cię nigdy nie prosił o znalezienie takiej osoby i nigdy jej nie szukałeś?

– Matko Boska, Riona! Za tę kasę, którą mi płacisz, z chęcią bym zapomniał własne imię, a co dopiero jej.

– Chciałam tylko, żeby to było jasne jak słońce. Wolałabym, żebyś nie skończył jako ofiara nieporozumienia.

Andy odszedł od range rovera, przemierzył podwórze stadniny i wszedł z Rioną do domu. Kiedy zbliżali się do tylnych drzwi, nie wiedział, co zrobić z papierosem, więc zgasił go palcami i wsunął sobie za lewe ucho.

## Rozdział 36

Ledwie Katie weszła do swojego gabinetu na komendzie i powiesiła płaszcz, odezwał się jej telefon. Dzwonił Garret MacTeague z kancelarii Scully & MacTeague, która reprezentowała Jima Begleya. Mocno seplenił, prawie tak, jakby był trochę nawalony, ale wielokrotnie stawiała przeciw niemu w sądzie i wiedziała, że zawsze tak mówi i jako adwokat jest bardzo groźnym przeciwnikiem.

– Mój klient poinformował mnie, że być może chce go pani przesłuchać w związku z tragiczną śmiercią jego córki.

– Tak, owszem. A powiedział panu o liście pożegnalnym Roisin?

– Przyznał się, że sam go napisał, jeśli do tego się pani odnosi. Wiem, że ma pani dowody, więc nie ma sensu owijać w bawełnę i udawać, że nie napisał. Mój klient całkowicie jednak odrzuca jakąkolwiek odpowiedzialność za utonięcie jego córki.

Katie usiadła i powoli potarła się po brzuchu. Od wyjazdu z klasztoru Bon Sauveur męczyła ją niestrawność. Na domiar złego odczuwała początki migreny. Środki przeciwbólowe, które zazwyczaj brała, zawierały kofeinę i paracetamol, a wiedziała, że nie powinna ich zażywać w czasie ciąży.

– Może w takim razie przyjechałby pan z klientem na komendę jutro około jedenastej rano? – zaproponowała. – Mam w tej chwili natłok zajęć w związku z wybuchem w Spring Lane i nie tylko.

– Tak, oczywiście – odparł Garret MacTeague. – Proszę przyjąć od mojego klienta najszczerze kondolencje z tego powodu. Skontaktuję się z nim, ale chyba nie powinno być żadnych problemów i jutro będzie mógł się stawić. Jest bardzo zaniepokojony tą sprawą i chce ją jak najszybciej rozwiązać, podobnie jak pani Begley. Nie wątpię, że może pani to sobie wyobrazić.

Rozłączyła się i zadzwoniła po detektywa Dooleya, który przed paroma minutami dojechał na komendę. Kiedy wszedł do jej gabinetu, wyglądał jak po bójkę. Jego zaczesane do góry włosy potargał wiatr, kołnierzyk marynarki z tyłu był postawiony.

– Cóż za prezencja, ho, ho! – Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. – Jak tam idzie w Spring Lane?

– Oj, powoli, powoli aż do bólu. Technicy dalej zbierają szczypcami z ziemi tyciuteńkie kawałki ludzkiego ciała i aluminium. Ci to mają cierpliwość Hioba, mówię pani. Ale ja i Brennan skończyliśmy przesłuchiwać wszystkich mieszkańców, więc wróciłem na komendę. Rozmawialiśmy z każdym, nawet z dziećmi.

– I co ci mieszkańcy mieli do powiedzenia?

– To Romowie, więc jak pani myśli? Najgrzeczniejsza odpowiedź, jaką od

nich usłyszałem brzmiała: „Idź sobie jaja wypucuj”. Proszę wybaczyć słownictwo, ale to padło z ust sześćioletniej dziewczuszki.

Katie uniosła brwi.

– Hm, no cóż. Może komisarzowi O'Rourke'owi się poszczęści. Ma bardzo dobre układy z Cyganami. Ja tymczasem odbyłam rozmowę telefoniczną z adwokatem Jima Begleya. Begley ma jutro rano przyjechać na komendę, żeby odpowiedzieć na pytania o utonięcie Roisin.

– Znaczący przyjeżdża z własnej woli?

– Tak, z własnej woli. O jedenastej. Chciałabym, żeby pan też był.

– Skoro stawia się z własnej woli, to musi mieć pewność, że nic nie możemy mu przyczepić. Całkowicie zaprzeczył, że to on utopił Roisin, kiedy pani u niego była, prawda? Jeśli dalej się będzie wypierał, będziemy mieli wielki problem z udowodnieniem, że to on.

– Jest bardzo religijny, więc może ruszy go sumienie – zauważyła Katie. – Oczywiście wszystko to mówimy, zakładając, że naprawdę to zrobił.

– Nie mamy ani jednego dowodu z analizy kryminalistycznej, i to jest problem – powiedział Dooley. – Na jej ciele nie było wyraźnych siniaków, nie miała połamanych paznokci ani śladów skóry pod paznokciami, które świadczyłyby o tym, że się przed kimś broniła. No dobrze, Jim Begley przyznał się do sfalszowania listu pożegnalnego, ale czego to dowodzi? Tylko tego, że się jej wstydził, niczego więcej.

– Ale przynajmniej wskazuje na motyw. A ja się zastanawiałam, jakie dowody moglibyśmy znaleźć. Co z jej telefonem?

– No tak, telefon by się przydał, tyle że nie udało się go znaleźć. Nie było go w jej pokoju ani nigdzie w domu. Usiłowaliśmy go namierzyć, ale nie złapaliśmy sygnału GPS. W końcu musieliśmy przyjąć założenie, że miała go z sobą, wchodząc do rzeki, i że nie był wodoodporny, a wtedy szanse na to, że go zlokalizujemy, są prawie zerowe. Musielibyśmy wezwać do poszukiwań nurków z marynarki, ale nawet wówczas...

– Nie dowiedział się pan od jej rodziców, z której sieci korzystała? Można byłoby wziąć od operatora niedawno wysłane wiadomości, tweety, e-maile, wszystko.

Detektyw Dooley się zachnął.

– Chciałem oczywiście, ale w tym czasie myśleliśmy, że list pożegnalny jest autentyczny, więc nie wydawało się to pilne. Przykro mi. Potem wybuchł ten ładunek w Spring Lane i sprawa spadła z listy priorytetów.

– W porządku, Robercie. Zarzuciłam pana ostatnio masą roboty, zdaję sobie z tego sprawę, ale wobec tych wszystkich pułapek, na które natrafiliśmy, nie miałam wielkiego wyboru. Zastanówmy się. Roisin Begley była nastolatką, a w jaki sposób nastolatki dzielą się w dzisiejszych czasach swoimi zmartwieniami?

Jeżeli była zestresowana lub myślała o samobójstwie, jest bardzo prawdopodobne, że skorzystałaby z telefonu, żeby powiedzieć przyjaciółkom, jak podle się czuje.

– Ma pani rację, jasne – zgodził się Dooley. – Od razu się do tego zabiorę.

Katie popatrzyła na niego. Włosy miał jeszcze bardziej rozmierzwione niż w chwili, gdy wszedł do gabinetu; był młody i z jego twarzy biło takie zatroskanie, że tylko z trudem myślała o nim jak o doświadczonym detektywie.

– Zrobił pan już sobie dzisiaj przerwę?

– Jeszcze nie.

– Więc proszę ją sobie zrobić teraz i coś przekąsić, a potem wziąć się do szukania wiadomości telefonicznych Roisin. Żebym tylko zdążyła je zobaczyć, zanim jej ojciec stawi się jutro rano w komendzie.

– Tak, pani nadkomisarz. Stokrotne dzięki.

\* \* \*

Kiedy Katie dojechała wieczorem do domu, zasłony w salonie były nadal rozsunięte; wysiadłszy z samochodu, zobaczyła Johna, który siedział schylony nad stolikiem i stukał w klawiaturę laptopa.

Nie uniósł głowy, gdy weszła do pokoju, ale pomachał do niej ręką.

– Za sekundę do ciebie przyjdę, kochanie.

W domu pachniało sosem bolońskim, ale wyczuła także lekką woń farby akrylowej. Nachyliła się do Johna i cmoknęła go z tyłu w szyję.

– Długo pracujesz.

– W Montrealu jest dopiero piętnasta dwadzieścia – odparł. – Właśnie dopinam umowę na tabletki z resveratrolem. Wybacz, ale jeśli mam kiedyś zostać miliarderem, to tylko w taki sposób.

Stuknął zamasyście w klawisz i oznajmił:

– No i już, zamówienie gotowe. Dostałem fantastyczny upust.

Katie zerkała na ekran.

– Resveratrol, nigdy nie słyszałam. Na co to jest? Na nieśmiałość?

– Nie, nie. To ci zapewnia wszystkie życiodajne dobrodziejstwa czerwonego wina bez śmiertelnych następstw kaca. Może i ty powinnaś spróbować, skoro zrezygnowałaś z picia. Naprawdę mi imponuje ta twoja wytrwałość. Kiedy ja się ostatnio zdecydowałem na abstynencję, wytrzymałem pięć godzin i odpadłem.

– Ostatnio na komendzie chodzę po ścianach, skarbie – odrzekła Katie. – Nijak nie dałabym rady, gdybym codziennie szła do pracy, czując się jak Cygan po weselisku. Wiem, wiem, to niezgodne z wymogami poprawności politycznej, ale za bardzo jestem skonana na poprawność.

Skinęła głową w kierunku obrazu na regale, ustawionego przodem do ściany.

– Udało ci się dzisiaj trochę pomalować?

– Tylko godzinę albo coś koło tego, ale posuwa się do przodu. Może byś mi

trochę popozowała po kolacji?

– No, nie wiem. Jestem wykończona.

– Nic nie musisz robić. Wystarczy, że będziesz siedziała i zachwycała mnie.

– Zobaczymy. Nie czuję się zachwycająco, wierz mi. Chyba mi się poprawi, kiedy coś zjem. Kiedy mi go pokażesz?

– Jeszcze nie teraz – odparł John, zamykając laptopa. – Dopiero jak będzie tak do ciebie podobny, że nie dam rady was rozróżnić.

– Bylebyś tylko nie wziął go do łóżka zamiast mnie.

Barney stał w kuchni przy drzwiach, węszył i powoli machał ogonem. Nagle szczeknął ostro, a potem jeszcze raz i zaszurał łapami po wykładzinie.

– Co się dzieje, Barns? – odezwała się Katie i odwróciła w stronę okna salonu; w szybie na tle ciemności widać było jej odbicie. – Ktoś tam jest? To pewnie stary Pauly ze sklepu wyprowadza swoje psiaki na spacer.

Podeszła do okna i chwyciła sznur zasłony.

– Nikogo tam nie widzę, Barns. Może to tylko kot sąsiadów.

Pociągnęła za sznur i zasłony zaczęły się przesuwac, lecz raptem rozległ się przeraźliwy trzask. Zasłona z prawej strony wydeła się do środka, jakby ktoś dźgnął ją gwałtownie laską, po czym wróciła do poprzedniego położenia. Talerz z celtyckim wzorem na regale pękł na kawałki i Katie zobaczyła czarną dziurę w ścianie za nim.

– Padnij! – zawołała do Johna bez tchu, niemal wrzeszcząc.

Zawahał się, a ona skoczyła przez szerokość pokoju, złapała materiał koszuli w czerwoną kratkę i pociągnęła go za kanapę. Przetoczył się i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

– Co, u diabła?! Czy ktoś do nas strzela?

– Zostań tu – powiedziała. Uniosła się na czworaki i dotarła do drzwi. Wstała, sięgnęła do wyłącznika i zgasiła światło w salonie. Gdy zrobiło się ciemno, popędziła do pokoju dzieciennego i wyjęła z komody rewolwer.

– Katie?! Co mam robić?! – krzyknął John.

– Dzwon pod sto dwanaście. Przedstaw się i powiedz, kim jestem i że ktoś do nas strzela z zewnątrz od frontowej strony. Niech przyślą regionalną jednostkę wsparcia.

– Co takiego? Regionalną jednostkę wsparcia? Dobra, już się robi.

Weszła do holu z uniesionym w obu dłoniach rewolwerem i odwiedzionym kurkiem. Opierając się plecami o ścianę, podeszła do drzwi i wysunęła łańcuch z gniazda. Potem zgarbiona skoczyła na drugą stronę korytarza, uchyliła drzwi na kilka centymetrów i wyrzała w noc. Temperatura wynosiła trzy, może cztery stopnie powyżej zera, ale od zatoki pędził zimny wiatr. Zadrzała.

Słyszała, jak John rozmawia z centralą służb ratowniczych.

– Katie! Katie! – zawołał. – Nie wychodzisz na zewnątrz, prawda?

– Ciii! Chcę zerknąć, czy ktoś tam jest!

Na podjeździe nikogo nie było, nie zauważyła także, by ktoś się czał za samochodami. Żywopłot po prawej stronie rzucał trójkątny atramentowy cień, lecz i tam nikogo nie dojrzała.

Otworzyła szerzej drzwi, ale nadal stała tuż przy ścianie obok futryny, z rewolwerem wysoko uniesionym przed sobą. Już miała zrobić krok za próg, kiedy rozległ się ryk uruchamianego silnika samochodowego i zgrzytliwy pisk. Zza żywopłotu sąsiedniego domu wynurzył się srebrny mercedes i pomknął w kierunku północnym. Stało się to tak szybko, że Katie nie zdążyła zobaczyć tablicy rejestracyjnej ani rozpoznać modelu. Nawet nie była całkowicie pewna, że to był mercedes, a nie audi. Po chwili wyczuła w wietrze zapach palonej gumy i spalin.

Do drzwi podszedł John i położył dłoń na jej ramieniu.

– To byli oni?

Katie odczekała chwilę.

– Tak mi się wydaje. Nikt w tej okolicy tak nie jeździ. Boże, trzęsę się jak osika.

– Chcesz pogadać z osobą, która przyjęła zgłoszenie? Powiedziała, że wysyłają uzbrojone wsparcie. Słyszysz, jak mówię „uzbrojone wsparcie”? Całkiem jak w filmie sensacyjnym.

– Bo w nim jesteś, skarbie – odparła Katie. Serce dudniło jej głośno w piersi i była pewna, że John je słyszy. Poczekała jeszcze chwilę, a potem zamknęła drzwi i założyła łańcuch. – To cud, że żadne z nas nie zginęło.

Przeszła do kuchni, którą słabo oświetlała latarnia uliczna na rogu. Katie była raczej pewna, że ten, kto strzelał, odjechał mercedesem i nie wróci, ale zamierzała czekać w ciemności na przybycie regionalnej jednostki wsparcia. Nie mogła całkiem wykluczyć, że zamachowców było dwóch i jeden odjechał widowiskowo, zostawiając na miejscu drugiego, który ją zdejmie, kiedy tylko zapali światła i pokaże się w oknie.

John wziął ją w objęcia, przytulił i pocałował we włosy.

– Przykro mi to mówić. Nie jestem gliną, ale zdaje mi się, że ktoś na serio wziął cię na cel.

– Chyba nie trzeba być gliną, żeby się tego domyślić. Samochód był bardzo podobny do tego, z którego zastrzelono Horgana w Dromsligo.

– Myślałem, że go znaleźliście spalonego.

– Znaleźliśmy mercedesa odpowiadającego opisowi, ale nie było w nim nic świadczącego o tym, że to było to samo auto.

– Powinnaś się na jakiś czas stąd wyprowadzić, kochanie, przynajmniej dopóki nie wykryjecie, kto tak się na ciebie wziął. Możesz to zrobić? Macie pewnie jakieś domy kryjówki, takie, w których trzymacie świadków pod ochroną, coś w tym rodzaju?

– Nie, nigdzie się nie wyprowadzę – oznajmiła Katie. – Gdybym dawała się wypłoszyć z domu za każdym razem, kiedy jakiś gnój chce mnie ukatrupić, w ogóle bym tutaj nie mieszkała. Załatwię, żeby paru funkcjonariuszy pilnowało przez kilka dni domu. To będzie bardziej ekonomiczne niż przeprowadzka, a poza tym myślę także o twoim bezpieczeństwie.

John pocałował ją i pogłaskał po plecach.

– Kocham cię, detektyw nadkomisarz Maguire. Gdybym cię stracił, za cholerę nie wiem, co bym zrobił.

\* \* \*

Minęło ponad dwadzieścia pięć minut, zanim migając niebieskimi światłami, nadjechały dwa niebiesko-żółte kombi marki Volvo z napisem UZBROJONA JEDNOSTKA WSPARCIA GARDA przesuwanym się na bagażnikach dachowych.

John wyjrzał ostrożnie przez okno salonu.

– Kawaleria przybyła – rzucił. – Trudno to nazwać pośpiechem, co?

– Tak wyglądają w praktyce cięcia budżetowe – odparła Katie. Komenda policji w Cobh była oddalona o niespełna dwa kilometry od Carrig View, lecz ograniczenia finansowe doprowadziły niedawno do jej zamknięcia i teraz Cobh i Carrigtwohill obsługiwano z leżącego osiemnaście kilometrów na północny wschód Midleton.

Sześciu uzbrojonych funkcjonariuszy w granatowych mundurach i ochraniaczach wygramoliło się z aut i momentalnie otoczyło frontowy ogródek domu. Katie otworzyła drzwi i dwóch weszło do środka: sierżant z twarzą pokiereszowaną jak u byłego boksera i kobieta z nierówno najeżoną kasztanową czupryną i grubymi brwiami. Oboje byli obładowani glockami, ładownicami, taserami i kajdankami; mieli również zabezpieczone szyfrem zestawy radiowe, a idąc, pobrzękiwali sprzętem.

– Co jest grane? – zagadnął sierżant. – Ktoś oddał do pani strzał, tak?

– Z pół godziny temu – odpowiedziała Katie i zaprowadziła oboje do salonu. Pokazała miejsce, w którym pocisk przeszył szybę okna i wbił się w ścianę.

Sierżant kucnął tak, że jego oczy znalazły się na wysokości trajektorii pocisku i mógł z grubsza obliczyć, w którym miejscu stał strzelec.

– Tuż obok słupka bramy, bym powiedział. No dobra. Przeszukamy dokładnie teren, oczywiście. Ale co, uważa pani, że on już dawno się ulotnił, tak?

– Jakiś samochód wyprysnął na pełnej szybkości, jakby go z piekła wystrzeliło, gdy tylko otworzyłam drzwi – odparła Katie. – Był srebrny, to mógł być mercedes, ale równie dobrze audi albo bmw. Pojechał tamtędy, na północ, zapewne kierował się do N Dwadzieścia Pięć. Zaalarmowałam drogówkę, żeby mieli na niego oko, ale optymistką nie jestem.

– Przynajmniej pani nie oberwała, a to już jest szczęście – odezwała się funkcjonariuszka.

– Tak, Bogu dzięki – dodał sierżant. – I nie będzie już pani musiała martwić się o bezpieczeństwo, nie tej nocy. Nie odjedziemy, dopóki się nie upewnimy, że w pobliżu nie ma potencjalnych dalszych zagrożeń dla pani. A później postawimy przed domem dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy i zwolnimy ich dopiero rano.

Na ganku pojawił się jeszcze jeden mężczyzna z jednostki wsparcia, trzymał ukośnie w rękach pistolet automatyczny Heckler & Koch.

– Sekcja techniczna, pani nadkomisarz. I trzy radiowozy. I furgonetka z rezerwistami.

– Jezu, kiedy zagrożony jest jeden z waszych, naprawdę traktujecie to poważnie, co? – zauważył John.

Na chodniku ustawiano reflektory, wokół domu od frontu rozklejano taśmę policyjną.

Sierżant spojrzał na niego i mięsień pod jego lewym okiem drgnął. Było jasne, że spostrzeżenie Johna go nie rozbawiło.

– Traktujemy z powagą zagrożenie każdej osoby, proszę pana. Na tym polega nasza praca.

\* \* \*

Pięciu rezerwistów przez ponad dwie godziny na czworakach szukało zużytej łuski, ale jej nie znalazło. Technicy tymczasem obfotografowali ślady opon pozostawione przez srebrne auto oraz otwory po kuli w oknie salonu i zasłonie, a także w ścianie na wprost.

Wchodząc do salonu, Katie zobaczyła Eithne, która dokonywała laserem pomiarów pokoju; jej jasne włosy przykrywała wełniana czapka z pomponem.

– Mogę to trochę przesunąć, pani komisarz? – spytała, wskazując obraz na sztaludze, który wciąż stał przodem do ściany.

Katie wzruszyła ramionami.

– Jasne, proszę, jeśli pani musi.

Dziewczyna wzięła obraz do ręki i go odwróciła. John skończył już wcześniej twarz i włosy, a teraz domalował piersi i część lewego ramienia. Eithne patrzyła z zażenowaniem.

– Och, przepraszam panią. Nie wiedziałam, że...

– Nic się nie stało – zapewniła ją Katie. – Mój partner jest bardzo dobrym malarzem, więc jak mogłam odmówić?

Akurat wtedy do salonu wszedł specjalista od balistyki, Denis McBride, i on też zauważył obraz. Zamrugął, zdjął okrągłe okulary podobne do sowych ślepi i zaczął je zaciekle wycierać końcem krawata.

Katie wzięła od Eithne sztalugę i postawiła ją na małym stoliku w rogu



przodem do ściany.

– No i słusznie, bo portret jest piękny – powiedziała Eithne. – Autor naprawdę oddał pani sprawiedliwość.

– Otóż to, sprawiedliwość, przecież z jej powodu wszyscy tutaj jesteśmy, prawda? – odparła Katie.

Ku swojemu zaskoczeniu wcale nie przejęła się tym, że Eithne i Denis zobaczyli obraz. Tak naprawdę, o dziwo, poczuła dumę. Przypomniało jej się, jak w czasie ciąży z Seamusem zmieniło się jej nastawienie do własnego ciała: czuła swoją kobiecość, lecz ani trochę się nie wstydziła. Każdy mężczyzna mógł się podniecić na jej widok, ale żaden nie mógł jej zapłodnić.

Denis otworzył metalową skrzynkę narzędziową i zaczął oglądać przez szkło powiększające otwór po pocisku w ścianie. Katie przeszła do kuchni. Szczęśliwym trafem John był tam, kiedy Eithne odwróciła obraz, rozmawiał akurat z dwoma policjantami o hokeju.

– Kto chce kawy? – spytała. – Myślę, że możemy dziś wszyscy zapomnieć o spaniu.

Zaparzyła cztery kubki kawy instant i podgrzała szklanekę mleka dla siebie, a potem usiadła przy stole; nie włączała się jednak do rozmowy mężczyzn o Pa Croninie, drużynie hokejowej Bishopstown i związanych z nią oczekiwaniach w bieżącym sezonie. To, że strzelano do niej we własnym domu, bardzo wytrąciło ją z równowagi. Od czasów, gdy jako młoda funkcjonariuszka pracowała w drogówce i pilnowała porządku na imprezach sportowych, wielokrotnie odbierała groźby pod swoim adresem. Pewien handlarz narkotyków wykrzyczał nawet w sądzie, że sprawi jej krwawego orła, co oznaczało połamanie żeber od tyłu i wyrwanie płuc. Jednakże strzał, który padł tej nocy, był czymś zupełnie innym, bardziej osobistym; odniosła wrażenie, że ktoś chciał ją zabić nie dlatego, że reprezentuje wymiar sprawiedliwości. To było coś znacznie bardziej osobistego.

Mniej więcej po dwudziestu minutach wszedł Denis, trzymając w szczypcach pocisk.

– No i? – zapytała Katie.

– Ten sam typ, którym zastrzelono detektywa Horgana. Siedem sześćdziesiąt dwa na pięćdziesiąt cztery milimetry, R. Oczywiście będę go musiał zabrać do laboratorium i porównać żłobienia, a jak zapewne wiecie, istnieje dziesięcioprocentowy margines błędu, ale wzięwszy pod uwagę, że oba pociski zostały wystrzelone w pani kierunku, wcale bym się nie zdziwił, gdyby pochodził z tej samej broni.

– A nie mówiłem? – wtrącił John. – To naprawdę wygląda tak, jakby ktoś chciał cię dopaść.

– Owszem, tak to wygląda – przyznała Katie. Barney stał tuż obok i miał tak rozpaczliwie zmartwioną minę, jaką miewają tylko setery irlandzkie. Poklepała go

po łbie i powiedziała: – Muszę się więc postarać i dopaść go pierwsza.

## Rozdział 37

Siostra Aibrean zawsze budziła się przed świtem. Tego ranka jeszcze wcześniej niż zwykle wyrwał ją ze snu grzmot burzy nad Ballyburden na południowym zachodzie i błysk pioruna za cienkimi zasłonami w róże.

Zapaliła lampkę nocną i zeszła z łóżka. Była szósta szesnaście. Właśnie wtedy zaczął walić rzęsisty deszcz, wprost nieprawdopodobny; krople dudniły w dach i odbijały się od parapetu. Podeszła do okna, wyjrzała i zobaczyła, że rowy przy Waterfall Road już się prawie przelewają. Stała tam chwilę i znowu się błysnęło. Z jakiegoś powodu uznała to za znak, że przytrafi jej się dzisiaj coś okropnego, choć nie umiała sobie wyobrazić co. Cały jej plan na ten dzień polegał na tym, że miała pomóc przy wyprzedazy rupieci w kościele Prawdziwej Obecności na Curraheen Road.

Puściła ręką zasłonę, podniosła trójkątną kremową chustkę złożoną na krześle i przykryła nią sobie głowę. Ostrożnie uklękła na cienkiej bordowej macie koło łóżka, złożyła ręce i skierowała wzrok ku górze.

Na ścianie nad łóżkiem wisiała mała półeczka z pozłacaną ikoną przedstawiającą świętego Eustachego. Święty dosiadał siwego wierzchowca, jego czerwona peleryna powiewała za nim i otaczały go jelenie. Po bokach ikony stały dwie gipsowe figurki – Jezusa z rozpostartymi ramionami i Maryi z Dzieciątkiem Jezus w objęciach.

Siostra Aibrean wypowiedziała szeptem poranną modlitwę, a potem nowennę do świętego Eustachego.

– Wszchemogący wieczny Boże! Z żywą wiarą i czcią dla Twego boskiego Majestatu korzę się przed Tobą i proszę o Twą najwyższą hojność i miłosierdzie. Oświeć ciemność mej duszy promykiem Twego niebiańskiego blasku i rozpal w mym sercu ogień Twej boskiej miłości, abym mogła rozmyślać o wielkich cnotach i zasługach świętego Eustachego, ku czci którego odmawiam tę nowennę, i za jego przykładem naśladować życie Twojego boskiego Syna.

Po pięciu minutach medytacji wstała sztywno na nogi, otworzyła drzwi pokoju i na paluszkach przeszła do łazienki, żeby nie obudzić Fianny i jej męża Paula. Wody w sedesie nie spuści, dopóki tych dwoje nie wstanie, gdyż spluczka robiła dużo hałasu.

W stroju zakonnicy zeszła cichutko na dół. Widząc przez okno w kuchni, że deszcz nadal zacina, włożyła czarny płaszcz z kapturem i usiadła na schodach, żeby wciągnąć na nogi czarne kalosze. Potem wyszła, bardzo cicho zamknęła za sobą drzwi i ruszyła spacerem Waterfall Road. Nie wzięła parasolki. Lubiła patrzeć w górę na chmury, żeby Boże kropelki ściekały jej po policzkach tak jak łzy tych, którzy płakali podczas ukrzyżowania Chrystusa i kiedy święty Eustachy i jego

rodzina ginęli okrutną męczeńską śmiercią.

Najgorsza burza pomału mijała, rozległ się grzmot przypominający odgłos kruszenia; ciemne szare chmury przesuwaly się nad Glanmire. Zrobiło się widniej, ale deszcz wciąż padał równo i mocno; siostra Aibrean domyślała się, że będzie padał cały dzień. Doszła aż do Bishopstown Road i wstąpiła do Mac's Café, lokalu z pomalowanym na zielono frontem i zaporowanymi oknami. Jak zwykle o tej porze, w środku siedziało zaledwie trzech gości, listonosz oraz dwóch mężczyzn w kamizelkach odblaskowych z napisem ERVIA na plecach, nową nazwą dawnej firmy gazowniczej Bord Gáis.

Kiedy podeszła do swojego stolika, zauważyła czwartego klienta, krępego łysego człowieka w błyszczącym, wutowanym szarym skafandrze; siedział do połowy widoczny we wnęce obok kontuaru, pod fototapetą przedstawiającą Blackrock Castle w dzień równie szary i mokry jak dzisiejszy. Siostrze Aibrean wydał się odrażający niczym głodny troll z norweskiej bajki, który czyhał na koziołki pod mostem. Wyszczrzył do niej zęby w uśmiechu i mrugnął, kiedy zdejmowała płaszcz; ona także się do niego uśmiechnęła z roztargnieniem, wstydząc się, że tak nieprzychylnie o nim pomyślała. Później przeprosiła za to świętego Eustachego.

Usiadła przy oknie i wytarła parę rękawem, żeby wyrzeć. Podeszła Anna, pulchna ruda kelnerka.

– Filiżanka herbaty jak zwykle, siostrze? Mam dzisiaj ciasteczka z marmoladą, gdyby chciała siostra coś dla odmiany. Są rewelacyjne! Muszę je sprzedać, zanim sama wszystkie zjem.

– Do nieba dostajemy się tylko dzięki wstrzemięźliwości – odparła siostra Aibrean. – Wezmę jak zawsze dwa ciastka owsiane, dziękuję.

– No, jak siostra chce, ale wątpię, żeby Pan to zaliczył do siedmiu grzechów głównych, gdyby pozwoliła sobie siostra na parę ciastek z marmoladą, nie? W Biblii nie ma nic o jedzeniu ciastek.

– O przejeżdżaniu ludzi samochodami też nic nie ma – odparowała siostra Aibrean. – Ale to nie znaczy, że Bóg dał nam na to pozwolenie.

Anna wzruszyła ramionami i poszła po herbatę. Podobny do trolla mężczyzna wstał od stolika i ruszył na krzywych nogach przez kafejkę. Siostra Aibrean zerknęła na niego i usiłowała nie dać po sobie poznać, że się zlekła. Z bliska jeszcze bardziej przypominał trolla i nosił dwa srebrne kolczyki w uszach. Poza tym wionęła od niego woń koni, balsamicznej końskiej maści, starego dymu z papierosów i potu.

– Zafundować siostrze herbatę? – odezwał się.

– To bardzo miłe z pana strony – odparła siostra Aibrean. – Ale naprawdę nie ma potrzeby.

– Ale mogę się przysiąść?

- Wybaczy pan, lecz zwykle wykorzystuję ten czas na medytację.
- A nie mogę się do siostry przysiąc na czas tej medytacji?
- Kiepskie będzie ze mnie towarzystwo.

Podobny do trolla mężczyzna znów wyszczerzył zęby i wyciągnął krzesło po drugiej stronie stolika.

– Mnie to jakby nie wadzi. Słowo, że nie będę przeszkadzał. Cichutki będę jak nagrobek. Bo wie siostra, chcę tylko posiedzieć blisko kogoś świętego. Żeby... no wie siostra, trochę tej siostry świętości we mnie wsiąkło. Całe życie byłem grzesznikiem, muszę to siostrze wyznać. Odkąd tylko ujrzałem światło dnia.

– Może powinien pan iść do kościoła i wyznać swoje grzechy księdzu – poradziła mu.

– Uaa, no nie wiem. Do kościoła! Strach, że hej.

– Nie ma się czego bać. Bóg jest wszystkim rad w swoim domu, nawet grzesznikom. Właściwie to grzesznikom nawet bardziej niż innym.

Mężczyzna troll pociągnął nosem i otarł go nasadą dłoni.

– Oj, nie wydaje mi się, żeby mnie był rad, siostro, nie po tych strasznych, strasznych rzeczach, którym zrobił. Ledwo bym próg przekroczył, On jak raz by mnie łupnął wielgachnym, kuźwa, piorunem. I byłby ze mnie proch do prochu i obłoczek dymu by mi wyleciał z czubka łba, i nie mogę powiedzieć, że sobie na to nie zasłużył. Nie, po prostu sobie tutaj posiedzę, jeśli to nie jest za duży kłopot, i obym wciągnął w siebie trochę tej dobroci, która od siostry promieniuje. No wie siostra, tak jakbym siedział koło lampy słonecznej.

Anna przyniosła herbatę i dwa ciastka owsiane na talerzyku.

– Nadal jest siostra pewna, że nie da się skusić? – zapytała, otwierając szerzej oczy i oblizując usta.

Siostra Aibrean zmrużyła oczy, ale nic nie odrzekła. Mężczyzna troll dalej wyszczerzył zęby i machał lekko rękami w stronę swojej klatki piersiowej, jakby usiłował w ten sposób czerpać świętość od zakonnicy i kierować ją na siebie.

– Jak pan się nazywa? – zapytała.

– Dermot. Po ojcu, ojcu ojca, ojcu ojca ojca i tak dalej. W mojej rodzinie ciągiem, kuźwa, same Dermoty, aż od dinozaurów, o ile wiadomo. Dinozaur Dermot. Przepraszam. Siostra wybaczy, że się wyrażam. Jakoś nie mogę się powstrzymać. Nawet babunia klęła gorzej niż pani Brown.

– Nie będę pytała, jakie przewinienia pan popełnił, Dermocie. Tylko ksiądz jako wybrany przedstawiciel Boga ma moc udzielania rozgrzeszeń. Ale powiem, że dzień dzisiejszy może być tym, w którym zostawiłeś za sobą wszystkie swoje niefortunne uczynki i rozpocząłeś nowe przyzwoite życie. Dzisiaj możesz wziąć w ramiona Jezusa, a on weźmie w objęcia ciebie.

Odsunął się na krzesło i zrobił minę.

– No coś podobnego! Powaga? Nowe przytomne życie?

– Przyzwoite – poprawiła go siostra Aibrean, ale skinęła głową. – Wystarczy tylko, że się pan wypowiedzi i okaże skruczę.

– Ale to bym musiał do kościoła iść, a jużem siostrze mówił, co o tym myślę. Posrałbym się. Bóg by mnie gromem zakatrupił, ledwo bym postawił nogę w kościele, jak słowo daję.

– On by tego nie zrobił, Dermocie, to nie jest mściwy Bóg.

Mężczyzna zastanowił się nad tym chwilę.

– A gdyby siostra ze mną poszła? – spytał. – Bym się czuł o wiele bezpieczniejszy, gdybym był z siostrą. Bóg mnie nie trzaśnie, jeśli będę z zakonnicą, co?

Pomyślała, że nic na świecie nie pociąga jej mniej niż myśl o tym, że miałyby towarzyszyć Dermotowi w kościele, a w zasadzie komukolwiek. Z drugiej zaś strony właśnie to zdarzenie tłumaczyło złowieszcze przeczucie, którego doświadczyła rano, przeczucie, że stanie jej się coś strasznego. Jeśli odrzuci prośbę tego człowieka, może Bóg w jakiś nieoczekiwany sposób pokarze ją za to cierpieniem.

– No dobrze – zgodziła się. – I tak wybierałam się później do kościoła przy Curraheen Road. Dopiję tylko herbatę i muszę wrócić po coś do domu. Potem możemy się tutaj spotkać, powiedzmy za dwadzieścia pięć minut?

Dermot przetarł szybę okna.

– Siostra patrzy, jaka podła pogoda. Mój samochód stoi na ulicy. Mógłbym siostrę zawieźć do domu i poczekać, a później podrzucić siostrę do kościoła i wcale by siostra nie zmokła.

– No, nie wiem...

Rozłożył szeroko ręce.

– To jest dzień, w którym wezmę w ramiona Jezusa. To jest dzień, w którym Jezus mnie przyjmie w ramiona.

– A więc zgoda. Dziękuję. Wypije pan jeszcze jedną herbatkę?

– Nie, siostrze. Jak wypiję jeszcze jedną, będę szczał jak belgijski koń wyścigowy. Tylko posiedzę i na siostrę popatrzę. Będę siedział i grzał się w siostry dobroci. O, widzi siostrze, siedzę sobie i grzeję się. A siostrze niech sobie osłodzi czas.

\* \* \*

Dermot chwycił łokieć siostry Aibrean, kiedy przechodzili przez jezdnię, zmierzając do samochodu zaparkowanego naprzeciwko apteki. Usiłowała wykręcić rękę i uwolnić się, gdy doszli do chodnika, on jednak trzymał mocno i prowadził zakonnicę do brudnej niebieskiej toyoty avensis.

– Może byśmy to odłożyli na później – powiedziała, kiedy otwierał drzwi po stronie pasażera. – O jedenastej w kościele zaczyna się wyprzedaż i tak czy inaczej,

muszę tam być.

– Nie, siostrze, dałaś mi natchnienie teraz – odparł Dermot. – Kuj żelazo, póki gorące, zawsze to mówię. Później, kto wie, poby się pootwierają i usłyszę, że browarek wzywa mnie głośniejszym głosem niż Jezus.

Wiatr przybrał na sile i deszcz zaczął padać po lśniącej asfalcie parkingu; siostra Aibrean musiała przyznać sama przed sobą, że bardzo zmarzła.

– No więc dobrze – zgodziła się. – Pod warunkiem że najpierw wysadzi mnie pan przed domem. To niedaleko, na rogu Waterfall Road i Bandon Road.

Wsunęła się na fotel pasażera i zapięła pas. Tylne siedzenia kombi były złożone i cały tył aż po sufit zapełniały tekturowe pudła z brudnymi starymi derkami z owczej skóry, kocami i uzdami; były tam również dwa siodła treningowe do jazdy wyścigowej, co najmniej sześć dużych puszek czernidła, rower bez kół, trzy papierowe worki z cementem oraz kamionkowy garnek z uschniętą rachityczną rośliną.

Dermot usiadł za kierownicą, trzasnął drzwiami i uruchomił silnik.

– No to jazda – rzucił, szczerząc znów zęby; jego twarz była teraz tak blisko twarzy zakonnicy, że ta czuła nieprzyjemny oddech mężczyzny, a kropla jego śliny spadła na ramię jej płaszcza. – Wyprawa w poszukiwaniu Jezusa.

Wyjechał tyłem z parkingu i skręcił w lewo.

– Muszę wspomnieć, że rano po przebudzeniu poczułam, że przydarzy mi się coś wielkiego – oznajmiła siostra Aibrean. Doszła do wniosku, że oto Bóg poddaje ją próbie, ona zaś dowiedzie swojej wiary. Jeśli zdoła przywieść Dermota na łono Kościoła, sprawić, by wyznał wszystkie swoje grzechy i stał się lepszym człowiekiem, z pewnością obok jej imienia w niebie zabłyśnie złota gwiazda. Święty Eustachy na pewno cierpiał po tysiącokroć bardziej niż ona, mimo że musi siedzieć obok cuchnącego mężczyzny w toyocie z rozchwierutany układem zawieszenia.

– No, ja mniej więcej to samo poczułem, siostrze – rzekł Dermot. – I muszę powiedzieć, że odważna siostra jest. Niejedna babka przeszłaby na drugą stronę.

Prawie dojeżdżali do Bandon Road.

– O, tu po lewej stronie będzie świetnie! – odezwała się siostra Aibrean. Z ulgą zobaczyła, że zasłony w sypialni Fianny i Paula są nadal zaciągnięte.

Tymczasem Dermot, zamiast zwolnić i zatrzymać się przy krawężniku, jechał dalej i zasygnalizował kierunkowskazem, że skręca w lewo w Bandon Road.

– Przejechał pan! – zawołała, odwracając się na fotelu. – Przejechał pan! To mój dom, o, tamten! Ten biały!

– Wiem, gdzie jest twój dom, siostruniu – odparł Dermot.

– Proszę! Musi pan zawrócić i tam podjechać!

Nie spojrzął na nią, tylko sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Otworzył ją jedną ręką i wsunął sobie papierosa do ust.

– Najpierw musimy pojechać gdzie indziej, siostró.  
– Stop! Proszę się zatrzymać! Jeśli nie zamierza mnie pan zawieźć do domu, chcę wysiąść!

– Ogłuchłaś, kuźwa, czy co? Powiedziałem już, że musimy pojechać w inne miejsce.

– Jeśli pan się nie zatrzyma, wyskoczę z samochodu!

– Wszystkie drzwi są pozamykane – oznajmił Dermot. – A teraz stul buzię, co? Leje jak diabli, a ja chcę się, kuźwa, skupić.

– Co pan wyprawia? Dokąd mnie pan wiezie? Skąd pan wie, gdzie mieszkam? Ja muszę wrócić! Muszę tam wrócić!

– Na miłość boską, siostruniu – jęknął. Zapalał papierosa, jednocześnie okrążając chaotycznie rondo, z którego miał zjechać na główną obwodnicę Cork. Deszcz lał tak mocno, że ledwo zapięte wycieraczki toyoty sobie z nim nie radziły i Dermot prowadził niemal na ślepo.

– Proszę, jeżeli szczerze żałuje pan za swoje grzechy, proszę mnie odwieźć z powrotem – błagała siostra Aibrean.

– Ee, chyba się rozmyśliłem. Nie żałuję za swoje grzechy. Nic a nic. Jeśli chce siostra znać prawdę, to mam chętkę na jeszcze wiele.

Złapała go za lewy rękaw, kiedy ruszył śliską szosą w kierunku obwodnicy. Auto szarpnęło w lewo, a potem w prawo i samochód jadący blisko za nim zatrąbił. Dermot uniósł łokieć i szturchnął zakonnicę mocno w policzek tuż pod okiem. Krzyknęła i zakryła twarz obiema dłońmi.

– Ty durna krowo pieprzona! – warknął z papierosem w ustach. – Nie chcesz chyba za szybko pofrunąć do nieba, co?

– Proszę mnie odwieźć z powrotem. – Głos siostry Aibrean dochodził stłumiony zza jej dłoni. – W imię Boga Ojca i świętego Eustachego, proszę mnie odwieźć.

Dermot pokręcił tylko głową. Zjechał na obwodnicę i ruszył w kierunku zachodnim. Zakonnica wciąż zakrywała twarz rękami, ale zaczęła płakać; szlochała sucho i chrapliwie, jak gdyby jej płuca zrobione były ze ścinków papieru.

– Dermocie, proszę mnie odwieźć, jeszcze nie będzie za późno.

– Tego nie mogę zrobić, siostruniu. No, przykro. Współczuję jakby, co nie, sobie nie myśl, ale jak siostry nie dostarczę, to wpadnę w gówno po same, kuźwa, kolczyki, tyle ci powiem.

– Muszę spuścić wodę w toalecie.

– Że co? O czym ty, kuźwa, pleciesz?

– Wyszłam rano z domu, ale nie spuściłam wody. Jeśli nie wrócę i tego nie zrobię, umrę ze wstydu.

Dermot pokręcił głową.

– No nie do wiary! Wody w kiblu żeś nie spuściła! Przykro, siostruniu, ale



jak trzeba wybierać między twoim gównem a moim, moje, niestety, ma pierwszeństwo.

\* \* \*

Zjechał z obwodnicy w Farnanes i skierował się na północ krętą wiejską drogą prowadzącą do Coachford. Siostra Aibrean siedziała z rękami splecionymi na kolanach; nie odzywała się, lecz przesuwała w palcach szkarłatny różaniec i odmawiała w myślach modlitwę do świętego Eustachego, żeby ją obronił. Pytała Dermota, dokąd ją wiezie, w odpowiedzi usłyszała jednak długi ciąg przekleństw, postanowiła zatem milczeć i pogodzić się z losem.

Jej życie było długie, wypełnione pobożnością i wierzyła, że najlepiej, jak umiała, służyła Bogu oraz Jezusowi, a także wszystkim nieszczęsnym młodym matkom i dzieciom, które przyjęła pod swoją pieczę. Jeśli Bóg postanowił, że to jest dzień jej śmierci, musiał mieć jakiś powód. Ona jednak nie wyobrażała sobie, jaki ten powód jest ani dlaczego Bóg zrządził, by tak bardzo się bała.

Gdy przejeżdżali wąskim mostem nad zbiornikiem retencyjnym Taiscumar, z powierzchnią marszczącą się od kropli deszczu, przymknęła oczy i starała się nie myśleć o niespuszczonej wodzie w toalecie. Może w ten sposób Bóg chce pokazać Fiannie i Paulowi, że ona mimo wszystko jest istotą ludzką. Usłyszała kiedyś, jak Paul skarży się żonie, że jej cioteczna babka uważa siebie za istotę boską.

Przejechali przez Coachford, rozciągnięty szereg domów i sklepów z dwoma stojącymi naprzeciw siebie pubami przy głównym skrzyżowaniu – O’Riordan’s i O’Callaghan’s. Siostra Aibrean miała nadzieję, że miną jakieś osoby, które wyszły na wczesne zakupy, a ona zapuka w szybę auta i zasygnalizuje, że jest wieziona wbrew swojej woli. Zobaczyła jednak tylko dwóch mężczyzn w składzie drewna, którzy rozmawiali, paląc papierosy, i byli za daleko, by ją usłyszeć.

Przejechali jeszcze parę kilometrów. Po obu stronach szosy wyrastały wysokie nierówne żywopłoty, więc siostra Aibrean nie mogła zobaczyć, gdzie się znajduje ani dokąd zmierza. Po około pięciu minutach Dermot skręcił w lewo w długą jednopasmową drogę i dotarli nią do bramy z białym długim szyldem, na którym widniał napis „Clontead Stud”. Za bramą jechał alejką wysadzaną lipami obok łąki, na której kilkanaście koni skubało trawę. Następnie skręcił w dziedziniec otoczony stajniami i zatrzymał się obok przyczepy dla konia.

Siostra Aibrean rozejrzała się. Obok bloku stajennego w kształcie litery L był duży, pomalowany na zielono dom z wieżą zegarową i wiatrowskazem w kształcie starego dziadka. Dermot wysiadł, obszedł samochód i otworzył zakonnicy drzwi.

– Czy to już? Gdzie my jesteśmy?

– Tak, siostruniu. Koniec drogi. Może więc ruszyłabyś swoją tylną część?

– Zapewne nie ma sensu błagać pana o litość i prosić, żeby odwiózł mnie pan

do domu?

– Trafiłaś w dychę, siostrzo. Zero sensu.

Wtedy otworzyły się drzwi domu. Wyszła z niego kobieta w długim popielatym prochowcu zarzuconym na ramiona i rażnym krokiem zbliżyła się do otwartych drzwi samochodu. Miała czarny kok i przystojną twarz z krótkim nosem i mocną szeroką szczęką, wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat. Nawet bez okularów siostra Aibrean widziała, że ma zbyt grubo nałożony podkład i nosi sztuczne rzęsy.

Uśmiechnęła się do zakonnicy, lecz był to uśmiech satysfakcji, a nie miłego powitania.

– Siostra Aibrean! Bardzo dziękuję za przybycie. Kopę lat!

– O co chodzi? – odezwała się zakonnica. – Kim pani jest? Nie przyjechałam tu z wyboru, tyle mogę pani powiedzieć.

– Ani ja nie poszłam do Świętej Małgorzaty z wyboru, siostrzo Aibrean. Ale takie jest życie, prawda? Ci, którzy są od nas silniejsi, mówią nam, że mamy się ich słuchać, czy nam się to podoba, czy nie, bo inaczej dadzą nam w skórę. Wszystko to dla naszego dobra, oczywiście. Wszystko z myślą o naszych duszach.

– Kto poszedł do Świętej Małgorzaty? – spytała siostra Aibrean. – Świętą Małgorzatę zamknięto lata temu.

– Można zamknąć dom matki i dziecka – odparowała czarnowłosa kobieta. – Ale nigdy nie można zamknąć wspomnień tego, co się w nim działo.

– Nie mam pojęcia, o czym pani opowiada.

– Jeśli zechce siostra wejść, wszystko objaśnię. W tej chwili włosy mi mokną, a dopiero co je ułożyłam.

Zakonnica niechętnie rozpięła pas i Dermot pomógł jej wysiąść. Podążyła za czarnowłosą kobietą do domu, on zaś szedł denerwująco blisko za nią, jakby pilnował, żeby się nie odwróciła i nie próbowała zbiec. I tak nie mogłaby tego zrobić... w jej wieku i w padającym deszczu. Do ostatniego domu, który widziała po drodze, było co najmniej pięć kilometrów. Nigdy w swoim długim życiu nie czuła się tak odizolowana, a jednocześnie osaczona.

Nieznajoma zaprowadziła ją do dużego, ponuro wyglądającego salonu z ogromnymi kanapami obitymi perkalem i tłącym się za kratką kominka torfem. Na ścianach wisiały olejne obrazy rasowych koni, większość miała za małe łby w stosunku do korpusów; były tam również dziewiętnastowieczne sztychy, przedstawiające wyścigi konne, oraz rozety w ramach.

– Proszę tu usiąść, a wytłumaczę, dlaczego Dermot przywiózł tutaj siostrę – powiedziała czarnowłosa kobieta. – To żadna frajda zemścić się na kimś, jeśli ten ktoś nie wie, że się na nim mścisz. Mogłam mu kazać spętać siostrze ręce i nogi i wywalić do zbiornika. Ale jaki byłby w tym sens? Pomyślałaby siostra, że po prostu ktoś ją morduje bez żadnego powodu. A nie, że wymierza karę za to, co robiła... co robiła ona i sześć innych Świętych Sióstr.

Zakonnica siedziała bez ruchu. Zaciskała i rozwierała kościste dłonie z plamami wątrobowymi, usiłując zebrać siłę na to, by odpowiedzieć kobiecie spokojnie i z przekonaniem. Pamiętaj, powtarzała sobie, że Pan stoi tuż za tobą.

– A zatem mogę przypuszczać, że jest pani jedną z upadłych dziewcząt, które przyjęliśmy do Świętej Małgorzaty?

– To się zgadza, siostrzo. Riona jestem, Riona Nolan, choć wątpię, by mnie siostra pamiętała.

– Riona Nolan? Ależ pamiętam panią. Pamiętam wyraźnie. Była pani bardzo potulną i posłuszną dziewczyną, jeśli dobrze sobie przypominam.

– Otumanioną i zastraszoną, chce siostra powiedzieć. Każde słowo, któreście do mnie wypowiadały, było obliczone na to, żebym poczuła się bezwartościową, wstrętną puszczalską.

– Święty Baranku Boży! Jak pani może coś takiego mówić?!

– Bo to prawda. Była siostra brutalną wiedźmą, podobnie jak wy wszystkie. Istniała wtedy tylko jedna osoba, która wierzyła, że jestem coś warta, był nią mój synek Sorley. Gdyby nie Sorley, powiesiłabym się tak samo jako moja koleżanka Clodagh, nie żartuję.

Siostra Aibrean usiadła prosto i wsunęła sobie za plecy brązową pluszową poduszkę, żeby się lepiej oprzeć.

– Ależ, Riono. Myśmy się panią opiekowały. Dałyśmy pani dach nad głową i łóżko do spania. Karmiłyśmy panią i ubierałyśmy. Zapewniałyśmy ciepło w zimie. Doglądałyśmy was, ilekroć któraś zachorowała. Modliłyśmy się za was, żebyście ujrzały światłość, wskazywałyśmy, jak wieść prawe, moralne życie.

Riona pokręciła głową.

– Nasza egzystencja przy was była tak nędzna, jak tylko można sobie wyobrazić. Kazałyście nam harować jak niewolnicom. Zimą w dormitorium było jak w lodowni, a latem duszno nie do wytrzymania. Pościel zmieniana była raz na miesiąc i musiałyśmy przez tydzień nosić te same majtki. Do jedzenia dostawałyśmy kapustę i kartofle, a jak się którejś z nas trafiło parę skwarków, to miała wielkie szczęście. I przez cały czas powtarzałyście nam, że nie jesteśmy lepsze od zwykłych prostytutek.

Zamilkła, żeby zaczerpnąć tchu. Po tym, co zrobiła siostrze Bridget, siostrze Monie i siostrze Barbarze, nie przypuszczała, że nadal będzie w niej wrzał taki gniew. A jednak czuła, że w każdej chwili może podejść do siostry Aibrean i chlasnąć ją kilka razy w twarz, z lewej i z prawej. Tymczasem usiadła obok niej, tak blisko, że zakonnica zmuszona była się odsunąć, by móc na niej skupić wzrok.

– Przez was czułam się, jakbym była niczym – ciągnęła Riona. – Ale na tym nie koniec. Mówiłyście, że nawet jeżeli będę żałowała za grzechy i błagała Boga o przebaczenie, i tak pozostanę niczym. Jak już powiedziałam, tylko dzięki Sorleyowi się nie zabiłam. Kochał mnie, bo byłam jego mamą, i nigdy mnie nie

oceniał. A co wyście zrobiły? Odebrałyście mi go. Ukradłaś mi go, ty wiedzmo! Ukradłaś mi to jedyne, co nadawało mojemu życiu jakikolwiek sens.

– No cóż, mogę tylko powiedzieć, że mi przykro, jeśli pani się tak czuła – odrzekła siostra Aibrean. – Z mojego punktu widzenia robiłyśmy wszystko, co w naszej mocy, dla pani i pani syna. Nie była pani w stanie sama go wychować, a poza tym był dzieckiem Boga, a nie pani.

Riona wyprostowała się, jakby nagle straciła zainteresowanie tą dyskusją.

– Możesz pójść i wszystko przygotować – zwróciła się do Dermota.

Uniósł kciuk i wyszedł, siostra Aibrean usłyszała trzaśnięcie drzwi.

– Zawsze hołubiła siostra świętego Eustachego, prawda? – zapytała Riona.

– Tak, owszem. I nadal jestem mu oddana. To jeden z najbardziej inspirujących świętych, choć wielu twierdzi, że jest tylko postacią mityczną. Ja wierzę, że naprawdę istniał i że historia jego męczeństwa jest prawdziwa. Wiele razy odczuwałam jego obecność. Słyszałam jego głos dodający mi otuchy.

Riona milczała chwilę, a potem wstała.

– Naturalnie wie siostra, jak umarł święty Eustachy?

– Ależ oczywiście. On i cała jego rodzina, żona i synowie. Odnalazł Chrystusa, toteż odmówił złożenia pogańskiej ofiary i z tego powodu cesarz Hadrian skazał go na śmierć.

Czarnowłosa kobieta podeszła do okna. Widziała, jak Dermot otwiera drzwi stajni dokładnie naprzeciwko.

– Proszę dalej. W jaki sposób go zabito?

– Dlaczego pani mnie o to pyta? Przecież pani sama wie? Wiele razy opowiadałam wam o tym w Świętej Małgorzacie. Pokazywałam wam nawet obrazki.

– Chciałabym usłyszeć to od siostry raz jeszcze.

– Ale czemu? Jeśli nienawidziła pani Świętej Małgorzaty i tak bardzo mną gardziła, dlaczego chce pani teraz słuchać tej historii?

– Proszę opowiedzieć – nie odpuszczała jej Riona.

W mokrej od deszczu tafli szyby widziała niewyraźnie swoje odbicie i zastanawiała się, czy tak będzie wyglądać po śmierci, kiedy stanie się duchem i z melancholią będzie patrzyła na życie, które przeminęło.

– Cesarz Hadrian kazał odlać z brązu posąg wielkiego byka – zaczęła siostra Aibrean. – Był on pusty w środku i miał w boku klapę na zawiasach. Świętego Eustachego, jego żonę i synów zmuszono, żeby weszli do środka, i zamknięto klapę. Następnie rozpalono ogień pod brzuchem byka i wszyscy uwięzieni powoli usmażyli się na śmierć.

– Dalej – zachęciła Riona. – Proszę opowiedzieć o krzykach.

– Krzyczeli, oczywiście, bo każdy by krzyczał. Ale w nozdrzach byka umieszczono specjalne trzciny i okrzyki nieszczęśników brzmiały jak ryki byka.

– Ile trwało ich konanie?  
– Według podań, trzy dni.  
– To nieprawdopodobne, nie sądzi siostra? Kto by przeżył takie przypiekanie przez trzy dni?

– Bóg ich chronił, proszę o tym nie zapominać – zauważyła siostra Aibrean.  
– A zatem Bóg przez trzy dni skazywał jego i jego rodzinę na niewiarygodne męczarnie, zanim wreszcie pozwolił im umrzeć. Tak, w to mogę uwierzyć, wzięwszy pod uwagę moje doświadczenia z Bogiem i tymi wszystkimi, którzy wierzą, że działają w Jego imieniu. Kardynałami, kanonikami i innymi gnojami, którzy mienia się klerem.

– Bardzo mi przykro to od pani słyszeć. Bez Kościoła i bez tych, którzy mu służą, na świecie zapanowałyby rozpacz i beznadzieja. Ale dlaczego chciała pani, żebym przytoczyła jeszcze raz historię świętego Eustachego?

Riona odwróciła się. Zakonnica spojrzała na nią, lecz widziała jedynie jej sylwetkę na tle okna i nie mogła dojrzeć wyrazu twarzy.

– Ponieważ dam siostrze szansę udowodnienia, że wiara siostry jest tak silna jak jego. Można chyba powiedzieć, że upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu. Siostra zostanie męczennicą tak jak święty, którego siostra ubóstwiała tyle lat, a ja zrealizuję swoją zemstę.

Zakonnica wpatrywała się w nią z przerażeniem.

– Co chcesz ze mną zrobić?

Riona odwróciła się i spojrzała przez okno. Dermot wyszedł z otwartych drzwi stajni i zamachał do niej ręką.

– Proszę ze mną. Wkrótce się siostra przekona.

Stara zakonnica przeżegnała się.

– Jezusie drogi – jęknęła.

– Otóż to – powiedziała Riona. – Sama bym tego lepiej nie ujęła.

## Rozdział 38

Katie dojechała na komendę i od razu się rozzłościła na widok Endy Blaney i Partlana McKeya z biura rzecznika Gardy, którzy czekali na nią obok dyżurki. Zignorowała ich i podeszła do siedzącego za kontuarem sierżanta.

– O Jezu – zagadnęła, potrząsając parasolką. – Co za pogoda!

– Tak, wiem – odrzekł sierżant.

Enda Blaney wstała i podeszła z grymasem na twarzy, który w jej mniemaniu był uśmiechem. Mimo to Katie miała wrażenie, że lada chwila z oczu kobiety trysną łzy.

– Dzień dobry, pani detektyw nadkomisarz! Leje jak z cebra, co? Zechce nam pani poświęcić chwilę, mam nadzieję.

– Jeśli to będzie tylko chwila. Bo mam dzisiaj rano masę rzeczy do załatwienia.

– Zdaje się, że przynosimy pani dobre wiadomości. W każdym razie lepsze.

– No więc dobrze. Przejdźmy do mojego gabinetu.

Zdjęli płaszcze i usiedli.

– No to słucham – odezwała się Katie. – Przykro mi, że musiałam tak raptownie przerwać nasze poprzednie spotkanie. Mam w tej chwili w toku dwa poważne dochodzenia i sytuacja zmienia się prawie z godziny na godzinę. Zapewne słyszeli państwo o eksplozji ładunku w Spring Lane i śmierci dwóch naszych funkcjonariuszy. To poza wszystkim innym, co mam na rozkładzie.

– Zdajemy sobie sprawę, że jest pani bardzo zajęta kobietą, pani detektyw nadkomisarz – oznajmił Partlan. Słowo „kobietą” zabrzmiało w uszach Katie tak, jakby przyrównywał ją do znękaney gospodyni domowej. Pomyślała jednak, że może jest przeczulona.

– Tak, dziękuję – odparła, a następnie otworzyła leżącą na biurku teczkę i zaczęła przerzucać papiery. – No więc jakie to dobre wiadomości dla mnie macie?

– Po naszym poprzednim spotkaniu przyjrzelśmy się bliżej skargom złożonym przeciwko pani przez Bryana Molloya i Jilleen Quaid – powiedział Partlan. – Cokolwiek się mówi o nas, śledczych z biura rzecznika, nikt nigdy nie zarzucił nam braku rzetelności.

On i jego koleżanka uśmiechnęli się do siebie.

– Przejrzelśmy analizę balistyczną pistoletu SIG Sauer, z którego rzekomo zastrzelony został Niall Duggan – dodała Enda Blaney.

– Ach tak?

– Raczej nie ma wątpliwości, że pocisk, który go zabił, wystrzelono z tej samej broni. I jest prawie pewne, że ten strzał oddał Donie Quaid. Trudno było zdjąć niewidoczne odciski palców z rękojeści, zważywszy na siatkowy wzór,

którym jest pokryta, i oczywiście na fakt, że strzelała pani z tego pistoletu, więc jedyne wyraźne odciski na spuście należały do pani. Wszystkie naboje pozostające w magazynku nosiły jednak odciski Doniego Quaida. Poza tym zweryfikowaliśmy pierwotne miejsce pochodzenia broni. Z pewnością był to posterunek Gardy w Tipperary i jak pani stwierdziła, jej wydanie podpisał zmarły komisarz Colin McManus.

Partlan uniósł arkusz papieru, ale Katie na niego nie spojrzała.

– List Doniego Quaida, w którym przyznaje się on do oddania strzałów, zbadali nasi grafolodzy i prawie na pewno jest autentyczny. Autor w unikalny sposób pisał literę „f”, przypominała pływającą rybę.

– Cóż, cieszę się że potwierdziliście to, co już wcześniej wiedziałam – oznajmiła Katie, dalej udając, że czyta.

– Ale na tym nie koniec. Jilleen Quaid w swoim zażaleniu napisała, że zanim się z panią spotkała, nigdy nie widziała pistoletu ani listu, oraz że pani i sierżant Gary Cannon zastraszyliście ją i zmusiliście, żeby zeznała inaczej. Byłoby to poważne naruszenie regulaminu z pani strony.

– Byłoby, gdybym je popełniła, ale tego nie zrobiłam.

– I to jest właśnie dobra wiadomość. Wiemy, że go pani nie popełniła. Wybraliśmy się wczoraj do więzienia przy Rathmore Road i przesłuchaliśmy Lorcana Devitta.

– Tak? – Katie uniosła głowę. Sprawa wydała jej się nagle ciekawa. Aresztowała Lorcana Devitta za udział w morderstwie i wymuszeniach, którymi kierowali syn i córka Nialla Duggana, Aengus i Ruari. Był on jednym z budzących największą trwogę gangsterów w Limerick, ale po skazaniu okazał się bardzo chętny do udzielania informacji Gardzie; robił wszystko, byleby tylko zmniejszono mu siedemnastoletni wyrok. Aengus i Ruari już nie żyli, nie miał więc powodu się ich obawiać, a ponieważ gang Dugganów się rozpadł, raczej należało wykluczyć, by któryś z pozostałych jego członków zorientował się, że to właśnie on sypie glinom.

– Lorcan powiedział nam, że jego bratanek Phelim i niektórzy koledzy Phelima z klasy terroryzowali Seana, syna Jilleen Quaid, w szkole – ciągnęła Enda Blaney. – Stało się to tak dotkliwie dla chłopaka, że aby położyć temu kres, Jilleen ujawniła Seanowi, że to Donie zastrzelił Nialla Duggana. Chciała w ten sposób pokazać Phelimowi i reszcie, że Sean pochodzi z rodziny twardzieli i lepiej, żeby mu dali spokój.

– No tak – potwierdziła Katie. – Jilleen sama mi się przyznała, że tak postąpiła. Tylko że teraz pewnie się tego wyprze, co? A jej synek zapadnie na dziecięcą amnezję, to dość prawdopodobne.

– Ale Phelim Devitt nie stracił pamięci i jego kumple z gimnazjum w Villiers także. Wszystkich zlokalizowaliśmy z wyjątkiem jednego i opowiedzieli nam

mniej więcej tę samą historię. Pewnego razu w pierwszy dzień semestru letniego Sean przyszedł do szkoły i pochwalił się, że jego wujek zastrzelił Nialla Duggana i że mama dalej ma u siebie jego pistolet. Powiedział też, że Donie dostał pistolet od Bryana Molloya i że Molloy w ten właśnie sposób pozbył się Nialla Duggana, a jednocześnie uciął najgorsze zatargi przestępcze w Limerick, więc lepiej niech tamci uważają.

– Ci chłopcy nie zeznają tego w sądzie, prawda? – zapytała Katie.

– Nie będą musieli. – Enda Blaney wyglądała teraz na zadowoloną z siebie i znacznie mniej skłoną do płaczu. – Pojechaliśmy do Jilleen Quaid i powtórzyliśmy jej to, co chłopcy ujawnili. Ostrzeżyliśmy ją, że jeśli skłamię pod przysięgą w sądzie, może zostać oskarżona, a nawet pójść za kratki. Uwierzy pani, że od razu, na miejscu wycofała skargę? „Och, chyba musiało mi się coś pokręcić”, powiedziała. „Pokićkać”, takiego słowa użyła.

– Pokićkać to nie jest najwłaściwsze określenie – skomentowała Katie. – Ale wycofała skargę? No to świetnie! A jak to się ma do Bryana Molloya? Powiedzieliście mu o tym?

– Z jego prawnikami porozmawiamy zaraz po omówieniu sprawy z panią. Wobec zaistniałych okoliczności powiedziałabym, że nie będzie mu łatwo podtrzymywać wobec pani zarzutu nękania. Jest całkiem możliwe, że sam stanie wobec zarzutów karnych. To zależy od opinii prokuratury generalnej, choć może się okazać, że dowody są niewystarczające i że nie leży to w interesie publicznym.

– Decyzja należy do nich – rzuciła Katie. – Ale to rzeczywiście dobra wiadomość. Jestem zachwycona.

– Tak pomyśleliśmy, że się pani ucieszy – wtrącił Partlan McKey. – My też się cieszymy. Uważamy, że przyczyni się to bardzo do wyjaśnienia pewnych wątpliwych praktyk w Gardzie. Zwłaszcza tych, które dotyczą przyjmowania pieniędzy i przysług w zamian za wycofywanie zarzutów karnych.

– Muszę przyznać, że kiedy się poprzednio spotkaliśmy, odczuwałam pewną wrogość wobec waszej dwójki – powiedziała Katie. – Ale oddaję wam sprawiedliwość, ogólnie rzecz biorąc, robicie dobrą robotę. Bardzo rzetelną, jak pan stwierdził.

– Reputację Gardy traktujemy bardzo poważnie – oznajmiła Enda. – Czasami poważniej niż sami jej funkcjonariusze. Nie zawsze przysparza nam to sympatii, ale w charakterystyce naszych obowiązków nie uświadczy pani słowa „sympatia”.

– To prawda – zgodziła się Katie. – Do mojej pracy też się ono chyba nie stosuje.

\* \* \*

Ledwie śledczy z biura rzecznika wyszli z gabinetu, do drzwi zapukał Tadhg



Meaney, inspektor ISPCA. Niósł dwa polistyrenowe kubki z kawą.

– Och, życie mi pan ratuje – powiedziała Katie.

– Zobaczyłem, że wchodzi pani na górę z tą parą i nie miała pani czasu na to, żeby wziąć sobie coś do picia. Przyniosłem cappuccino. Trafiłem?

– Idealnie. Nic dziwnego, że tak dobrze zajmuje się pan zwierzętami.

– Znajdzie pani pięć minut? Skończyliśmy już badanie wszystkich koni i odkryliśmy naprawdę niesamowite rzeczy.

– No pewnie. Proszę siadać. Chce pan ciastko? Mam tu gdzieś w szufladzie ciasteczka imbirowe z czekoladą. Sama nie wiem czemu, ale ostatnio się uzależniłam.

Jakbym tego doskonale nie wiedziała, pomyślała.

Tadhg Meaney położył na biurku teczkę, otworzył ją i pokazał co najmniej czterdzieści błyszczących zdjęć dwudziestu trzech martwych koni, które leżały w Dromsligo.

– Tak jak myśleliśmy, wszystkie były końmi czystej krwi. Mam tu pełną listę. Ustaliliśmy przybliżoną datę śmierci każdego, a także jakie obrażenia mogło spowodować zrzucenie ze skarpy, jakich mogły doznać wcześniej i kiedy.

Katie przyglądała się uważnie zdjęciom, jednemu po drugim. Gdyby oczy tych zwierząt nie zrobiły się mleczone i gdyby nie miały warg, które ułożyły się w grymas, gotowa byłaby uwierzyć, że niektóre z nich nadal żyły.

– Lista uwzględnia również środki chemiczne, które pozostały w ich ustrojach – oznajmił weterynarz. – U większości występowały ślady ich użycia, nie wszystkie są nielegalne, choć trudno było wykryć działanie farmakologiczne w organizmach tych zwierząt, których rozkład był najdalej posunięty. Nazywamy ten stan „brakiem efektu”. Mimo to znaleźliśmy dowody stosowania acepromazyny, którą zwykle wykorzystuje się do spowolnienia rytmu końskiego serca i która może sprawić, że koń będzie wolniej w zależności od tego, jaką dostał dawkę. Wykryliśmy również stymulant rytalin, etorfinę, która także jest środkiem pobudzającym, bardzo kontrowersyjnym, oraz raktopaminę, podawaną przeważnie świniom na fermach, żeby uzyskać obfitszą szynkę. Powiem pani, że zanim zdobyłem wykształcenie weterynaryjne, nie zdawałem sobie sprawy, ile leków zjadamy, wypijamy i przyjmujemy dzień w dzień. Aż dziw, że ludzie i zwierzęta nie są ustawicznie nawaleni do nieprzytomności. Kupuje pani kanapkę z szynką na lunch i to jest tak, jakby zjadała pani dwie kromki chleba i połowę aptecznego magazynu.

– A udało się ustalić, czy konie były martwe, kiedy spadały ze skarpy, czy jeszcze żyły?

– My jako weterynarze uważamy, że prawdopodobnie żyły. Świadczy o tym wysoki odsetek złamanych nóg. Przypuszczalnie zapędzono je na skraj urwiska, tak że skoczyły i usiłowały lądować na nogi, ale siła uderzenia oczywiście sprawiała,

że pękały im kości. Wasi kryminolodzy zgodzili się z naszą opinią, bo brali pod uwagę odległość od podnóża klifu, gdzie spoczywały ciała. Gdyby konie były martwe i po prostu zepchnięto je z krawędzi, spadłyby o wiele bliżej. Przyplływ wciągnął niektóre zwłoki do wody, a później wyrzucił znów na brzeg, więc nie znajdowały się dokładnie w tym samym miejscu, w którym pospadały, ale sporo poleciało na głazy i wcale się nie przesunęło.

– Co za ludzie! – odezwała się Katie, kręcąc głową. – Ani krzty współczucia, co?

– To nie jest najgorszy przejaw okrucieństwa wobec koni, z jakim się zetknąłem, o nie. Jednak pod względem skali największy i przed ukończeniem ostatnich analiz myśleliśmy, że najbardziej bezcelowy. To, że sprawca zrzucił te biedne stworzenia ze skarpy, zamiast odwieźć je do hyclowi, pozwoliło mu zaoszczędzić sporo gotówki, ale nie tłumaczyło, dlaczego właściciel w ogóle chciał się ich pozbyć. Właściciel albo właściciele, tego nie jesteśmy pewni, lecz pewne wskazówki świadczą o tym, że wszystkie pochodziły z jednej stajni.

– A dowiedzieliście się, dlaczego w ogóle chciano się ich pozbyć? – spytała Katie.

– Powiedzmy, że mamy pewną koncepcję. Robiąc badania na obecność leków, pobraliśmy od każdego konia próbki włosów, tak się to robi u ludzi podczas prób dopingowych, zwłaszcza jeśli istnieje podejrzenie, że przestali zażywać te środki jakiś czas wcześniej, by uniknąć wykrycia.

– I co?

– I wszystkie konie oprócz źrebiąt miały ślady użycia farby do włosów.

– Farby? Chce pan powiedzieć, że właściciele usiłowali je zamaskować albo pokazywać jako inne? Konie słupy? Podejrzewaliśmy coś takiego od samego początku, prawda?

– Istnieje kilka powodów, dla których farbują się konie – odparł Tadhg Meaney. – Takim najbardziej oczywistym jest to, że chce się zamaskować szare lub białe placki spowodowane schorzeniem lub wiekiem, by wciąż pokazywać konie na konkursach ujeżdżania. Ale oczywiście złodzieje farbują zwierzęta, żeby je zamaskować, a cyniczni trenerzy koni wyścigowych farbują swoje wierzchowce, by przedstawić je jako inne i ustawić zakłady. Czyli owszem, innymi słowy, są to słupy.

– A dlaczego pan uważa, że wszystkie pochodziły z jednej stajni? – dociekała Katie.

– Wiele rzeczy na to wskazuje. Większość znaczków wyścigowych pochodziła z tej samej odlewni, chińskiej, choć trudno w to uwierzyć. – Weterynarz zmarszczył czoło i zerknął do notesu. – Qingdao Guanglongfa Precision Mould Forging Company w Pekinie. Tańsze od większości irlandzkich znaczków, ale wysokiej jakości. Na dodatek większość zwierząt nadal miała w żołądkach

niestrawioną paszę, a poza źrebakami karmione były mieszanką Gain Racehorse i nic w tym dziwnego, bo stosują ją dziesiątki irlandzkich trenerów. Bardziej niż cokolwiek innego przekonała nas farba. U wszystkich koni włosie zostało zabarwione różnymi odcieniami tej samej farby.

– Czy istnieje specjalny rodzaj farb dla koni?

– Nie ma takiej potrzeby. Końskie włosie nie różni się wcale od ludzkich włosów. Jedyna różnica między ufarbowaniem końskich włosów i ludzkich polega na ilości zużytej farby. Dla konia potrzebne jest wiadro. Do włosia wszystkich przefarbowanych koni zastosowano Clairol.

– Chyba powinnam powiedzieć o tym detektywowi komisarzowi O'Rourke'owi – powiedziała Katie. – Detektywowi Dooleyowi także. Poczekaj pan chwilę?

Zadzwoiła do O'Rourke'a, ale Dooleya nie było na stanowisku, więc skontaktowała się z nim przez telefon komórkowy. Powiedział, że jest w Mayfield, przesłuchuje świadka i dojedzie na Anglesea najwcześniej za pół godziny.

O'Rourke wszedł do gabinetu w szarzielonym swetrze, za ciasnym na niego o pół rozmiaru. Katie poprosiła weterynarza, żeby zrelacjonował mu wyniki autopsji koni z Nohaval Cove, a potem spytała:

– I co pan sądzi, Francis?

– Wygląda na to, że odchodziły jakieś ustawki na wyścigach – odparł O'Rourke. – Istnieje teraz rynek zakładów wymiennych, więc można zgarnąć fortunę. Można obstawić zwycięstwo konia albo że przyjdzie ostatni, a jeśli się podpicuje ostatniego marudę, żeby wyglądał jak najlepszy biegacz w stadninie, to ho, ho! Można zainkasować niezły stosik brudnych euro. Z tego, co pan powiedział, wynika, że jest jakiś trener, który odwałł to na dużą skalę, ale zachciało mu się pozbyć dowodów. Niestety, popełnił błąd i wynajął do tej roboty Paddy'ego Fearona.

– Czy to możliwe, żeby ten sam trener podłożył bombę w przyczepie Fearona? – spytała Katie. – Jeśli w grę naprawdę wchodzi tak duże pieniądze, a on się dowiedział, że chcemy zgarnąć Paddy'ego Fearona i go przesłuchać...

– Co do tego byłbym ostrożny – odrzekł detektyw komisarz O'Rourke. – Znam co najmniej pięciu Romów, którzy bardzo się ucieszyli na wieść, że Paddy Fearon wyruszył na spotkanie ze stwórcą. Jeden zapytał mnie, kto tę sprawę załatwił, bo chciał mu uścisnąć dłoń za to, że oszczędził mu fatygi. Jest masa innych szemranych gości, którym Fearon założył za skórę, nie tylko Romowie. Kiedyś przy okazji jakiegoś narkotykowego dealu naraził się Lochianowi ó Bronowi, a jeśli ktoś dba o swoją integralność fizyczną, to nie powinien wkurzać prowokatorów.

– Tak czy owak, musimy się szybko dowiedzieć, kto jest tym trenerem – powiedziała Katie. – Jeżeli używał clairol wiadrami, musiał kupować nietypowo

duże ilości tego środka, więc można zacząć szukać hurtowych dostawców clairolu i tych, którzy sprzedają go online. Poproszę nadkomisarza Pearse'a, żeby jego funkcjonariusze zaczęli rozpytywać we wszystkich sklepach w Cork, w których można nabyć clairol, i u fryzjerów również. Jednocześnie musimy się jakoś dyskretnie wmieszać do kręgu amatorów zakładów. Można cichcem pogadać z tym reporterem z „Racing Post”, co? Jak on się nazywa? Peter Driscoll. I z Declanem O'Donoghue z „Sun”. Nie mówcie mi, że któryś czegoś nie zwęszył i że nie ma przynajmniej wyobrażenia, kto mógłby robić takie przekręty.

– Charlie O'Reilly z Ennisbrook Stud to mój stary kumpel – odezwał się detektyw komisarz O'Rourke. – Od czasu do czasu gramy razem w golfa. Zna chyba każdego, kto jest kimś w światku wyścigów. Ale oni bardzo ze sobą trzymają. Jeden dba o drugiego. Nie będzie łatwo wydobyć od któregoś bezpośrednio oskarżenie.

– Mimo to spróbujmy – rzuciła Katie. – A tymczasem dziękuję panu, Tadhg. Wykonał pan fantastyczną robotę. Co zrobimy ze zwłokami tych koni? Nie chcę, żeby je kremowano, dopóki nie zakończymy śledztwa.

– Mogę załatwić, żeby na razie zmagazynowano je w ciężarówkach chłodniach – odparł weterynarz. – To znaczy, jeśli Garda pokryje koszty.

– Nie ma problemu, podpiszę to – powiedziała Katie. – Powodzenia w takim razie.

Tadhg Meaney zebrał zdjęcia, podał rękę Katie i wyszedł. Detektyw komisarz O'Rourke został.

– Doszły mnie słuchy, że strzelano do pani wczoraj wieczorem.

– Tak, ale jak pan widzi, niecelnie.

– Pani wybaczy, ale mnie to nie bawi. Naprawdę wygląda, że jest ktoś, kto chce panią dopaść. W piątek będzie odprawiony potrójny pogrzeb, Horgana i tych dwóch młodych funkcjonariuszy, którzy zginęli od bomby. Nie chcemy, żeby pogrzeb był poczwórny, na litość boską.

– Francis, dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy stacjonuje pod moim domem przez całą dobę i pozostaną tam tak długo, aż będziemy mieli pewność, że zagrożenie dla mnie minęło.

– Musi pani być czujna na wszystkie strony. Następnym razem strzał może paść w innym miejscu, nie w pani domu. Tamci mogą panią podejść, kiedy będzie pani na zakupach, w kawiarni albo gdziekolwiek.

Katie podeszła i poklepała go po ramieniu.

– Dziękuję, Francis. Dziękuję za troskę, proszę mi wierzyć. Ale potrafię o siebie zadbać. Naprawdę. Właściwie to moja praca polega na tym, żeby troszczyć się o pana.

## Rozdział 39

Riona przeprowadziła siostrę Aibrean przez dziedziniec stadniny, deszcz dudnił o duży czarny parasol, który trzymała wysoko nad ich głowami. Zakonnica wahała się przed stawianiem kolejnych kroków, lecz Riona trzymała rękę na jej plecach i popychała ją do przodu.

– Nie powinna pani robić czegoś, czego będzie pani żałowała, kiedy przyjdzie zdać rachunek przed świętym Piotrem – powiedziała siostra Aibrean.

– A ty i twoje siostry powinnyście być się nad tym zastanowić, kiedy prowadziłyście Świętą Małgorzatę – odcięła się Riona.

– Nie wiedziałyśmy, że czuła się pani wtedy tak źle traktowana. Dlaczego nic pani nie mówiła?

– Bo ilekroć któraś z nas chciała się poskarżyć, dostawała z całej siły w twarz albo musiała iść spać bez kolacji, oto dlaczego.

Dotarły do drzwi stajni. U góry i na dole zamknięto je na skobel, lecz były lekko uchylone; Riona podeszła i pchnęła je ramieniem, ale nie ustąpiły.

– Czy nie ma sposobu, żebym mogła to pani wynagrodzić? – odezwała się zakonnica. – Jestem już starą kobietą. Nie tą samą co czterdzieści lat temu. Wiem, że nigdy nie byłam doskonała. Nigdy nie udawałam, że taka jestem. Ale jeżeli tak bardzo cię skrzywdziłam, żałuję z głębi serca, wierz mi. Zaraz po powrocie do domu pójdę do kościoła, wyznam wszystko i będę błagała Pana o przebaczenie.

– Pan może ci przebaczyć, siostró Aibrean, ale ja nie przebaczę, i to jest różnica. Tak czy siak, nigdy więcej nie wrócisz do domu i w kościele też już nogi nie postawisz.

Dermot musiał usłyszeć tę wymianę zdań, bo podszedł do drzwi i otworzył je.

– Wszystko gotowe do rozpalenia. – Uśmiechnął się i pokazał Rionie uniesiony kciuk.

Siostra Aibrean odchyliła się w bok, żeby zobaczyć, co znajduje się za drzwiami. Stajnię jasno oświetlały dwie lampy jarzeniowe pod sklepieniem; sprawiały, że wnętrze wydawało się nienaturalne, jakby spłaszczone, przypominało scenę naszykowaną do jasełek. Na ścianie z cegły wisiało metalowe karmidło do połowy napełnione zmierzwionym sianem, posadzka zaś usłana była słomą. Na bocznych ścianach wisiało siodło treningowe oraz inne elementy sprzętu.

Uwagę zakonnicy przykuło jednak coś w rodzaju kotła z błyszczącej stali ustawionego pośrodku pomieszczenia. Wyglądał jak metalowa trumna na czterech nogach z kołami. Składająca się z dwóch połówek na zawiasach kłapa była podniesiona, w każdej części znajdowało się owalne okienko ze szkła; obydwa były otwarte i opuszczone. Na podłodze obok stał duży czerwony zbiornik propanu

w kształcie walca, podłączony do stalowego kotła pomarańczowym węzłem.

– Chodź zobaczyć – powiedziała Riona i pchnęła siostrę Aibrean. – Brązowy byk to, niestety, nie jest. W dzisiejszych czasach nie ma w wypożyczalni brązowych byków.

Zakonnica zbliżyła się do metalowej trumny i patrzyła na nią z coraz większą trwogą. W środku była długa prostokątna blacha niedawno wypolerowana papierem ściernym tak, że na powierzchni utworzyły się lśniące półokręgi.

– Co to jest? – zapytała szeptem. – Do czego to służy?

Wiedziała doskonale, co to jest. Wiele razy widziała rozmaite odmiany tego urządzenia na weselach i kościelnych piknikach. Pytała, bo miała nadzieję usłyszeć, że Dermot ustawił je z zupełnie odmiennym zamysłem.

– To jest piekarnik do świń – odparła Riona. – Wypożyczyłam go z O'Malley's Barbecues w Macroom. Niektórzy powiadają, że w takim piekarniku z blachą można upiec wieprzka o wiele lepiej niż na rożnie, równiej, mięso wychodzi bardziej chrupiące. Ale najważniejsze jest to, że można upiec o wiele większą świnię niż na większości rożnów. Dziewięćdziesiąt kilo. Ile ważysz, siostrzyczko Aibrean? Dziewięćdziesiąt kilo chyba nie. Połowę tego, bym powiedziała.

Zakonnica odwróciła się do niej twarzą.

– Jeśli pani zamiarem było przestraszenie mnie, to dopięła pani swego. Przeraziła mnie pani, i to bardzo. Więc niech pani poprosi tego swojego Dermota, żeby odwiózł mnie do domu i o wszystkim zapomnimy! Mogłabym złożyć na was zawiadomienie na policję, ale tego nie zrobię.

– Ty wciąż nie kapujesz, co? – rzuciła Riona. – Nigdzie stąd nie odjedziesz. Będziesz cierpieła tak, jak ja cierpiałam, i możesz tylko dziękować temu swojemu Bogu, że twoje cierpienie nie potrwa ani w ułamku tak długo jak moje.

Siostra Aibrean wpatrywała się w nią, jej warga drżała. Chciała coś odpowiedzieć, ale była już tak przerażona, że nie zdołała wydobyć słowa. Powoli opadła na kolana i musiała się złapać krawędzi piekarnika. Uklękła na pokrytej słomą posadzce stajni, z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Złożyła ręce do modlitwy.

– Gdybym była tobą, poprosiłabym o wskazówki twojego drogiego świętego Eustachego – poradziła jej Riona. – Jeśli ktoś wie, co cię czeka, to właśnie on. To znaczy jeżeli jest w niebie, a na to nie zasługuje. Co za mężczyzna pozwala, by żona i dzieci zostali żywcem upieczeni z powodu jego wiary?!

Spojrzała na Dermota i skinęła głową, a on nacisnął i przekręcił dwie gałki sterujące przepływem gazu, i szyny palników biegnące z obu stron piekarnika ożyły dwoma szeregami małych błękitnych płomyków. Siostra Aibrean momentalnie poczuła żar bijący z otwartego wnętrza.

– Rozbierzesz się czy ja mam to zrobić? – spytała Riona.

Zakonnica otworzyła oczy.

– Co? Oczekujesz, że się rozbiore?

– No, dajże spokój, dziewczyno – odezwał się Dermot. – Widziałaś ty kiedyś wieprzka, co był upieczony w habicie zakonnicy? „Ja poproszę ciut tego chrupiącego i plasterek ze szkaplerzyka”.

Siostra Aibrean usiłowała stanąć na nogi, ale była za słaba i kiedy wyciągnęła rękę, żeby się oprzeć o piekarnik, był już za gorący, żeby go dotknąć. Wydała przedziwny jęk rozpaczony i rozejrzała się dziko po stajni, jakby liczyła na jakiś cud, który ją ocali – na przykład na to, że piekarnik w czarodziejski sposób zamieni się w nieszkodliwy drewniany stół albo że ze ściany wychynie anioł z ognistym mieczem, zetnie głowy Rionie i Dermotowi, a ją uniesie w ramionach.

Riona zaczynała się niecierpliwić. Stanęła za zakonnice i zaczęła z niej ściągać płaszcz; zdjęła jeden rękaw i zabrała się za drugi. Siostra szarpnęła się i stęknęła, gdy jej wąskie barki wygięły się w tył. Rionie nie brakowało siły, a gniew jeszcze ją wzmacniał. Zrywała właśnie drugi rękaw, kiedy podszedł Dermot i chwycił siostrę Aibrean za barki, żeby nie mogła się bronić ani rzucić na podłogę.

– Nie możesz! Nie możesz! Nie wolno! – wysapała zakonnica, lecz Riona nie zwracała na nią uwagi, ściągnęła jej chustę i kaptur, odsłaniając krótkie pierzaste włosy z łysymi plackami. Potem zerwała jej przez głowę długi czarny szkaplerz, odrzuciła w bok i sięgnęła ręką do wełnianego pasa.

– Ratunku! Ratunku! Boże w niebiesiech, czy nikt mnie nie wyratuje?

– I tu masz absolutną rację, siostrzyczko – powiedział Dermot. – Nikt cię nie wyratuje. W tej chwili jesteśmy tutaj tylko my i konie, a koniom to rybka.

Riona ściągnęła z niej habit, niemal ją przy tym dusząc. Potem Dermot przytrzymał zakonnice za kostki, żeby nie wierzgała, Riona zaś przycisnęła ją plecami do podłogi i zdarła z niej halkę.

– Nie! O Boże, nie! – wołała zakonnica, szlochając, kiedy Riona ciągnęła w dół jej duże białe majtki. Siostra nie mogła jednak opuścić rąk i zakryć się, bo Dermot trzymał jej nadgarstki. – Żaden mężczyzna nie widział mnie nigdy rozebranej, nigdy! Riono, proszę! Błagam cię jako kobieta!

– Wrzuć na luz, co, skarbie? – Dermot spojrzał na pomarszczoną ziemistobrązową skórę usianą pieprzykami i pajęczynami czerwonych żyłek. – Nie wlaźłbym na ciebie, nawet gdybym nie potrzebował drabiny.

Riona podeszła do uźd, lejców i strzemion rozwieszonych na ścianie i przyniosła dwa kawałki niebieskiego nylonowego sznura. Z ponurą miną związała w kostkach nogi siostry, a potem jej nadgarstki. Skrępowwała je tak ciasno, że aż musiała przy tym zaciskać zęby.

– Błagam, błagam, błagam – powtarzała zakonnica. – Proszę, nie rób tego. Przemyśl to jeszcze raz. Będę się za ciebie modliła, obiecuję. Będę się modliła o twoje przebaczenie sześćdziesiąt minut każdej godziny, gdy nie będę spała. Nie

myśl o tym, co robisz mnie, myśl, co czynisz swojej nieśmiertelnej duszy. Ja będę się palić przez kilka strasznych minut, tak, ale ty będziesz płonąć w ogniu piekielnym przez wieki.

Riona nachyliła się nad nią i bez zmruczenia oka spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie wierzę w piekło, siostrzo, nie wierzę w nie tak, jak nie wierzę w niebo. Jak mogłabym wierzyć po tym, co ty i twoje siostrzyczki mi robiłyście? Byłyście żywymi dowodami na to, że miłosierny Bóg nie istnieje. – Wyprostowała się i zwróciła do Dermota: – No, załatwmy to już. Każda sekunda życia tej wiedźmy to sekunda za wiele.

Wcisnął dłonie pod pachy siostry Aibrean, a Riona chwyciła ją w kostkach i razem dźwignęli ją na wysokość otwartego piekarnika. Zakonnica odrzuciła głowę w tył. Gapiła się w sufit i trzęsła w niepohamowany sposób, jakby znalazła się nago wśród arktycznego mrozu.

– Gotowy? – spytała Riona.

– Gotowy.

Zakołysali lekko zakonnica, a potem rzucili ją na rozgrzaną blachę, aż zadźwięczał metal i stara kobieta się potoczyła. Goła skóra zaskwierczała i pękła; siostra Aibrean drgnęła konwulsyjnie. Wyrzuciła ręce ku górze, mimo że jej nadgarstki były ciasno spętane razem. Otworzyła szeroko usta, odsłaniając brązowe szczerbate zęby, lecz szok był zbyt silny, by zdołała krzyknąć. Wpatrywała się z wściekłością w Rionę, nie mrużąc oczu i podrygując. Jej wzrok mówił: „Jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś to zrobić drugiemu człowiekowi?”.

Riona w milczeniu patrzyła na nią przez kilka sekund. Sama się dziwiła, że może być tak wyprana z emocji, ale nie odczuwała litości dla tej kobiety. Równie dobrze mogła obserwować karalucha płasającego po rozpalonej płycie kuchennej. To, co zrobiła jej siostra Aibrean i pozostałe ze Świętej Siódemki, pozbawiło ją wszelkiego współczucia. Myślała, że trochę by go pozostało, gdyby była w stanie pojąć, dlaczego zakonnice w klasztorze Bon Sauveur nie okazały jej ani odrobiny serca i dlaczego odebrały jej Sorleya – ale nie potrafiła tego zrozumieć. Co to za religia, skoro nakazuje traktować ciężarną nastolatkę jak kurwę, dla której nie ma przebaczenia, i odebrać jej ubóstwiane dziecko?

– Aaaaaachhhhhhhhhhh – wydyszała siostra Aibrean w cichym, nieartykułowanym wyrazie cierpienia. Tam gdzie jej ramiona, pośladki i uda dotykały blachy, skóra przypalała się na krwawy szkarłatny kolor i pokrywała pęcherzami, które co jakiś czas pękały od żaru.

Dermot pociągnął nosem i zacisnął na nim palce.

– Panie Jezu, latarnio Boża, ale jedzie. – Wciągnął powietrze raz jeszcze i dodał: – A najgorsze, że cuchnie prawie jak coś do żarcia. Porzygać się idzie.

Zakonnica uniosła głowę i ostatni raz, wierzgając, próbowała się oderwać od rozgrzanej blachy, lecz był to oczywiście beznadziejny wysiłek. Metal brzęknął,



gdy opadła na niego głowa, a włosy zaczęły się skręcać i kurczyć.

– Aaaaaahhhhhhhhhh – wyszeptała. Nie starczyło jej tchu nawet na to, by po raz ostatni wezwać świętego Eustachego.

– Zamknij – poleciła Riona i Dermot uniósł obie kłapy piekarnika i spiął je zaciskami.

Siostrę Aibrean nadal było widać przez owalne okienka, które zaprojektowano tak, by gospodarz przyjęcia i jego goście mogli patrzeć na stopniowo kruszejącego wieprzka, nie musząc otwierać piekarnika i marnować przy tym ciepła.

Riona podeszła bliżej i osłoniła ręką oczy, żeby wyraźniej widzieć uwięzioną w środku kobietę.

– Smaż się, okrutnico – powiedziała do siebie.

Po zamknięciu pokrywy temperatura wewnątrz piekarnika wzrosła natychmiast i zakonnica nie była już przypalana wyłącznie przez metalową tacę, lecz pieczona. Musiała wciągnąć do płuc dwa pełne hausty rozpalonego powietrza, bo wydała przeciągły, okropny wrzask. Rąbnęła kłykciami dłoni w okienka i kopnęła piętami w koniec piekarnika, a jej wrzask trwał i trwał, Riona myślała, że nigdy się nie skończy.

Wreszcie jednak załamał się i zamarł i wtedy siostra Aibrean zdołała dźwignąć głowę tak, że Riona zobaczyła jej twarz o cynobrowej barwie niczym maska demona. Gałki oczne wywróciły się tak, że widać było jedynie białka i kobieta już z pewnością nic nie widziała. A mimo to zdawało się, że wpatruje się w Rionę z desperacją i bezgraniczną nienawiścią.

– Zerknij no na ten grymas – zwróciła się Riona do swojego pomagiera. – Oto jak się kona w duchu przebaczenia. Istny Jezus! Tylko że Jezus wiedział, że jeszcze przed weekendem wróci do życia i zdąży na kolację, a ta nie ma na to żadnych widoków.

– Oj, twarda z ciebie babka, nie ma co – rzucił Dermot z uśmiechem, bo za nic nie chciałby jej urazić.

Po jakichś trzech minutach odgłosy stukania i kopania dochodzące z wnętrza piekarnika stopniowo słabły. Ostatnich kilka było ledwie słyszalnych i Riona domyśliła się, że przypuszczalnie spowodowały je zaciskające się od żaru ścięgna siostry, a nie jej błagania o litość. Pięć minut później zobaczyła, że zakonnica leży sztywno i całkowicie bez ruchu, a jej skóra robi się pomarańczowa. Usłyszała, że na metalową płytę pod piekarnikiem coś kapnęło, raz, potem drugi. Z ciała siostry Aibrean wytapiał się tłuszcz.

– Było nam przynieść bułeczki – zażartował Dermot.

Całe wnętrze stajni wypełniała ostra woń spalonego mięsa i Ronie zbierało się na wymioty, ślina napłynęła jej do ust. Odbiło jej się mocno.

– Muszę stąd wyjść – powiedziała.

– Co chcesz zrobić? Ona musiała już się spalić na brązowy chlebek.  
Wyłączyć gaz?

– Nie, zostaw ją, aż się całkiem spali. Skremujemy ją jak wiedźmę, bo nią jest.

Wyszli ze stajni, zamknęli za sobą drzwi i znaleźli się na deszczu. Riona uniosła parasol i stali chwilę, wdychając świeże powietrze pachnące deszczem, torfem i końskim nawozem.

– Kto następny? – zapytał Dermot.

– Jeszcze nie jestem pewna. Albo siostra Virginia, albo siostra Nessa. Zależy, którą Andy znajdzie pierwszą.

Zastanawiał się przez chwilę, spoglądając na zasłony deszczu padającego na dziedziniec stajni.

– Jak myślisz, powiedziała prawdę? – spytał wreszcie.

– To znaczy?

– Myślisz, że pójdziemy za to do piekła, ty i ja?

– Wierzysz w piekło?

Wzruszył ramionami.

– No, nie wiem. Byłem w barze Billy’ego McReady’ego w sobotę wieczorem i to jest prawie jak piekło, tylko że tam jest pewnie dużo goręcej, znaczy u Billy’ego. Ale Carraig Mor... to było piekło. To było piekło na mur. Gówniane żarcie i wszyscy w tej zasranej norze byli narąbani.

– A ty nie?

– Jasne, że nie! Jeden jedyny nie byłem narąbany! Łącznie z lekarzami. Gorzej byli narąbani niż pacjenci. Ale mnie wypuścili, no nie, jak sobie uświadomili pomyłkę.

– Musieli cię wypuścić, Dermot, boś odsiedział swoje.

Wlepił w nią wzrok. Skóra na jego łysej głowie pulsowała kroplami deszczu jak skóra siostry Aibrean pęcherzami.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że jestem stuknięty, co? – zapytał niepewnie.

– Nigdy bym tak nie pomyślała. Może i mam wad od groma, ale głupota do nich nie należy.

## Rozdział 40

Katie wychodziła właśnie z gabinetu nadkomisarza Pearse'a, kiedy dogonił ją detektyw Dooley.

– Mam coś! – oznajmił z zaczerwienioną twarzą, unosząc iPhone'a.

– Chodzi o Roisin Begley? No to fantastycznie. Jej ojciec ma tu być za dwadzieścia minut. Co pan ma?

Nacisnęła przycisk windy i drzwi się otworzyły.

– Roisin miała licznik czasowy na Facebooku i Twitterze, a dostawcą jej usług telefonicznych był Meteor – powiedział Dooley. – Przejrzałem wszystkie jej świeże wpisy i nic nie wskazywało, że była załamana po tym, jak ją wyciągnęliśmy od Gerrety'ego.

Dotarli do gabinetu Katie. Zeszła tylko na dół, żeby porozmawiać z nadkomisarzem Pearse'em o ochronie dla siebie i Johna i ustaleniach w sprawie pogrzebów detektywa Horgana oraz dwóch funkcjonariuszy, którzy ponieśli śmierć w wybuchu przyczepy Paddy'ego Fearona. Nie było jej niespełna dziesięć minut, a na biurku zostawiono nowy stos teczek.

– O nie – westchnęła, biorąc do ręki bladozieloną teczkę z wierzchu, która zawierała wydany przez Radę Hrabstwa Cork najnowszy raport o relacjach społecznych. – Chyba powinnam sobie zmienić nazwę stanowiska na Główny Papieropsycholog. No, ale niech pan mówi, Robercie.

– Roisin wysłała do znajomych wiadomości, w których pisała, że ma straszną nerwówkę w związku z zeznawaniem w sądzie przeciwko Gerrety'emu. Jednocześnie mówiła, że jest zdeterminowana, by to zrobić, bo facet zasługuje na karę za to, co zrobił jej i wszystkim innym dziewczętom, które stręczył. Wiedziała, że będzie miała możliwość składania zeznań za pośrednictwem kamer, przez co nie przyjdzie jej stawać twarzą w twarz z Gerretym. Dzięki temu denerwowała się trochę mniej.

– Nie mówiła, że jest załamana i że myśli o odebraniu sobie życia? Nie logowała się na strony samobójców?

Dooley pokręcił głową.

– Wprost przeciwnie, powiedziałbym że patrzyła w przyszłość z prawdziwym optymizmem. Mówiła, że myśli o podjęciu nauki gry na gitarze i o tym, by zostać piosenkarką. Była wielką fanką Sinéad O'Connor i chciała być tak sławna jak ona. Przyszli samobójcy raczej takich rzeczy nie mówią, prawda?

– No, nie wiem – odparła Katie. – Sinéad O'Connor potrafi być czasem ciężko zdolowana. *Nothing Compares to You*, na przykład.

– Proszę posłuchać – ciągnął Dooley. – Ostatnią wiadomość tekstową Roisin odebrała od dziewczyny, która pracowała w Cork Fantasy Girls. To było

o dwudziestej pierwszej czterdzieści siedem tego wieczoru, kiedy się utopiła. Dziewczyna ma na imię Abisola. Jest Nigeryjką i wieczorem można ją przeważnie znaleźć w Bodega albo w Havana Brown's. Sam ją poznałem, kiedy pierwszy raz poszedłem szukać Roisin; pomyślałem, że niesamowita z niej laska, a do tego miła. Abisola napisała, żeby spotkały się w Havana Brown's o jedenastej, bo ma dla niej fantastyczną wiadomość.

– Ale nie powiedziała Roisin, co to za fantastyczna wiadomość?

– Nie w esemesie. Wybrałem się wczoraj wieczorem do Havana Brown's. Abisoli tam nie było, ale dowiedziałem się, gdzie mieszka. Byłem właśnie u niej rano, kiedy pani do mnie zadzwoniła. I powiem pani, że zaraz po tym, jak zwlecze się z wyrka, to już nie wygląda tak oszalamiająco. Raczej jak brudna skarpetka, którą ktoś zostawił po praniu w wodzie. Nie dowiedziała się jeszcze o śmierci Roisin, a ja jej tego nie ujawniłem, żeby się przede mną nie zamknęła. Powiedziała, że Dovydas Karosas się do niej odezwał, kazał jej się spotkać z Roisin i przekazać wiadomość od Michaela Gerrety'ego. Że niby Gerrety'emu przykro z powodu wszystkiego, co zaszło, i że nadal jej wisi sześć i pół tysiąca euro za ostatni tydzień robienia masażu, w cudzysłowie oczywiście. Jeśli Abisola załatwi, żeby Roisin przyszła o jedenastej do klubu, Dovydas tam będzie i przekaże jej szmal.

– I co? Przyszła?

– No wie pani, Abisola obiecała jej fantastyczną wiadomość. Poza tym Roisin mieszkała w domu z ojcem, który uważał ją za szmatę. Pewnie nabrała znów troszkę ochoty na klubowe szaleństwa. Parę godzin swobody i popijania drinków. A kiedy się już spotkały i Abisola oznajmiła jej, że Dovydas da jej tę całą kasę, naprawdę się ucieszyła.

– Czy padła jakakolwiek sugestia ze strony Karosasa, że otrzyma pieniądze tylko pod warunkiem, że nie będzie zeznawała przeciwko Gerrety'emu?

– Abisola w każdym razie nic takiego nie usłyszała. Ale Roisin oczywiście chciała dostać tę kasę. Czowała w końcu, że na nią zapracowała, a jest siedemnastoletnią dziewczyną. Jakiej siedemnastolatki nie skusiłoby sześć i pół tysiąca euro?

– Czy ta Abisola widziała, jak Dovydas wręcza Roisin pieniądze?

– Nie. I właśnie w tym rzecz. W ogóle nie zobaczyła Dovydasa. Roisin wymknęła się cichcem z domu około dziesiątej i załatwiła sobie, żeby kumpel z Henchy's Bar podwiózł ją do centrum, więc stawiała się wcześniej. Zdażyły z Abisolą obalić razem parę drinków i wymienić się plotkami, a Abisola pstryknęła kilka selfie.

Dooley stuknął szybko w iPhone'a i podał go Katie, żeby sama zobaczyła. Na pierwszym zdjęciu dziewczyny obejmowały się i śmiały. Roisin była w białym sweterku z wycięciem w serek, krótkiej szarej spódnicy i czarnych rajstopach. Abisola miała włosy zaplecione w warkoczyki, lśniąca turkusową bluzkę i czarne

legginsy, nad którymi było widać pas gołego ciała.

– To jest ubranie, w którym Roisin wyciągnięto z rzeki – zauważyła Katie.

– Zgadza się – potwierdził detektyw Dooley. Przewijał jedno po drugim selfie. – Ale proszę spojrzeć na to, na to i na to. Nie widać tego na wszystkich zdjęciach, ale niech pani zerknie na jej prawy nadgarstek.

Katie uniosła iPhone'a i zobaczyła, że Roisin nosi połyskliwą bransoletkę, która wygląda jak pęk płatków kwiatowych. Każdy składał się z dziesiątków drobniutkich opalizujących paciorków, a pręciki kwiatków były z kryształów.

– Miała tylko kolczyki, kiedy wydobyto ciało – powiedziała Katie. – Co się stało z bransoletką, chciałabym wiedzieć. To tania biżuteria, za dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia pięć euro, więc nie sądzę, żeby komuś przyszło do głowy ją kraść.

– Każę zrobić parę zdjęć i puszczyć je w obieg – oznajmił detektyw Dooley. – W każdym razie pięć po jedenastej do klubu weszła jakaś dziewczyna i przekazała Roisin, że ktoś na nią czeka na zewnątrz.

– Powiedziała „ktoś”? Nie wymieniła Dovydas z imienia?

– Nie. I jak już mówiłem, Abisola również go nie widziała. Roisin wzięła kurtkę i torebkę i wyszła z tamtą dziewczyną. I to był ostatni raz, kiedy Abisola ją widziała. Zapytała mnie dzisiaj, jak się miewa Roisin, a ja odparłem „super”. Ta dziewczyna nie jest z tych, co czytają gazety i oglądają wiadomości w telewizji, przez większość czasu jest półprzytomna, bo fruwa na dopalaczu. Nawet sobie nie zdaje sprawy, że jestem z Gardy, i nie zastanawia się, dlaczego zawsze ją tak wypytuję. Myśli, że jestem didżejem z klubu D'Ville, dyskoteki dla małaolatów. Moje marzenie!

– Znalazł pan kogoś, kto widział, co się działo z Roisin po tym, jak wyszła z klubu?

– Nie. Ale poleciłem już przejrzeć zapis z monitoringu z tego wieczoru, a kierownik podał mi adres bramkarza, który miał wtedy dyżur na zewnątrz.

– Więc powodzenia. Zdaje mi się, że Dovydas dołożył wielu starań, żeby nie widziano go z Roisin. Idę o zakład, że ma już gotowe stuprocentowe alibi. Na razie wygląda na to, że jedynym świadkiem wydarzeń jest ta Abisola, a z tego, co pan o niej mówił, nie wynika, żeby była wiarygodna.

– Może i tak – zgodził się Dooley. – Ale mam co do tej sprawy mocne przeczucia. Ta dziewczyna jest przeważnie ululana do półprzytomności, ale nie jest kłamczuchą. Te selfie potwierdzają jej zeznania, prawda? Jest na nich data i godzina.

Katie oparła się o krzesło i stuknęła długopisem o biurko.

– Racja. I wie pan co? Myślę, że to jest powód, by przesunąć spotkanie z Jimem Begleyem do czasu, aż obejrzy pan zapis z monitoringu i pomówi z bramkarzem. Jest całkiem możliwe, że Begley zauważył, że córka wychodzi

z domu, i pojechał za nią do Havana Brown's.

– Begley? Ale jak on mógłby wysłać tę dziewczynę, żeby przekazała Roisin, że ktoś czeka na nią na zewnątrz?

– Nie wiem, ale coś takiego da się chyba załatwić. W końcu ta dziewczyna powiedziała tylko, że „ktoś” ją przysyła. A nawet jeśli tym kimś był Dovydas Karosas, Begley mógł poczekać, aż Karosas da jej pieniądze i odejdzie, i wtedy ją capnąć. Może nawet nie musiał jej łapać, może tylko powiedział: „Martwiłem się o ciebie, przyjechałem tutaj, a teraz odwożę cię do domu”. A zamiast do domu zafundował jej wycieczkę na Kennedy Quay.

– No tak, mogło się i tak zdarzyć – przyznał Dooley.

– Wiem, co pan myśli. Myśli pan sobie, że detektyw nadkomisarz Maguire zawsze powtarza, żeby nie teoretyzować, a teraz wyskakuje z fantastycznym pomysłem, że jednak Jim Begley naprawdę ponosi winę za utopienie córki. I że mimo swojej świętoszkowatości być może zgarnął do kieszeni sześć i pół tysiąca euro, które zarobiła na prostytucji.

– Szczerze mówiąc, nie brałem pod uwagę, że mógł sobie wziąć tę kasę.

– Ale to nie jest teoretyzowanie, Robercie – ciągnęła Katie. – Ja po prostu pilnuję, żebyśmy nie przeoczyli najdrobniejszej ewentualności. Mamy do czynienia z Michaelem Gerretym, najcwańszym zbirą w Cork, więc sprawę trzeba badać logicznie i po kolei, zwłaszcza w świetle najnowszych informacji uzyskanych od Abisoli. Nie wolno narazić śledztwa, traktując jakąś możliwość po łebkach. Przypuśćmy, że aresztujemy Michaela Gerrety'ego, a on mówi, że nie było żadnych sześciu i pół tysiąca euro, że Dovydas łże? Przypuśćmy, że aresztujemy Dovydas Karosasa, a później dowiadujemy się, że Jim Begley naprawdę utopił córkę? Albo na odwrót? Albo że nie zrobił tego żaden z nich, tylko ktoś ją napadł, kiedy wracała późno do domu z gotówką? Albo że za dużo wypła z Abisolą i przypadkiem wpadła do rzeki?

– A więc odwoła pani przesłuchanie Jima Begleya?

– Przesunę je, owszem. Pan tymczasem może iść zobaczyć, jak im idzie z tym nagraniem z monitoringu, i pogadać z bramkarzem, w ten sposób zrobimy jakiś postęp.

– No to się zbieram, pani nadkomisarz. Do zobaczenia później.

\* \* \*

Dooley ruszył do drzwi, lecz musiał wykonać mały taniec, żeby uniknąć zderzenia z detektywem Brennanem, który właśnie wchodził.

– Zostań chwilę, ty też powinienes to usłyszeć – powiedział Brennan. – Ktoś rozpoznał tego brzydkiego draba, który wrzucił do fontanny zakonnice.

– No, to już coś – przyznała Katie. – Co to za jeden?

– Nazywa się Dermot Gully i był pacjentem w psychiatryku w Carraig Mor.

Zidentyfikowała go kobieta, która pracowała tam kiedyś jako pielęgniarka. Nie zobaczyła zdjęcia w „Echu”, gdy się pierwszy raz ukazało, bo nigdy tej gazety nie czyta, ale czyta ją jej mąż i zauważyła je dzisiaj rano, kiedy zmieła gazetę, żeby rozpaść ogień w kuchni.

– Na co był leczony ten Dermot Gully?

– Chwila, mam to zapisane. „Zaburzenia osobowości o charakterze antyspołecznym”, tak mi powiedziała. Znaczy to podobno tyle, że gość nie miał krzty sumienia w związku z krzywdą, jaką wyrządził innym, a na dokładkę przejmował się konsekwencjami tyle co kura majtkami. Pielęgniarka nie pamięta dokładnie, kiedy po raz pierwszy przyjęto go do Carraig Mor, ale wie, że stało się to z nakazu sądu i przez większość czasu trzymano go zamkniętego w izolatce.

– Czy ta kobieta wie, co takiego zrobił, że go tam skierowano?

– Wydłubał prostytutce oko korkociągiem, tak powiedziała, bo wyśmiała rozmiary jego wacka. Znaczy ich brak prawdopodobnie.

– Przyjemniaczek – zauważyła Katie. – Ale skoro dostał nakaz sądowy, to nie powinniśmy mieć problemu z jego namierzeniem, prawda? Ta pielęgniarka nie wie przypadkiem, skąd gość pochodził?

– Dokładnie nie wiedziała, ale był z Cork bez najmniejszych wątpliwości, a na podstawie brzmienia głosu uważała go transseksualistę.

– Pracował gdzieś, zanim go skazano?

– O to nie zapytałem, przyznam szczerze.

– Mógłby pan w takim razie pojechać do niej raz jeszcze i spytać, bo jeśli miał jakieś zajęcie, to mógł do niego wrócić. Chyba że był bezrobotny. I proszę spytać, czy go ktoś odwiedzał. Jeśli ktoś regularnie składał mu wizyty, mogła go zapamiętać.

– Nie, no o to ją spytałem – odparł Brennan. – Był taki jeden, który czasem do niego zaglądał, jej zdaniem brat, bo prawie tak samo brzydki. Ale wkrótce przed tym, zanim go wypuszczono, przyszła jakaś zakonnica i spędzili ze sobą dużo czasu, pielęgniarka to pamięta. Całe popołudnie, jakoś tak. Zapytała go później, a on na to, że zakonnica obiecała ocalić jego duszę, kiedy go zwolnią.

– To ciekawe w kontekście wrzucenia martwej zakonnicy do fontanny. Skąd ta zakonnica przyjechała? Pielęgniarka coś o tym wiedziała?

– O to też ją spytałem – odparł Brennan. – Nie wiedziała, ale wydało jej się to dziwne, bo pacjentów płci męskiej zwykle odwiedzali księża, a nie zakonnice. Jeszcze jedna rzecz ją zdziwiła, na tyle, że ją zapamiętała. Ta zakonnica pachniała perfumami.

– Perfumami... – powtórzyła za nim Katie. – Co nam powiedziała kierowniczką domu opieki w Greendale o zakonnicy, która złożyła wizytę siostrze Barbarze, zanim ta zniknęła? Że miała wydepilowane brwi i umalowane paznokcie.

– Rzeczywiście – przytaknął Dooley. – To mogła być ta sama zakonnica.

Katie uniosła rękę.

– Może pan mieć rację. Zakonnica, która przyszła do siostry Barbary, i ta, która odwiedziła Dermota Gully’ego, mogła być tą samą osobą, ale nie zakonnica. No, chyba że istnieje w Cork klasztor, w którym zakonnice się malują i noszą ekskluzywne podwiązki pod habitami, ale ja o takim nie słyszałam.

– Tak pani mówi, że jeszcze chwila i podniecę się – powiedział detektyw Brennan. – A lekarz ostatnio martwi się o moje ciśnienie.



## Rozdział 41

Tego wieczoru przed powrotem do domu Katie wybrała się do ojca, który mieszkał w Monkstown naprzeciwko przeprawy promowej w Cobh. Padający cały dzień ulewny deszcz sprawił, że pomalowany na zielono wiktoriański dom wydał się jeszcze bardziej ponury i zaniedbany niż zwykle. Rynna przy frontowej części dachu złamała się i woda z pluskiem lała się po ścianach, zostawiając na nich ciemne smugi.

Katie nieraz namawiała ojca do przeprowadzki – dom był dla niego o wiele za duży i za drogi w utrzymaniu – on jednak upierał się, że chce w nim zostać aż do śmierci razem ze wspomnieniami o matce Katie, które były w każdym pomieszczeniu.

Kiedy otworzył drzwi, odniosła wrażenie, że zmałał od poprzedniego razu, gdy go widziała, a minęły zaledwie dwa tygodnie. Podczas każdych odwiedzin zdawało jej się, że jest mniejszy. To było prawie tak, jakby oglądała go przez teleskop i stopniowo znikał w oddali.

– Katie! Świetnie, że przyjechałaś! – odezwał się chrapliwym głosem, jak gdyby był zaziębiony. – No, wchodź, właśnie zaparzyłem herbaty!

Wspięła się po schodkach i weszła do środka. Znalazła ojcu nową sprzątaczkę, wdowę z Orilia Terrace, która pracowała kiedyś w Saint Mary's School, ale także gotowała w pubie Roaring Donkey, na tej samej ulicy, przy której stał dom ojca. Miała na imię Bláithín i jedynym, co go w tej kobiecie irytowało, było jej nieustanne szczebiotanie.

– Czasami nie wiem, czy znalazłaś mi babę do sprzątania, czy zakichanego kanarka – gderał.

Tak czy inaczej, w kominku płonął ogień, w domu było ciepło i pachniało środkami czystości. Ojciec zdradzał oznaki postępującego starzenia, jego powyciągany szary zapinany sweter wyglądał tak, jakby był o dwa rozmiary za duży, ale przynajmniej dom był wysprzątany, a Katie cieszyła się, że ktoś opiekuje się ojcem.

– Co tam słyszeć? – zagadnął, wnosząc drugą filiżankę z kuchni; ręce drżały mu tak, że grzechotała na spodku. – Masz ochotę na ciastko? Sklepowe, niestety. Nie umywa się do tych, które piekła mama.

Nie wspomni mu, że do niej strzelano. To by go tylko zestresowało i nie mógłby spać. Nie zamierzała również mówić o krwawych szczegółach morderstw zakonnic; w wiadomościach telewizyjnych zobaczył tyle, ile potrzebował wiedzieć. Opowie mu jednak o Endzie Blaney i Partlanie KcKeyu, dwojgu śledczych z biura rzecznika Gardy, o tym, jak odkryli, że nie wymusiła na Jilleen Quaid złożenia fałszywych zeznań.

– Wszystko to cuchnie Bryanem Molloyem – orzekł, gdy skończyła. – Ale tak jak powiedziałaś, jeśli zdołasz udowodnić, że to on zapłacił Doniemu Quaidowi, żeby zastrzelił Nialla Duggana, albo chociaż oni nabiorą silnych podejrzeń co do tego, nie będzie miał wielkich szans, żeby wytoczyć ci sprawę. To bardzo dobra wiadomość. Ale byłaby jeszcze lepsza, gdyby stanął przed sądem i na parę lat wylądował za kratkami w Mountjoy.

Ojciec Katie był komisarzem Gardy, ale ujawnił działalność grupy starszych stopniem funkcjonariuszy, którzy wyciągali łapówki w zamian za wycofywanie różnych zarzutów, więc koledzy zmusili go do odejścia ze służby. Byli wśród nich Jimmy O'Reilly, obecnie zastępca komendanta w okręgu południowo-wschodnim, oraz Bryan Molloy.

Katie pomieszała herbatę, po czym ostrożnie odłożyła łyżeczkę na spodek.

– Mam jeszcze jedną dobrą wiadomość, tato.

Uniósł krzaczaste białe brwi.

– Tylko mi nie mów, że ty i John się hajtacie? To ci naprawdę dobra wiadomość!

– Nie, tato, nie to mam na myśli. Jeszcze nikomu nie powiedziałam, ale komuś muszę, bo inaczej pęknę, i pomyślałam, że tym kimś musisz być ty.

– Dostaniesz awans, tak?

– Też nie to, mimo że zasługuję na awans. Nie, dobra wiadomość jest taka, że znów zostaniesz dziadkiem.

– Fantastycznie! – ucieszył się i klepnął dłońmi w kościste kolana. – Która to z was? Clodagh? Deirdre? Fenella? Nie mów, że Moirin będzie miała kolejne! Myślałem, że już ich jest za dużo, przecież ma Siobhan pod opieką! Ale oczywiście – przysunął się do córki, żeby mogła mówić bardziej konfidencjonalnie – bez względu na to która, będę trzymał buzię na kłódkę, dopóki sama nie zawiadomi mnie oficjalną drogą!

– Nie będzie takiej potrzeby, tato – odparła Katie. – Chodzi o mnie.

Powoli się wyprostował.

– O ciebie? Ty będziesz miała dziecko?

– Właśnie tak. Ja. Akurat na Wielkanoc. Takie małe jajko wielkanocne dla ciebie.

Na długą chwilę zapadła cisza. Ojciec wyjął z kieszeni swetra czystą białą chustkę, rozłożył ją i starannie wytarł nos. Potem spojrzął na Katie.

– Więc nie próżnowaliście, ty i John? Kiedy on wrócił z Ameryki?

– Tato...

– Ale weźmiecie ślub, co? Znaczy, zanim będzie widać. Nie chcę cię oceniać, nic z tych rzeczy. Nie jestem papieżem. Próbuję tylko wykombinować, co by powiedziała twoja mama.

– Tato, jestem w dziesiątym tygodniu. To nie jest dziecko Johna.

Następna chwila ciszy. Ojciec Katie otworzył i zamknął usta dwa lub trzy razy, kręcąc żuchwą jakby miał niedopasowaną protezę.

– Rozumiem – odezwał się w końcu. – Hm... Nie żeby to robiło wielką różnicę. Dziecko to dziecko. Ale i tak weźmiesz ślub, prawda?

– Nie wiem – odparła. – Zależy, jak John zareaguje.

– Co to znaczy, jak zareaguje? To on nie wie?

Pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Jeszcze się nie zebrałam na odwagę, żeby mu powiedzieć, głównie dlatego, że nie wiem, jak to przyjmie. Po powrocie był bardzo pewny, że możemy być ze sobą dokładnie w taki sam sposób jak kiedyś, tak jakby się nic nie zdarzyło. Ale, tato, gdy odjechał, nie miałam cienia powodu, by sądzić, że kiedykolwiek wróci. Co miałam zrobić?

– Och, dajże spokój, nie mam ci za złe, że znalazłaś sobie innego przyjaciela – powiedział ojciec. – Nadal jesteś młoda, na litość boską. Ale żeby tak od razu zajść w ciążę... fiuu, no nie wiem. Zawsze myślałem, że masz więcej rozsądku. Kto to był?

– Co takiego?

– Kto to był? Ktoś z komendy? Dalej się z nim spotykasz? Nie mów mi, że trzymasz dwóch naraz, Johna i tego drugiego? Rany, Katie, muszę powiedzieć, że kompletnie zważyło mnie to z nóg!

– Tato, to był jeden raz. Z facetem, który wprowadził się po sąsiedzku. Powiedział, że ma kłopot z żoną, i... nie wiem, czułam się samotna i zdołowana, a on był przystojny i tak to poszło. Nigdy więcej się nie powtórzyło, mimo że on chciał.

– Ale czy ten twój sąsiad przystojniak weźmie jakąś odpowiedzialność za dziecko?

– Nie może, tato, bo nie żyje. Tego wieczoru, kiedy Dugganowie zakradli się w pobliże mojego domu i usiłowali mnie zastrzelić... to jego trafiła kula przeznaczona dla mnie. David miał na imię. David Kane.

Ojciec znowu się nachylił i wziął ją za rękę. Zanim Bláithín zaczęła pielęgnować mu dłonie, były zawsze suche i zimne, a paznokcie wiecznie brudne; teraz jednak miał ręce czyste, miękkie i ciepłe, a obrączka ślubna błyszczała. Katie poczuła się prawie tak, jakby święty ujął jej dłoń.

– Hm, Katie, co ja mam ci powiedzieć? – Jego głos nadal był chrapliwy, ale teraz stał się bardzo łagodny. – Jeśli zginął, ratując ciebie... musisz mieć bardzo mieszane uczucia względem tego dziecka. – Patrzył na nią z czułością i duża łza wypłynęła z jego prawego oka, a następnie z lewego. Poklepał ją po ręce. – Jakkolwiek to się rozwinie, Kathleen, zawsze będę cię kochał, zawsze tu będę, żeby się tobą opiekować, ile starczy mi tchu. W końcu jestem twoim tatą.

Jęknęła żałośnie i pochyliła się, chowając twarz w dłoniach. Łkała i łkała, aż

zabolały ją żebra, a ojciec gestem pocieszenia położył jej rękę na ramieniu i co jakiś czas ją poklepywał.

– No już, no już.

Po chwili jednak zaczęła myśleć o tym, co powiedział doktor Murphy, kiedy u niego była w zeszłym tygodniu.

„Pamiętasz z poprzedniej ciąży, Kathleen. Teraz zaczynają się już tworzyć główne organy maleństwa, widać zawiązki zębów, można rozróżnić paluszki u rąk i nóg. Jeśli jeszcze nie poczułaś, jak się porusza, to wkrótce poczujesz. Ono zacznie sygnalizować swoją obecność, wierz mi”.

Wyprostowała się na krześle, otarła oczy rękawem koszuli i zamrugła.

– Już dobrze, tato. Dzięki. To tylko monsturalny atak hormonów.

– No więc... powiesz Johnowi dzisiaj, kiedy dojedziesz do domu? Bo powinnaś, kochanie.

– Nie wiem, postaram się. Zobaczę. Nie mogę wybrać mu sama imienia, prawda? Więc pewnie będę musiała powiedzieć.

\* \* \*

Gdy jednak dotarła do domu, John siedział przygarbiony nad stolikiem z laptopem i rozłożonymi papierami i prowadził długą rozmowę przez Skype'a ze swoim łysym współnikiem z San Francisco.

Posłał jej całusa w powietrzu.

– Wybacz, skarbie, to trochę zajmie! – zawołał. – Chcesz zamówić coś do jedzenia z restauracji? Albo mogę podgrzać bolognese.

– Ee, nie, na razie nie trzeba – odparła. – Zjadłam dzisiaj porządny lunch dla odmiany. Może później zjem kanapkę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Przebrała się w luźną pasiastą koszulkę i legginsy i poszła do kuchni zaparzyć sobie kubek zielonej herbaty. Miała wrażenie, że w ciągu minionych paru tygodni nie żyła niczym poza zieloną herbatą i ciastkami czekoladowymi z imbirem. Właśnie zalewała wrzątkiem saszetkę, kiedy zadzwonił jej iPhone.

– Jest pani w domu? O, to przepraszam. Bill mówi, Bill Phinner.

– Bill? Późno pan pracuje.

– Tak, wiem, ale chciałem dokończyć analizę kryminalistyczną tego ustrojstwa ze Spring Lane. Poza tym żona odfrunęła, żeby się wieczornie kościółkować, a w telewizorze nic nie ma.

– Więc jak to przebiega?

– Myślę, że robimy postępy. Jest tak, jak podejrzewałem od samego początku, bo użyto bardzo dużo materiału wybuchowego, co najmniej o dziesięć procent więcej, niż to było potrzebne. Nie trzeba trzystu gramów semtexu, żeby wywalić w powietrze przyczepę mieszkalną. Tysiąc pięć gramów wystarczy do rozwalenia piętrowego budynku. Jestem absolutnie pewny, że urządzenie

zmajstrował Fergal ó Floinn, ten sam gość, którego podejrzewaliśmy o bombę w Merchants Quay.

– Tylko na tej podstawie, że użył za dużo semtexu?

– Ó Floinn zawsze był, można powiedzieć, zbyt przezorny. Kiedy w Limerick rozsadał sejfy dla Dugganów, dwa razy nie tylko otworzył drzwiczki, ale wywalił sejfy z budynków na ulice. Ale nie, nie chodzi tylko o to. Wszystko w urzędzeniu ze Spring Lane mówi, że to robota ó Floinna. Przewody są pedantycznie splątane w ósemkę, a detonator pochodzi z partii, którą lata temu dmuchnięto z kamieniołomu koło Killoran, ó Floinn zawsze z nich korzystał.

– No dobrze, Bill – powiedziała Katie. – Oczywiście jest już nakaz aresztowania ó Floinna za bombę w Merchants Quay, ale rano pogadam z nadkomisarzem Pearse'em, żeby rozesłać drugi list gończy. Zwrócę się też do Mathew McElveya, żeby ogłosił w mediach nowy apel. Sęk w tym, że ostatnie zdjęcia ó Floinna, jakie mamy, zrobiono piętnaście lat temu. On ma teraz pewnie siwe włosy, jeśli w ogóle je ma, i wielki brzuch od piwska.

– Ktoś musi wiedzieć, gdzie on jest. W końcu przecież ktoś go najął do wysadzenia Paddy'ego Fearona. Jak go znalazł?

Skończywszy rozmowę z Billem Phinnerem, Katie spojrzała na herbatę i zobaczyła, że torebka nasiąkała za długo i wywar jest prawie czarny. Wylała go i włączyła czajnik, żeby zaparzyć sobie świeżej. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Słyszała Johna rozmawiającego przez Skype'a; wymiana zdań dotyczyła prognoz sprzedaży produktów farmaceutycznych i brzmiała tak, jakby miała potrwać jeszcze co najmniej pół godziny.

Katie wzięła kubek herbaty do łazienki i przygotowała sobie pianistą kąpiel o zapachu brzoskwiniowym. Rozebrała się ostrożnie i weszła do wody. Jej piersi zaczynały nabrzmiwać i wrażliwieć i choć nie miała jeszcze brzuszka, bez dwóch zdań robiła się szersza w biodrach. Wydało jej się dziwne, że nie pamięta wyraźnie ciąży z Seamusem; czuła się prawie tak, jakby pierwszy raz oczekiwała dziecka. Może Bóg dopilnował w ten sposób, żeby kobiety rodziły więcej niż jedno dziecko. Po każdej ciąży wyciera do czysta tablicę pamięci, zwłaszcza ze wspomnień o wielkim bólu.

John wszedł do łazienki i usiadł na brzegu wanny.

– Jak się czuje moja śliczna rusalka?

– Skonana, prawdę powiedziawszy. W drodze z pracy pojechałam zobaczyć się z ojcem.

– O, odwiedziłaś tatę. Dobrze. I co ci mówił?

Mówił: „Powiedz mu. Powinnaś”.

– Niewiele. Ale wygląda o wiele lepiej, od kiedy Bláithín się nim opiekuje.

Powiedz mu.

– To świetnie. Wytrzymaj się, a ja pójde zrobić parę kanapek. Szynka może

być? Chyba że wolisz ser?

– Ser byłby super. Ale zwykły coolea. Nie ten śmierdzący francuski, co go kupiłeś na rynku.

Kiedy wyszedł, Katie zanurzyła się w wodzie tak, że piersi unosiły się na powierzchni, a piana utworzyła wokół twarzy coś na kształt brody. Trzeba mu powiedzieć. Wiedziała, że go to zaboli i wzbudzi w nim zazdrość, i że nie będzie mu łatwo wychowywać dziecko innego mężczyzny, nawet jeśli się na to zgodzi. Do tej pory wahania jej nastroju tłumaczył sobie pewnie bólami miesięczkowymi, ale ona nie zdoła dłużej ukrywać swojego stanu.

Słyszała, jak przygotowując kanapki, John podśpiewuje sobie *The Fields of Athenry*. Łzy nabiegły jej do oczu i musiała sobie powiedzieć: Przestań się mazać, głupolu! Przestaniesz ty kiedyś wreszcie? Sama się w to wpackowałaś, więc teraz się wyciągnij!

## Rozdział 42

Dochodziło wpół do dwunastej, kiedy Riona przemaszerowała wzdłuż bloku stajennego i zapukała w drzwi małej przybudówki na końcu, w której mieszkał Dermot. Musiała zapukać ponownie, a kiedy wreszcie otworzył, popatrzył na nią, mrużąc oczy, jakby jej nie poznał. Widoczny za nim pokój dzienny był zamglony od dymu papierosowego i cuchnął alkoholem. Na stole pośrodku zobaczyła otwartą puszkę tuńczyka i widelec, a obok do połowy opróżnioną butelkę whisky Paddy's.

– Powinna już wystygnać – rzuciła Riona. – Minęła ponad godzina, odkąd wyłączyłeś piekarnik.

– A, tak. Jasne – odparł Dermot. – Wezmę marynarkę. Nadal tak leje?

Nie odpowiedziała, tylko czekała pod parasolem; Dermot tymczasem wciągał na siebie marynarkę i wkładał ubłocone kalosze.

Przemierzyli mokry dziedziniec, Dermot otworzył drzwi stajni i zapalił światła. Woń piezzonego mięsa wciąż dawała się wyczuć, lecz prawie zanikła i stajnia pachniała teraz słomą i końmi.

– Przyszedłem tu z lampą po tym, jak wyłączyłem – powiedział Dermot. – Gdyby to był prosiak, a nie zakonnica, tobym uznał, że się spiekła jak diabli.

– Rzymianie podobno piekli ludzi w bykach z brązu całymi dniami. Zostawały z nich tylko kości, które po wyjęciu świeciły ponoć jak diamenty. Robili z nich sobie naszyjniki.

– Porąbańcy, ci Rzymianie, gdyby mnie kto pytał.

Dermot otworzył zamek piekarnika i klapy z nierdzewnej stali opadły na boki z dwoma głośnymi brzęknięciami. Siostra Aibrean leżała skulona na blasze, ze zgiętymi kolanami i rękami pod brodą. Jej skóra była lśniąca i ciemnobrązowa, toteż zakonnica bardziej przypominała olbrzymiego owada niż staruszkę. Riona podeszła do piekarnika i zajrzała do wnętrza. W niektórych miejscach kości przebiły mięso, więc widziała łokcie, żebra i miednicę.

Oto wszystko, czym była oddana boża służka, pomyślała, ta, która mną pomiatała, poniżała mnie i która mi odebrała mojego drogiego synka. Pod pomarszczoną białą skórą nie było nic oprócz układanki starych kości i podłego, świętoszkowatego, zadufanego mózdzku w czaszce. No cóż, skórę się upiekło, a mózg z całą swoją podłością, zadufaniem i świętoszkowatością się wysmażył. Riona schyliła się nad brązowym, pustym obliczem siostry Aibrean i splunęła.

– O Jezusie, ty naprawdę, kuźwa, nienawidzisz tych zakonnic, co? – odezwał się Dermot, kręcąc głową. – Co chcesz z nią zrobić? Możemy ją zmielić i wmieszać w sprasowane końskie bobki i nikt się nigdy nie dowie, co się z nią stało, no nie? Gliny chyba nie będą brały do analizy kostek końskiego nawozu, żeby w nich poszukiwać zakonnic?

– Dermot, ja chcę, żeby ludzie się dowiedzieli, co ją spotkało! – warknęła Riona. – Mają wiedzieć, jak bardzo się męczyła, zanim umarła! Ile razy ci mówiłam, że robię to właśnie po to? Jak myślisz, dlaczego puściliśmy siostrę Monę w powietrze na balonach? Dla frajdy? Dlaczego kazałam ci wrzucić siostrę Barbarę do fontanny? Gdyby tak po prostu zniknęły, jaki byłby w tym sens? Ulotniłyby się i po tygodniu nikogo by nie obchodziło, że ich nie ma, nikt by się nie głowił, dokąd odeszły i dlaczego.

– Jak chcesz... Mnie się zdaje, że ryzykujemy jak jasna cholera. Ale w końcu ty płacisz.

– Tak, Dermot, to ja płacę. Więc może idź obudzić Conora, bo już pewnie śpi, i możemy zawieźć siostrę Aibrean do Cork. Powiem ci, gdzie ją umieścisz na widoku.

Ściągnął brwi, spoglądając na zwłoki w piekarniku.

– Żeby nam się tylko na kawałeczki nie rozleciała, kiedy ją będziemy wyjmować.

– Nie, zostanie w jednym kawałku, bez obaw. Poza tym ubiorę ją. To ją utrzyma w całości.

– Chcesz ją znowu ubrać? Jezuniu, Baranku Boży, ty to zrobisz, bo nie ja!

– Pomożesz mi. Sama nie dam rady.

Dermot się nie odezwał. Oboje wiedzieli, że może w każdej chwili odejść, ale nie miał gdzie mieszkać i był bez grosza. A gdzie znajdzie pracę i łóżko do spania mężczyzna, który ma w aktach przymusowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym za przestępstwo?

Wspólnymi siłami wyciągnęli metalową tacę z piekarnika i położyli ją na posadzce. Dermot wyjął scyzoryk i przeciął więzy krępujące nadgarstki i kostki siostry Aibrean. Gdy prostował jej ręce i nogi, rozlegały się trzaski podobne do wystrzałów z pistoletu. Musiał całym ciężarem usiąść na jej kolanach i zginać ręce, dopóki nie wyłamał stawów.

Potem uniósł ciało nad blachę, Riona zaś naciągnęła na nie habit, związała go luźno w pasie, a potem nałożyła przez głowę szkaplerz. Nie fatygowała się, by włożyć zakonnicy majtki i halkę. Na koniec dopasowała czepiec do brązowej szczerzącej zęby głowy siostry Aibrean i przykryła go welonem.

– No i popatrz tylko na nią – odezwał się Dermot, kiedy Riona zakończyła swoje dzieło. – Coś niby jak te zakonnice, co mi się śniły po nocach, jak byłem mały. Mój kolega Pauly powiedział kiedyś, że wszystkie zakonnice wyglądają pod habitami jak wielkie, kuźwa, pająki i dlatego pokazują tylko buźki i ręce. Tak się wtedy zląkłem, że mi się o mało nie sfajdał.

– Idź i obudź Conora – poleciała Riona. – Ja wezmę kurtkę i przyprowadzę range rovera. A, i ten sznur węz. Będzie potrzebny, żeby ją związać i ustawić jak należy.





## Rozdział 43

Katie śniło się, że stoi przed grotą w Ballinspittle, gdzie w 1985 roku widziano ponoć, jak figurka Błogosławionej Dziewicy poruszała się i oddychała; miejsce to stało się odtąd celem wielu pielgrzymek.

W jej śnie była bardzo ciemna noc, lecz Maryja Dziewica miała aureolę z rozpalonych gwiazd, które oświetlały jej kamiennobiałą twarz, a zewsząd otaczały ją olbrzymie czerwone róże.

Katie wybrała się do grotty tydzień po śmierci Seamusa. Nie wierzyła naprawdę w cuda i nawet biskup Cork i Ross był bardzo ostrożny co do tego, że figurka mogła się poruszyć. Ale ponieważ lekarze nie zdołali w pełni wyjaśnić przyczyny śmierci dziecka i wbrew wszystkim modlitwom Katie Bóg zachowywał milczenie, pojechała do Ballinspittle, by się przekonać, czy znajdzie tam odpowiedź na dręczące ją pytania.

Nie zobaczyła, jak Maryja Dziewica się porusza, i nie usłyszała, jak przemawia, mimo to, stojąc samotnie w siąpiącym deszczu na wiejskiej drodze, znalazła jakąś pociechę. A teraz była tam ponownie we śnie, jakkolwiek nie miała świadomości, że jest to sen.

Uniosła głowę i spojrzała na Maryję Dziewicę.

„Ty wiesz, gdzie jest Seamus, prawda?”

„Tak – odrzekła cicho Maryja. – On do ciebie powraca”.

„A więc to jest Seamus? To dziecko, które w sobie noszę? Urodzę Seamusa na nowo?”

Maryja skinęła głową i zamknęła oczy, a wstrząśnięta Katie zerwała się i zbudziła. Poczuli się tak, jakby ziemia nagle usunęła jej się spod nóg.

Otworzyła oczy. Po kilku sekundach uprzytomniła sobie, że leży w łóżku w swoim domu w Carrig View. W sypialni panowała całkowita ciemność, widać było tylko czerwone cyfry na zegarze – 3:27. Odwróciła się twarzą do Johna i musiała go obudzić, bo przysunął się do niej bliżej i spytał:

– Katie? Wszystko gra?

– Hm, tak, dzięki. Po prostu coś mi się przyśniło.

– Nie było to nic zmysłowego, mam nadzieję. – Pocałował ją w czoło, potem w czubek nosa i w usta. – Nie żadna orgia z tłumem obcych facetów?

Pocałowała go.

– Nie musisz być o mnie zazdrosny, kochanie.

Uniósł jej krótką koszulę nocną i przesunął rękę ku górze, muskając ją między łopatkami.

– Mmm – zamruczała. – Ale miło. Powinieneś być zawodowym masażystą.

– Że co? Miałbym całymi dniami miętosić galaretowate tyłki starych bab?

Nie, dziękuję. Jesteś jedyną kobietą, którą chcę masować.

Jego ręka powędrowała wzdłuż tułowia i zaczęła gładzić pierś. Delikatnie ujął sutek i poruszał nim w palcach, aż ten stwardniał. Katie poczuła podniecenie, mimo że jej pierś zrobiła się już bardzo wrażliwa. Czowała jego oddech na twarzy; John oddychał coraz mocniej, widziała jego błyszczące w ciemności oczy.

– Zaczekaj – powiedziała i go pocałowała.

Usiadła na łóżku, żeby ściągnąć sobie koszulę przez głowę. Potem już naga odwróciła się i przytuliła do niego. To było dziwnie podniecające, że ledwo go widziała w mroku, ale czuła jego muskularne ramiona i włosy na klatce piersiowej.

Kiedy dotknął jej biodra, aż podskoczyła, a potem jego palce przemierzyły drogę po jej brzuchu do miejsca między nogami. Była już bardzo wilgotna i śliska. Wsunął w nią palec, jednocześnie powoli krążąc kciukiem po łechtaczce.

– Jesteś jak bóg, wiesz – wyszeptała. Rozsunęła uda, a John uklęknął między nimi. Sięgnęła ręką i ujęła w dłonie jego jądra, a potem wzięła sztywny członek i wprowadziła go w siebie. Kiedy wszedł do końca, nie mogła się powstrzymać i wydała długie westchnienie przyjemności i rozluźnienia. Oooooch! John obejmował ją i całował, a jego twardy członek był tak głęboko w niej, że lekko drgnęła. Wszystkie jej niepokoje nagle gdzieś odpłynęły. Myślała tylko o tym, jak cudownie się dzięki niemu czuje. O jego zapachu, o sprężystości jego mięśni, o włosach ocierających się o jej gołą skórę.

– Och, Katie – wydyszał i zaczął wciskać się w nią szybciej i mocniej. – O Boże, co ty ze mną robisz?

Po pewnym czasie z niej wyszedł.

– Odwróć się – wysapał i położył dłoń na jej biodrze, pomagając jej się unieść. Wiedziała, czego pragnie, bo często robili to na pieska. W tej pozycji mógł wejść w nią jeszcze głębiej i jeszcze mocniej, a Katie wydawało się wtedy nieomal, że jego penis wysunie się jej przez usta.

– Nie, John, nie tak – powiedziała. – Nie dzisiaj.

– Och, maleńka, przecież to uwielbiasz.

– John, proszę, nie.

Musiał usłyszeć coś w tonie jej głosu, bo na chwilę całkowicie zastygł i słyszała, że wstrzymuje swój ciężki oddech. Potem położył się na boku.

– Co się stało, Katie?

– Nic się nie stało, wszystko jest w najlepszym porządku.

– Dlaczego nie chciałaś na pieska? Chyba nie bałaś się, że będę chciał go wsadzić w drugą dziurkę, co?

– Nie, nie bałam się. Ale na pieska jest... jest... po prostu zbyt gwałtowne.

– Gwałtowne? – John oparł się na łokciu. – Jak to gwałtowne? Kiedy ja w ogóle byłem gwałtowny?

– Przepraszam, gwałtowny to nie jest to słowo, o które mi chodziło. –

Uniosła rękę w ciemności i pogładziła go po nieogolonym policzku. – Chciałam tylko powiedzieć, że gdy tak robimy, wchodzisz we mnie za głęboko.

– Dotąd nigdy się na to nie skarżyłaś. Myślałem, że właśnie po to się to robi na pieska.

– Tak, ale... – Teraz już nie była w stanie zatrzymać tych słów, bo wypadły z jej ust same niczym dzieci wybiegające pędem ze szkoły, a raz je wypowiedziawszy, nie mogła ich cofnąć. – Kiedy tak robiliśmy poprzednim razem, nie byłam w ciąży.

Nastąpiła cisza, która zdawała się trwać godzinami. Oddech Johna stopniowo wrócił do normy, on jednak nic nie mówił i nie poruszał się. Katie pomyślała nawet, że zasnął. Może sen zmorzył go, zanim powiedziała, że jest w ciąży. To by znaczyło, że Błogosławiona Dziewica darowała jej jeszcze parę dni.

– John?

Usiadł, wyciągnął rękę i zapalił lampkę nocną. Jego kręcone czarne włosy były dziko potargane, a oczy spuchnięte.

– W ciąży? Jak długo?

– W weekend będzie jedenaście tygodni.

– Wróciłem dopiero siedem tygodni temu.

– Tak.

– Więc to nie jest moje? To znaczy nie nasze, twoje i moje? Obłąd. Jak to możliwe?

– Nie, nie jest twoje.

Do tej pory Katie wydawało się, że kiedy już nadejdzie ta chwila, ona wybuchnie płaczem i będzie go błagała o wyrozumiałość, ale teraz, gdy mu rzeczywiście powiedziała, czuła wielki spokój i głęboką potrzebę chronienia dziecka, które w sobie nosiła. Bez względu na okoliczności, zostało poczęte, a ona jest jego matką.

John wyjechał do Ameryki, zostawiając ją przekonaną, że nigdy nie wróci, więc dlaczego miała trwać w celibacie? On mógł się powstrzymać od romansów, bo bardzo za nią tęsknił, ale nie miał żadnego uzasadnionego powodu oczekiwać od niej tego samego.

Wstał i podszedł nago do szafy. Nadal miał na ramieniu szkarłatne zadrapania od jej paznokci.

– Nie chcesz wiedzieć, kto jest ojcem? – zapytała.

– A co to za różnica? – odpowiedział pytaniem, stojąc zwrócony do niej plecami. Wyjął z szafy gruby bordowy golf i szare sztruksy.

– Myślę, że gdybyś znał okoliczności, mogłoby ci być łatwiej się z tym pogodzić.

– Co to znaczy „okoliczności”? Okoliczności polegały na tym, że rznąłaś się z jakimś innym facetem. Nie muszę wiedzieć, czy postawił ci przedtem kolację.

Patrzyła, jak się ubiera. Fizycznie był przepiękny, tak uważała. Nie chciała go tracić, ale już zaczynała odczuwać ten tępy emocjonalny ból, którego doświadczyła, kiedy wyjeżdżał do San Francisco. Gdy wciągał spodnie, widziała, że jego członek jest nadal zaczerwieniony, ale szybko opadał.

– Po co się ubierasz? – spytała. – Wróć do łóżka i porozmawiamy o tym rano. Jesteś tak samo zmęczony jak ja.

– Wyjdę tylko i przespaceruję się, to wszystko.

– John, nie szalej. Jeszcze nie minęła czwarta rano, a na dworze leje. Poza tym nie bez powodu przed domem trzyma straż dwóch uzbrojonych policjantów.

Odwrócił się. Katie nie zdołała odczytać wyrazu jego twarzy. Oczy Johna zawsze miały kolor ciemnego niebieskiego oceanu, ale teraz wydawały się jeszcze ciemniejsze.

– No dobrze, w takim razie zrobię sobie przejażdżkę samochodem.

– John, zostań, proszę cię. Pójdę się położyć na kanapie, jeśli nie chcesz ze mną spać.

– Za kogo ty mnie uważasz? Myślisz, że wyrzuciłbym z łóżka kobietę w jedenastym tygodniu ciąży?

– Musimy o tym porozmawiać, naprawdę.

– Porozmawiać? – Chciał poprawić sobie palcami włosy, ale poplątał je jeszcze bardziej. – Pewnie tak. Masz rację. Musimy porozmawiać. Ale daj mi trochę czasu na przemyślenie sprawy, dobrze?

Wyszedł z sypialni i zamknął za sobą bardzo cicho drzwi, niczym rodzic, który nie chce obudzić śpiącego dziecka. Katie chciała ruszyć za nim, lecz wiedziała, że nigdy nie było łatwo go przekonać. Nie był nieelastyczny, ale jeśli w ogóle zmieniał zdanie na jakikolwiek temat, musiał wierzyć, że zmienił je sam.

Usłyszała, że wchodzi do salonu, a potem rozległ się jakiś rumor i odgłos rozdierania materiału. Katie została w łóżku. Jeśli John się rozgniewał i strzaskał jakiś jej bibelot, nie chciała fizycznej konfrontacji. Poza wszystkim prawdopodobnie pokonałaby go w walce, bo miała czarny pas i drugi dan w kick boxingu; nadal chodziła do akademii Miko, gdy tylko znajdowała na to czas. Nie chciała go jeszcze bardziej upokarzać.

Rozległo się buczenie wyłączanego alarmu, trzaśnięcie drzwi, a potem warkot uruchamianego auta. Kiedy wyjechało tyłem z podjazdu, słyszała już tylko stukanie kropel deszczu o okno sypialni.

Leżała dalej w łóżku, ale nie gasiła światła, bo wiedziała doskonale, że i tak nie zaśnie.

Prosiła Boga, żeby chronił Johna w czasie jego ataku gniewu, zazdrości i niechęci, ale także o to, by pomógł mu zrozumieć, że ona go kocha i że to, że przespała się z Davidem Kane'em, nie było zdradą.

\* \* \*

Mniej więcej godzinę później deszcz ustał. Katie wyszła z łóżka i zdjęła z haczyka na drzwiach gruby różowy szlafrok. Najpierw poszła do kuchni i napełniła czajnik. Barney leżący na swoim legowisku uniósł łeb; zdziwił się, że widzi ją krzątającą się po domu tak wcześnie rano, i prychnął na nią.

– W porządku, Barns. Ludzie tak się właśnie zachowują. Czyli kompletnie od czapy.

Woda w czajniku gotowała się, a Katie przeszła do salonu. Zapaliwszy światło, od razu zobaczyła, że wyciśnięte do połowy tubki farby akrylowej leżą rozrzucone na dywanie wraz z pędzlami i drewnianą paletą. Na stoliku leżał jej portret. John rozdarł go po przekątnej na dwie połowy.

Podeszła i je podniosła. Widać było, że przed rozdarciem kilkakrotnie zginał płytę w jedną i drugą stronę, więc szkody były nie do naprawienia.

Nie rozplakała się, choć było jej przeraźliwie przykro. Usiadła na kanapie z dwiema połówkami obrazu w rękach. Zrozumiała przesłanie. Ty rozdarłaś mnie na pół, więc zrobiłem to samo z tobą. Barney podszedł i stanął w drzwiach salonu, przechylając łeb na bok; jękliwy odgłos wydobywający się z głębi jego gardła brzmiał tak, jakby pies pytał ją, co złego się wydarzyło.

Przesiedziała na kanapie zaledwie parę minut, gdy zadzwonił jej telefon; podskoczyła.

– Detektyw nadkomisarz Maguire? Sierżant Mulliken z Gardy. Proszę wybaczyć, że dzwonię o takiej nieboskiej godzinie, ale powinna pani przyjechać do miasta i zobaczyć coś na własne oczy. Detektyw komisarz O'Rourke i detektyw O'Donovan już są na miejscu.

– Co to takiego? I gdzie?

– Patrick's Bridge, pani nadkomisarz. Jedna z waszych zakonnic.

## Rozdział 44

Zadzwoiła do Johna przed wyjściem z domu, ale nie odebrał. Podeszła do funkcjonariuszy trzymających wartę w ciemnym nieoznakowanym samochodzie i zapukała w szybę.

– Wzywają mnie do miasta i wątpię, czy wcześniej wrócę do domu, pewnie dopiero w ciągu dnia. Mój partner wyjechał samochodem, ale nie powiedział mi, jak długo go nie będzie.

– Sam do nas podszedł i zagadnął, pani nadkomisarz – odparł policjant siedzący na fotelu pasażera. – Mówił, że wróci za parę godzin, ale długo nie zostanie czy coś w tym guście.

– A, tak, owszem. – Katie udała, że nie jest zaskoczona. – O której mają was zluzować?

– O szóstej rano.

– W porządku. Przekażcie kolegom, którzy was zmieniają, że jak tylko mój partner wróci i odjedzie, mogą opuścić posterunek. Załatwię wszystko z waszym sierżantem, jak tylko przyjdzie na komendę.

– Tak, pani nadkomisarz.

– Aha, dziękuję – powiedziała Katie. – Któryś z was chce może wejść do łazienki, zanim odjadę?

– Nie, jest w porządku. Do tej roboty trzeba mieć pęcherz ze stali.

Wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Czekwała chwilę, stojąc na podjeździe, a wycieraczki z piskiem przesuwwały się z jednej strony na drugą. A zatem John wróci, ale długo nie zabawi. Czy to znaczy, że spakuje swoje manatki i ją opuści? Wybrała ponownie jego numer, lecz się nie odezwał, więc wysłała mu SMS-a.

John, zadzwoń. Muszę jechać do miasta, ale naprawdę musimy pomówić. Nie zostawiaj mnie znowu, kochanie. Kocham Cię, a to, co się stało, nie miało nic wspólnego z niekochaniem Cię. Więc proszę.

Nie wiedziała, co jeszcze napisać. Nie uważała, że powinna się tłumaczyć. Kiedy szła do łóżka z Davidem Kane'em, zapewniał ją, że jest po wazektomii, ale czemu miałyby to wyjaśniać Johnowi?

Gdy jechała do miasta, nadal było ciemno i wciąż mocno padało. Kiedy jednak znalazła się na Penrose Quay, zauważyła oślepiająco jasne reflektory halogenowe na St. Patrick's Bridge, a także błyskające niebieskie i czerwone koguty. Skręciwszy z St. Patrick's Quay na most, zobaczyła, że odgrodzono go taśmą policyjną i stoi na nim pełno radiowozów i furgonetek, a także karetka. Po terenie kręciło się co najmniej piętnastu funkcjonariuszy, trzech techników kryminalistycznych oraz strażacy.

Zatrzymała się za radiowozem i przeszła przez most. O'Rourke i O'Donovan zobaczyli ją i wyszli jej na spotkanie. Detektyw komisarz O'Rourke miał na sobie rozciągnięty brązowy prochowiec i brązowy kapelusz, który wyglądał jak odziedziczony po dziadku. Detektyw O'Donovan prezentował się nader elegancko w krótkiej czarnej kurtce; chyba był wieczorem na jakiejś imprezie i wcale nie położył się spać.

– Nie uwierzy pani, kiedy to pani zobaczy – odezwał się O'Rourke. – To musieli być ci sami sprawcy, którzy wrzucili ciało zakonnicy do fontanny i załatwili te pozostałe. No, po prostu nie do pomyślenia.

Na podmurówkach mostu stały cztery kute z żelaza cokoły, dwa po każdej stronie, z dużymi szklanymi latarniami na wierzchołkach. Do cokołu od południowo-wschodniej strony przywiązana była przemoczona deszczem czarna postać, a kiedy Katie, podążając za O'Rourke i O'Donovanem, zbliżyła się do niej, zobaczyła, że jest ubrana w habit i welon zakonnicy. Dwaj technicy, którzy robili jej zdjęcia, rozstąpili się, żeby Katie mogła do niej podejść.

– Boże – powiedziała i przeżegnała się. Postać wyglądała jak wzięta prosto z filmowego horroru. Miała ciemnobrązową błyszczącą twarz, która przypominała plemienną maskę z pociągniętego pokostem mahoniu. Oczodoły były puste i ciemne, usta zaś rozciągnięte w odrażającym grymasie. Welon i szkaplerz przesiąkły deszczówką, która skapywała z poczerniałych palców wystających z rękawów oraz z palców stóp zwisających spod habitu.

– Kobieta bez dwóch zdań – oznajmił detektyw komisarz O'Rourke. – Nasi zadarli jej habit i mignęli latarką, żeby się upewnić. Czy jest prawdziwą zakonnice, czy nie, tego nie wiemy. Poparzenia czwartego stopnia jak nic. Ale wygląda kompletnie inaczej niż większość ofiar poparzeń, które widziałem.

Katie osłoniła oczy przed blaskiem halogenów i przyglądała się twarzy martwej kobiety. O'Rourke się nie mylił. Widziała kilka ofiar umyślnych podpałek i takie, które spłonęły w wypadkach drogowych. W miejscach wystawionych na działanie płomieni skóra była zawsze poczerniała, a jasnoczerwona tam, gdzie pękła od żaru. Twarze wyglądały czasami jak roztopione, trochę przypominały „rozpływające się” zegarki Salvadora Dalego. Twarz tej ofiary była połyskliwa, napięta i gładka. Jedyne wyjątki stanowiły usta, spękane i pokryte bąblami, nierówne, jakby ktoś szczypcami poodrywał z nich kawałki.

– Trzeba będzie poczekać i zobaczyć, co orzeknie patolog – powiedziała Katie.

– Bo mnie się zdaje, że ona nie wygląda jak oblana benzyną ani tak, jakby ktoś ją potraktował miotaczem płomieni czy wrzucił do ogniska.

– Wiem, co pan chce powiedzieć, Francis. Ona wygląda tak, jakby ktoś ją upiekł w piecyku.

– Pieczona zakonnica, Jezu – westchnął detektyw O'Donovan. – Nie



zamówię sobie do śniadania czarnego puddingu, o nie. Ale w jakikolwiek sposób ją zabili, to ubrali dopiero po śmierci. Odzież ani trochę nie jest spalona. Nawet nie przysmażona.

– Jacyś świadkowie? – zapytała Katie i rozejrzała się, jak są rozmieszczone kamery monitoringu. Dwie obejmowały zasięgiem most, jedna była na północnym brzegu rzeki na budynku English College, w którym mieściła się kiedyś placówka banku AIB, druga zaś na rogu St. Patrick's Street.

– Zawiadomienie złożył taksówkarz – oznajmił detektyw komisarz O'Rourke. – Wracał właśnie z wczesnego kursu na lotnisko. Zobaczył dwóch gości, którzy przywiązywali coś do słupa latarni, jeden stał na podmurówce. Pomyślał w pierwszej chwili, że to mogą być pracownicy służb miejskich, że naprawiają lampę, ale potem wydało mu się to strasznie dziwne, że tak z samego rana. Poza tym obaj mieli na sobie czarne kurtki z kapturami, a nie kamizelki odblaskowe, jakie mają ci ze służby miejskiej. Zawrócił więc i pojechał, żeby zerknąć. Tamtych dwóch gości już nie było, ale zwłoki wisiały przywiązane do latarni.

– To było wszystko, co zobaczył? Dwóch gości w czarnych kurtkach z kapturami? Nikogo więcej nie zauważył, żadnych pojazdów w pobliżu, które mogły do nich należeć?

– Nie. Tylko tych dwóch w czarnych kapturach. Całkiem jak w przypadku tych dwóch gości, którzy wrzucili zwłoki siostry Barbary do fontanny. Ale wiemy przynajmniej, kim był jeden z nich, chociaż go dotychczas nie znaleźliśmy.

– Widzę tam jakichś dziennikarzy, czekają – powiedziała Katie. – Zamienię z nimi szybko parę słów, a potem pojedę na komendę i obudzę kilka osób. Potrzebny nam będzie patolog, i to migiem, i nagranie z tych dwóch kamer monitoringu. Myślę też, że trzeba nam będzie złożyć jeszcze jedną wizytę w klasztorze Bon Sauveur. Jeśli ofiara pochodziła z ich zgromadzenia, może siostry pomogą nam ustalić, kim była. Albo i nie, oczywiście, w zależności od tego, czy matka O'Dwyer będzie akurat nastawiona przychylnie do społeczeństwa.

– Później miałem się osobiście wybrać do klasztoru – oznajmił O'Donovan. – Ekipa poszukiwawcza poinformowała mnie, że dzisiaj po południu się zwijają, najpóźniej jutro. Zakończyli przekopywanie ogródka warzywnego i sprawdzili już dwie trzecie trawnika.

– Jaki jest najnowszy bilans ofiar? – spytała Katie. – Wczoraj rano sierżant O'Farrell mówił mi, że dochodzi do trzystu osiemdziesięciu.

– Teraz już więcej, pani nadkomisarz. Było dobrze ponad czterysta, kiedy skończyli pracę wieczorem. Wydaje mi się, że lekko przekroczą pięćset. Może nawet dojdą do sześciuset. Było na pewno czterysta szkieletów w szambie i jeszcze setka pod trawnikami i klombami kwiatowymi.

– Masakra – powiedziała Katie. – Bóg jeden wie, ile zajmie patologowi

zbadanie każdego szkieletu. A nie mamy nic prócz kości. Nie będzie łatwo ustalić przyczyny zgonu, jeśli w ogóle da się ją ustalić. Prawdziwy kłopot polega na tym, że nie znaleźliśmy żadnego rejestru zgonów, chociaż naprawdę trudno mi uwierzyć, że w ogóle go nie ma.

– Pomyślałem to samo – rzucił O'Donovan. – Owszem, siostrzyczki wierzyły, że większość tych biednych dzieci to pomiot szatana, ale należałoby się spodziewać, że w jakiś sposób odnotowywały fakt, że maluchy odchodziły z tego świata, no nie? Żle jest, kiedy dzieci umierają w wieku dwóch czy trzech lat... Rozumie pani, co mam na myśli? Ale jest jeszcze gorzej, jeśli w swoim życiu zaznały tylko głodu i cierpienia. Ale żeby nikt nawet nie odnotował faktu ich istnienia, to już moim zdaniem tragedia.

– Więcej niż tragedia – dodała Katie. – To będzie miało rozstrzygające znaczenie dla decyzji, jakie działania podejmiemy przeciwko siostrom z Bon Sauveur, jeśli w ogóle postanowimy jakieś podjąć.

– No właśnie – przytaknął detektyw komisarz O'Rourke. Obserwował techników ostrożnie przecinających nylonowy sznur, którym przypasano do latarni sztywną czarną postać. Jeden stanął na podmurówce i trzymał głowę kobiety, żeby nagle nie opadła i nie oderwała się od kręgosłupa.

– Nie wiem w tej chwili, czy będziemy w stanie stwierdzić, że siostry przez świadome zaniedbanie spowodowały śmierć tych maluchów – powiedziała Katie. – Czy dzieci po prostu umierały z przyczyn naturalnych.

– Z tego, co do tej pory wiadomo, mogły je na przykład podusić, otruć albo potopić – zauważył O'Donovan.

– Hm, w to akurat nie bardzo chce mi się wierzyć, ale ma pan rację, nie ma sposobu, żeby to stwierdzić na pewno.

– Moglibyśmy złożyć do prokuratury doniesienie o niezgłoszeniu zgonów, prawda? – powiedział O'Rourke, nie odrywając wzroku od przywiązanej do słupa postaci. – I o niezgodnym z prawem usunięciu szczątków?

– Teoretycznie tak – zgodziła się Katie. – Ale bardzo wątpię, czy prokurator podjąłby takie śledztwo. I jaki byłby sens w ściganiu garstki zniedołężniałych starych zakonnice? Diecezja broniłaby ich w sądzie, nie szcędząc kosztów, a nawet gdyby stwierdzono ich winę, to co im zrobić? I tak przecież większość życia spędziły pod kluczem w klasztorze. To byłoby kompletne marnotrawstwo publicznych pieniędzy, że nie wspomnę o złej prasie dla nas. Nadal wielu jest takich, którzy uważają, że jeśli młoda niezamężna kobieta zajdzie w ciążę, to nie jest wiele lepsza od dziwki.

O Boże, pomyślała, wypowiadając te słowa. Ja też podpadam pod tę kategorię.

Zwłoki zdejmowano właśnie z cokołu latarni i opuszczano na nosze. Zostaną przewiezione do klinicznej kostnicy i Katie będzie musiała zadzwonić do

zrzędlivej doktor Reidy, żeby przysłała zastępcę patologa, który je zbada, bo doktor O'Brien odjechał już do Dublina.

– Gdyby mogli panowie wstrzymać się na chwilę! – zawołała, kiedy technicy podnosili nosze.

Czekali cierpliwie, aż podejdzie i nałoży na dłonie czarne lateksowe rękawice. Ujęła brzeg nasiąkniętego deszczem habitu i podwinęła go aż do połowy ud. W odróżnieniu od twarzy gołe nogi miały odcień bursztynowy, a nie brązowy; były jednak równie połyskliwe, jakby polakierowane lub opalone słońcem.

W miejscach, gdzie skóra była cieńsza, rzepki i piszczele przebiły się przez nią, a skóra lewego uda pękła. Zainteresowanie Katie wzbudziło to, że odsłonięte w ten sposób ciało nie było krwawe i jasnoczerwone, jak należałoby się spodziewać u ofiary poparzenia, lecz miało barwę bladobeżową niczym pieczona wieprzowina.

Stuknęła kostką dłoni w prawe udo martwej kobiety i poczuła kruchość, o której świadczył także odgłos.

Detektyw komisarz O'Rourke stał tuż obok Katie.

– Myślę, że trafiła pani w samo sedno – powiedział. – Ona została upieczona. Ale gdzie szukać takiego dużego pieca? W piekarni może? Albo w restauracji?

– Wydaje mi się, że musimy się najpierw dowiedzieć, kim ona jest – odparła Katie. – Wtedy może zdołamy rozpracować, w jaki sposób zginęła.

– Kimkolwiek jest, mam nadzieję że już nie żyła, kiedy ją piekli – wtrącił detektyw O'Donovan.

Gdy technicy odeszli z noszami, Katie z plaśnięciem ściągnęła rękawiczki z dłoni.

– Jeśli naprawdę jest zakonnica, Patricku, i zginęła z rąk zabójcy pozostałych trzech, to nie liczyłabym na to. Jeżeli te cztery morderstwa mają ze sobą coś wspólnego, to właśnie premedytację sprawcy, żeby zadać maksymalny ból.

\* \* \*

Zbliżyła się do gromadki reporterów telewizyjnych, radiowych i prasowych, którzy kręcili się obok pomnika ojca Mathew i palili papierosy. Rozległy się kasznięcia i zawołania „dźń-dobry”.

– No i co to za historia, pani detektyw nadkomisarz? – spytał Michael Malone z „Examinera”.

– W chwili obecnej mogę państwu powiedzieć jedynie tyle, że znaleziono martwą kobietę ubraną w szaty zakonne i przywiązaną do podstawy latarni – odparła Katie. – Naoczny świadek mniej więcej o czwartej trzydzieści rano widział dwóch mężczyzn w czarnych kurtkach z kapturami, którzy ją wiazali. Zwracamy się z apelem do każdego, kto mógł to zauważyć, by się z nami skontaktował.

Apelujemy także do wszystkich, którzy we wczesnych godzinach rannych mogli widzieć w centrum miasta dwóch podejrzanie zachowujących się mężczyzn.

– Czy ofiara naprawdę była zakonnica?

– Na razie nie mogę podać państwu dalszych szczegółów, ale jak tylko dowiem się więcej, zwołamy konferencję prasową na komendzie.

– Z tego, co zauważyłam... no nie wiem, wyglądała mi na Afrykankę – powiedziała Jean Mulligan z „Echa”. – Sądzi pani, że to mogło być przestępstwo na tle rasowym?

– Nie wiemy jeszcze, kim jest ofiara i jakiej mogła być narodowości – odparła Katie. – Ale mogę panią zapewnić, że nie była czarna.

– Więc dlaczego tak wyglądała? Czy to miało coś wspólnego z przyczyną śmierci?

– W tej chwili nie mogę odpowiedzieć na więcej pytań. Mathew McElvey z biura prasowego policji skontaktuje się z państwem.

– To jest czwarta zakonnica zamordowana w Cork w ciągu zaledwie paru dni – zauważył Michael Malone. – I nie dość, że zamordowana, to jeszcze w naprawdę nietypowy sposób. Proszę nam nie wmawiać, że ta sprawa nie ma związku z poprzednimi.

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że kontynuujemy dochodzenie i robimy postępy w działaniach zmierzających do wykrycia sprawcy.

– No to kamień spadł mi z serca, bo to nie wygląda już jak seria niezwiązanych ze sobą zabójstw, tylko jak zaplanowany odstrzał.

\* \* \*

Katie weszła do gabinetu i zapaliła światła, bo na dworze wciąż było ciemno. Jeszcze zanim zdjęła płaszcz, wybrała na komórce numer Johna. Jego telefon dzwonił i dzwonił, ale on nie odbierał.

Pomyślała, żeby wysłać mu drugą wiadomość, ale już mu przecież napisała, że go kocha i chce z nim rozmawiać. Co jeszcze mogła dodać? Poza tym John oznajmił, że potrzebuje czasu i miejsca do namysłu, uznała więc, że lepiej będzie mu na to pozwolić.

Mówiła wprawdzie, że obudzi różne osoby, żeby uruchomić śledztwo, ale miała świadomość, że jest za wcześnie, by dzwonić do doktor Reidy, i zdawała sobie sprawę, że przejrzenie zapisu z kamer monitoringu miejskiego na St. Patrick's Bridge i przyległych ulicach będzie możliwe dopiero za kilka godzin. W śródmieściu Cork znajdowało się ponad trzydzieści kamer wysokiej rozdzielczości i choć pokój radiowy obsadzony był przez funkcjonariuszy Gardy dwadzieścia cztery godziny na dobę, to śledzenie wszystkich monitorów bez przerwy nie było możliwe.

Miała teraz dwie lub trzy godziny względного spokoju, mogła przez ten czas

ochłonać po wydarzeniach z nocy, napić się kawy, zjeść batonik i nadgonić z papierkową robotą.

\* \* \*

Zaraz po siódmej przestało padać, szare chmury się rozplynęły i przez okno gabinetu zajrzało blade słońce. Katie zastanawiała się właśnie nad drugą kawą latte, kiedy do drzwi zapukał detektyw Dooley.

– Dzień dobry, pani nadkomisarz! – przywitał ją. – Chyba mamy trop w sprawie Roisin Begley.

– Naprawdę? Zobaczył pan, z kim się spotkała?

– Nie bezpośrednio. Ale przejrzałem wszystkie nagrania z kamer wokół Hanover Street mniej więcej z tego czasu, kiedy opuściła Havana Brown's. Widać ją, jak wychodzi, staje i rozgląda się, bo nikt tam na nią nie czekał. Ale potem ktoś chyba coś krzyknął i zwrócił na siebie jej uwagę, bo dziewczyna rusza szybko w kierunku zachodnim, ku Arthur's Bar na rogu. Oczywiście po obu stronach ulicy przed Havana Brown's są podwójne żółte linie, więc jeśli ktoś czekał na nią w samochodzie, musiał parkować na Cross Street. Roisin wychodzi poza wizję, więc nie widać, żeby się z kimś spotykała lub wsiadała do samochodu, ale jakieś pół minuty później widzimy czarnego lexusa GS, który jadąc Hanover Street w kierunku wschodnim, mija wejście do Havana Brown's. Wóz ma przyciemniane szyby, zatem nie da rady zidentyfikować pasażerów. Dojeżdża do South Main Street i skręca w prawo, a potem znów w prawo we French's Quay, i wtedy nam znika. Ale nie szkodzi, bo mamy jego tablicę rejestracyjną.

– No, to jest przełom – przyznała Katie. – A sądząc po pańskiej zadowolonej minie, namierzył pan już właściciela.

– O tak. Kto to powiedział, że Gwiazdka jest tylko raz w roku? Wóz zarejestrowano na Savitas Clothing Traders w Ballycurreen Industrial Estate. „Savitas” oznacza po litewsku „wyróżniający”, a firmę Savitas Clothing Traders najbardziej wyróżnia to, że jej głównym wspólnikiem jest Dovydas Karosas.

– No coś podobnego! Jakies trzy lata temu prowadziliśmy dochodzenie przeciwko Karosasowi za kradzież worków z ubraniami ze zbiórki charytatywnej sprzed domów w Glasheen. Wysyłał je na Litwę do przeróbki i zarabiał na tym krocie. Oprócz tego od zawsze parał się stręczeniem młodocianych dziewcząt wraz z naszym drogim przyjacielem Michaeliem Gerretym.

– Naprawdę ścigała pani Karosasa? I co z tego wyszło?

– A jak pan myśli? Zarzuty oddalone z powodu braku dowodów. Innymi słowy, oddalono je dlatego, że wszystkich naszych świadków postraszone, że ktoś poobcina im języki.

– O Jezu – westchnął Dooley. – Ten zapis z monitoringu to żaden dowód na to, że Karosas zabrał Roisin. Ale spróbuję zdobyć nakaz rewizji jego samochodu.

Możliwe, że jeśli doszło do jakiegokolwiek szarpaniny, zostawiła w nim odciski palców lub włosy.

– Doskonale, proszę to zrobić. Ale kiedy już zdobędzie pan ten nakaz, a nic nie powinno stanąć temu na przeszkodzie, proszę mi dać znać. Jeżeli będzie pan przeszukiwał samochód Karosasa, chcę przy tym być osobiście, choćby po to, żeby napawać się jego dyskomfortem.

– Słucham?

– Karosas to jeden z tych gnojów, którzy lubią mi się śmiać w oczy, bo myślą, że nie zdołam ich dopaść. Nawet jeśli nic w jego samochodzie nie znajdziemy, chcę patrzeć, jak się wiję, po prostu.

\* \* \*

Nieco ponad czterdzieści minut później zadzwonił do niej detektyw O'Donovan. Poprosił, żeby zeszła do pokoju radiowego i zobaczyła zapis z kamer, na którym widać, jak zakonnica jest przywiązywana do słupa latarni na St. Patrick's Bridge.

– Ale nie powiedziałbym, że to nagranie może kogoś oświecić, no wie pani...

Po obejrzeniu nagrania na dużym ekranie musiała mu przyznać rację. Wydawało się, że kamery nie uchwyciły nic, czego by już nie wiedziano. Jedenaście po czwartej z Bridge Street od północnej strony rzeki wyszło dwóch postawnych mężczyzn w czarnych kapturach, którzy podtrzymywali ciało kobiety. Jej ręce spoczywały na ich barkach, a bosa nogi wlekły się po chodniku. Z daleka łatwo można było się pomylić i stwierdzić, że pomagają kobiecie, która za dużo wypila.

Przeszli na południową stronę mostu, unieśli ją i przypasali do słupa. W trakcie tej czynności przejechała obok prywatna biała taksówka, ale był to jedyny pojazd w zasięgu wzroku. Mężczyźni skończyli przywiązywać zakonnice, a potem szybko wrócili tą samą drogą; trzymali ręce w kieszeniach, a ich twarze przez cały czas pozostawały w cieniu kapturów.

– Ale proszę spojrzeć teraz – odezwał się detektyw O'Donovan. Po kilku minutach na ramieniu zakonnicy usiadła siwa wrona. Wahala się przez chwilę, a potem dziobnęła ją w usta. Wkrótce potem dołączyła do niej druga wrona, wylądowała na wierzchu welonu i nachyliła się, by dziobać oczy.

Nie minęło wiele czasu, gdy pojawił się pierwszy radiowóz, a potem drugi i wrony odfrunęły niechętnie. Zapis nie zawierał fonii, lecz Katie wyobraziła sobie, że ptaki kraczą poirytowane.

– A więc to dlatego nie miała oczu – stwierdziła Katie. – I dlatego jej wargi były tak pokancerowane.

– Na to wygląda – rzucił O'Donovan. – Ale poza tym z tego nagrania dużo

dla nas nie wynika, prawda?

– Owszem – zgodziła się Katie. – Mimo to proszę puścić je jeszcze raz. – Wcześniej oglądała na stojąco, ale teraz usiadła na obrotowym krześle przed ekranem, żeby przyjrzeć się dokładniej. Dwaj mężczyźni w kurtkach z kapturami przemierzają most. Jeden wspina się na podmurówkę i chwytą zwłoki kobiety pod pachami, drugi łapie ją za biodra i dźwiga.

– Proszę zatrzymać – poleciła Katie. Nachyliła się i wpatrywała intensywnie w ekran. – O ile może pani powiększyć?

– Całkiem sporo – odparła młoda jasnowłosa funkcjonariuszka obsługująca monitor i powiększyła obraz tak, że dwaj mężczyźni i ich ofiara prawie wypełnili ekran. Znajdowali się niemal pięćdziesiąt metrów od obiektywu, ale była to niedawno zainstalowana kamera wysokiej rozdzielczości, więc obraz był tylko minimalnie rozmazany.

– Spójrzcie – poprosiła Katie. – Na tego, który ją podnosi. Czy ja się mylę, czy on nie ma małego palca u lewej ręki?

Detektyw O'Donovan schylił się nad jej ramieniem.

– Ma pani rację. Rzeczywiście ma tylko cztery palce. Widać kikut.

– A zatem nie wiemy, co za jeden, jeszcze nie, ale jak już go namierzemy, ciężko mu będzie udowodnić, że to nie był on.

## Rozdział 45

Katie poszła do nadkomisarza Pearse'a. Zajadał właśnie bagietkę z serem, lecz pospiesznie otworzył szufladę i wrzucił do niej kanapkę.

– Nie chciałam panu zakłócać śniadania. – Uśmiechnęła się.

Pearse machnął ręką.

– Ależ skąd, nic się nie stało – odrzekł z ustami pełnymi na wpół przeżutego pieczywa. – Jak mogę pani pomóc?

– Chodzi o to, że mój partner na jakiś czas wyjeżdża, więc w ciągu dnia nie będzie nam potrzebna ochrona, nie wtedy, kiedy będę tu, na komendzie.

– A, no dobrze. Rozumiem. Sierżant Willis dzwonił do mnie wcześniej z Midleton i coś o tym wspominał. Kiedy wyjeżdża pani partner?

– Jeszcze dzisiaj. Nie wiem dokładnie o której. Ale jak tylko odjedzie, mogą zejść z posterunku. A wieczorem dam panu znać, zanim wyjadę z komendy.

– No dobra, ogromne dzięki. – Nadkomisarz Pearse zapisał coś w elektronicznym notesie. – Wie pani, kiedy wraca?

Katie się zamyśliła, bo przypomniał jej się rozdarty na połowy portret, i nie odpowiedziała.

Nadkomisarz uniósł głowę.

– Kathleen? Pani partner... Czy wie pani, kiedy wraca?

– Ach, nie. Przepraszam. Nie, nie wiem. Wyjazd służbowy. Załatwia dużo interesów w Europie. Środki farmaceutyczne.

Uśmiechnęła się do Pearse'a i wyszła z gabinetu. Kiedy jednak odwróciła się, by zamknąć drzwi, zobaczyła, że ten dalej ją obserwuje i nie wyjął z szuflady swojej bagietki z serem.

\* \* \*

Zadzwoiła do detektywa O'Donovana i zapytała go, czy jest gotów do wyjazdu do klasztoru Bon Sauveur. Wkładała akurat płaszcz, gdy w drzwiach pojawił się Denis McBride, spec od balistyki.

– Denis! Coś ważnego? Bo strasznie mi się śpieszy.

– Chciałem tylko powiedzieć, że skończyłem analizy pocisku, który wyjąłem ze ściany pani salonu. Bez wątplenia został wystrzelony z tego samego karabinu, z którego zabito detektywa Horgana.

– Rozumiem. Więc wygląda na to, że ktoś celuje do mnie, prawda?

– No cóż, to już sama pani oceni. Ja tylko robię balistykę. Ale jest jeszcze coś, o czym chyba powinna pani wiedzieć. To może być coś albo nic. Może zwykły błąd urzędniczy.

– Słucham.



– Pomyślałem, że zrobię próby ogniowe z nabojami siedem sześćdziesiąt dwa, podobnymi do tych, które wystrzelono do pani i detektywa Horgana. To by mi pomogło między innymi obliczyć odległość, z jakiej oddano strzały, i ustalić, czy użyto celownika teleskopowego. Miałbym dzięki temu lepsze pojęcie o broni, której używał sprawca.

Katie zerknęła na zegarek na biurku. Na parkingu czekał na nią detektyw O'Donovan, Denis zaś mówił bardzo powoli i metodycznie, jakby musiał wyjmować sobie każde słowo z ust, dokładnie je obejrzyć i rozważyć, czy jest właściwe. I dopiero wtedy mógł je umieścić z powrotem w ustach i wypowiedzieć na głos.

– Wiedziałem, że są w magazynie broni dwa karabiny pasujące do obrazka: rosyjski dragunow i jugosłowiańska zastava M-siedemdziesiąt. Oba zostały skonfiskowane podczas nalotów na handlarzy narkotyków w ciągu minionych sześciu miesięcy i trzymano je tutaj, żeby czekały na procesy sądowe właścicieli.

– No, rozumiem – powiedziała Katie. – I czego się pan dowiedział z tych prób ogniowych?

– Jeszcze ich nie przeprowadziłem.

– Aha. Więc... o czym chciał mnie pan poinformować?

– Dragunow zniknął – odparł Denis. – W aktach nie ma żadnego śladu po tym, że ktoś się podpisał i go pobrał, ale karabinu też z pewnością nie ma.

– Przecież nikt nie może sobie wziąć broni z magazynu bez złożenia podpisu. A broń jest całkowicie zabezpieczona. Tak w każdym razie powinno być. Nikt nawet nie może tam wejść, no, chyba że...

– Możemy się tylko domyślać, pani nadkomisarz.

Katie chwilę się zastanawiała.

– Dobrze, Denis – rzuciła w końcu. – Dziękuję, że mi pan powiedział. Dopilnuję, żeby jedna z moich ekip przyjrzała się tej sprawie.

Kiedy wyszedł z gabinetu, wcisnęła do kabury niklowany rewolwer i wzięła swoją torebkę z czarnej skóry. Zjeżdżając windą, przyjrzała się sobie dokładnie w lustrze. Doszła do wniosku, że zważywszy na napięcia, które spadły na nią w ciągu ostatnich ośmiu godzin, wygląda na kobietę zaskakująco spokojną, pozbieraną i zadbaną.

Ale to, co powiedział Denis o zaginionym dragunowie, bardzo ją zaniepokoiło. Jeśli broń się nie zapodziała wskutek pomyłki urzędniczej, ktoś musiał ją wziąć, a jedyną osobą, mogącą uzyskać dostęp do policyjnego magazynu, była ta, która dysponowała odpowiednim zakresem władzy. Lecz czy mogła zabrać broń tak, by nie zauważył tego funkcjonariusz odpowiedzialny za magazyn? Chyba że ten przyłożył do tego rękę.

Musi zlecić zbadanie tej sprawy, i to prędko, choćby przez wzgląd na własne bezpieczeństwo – zwłaszcza jeśli dragunow był bronią, z której zabito detektywa

Horgana i z której strzelano do niej. Najpierw jednak będzie musiała omówić to z komendantem MacCostagáinem, bo przecież chodziło nie tylko o zniknięcie karabinu. W grę wchodziło bezpieczeństwo komendy i przestrzegania procedur. A takie coś mogło się skończyć tym, że spadnie czyjaś głowa.

\* \* \*

Matka O'Dwyer popatrzyła na Katie zimnym wzrokiem.

– O co mnie pani oskarża? – spytała.

– Ależ o nic matki nie oskarżam. Mówię tylko, że nasza pierwsza rewizja w klasztorze mogła nie być wystarczająco dokładna. Logika podpowiada, że powinniśmy byli znaleźć pewne obiekty, a ich nie znaleźliśmy.

– Wasi funkcjonariusze przetrząsnęli moje ubrania i rzeczy osobiste – oznajmiła matka O'Dwyer. – Jak może pani być nieusatysfakcjonowana wynikami rewizji, która objęła zdjęcia mojej nieboszczki mamy i... moją bieliznę?

– Będę z matką szczerą. Prawie zakończyliśmy wykopaliska w klasztornym ogrodzie i znaleźliśmy jak dotąd szczątki pięciuset trzydzieścioro siedmioro dzieci w różnym wieku.

– Już mówiłam, pani detektyw nadkomisarz, że nie usłyszysz ode mnie ani jednego więcej komentarza o tym, co być może odkryliście. Będzie pani musiała rozmawiać z naszymi doradcami prawnymi.

– Zapomnijmy o kwestii odpowiedzialności za zgony tych dzieci i za to, że ich ciała lądowały w szambie, zamiast zostać przyzwoicie pochowane. Nie szukam w tej chwili odpowiedzi na te pytania. Nasi ludzie, ci, którzy przeprowadzali rewizję, nie zdołali dotychczas znaleźć żadnego rejestru dotyczącego tożsamości tych dzieci, przyczyn ich śmierci oraz dat.

Matka O'Dwyer założyła okulary.

– Mogę pani wyjawiać jedynie tyle, że rejestr taki jest niedostępny.

Detektyw sierżant Ni Nuallán stała przy oknie gabinetu matki O'Dwyer, odwrócona plecami. Patrzyła, jak z niebieskiego namiotu są wynoszone w workach ostatnie szkielety; obchodzono z nimi budynek i niesiono przed jego część frontową do czekających furgonetek z biura koronera, które miały je zabrać.

Teraz jednak się odwróciła.

– Ale taki rejestr być może istnieje? – zapytała.

Brawo za sprytnie zadane pytanie, Kyno, pomyślała Katie, zwłaszcza za wyrażenie „być może”.

Matka O'Dwyer nie wykluczyła przecież istnienia takiego wykazu. Powiedziała tylko, że jest niedostępny, cokolwiek mogło to znaczyć. Detektyw sierżant postawiła ją wobec konieczności powiedzenia prawdy lub jawnego kłamstwa w obliczu Boga oraz świętej Małgorzaty z Cortony, której wizerunek, z rękami wyciągniętymi ku niebu, wisiał za nią na ścianie.

Zakonnica nie odpowiedziała, tylko zacisnęła mocno usta.

– Czy taki rejestr istnieje? – zawtórowała podwładnej Katie.

– Nie... nie odpowiem już na żadne pytania! – wyrzuciła z siebie matka O'Dwyer. – Czy jeszcze nie dałam tego jasno do zrozumienia? Jeśli będziecie mnie dalej nękać, będę zmuszona złożyć przeciwko wam oficjalną skargę!

– To akurat wcale mnie nie martwi, matko O'Dwyer – powiedziała Katie. – Złożono przeciw mnie więcej oficjalnych skarg, niż siostra zmówiła nowenn. Ale jeśli taką przyjmie matka postawę, załatwię, by przeprowadzono dogłębną rewizję klasztoru, od góry do dołu, i to niezwłocznie.

– Już to przecież zrobiliście!

– Owszem, ale zrobimy to od nowa. I nie ma sensu składanie zażaleń do doradców prawnych. Nakaz wydany przez sąd okręgowy pozwala nam szukać tak długo, aż będziemy całkowicie usatysfakcjonowani, aż znajdziemy to, czego poszukujemy, albo uzyskamy pewność, że to coś naprawdę nie istnieje.

Matka O'Dwyer zdjęła okulary i zginała je raz po raz ze złości i zdenerwowania.

– Istnieje wybór, matko O'Dwyer – powiedziała bardzo łagodnie Ni Nuallán.

– A jakież to wybór, jeśli wolno spytać?

– Mogłaby siostra najzwyczajniej przekazać nam rejestr zgonów tych dzieci i wszystkie inne, które mogły nie być dostępne podczas pierwszej rewizji.

– Sugeruje pani, że zatajałyśmy coś przed wami?

– Tak – odrzekła detektyw sierżant Ni Nuallán.

I wtedy matka O'Dwyer złamała na pół swoje okulary.

\* \* \*

– Jak idzie polowanie na zakonnice? – spytała Katie, kiedy jechały przez Summerhill w kierunku centrum.

– Nadal tkwię w martwym punkcie, jeśli chodzi o siostrę Virginie, ale w sklepie charytatywnym Cois Tine dowiedziałam się czegoś o siostrze Nessie. Zadzwoiłam tam z nikłą nadzieją, że siostra Nessa mogła wykorzystywać swoje doświadczenie z Malawi, by pomagać Afrykankom w Cork, i okazuje się, że tak robiła. Organizowała imprezy dla Towarzystwa Kobiet Afrykańskich, no wie pani, potańcówki, poezja i takie rzeczy, oraz pogadanki o zdrowiu i integracji. Kobieta z Cois Tine, która odebrała telefon, powiedziała mi, że siostra Nessa pojechała odwiedzić siostrę w Anglii, ale w sobotę będzie w Cork. Nie miała jej numeru kontaktowego, ale poprosiłam ją, żeby siostra Nessa zadzwoniła do mnie, jak tylko wróci do domu. Powiedziałam, że to bardzo pilne.

– To dobrze – ucieszyła się Katie. – Przynajmniej wiemy, że jest bezpieczna. Ma pani jej adres, prawda?

– Tak, oczywiście. Mieszka w Dunmore Gardens w Knocknaheeny, zaraz

naprzeciwko boisk sportowych. Jeśli nie zadzwoni do mnie w sobotę, sama się tam wybiorę.

Przejechały Brian Boru Bridge. Mewy, trzepocząc skrzydłami, biły się między sobą nad czarnym obiektem, który unosił się pośrodku rzeki. Nim policjantki dotarły na drugą stronę mostu, Katie zobaczyła, że jest to utopiony pies.

– A tak odbiegając od zakonnic – powiedziała. – Co z panią?

Detektyw sierżant Ni Nuallán zasygnalizowała skręt w Anderson's Quay i czekała, aż przejadą samochody z naprzeciwka, lecz nie odwróciła głowy, by spojrzeć na Katie.

– Złożyłam wniosek – odparła. – Ale jak dotąd nic.

– Nadal jest pani pewna, że chce pani wyjechać z Cork?

– Nie wiem, co innego mogę zrobić. To wpływa na moją koncentrację. Załamuje mnie.

Katie zapragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć jej ramienia, ale trzymała ręce mocno splecione na kolanach.

– Powinnyśmy o tym pomówić, Kyno. Musi być jakiś sposób. Jesteś jednym z najlepszych detektywów w mojej ekipie i nie chcę cię stracić. Nie chcę cię także utracić jako przyjaciółki. Zawsze mogę liczyć na twoje psychiczne wsparcie, kiedy mi go najbardziej potrzeba.

– Tylko że to tak bardzo boli... Jesteś blisko, codziennie, a mnie nie wolno okazać, co do ciebie czuję. Muszę się zwracać per pani, a tak naprawdę chcę cię wziąć w ramiona i pocałować.

– Kyno, ja wiem, że to trudne. Rozumiem doskonale twoją frustrację. Ale nawet jeżeli dostaniesz to przeniesienie do Dublina, co cię tam spotka? A jeśli zadurzysz się w innej funkcjonariuszce? Takie rzeczy się zdarzają, po prostu trzeba z tym jakoś żyć.

Ni Nuallán pokręciła głową. Miała łzy w oczach, a jej blond włosy się potargały, lecz Katie musiała przyznać przed sobą, że nigdy nie widziała jej tak ładnej.

Kiedy skręcały na parking, położyła dłoń na jej udzie i powiedziała:

– Przyjedź do mnie, może w niedzielę... Spędzimy razem trochę czasu i wszystko obgadamy. Jeśli mimo to postanowisz wyjechać... to cóż, trudno. Ale spróbujmy chociaż pomyśleć o innych rozwiązaniach.

– A twój partner? Co on sobie pomyśli?

– John? Z Johnem nie będzie kłopotu. Zostawił mnie.

Zaszokowana dziewczyna patrzyła na Katie.

– Zostawił cię? Nie wierzę! Kiedy odszedł? Dlaczego?

– W nocy. – Katie poczuła grudę w gardle i musiała ją przełknąć, by mówić dalej. – Wszystko ci opowiem, kiedy przyjdiesz w niedzielę. Bo przyjdiesz, prawda?

Otworzyły się tylne drzwi komendy i wyszło dwóch roześmianych mundurowych. Katie i Ni Nuallán patrzyły sobie w oczy, ale nie mogły zrobić nic więcej, by okazać sobie bliskość. W bufecie już rozniosły się plotki, że detektyw sierżant Ni Nuallán jest homo.

– Tak – powiedziała. – Przyjdę.

## Rozdział 46

Katie nie poszła od razu do swojego gabinetu, lecz do zastępcy komendanta Jimmy'ego O'Reilly'ego. Nazajutrz w południe w kościele Świętej Trójcy miał się odbyć pogrzeb państwowy detektywa Horgana i dwóch funkcjonariuszy, którzy ponieśli śmierć w wybuchu w Spring Lane, Mullana i Burnsa.

Zaplanowano publiczny przemarsz St. Patrick's Street i do kościoła przy Father Mathew Quay. Mowę miała wygłosić Tánaiste, gdyż Taoiseach<sup>6</sup> złożyła grypa. Komendant główny Gardy odczyta naukę, a nadkomisarz Pearse będzie mówił o najwyższej ofierze, którą złożyli funkcjonariusze Mullan i Burns; Katie została poproszona o oddanie osobistego hołdu detektywowi Horganowi.

Zapukała do drzwi gabinetu zastępcy komendanta O'Reilly'ego.

– No, wchodź, Barry!

Otworzywszy, zdumiała się na widok Bryana Molloya, który siedział w fotelu przy oknie z nogą założoną na drugą. Jej pierwsze wrażenie było takie, że nie wygląda zdrowo. Miał cerę bladą jak łój i przybrał na wadze. Szary garnitur był na niego o wiele za ciasny, a szyja wylewała mu się z kołnierzyka. On również wybałuszył oczy. Było oczywiste, że jest tak samo zdziwiony, jak ona, a także jak Jimmy O'Reilly.

– Ach, to pani – powiedział zastępca komendanta, odwracając się. – Spodziewałem się Barry'ego Pearse'a.

– Mam sobie iść? – zapytała. – Wygląda na to, że mają panowie jakieś sprawy do omówienia.

– Nie, nie, Kathleen, proszę wejść i zostać. Prędzej czy później będzie pani musiała się o tym dowiedzieć, więc może lepiej od razu. Zgadzasz się, Bryan?

Molloy wzruszył ramionami i pociągnął nosem jakby na znak, że nie oponuje. Gapił się jednak na nią bez mrużenia oczu z takim samym zaciętym wyrazem twarzy jak wtedy, gdy pełnił obowiązki komendanta. Katie zamknęła drzwi, przemierzyła gabinet i usiadła naprzeciw niego.

– Bryan przyjechał zobaczyć, czy możemy dojść do jakiegoś porozumienia w tej sprawie z Niallem Dugganem – oznajmił O'Reilly.

– Ma pan na myśli to, że przekupił Doniego Quaida, by ten zastrzelił Neilla Duggana, i dostarczył Doniemu broń? To pan nazywa sprawą?

– Do niczego się nie przyznaję – odparował Molloy. – Nieważne, kurwa, w jaki sposób zginął, śmierć Nialla Duggana to była najlepsza rzecz, jaka spotkała Limerick od czasu wybudowania Shannon Free Zone, i wie to pani tak samo dobrze jak ja.

– Donie Quaid dostał powołanie do wyższej służby, więc nie możemy go aresztować za zabójstwo – wtrącił zastępca komendanta. – A ja muszę się zgodzić

z Bryanem, że odejście Nialla Duggana bardzo się przyczyniło do zakończenia waśni między przestępczymi klanami w Limerick. Kathleen, chcę powiedzieć, że nawet jeśli będzie pani prowadziła to śledztwo aż do gorzkiego końca, nie będzie z tego żadnej namacalnej korzyści i jest wysoce nieprawdopodobne, by prokuratura zgodziła się postawić zarzuty.

– A więc do czego właściwie pan zmierza? – spytała. – Wydaje mi pan polecenie, żebym zamknęła sprawę? Czy o to chodzi?

O'Reilly skrzywił się groteskowo, jakby męczyło go zatwardzenie.

– Kathleen, posłuchaj mnie, jeśli to zrobię, mógłbym się znaleźć w bardzo kompromitującej sytuacji. Jeżeli jakiś dziennikarz śledczy z „Examinera” przypadkiem by się dowiedział, że mimo twoich sprzeciwów poleciłem ci odpuścić tę sprawę, wyglądałoby to tak, jakbym nie chciał czegoś ujawnić opinii publicznej.

– A tak nie jest? – Serce biło Katie szybciej, bo zdawała sobie sprawę, że ryzykuje, otwarcie rzucając mu wyzwanie.

– Ty nie rozumiesz, Katie – odezwał się Malloy, lecz wyraz jego twarzy mówił: „Jezu, czemu te baby są takie, kuźwa, tępe?”. – Proponuję, że wycofam skargę przeciwko tobie, którą złożyłem w biurze rzecznika komendy głównej.

– I co? Ludzie z biura rzecznika przekonali się, że to ty dostarczyłeś pistolet, z którego zabito Nialla Duggana. Na pewno już cię o tym zawiadomili. Powiedziałabym, że są teraz o wiele bardziej po mojej stronie niż po twojej.

O'Reilly chodził tam i z powrotem po gabinecie.

– Spójrzmy na to praktycznie, Kathleen – odezwał się w końcu. – Postawmy grubą kreskę, zapomnijmy o tych wszystkich zbytecznych przepychankach. To tylko nadszarpnie reputację Garda Síochána, a w tej chwili musimy robić wrażenie służby uczciwej, skutecznej, a nade wszystko godnej zaufania.

Odliczając na palcach, kontynuował:

– Walczymy z handlarzami narkotyków, ze zbrojnymi napadami, z przekrętami finansowymi, z niewolnictwem seksualnym i przemocą domową. Musimy mieć po swojej stronie opinię publiczną, a jeżeli będziemy ciągnęli sprawę przeciwko Bryanowi, wcale nam to nie pomoże.

– A więc o jakiej ugodzie pan mówił? – zapytała Katie.

– To całkiem proste. Pani ze swojej strony ogłasza, że postanawia zamknąć dochodzenie przeciwko Bryanowi z powodu braku dowodów. No i spójrzmy prawdzie w oczy, jakie tak naprawdę ma pani dowody poza zeznaniem podstarzałej prostytutki z Limerick i gromady uczniaków? W zamian Bryan wycofa skargę przeciwko pani o nękanie i zakulisowe podkopanie jego autorytetu.

Katie popatrzyła na Molloya, który dalej gapił się na nią niczym buldog marzący o tym, by zerwać się ze smyczy.

– Za tym musi się kryć coś więcej – rzuciła. – Co on będzie z tego miał poza tym, że dostanie świstek zwalniający go z odsiadki?

– Po pierwsze, akta jego służby zostaną oficjalnie zatwierdzone, a nawet pani musi przyznać, że zapisał się w historii Garda Síochána bardzo pozytywnie. Po drugie, Garda orzeknie, że musiał odejść ze służby ze względu na stan zdrowia i że ma prawo do pełnej emerytury oraz wszelkich świadczeń chorobowych, które mogą mu być należne.

– A co z wyłudzeniem łapówek od przestępców w zamian za wycofanie zarzutów przeciwko nim? Co z punktami karnymi, które w zagadkowy sposób znikają z praw jazdy bogatych i sławnych osób?

– To się nigdy nie zdarzyło – oznajmił Molloy.

– Ach nie?

– Musiałabyś to udowodnić, a nie możesz. Nikt nie może.

Znów nastąpiła długa chwila ciszy. Z powodu napięcia, które wisiało w powietrzu, mięśnie brzucha Katie napięły się i poczuła, że natychmiast musi się wysikać. Mimo to wolała się zmoczyć przed tymi dwoma, niż zgodzić na to, co jej podsuwali. Jako szef komendy na Anglesea Bryan Molloy pomiałał ją bezlitośnie i nie pozwolił mu osiągnąć korzyści z jego porażki.

Wyczuwała, na co się zanosi. Czy Francis O'Rourke nie ostrzegł jej przed masonami ze starej szkoły, którzy zajmowali wysokie stanowiska w Gardzie i chodzili grać razem w golfa? Bryan Molloy był jednym z nich, tak samo jak Jimmy O'Reilly; chcieli wyciszyć sprawę, ukreć jej łeb.

Katie wstała.

– No więc? – odezwał się zastępca komendanta. – To sensowna prośba, nie sądzi pani? I nastanie powszechny pokój.

– Przemyślę to – odparła. – Ale ostrzegam panów, że moja odruchowa reakcja jest taka, żeby nie mieć z tym nic wspólnego.

Bryan Molloy klepnął dłońmi w oparcia fotela.

– Jezu! Zawsze cię uważałem za wstrętą, pieprzoną zarozumiałą sukę!

– Bryan, do kurwy nędzy, to nam nic nie da – upomniał go O'Reilly. – Wybacz pani, Kathleen, on jest bardzo zestresowany po tym wszystkim, co się stało. Proszę, przemyśl to, tak jak mówiłaś. Ale policji wcale nie wyjdzie na dobre, jeśli tej sprawy nie załatwimy.

– Odezwę się – rzuciła. – My, plemię z cyckami, nie celujemy w decyzjach na gorąco.

Dopiero kiedy dotarła do swojego gabinetu i usiadła na sedesie w łazience, uprzytomniła sobie, że nie zamieniła z zastępcą komendanta ani słowa o jutrzejszym pogrzebie.

\* \* \*

Zatelefonował detektyw Dooley. Był zadyszany.

– Karosas właśnie się zjawił w Ballycurreen Industrial Estate. Postawiłem



tam paru funkcjonariuszy, żeby mieli na niego oko. Wszedł z jakąś kobietą i jednym gościem, zapalili światła i puścili muzykę, więc wygląda, że jakiś czas tam zabawią.

– Ma pan nakaz rewizji jego samochodu?

– Tak, mam – odparł Dooley. – Parę godzin temu wziąłem go od sędziego McNulty’ego. Ruszam od razu do Ballycurreen z Tyrone’em z sekcji kryminalistycznej, jeśli chce pani z nami pojechać.

– Zaraz tam będę. Ci dwaj funkcjonariusze nadal są na miejscu?

– Owszem, i poprosiłem ich, żeby zostali, aż przyjedziemy.

Katie czym prędzej włożyła płaszcz i zeszła na dół na parking. Detektyw Dooley siedział już w samochodzie, silnik pracował, a drzwi pasażera były otwarte.

– No dobra, jedźmy – rzuciła, kiedy zajęła miejsce. – I miejmy nadzieję, że nie ścigamy błędnego ognika.

Kompleks Ballycurreen Industrial Estate znajdował się nieopodal głównej drogi prowadzącej do lotniska, w pobliżu ronda Magic. Składał się z szeregu nijakich budynków hurtowni, magazynów i biur. Gdy Katie i detektyw Dooley przybyli na miejsce, większość była już zamknięta.

Siedziba firmy Savitas Clothing Traders znajdowała się na samym końcu osiedla, w małym pomalowanym na biało budynekczku z betonowym dziedzińcem od frontu i podwójnym garażem. Szyld przedstawiał maszerujący samodzielnie wytworny prążkowany garnitur z laseczką pod ramieniem i goździkiem wpiętym w klapę. Katie zauważyła brązową nieoznakowaną policyjną hondę, która stała po przeciwnej stronie ulicy, do połowy zasłonięta ogromną niebieską przyczepą z wielkim napisem „Irish Examiner” na boku. Dooley zawrócił i ustawił się za nią. Po chwili ciemnozieloną furgonetką nadjechał Tyrone z kryminalistyki.

Kiedy Katie i Dooley wysiedli, podszedł do nich wraz z dwoma funkcjonariuszami – młodymi i wyglądającymi na sprawnych fizycznie.

– Nie spodziewam się kłopotów – powiedziała Katie. – Ale z drugiej strony Karosas jest znany z tego, że pogrywa ostro. Uważamy, że mógł zabrać Roisin Begley spod Havana Brown’s tego wieczoru, kiedy została utopiona, i mamy nakaz rewizji jego samochodu, szukamy dowodów związanych z tą sprawą.

Ona i detektyw Dooley przeszli przez jezdnię, Tyrone i dwaj funkcjonariusze podążali blisko za nimi. Mijając lśniącego czarnego lexusa Karosasa, schylili głowy i zerknęli do wnętrza, ale w przyciemnionych szybach nie zobaczyli nic prócz swoich zniekształconych odbić. Dooley nacisnął dzwonek u drzwi siedziby firmy Savitas Clothing Traders i czekali.

– Zimno jak diabli – poskarżył się, zacierając ręce. – Mówili w telewizji, że śnieg może spaść.

– Myśli pan? – rzucił z powątpiewaniem jeden z funkcjonariuszy.

Już miał zadzwonić ponownie, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich

Davydos Karosas w jasnobrazowej kurtce ze sztruksowym kołnierzem; palił papierosa. Za nim pięły się w górę betonowe schody, Katie słyszała dobiegającą stamtąd muzykę akordeonową i śmiech.

– Czego chce? – zapytał. Zlustrował od góry do dołu Dooleya, a potem zobaczył Katie. – Ty? Czego chce?

Detektyw Dooley pokazał mu nakaz.

– Mamy nakaz przeszukania pańskiego samochodu, panie Karosas.

– Mojego samochodu? Po co chcecie przeszukać mój samochód?

– Widziano go na Hanover Street tego wieczoru, kiedy utonęła Roisin Begley – odpowiedziała Katie. – Mamy powody sądzić, że mógł ją pan stamtąd zabrać.

– Kto? Kiedy to było? Nie znam tego nazwiska. Nigdy nie byłem na Hanover Street, nigdy.

– Zaprzeczanie nic nie da, panie Karosas. Kamera monitoringu uchwyciła pański samochód, i to pan go prowadził.

– To pomyłka. Nigdy nikogo nie podwoziłem. Nie znam nikogo tego nazwiska.

– Jeżeli tak, to nie ma pan powodu do obaw, prawda? Mógłby nam pan dać kluczyki, proszę?

Karosas zaciągnął się mocno papierosem i wydmuchnął dym w kierunku Katie.

– A jak powiem nie?

– Jeśli odmówi nam pan wydania kluczyków do samochodu, panie Karosas, wtedy będziemy musieli dostać się do niego siłą.

– Zrobicie jedno zadrapanie na moim aucie i pożałujecie na zawsze, mówię wam za friko.

– W takim razie proszę dać mi kluczyki.

Milczał przez jakieś dziesięć sekund. Nie poruszał się, ale dym nadal sączył się z jego nosa przy oddychaniu. Katie także milczała, lecz trzymała rękę wyciągniętą, poruszając palcami.

– Wiecie, czym jesteście, świnie? – odezwał się w końcu. – Jesteście świnie.

Wyjął kluczyki z kieszeni kurtki i upuścił je na dłoń Katie. Podała je Dooleyowi, a ten przekazał je Tyrone'owi.

Tyrone nacisnął guzik zdalnego zamka, bursztynowe światła lexusa błysnęły i drzwi się otworzyły.

– Zróbcie jeden ślad – warknął Karosas.

– Proszę nas nie straszyć, panie Karosas – powiedziała Katie. – Mamy zadanie do wykonania, to wszystko.

Tyrone postawił metalową skrzynkę ze sprzętem kryminalistycznym i otworzył drzwi pasażera. Nachylił się z latarką halogenową i oświetlił, kawałek

po kawałku, całe wnętrze. Katie wyczuwała napięcie Litwina, który stał dalej w otwartych drzwiach budynku, wściekle paląc papierosa. Akordeon na górze wciąż grał i kobiecy głos zakrzyknął:

– *Davydos! Davyd! Ką tu darai?*

Karosas nie odpowiedział, tylko pstryknął peta na betonowe podwórze, od razu wyjął następnego papierosa i go zapalił. Z ledwo tłumioną wściekłością patrzył, jak Tyrone powoli i metodycznie ogląda każdy centymetr wnętrza lexusa, świecąc sobie dużą ręczną lampą ultrafioletową; najpierw sprawdził deskę rozdzielczą, przednie fotele i miejsca na nogi, następnie tylne siedzenie i bagażnik.

– O kurwa, o kurwa, o kurwa, nie wierzę – kłął pod nosem. – To rasizm. Robicie tak tylko dlatego, że jestem Litwin.

– Oczywiście, że to rasizm – odparła Katie. – Nie ma to nic wspólnego z faktem, że w przeszłości stosował pan przemoc, handlował niewolnicami seksualnymi i że kamera monitoringu uchwyciła pana w czasie, kiedy zaginęła młoda bezbronna dziewczyna.

– Ta, pierdol się, świnia jesteś!

Po około dwudziestu minutach Tyrone wysiadł z samochodu i zawołał Katie i detektywa Dooleya. Zaświecił lampą ultrafioletową na zagłówek fotela pasażera.

– O, tutaj... widzicie te cienkie niebieskawobiałe pasemka? Ludzkie włosy, w naturalnym świetle mają kolor blond.

– Karosas może mieć dziewczynę blondynkę – zauważył Dooley.

– Oczywiście, ale wzięłem próbki i będziemy je mogli porównać z włosami Roisin Begley. – Tyrone skierował lampę na deskę rozdzielczą. – Odciski palców, cała delikatna pajęczyna, i nie pochodzą tylko od otwierania i zamykania schowka przez pasażera. Te najnowsze świadczą o tym, że pasażer naciskał mocno na deskę nasadą lewej dłoni, ale także usiłował ją chwycić obiema dłońmi.

– A więc pasażer mógł się wrywać, to chce pan powiedzieć? – dopytywała się Katie. – Próbował powstrzymać kogoś, kto wyciągał go z samochodu?

– Jest to możliwe, owszem. Zwłaszcza jeśli popatrzy się na siedzisko.

Skierował latarkę w dół i Katie zobaczyła na skórze koliste smugi pośrodku, jakby ślady po wycieraniu szmatką. W naturalnym świetle były niewidoczne, ale ultrafiolet ukazywał je świecące nieziemskim błękitem.

– Ktoś najwyraźniej usiłował w pośpiechu oczyścić fotel – oznajmił Tyrone. – Ale nie wykazał się dokładnością. To jest mocz. Osoba siedząca w tym miejscu zmoczyła się.

– Oczywiście pobrał pan próbki? – spytała Katie.

– O tak. Mogą nam dostarczyć najbardziej obciążających dowodów. Pod warunkiem że będą zgodne z DNA Roisin Begley. Jeśli nie, to będziemy musieli przyjąć założenie, że pan Karosas miał jakiegoś znajomego, który nie mógł się doczekać, aż dojadą do domu.

Katie chętnie zmieniałaby temat rozmowy. Wiatr wiejący przez osiedle przemysłowe zrobił się jeszcze chłodniejszy, a ona czuła ciśnienie w pęcherzu. Była również pewna, że kiedy jechali samochodem, dziecko się poruszyło.

– Ale to jeszcze nie wszystko – ciągnął Tyrone. – Tutaj mamy dowód ten no... jak mu tam?

– Koronny.

– Tak. A właściwie kilka. Znalazłem je pod fotelem pasażera. Tak to wygląda, jakby spadły na podłogę i wtoczyły się pod fotel, kiedy auto przyspieszyło, a potem, gdy zwolniło, potoczyły się w przód i utkwiły pod matą. Jeśli ktoś sprzątał samochód w pośpiechu, a sądząc po plamach moczu, tak właśnie było, mógł je łatwo przeoczyć.

Otworzył kieszonkę na piersi kombinezonu i wyjął z niej przezroczystą torebkę na dowody; położył lampę ultravioletową na fotelu i wziął latarkę halogenową, żeby Katie mogła wyraźnie zobaczyć zawartość.

W środku znajdowało się pięć lub sześć połyskujących migotliwie płatków kwiatowych z paciorków z kryształkami udającymi pręciki. Były identyczne jak te na bransoletce Roisin Begley – tej z selfie zrobionego przez Abisolę w Havana Brown's kilka minut przed tym, jak Roisin wyszła się spotkać z Davydosem Karosasem.

Katie podeszła do drzwi. Litwin przywitał ją kłębiastą chmurą dymu z papierosa.

– No? Zadowolona ty?

– Proszę odpowiedzieć na jedno pytanie – powiedziała Katie. – Pozwala pan komuś innemu prowadzić swój samochód?

– Co? Ty wiesz, ile to kosztuje, lexus G trzy? Nikomu nie wolno dotknąć. W żołądku mi się przewraca, jak patrzę jak wy, świnię, go tykacie. Teraz muszę go kazać odstawić, pozbyć się waszego smrodu. Powinienem wam rachunek wysłać.

– Więc nikt nigdy nim nie jeździł, tylko pan?

– Zgadza się. Głucha ty jesteś czy co?

– W takim razie muszę pana poprosić, żeby pojechał pan ze mną na komendę przy Anglesea Street na przesłuchanie.

Karosas skrzył głowę tak, jakby cierpiał na zespół Tourette'a.

– Co? Oszalała? Po co? Nie jadę na waszą pieprzoną komendę. Po co? Idź się pieprzyć. Świnia.

– No cóż, jeśli nie pójdzie pan dobrowolnie, niniejszym aresztuję pana za uprowadzenie i morderstwo Roisin Begley – oznajmiła mu Katie. – Nie ma pan obowiązku czegokolwiek mówić, chyba że pan zechce, ale wszystko, co pan powie, zostanie zapisane i może być przedstawione jako dowód.

Znów skrzył głowę, a potem nagle się cofnął i usiłował zatrzaskać drzwi. Zanim jednak to zrobił, Katie złapała go za rękaw kurtki i pociągnęła na ścianę,

ramieniem otwierając znowu drzwi. Potem rąbnęła go mocno lewym łokciem w klatkę i jeszcze mocniejszym ciosem pięści trafiła go w kość policzkową.

Mężczyzna stracił równowagę i zatoczył się ku schodom. Katie weszła do środka z uniesionymi pięściami, gotowa go kopnąć, jeśli stawi opór. Detektyw Dooley także wkroczył, a dwaj młodzi funkcjonariusze podążali tuż za nim.

– W porządku, pani nadkomisarz, mamy go! – powiedział Dooley.

Opuściła pięści i już miała się cofnąć, kiedy Karosas oparł się dłonią o ścianę, zamachnął się nogą i kopnął Katie w brzuch.

Oszołomiona, poleciała do tyłu i w bok prosto w ramiona detektywa Dooleya, nie mogąc oddychać ani mówić. Dooley położył ją delikatnie na posadzce, a jeden z funkcjonariuszy przepchnął się obok i chwycił Karosasa za rękę. Kolega ruszył mu z pomocą i razem skuli Litwina, po czym przycisnęli go twarzą do ściany.

Katie leżała na boku, trzymając się obiema rękami za pulsujący bólem brzuch i wciągając powietrze do płuc. Z jej ust wydobywał się tylko cienki świst przerażenia. Detektyw Dooley uklęknął przy niej i położył rękę na jej ramieniu.

– Pani nadkomisarz? Mocno panią kopnął? Chce pani, żebym zadzwonił po sanitariuszy?

Pokręciła głową, lecz po chwili poczuła, że przewraca jej się w trzewiach – zakręciło się niczym bęben pralki pełen ciężkiej od wody bielizny. Jej gardło się zacisnęło i zwymiotowała, na podłogę poleciały kanapki zjedzone na lunch i wypita kawa.

– Przykro mi, wezwę karetkę – powiedział Dooley.

Znowu pokręciła głową, ale od razu zwymiotowała jeszcze raz pogryzionymi kawałkami jabłka i gorzkawą żółcią.

Detektyw Dooley wstał i wyjął telefon; Katie usłyszała, że prosi o przysłanie karetki. Próbowwała usiąść, ale mięśnie brzucha bolały tak bardzo i były tak mocno zaciśnięte, że tylko jęknęła i osunęła się znów na posadzkę. Jej włosy wpadły w wymiociny.

Zdołała unieść trochę głowę i zobaczyła, że Dooley podchodzi z tyłu do Karosasa.

– Ty chamie! Jak mogłeś tak kopnąć kobietę? Co z ciebie za kawał gnoja!

Litwin próbował odwrócić głowę.

– Pierdolić was. Pierdolić was wszystkich, świnie.

Dooley złapał go za czarne kręcone włosy z tyłu i rąbnął jego twarzą o ścianę, Katie usłyszała trzask pękającego nosa.

Akordeon na górze nagle zamilkł.

– *Davydos?! – rozległ się krzyk kobiety. – Kas vyksta? Kas ten su jumis?*

Katie ścisnęło w brzuchu i ból stał się nie do wytrzymania. Oślepił ją i zagłuszył wszystko, poczuła, że cały świat kurczy się do maciupeńskiej drobiny.

Pochłonęła ją ciemność, jakby wpadła do studni.

## Rozdział 47

Otworzyła oczy i pielęgniarka w białej bluzie uśmiechnęła się do niej.

Katie rozejrzała się i zobaczyła, że leży na szpitalnym łóżku, sama w sali. Roleta była ściągnięta, ale tylko nieco dalej niż do połowy, widziała więc, że na dworze jest ciemno.

Uniosła koc, który ją przykrywał. Miała na sobie szpitalną koszulę z wzorem w drobne szkarłatne kwiatuszki.

W brzuchu pulsował jej ból, ale przede wszystkim czuła odrętwienie.

– Gdzie ja jestem? – zapytała. Własny głos usłyszała przytłumiony, jakby miała w uszach zatyczki.

– W klinice uniwersyteckiej – odparła pielęgniarka, dalej się uśmiechając. – Zaatakowano panią, może pani pamięta, i doznała pani obrażeń. Jak się pani czuje?

– Sama nie wiem. Dziwnie. Brzuch mnie boli. Plecy też. Auu. Która to godzina?

– Dwadzieścia po trzeciej.

– Znaczą dwadzieścia po trzeciej rano?

– Zgadza się. Jest pani pod znieczuleniem.

Katie chciała usiąść, ale ręce okazały się zbyt słabe i nie zdołały jej unieść. Pielęgniarka pomogła jej się nachylić i wsunęła jej pod plecy jeszcze jedną sporą poduszkę.

W myślach Katie przetaczał się ciąg obrazów. Pamiętała jazdę z detektywem Dooleyem do Ballycurreen Industrial Estate. Pamiętała wymianę zdań z Davydosem Karosą i smród jego dymu papierosowego. A później przepychankę z nim w drzwiach i to, że zdzierła go pięścią.

– Nie... Nie mogę sobie... – zaczęła.

– Wszystko dobrze, moja droga – mówiła kojąco pielęgniarka. – To tylko znieczulenie. Wszystko się pani przypomni.

– Pić mi się chce. Czy mogłabym dostać łyk wody?

Pielęgniarka nalała wody do szklanki i uniosła Katie głowę, żeby łatwiej było jej się napić. Jeszcze przełykała, gdy nagle błysnął jej w pamięci obraz Karosy, który zrobił nogą zamach i z całej siły kopnął ją w brzuch. Woda trysnęła jej z ust i Katie omal się nie zakrztusiła.

– No już, no już – zamruczała pielęgniarka, wyjmując chusteczkę i ocierając jej brodę. – Może lepiej się nie topmy, co?

– Moje dziecko – odezwała się Katie przepełniona strachem. – Czy dziecku nic się nie stało?

Pielęgniarka odstawiła szklankę na szafkę, usiadła na łóżku i ujęła jej dłonie. Patrzyła na nią z żalem i współczująco, ale w profesjonalny sposób, jak osoba,

która niemal codziennie musi wyrażać wzrokiem żal i współczucie. Katie mimo woli zauważyła, że ma jedno oko brązowe, a drugie niebieskie.

– Moja droga, straciła pani dziecko, mówię to pani z przykrością. Otrzymała pani bardzo mocny cios, prosto w brzuch. Była pani mocno posiniaczona, ale na szczęście innych obrażeń, dzięki Bogu, nie ma. Ten człowiek mógł pani rozerwać śledzionę. Lekarz robił wszystko, żeby ocalić pani dziecko, ale doszło do rozerwania łożyska i było za późno, kiedy dowieźli panią tu do szpitala.

Katie sięgnęła ręką i pomacała się po brzuchu. Był nadal obrzmiały, tak jak w ciągu minionych kilku tygodni. Trudno jej było uwierzyć, że nie ma już w niej dziecka. Jak mogło zniknąć? Raptem zalało ją przytłaczające poczucie osamotnienia. Teraz jestem już tylko ja, sama ze sobą. Małe życie we mnie opuściło mnie na zawsze.

– To był chłopiec czy dziewczynka? – spytała, a jej głos wciąż brzmiał jak przytłumiony. – A może było jeszcze zbyt wcześnie, by to stwierdzić?

– Za wcześnie, by ocenić z pewnością – powiedziała pielęgniarka. – Jednak bez względu na to, czy to był on, czy ona, Pan przyjmie je w ramiona z największym umiłowaniem.

Katie skinęła głową. Nie płakała, lecz łzy płynęły jej po policzkach i szyi, i pod szpitalną koszulę.

– Ktoś do pani czeka na dole – odezwała się pielęgniarka. – Chce pani zobaczyć tę osobę teraz, czy mam poprosić, żeby przyszła później?

– Kto taki?

– Jakaś młoda kobieta, wydaje mi się, że z panią pracuje. Czeka od chwili, gdy panią tu przywieziono. – Podała Katie następną chusteczkę, a ta wytarła sobie oczy.

– Tak... tak, no dobrze. Dziękuję.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Katie usiłowała doprowadzić się do ładu; otarła jeszcze raz oczy, żeby nie było na nich widać tuszu, i wygładziła włosy. Poklepała się po lewej stronie głowy i wtem uprzytomniła sobie, że ma na włosach zaschłe wymiociny. Nadal je ściągała, kiedy drzwi się otworzyły i weszła detektyw sierżant Ni Nuallán.

– Kyno...

Ni Nuallán bez słowa schyliła się nad łóżkiem i ucałowała Katie w czoło. Potem przysunęła sobie plastikowe krzeselko i usiadła blisko niej. Wyglądała na bardzo znużoną, a jej zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że płakała.

– Byłaś w ciąży – powiedziała. – Co za szok.

– Co? Nie wiedziałaś? Byłam absolutnie pewna, że się domyślasz.

– Ależ skąd! Ja tylko myślałam, że rozkwitasz, wiesz, co mam na myśli? Wprost tryskałaś energią. Ale zdawało mi się, że po prostu szczęście cię rozpiera, bo John wrócił, bo jest wam razem tak dobrze. Między innymi dlatego chciałam się



przenieść. Skoro byłaś taka szczęśliwa, nie widziałam dla siebie żadnych szans. – Ujęła dłoń Katie. – Ale jest mi bardzo przykro, że straciłaś w taki sposób dziecko. Pewnie pęka ci serce.

– To nie było dziecko Johna – wyznała Katie.

– Nie? Och. Serio?

– Dlatego ode mnie odszedł. Musiałam mu powiedzieć, a kiedy powiedziałam, zostawił mnie. Dzwoniłam później do niego, ale nie chciał odebrać. Nie byłam od tego czasu w domu i nie wiem na pewno, ale myślę, że mógł już zdążyć tam wrócić i zabrać swoje rzeczy.

– Och, Katie... Jeszcze to na dokładkę. Tak bardzo mi przykro.

– Przeznaczenie, tak mi się wydaje. – Oczy Katie znów wypełniły się łzami.

– Jedna z tych rzeczy, którym nie było dane się spełnić. Jedno z dzieci, których miało nie być. Nawet nie stwierdzono, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

– Postawiliśmy oficjalne zarzuty Karosasowi i mamy go w areszcie – oznajmiła Ni Nuallán. – Zatrzymaliśmy go za napaść na funkcjonariusza policji, a także za porwanie i zabójstwo. Tyrone powinien jeszcze dzisiaj wiedzieć, czy próbki włosów i moczu pochodzą od Roisin i czy w samochodzie były jej odciski palców, robi także analizę paciorków na obecność DNA.

Katie skinęła głową.

– Świetnie. Powinnam jeszcze dzisiaj załatwić sobie wypis. Na pogrzebie mam oddać cześć detektywowi Horganowi.

– Nic podobnego! Rozmawiałam z twoim lekarzem prowadzącym. Powiedział, że musisz zostać co najmniej do jutra. Musisz odpocząć i wydobrzeć. Poza tym woleliby, żebyś została pod obserwacją, muszą mieć pewność, że nie masz skrzepów krwi ani innych powikłań.

– Ale to jest pogrzeb państwowy, Kyno. A Horgan należał do mojej ekipy.

Detektyw sierżant Ni Nuallán zdecydowanie pokręciła głową.

– Już powiedziałam komendantowi MacCostagáinowi, co przeszłaś. Nie o tym, że straciłaś dziecko, tego nie wie. Przesyła ci najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia, ale w kościele zastąpi cię Francis O'Rourke.

– Ale, Kyno...

– Nie, Katie. Nie możesz dźwigać odpowiedzialności za każdego mieszkańca Cork dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Ty też jesteś obywatelką Cork i tobą też trzeba się zaopiekować. Chyba nie chciałabyś dostać załamania nerwowego jak Liam Fennessy.

– No a Barney? Trzeba go nakarmić i wyprowadzić na spacer. Siedzi zamknięty sam w kuchni i na pewno główkuje, gdzie jestem.

– Nic się nie martw, już o tym pomyśleliśmy. Dooley zadzwonił do twojego ojca i powiedział mu, co zaszło. Twój ojciec dał zapasowy klucz jednemu sąsiadowi, który zajmie się Barneyem do czasu, aż wrócisz do domu.

Katie oparła głowę na poduszce.

– No dobrze. Ale wydobanę się stąd, jak tylko to będzie możliwe.

– Prześpij się trochę – powiedziała Ni Nuallán. – Będę się za ciebie modliła przed snem. Nie tylko za ciebie, ale i za maleństwo. Moja mama też straciła kiedyś dziecko. Hm, pewnie niejedno, ale nam o nich nie powiedziała. Później, pamiętam, mówiła, że patrzyła w niebo i czekała, aż chmury się rozstąpią i zobaczy świecąca nową gwiazdkę. Chciała jej nadać imię Patrick.

– Ja nie myślałam jeszcze o imieniu – przyznała się Katie. – A teraz już nie ma sensu, prawda?

\* \* \*

Na obiad zdołała zjeść pół talerza letniej zupy pomidorowej i dwa krakersy z serkiem. Później usiadła w fotelu przy oknie, żeby obejrzeć w telewizji transmisję z pogrzebu państwowego. Uroczysty pochód przemaszzerował St. Patrick's Street, szli w nim funkcjonariusze Gardy ze wszystkich okręgów w mundurach galowych, a także strażacy, sanitariusze, parlamentarzyści i radni. Na chodnikach zebrały się setki osób, mężczyźni zdejmowali czapki, kiedy mijały ich z wolna trzy karawany, trumny obłożone były liliami.

– Żegnaj, Kenny – powiedziała cicho Katie, gdy jego karawan skręcił w Grand Parade. – Niech cię Bóg błogosławi.

\* \* \*

Po południu przyszedł doktor Mazdani, żeby ją zbadać i zapytać, jak się czuje. Mówił łagodnym głosem, a kiedy dotykał jej brzucha, robił to z największą delikatnością, jakby naprawdę wyczuwał palcami ból Katie.

– Na swój sposób dopisało pani szczęście – powiedział. – Kopniak, który pani dosięgnął, oddzielił łożysko od macicy i odciął pani dziecku dopływ tlenu. Z przykrością muszę powiedzieć, że nie miało żadnych szans, by przeżyć. Ale pani mogła umrzeć z wykrwawienia, dobrze więc się stało, że tak prędko przywieziono panią do szpitala.

– Kiedy będę mogła iść do domu? – spytała.

– Jeśli nie będzie powikłań, będzie pani mogła wyjść już jutro. Muszę jednak pani doradzić, żeby co najmniej tydzień pani odpoczywała, a w razie nietypowych bólów proszę niezwłocznie się z nami skontaktować.

Opuścił koszulę Katie.

– Mam świadomość, że za wcześnie o tym mówić, ale w razie gdyby się pani zastanawiała, nie powinna pani mieć problemu z ponownym zajściem w ciążę i donoszeniem dziecka – powiedział.

– To znaczy, że mogę sobie załatwić inne zamiast tamtego? – Katie momentalnie pożałowała swoich słów.

Doktor Mazdani ze smutkiem pokręcił głową.

– Żadnego dziecka nigdy nie da się zastąpić, pani Maguire. Jedno dziecko nie może być substytutem drugiego. Właśnie dlatego tak usilnie walczę o to, by ratować życie nienarodzonych. Takie jest moje powołanie, obrońca dzieci.

– Oczywiście. Proszę wybaczyć. Chyba jestem w tej chwili trochę zbyt cynicznie nastawiona.

– Nie szkodzi, pani Maguire. Doskonale to rozumiem.

Po wyjściu lekarza Katie przykryła się kocem i spała jeszcze godzinę. Kiedy się obudziła, nie wstała z łóżka, tylko leżała na wznak z ręką na brzuchu i patrzyła na wyłożony płytkami sufit. Niebo za oknem stopniowo ciemniało i jeden po drugim zapalały się światła w oknach szpitala; słyszała skrzypienie wózków, którymi rozwożono pacjentom kolację.

Nie mogła przestać myśleć o słowach, których użył doktor Mazdani. Coś jej przypominały, coś, co nie tak dawno temu usłyszała, i ta myśl raz po raz pukała jej do mózgu namolnie niczym osa tłukąca się o szybę. Obrońca dzieci. Obrońca dzieci.

I wtedy sobie przypomniała. To było wówczas, gdy Kyna relacjonowała jej swoją pierwszą wizytę u matki O'Dwyer. Opisywała obraz świętej Małgorzaty z Cortony, który zdobił ścianę gabinetu przełożonej. „Wydaje mi się, że matka O'Dwyer właśnie tak siebie postrzega – powiedziała Kyna. – Może i jest starą pomarszczoną babiną, ale myśli o sobie jak o młodej pięknej pannie, takiej, jaką przedstawia obraz świętej Małgorzaty, która stoi z rozłożonymi rękami i rozmawia z Jezusem. Myśli, że jest dokładnie taka sama jak święta Małgorzata. Powiem więcej, ona uważa, że jest świętą Małgorzatą, obrończynią nieślubnych dzieci, narodzonych i nienarodzonych, która nadal je chroni przed wszelakimi krzywdami, nawet dziś jeszcze”.

Katie kilkakrotnie siedziała w gabinecie przełożonej, widziała na własne oczy obraz świętej Małgorzaty i przychodziły jej wtedy na myśl słowa detektyw sierżant Ni Nuallán. Czy matka O'Dwyer naprawdę wierzyła, że jest aż tak promienna i że naprawdę broniła dzieci będących w jej pieczy – mimo że setki z nich umarło i skończyło jako szkieleciki?

Żadne nie zostało ochrzczone i nie mogło być pochowane w poświęconej ziemi, więc może wierzyła, że ich ciała są nic niewarte w oczach Boga i można je zwyczajnie wyrzucić jak śmieci. Być może wszystkie zmarły z przyczyn naturalnych, a siostry były zwyczajnie zbyt biedne, żeby sprawić im należyty pochówek. Ale jak matka O'Dwyer i święta Małgorzata mogły ich bronić, według słów zakonnicy, „dziś jeszcze”? Zostały jedynie kości. Czego tam jeszcze bronić?

Katie przypomniała sobie pewne wielkie, pełne zakamarków domiszcze w Carrigaline, w którym przeprowadzała rewizję jako dwudziestotrzyletnia funkcjonariuszka; nie znaleźli nic, dopóki jej uwagi nie przykuło duże olejne

malowidło na ścianie salonu przedstawiające trzy koty właścicieli.

Przyszło jej na myśl, że nadal odczuwa następstwa szoku. Może opiaty, które podano jej w celu uśmierzenia bólu, zakłócają jej tok myślenia. Jednak osa dalej postukiwała w okno. Obrończyni dzieci, nawet dziś jeszcze. Skąd to „dziś jeszcze”? Co to oznaczało? Z doświadczenia wiedziała, że ludzie, którzy złamali prawo, nierzadko zdradzają wskazówki prowadzące do ujawnienia ich win nie dlatego, że rozmyślnie bawią się w kotka i myszkę ze śledczymi, lecz ponieważ nie mogą usunąć swoich przestępstw z umysłów. Czasem podświadomie chcą zostać przyłapani, bo tak bardzo nęka ich poczucie winy. Jeszcze częściej odczuwają nieodpartą potrzebę chełpienia się tym, co popełnili; dotyczy to nawet gwałcicieli, morderców i terrorystów. Zwłaszcza gwałcicieli, morderców i terrorystów.

Odwróciła się na bok i wzięła z szafki iPhone'a. Nacisnęła numer detektyw sierżant Ni Nuallán, a ta odebrała prawie natychmiast.

– Tak, pani nadkomisarz?

– Gdzie jesteś, Kyno?

– Jeszcze na komendzie. Mam stertę spraw do uporządkowania po pogrzebie.

– I jak było? – zapytała Katie. – Widziałam trochę w telewizji, ale szkoda, że nie byłam na miejscu.

– Bardzo wzruszająco, naprawdę. Wszyscy się poryczeli. Tánaiste wygłosiła piękne przemówienie. Powiedziała, żeby ci, co krytykują policję, pamiętali, że kiedy funkcjonariusze Gardy wychodzą rano do pracy, ich żony i dzieci nie mają żadnej gwarancji, że jeszcze ich kiedyś ujrzą.

– Kyno, pamiętasz, co matka O'Dwyer powiedziała ci o obrazie świętej Małgorzaty, który wisi u niej na ścianie?

– Co? Tak mniej więcej. Że święta Małgorzata była kiedyś samotną matką. A tak, i że prawie dzień w dzień rozmawiała z Jezusem. Biedny Zbawiciel. Czasem musiała go nachodzić chęć, żeby się z nią rozłączyć. A dlaczego pani pyta?

– „Obrończyni dzieci”, czy nie tak powiedziałaś? „Obrończyni dzieci, nawet dziś jeszcze”.

– No, tak. Chyba dokładnie takich słów użyła, owszem.

– Może jestem naćpana prochami albo to objawy stresu pourazowego, ale przypuśćmy, że święta Małgorzata chroni dzieci, nawet dzisiaj.

Zapadła dłuższa cisza. Przerwała ją detektyw sierżant Ni Nuallán:

– Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia, do czego pani zmierza.

– Zgodziłyśmy się już, że siostry musiały prowadzić jakiś wykaz dzieci, które umierały, prawda? Ale przeszukaliśmy klasztor od góry do dołu, zagląдалиśmy nawet na strych, do piwnic i pod podłogę i nie znaleźliśmy żadnych archiwów.

– No, nie. Mimo to dalej nie wiem, o co mnie pani pyta.

– A zaglądał ktoś za obraz świętej Małgorzaty?

– Nie. Myślę, że raczej nie.

– Więc czy mogłabyś tam teraz pojechać i zerknąć? Jeżeli za obrazem nic nie ma oprócz gołej ściany, będę wiedziała na pewno, że to kodeina przeze mnie gada. W zasadzie jestem o tym przekonana. Ale nie zasnę dzisiaj, jeśli nie zdobędę pewności.

– No dobrze – odparła Ni Nuallán, choć bez przekonania. – Mam do pani zadzwonić?

– Tak, proszę. Przed laty robiłam rewizję w jednym domu w Carrigaline i nic nie mogliśmy znaleźć, dopóki właściciel nie zaczął się chwalić swoimi kotami, które były ponoć nie gorsze od psów obronnych. „Są lepsze niż psy obronne!”, powiedział i chodził sobie spokojnie po pokoju, jakby naprawdę nas wykołował. Ale na ścianie salonu wisiał obraz z jego kotami, a mnie przyszło do głowy, żeby za niego zajrzeć, i uwierzyłabyś? Była za nim skrytka, a w niej ponad pięćdziesiąt tysięcy funtów, woreczek z kokainą i plik podrobionych paszportów.

– Zgoda – powiedziała Ni Nuallán, wciąż jednak nieprzekonana. – Nie jestem pewna, czy znajdziemy coś podobnego za świętą Małgorzatą. Ale pojedę tam, zajrzę i do pani oddzwonię.

## Rozdział 48

Po niespełna pięciu minutach zadzwonił detektyw komisarz O'Rourke.

– Jak się pani czuje? – spytał. – Wszyscy z komendy przesyłają pani najlepsze życzenia.

– Trochę jestem poobijana, ale już mi lepiej, dzięki – odparła Katie.

– A, i przykro mi z powodu pani straty. To nas trochę zaskoczyło, muszę przyznać.

– Nie wiedział pan? – zdziwiła się Katie. – Naprawdę myślałam, że pan wie.

– Nawet pani nie wspomniała. A żadne z nas nie czyta w myślach.

– Ale miałam wrażenie, że jest pan taki opiekuńczy. Nie tylko pan, Patrick O'Donovan też. I jeszcze kilka osób.

– Przecież zawsze jesteśmy opiekuńczy. Nie tylko wobec pani, wobec wszystkich bez wyjątku. To powiedziała dzisiaj w kościele Joan Burton, kiedy wygłaszała mowę. Szkoda, że pani nie słyszała.

– Jutro powinnam być w pracy – oznajmiła Katie. – Może nie cały dzień, ale zdążę nadgonić zaległości. Co z Karosasem? Kto go będzie przesłuchiwał?

– To jest drugi powód, dla którego do pani dzwonię. Tyrone z kryminalistyki właśnie mi podrzucił wyniki analiz, które robił, włosów, odcisków palców i próbek moczu z samochodu Karosasa. Trzeba będzie poczekać trochę dłużej na wyniki DNA z paciorków z bransoletki, ale wątpliwości nie ma żadnych. Karosas wziął tego wieczoru Roisin do swojego auta i wszystko wskazuje na to, że ją zabił. Za minutę schodzę tam do niego na dół, będziemy go przesłuchiwali razem z Dooleyem.

– Proszę do tego podejść na spokojnie, Francis – poradziła mu Katie. – Niezależnie od tego, jakie ma pan względem niego odczucia po tym, jak mnie zaatakował i straciłam dziecko, niech pan nie okazuje gniewu. On szybko wpada we wściekłość, a to nam wcale nie ułatwi sprawy.

– Z wielką chęcią bym mu za panią przywalił, słowo daję.

– Wiem. Sama bym mu chętnie przywaliła. Lekarz powiedział, że mógł mnie zabić. Bardzo bym chciała z panem być i go przesłuchiwać, ale pewnie lepiej, że mnie tam nie ma. Najważniejsze, żeby nie zrobiła się z tego konfrontacja, bo wtedy nic nie osiągniemy, nie z Karosasem. To tchórz i brutal, a jak się go doprowadzi do sytuacji, że nie będzie się mógł wywinąć, zdziwi się pan, ile powie, żeby tylko ocalić swoją skórę.

– O tym, kto mu zlecił zabicie tej dziewczyny?

– Otóż to.

\* \* \*

Kiedy do sali przesłuchań weszli detektyw komisarz O'Rourke i detektyw Dooley, Davydos Karosas siedział rozparty na krześle z rękami w kieszeniach. Jego prawe oko miało purpurowy kolor, spuchło i było prawie do końca zamknięte; wyglądało, jakby założył sobie śliwkę zamiast monokla. Gdy detektywi siadali naprzeciwko niego, okazał znudzenie, otwierając szeroko usta i ziewając długo i z lubością, tak że mogli zobaczyć jego język z żółtawym nalotem oraz wszystkie zęby ze srebrnymi wypełnieniami.

– Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, jeśli pan pozwoli, panie Karosas – zaczął z przesadną grzecznością detektyw komisarz O'Rourke, siadając przy stole.

Litwin wzruszył ramionami.

– Pytajcie, o co chcecie. Nie muszę odpowiadać.

– Wolno panu mieć pełnomocnika prawnego, wie pan o tym?

– No jasne, że wiem. Myślisz, że nie robiłem tego jeszcze? Adwokat to marnowanie forsy.

– Jest pan pewny? Są bardzo poważne zarzuty przeciwko panu, a może pan mieć pełnomocnika na koszt państwa.

– Pewny jestem. Bo nic mi nie możecie udowodnić.

– Zaatakował pan detektyw nadkomisarz Maguire i spowodował pan u niej fizyczne obrażenia. Kopnął ją pan tak, że musiała zostać zabrana do szpitala. Mogła umrzeć.

Karosas wetknął sobie palec do prawej dziurki nosa i zakręcił nim. Potem wyjął palec, spojrzał na niego, marszcząc czoło, i wytarł go o spodnie.

– Panie Karosas, dopuścił się pan napaści na funkcjonariuszkę Gardy w obecności trzech świadków – oznajmił O'Rourke.

– Co z tego? Samoobrona to była. Ci świadkowie nie zaprzeczą, że suka mnie pierwsza walnęła. Patrz tu na moje pieprzone oko. A co, kurwa! Myślisz, że jakbym ją walnął pierwszy, toby mi to mogła zrobić? Gdybym ja ją pierwszy walnął, by nie była w szpitalu. Na cmentarzu by była. I dobrze!

O'Rourke otworzył niebieską teczkę, którą ze sobą przyniósł, i pokazał arkusz papieru.

– Wie pan, co to jest, panie Karosas? Policyjny technik kryminalistyczny dokonał oględzin pańskiego samochodu, a przysięgał pan detektyw nadkomisarz Maguire, że nikt oprócz pana nigdy nie siedział za jego kierownicą. Sam pan widział, jak ten specjalista bada pański wóz, a tu jest sporządzony przez niego protokół. Na fotelu pasażera znalazł blond włosy i ślady moczu, obie próbki ponad wszelką wątpliwość pasowały do Roisin Begley. Wykrył również jej odciski palców na desce rozdzielczej, a ich układ wskazywał, że została wyciągnięta z samochodu siłą, wbrew swojej woli. Nie koniec na tym. Na podłodze pańskiego wozu znalazł paciorki z bransoletki należącej do Roisin Begley, widziano ją u niej kilka minut przed tym, jak się z panem spotkała. Może pan mówić, co chce, panie

Karosas, ale wszystkie dowody świadczą o tym, że porwał pan Roisin Begley, a następnie ją pan utopił.

– Mamy cię na widelcu, chłopaś – odezwał się detektyw Dooley. – Nawet ty musisz sobie z tego zdawać sprawę.

Karosas potoczył wzrokiem po sali przesłuchań, spojrzął w lewo, w prawo, a potem na sufit, jakby nie bardzo rozumiał, co robi w tym miejscu. Obaj detektywi czekali cierpliwie na jego odpowiedź, choć Dooley widział, że O'Rourke zacisnął pięści tak mocno, aż pobielaly mu kostki.

– No dobra, to był wypadek – przyznał w końcu Litwin.

– Co było wypadkiem? – spytał Dooley. – Kopnięcie detektywa nadkomisarz Maguire czy utopienie Roisin Begley?

– Utopienie. Zabrałem ją, no zgoda. Ale tylko żeby ją postraszyć, nic więcej. On mówi: nie skalecz jej ani śladów nie zostaw. Tylko postrasż, żeby w sądzie nie gadała.

– Kto tak powiedział?

– A jak myślisz?

– Pan niech mi to powie – rzucił O'Rourke.

– Jasne, że Michael Gerrety. Mówi, że mi płaci tysiąc euro za to, że ją postraszę. Rób, co chcesz, mówi, tylko śladów na ciele nie zostawiaj, żeby nie było dowodów, nic. Tylko postrasż.

– Więc co się dokładnie stało? – indagował detektyw Dooley. – Spotkał się pan z nią przed Havana Brown's i odwiózł ją pan samochodem. Dlaczego z panem pojechała?

– Mówię, że mam dla niej kasę. Kasę za to, że się rznąła z facetami, ale Michael Gerrety jeszcze jej nie zapłacił. Sześć tysięcy pięćset euro.

– I ona panu uwierzyła?

– Czemu nie? Zna mnie. Sam ją raz zerznąłem i dobrze zapłaciłem.

– No więc jak doszło do tego „wypadku”? – spytał detektyw komisarz O'Rourke.

– Jedziemy, ona się chacha. Myślę sobie: ciut nawalona. Pytam, czy umie pływać, a ona mówi: „Tak, jasne, że umiem pływać”. No to jadę koło mariny, nad rzekę, obok pochylni. Parkuję. „Masz chęć teraz popływać?”, pytam.

– I co potem?

Litwin usiadł prosto i pocierał się dłońmi po udach.

– Mówi, że nie, w rzece nie pływa. Ja na to: „W sądzie nie gadasz na Michaela Gerrety'ego”. Ona: „Wal się”, coś w tym sensie. Wyciągam ją z auta i biorę na brzeg obok pochylni. „Teraz obiecujesz, że nie będziesz gadać w sądzie na Michaela Gerrety'ego, bo inaczej pływasz”, mówię. Bije się ze mną, krzyczy i wpada do rzeki... może ją popycham, nie pamiętam. Myślę sobie: nic jej nie jest, bo umie pływać. Ale w rzece bardzo zimno, a ona pijana, ma kurtkę, ciasną



spódnicę i buty.

Karosas pochylał się teraz tak mocno, że jego klatka piersiowa naciskała na krawędź stołu.

– No i znikła. Patrzą, ale nic. Nie krzyczy na mnie. Fali nie ma. Nic. Znikła.

Cisza w sali przesłuchań ciągnęła się prawie pół minuty. Detektyw komisarz O'Rourke gryzmołił coś w notesie, a Dooley, z rękami skrzyżowanymi na piersi, siedział odchylony na oparcie krzesła. Karosas nie zmienił pozycji, trwał pochylony, gapiąc się na blat stołu albo na nic. Może w swojej głowie patrzył na powierzchnię rzeki Lee nocą, na czarną, zimną i zanieczyszczoną wodę chlupiącą o krawędź pochylni.

O'Rourke uniósł w końcu głowę i odezwał się:

– A zatem, panie Karosas, żeby to było całkowicie jasne: Michael Gerrety zaoferował panu tysiąc euro za to, że nastraszy pan Roisin Begley tak, by nie stanęła w sądzie i nie świadczyła przeciwko niemu, mówiąc o tym, że łączył go z nią związek seksualny w czasie, kiedy nie miała jeszcze wymaganych prawem siedemnastu lat?

– Tak – potwierdził Karosas. – I nie oszukał mnie. Kiedy ja mu mówię, co się stało, i tak daje mi kasę.

– Całą sumę?

– Tak.

– I jest pan gotów zeznać to pod przysięgą w procesie karnym w sądzie?

– To nie było morderstwo żadne. Jakie morderstwo? Tylko wypadek. Ona się ze mną bije, wpada do rzeki. Chlup! I tyle. Znikła.

Detektyw komisarz O'Rourke wstał. Dooley widział po jego zaciśniętych ustach, że kusi go, by palnąć coś Litwinowi, ale się powstrzymał.

– Dziękuję, panie Karosas. Myślę, że jednak przyda się panu adwokat. Co więcej, wydaje mi się, że będzie panu potrzebny ochroniarz. Bo Michael Gerrety nigdy nie potraktował łagodnie kogoś, kto go wsypał, to pewne.

– I wężykiem to podkreślić – dodał detektyw Dooley. Wstał i pchnął krzesło. Zazwyczaj po uzyskaniu takiego zeznania miał chęć dźgnąć ręką powietrze i krzyknąć: „Tak!”. Teraz jednak myślał wyłącznie o Roisin Begley, o jej ładnej buzi w kształcie serca, o lśniących blond włosach i głupiej naiwności, która pozwoliła łotrom takim jak Gerrety i Karosas omamić ją, poniżyć, a potem cisnąć do rzeki.

\* \* \*

Detektyw komisarz O'Rourke zadzwonił do Katie pół godziny później.

– Zamknęliśmy wstępne przesłuchanie Karosasa, pani nadkomisarz. Nie dzielę skóry na niedźwiedziu, ale coś mi się zdaje, że go rozpracowaliśmy. Przyznał, że Michael Gerrety zaproponował mu tysiąc euro za to, że nastraszy

Roisin Begley tak, by dziewczyna nie pisnęła słowa. Ale twierdzi, że wcale jej nie chciał utopić, że to był wypadek.

– To chyba nic dziwnego, prawda? Czy Gerrety mimo to mu zapłacił?

– Tak. W końcu przecież dopiął swego, Roisin Begley nie pisnęła słowa, nawet jeśli sprawy zaszły trochę dalej, niż zamierzał.

– Bardzo dziękuję, Francis. Właśnie do tego zmierzałam i uzyskałście to. Jak tylko jutro dojadę na komendę, przeczytam zeznanie Karosasa i niewykluczone, że będę go chciała sama przesłuchać. Potem możemy jechać i aresztować Gerrety’ego.

– Fajnie, że mogłem chociaż przekazać pani jakąś dobrą wiadomość – powiedział O’Rourke. – Jak mawiała moja babcia, wystarczy jedna świeczka, żeby wskazać komuś drogę do domu, nawet w najciemniejszą noc.

– Chyba nie bardzo rozumiem, co to znaczy – odparła Katie.

– Nie szkodzi, ona chyba też nie rozumiała.

## Rozdział 49

Kiedy detektyw sierżant Ni Nuallán dojechała do klasztoru Bon Sauveur, z nieba siąpiła już drobniutka mżawka. Tym razem w ogrodzie nie było reflektorów, od których blasku deszcz mienił się iskrami. Ekipa poszukiwawcza prawie zakończyła kopanie i nazajutrz miała się zwinąć.

Policjantka nacisnęła klawisz dzwonka i długo czekała u drzwi. Otworzyła je siostra Rose.

– Och – westchnęła. – To pani.

– Nie bardzo ucieszyła się siostra na mój widok – powiedziała Ni Nuallán tylko po części żartem.

Nowicjuszka spuściła wzrok na podłogę.

– Oczywiście, że jest pani mile widziana. Każdy jest tu mile widziany.

– Teraz siostra żałuje, że w ogóle pokazała mi ten kawałek kości, prawda?

– To wszystko... to było takie niepokojące. Może należało zostawić te maleństwa w spokoju.

– W szambie? Chciałaby siostra być tam pochowana?

– Ciało nie jest ważne. – Siostra Rose nadal patrzyła na podłogę. – To dusza idzie do Jezusa.

– Ach, tak. Czyżby to właśnie usłyszała siostra od matki O’Dwyer? Dlaczego więc tak czcimy ciała naszych świętych? Nawet ty-ci-tyciuteńkie kawałeczki ich kości? Watykan pokazywał wszem wobec kości świętego Piotra, czyż nie? A święty Antoni z Padwy? Został po nim tylko język, mimo to ludzie wciąż przed nim klękają i modlą się do niego. I nadal mamy napletek Chrystusa, tak mi w każdym razie mówiono i kazano w to wierzyć. Ależ, siostrze Rose, oczywiście, że ciało jest ważne.

– Rozgniewałam panią – powiedziała nowicjuszka. – Proszę mi wybaczyć.

– Nie, nie, to wyłącznie moja wina – zapewniła ją policjantka. – Wcale nie powinnam na siostrę krzyczeć. To dzięki siostrze te biedne dzieci spotka choć odrobina sprawiedliwości, okazała siostra wielką odwagę. No, ale czy mogę się teraz spotkać z matką O’Dwyer? Muszę zajrzeć szybko w jedno miejsce.

– Dopiero co skończyłyśmy kolację, więc będzie u siebie w gabinecie. Zaprowadzę panią do niej.

Kiedy siostra Rose zapukała w uchylone drzwi, przełożona siedziała pochylona nad biurkiem i pisała coś w swoim dzienniku.

– Wybacz, że przeszkadzam, matko, ale detektyw sierżant Ni Nuallán chciałaby zamienić z matką parę słów.

Matka O’Dwyer uniosła głowę. Jej okulary były pośrodku sklezione taśmą.

– Cóż tam znowu? – odezwała się. – Czy wy już nigdy nie dacie nam

spokoju?

– Poproszono mnie, żebym rzuciła na coś okiem – oznajmiła detektyw sierżant. – Na ten obraz na ścianie mianowicie.

Przełożona obróciła się na krześle, zdjęła okulary i marszcząc czoło, spojrzała na obraz świętej Małgorzaty.

– Ten obraz? Dlaczego? Nic nie pojmuję. Toż to tylko obraz. Bardzo święty, ale tylko obraz.

– No, ale jeśli siostra pozwoli.

– A cóż to za różnica, jeśli nie pozwolę? Dobrze zatem, proszę, ale niech pani na niego uważa. Jest bardzo stary.

Policjantka podeszła i ujęła boki ramy. Obraz był dość ciężki, lecz nie na tyle, by nie mogła go zdjąć z haczyka, na którym wisiał, i postawić na podłodze.

Na ścianie nie było widać nic poza cieniem ramy. Sejfu, którego istnienie podejrzewała Katie, nie było.

– A zatem? – zapytała ze zniecierpliwieniem matka O’Dwyer. – Co właściwie spodziewała się pani znaleźć?

– Tak tylko sprawdzałam, po prostu – odparła Ni Nuallán. Podniosła obraz i po trzech czy czterech próbach zdołała zawiesić go z powrotem na haku.

– Nic nie rozumiem. Co pani sprawdzała?

– Wszystko przez to, że powiedziała mi siostra, że święta Małgorzata chroni dzieci, które przyjmowano tutaj pod opiekę, nawet dzisiaj. Nie rozumialiśmy, co miała siostra na myśli, mówiąc „nawet dziś jeszcze”.

– I coście sobie pomyślały? Że coś jest schowane za tym obrazem? Graffiti z szatanem? No, jak pani widzi, nic tam nie ma. Oj, ludzie, ludzie... Rozumiem, że taka jest wasza praca, że wymaga podejrzliwości, ale teraz to naprawdę chwytacie się byle słomek.

– Proszę wybaczyć, że siostrę niepokoiliam – powiedziała policjantka.

– Życzę najspokojniejszej nocy, pani detektyw sierżant – rzuciła kąśliwie przełożona i wzięła do ręki długopis. Uniosła lewą rękę i dodała: – Odejdźcie w pokój.

Siostra Rose odprowadziła Ni Nuallán do wyjścia; szły w milczeniu, słychać było tylko stukanie o posadzkę obcasów policjantki i powtarzające się smagnięcia. Detektyw sierżant spojrzała w dół i zobaczyła, że ma rozwiązane sznurowadło. Przystanęła obok lśniącego brązowego posążka świętej Małgorzaty i przyklękła, żeby je zawiązać.

Kiedy tak klęczała, prawie jakby się modliła do świętej, spostrzegła coś, czego z innej pozycji nigdy by nie zobaczyła. Figura stała na cokole z mahoniu wysokim na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów, okolonym hebanowymi paciorkami. Nie było w nim nic nadzwyczajnego z wyjątkiem czterech ozdobnych brązowych gałek, po jednej na każdym narożniku; nad górną częścią gałki po

prawej stronie znajdowała się maleńka śrubka, a wokół niej widać było nikielne półokrągłe zadrapania.

– Przepraszam, siostrze Rose, mogłaby siostra chwilę zaczekać?! – zawołała, nachyliła się i przyjrzała cokołowi dokładniej. Gdy dotknęła palcem prawej gałki, okazało się, że można ją przesunąć w jedną stronę. Gałka była bowiem osłoną dziurki od klucza.

No, no, pomyślała. Jeśli ten cokol ma dziurkę od klucza, to ma i drzwiczki, a jeżeli są drzwiczki, to nie jest cokołem, lecz szafką.

– O co chodzi? – spytała siostra Rose, stając obok niej.

– Zechce siostra zapytać matkę O’Dwyer, czy ma kluczyk do tej szafki tutaj.

– To jest szafka? – zdumiała się nowicjuszka. – Nie miałam pojęcia, że to szafka.

– Hm... jest zrobiona tak, żeby nie każdy o tym wiedział, to oczywiste. Ale widzi siostrze, że co jakiś czas była otwierana, więc ktoś musi mieć do niej klucz i przypuszczam, że tą osobą jest przełożona.

Siostra Rose zakryła sobie usta dłonią i patrzyła szeroko otwartymi oczami.

– W porządku, nic złego się nie dzieje – uspokoiła ją Ni Nuallán, widząc przerażenie młodej zakonnicy. – Sama tam pójde i zapytam.

Wróciła do gabinetu matki O’Dwyer i zapukała do drzwi.

– To pani jeszcze nie odjechała? – Przełożona zdjęła okulary.

– Jak widać. Wróciłam się, żeby zapytać siostrę, czy ma siostrze kluczyk do tej szafki pod figurą świętej Małgorzaty.

Detektyw sierżant widywała już podejrzanych padających z nóg na widok niezbitych dowodów ich winy, ale matka O’Dwyer niemal rozsypała się na drobne kawałki, jakby była mumią egipską, którą raptem wystawiono na działanie powietrza. Jej usta otworzyły się szeroko, a twarz zrobiła się biała jak ściana. Zakonnica zaczęła się podnosić, ale w końcu z powrotem usiadła.

– Kluczyk? Do szafki?

– Tam pod figurą jest przecież szafka, prawda?

– Owszem – potwierdziła matka O’Dwyer. – Ale to, co w niej jest, musi pozostać własnością prywatną. Dlatego też się tam znajduje.

– A co konkretnie się tam znajduje?

– Nie mogę pani udostępnić klucza. Będę musiała zadzwonić do naszych doradców prawnych. Nie mogę pani dać tego klucza.

– Wielebna matko, my już mamy nakaz rewizji na cały budynek klasztoru i teren wokół. Wasi doradcy prawni są tego świadomi. Może matka do nich dzwonić, jeśli matka sobie tego życzy, ale to niczego nie zmieni i tylko opóźni bieg spraw. Proszę o klucz do tej szafki, bo teraz niewątpliwie go matka ma.

Oczy zakonnicy nagle wypełniły się łzami. Przeżegnała się dwa razy i odezwała głosem drżącym z emocji:

– Nie mogę go pani dać. Nie mogę! Całą kongregację czeka upadek i ruina. O Boże w niebiesiech. O Maryjo! Och, dlaczego to na nas spadło? O Jezusie!

– Klucz proszę, matko O’Dwyer – ponagliła Ni Nuallán.

Zakonnica wzięła kilka głębokich oddechów, żeby nad sobą zapanować, a następnie sięgnęła obiema rękami pod szkaplerz. Gmerała tam chwilę, po czym wyjęła długi misterny łańcuszek z kluczykiem przyczepionym do końca.

– Proszę – powiedziała, podając go policjantce. – Ale czy mogę prosić, żeby to, co znajdzie pani wewnątrz szafki, potraktowała pani z najwyższym szacunkiem i względami dla zainteresowanych?

– Na razie pojęcia nie mam, co tam jest – odparła detektyw sierżant. – Więc nie mogę siostrze niczego obiecać, dopóki się nie dowiem.

Kiedy znalazła się znów przed figurą świętej Małgorzaty, schyliła się i otworzyła drzwiczki w cokole. Dwie półki wewnątrz wypełniało co najmniej dziesięć ksiąg w oprawach z bordowego marmurkowego papieru; były również dwie teczki z kieszeniami, związane cienkim zielonym sznureczkiem z plecionki. Ni Nuallán włożyła czarne lateksowe rękawice, wyjęła księgi i teczki i ułożyła je na posadzce. Widziała matkę O’Dwyer, która stała w otwartych drzwiach gabinetu i patrzyła; w tej chwili była podobna do drobnej czarnej figurynki. Cokolwiek było w tych księgach, policjantka prawie współczuła tej kobiecie.

Siostra Rose pomogła jej przenieść księgi do salki, w której razem z siostrą Caoilainn przeglądała klasztorne archiwa. Ni Nuallán rozłożyła je na stole i jedną po drugiej brała do ręki. Pachniały spleśniałym papierem i kadzidłem. Każda miała na okładce ręcznie kaligrafowaną etykietkę z napisem „Zmarli w Domu Matki i Dziecka Świętej Małgorzaty” oraz datą poniżej. Najwcześniejsza była datowana na wrzesień 1932 roku. Ostatnia pochodziła z czerwca 1973. Prawie czterdzieści jeden lat umierania dzieci.

Detektyw sierżant otworzyła pierwszą księgę. Schludnym szkarłatnym atramentem zapisane tam były nazwiska wszystkich dzieci, które zmarły w Domu Matki i Dziecka Świętej Małgorzaty. Nazwiska matek, daty narodzin i śmierci wraz z przyczynami zgonów. Zakonnice z Bon Sauveur uczyniły wszystko, co możliwe, by zataić, w jaki sposób dzieci umierały, ale okazały przynajmniej tyle serca, by nie pozostawić ich istnień całkowicie bez śladu.

*Sarah Joan Donohue, urodzona 17 października 1931, z Mary Fiony Donohue, Margaret Place, Cork. Zmarła 11 września 1932 na zapalenie oskrzeli.*

*William „Billy” O’Keeffe, urodzony 12 lipca 1928, z Ciary O’Keeffe, Glasheen Road, Cork. Zmarł 21 września 1932 na zadławienie.*

Ni Nuallán przewracała kartki i wszystkie wyglądały tak samo. Setki dzieci, które umarły na niewydolność oddechową, na odrę, na ospę. Jedna z najpospolitszych przyczyn śmierci maleństw została opisana jako „niezdolność do rozkwitu”. Czyjaś szczerłość sprawiła, że w kilkunastu przypadkach napisano

o „niedożywieniu wskutek uporczywego nieposłuszeństwa”. Innymi słowy, zakonnice karały niegrzeczne dzieci w ten sposób, że nie dawały im jeść.

W drugiej połowie lat trzydziestych obok coraz większej liczby zgonów jako przyczynę wskazywano „szczepienie przeciwko dyfterytowi”.

Detektyw sierżant zamknęła księgę i otworzyła jedną z teczek. Była ona zapełniona listami, większość nadal tkwiła w rozdartych kopertach. Wyjęła niektóre i przeczytała. Dotyczyły głównie poszukiwania rodziców adopcyjnych dla dzieci ze Świętej Małgorzaty – ale nie wszystkie.

*Aidan wolno myśli i z trudnością wykonuje proste zadania. Próbuje znaleźć dla niego miejsce, gdzie będzie mógł wykonywać pracę fizyczną i słyszeć stałe napomnienia, których wymaga. W razie niepowodzenia być może będziemy go musieli oddać do zakładu psychiatrycznego St. Kevin.*

– No dobrze – zwróciła się Ni Nuallán do siostry Rose. – Zabieram to wszystko i wypiszę siostrze pokwitowanie. Gdyby zechciała mi siostra pomóc zanieść to do samochodu.

Wychodząc z klasztoru, zauważyła, że drzwi gabinetu matki O’Dwyer są już zamknięte. Na dworze wciąż padało, więc musiały z siostrą Rose przemykać przez parking niczym rabusie, którzy pierzchają z miejsca kradzieży.

\* \* \*

Zanim uruchomiła silnik, zadzwoniła do Katie.

– Pomyliła się pani co do obrazu, ale co do świętej Małgorzaty miała pani rację.

Opowiedziała jej o rejestrach i teczkach, które odkryła pod posągiem.

– To fantastycznie – ucieszyła się Katie. – Może uda nam się dowiedzieć, kto ma powód, by tak nienawidzić siostry z Bon Sauvreur. Niestety, z tego, co mówiłaś, wynika, że w rachubę wchodzi połowa Cork.

## Rozdział 50

Na dziedziniec stadniny wpadł klusem Josh Teagan na Saint Sparkle'u. Poranek był jasny i słoneczny, ale siarczyście zimny, toteż ze skóry czteroletniego gniadosza unosiła się para.

– Ha, zdrowy jest jak dąbczak – oznajmił dżokej, zsiadając z wierzchowca. – Minie słupek, zanim reszta stawki się połapie, co to za gonitwa.

Riona poklepała Saint Sparkle'a po lśniącym boku.

– Fantastycznie. Weź go do stajni, Ryan, dobra? I porządnie natrzyj.

Siwowłosa stajenny zdjął z konia siodło i derkę i zarzucił mu na grzbiet kraciasty koc studzący. Gdy odprowadzał wierzchowca, stukot kopyt odbijał się echem od ścian niczym brzęk kastanietów.

– Najlepszy, kurde, koń, jakiego od lat dosiadałem – rzucił Josh, patrząc w ślad za Saint Sparkle'em. – Wystarczy go rozpędzić, a on już ci będzie leciał i leciał. Opadanie z sił? On nie wie, co to znaczy. Ale to przecież koń, on w ogóle nie kapuje znaczenia słów, prawda? No, może „wio” i „hou”!

– Pewnie byś chciał, żebym ci zapłaciła – wpadła mu w słowo Riona; sięgnęła do kieszeni sztucznego kozucha i wyjęła gruby zwitek euro.

– Zawsze mile widziane. – Dżokej wytarł rękawem czerwony koniuszek nosa. Patrzył, jak Riona odlicza banknoty. – Słuchaj, w czwartek wieczorem gadałem z paroma chłopakami.

– Tak?

– To było na szkockim weselu Williego Sandforda w Mills Inn, wiesz, w Ballyvourney. Gadki odchodziły szalone, wiadomo, ale jeden czy dwóch poważnie mi mówiło, żebym miał oczy otwarte.

– A dlaczego?

– Po wyścigu O'Grady Steeplechase paru trenerów wspominało, że Weatherbys i Irlandzka Komisja Wyścigów Konnych powinny się nam dokładnie przyjrzeć. Można to było też usłyszeć od niektórych bukmacherów. Dwóch menedżerów z Boyle's i Paddy Power's myślało tak samo, obaj byli pewni, że Sparkle wygra. A jego po prostu zdmuchnęło, to było, kurde, zbyt oczywiste.

– Może ci goście powinni pilnować swojego nosa – powiedziała Riona. – Wolno im pleść, co tam im się żywnie podoba, ale najpierw będą musieli pokazać dowody.

– Daj spokój! Sparkle zasuwa do końca, wszyscy o tym wiedzą.

Wręczyła mu pieniądze.

– No dobra, może masz rację – przyznała. – Ale ostatnio łatwo nie szło, sytuacja jest, jaka jest. Za duża konkurencja, przepływ gotówki za mały. Wielu hodowców znalazło sposób, żeby wymigać się od honorarium za ogiery, które im



wypożyczałam. Zdarzyły się niespodziewane wydatki, paru ludzi trzeba było spłacić. Ciebie, na przykład. Załatwienie, żeby ktoś trzymał buzię na kłódkę, nie jest tanie.

– Ja bym cię nie podkablował, przecież wiesz.

– Bo gdybyś to zrobił, nie zaliczyłbyś już w życiu ani jednej gonitwy, tyle ci powiem. I nie tylko dlatego, że miałeś dyskwalifikację.

– Sugeruję jedynie, żebyś miała baczenie na oficjeli od wyścigów. Sparkle’a Drugiego trzymasz jeszcze tutaj, czy poszedł już do hyclowni?

– Nadal tu jest. Chcę go potrzymać co najmniej do kwietnia.

– Powiedz, że nie zapiszesz go już na żadne wyścigi. Przyskrzynią cię, jeśli to zrobisz. Na twoim miejscu pozbyłbym się go w trymiga.

– Nie jesteś na moim miejscu, dzięki Bogu, ale nie omieszkać o tym pomyśleć – odparła Riona. W tej samej chwili zobaczyła w lipowej alei range rovera Andy’ego Flanagana; skrzynia biegów wozu wyła niemilosierdzie, a brudna przednia szyba połyskiwała w słońcu. – W każdym razie dzięki za ostrzeżenie. No to do zobaczenia jutro.

– Dzięki za sałatę. – Josh uniósł banknoty.

Poszedł do stajni Saint Sparkle’a po swoją ocieplaną kurtkę i kask motocyklowy. Andy Flanagan tymczasem przy wtórze grzechotania rury wydechowej okrążył podwórko, zatrzymał się obok Riony i wysiadł, zacierając dłonie.

– Dzień dobry, Riono! Mamy piękny zimny poranek!

– Wyglądasz na człowieka, który jest z siebie zadowolony.

– Bo jestem. Znalazłem ci je. Siostrę Nessę i siostrę Virginie, obydwie.

– Miło mi to słyszeć. Chodź do domu, opowiesz mi.

Gdy znaleźli się w środku, Riona zdjęła kożuszek i rzuciła go na oparcie kanapy.

– Kubek gorącej herbaty byłby dla mnie królewskim darem – powiedział Andy, dalej zacierając ręce.

– No mów, gdzie one są – ponagliła go Riona.

Wyjął z kieszeni kurtki pozaginany kołnotatnik, liznął kciuk i odwrócił pierwszych kilka stron.

– Siostra Nessa spędziła jakiś czas w Afryce, więc się domyśliłem, że po powrocie do Cork może wykorzystać swoje doświadczenie. Przecież znasz zakonnice, niektóre lubią czasem odwalić jakąś zbożną robótkę. Ugadywałem się z tyloma bambuskami, że oko nie zliczy, ale w końcu ją namierzyłem. Zdrowa i na chodzie, mieszka sobie w Dunmore Gardens w Knocka z jeszcze jedną paniusią starej daty.

– A siostra Virginia? Na niej zależy mi właśnie najbardziej z nich wszystkich.

– Nałaziłem się za nią, aż mi nogi w dupę wchodziły, powiem ci. Pojechałem do Carrigaline, bo tam, z tego, co się wywiedziałem, ostatnio mieszkała, zasięgałem języka bodaj w każdym, kurde, sklepie przy głównej ulicy. W końcu dowiedziałem się, że zakolegowała się z jedną panią, która stała za ladą w aptecce Phelan's. Ta kobieta przeniosła się do pracy na poczcie w Minane Bridge i dzięki Bogu, kiedy pojechałem tam, ona wciąż tam była. A jałówka z niej i owszem. Siostra przysłała jej kartkę świąteczną na gwiazdkę i był na niej adres. Iona Park w Mayfield. Mieszka tam z córką kuzynki.

Andy wydarł kartkę z notesu i podał Rionie. Ta zerknęła na nią szybko.

– To będzie wszystko, Andy – powiedziała. – Dziękuję ci.

– Chcesz się rozliczyć może? – zapytał.

– Jak tylko sprawdzę i będę wiedziała, że obie są pod tymi adresami.

– Nie mam powodu w to wątpić, ale niech ci będzie. Będę czekał na twój telefon. A jeśli będziesz kiedyś jeszcze potrzebowała usług detektywistycznych, to wiesz, gdzie uderzyć.

Wyciągnął rękę, ale Riona nie podała mu dłoni, więc wzruszył ramionami.

– Hm, no dobra – rzucił. – Powodzenia, tak czy siak.

Wyszedł z salonu do przedpokoju.

– Zdaje się, że masz następnego gościa – powiedział, otwierając tylne drzwi.

Obok jego range rovera stało czerwone audi, ale nikt w nim nie siedział.

Riona rozpoznała jednak samochód: należał do Gerry'ego Brickleya, właściciela Saint Sparkle'a.

Andy odjechał w chmurze smrodliwych spalin. Riona miała właśnie przemierzyć dziedziniec w kierunku stajni, w której trzymała Saint Sparkle'a, kiedy z sąsiedniej wyszedł Gerry i zamknął za sobą drzwi. Był jak zawsze w markowym płaszczu i kapeluszu, a jego twarz miała swój zwykły czerwony kolor.

– Riona! – zawołał.

– Gerry! Co za niespodzianka!

Podszedł do niej, wyciągając z wewnętrznej kieszeni skórzaną cygarniczkę, i wyjął cygaro.

– Hej, no cóż, miałem wczesne spotkanie w Coachford z O'Donovan's Engineering, więc przyszło mi na myśl, że wpadnę zobaczyć, jak tam twoja nowa stodoła. – Rozejrzał się i dodał: – Myślałem, że stawiasz ją o tam, na miejscu dawnej traktorowni.

– Trochę się wszystko poopóźniało. Miałam problemy z architektami.

– Było mi powiedzieć. Mam paru znajomków w Komisji Gospodarki Przestrzennej. No bo czego się mogą czepiać? To w końcu stodoła w stadninie na uboczu. Nie wiedziałem, że jeszcze nawet nie zaczęłaś budowy. Niepotrzebnie tak się spieszyłem, żeby ci dostarczyć ten hel i wystawić za niego rachunek.

– Mniejsza z tym. Już niedługo powinnam sobie ze wszystkim poradzić.

Gerry obejrzał się na stajnię.

– Nie uważasz, że Sparkle trochę za bardzo niedomaga? – spytał. – Jak on tam ostatnio śmiga?

– To nie był Sparkle, ten koń, którego oglądałeś – poinformowała go Riona. Miał właśnie zapalić cygaro, lecz nagle zamknął pstryknięciem zapalniczkę.

– Że co?

– Tam nie ma Sparkle’a. To inny gniadosz, O’Donoghue’s Delight.

– Nabijasz się, no nie? Pewny byłem, że to Sparkle. Ma takiego samego czerwonego siniaka na prawym przednim kopycie. Zauważyłem go po tym, jak odpadł w Mallow.

– Nie, Sparkle jest teraz w tamtej stajni, obok. Chodź, to ci pokażę. Tylko wezmę bluzę.

Ubrała się i zaprowadziła Gerry’ego do stajni Saint Sparkle’a. Ryan właśnie nacierał nogi konia maścią. Towarzyszył mu Dermot, który siedział na beli siana i pił whisky z butelki; rozmawiali. Wstał na widok Riony i gościa i rozejrzał się, chcąc gdzieś schować butelkę, ale ostatecznie zrezygnował i postawił ją na posadzce stajni.

– Co tam słyhać, panie Brickley? – odezwał się, unosząc kciuk.

Gerry nie odpowiedział, tylko podszedł powoli do Saint Sparkle’a i zaczął go poklepywać po gładkich bokach, jakby potwierdzał swoje prawo własności. Ten przepiękny wierzchowiec czystej krwi jest mój.

– Koń jest w świetnej kondycji, panie Brickley – oznajmił Ryan. – Nie będzie z nim żadnych kłopotów na torze w Punchestown.

Gerry schylił się i dokładnie obejrzał prawe przednie kopyto Saint Sparkle’a.

– Miał siniaka na wewnętrznej ściance po gonitwie w Mallow. Teraz siniak znikł.

– Och, Gerry, daj spokój, konie często obijają sobie kopyta – powiedziała Riona.

– Ale ten zniknął bez śladu. Kompletnie.

– To nic nadzwyczajnego. Sińce powstają przeważnie wtedy, gdy marszczy się warstwa listewkowa między kością kopytową a ścianą rogową. To zwykle nic poważnego. U zdrowego konia takiego jak Sparkle znikają prawie z dnia na dzień.

– Ale tamten drugi koń, którego przed chwilą oglądałem i myślałem, że to Sparkle... ma siniaka dokładnie w tym samym miejscu, w którym miał Sparkle.

– Zbieg okoliczności – zapewniła go Riona. – O’Donoghue’s Delight cierpi na lekkie niezrównoważenie postawy. To też może być przyczyną siniaków.

– W porządku, wierzę ci na słowo. Nie jestem weterynarzem, przyznaję. – Gerry cofnął się o krok, skrzyżował ręce na piersi i z podziwem patrzył na swojego wierzchowca. – Muszę powiedzieć, że fantastycznie sobie z nim poradziłaś. Bóg

jeden wie, co się stało w Mallow, ale myślę, że w dniu wyścigów Boyle Sports będziemy z niego dumni.

Dermot wziął z posadzki butelkę i ją uniósł.

– *Sláinte mhaith!* – Uśmiechnął się. – Wypiję za to!

– Ja ci powiem, co teraz zrobisz, Dermot – odezwała się Riona. – Pójdiesz na tyły garażu i naprawisz ten ciekący kran, o którym ci mówiłam dwa dni temu.

– Oczywiście, taak! Idę, już mnie tu nie ma.

Kiedy mijał Gerry'ego, ten przyglądał mu się zwięzionymi oczami. Nagle spostrzegł, że Riona na niego patrzy, i uśmiechnął się.

– No to będę się zbierał. Dużo pracy, dużo spotkań. Muszę skontrolować, jak idzie spawanie. Daj mi znać, jeśli nadal będziesz miała problem z tą stodołą. Zobaczę, może da się coś dla ciebie załatwić.

– Dzięki, Gerry – powiedziała Riona. – Cześć.

\* \* \*

Po przejechaniu niespełna pięciu kilometrów w kierunku Coachford Gerry wjechał w bramę jakiegoś domostwa przy szosie i wyjął iPhone'a. Oddychając ciężko, wystukał numer 1800 666 111.

– Tu poufny numer Gardy – odezwała się operatorka. – Czym mogę służyć?

– Wczoraj wieczorem nadali w telewizji apel z informacją o gościu, który nie miał jednego palca u lewej dłoni.

– Rozumiem, proszę pana. Uważa pan, że widział tego mężczyznę?

– Dosłownie parę minut temu. To na pewno ten sam, bo rozpoznałem go z twarzy, pokazywali ją w telewizji. Pracuje jako robotnik do wszystkiego w stadninie Clontead Stud na północ od Coachford. Ma na imię Dermot. Nazwiska nie znam, ale nie da się go nie rozpoznać. To ta sama gęba co na ekranie.

– Dziękuję panu. Przekażę tę informację funkcjonariuszom, którzy kierują tym śledztwem.

– Jest coś jeszcze. Otóż wydaje mi się, że w Clontead Stud odchodzi jakiś przekręt z ustawianiem wyścigów konnych.

– Z ustawianiem wyścigów konnych? Może mi pan coś więcej o tym powiedzieć?

– Sam nie wiem... – Gerry poczuł nagle lęk i raz po raz spoglądał w lusterko wsteczne, sprawdzając, czy nie jedzie za nim ktoś ze stadniny. – Dowodów raczej nie mam, ale myślę, że oni mogą puszczać słupy. No wie pani, podstawiają jednego konia w miejsce drugiego, żeby móc zmanipulować zakłady.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Nie mogę pani teraz powiedzieć. Muszę już ruszać.

– Gdyby zechciał pan przyjechać na komendę i osobiście podać te informacje funkcjonariuszom. Potraktują je jako poufne, mogę pana o tym

zapewnić.

– No dobrze, dobrze. Zastanowię się. Ale teraz muszę jechać.

Rozłączył się i rzucił iPhone'a na fotel obok. Wcisnął pedał gazu i wyjechał z bramy, wyrzucając spod kół strugi błota i trawy.

## Rozdział 51

Jeszcze zanim wóz Gerry'ego zniknął z zasięgu wzroku, Riona popędziła na tył garażu; Dermot siedział w kucki i gmerał w torbie z narzędziami, szukając klucza francuskiego.

– Dermot! Prędko! Andy je znalazł! Siostrę Nessę i siostrę Virginię! Ja się tylko przebiorę, a potem jedziemy po nie!

– A co tym kranem? – zdziwił się Dermot.

– Ciekło z niego dwa dni i nawet żeś go nie tknął. Myślisz, że jeszcze jeden dzień coś zmieni? No, jazda!

– Po co, kuźwa, ten cały pośpiech? – spytał, ale zamknął torbę i wstał.

– Czekałam na ten dzień trzydzieści lat, po to pośpiech! Nie chcę czekać ani minuty dłużej!

Dermot ujrzał w jej oczach coś, czego nigdy dotąd nie widział, nawet kiedy rozcinali brzuch siostrze Monie, piętnowali rozgrzaną monstrancją piersi siostry Barbary albo piekli siostrę Aibrean w piekarniku dla świń. Pociemniały jej źrenice i wydawały się niemal czarne, Dermot był gotów uwierzyć, że jest opętana. Widywał w Carraig Mor kobiety, które tak właśnie wyglądały – kobiety krzyczące, że mają w sobie szatana. Zmienił się nawet jej chód i kiedy zmierzała do domu, jej ręce i nogi podrygiwały, jakby jej ruchami zawiadywał demoniczny lalkarz.

Kiedy poszła się przebrać, Dermot otworzył garaż i uruchomił swój samochód. Uprzątnął z tyłu większość gratów i śmieci, ale parę puszek pozostało i wnętrze auta wciąż cuchnęło farbą do płotu. Wyjechał na dziedziniec stadniny i z opuszczoną szybą czekał na Rionę.

Ze stajni Saint Sparkle'a wyszedł Ryan.

– Jedziesz, chłopie? – spytał.

– Znowu jej odbija – odparł Dermot, dając mu papierosa.

– W takim razie powodzenia.

Po jakichś dziesięciu minutach Riona wyszła z domu z długim czarnym płaszczem zarzuconym na ramiona. Była przebrana w kompletny strój zakonnicy z czepcem, welonem i dużym srebrnym krzyżem na szyi. Ryan złożył dłonie jak do modlitwy, ale jej to ani trochę nie rozbawiło.

– Skończyłeś już skrobać Sparkle'a? – warknęła na niego. – A może robisz sobie kolejną przerwę, na którą nie zasłużyłeś?

– Ze Sparkle'em gotowe. Super się czuje. I sypnąłem mu turbopłatków.

– No dobra, w porządku, pewnie co najmniej dwie godziny mnie nie będzie. Możesz wziąć na jazdę Mister Lintocka, tylko żeby na luzie było. Myślę, że to ścięgnę prawie się już zagoiło, ale nie chcę go znowu uszkodzić.

– Jasne, spokojna głowa. Pojadę na nim, jakby mój własny był.

– Tak. I to mi właśnie spokoju nie daje.

Wsiadła na fotel pasażera, obciągając habit i szkaplerz, żeby dobrze leżały.

– Biedula siostra Nessa – odezwał się Dermot, gdy ruszyli. Wyrzucił już papierosa, ale mówiąc, dalej wydmuchiwał dym z ust. – Nie wie, co się jej szykuje. A niby właściwie, co się jej szykuje? Czegoś specjalnego aby nie potrzebujemy, co? Drugiego piekarnika? Ten, kuźwa, piekarnik, ale z tym było sprzątanina, jak w chlewie. Hej, słyszałaś? Chlew! Ze mnie jest, kuźwa, komik, a nawet żem nie wiedział!

– Siostra Nessa była wyjątkową szują – oznajmiła Riona. – Kazała ci wyprać i wyprasować całą pościel, a jeśli został na materiale najdrobniejszy brązowy ślad od żelazka, zrzucała wszystko na podłogę, wycierała w to nogi i trzeba było prać i prasować od nowa. A kiedy ktoś dał Sorleyowi choćby herbatnika, wyrywała mu go i mówiła, że bękarty nie zasługują na smakołyki.

– No to świętoszka z niej była rzeczywiście – zauważył Dermot. Dojechali już do Coachford i skręcili na Dripsey i Cork. Niebo pozostawało bezchmurne, żywopłoty wciąż lśniły szronem.

– O tak, uważała się za świętą – potwierdziła Riona. – Robiła z siebie świętą Agnieszkę z Rzymu, patronkę dziewic, więc w jej pojęciu my wszystkie byłyśmy najbrudniejszymi z brudnych.

– A co spotkało świętą Agnieszkę? – zaciekawił się Dermot. – Znaczy, jak ją niby załatwili?

– Odmówiła spalenia kadzidła rzymskim bogom, bo jak twierdziła, obiecano ją Chrystusowi. Miała zaledwie dwanaście lat i nadal była dziewicą, więc zgodnie z rzymskim prawem nie wolno było wykonać na niej wyroku śmierci, dopóki nie utraci dziewictwa.

– Sensownie brzmi – ocenił Dermot. – Odrąbać dziewczynie głowę, zanim tamto straciła... no to by było kompletne marnotrawstwo dobrej cipki.

Riona puściła to mimo uszu.

– Rzymscy kapłani posłali ją do burdelu, żeby utraciła dziewictwo. Rozebrali ją do naga i wlekli ulicami za koniem. Według legendy, włosy urosły jej cudownie i zakryły wstyd, ale wątpię, czy to samo przydarzy się siostrze Nessie.

Dermot zerknął na nią.

– Więc to jest to, coś dla niej obmyśliła? Ciąganie po ulicach rozebraną do goła? Nie wydaje ci się, że ktoś może zauważyć?

– Na miłość boską, przecież nie będziemy jej wlekli St. Patrick's Street. Jakąś fajną zwirową wiejską drogą, o tym myślałam. A zamiast konia wykorzystamy ten samochód.

– W ten sposób pomożemy jej dofrunąć do tej świętej, jasne.

– Na to liczę. Święta Agnieszka przeżyła jednak i na koniec musieli jej obciąć głowę. Katu powiedziała, żeby się pospieszył, bo oblubienica nie powinna

kazać czekać oblubieńcowi. Znaczy Jezusowi, ma się rozumieć.

– O kuźwa – rzucił Dermot, kiedy wjechali na trasę R618 do Cork. – Oż, te, kuźwa, męczennice. Aż włosy dęba stają. A ta druga? Siostra Wredynia czy jak jej tam.

– Siostra Virginia. Ale raz dla odmiany trafiłeś. Powinna nosić imię Wredynia. Wystarczy, że sobie przypomnę, jak traktowała mnie i Sorleya, od razu robi mi się niedobrze. Kiedy zmoczył łóżeczko, kazała mu w nim spać całą noc, żeby miał nauczkę, chociaż prześcieradło było całe mokre. A jak się uczył siadać na nocniku i przypadkowo zrobił kupę w majtki, nie pozwalała mu ich zmienić przez resztę dnia. Biedactwo miało tylko półtora roku.

– To co dla niej zaplanowałaś? – chciał wiedzieć Dermot.

– Coś bolesnego, możesz być pewny. Ona czciła świętą Perpetuę, patronkę brzemiennych matek. Święta Perpetua była zamężną szlachcianką w Kartaginie, która należała do Cesarstwa Rzymskiego, i była również mamką. Umęczono ją, żeby wyrzekła się wiary chrześcijańskiej. Wbijali jej noże między każdą kość w ciele, by poczuła przed śmiercią jak największy ból. Podobno straszliwie krzyczała. Tak ją bolało, że chwyciła za ostrze miecz kata i podcięła nim sobie gardło.

– Że ty to wszystko, kuźwa, spamiętałaś, ja nie wiem – dziwił się Dermot.

– Pamiętam, bo nie mogę tego zapomnieć, a te siostry się o to postarały.

– Ja pamiętam tylko jedną rzecz z czasów, jak byłem młodszy, piosenkę *Bagienko w dolinie*. – Stukając sygnetami na palcach w kierownicę, drętym świszczącym głosem zaśpiewał: – *Pchelka na piórku, piórko na ptaszku, ptaszek w jajeczku, jajeczko w gniazdku, gniazdko na drzewku, drzewko w bagienku, a bagienko w dolinie-ooo!*

– Matko Boska – jęknęła Riona. – Poza tym, że połowę opuściłeś, to tak fałszujesz, że mi uszy spuchły.

W ciągu niespełna godziny dotarli do Knocknaheeny w północno-zachodniej części miasta. Z Kilmore Road skręcili w Dunmore Gardens, alejkę z szeregiem schludnych, ale ponurych parterowych domków z poddaszem, biegnącą wzdłuż ogrodzonych terenów sportowych.

– Dom siostry Nessy stoi trochę dalej – powiedziała Riona. Pociągała za rękawy, by je wygładzić, i Dermot zauważył, że jest coraz bardziej podniecona. Zachowywała się tak samo, kiedy podrzucał ją do domu opieki w Greendale, z którego ulotniła się wraz z siostrą Barbarą.

Jechał pomału i myślał o tym, jak przywiąże nagą siostrę Nessę do haka holowniczego i będzie ją włókł drogą za samochodem. Nie wiedział, z jaką szybkością będzie mógł pojechać, zanim zaczną odpadać z niej kawałki.

– *Drzewko w bagienku* – zamruczał cicho. – *A bagienko w dolince-ooo.*

– Stop! – rozkazała Riona.



- No coś ty! Aż tak do dupy nie śpiewam.
- Nie, zatrzymaj samochód! Zawróć!
- Co? Co się stało?
- Spójrz przed siebie, pacanie ślepy! Zawracaj!

Nieco dalej przed małym szarym domkiem otoczonym żywopłotem stał radiowóz, a dwóch mundurowych ustawiło się obok betonowych słupków po obu stronach podjazdu. Dermot wdepnął mocno hamulec i wrzucił tylny bieg, toyota zawyla niczym koń. Skręcił raptownie kierownicą, żeby zawrócić na trzy razy.

Riona zobaczyła blondynkę w popielatym kostiumie, która przemierzyła podjazd i powiedziała coś do jednego z funkcjonariuszy.

– Myślę, że wpadli na nasz trop – domyśliła się Riona. – Ta blondynka, widziałeś ją? Mogę się założyć, że to detektyw. Chyba wykombinowali, co robimy.

– To żadna, kuźwa, niespodzianka. Po cichu żeśmy tego nie robili, tego nie można powiedzieć, co? Nie wiem właściwie, czemu żeśmy się w telewizji nie reklamowali! Mogliśmy je gdzieś w bagienku zakopać i nikt by nic nie wiedział!

– Ale właśnie w tym rzecz! – odparowała Riona, zaciskając zęby. – Ja chcę, żeby oni wiedzieli!

– I co teraz? – spytał Dermot, kiedy dotarli do Kilmore Road. – Mam jechać do Clontead?

– Nie. Jedźmy do siostry Virginii. Może policja jeszcze nie wie, że o nią też nam chodzi.

– Znaczy teraz, od razu?

– Tak, teraz! A kiedy? Za dwa tygodnie od przyszłego czwartku?

– To się robi coraz większe wariactwo. Złapią nas, wiesz o tym.

– Pewnie, że wiem. Nie obchodzi mnie.

– Mnie też, byleby tylko zamknęli mnie w porządnym więzieniu, a nie w tym kiblu Carraig Mor z tymi wszystkimi świrusami. Uczulony jestem na świrusów, mówię ci.

Riona rozwinęła kartkę z notesu Andy'ego.

– To jest tutaj. Siostra Virginia mieszka przy Iona Road w Mayfield. Wiesz, jak tam dojechać?

– Czy wiem jak tam dojechać? Przecież ja tam, kuźwa, kiedyś mieszkałem. Dwie ulice od Roya Keane'a.

– Więc jedźmy tam.

\* \* \*

Iona Road wydawała się o wiele elegantsza niż Dumore Gardens, choć większość domków też była parterowa z poddaszem. Te jednak były dyskretnie zasłonięte od strony drogi równo przyciętymi żywopłotami i pomalowanymi na biało murami, a na podjazdach stały nowe samochody.

Znaleźli domek, w którym siostra Virginia mieszkała z córką kuzynki, i Dermot zaparkował wóz trzy domy dalej, po przeciwnej stronie jezdni. Nigdzie nie było widać radiowozów ani nieoznakowanych aut, w których mogli czuwać funkcjonariusze Gardy. Wciąż świeciło słońce i wiał lekki wiaterek.

Riona przemierzyła ulicę i podeszła do ganku. Ogródek wyłożony był kamieniami; betonowy cherubinek trzymał poidełko dla ptaków, stopnie prowadzące na ganek pomalowano lśniąca czerwoną farbą w odcieniu kardynalskiej purpury.

Nacisnęła dzwonek i usłyszała kuranty wewnątrz domu. Przy spotkaniach z czterema pozostałymi siostrami Riona była spokojna, teraz jednak czuła przyspieszone bicie serca. Wiele wskazywało, że czas dobiega końca. Zadrżała od powiewu wiatru, przeniknął ją dreszcz.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich młoda kobieta w czerwonym swetrze z pyzaty m chłopczykiem na rękach. Młec miał buzię umazaną musem czekoladowym.

– O! Czym mogę pani służyć? – spytała.

– Mam nadzieję, że nie przerwałam lunchu temu młodzieńcowi – powiedziała Riona. – Czy zastałam siostrę Virginie?

– A z kim mam przyjemność?

– Siostra Margaret Rooney z klasztoru Bon Sauveur. Odwiedzam wszystkie siostry, które należały kiedyś do naszego zgromadzenia, i sprawdzam, czy im się dobrze wiedzie. To taka nasza nowa inicjatywa, chcemy wiedzieć, że nasze dawne siostry nie są zaniedbane lub porzucone i czy nie trzeba im specjalnej opieki.

– Och, to dziwne – rzuciła młoda kobieta.

– Słucham?

– Cioci tu nie ma. Bardzo się wystraszyła z powodu tych sióstr z waszego zakonu, które ktoś zamordował, i pomyślała, że ją też może to spotkać. Mówiłam, że nie ma się czym przejmować i że z nami nic jej raczej nie grozi, ale wczoraj spakowała walizkę i pojechała do klasztoru. Powiedziała, że tam będzie bezpieczniejsza.

– Wróciła do klasztoru?

– No właśnie. Nie wiedziała siostra? Tommy, nie takimi paluszkami w czekoladzie.

– A, nie... Nie wiedziałam – odparła Riona. – Ale od piątku nie byłam przecież w klasztorze. Cóż, to dobrze. Bardzo dobrze, to mi oszczędzi trochę zachodu. Będzie mi bardzo miło znowu się z nią spotkać.

– Przepraszam, że musiała się siostra fatygować. – Młoda kobieta uśmiechnęła się i zamknęła drzwi.

Riona stała przez chwilę w ogródku, po czym tupnęła nogą.

– Psiakrew!

Niemal natychmiast drzwi się otworzyły i stanęła w nich młoda kobieta. Trzymała w rękach pozłacany medalion.

– Ciocia czegoś zapomniała. Byłaby siostra tak miła i jej to oddała?

Riona wzięła medalion i uśmiechnęła się.

– Ależ oczywiście. Niech panią Bóg błogosławi. I pani ślicznego chłopczyka.

Ja też kiedyś takiego miałam, pomyślała. Ale jemu nigdy nie wolno było jeść czekolady. I czyja to była wina? Twojej kochanej ciotuni.

Z medalionem w dłoni ruszyła ku ulicy. Widniał na nim wizerunek zasmuconej kobiety i podpis „S. Perpetua Mater Misericordiae”, Święta Perpetua Matka Miłosierdzia. Zanim dotarła do samochodu, wrzuciła go do kratki ściekowej.

– No i gdzie siostra Wredynia? – zapytał Dermot, kiedy wsiadła.

– Nie tutaj. Tak się złąkla z powodu doniesień o mordowaniu zakonnice z klasztoru Bon Sauveur, że pojechała sobie poszukać schronienia. Zgadnij gdzie?

Czekał, aż sama mu powie, ale skoro milczała, odparł:

– Skąd niby mam, kuźwa, wiedzieć? W barze rybnym Jackiego Lennox?

– W klasztorze Bon Sauveur, głupolu. Wróciła do Bon Sauveur.

– Bo myślałem... no wiesz... Virginia kojarzy się z winegretem, nie, a do czego jest winegrzet?

– Jezu, Dermot. Czasem aż mnie rozpacz bierze. Nie powinni cię wypuszczać z Carraig Mor do końca twoich dni.

– Chciałem na to spojrzeć z jaśniejszej strony. No bo jak się nie można pośmiać, to gdzie w tym, kuźwa, sens? No i co teraz zrobimy?

– Jedziemy po nią do klasztoru, tak zrobimy.

– Ach, daj spokój, nosisz habit i całą resztę, ale przecież one będą wiedziały, że jesteś tylko na niby zakonnica.

– Muszę podjąć takie ryzyko. Jeśli ściga nas policja, niedługo do nich dotrze, że siostra Virginia też jest na naszej liście do odstrzału. Ja chcę ją dopaść, Dermot! Chcę, żebyś dźgał ją nożem raz po raz między kości, aż będzie marzyła tylko o tym, żeby sobie poderznąć gardło.

– No dobra – zgodził się, chociaż po jego minie widać było, że nie jest zachwycony. – Jeśli takie masz życzenie. To ty opłacasz grajka.

Uruchomił silnik, ale w tej samej chwili odezwał się iPhone Riony. Zobaczyła, kto dzwoni, dotknęła ręki Dermota i zasygnalizowała, żeby jeszcze nie ruszał.

– Co się stało? O co chodzi? – zapytała, przez chwilę słuchała rozmówcy. – W jaki sposób? – Znow jakiś czas słuchała. – Matko boska, nikomu już nie można zaufać – odezwała się w końcu. – Ale skurczybyk! No dobrze. Tak, dobra. Dzięki wielkie. Mam u ciebie dług. Załatwię to.

Rozłączyła się i zwróciła do Dermota:

- Wracamy do Clontead.
- Co? Myślałem, że chcesz jechać do klasztoru.
- Clontead mówię! I gaz do dechy!
- No nie wiem – mruknął Dermot, wyjeżdżając na szosę. – Byłoby dobrze, gdybyś się czasem na coś zdecydowała. Z całym, kuźwa, szacunkiem.
- To Gerry Brickley – oznajmiła Riona. – Dopiero co doniósł na policję, że ustawialiśmy gonitwy. Przyjechał pół godziny temu na komendę przy Anglesea Street i powiedział, że widział Sparkle’a Drugiego i jest pewny, że używaliśmy go jako słupa.
- A to menda! Nie mogę uwierzyć! Powinniśmy pojechać i go załatwić, zanim zabierzemy się za siostrę Wredynię!
- On jeszcze gorsze rzeczy opowiadał, Dermot. Rozpoznał w tobie jednego z dwóch mężczyzn, którzy wrzucili do fontanny siostrę Barbarę.
- Zabiję go! No, zabiję! Zabiję go, kuźwa! Jaja mu obetnę i wsadzę mu w dupę!
- Po pierwsze, musimy pojechać do stadniny, załadować Sparkle’a Drugiego na przyczepę i pozbyć się go. Wtedy nie będą mieli żadnych dowodów, że był słupem.
- Panie Jejku, no, super! Po prostu super! A gdzie znajdziemy hyclownię, żeby go wzięła i o nic nie pytała? Nie masz nawet na niego lipnych dokumentów. W Fitzgerald’s go nie tkną!
- Możemy się go pozbyć w taki sam sposób, w jaki Paddy Fearon pozbył się tamtych koni.
- Czy ty mnie wkręcasz?
- Dermot, sytuacja jest rozpaczliwa. Będziemy się musieli uciec do rozpaczliwych metod.
- A tak, żeby ocalić twoją skórę – zauważył Dermot. – A co ze mną? Ino patrzeć, jak wyląduję znowu w klatce dla świrusów!
- Zamilkł na chwilę, żeby się uspokoić, i zacisnął zęby. Potem skinieniem głowy wskazał iPhone’a leżącego na kolanach Riony.
- Kto właściwie do ciebie dzwonił? – spytał.
- Ktoś, kto wie, co jest grane. A teraz gazu, dobra? Wleciesz się tak, że do Dnia Sądu nie zajedziemy.
- Najprawdziwsza prawda. Najprawdziwsza prawda.

## Rozdział 52

Doktor Mazdani chciał, żeby Katie została w szpitalu jeszcze co najmniej dobę; wolał mieć pewność, że nie doszło do powikłań, ale gdy zjadła na lunch kanapkę z szynką i jogurt truskawkowy, oznajmiła mu, że wychodzi na własne życzenie.

– Prawdopodobnie nic pani nie dolega – powiedział. – Ale proszę panią, błagam, żeby się pani oszczędzała. Jakiegokolwiek krwawienie, proszę natychmiast wracać.

Na korytarzu przed jej salą stał uzbrojony funkcjonariusz w czarnej wiatrówce; był tam od chwili, gdy ją przywieziono. Ubrała się i poprosiła go, żeby podjechał samochodem do drzwi frontowych kliniki. Czekając na niego, zadzwoniła do detektywa komisarza O'Rourke'a.

– Francis? Co tam u was? Za minutę wyjeżdżam ze szpitala, za pół godziny powinnam być w domu.

– Jak się pani czuje? – spytał.

– Wymaglowana, szczerze mówiąc. Ale jakoś trzymam się przy życiu.

– Miałem do pani dzwonić. Wygląda na to, że mamy dobry trop w sprawie zakonnic. Zadzwonił jakiś gość... chwileczkę, mam tu jego nazwisko, niejaki Gerry Brickley. Przyjechał na komendę około jedenastej i powiedział, że wie, kim był ten czteropalczasty w kapturze, który przypasał upieczoną zakonnicę do latarni. Miał pewność, że to był ten sam facet, który wrzucił siostrę Barbarę do fontanny Berwick.

– Więc kto to jest, ten czteropalczasty w kapturze?

– Jakiś ciul, który odwała drobne prace w stadninie ogierów w Clontead, zaraz na północ od Coachford. Na imię mu Dermot, nazwiska nie znał. Stadninę prowadzi kobieta, Riona Mulliken.

– Słyszałam o niej. Nie tak dawno temu był o niej artykuł w „Examinerze”. To jedna z najlepszych hodowczyń i trenerek koni w Cork, odniosła wiele sukcesów.

– Może, ale dlatego, że oszukuje – odparł O'Rourke. – Ten Brickley mówi, że dziś rano zajrzał bez zapowiedzi do stadniny, żeby rzucić okiem na konia, który do niego należy, i ni stąd, ni zowąd zobaczył identycznego. Jego zdaniem, Riona Mulliken podmieniała konie. Wierzchowiec Brickleya był zgłoszony do gonitwy O'Grady Insurance Group Steeplechase w Mallow w ubiegłą niedzielę, ale ten, który pobiegł, nawet nie skończył wyścigu. Teraz Brickley jest przekonany, że to wcale nie był jego koń.

– Czytałam jeszcze coś o Rionie Mulliken – przypomniała sobie Katie. – Właśnie dlatego nazwisko siostry Bridget Healy wydało mi się znajome! Otóż

Riona Mulliken chciała pozwać Bridget Healy za złe traktowanie, na jakie była narażona podczas pobytu w Domu Matki i Dziecka Świętej Małgorzaty, oraz za to, że jej dziecko adoptowano bez jej zgody. Ale siostra Bridget Healy twierdziła, że tamta podpisała na metryce urodzenia, że zrzeka się wszelkich praw rodzicielskich, więc sędzia sądu okręgowego oddalił pozew i obciążył tę Mulliken kosztami. Nazwała siostrę Bridget „zbrodniarką we wronim wdzianku” i właśnie to utkwiło mi w pamięci.

– Podoba mi się to określenie – rzucił O’Rourke. – Zbrodniarka we wronim wdzianku. Pasowałoby do prawie wszystkich przedstawicieli kleru, z którymi się w życiu zetknąłem. Ojciec Jenkins, na przykład, po prostu koszmar. Różaniec w jednej rączce, a gdzie była druga, może się pani domyślić.

– Tak. Przede wszystkim musimy zgarnąć tego Dermota. Brennan będzie do tego najlepszy. Wyśle go pan do stadniny z paroma mundurowymi? Wtedy będzie można się dokładniej przyjrzeć pani Mulliken i ustawkom na wyścigach. Jeżeli ten Dermot dla niej pracuje, musi coś o tym wiedzieć. To może się jednak okazać trudne do udowodnienia, wie pan, jacy są ci od wyścigów konnych. Twardsi niż kamieniarze.

– Chwileczkę – wtrącił detektyw komisarz O’Rourke. – Ten facet, który przyszedł na komendę, Brickley, wspomniał jeszcze o czymś. Podobno podczas wyścigów w Mallow zauważył, że Riona Mulliken się z kimś spiera, wyglądało to na ostrą sprzeczkę. Zgadnie pani z kim?

– Francis, naprawdę nie jestem w humorze do zgadywanek, a na dole czeka policjant, który ma mnie odwieźć do domu.

– Przepraszam. To był Paddy Fearon.

Machnęła ręką pielęgniarce, która przyszła jej przekazać, że funkcjonariusz zaparkował już przed wejściem do szpitala.

„Dwie minuty”, powiedziała Katie ruchem ust i usiadła na łóżku.

– Paddy Fearon? – rzuciła. – No, chyba pan żartuje.

– Wszystko by się zgadzało, pani nadkomisarz. Niektóre wierzchowce znalezione na plaży miały ufarbowaną sierść. Mamy silne podejrzenia, że to Paddy Fearon je tam zrzucił. Riona Mulliken została oskarżona przez Brickleya o przekręty na wyścigach. Łatwo jest dodać dwa do dwóch.

– No dobrze, Francis. Świetnie. Zadzwoń do pana, jak tylko będę w domu. Tymczasem może pan wygrzebać jak najwięcej o tej Rionie Mulliken? Irlandzka Komisja Wyścigów Konnych i Weatherbys powinny mieć większość potrzebnych informacji. A, i niech pan poprosi Dooleya, żeby zamienił parę słów ze swoim kolegą Michaeliem O’Malleyem. On zna wszystkich w świątku koniarzy.

– Tak zrobię, oczywiście. Ale jest jeszcze jeden kawałek układanki, który może pasować. Gerry Brickley jest właścicielem firmy Brickley’s Welding and Construction w Castletownroche.

– I co?

– Jadąc rano do stadniny, spodziewał się, że zobaczy nową stodołę, której budowę zapowiedziała Riona Mulliken, a ona jej nawet jeszcze nie zaczęła. Zdziwił się, bo kupił od niego parę butli helu do spawania. Rzekomo do spawania.

Katie gwizdnęła cicho.

– O tak, ma pan rację. Te kawałki rzeczywiście zaczynają do siebie pasować. Ale zbierzmy najpierw jak najwięcej informacji o Rionie Mulliken, zanim posuniemy się dalej. Niech pan dopilnuje, żebyśmy capnęli tego Dermota i to raz-dwa.

– Później się jeszcze do pani odezwę – zapowiedział detektyw komisarz O'Rourke. – Pani nadkomisarz? – odezwał się, zanim przerwała połączenie.

– Tak, Francis?

– Tylko niech się pani nie przemęcza, dobrze? Będę panią informował, ale dam sobie radę, spokojna głowa. Ten cios Karosasa był mocny jak cholera. Potrzeba trochę czasu, żeby pani doszła do siebie, pod każdym względem.

– Dzięki, Francis. Doceniam to. Później zadzwonię.

\* \* \*

Funkcjonariusz, który zabezpieczał Katie, odwiózł ją do domu, do Cobh; trzy razy próbowała się dodzwonić do Johna, ale nadal nie odbierał.

Trudno jej było uwierzyć, że nie chce nawet z nią rozmawiać. Nawet jeżeli uznał, że jej ciąża oznacza koniec ich związku – to czy nie chce na nią nakrzyczeć, nazwać jej dziwką ani wiedzieć, kto był ojcem dziecka, gdzie przebywa i dlaczego nie jest przy niej?

Policjant pomógł jej wysiąść z samochodu. Był ledwo po czterdziestce, ale włosy zaczynały mu już siwieć na skroniach, jego oczy wyglądały jak wyblakłe agaty i był niezwykle małomówny. Przez całą drogę od kliniki nie odezwał się do niej ani słowem.

– Będę pilnował przed domem, proszę pani – oznajmił. – I nie musi się pani martwić. Przed końcem mojej wachty załatwię kogoś na zmianę.

– Przyniosę panu herbaty. I może pan wchodzić i korzystać z toalety, kiedy tylko pan będzie potrzebował. Nie musi pan sikać po krzakach.

Kąciki warg funkcjonariusza prawie uniosły się w uśmiechu. Odprowadził Katie do drzwi i poczekał, aż wejdzie. Barney przycwałował do niej, machając ogonem, i omal jej nie zwałił z nóg.

– No już dobrze, Barns. Nie skacz na mnie. Jestem chwilowo trochę przewrażliwiona.

– Wszystko w porządku, pani nadkomisarz? – zapytał funkcjonariusz. – Jeśli czegoś trzeba, wystarczy na mnie krzyknąć.

– Dziękuję – odrzekła Katie. Trzeba mi odpoczynku, pomyślała. Żeby ktoś

mnie przygarnął. Trzeba mi czyjegoś ramienia, żebym się mogła wypłakać. Chcę odzyskać moje dziecko, ale odeszło na wieki. Boli mnie, czuję ból w brzuchu i chce mi się płakać.



## Rozdział 53

Dermot przyczepił pojedynczą przyczepę na jednego konia do samochodu, a Riona stała i niecierpliwiła się, trzymając za uzdę Sparkle'a Drugiego.

– Nie idziesz się przebrać? – zapytał Dermot.

– Nie, bo najpierw pojedziemy do klasztoru. Pozbędziemy się dzisiaj nie tylko Sparkle'a Drugiego.

Pokręcił głową.

– Słuchaj, myślisz, że to taki genialny pomysł? W klasztorze też mogą być gliny.

– I właśnie dlatego nie zmieniam ubrania – odparła Riona. – Jakie bym miała szanse, gdybym wparowała do klasztoru w kozuszkach i kozakach?

– No dobra, niech ci będzie. Ale to się robi z minuty na minutę coraz bardziej porabane, bez dwóch zdań. A mnie się zdawało, że to ja jestem czubek.

– Idź po dubeltówkę – poleciła Riona.

– Co?

– Powiedziałam: idź po dubeltówkę. I weź pudełko naboju.

– Co ci chodzi po głowie? Planujesz, kuźwa, strzelaninę w O.K. Corral?

– Po prostu zrób, co mówię. Marnujesz tylko czas.

Ruszył do swojej przybudówki obok stajni, Riona tymczasem wprowadziła Sparkle'a Drugiego po rampie do przyczepy i go przywiązała. Gdy wierzchowiec parsknął, poklepała go po pysku.

– Wybacz, Sparkle. To nie twoja wina. Istnieje niebo dla koników, nie bój się. Sama trawka, słoneczko i napalone kobyły.

Dermot wrócił z łamaną fuzją, której używał do zabijania szczurów w obejściu, i pudełkiem dwudziestoośmiogramowych pocisków. Rzucił je na tylne siedzenie i wsiedli do samochodu.

– Może powinniśmy zmówić modlitwę – zasugerował.

– Dobra myśl – przyznała Riona. – Ocal nas, Panie, przed sadystycznymi zakonnikami, ludźmi niegodnymi zaufania oraz nieuleczalnymi idiotami. A teraz jazda!

\* \* \*

Dojazd do Gardiner's Hill zajął im godzinę, ponieważ holowali przyczepę. Riona kazała Dermotowi zaczekać na zboczu wzgórza jakieś pięćdziesiąt metrów od wejścia do klasztoru Bon Sauveur, w zaułku Herbert Park.

– Zawróć – nakazała. – Musisz czekać w pogotowiu, żeby odjechać, jak tylko wrócę.

– Dalej jesteś pewna, że chcesz to ciągnąć?

– O Jezusie, nie wiem, kto jest gorszym marudą, Sparkle Drugi czy ty.

– Dobra, przepraszam. Tak tylko zapytałem.

Wysiadła i zarzuciła sobie płaszcz na ramiona. Potem otworzyła tylne drzwi, wzięła dubeltówkę i ją złamała.

– Chyba nie weźmiesz jej ze sobą?

– A co niby robię? – Załadowała broń dwoma nabojami, wyjęła jeszcze cztery i wepchnęła do kieszeni płaszcza.

Dermot zamierzał się odezwać, ale zamilczał. Jeśli nauczył się czegoś o tej kobiecie, to tego, że kiedy postanowi coś zrobić, nie sposób jej powstrzymać. Dzisiaj czuł się przy niej kompletnie bezradny, jak ktoś, kogo woda wyniosła w morze. Nie miał takiego wrażenia od pierwszej zsyłki do Carraig Mor.

Riona poprawiła płaszcz na ramieniu, a następnie ukryła pod nim dubeltówkę, trzymając ją za lufę. Lewą dłonią ścisnęła klapy, żeby broń nie wystawała.

– Nie wiem, jak długo to potrwa – rzuciła. – Zależy, jak szybko uda mi się znaleźć siostrę Virginie.

– Spieszyć się nie musisz. – Dermot zapalił papierosa. – Nie mam umówionej wizyty u doktora ani nic takiego.

– Wtedy miałaś rację – powiedziała. – Jest z ciebie niezły komik.

Ruszyła pod górę ku kamiennym kolumnom klasztoru Bon Sauveur. Przed bramą stało dwóch mundurowych, ale na jej widok skinęli głowami i uśmiechnęli się.

– Co słychać, sestro?

Odpowiedziała im uśmiechem, ale milczała.

Szła po stromo wznoszącym się parkingu, na którym stała zielona furgonetka obładowana łopatami, sitami i poskładanymi płachtami niebieskiej folii; byli tam również ludzie z ekipy poszukiwawczej złożonej z rezerwistów Gardy; rozmawiali i palili papierosy. Riona przeszła obok nich i dotarła do głównych drzwi klasztoru.

Nie musiała dzwonić. Otworzyły się, kiedy do nich podchodziła; ukazała się w nich zakonnica w starszym wieku i uśmiechnęła się.

– Dzień dobry, sestro – odezwała się i otworzyła szerzej drzwi.

Riona skinęła głową, lecz nadal nic nie mówiła.

Echo jej kroków niesło się ponurym korytarzem, kiedy mijała błyszczącą figurę świętej Małgorzaty z Cortony. Dubeltówka robiła się coraz cięższa i nieporęczna pod płaszczem i zsuwała się centymetr po centymetrze, więc Riona zatrzymała się na chwilę, żeby ją lepiej złapać.

W tym momencie z bocznego pomieszczenia wyszła młoda zakonnica w białym habicie. Uśmiechnęła się do Riony, lecz zaraz zmarszczyła czoło, najwyraźniej jej nie rozpoznawszy.

– Czy mogę jakoś pomóc, sestro? – zapytała.

– O, tak! Owszem, siostrze, możesz. Szukam siostry Virginii O’Cleary. Powiedziano mi, że zamieszkała tutaj na jakiś czas. Zostawiła medalion ze świętą Perpetuą w domu córki kuzynki, więc go jej przywiozłam.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony, siostrze – odparła młoda zakonnica. – Myślę, że siostra Virginia jeszcze w tej chwili śpi, bo nie czuła się za dobrze. Jeśli mi go dasz, siostrze, przekażę go jej, kiedy się obudzi.

– Dziękuję, ale naprawdę wolałabym wręczyć go jej osobiście. Możesz mi pokazać, gdzie ją znajdę?

– Myślę, że nie powinno się jej niepokoić. Miała kłopoty z sercem.

– Nie będę jej niepokoiła, daję ci słowo. Będę cichutka jak myszka. Wejdę na paluszkach i włożę go jej do ręki. Ten medalion bardzo wiele dla niej znaczy.

– Hm... no dobrze. Ona jest na górze. Zechcesz za mną pójść? Może poniosę siostrze płaszcz?

– Ależ nie, świetnie daję sobie radę. Strasznie zimno jest na dworze i jeszcze się nie rozgrzałam.

Młoda zakonnica zaprowadziła ją do końca korytarza. Stopnie z jasnego dębu wiodły do antresoli na pierwszym piętrze; przez żółte okno witrażowe padało na nią światło. Wspięły się po schodach i dotarły do następnego korytarza, płaszcz Riona szeleścił, kiedy stawiała kroki. Fuzja zrobiła się tak ciężka, że Riona ledwo ją utrzymywała.

– Tutaj – powiedziała nowicjuszka. Doszły do drzwi z blaszanym krzyżykiem i numerem siedem. Ostrożnie obróciła klamkę i otworzyła je, odwracając się jednocześnie do Riona i kładąc sobie palec na ustach.

Siostra Virginia leżała w półmroku i spała. Spoczywała na prostym metalowym łóżku z mosiężnymi gałkami, przykryta beżowym wełnianym kocem. Nie licząc szafy z politurowanego orzecha i reprodukcji z Jezusem z ręką uniesioną w błogosławieństwie, pokój był całkowicie goły. Wisiała w nim woń maści dezynfekującej i olejku z goździków.

Riona podeszła do łóżka. Na płaskiej poduszce leżała głowa zakonnicy, która zmuszała Sorleya, by całą noc spał w zimnej zasikanej pościeli. Miała zamknięte oczy i do połowy otwarte bezzębne usta, oddychała szybko, jakby śniło jej się, że biegnie.

Była oczywiście o wiele starsza, ale Riona ją pamiętała. Miała zapadnięte policzki i białe włosy związane czarną aksamitną opaską. Riona nigdy jednak nie zdołałaby zapomnieć jastrzębiego nosa i brodawki pośrodku brody.

Odwróciła głowę do nowicjuszki, która dalej stała w otwartych drzwiach. Dziewczyna nie odezwała się, ale zrobiła głową taki ruch, jakby sugerowała, by przybyszka wsunęła medalion w dłoń siostry Virginii i by wyszły, pozwalając jej spać w spokoju.

Riona tymczasem odwróciła się znowu do łóżka, rozsunęła poły płaszcza

i uniosła dubeltówkę. Nowicjuszka wyraźnie nie rozumiała, co się dzieje, bo nie poruszyła się i nie wydała żadnego dźwięku. Riona odstąpiła o krok i wepchnęła lufę fuzji do ust starej zakonnicy, aż metal oparł się o dziąsła.

Siostra Virginia momentalnie otworzyła bladoszare oczy i uniosła lekko jedną rękę. Przez ułamek sekundy patrzyła na Rionę, jakby pytała: „Kim jesteś i co robisz?”. Wtedy Riona nacisnęła oba spusty, jeden po drugim. Rozległ się ogłuszający podwójny łoskot i czaszka siostry Virginii eksplodowała. Na poduszkę i ścianę za nią bluznęła krew, mięso, galaretowate grudki masy mózgowej i odłamki kości.

Z twarzy została jedynie zuchwa ze zwisającym długim bordowym językiem. Pomieszczenie wypełnił ostry zapach prochu, pierze z poduszki osiadało na poczerńiałej krwawej dziurze w miejscu, gdzie spoczywała głowa.

Rionę piekły uszy i czuła się tak, jakby w ramię kopnął ją koń. Odwróciła się do nowicjuszki, a ta patrzyła na nią zaszokowana. Zrobiła jeden krok do tyłu, a potem drugi, po czym popędziła korytarzem. Riona stała chwilę prawie bez ruchu. Żałowała, że nie udało jej się zadać siostrze Virginii długich mąk, które dla niej zaplanowała. Mogła jedynie mieć nadzieję, że stara zakonnica w ostatnim ułamku chwili uświadomiła sobie, kto do niej strzela i z jakiego powodu.

Złamała dubeltówkę, wyrzucając zużyte naboje, i wyjęła z kieszeni dwa nowe. Wyszła z pokoiku, nie oglądając się na zwłoki. Kroczyła korytarzem żwawo, ale się nie spieszyła. Niosła teraz broń, nie ukrywając jej.

Nadal była częściowo ogłuszona hukiem wystrzałów, ale słyszała trzaskanie drzwi, nawoływania zakonnicy i tupot stóp. Ruszyła schodami w dół i była w ich połowie, kiedy drzwi po prawej stronie nagle się otworzyły.

Wyszła z nich zakonnica ubrana w całości na czarno, poza białym czepcem. Była drobnej postury i już niemłoda. Popatrzyła na Rionę i szkła jej okularów zalśniły żółto w blasku wpadającego przez witraż światła.

– Coś ty zrobiła? – odezwała się cienkim drżącym głosem.

Riona szła dalej, aż stanęła dokładnie na wprost niej. Zakonnica ledwie sięgała jej do piersi.

– Co zrobiłam? To, co powinno być zrobione lata temu. Wymierzyłam siostrze Virginii karę, na którą zasłużyła. Zastrzeliłam ją. Nie żyje.

– Zabiłaś ją? Na święte imię Jezusa, co ona uczyniła, żeby na to zasłużyć? Była czystą, świątobliwą niewiastą. Przez całe życie nie uczyniła nic oprócz dobra.

– Nic podobnego. Była morderczynią. Tak samo jak siostra Bridget, siostra Barbara, siostra Mona i siostra Aibrean.

– Powiadasz mi, że je również zabiłaś? – spytała strwożona zakonnica i przeżegnała się.

– Wszystkie morderczynie, jedna w drugą – oznajmiła Riona. – Ile w sumie dzieci zamordowały? Ilu ludziom zdeptały życie? A teraz usuń mi się z drogi,

dobrze? Spełniłam to, po co tu przyszedłam.

– Nie, zostaniesz tutaj – powiedziała zakonnica. – Wezwę strażników i aresztują cię za morderstwo.

Riona uniosła dubeltówkę i wymierzyła prosto w jej serce.

– Nic z tego, siostró. Zabiję bez wahania i ciebie. A teraz zejdz mi z drogi.

Zakonnica zdjęła okulary.

– Jestem matką przełożoną tego klasztoru i w imię Boga rozkazuję ci, żebyś odłożyła tę broń i pozostała tutaj.

Riona przyjrzała się jej.

– Ja cię znam – rzuciła.

– Co też ty mówisz? Odłóż tę broń! Siostró Rose! Słyszysz mnie, siostró Rose? Biegnij i zawołaj tych dwóch strażników! Powiedz im, że jest tu kobieta z bronią!

Riona podeszła bliżej do matki O'Dwyer, aż fuzja prawie dotknęła srebrnego krzyżyka na jej szyi.

– Znam cię. Jesteś siostrą Hannah!

– Co takiego? Ktoś ty?

– Jesteś siostrą Hannah! Koszmarna Hannah, tak na ciebie wołałam za twoimi plecami! Byłaś tak samo podła jak siostra Virginia! Byłaś jeszcze gorsza! Stale się mnie czepiałaś. Kazałaś mi zostawać w klasztorze, kiedy inne dziewczyny wychodziły. Kazałaś się kłaść spać bez kolacji. Pamiętasz, jak kiedyś nie umyłam dobrze naczyń, a ty chlastałaś mnie po twarzy, jakbyś chciała zabić? Traktowałaś mnie koszmarnie! Stale przez ciebie płakałam! I to ty, zdiro, to ty mi powiedziałaś, że to dobrze, że odebrali mi mojego Sorleya, bo jestem kurwą i niczym więcej!

Uniosła wyżej dubeltówkę i położyła palce na spustach.

– O, z jaką radością bym cię zabiła, tu i teraz!

– Sorley? – szepnęła matka O'Dwyer. – Twój syn miał na imię Sorley?

– Ach, więc pamiętasz? Biednego małego Sorleya dręczyłaś prawie tak samo jak mnie, a później wysłałaś go do adopcji do Ameryki.

– Riona? – szepnęła matka O'Dwyer. – Riona Nolan?

– Pamięć ci służy, siostró Hannah. Albo matko Hannah czy jak tam się teraz zwiesz. A teraz mówię ostatni raz, zejdz mi z drogi, bo coraz trudniej mi się powstrzymywać, żeby nie wypalić w tobie wielkiej dziury.

– Nie możesz – oświadczyła zakonnica.

– Co to znaczy „nie możesz”?

– Nie możesz mnie zabić. Jestem twoją matką.

Riona ściągnęła brwi.

– Że co? Co ty bredzisz? Nie jesteś moją matką! Jak mogłabyś nią być? Moją matką była Shauna Nolan, niech Bóg ma w opiece jej duszę!

– Shauna Nolan była twoją matką adopcyjną. Prawdziwą jestem ja.  
Riona powoli opuściła dubeltówkę.

– Byłam adoptowana? Nie pieprz głupot! Nie byłam adoptowana.

– Byłaś, Riono. Wszystko zostało zatuszowane. Nie było dokumentów adopcyjnych takich jak normalnie.

– Nie wierzę w ani jedno słowo! Zmyślasz, żebym cię nie zabiła!

– Nie, Riono, to prawda. Przysięgam ci na Świętą Biblię, że to prawda.

– Więc jeżeli jesteś moją prawdziwą matką, to dlaczego mnie tak źle traktowałaś, kiedy tu byłam? Czemu bez przerwy się mnie czepiałaś? Prawdziwa matka nie traktowałaby własnej córki w taki sposób!

– Z przykrością mówię, że się za ciebie wstydziłam. Wstydziłam się, że upadłaś tak jak ja. Za każdym razem, kiedy cię karałam, wymierzałam karę sobie. Chcę ci teraz powiedzieć, że bardzo tego żałuję. Żałuję z głębi serca.

Riona rozejrzała się z niedowierzaniem.

– Nie mogę tego słuchać! Łżesz! Chryste, byłaś zakonnica! Jak zakonnica mogła być moją matką?

– Byłam bardzo młoda, Riono, i łatwo było mnie nabrać. Kanonik O’Flynn z kościoła Świętej Rodziny odwiedzał regularnie klasztor i czasem odprawiał tutaj mszę. To był mężczyzna o wielkiej charyzmie, a ja się w nim zakochałam. To wszystko.

– Próbujesz mi wmówić, że moim ojcem jest kanonik O’Flynn, a ty moją matką?

– To prawda, Riono. Przysięgam. Jeśli mnie teraz zabijesz, to być może dlatego, że Pan uznał, że zasłużyłam na śmierć, bo popełniłam grzechy, ale ty, zabijając kobietę, która dała ci życie, popełnisz jeszcze większy.

Nastąpiła długa pauza. Riona stała z do połowy opuszczoną fuzją, wciąż piekło ją w uszach i była kompletnie otumaniona. W tej samej chwili drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem i do środka, wymachując pałkami, wpadło dwóch funkcjonariuszy, którzy trzymali straż u wejścia do klasztoru.

– Odłóż broń! – krzyknął jeden. – Słyszysz? Odłóż ją natychmiast!

Riona chwyciła szkaplerz matki O’Dwyer i szorstko przyciągnęła ją do siebie.

– Nie ruszać się! – krzyknęła, unosząc dubeltówkę. – Jeśli podejście bliżej, rozwalę jej łeb! Naprawdę!

– Odłóż broń! – powtórzył funkcjonariusz. – Zbrojna jednostka już jest w drodze i nie będziesz miała szans!

Ruszyła w kierunku drzwi, ciągnąc ze sobą matkę O’Dwyer.

– Nie, Riono! – powtarzała zakonnica. – Nie rób tego! Na miłość Boga, nie!

Riona w milczeniu posuwała się naprzód. Zbliżywszy się do policjantów, uniosła wyżej fuzję. Obaj podnieśli ręce i wycofali się.

– Popelniasz cholerny błąd, dziewczyno – ostrzegł ją jeden z nich. – To się skończy płaczem, zapewniam cię.

Wyszczrzyła do niego zęby w gorzkim uśmiechu i wypchnęła matkę O’Dwyer za próg.

Teraz naprawdę jej się spieszyło. Ściskając mocno w dłoni szkaplerz zakonnicy, zmierzała szybkim krokiem po spadzistym parkingu, przez bramę i dalej w dół. Matka O’Dwyer potknęła się kilka razy, a w końcu spadł jej lewy but, ale Riona podciągnęła ją i parła naprzód. Jeden z rezerwistów odwrócił głowę i je zobaczył.

– Hej! – zawołał i ruszył za kobietami, lecz w tym momencie z budynku klasztoru wyszedł funkcjonariusz.

– Stój! – krzyknął. – Ona jest uzbrojona! Wezwaliśmy już szturmowców!

Riona zawlekła matkę O’Dwyer do Herbert Park. Dwie dziewczynki w różowych kurtkach grały w klasy na chodniku i przyglądały im się ze zdziwieniem. Dermot siedział w samochodzie, palił i słuchał stacji Cork 96 FM. Na widok Riony i utykającej zakonnicy, które pojawiły się na rogu, wyrzucił papierosa i wyłączył radio.

– Jezu Chryste, Riona! Co jest, kuźwa?

Otworzyła tylne drzwi i wepchnęła do środka matkę O’Dwyer. Potem wsiadła obok niej i przycisnęła lufę fuzji do jej boku.

– Riono, proszę! – odezwała się zakonnica. – Zastanów się dwa razy, co robisz! Oni poślą za nami uzbrojonych policjantów! Doprowadzisz do tego, że obie zginiemy!

– Buzia na kłódkę, siostró Hannah – warknęła Riona. – Dermot, zabierajmy się stąd, i to gazem!

– Ciągniemy za sobą, kuźwa, przyczepę z koniem! Nie mogę za bardzo gazować!

– No, przecież wiem, ale gazuj, ile możesz. Mamy zakładnika, więc to właściwie nieważne. Nikt nam nie zrobi krzywdy, dopóki trzymamy tu tę świętą matulę.

– Riono... – zaczęła zakonnica, lecz ta wetknęła mocniej lufę w jej żebra.

– Dość! Nie chcę o tym słyszeć! Nie chcę wysłuchiwać twoich modłów, przeprosin i wymówek! Moją matką była Shauna Nolan i basta! A teraz przymknij jadaczkę!

– Co to za historia? – spytał Dermot, zjeżdżając Summerhill w stronę centrum; przyczepa z koniem podskakiwała i rzucało nią na boki.

– Siostra Virginia tańczy już z diabłem, więc kolejna z listy wiedźm jest odhaczona.

– Myślałem, że chciałaś ją zadźgać.

– Nie miałam na to czasu. Ale przynajmniej ujrzała moją twarz, zanim się

potoczyła w dół na randkę z szatanem.

Matka O'Dwyer splotła dłonie, zamknęła oczy i jęła odmawiać szeptem modlitwę. Riona szturchnęła ją znowu lufą.

– Zero modłów! – nakazała niemal krzykiem. – Słyszysz, wiedźmo? Żadnych zakichanych modłów!

– A tak w ogóle – odezwał się Dermot, kiedy jechali mostem Brian Boru i wewnątrz samochodu wypełnił blask promieni słońca odbitych od rzeki – to dokąd nas ta droga prowadzi, jeśli wolno zapytać?

– Do Nohaval Cove, a gdzież by indziej. Mamy wierzchowca i trzeba się go pozbyć.



## Rozdział 54

Katie brała długi ciepły prysznic; oparła tył głowy o glazurę kabiny i woda chlustała jej na twarz. Nadal miała opuchnięty brzuch z wielkim, czarnym jak węgiel siniakiem pośrodku, okolonym fioletem, ale nie dawał się jej we znaki tak dotkliwie jak wczoraj i nie czuła się już tak bardzo poturbowana, choć wciąż bolały ją plecy.

Wyszła z kabiny, zawinęła sobie ręcznik na głowie i włożyła szlafrok. Na półce obok umywalki leżała tylko jedna szczoteczka, zniknęły także maszynka do golenia Johna i płyn po goleniu. To samo zastała w sypialni: w garderobie nie było jego ubrań. Swetrów, butów. Na kołkach w przedpokoju nie wisiały już jego kurtki i szaliki.

Zabrał również teczkę z obrazami i rysunkami. Zostawił po sobie jedynie portret Katie przedarty na pół.

Stała chwilę w drzwiach i myślała o wszystkich, którzy w taki czy inny sposób ją porzucili. Matka. Seamus. Paul. A teraz John.

Wyszeptała cicho słowa piosenki, którą ojciec śpiewał zawsze w Nowy Rok. *Napełnij mi po brzegi ten kielich rozstania. Dobranoc wszystkim i radości wszelkiej.*

W kuchni zaparzyła sobie kawy. Zdziwiła się, że teraz, kiedy nie była już w ciąży, gust zmienił jej się tak raptownie; nie mogła nawet znieść myśli o zielonej herbacie czy ciastkach czekoladowych z imbirem.

Gdy czekała, aż zaparzy się kawa, wszedł Barney i szturchnął ją nosem w nogę. Spojrzał jej przy tym w oczy z uczuciem i nie wiedziała, czy to empatia, czy tylko sygnał, że chce wyjść na spacer. Psy i mężczyźni, pomyślała. Nigdy nie rozgryziesz, dlaczego cię potraktują tak albo inaczej.

Popatrzyła na iPhone'a, który leżał na kuchennym blacie. Kusiło ją, by podjąć jeszcze jedną próbę z Johnem, ale potem przyszło jej do głowy, że on to potraktuje jako żebranie. Jeśli jej nie chce, jeśli poczuł do niej odrazę, bo uznał, że przesiąkła brudem od wewnątrz, to jest jego problem. Stać ją na lepszych facetów. Takich, którzy nie uykają przed rzeczywistością jak John, kiedy był młodszy, i którzy nie uciekają od niej. Dwa razy.

– Jeśli tak na to patrzysz, mój drogi – powiedziała, nalewając sobie kawy. W tej samej chwili zadzwonił telefon i omal jej nie rozlała.

To był detektyw O'Donovan.

– Wiem, że dopiero co dojechała pani do domu, ale detektyw komisarz O'Rourke prosił, żebym do pani zadzwonił i dał znać, że Riona Mulliken chyba kropnęła zakonnice w klasztorze Bon Sauveur.

– Niech mi pan powie, że to nieprawda. Jezu...

– Mało tego, porwała jeszcze przełożoną.  
– Mówi pan poważnie? Tę starą matkę O’Dwyer?  
– Tę starą matkę O’Dwyer i o ile wiadomo, nadal jest uzbrojona w strzelbę. Kieruje się na południe samochodem, który, naszym zdaniem, prowadzi Dermot, ten, cośmy go mieli aresztować. Niebieska toyota avensis. Jadą za nimi dwa wozy szturmowców i uprzedziliśmy też nadkomisarza Barry’ego z Carrigaline, bo zdaje się, że wałą w tamtą okolicę. I teraz już naprawdę pani nie uwierzy. Holują za sobą przyczepę z koniem.

– Przyczepę? Z koniem w środku? – powtórzyła Katie. – Morderca, który ucieka samochodem, targając ze sobą przyczepę z koniem?! Z jaką prędkością się poruszają?

– Góra sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Jesteśmy tuż za nimi, ale nie chcemy, żeby Riona Mulliken spanikowała. Któraś siostra w klasztorze usłyszała, jak grozi, że przestrzeli matkę O’Dwyer na wylot, a wcześniej rozwalila głowę zakonnicy, która spała, więc wydaje mi się, że babka nie żartuje.

– Więc na razie możemy tylko za nią jechać i wybadać, dokąd zmierza – powiedziała Katie. – Ona sobie na pewno zdaje sprawę, że nie ucieknie. Pan także ją śledzi?

– Tak, owszem, i Dooley też ze mną jest. Jesteśmy na N Dwadzieścia Osiem, właśnie dojeżdżamy do ronda Shannonpark. Jeszcze nie wiadomo, dokąd ona się kieruje... może do Ringaskiddy i przeprawy promowej... Nie, skręciła w następny zjazd... z pewnością bierze kurs na Carrigaline.

– Ruszam tam do was – oznajmiła Katie, rozwijając ręcznik, który miała na głowie.

– Nie ma takiej potrzeby, pani nadkomisarz. Poza tym nie powinna pani siadać za kierownicą.

– Przed domem stoi funkcjonariusz ochrony. On może prowadzić.

– Ale my świetnie dajemy sobie radę. Wszystko jest pod kontrolą. Detektyw komisarz O’Rourke mówi, że w razie czego wezwie wsparcie powietrzne. Eurocopter stoi w tej chwili na lotnisku, bo rano przywiózł z Baldonnel kogoś na spotkanie w radzie hrabstwa. Możemy go migiem ściągnąć.

– Mimo to przyjadę, Patricku. Zadzwoń, kiedy będę wyjeżdżała, powiecie mi, gdzie jesteście.

– Pani nadkomisarz...

Katie zakończyła połączenie, szybko przełknęła łyk gorącej kawy i poszła do łazienki. Z grubsza wysuszyła włosy. Barney obserwował ją z nadzieją, kiedy w sypialni wkładała ciepły czarny golf i szary kostium ze spodniami.

– Spacerku nie będzie, Barns – powiedziała, klepiąc go po szyi. – Później, przyrzekam.

Pies zrozumiał, bo posiedział jeszcze chwilę, a potem ułożył się z łbem na

łapach i patrzył na panią ze smutkiem chrześcijańskiego męczennika.

\* \* \*

Musieli pojechać okrężną dwudziestosiedmiokilometrową drogą, żeby dotrzeć do Carrigaline; najpierw ruszyli na północ do trasy E30, a następnie na południe N40 przez Jack Lynch Tunnel, by dostać się na N28.

Ochroniarz Katie pędził tak, że włosy stawały jej dęba. Jego bmw serii 5 było nieoznakowane, ale miało niebieskie światła błyskowe za atrapą chłodnicy oraz syrenę.

– Kierowcą rajdowym powinien pan zostać – powiedziała Katie, gdy przemknęli przez Jack’s Hole i wypadli znowu w blask słońca.

– A ścigałem się, dopóki mi się nie przytrafił drobny wypadek – odparł. – Nie z mojej winy, ale jeden żółtodziób został ciężko ranny i wtedy dałem sobie spokój. Nie wpadłem w nerwicę, ale ciągle myślałem, jakie by były następstwa, gdyby naprawdę coś się stało, a w takim stanie umysłu z wyścigów nici.

– Nie znam pana nazwiska – zauważyła Katie.

– Garrett. Stephen Garrett. Ale koledzy przeważnie mówią na mnie Dusty.

– Dusty? A dlaczego tak?

– Bo kiedy byłem mały, zawsze wolałem się trzymać na uboczu, nikt nie mógł mnie znaleźć. Wie pani, co ludzie robią, jak nie mogą kogoś znaleźć. Pytają „Gdzie on jest?”, a wtedy ktoś zawsze odpowie: „W pokoju Nelly za tapetą” albo coś w tym guście. No i tak o mnie mówili. „A, Stephen. Siedzi na tym zakurczonym<sup>7</sup> stryszku”.

Przejeżdżali właśnie przez centrum Carrigaline i przestali rozmawiać, bo Garrett musiał się skupić na lawirowaniu wśród pojazdów, które wczesnym popołudniem zapełniały ulice. Katie zerknęła na niego i mimo woli przyszło jej na myśl, że bardzo przystojny i prostoliniorny z niego mężczyzna. Nagle sobie uprzytomniła, że gdy wiozł ją ze szpitala do domu, zachowywał milczenie, ponieważ jest nieśmiały, a ona bądź co bądź miała stopień detektywa nadkomisarza.

Kiedy zostawili za sobą Carrigaline, znów dodał gazu, mimo że szosa robiła się coraz węższa i bardziej kręta, a po obu stronach pięły się wysokie żywopłoty. Katie chwyciła się klamki na drzwiach, gdy ścinali zakręty i nieomal odrywali się od asfaltu, kiedy droga opadała. Po dziesięciu minutach zobaczyła kombi volvo należące do regionalnej jednostki wsparcia, a na prostym odcinku przed nim dojrzała drugie oraz nieoznakowanego forda mondeo.

Na samym przedzie z prędkością nie więcej niż czterdzieści kilometrów na godzinę telepała się przyczepa do przewozu koni pomalowana na ochronny zielony kolor. Miała otwartą klapę, ale znajdowała się za daleko i w środku było zbyt ciemno, by Katie mogła zobaczyć zwierzę, które w niej ponoć wieziono.

Funkcjonariusz Garrett zwolnił i zajął miejsce w szyku za radiowozem. Katie zadzwoniła do detektywa O'Donovana i poinformowała, że go dogoniła.

– Czy Riona Mulliken ma telefon komórkowy? – spytała.

– Owszem, i bez przerwy do niej dzwonię – odparł O'Donovan. – Może nie chce odebrać połączenia, a może nie ma przy sobie komórki. Tak czy siak, wydzwaniam na darmo.

Znam to uczucie, pomyślała Katie.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że jadą przez wioskę Nohoval, która składała się z szeregu schludnych, świeżo umalowanych domków stojących wzdłuż drogi. Na końcu znajdowało się skrzyżowanie z górującym nad wsią kościołem Świętego Patryka. W ogrodzie przed kościółkiem stała naturalnych rozmiarów figurka Maryi Dziewicy, jej bladoniebieska szata połyskiwała w słońcu. Katie szybko się przeżegnała. Zobaczyła, że toyota z przyczepą skręca w lewo, trzy policyjne auta pojechały za nią. Katie miała nieprzyjemne przeczucie, że zapowiada się coś naprawdę złego.

– Dokąd oni jadą? – spytał funkcjonariusz Garrett.

– Jeśli się nie mylę, to do Nohaval Cove – odparła.

– Tam znaleziono te wszystkie zabite wierzchowce wyścigowe, prawda?

– No właśnie. Tam znaleziono te wszystkie zabite wierzchowce wyścigowe.

Zmotoryzowana kawalkada sunęła z wolna polami, aż dotarła do wierzchołka klifu w Nohaval Cove. Toyota z przyczepą kolebała się i podskakiwała po smaganej wiatrem trawie, dopóki nie znalazła się jakieś dziesięć metrów od krawędzi. Wtedy stanęła. Katie zadzwoniła do detektywa O'Donovana.

– Dalej już nie, Patricku. Dajcie im więcej przestrzeni.

O'Donovan zatrzymał wóz na drodze biegnącej obok ostatniego poletka przed skarpią. Dwa volva ustawiły się za nim i wysypało się z nich siedmiu uzbrojonych policjantów w czarnych bluzach i kamizelkach kuloodpornych; wszyscy trzymali pistolety automatyczne Heckler & Koch MP7. W pośpiechu zajęli stanowiska w półkolu jakieś sześćdziesiąt metrów od toyoty i przyczepy; niektórzy uklękli, inni padli na trawę.

Katie wysiadła z samochodu i idąc wzdłuż szeregu wozów, dotarła do detektywów O'Donovana i Dooleya, którzy stali za mondeo z pistoletami SIG Sauer w dłoniach.

– Nic nie musicie mówić – uprzedziła ich, zanim otworzyli usta. – Nie chcieliście, żebym przyjechała. Ale tę sprawę muszę doprowadzić do samego końca.

Zbliżył się do nich sierżant z jednostki szturmowej.

– Udało wam się nawiązać kontakt?

– Nie – rzucił O'Donovan. – Ale to, co tu widzimy, chyba trudno uznać za próbę ucieczki na serio. Jeśli ktoś zmyka przed policją, holując za sobą przyczepę

z koniem i staje na końcu ślepej uliczki, to nie jest to zbyt sprytne. No bo niby jak oni zamierzają wyjść z tej sytuacji, sami powiedzcie.

– Mogliby sobie zażyczyć, żebyśmy im umożliwili swobodny wyjazd poza terytorium kraju, no wiecie, w zamian za matkę przełożoną – dywagował Dooley. – Ale innych opcji jakoś nie widzę.

– Swobodny wyjazd? Mogą coś takiego krzyknąć – przyznał sierżant. – Chcecie, żebym zagadał do nich przez megafon?

Katie zastanawiała się przez chwilę. W trawie świszczął cicho wiatr, a morze za krawędzią skarpy mieniło się turkusowo. Ta sytuacja nasuwała jej najczarniejsze przeczucia. Riona Mulliken od dawna już szukała odwetu na siostrach z klasztoru Bon Sauveur. Dokonywała go w sposób bijący w oczy i z potwornym wręcz okrucieństwem, lecz robiła to, bo uważała, że sama zaznała kiedyś od zakonnic potwornych okrucieństw. Czy może być dla matki większe okrucieństwo niż odebranie jej dziecka? – myślała Katie. Kiedyś utraciła Seamusa, a wczoraj powtórzyło się to znowu i emocjonalna udręka była nie do opisanego. Uprzytomniła sobie, że z radością mogłaby ukatrupić Davydosa Karosasa, byłaby gotowa kopać go tak długo, aż by skończył.

Gdy odwróciła się do sierżanta, miała łzy w oczach.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał.

– Tak, oczywiście. Cholernie zimny ten wiatr. – Wierzchem dłoni otarła oczy. – Pogadam z nią. Gdyby pan zechciał podać mi megafon.

Toyota i przyczepa tkwiły nieruchomo i nie było tam widać śladu życia poza tym, że koń poparskiwał i tupał niecierpliwie kopytami. Sierżant wrócił z megafonem, przyniósł również czarną kamizelkę kuloodporną.

– Proszę. – Podał ją Katie. – Po co mają panią podziurkować. Źle, że wiatr na panią wieje, a gdyby przewiewał na wylot, byłoby jeszcze gorzej.

Detektyw O'Donovan pomógł jej zapiąć kamizelkę i uniosła megafon.

– Riono! – zawołała głośno. – Riono Mulliken!

Czekała chwilę, ale odzewu nie było.

– Riono! – krzyknęła ponownie. – Tu detektyw nadkomisarz Kathleen Maguire z komendy Gardy w Cork. Rozumiem, dlaczego uprowadziłaś matkę O'Dwyer! Słyszysz mnie? Wiem, przez co przeszłaś i dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś!

Z drugiej strony wciąż nikt się nie odzywał.

– Tak sobie myślę, że powinniśmy im przestrzelić opony – zaproponował sierżant z jednostki szturmowej. – To by im uprzytomniło, że nigdzie stąd nie odjadą.

– Riono! – zawołała Katie. – Riono, chcę tylko z tobą pomówić! Jest wyjście z tej sytuacji!

– No, pewnie, że jest – powiedział cicho sierżant. – Przez sąd karny prosto

do żeńskiego skrzydła w zakładzie karnym w Limerick.

Katie odwróciła się do niego.

– Czy mógłby pan zachować te komentarze dla siebie, sierżancie?

– Tak, pani nadkomisarz. Przepraszam. Chciałem tylko rozładować trochę napięcie.

Katie uniosła znowu megafon, lecz zanim zdążyła przemówić, drzwi toyoty się otworzyły. Pierwsza wysiadła Riona. W jednej ręce trzymała strzelbę i mierzyła we wnętrze samochodu.

Dało się słyszeć szcęknięcie sprzętu i uzbrojeni funkcjonariusze unieśli pistolety; celowali w Rionę.

– Wstrzymać ogień! – rozkazał sierżant. – W wozie jest zakładnik!

Riona schyliła się i wyciągnęła z tylnego siedzenia matkę O'Dwyer. Zakonnica stała z twarzą szarą jak popiół; wiatr szarpał jej szkaplerz tak, że słychać było wyraźne trzepotanie. Riona stanęła obok, mierząc w głowę zakonnicy.

– Riono! – powiedziała przez megafon Katie. – Proszę, odłóż broń! Proszę cię! Nic dobrego z tego nie wyniknie! Wiem, dlaczego tak bardzo nienawidzisz sióstr, ale dosyć już zrobiłaś! Pokazałaś nam wszystkim, ile się nacierpiałaś!

Tamta nie odpowiedziała, odwróciła się i rzuciła coś do Dermota, który wysiadł z samochodu i stanął przy niej. Gdy podała mu strzelbę, policjanci wycelowali w niego, lecz sierżant znowu krzyknął:

– Wstrzymać ogień!

Może i żartowniś z niego, ale przynajmniej nie świerzbi go palec. Katie wołała sobie nie wyobrażać, jakie by to spowodowało reperkusje, gdyby na oczach policji zastrzelono matkę przełożoną klasztoru.

Nie ponowiła wezwania do Riony. Widziała, że cokolwiek tamta postanowiła, nic nie może jej nakłonić do zmiany zdania. Riona zbliżyła się od tyłu do przyczepy, odpięła klamry i opuściła rampę. Weszła do środka, odwiązała Sparkle'a Drugiego i łagodnie sprowadziła go tyłem na trawę.

– Co ona, u diabła, kombinuje? – odezwał się detektyw Dooley. – Chyba nie będzie próbowała uciekać konno?

Detektyw O'Donovan rozejrzał się po polach.

– To szaleństwo, ale czemu nie. A my nie moglibyśmy jej gonić.

– Moglibyśmy zastrzelić wierzchowca.

– No super, wtedy mielibyśmy na karku ISPCA.

– Ta baba zabiła pięć zakonnicy!

– Wiem. Ale ten koń nie zabił, kurwa, nikogo.

Riona postawiła nogę na błotniku przyczepy, zarzuciła nią i dosiadła wierzchowca na oklep. Następnie, trzymając go za grzywę, podjechała z wolna do matki O'Dwyer i Dermota, który przez cały czas trzymał lufę strzelby pięć centymetrów od głowy zakonnicy.

– Boże – jęknęła Katie. – Oby ona nie chciała zrobić tego, co moim zdaniem zamierza.

Dzierżąc mocno grzywę Sparkle’a Drugiego, Riona schyliła się i chwyciła matkę O’Dwyer za prawą rękę. Ta usiłowała się wyrwać i paść na kolana, żeby być poza zasięgiem ramion Riony, Dermot jednak przełożył strzelbę do lewej dłoni, wsunął prawą rękę głęboko w fałdy habitu między nogami zakonnicy i targnął ją w górę niczym wór węgla. Riona dźwignęła ją na grzbiet konia i po raz pierwszy matka O’Dwyer wydała z siebie krzyk.

– Boże, dopomóż! Niech mi ktoś pomoże! Jezu, ocal mnie!

Uzbrojeni funkcjonariusze wstali i niektórzy ruszyli przed siebie, ale Dermot dźgnął zakonnice strzelbą w pośladki i zawołał:

– Nawet o tym nie myślcie, bo rozpieprzę jej, kuźwa, dupę!

Sparkle Drugi zrobił kilka kroków. Wiercił się, potrząsał łbem i parskał. Było jasne, że wyczuwa osaczającą go zewsząd wrogość. Riona siedziała wyprostowana jak podczas konkursu ujeżdżania, matka O’Dwyer leżała przed nią twarzą w dół. Kopała jak małe dziecko, ale Riona trzymała ją mocno za pasek, żeby zakonnica się nie zsunęła.

Katie uniosła megafon i krzyknęła:

– Riono! Nie rób tego!

Tamta jednak obróciła niespokojnego wierzchowca o trzysta sześćdziesiąt stopni, a potem wbiła pięty obcasów w jego boki. Sparkle Drugi wyrwał przed siebie i pokłusował prosto ku krawędzi skarpy.

– Riono! – ryknęła Katie, choć miała świadomość, że jest już za późno, o wiele za późno.

Sparkle Drugi skoczył z urwiska tak, jakby usiłował pokonać najwyższą przeszkodę, z jaką przyszło mu się w życiu zmierzyć. Uniósł łeb i wyrzucił nogi daleko do przodu. Przez krótką chwilę mógł być Pegazem w powietrznym cwale.

Nagle jednak wytracił impet i runął w przepaść, tylne nogi wierzgnęły gorączkowo, próbując uchwycić grunt pod kopytami. Matka O’Dwyer z krzykiem ześliznęła się z jego grzbietu. Riona zdołała jakoś utrzymać pozycję, aż łeb konia zanurkował i wszyscy znikli.

Katie usłyszała chrobotliwy łoskot, kiedy Sparkle Drugi uderzył o skały, ale porywisty wiatr nie pozwolił jej dosłyszeć matki O’Dwyer ani Riony.

Uzbrojeni funkcjonariusze otoczyli Dermota. Ten trzymał strzelbę uniesioną, lecz cofał się z niepewnym uśmiechem. Raz po raz się oglądał, szacując odległość dzielącą go od urwiska.

– No dobra, odłóżmy tę zabawkę, co koleś?! – zawołał sierżant. – Będzie już wykopyrtnięć jak na jeden dzień.

Dermot się zawahał. Z jego miny nie sposób było odgadnąć, co dzieje się w tej łepetynie. Naraz jednak oparł kolbę fuzji o ramię i wymierzył prosto

w sierżanta.

Nie miał cienia szansy, by nacisnąć spust. Rozległ się terkot pistoletów maszynowych i z jego ciała pofrunęły w powietrze kawałki niczym stado szkarłatnych motyli, które spłoszone zerwały się do lotu. Okręcił się raz i drugi, a potem upadł plecami w trawę; jego wciąż otwarte oczy patrzyły prosto w niebo.

Katie zbliżyła się i spojrzała. Był jeszcze brzydszy i bardziej podobny do trolla, niż go odmalowała Eithne O'Neill.

– Śliczny jak obrazek to on nie był, co? – odezwał się detektyw O'Donovan, który stanął tuż za jej plecami.

– Racja. – Nie wiadomo dlaczego, przez chwilę myślała o portrecie, który John przedarł na pół.

Podeszła do skraju urwiska. Rozpoczął się przyływ i widziała wśród piany Sparkle'a Drugiego. Nie był już Pegazem, podniebnym rumakiem. Nogi miał rozcapierzone i pękł mu brzuch, wnętrzności to unosiły się na wodzie, to opadały. Riona i matka O'Dwyer legły jedna obok drugiej na przechylonym głazie, który przypominał łożo grubo wyciosane z kamienia. Spoczywały twarzami do siebie, a matka O'Dwyer zdawała się obejmować ramionami Rionę, jakby ją utulała.

Niemal jak rodzona matka, pomyślała Katie.



## Rozdział 55

Ciemno już było, kiedy sierżant Garrett dowiózł Katie na Anglesea. Czowała się wyczerpana, ale trzeba było poprowadzić wstępną odprawę i wydać komunikat dla mediów.

Ledwie zapaliła światła w gabinecie, gdy do drzwi zapukał detektyw komisarz O'Rourke.

– No i co tam? – spytał.

– Och, super. To znaczy, jeśli ktoś lubi zarabiać na życie odgrywaniem greckich tragedii.

Usiadła za biurkiem, a on podał jej teczkę.

– Ta zastrzelona zakonnica, zidentyfikowaliśmy ją. Siostra Virginia O'Cleary.

– Jedna ze Świętej Siódemki – stwierdziła Katie. – Co robiła w klasztorze?

– Usłyszała, zdaje się, o tym, że ktoś morduje inne zakonnice, i zaczęła się bać o swoje życie. Pojechała do klasztoru, żeby się tam schronić.

– Hm, na wiele się to nie zdało, co? Zabrali ją już do kostnicy?

– Jeszcze nie.

– O Jezu. Krwawa łaźnia. A ja naiwna myślałam, że bliźniacy Dugganowie to okrutne dranie.

Detektyw komisarz O'Rourke wskazał teczkę, którą przyniósł.

– Jest już sporo materiału o Rionie Mulliken. Rodzice zareagowali bardzo ostro, kiedy zaszła w ciążę w wieku piętnastu lat, i wysłali ją do Domu Świętej Małgorzaty. Spędziła tam trzy lata, aż jej syn został oddany do adopcji w Ameryce. Nie ma nic o tym, jak ją tam traktowano, ale domyślam się, że uszczęśliwiona nie była.

Katie otworzyła teczkę i zerknęła na pierwsze dwie strony.

– Jak to się stało, że zajęła się końmi wyścigowymi? – spytała. – Czytałam kiedyś w gazecie, że złożyła pozew przeciwko zakonnicom z Bon Sauveur o to, że oddały jej syna do adopcji bez jej zgody. Napisano, że była jedną z najlepszych hodowczyń w Cork, ale to wszystko, co zapamiętałam.

– Zgadza się – potwierdził O'Rourke. – Po wyjściu ze Świętej Małgorzaty znalazła sobie robotę na farmie ogierów w Ballinhassig. Była tylko stajenną, oprzątała konie. Ale jeździła regularnie na wyścigi z właścicielem stadniny i tam wpadła w oko Stephenowi Mullikenowi, gościowi, do którego należało Clontead Stud. Parę lat wcześniej stracił żonę, zmarła na raka. Riona była od niego młodsza o trzydzieści lat, atrakcyjna i bez grosza przy duszy, a on był samotny i nadziany. Wzięli ślub. Stephen Mulliken zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym i Riona odziedziczyła stadninę ogierów. Nie miałem jeszcze czasu, żeby

pogadać z ludźmi z branży wyścigowej, ale wiadomo powszechnie, że w ostatnich latach dla mniejszych hodowców koni czystej krwi zrobiło się ciężko. Duży gracz, tacy jak Darley i Coolmore, obławiają się jak zwykle, bo choć trzymają w rękę tylko dziesięć procent wszystkich ogierów hodowanych na świecie, to pokrywają one ponad czterdzieści procent klaczy. Rozmawiałem w zeszłym tygodniu ze znajomym bukmacherem, ale trzymał mocno język na wodzy. Teraz Riony nie ma, więc może chętniej powie, co kombinowała.

– Dobrze, Francis, dziękuję – powiedziała Katie. – Zabiorę to dzisiaj do domu i przeczytam. A poszukiwania w klasztorze? Jak idą?

– W zasadzie na finiszu. Wszystkie szczątki przetransportowane, Bill Phinner i jego ekipa będą je sortowali przez następnych parę tygodni. Czasu to zajmie od cholery. Przynajmniej mamy wykaz imienny tych biedactw, nawet gdyby się ich nie dało dopasować do szkieletów. Muszę powiedzieć, że wpadła pani na rewelacyjny pomysł, żeby szukać rejestru za obrazem. Nawet jeśli Ni Nuallán znalazła go w innym miejscu.

– O nie, cała zasługa za to przypada Kynie. Jest jeszcze na komendzie, prawda? Nie pojechała do domu?

– Tak, jeszcze jest – potwierdził detektyw komisarz O'Rourke. – Przeglądała inne rzeczy, które znalazła pod figurą. Stos korespondencji, świadectw adopcji i różne takie dokumenty.

– Nadal wątpię, czy uda nam się postawić komuś zarzuty – zmartwiła się Katie. – Nawet jeśli te dzieci zagłodzono lub rozmyślnie zaniedbano... to właściwie nie sposób wykazać czyjaś winę. To samo było w Tuam. Jak tu aresztować cały klasztor zakonnice, zwłaszcza że to się działo tak dawno?

– Gdyby chociaż Kościół się przyznał i wyraził skruchę, to już byłoby coś – zauważył O'Rourke. – Przecież nasz rząd przeprosił za magdalenki.

– Zbyt późno na to nie liczyła. A co z Michaeliem Gerretym i Karosasem?

– Karosasowi postawiono zarzuty, składamy teczkę dowodową, więc jakoś to idzie do przodu. Przesłuchałem go jeszcze raz w obecności adwokata i trzyma się wersji, że Gerrety mu wybulił za porządne nastraszenie Roisin Begley, tak żeby przeciwko niemu nie zeznawała. No i dalej utrzymuje, że to był wypadek i że celowo dziewczyny nie utopił.

– A Gerrety?

– Spędza długi weekend na Gran Canarii, ale wróci we wtorek rano. Nie wiem, na ile pani do tego czasu wydobrzeje, ale pomyślałem, że z przyjemnością by go pani osobiście zakuła w kajdanki.

– Z łoża śmierci bym wstała, Francis.

– Nadal nie zlokalizowaliśmy Fergala ó Floinna – oznajmił O'Rourke. – Jak na mułowatego grubasa jest bardzo trudny do uchwycenia. Trzeba pamiętać, że facet bunkruje się zarówno przed nami, jak i przed Romami. Paddy Fearon nie bił

rekordów sympatii wśród Cyganów, ale oni nie przepadają za takimi, co to podkładają bomby w miejscach ich postojów.

– Jestem przekonana, że to Riona Mulliken zapłaciła ó Floinnowi za podłożenie ładunku – powiedziała Katie. – Chciałabym tylko wiedzieć, jak kobieta jej klasy spiknęła się z takim łachmytą.

– Może przez tego Dermota – zasugerował detektyw komisarz. – Szkoda, że jest zbyt sztywny, żeby wydobyć z niego jakąś sensowną odpowiedź.

Zadzwoił telefon Katie. Detektyw Dooley informował, że przyjechali funkcjonariusze z jednostki zbrojnej i że komendant MacCostagáin także dotarł już na komendę; wszyscy zebrali się w sali konferencyjnej, gdzie miała się odbyć pierwsza odprawa.

– No dobrze. – Katie wstała. – Czekają tam na nas.

Zanim jednak włożyła żakiet, weszła detektyw sierżant Ni Nuallán. Rękawy jej jasnoniebieskiej koszuli były podwinięte, a włosy wyglądały tak, jakby domagały się umycia.

– Czy to coś ważnego? – spytała Katie. – Właśnie mieliśmy schodzić na odprawę.

– O, myślę że woli pani najpierw zobaczyć to. – Ni Nuallán podała jej przezroczystą foliową kopertę.

Były w niej dwa arkusze papieru, czas powłókł obydwu sepią. Pierwszym był list napisany maszynowo na sygnowanym papierze. Sygnatura należała do przewielebnego kanonika Martina O’Flynna z Montenotte.

Katie chciała przejrzeć list pobieżnie, lecz nagle uświadomiła sobie, czego dotyczy, i czytała powoli, linijkę po linijce.

– Matko święta – westchnęła, skończywszy.

– Co się stało? – zapytał detektyw komisarz O’Rourke. – Naprawdę powinniśmy już iść na dół.

Katie uniosła list.

– To jest przyznanie się kanonika O’Flynna do tego, że utrzymywał intymne kontakty z siostrą Hannah O’Dwyer z klasztoru Bon Sauveur. Z przykrością informuje biskupa, że siostra Hannah spodziewa się dziecka. Sugeruje „z największą pokorą”, że stan siostry O’Dwyer powinno się zachować w tajemnicy i kiedy ta już urodzi dziecko, należy je niezwłocznie przekazać do adopcji.

– Chyba pani żartuje – zdumiał się detektyw komisarz O’Rourke.

– Ten drugi list – powiedziała Ni Nuallán. – Proszę go przeczytać.

List napisano bordowym atramentem na liniowanym papierze. Był datowany, ale bez adresu.

*Droga Siostrze Bridget!*

*Proszę przyjąć najgłębsze wyrazy wdzięczności za dar naszej córki. To mały aniołek z Niebios.*

*Ochrzczono ją w niedzielę i nadaliśmy jej imiona Riona Hannah, ponieważ matka moja nosiła imię Riona, a powiedziały nam siostry, że jej matka, kimkolwiek jest, ma na imię Hannah.*

*Dziękujemy raz jeszcze i niech Bóg będzie z Wami.*

*Shauna Nolan*

– Nazwisko panińskie Riony Mulliken brzmiało Nolan – odezwała się detektyw sierżant Ni Nuallán. – Shauna Nolan była jej matką adopcyjną. Rodzoną matką była siostra Hannah O’Dwyer.

– Myśli pani, że Riona wiedziała? – Katie zadała to pytanie i mimo woli przypomniała sobie ją i przełożoną klasztoru, które spoczywały na wyciągnięcie rąk na wielkim kamieniu w Nohaval Cove.

Ni Nuallán wzruszyła ramionami.

## Rozdział 56

Tej nocy Katie źle spała. Ustawicznie migał jej w głowie obrazek ze Sparkle'em Drugim, który dawał susa z krawędzi skarpy; matka O'Dwyer spływała mu z grzbietu niczym gęsta plama ropy, Riona zaś na ułamek sekundy zawisała w powietrzu z szeroko rozpostartymi rękami niczym święta Małgorzata z Cortony.

Wczesnym rankiem wyprowadziła Barneya na spacer, ale nie zawędrowała tak jak zwykle aż do klubu tenisowego; bolał ją brzuch, a w powietrzu wisiała mżawka.

– Uroczy mamy dzionek – mruknął, czytając gazetę, jeden z funkcjonariuszy przydzielonych do jej ochrony, którzy siedzieli w samochodzie na podjeździe.

Weszła do domu i stanęła w cichym salonie. A więc tak to ma być? Tak już zawsze będzie wyglądało jej życie? Samotne i do dna wypełnione ciszą?

Przeszła do kuchni, lecz wtedy odezwał się dzwonek i poszła otworzyć. Na ganku stało dwóch mężczyzn. Jednym był funkcjonariusz ochrony, a drugi, chudy i wymizierowany, miał mokre włosy, potarganą brodę i nosił okrągłe okulary.

– Ten dżentelmen mówi, że go pani zna – oznajmił policjant.

Katie przyglądała się chudzielcowi ze zdziwieniem. Nagle jednak uprzytomniła sobie, kogo ma przed sobą.

– Liam! – zawołała. – Na miłość boską, gdzieś ty był? Jak ty wyglądasz?

– A więc zna go pani? – upewniał się funkcjonariusz. Katie zauważyła, że przez cały czas jego dłoń spoczywa na ręczce pistoletu SIG Sauer.

– Tak, oczywiście. To detektyw komisarz Liam Fennessy. Hm... właściwie były detektyw komisarz Liam Fennessy. Wchodźże, Liam! Przemoczony pan jest!

– No dobrze – powiedział ochroniarz i zasalutował.

Liam wszedł do przedpokoju. Zawsze był szczupły, ale teraz wyglądał na zagłodzonego. Jego brązowy płaszcz z wełny był przemoczony, na szklach okularów wisiały krople deszczu. Cuchnął wilgocią i potem.

– Już myślałam, że umarłeś – odezwała się Katie. – Po tym liście, który do mnie napisałeś, co innego miałam myśleć?

Przeciągnął ręką po włosach.

– Przepraszam. W niedobrym miejscu byłem, wie pani? W naprawdę niedobrym.

– Proszę zrzucić ten mokry płaszcz, wejść do salonu i rozgościć się przy kominku. Jak listek się pan trzęsie, na litość boską!

Pomogła mu zdjąć płaszcz. Miał pod nim wyświechtaną tweedową marynarkę z dziurami na łokciach i rozwleczone brązowe spodnie ze sztruksu. Wszedł do salonu i pomału go okrążył, jakby z trudem budził się ze snu.

– Tam siadaj, przy ogniu – zachęciła go Katie. – Filiżankę herbaty? A może

wolisz kawę?

– Nie, nie, dziękuję. – Usiadł na skórzanym fotelu obok gazowego kominka. Leżał przed nim Barney, lecz teraz uniósł łeb i pociągnął dwa razy nosem, po czym wstał i podreptał do kuchni.

Katie usiadła z ramieniem opartym na kanapie.

– Byłam pewna, że ze sobą skończyłeś. Tak się cieszę, że jednak widzę cię żywego.

Zdjął okulary i wytarł je o rękaw marynarki.

– Tak jak mówiłem, byłem w niedobrym miejscu. No i jestem kompletnie splukany. Straciłem do końca azymut. Z Caitlin zerwałem, to mnie wybiło z torów. Wiem, że nie traktowałem jej jak należy, ale kiedy odeszła, to po prostu mi odbiło.

– Trzeba było zwrócić się do mnie o pomoc. I nie mów do mnie przez pani, nie teraz. W liście zwracałeś się do mnie po imieniu.

Liam założył okulary i uśmiechnął się smutno.

– Woda sodowa uderzyła mi do głowy, szczerze mówiąc. Liam Fennessy, wielki detektyw! I o niebo lepiej się czułem po wciągnięciu koki. Tak na dobry początek.

– No więc gdzieś ty się podziewał? – chciała wiedzieć Katie. – Masz się gdzie zatrzymać?

– O, tak. Mam pokoik w Gurra. Nieduży i cuchnie kapustą, ale jest się gdzie kimnąć.

– Zdajesz sobie sprawę, że mamy przeciwko tobie cały wór zarzutów, prawda?

– Pewnie. Udział w spisku, który doprowadził do morderstwa na funkcjonariusz Brendzie McCracken. Udział w drugim spisku, który doprowadził do morderstwa na detektyw Nessie Goold. Że nie wspomnę o ciężkich obrażeniach ciała, porwaniu i wymuszeniu.

Katie długo się nie odzywała. Liam wpatrywał się w ogień, na jego okularach tańczyły płomienie. Miał brudne ręce, ale nadal widziała jaśniejszy pasek w miejscu, gdzie była obrączka. Zastawił ją w lombardzie, żeby spłacić dług u handlarzy narkotyków, to więcej niż pewne.

– Mogłabym cię potraktować lżej, gdybyś podał informacje o Bryanie Molloyu – powiedziała Katie. – W końcu to nie ty osobiście podłożyłeś bombę, od której zginęła McCracken, i nie było cię przy tym, kiedy zastrzelono detektyw Goold.

– Nie jestem dzięki temu mniej winny – zauważył Liam. – I możesz sobie wyobrazić, co by się ze mną stało, gdybym podkablował Molloya. Znaleźliby mnie pewnego dnia powieszzonego w celi z kijem w zadku. Poza tym nie mogę udowodnić, że on mi płacił. Wszystko szło w gotówce, przechodziła z rąk do rąk pod stołami w pubach.

– No to co zamierzasz? Teraz już wiem, że żyjesz, więc będziemy cię poszukiwali, a nie możesz wiać bez końca.

– Zdaję sobie sprawę. Ale jak się raz wzięło szylinga, to twój los jest przyklepany, nawet jeśli cię stać na spłatę długu, a mnie nie stać.

– Kiedy ty ostatnio coś jadłeś? Nie jesteś czasem głodny?

Pokręcił głową.

– To na nic, proszę pani. Znaczą Kathleen. Od tego nie ma odwrotu.

Po tych słowach wstał. Rozpiął marynarkę, unosząc upaprany czerwony sweter, który miał pod spodem. Wyciągnął zza paska kieszonkowy pistolet automatyczny Kimber i wymierzył w Katie.

Ta siedziała daleko na swoim miejscu z ręką na oparciu kanapy.

– Gdyby pani wiedziała, jak mi przykro – powiedział i spróbował przełknąć ślinę, ale mu się nie udało, bo tak zaschło mu w ustach. – Nigdy nie myślałem, że do tego dojdzie, tak twarzą w twarz.

– To ty zastrzeliłeś detektywa Horgana – odgadła Katie. – I to ty próbowałeś mnie zastrzelić przez okno. Tutaj, w tym pokoju.

– Lichy ze mnie strzelec, prawda? A Horgana też lubiłem. Naprawdę. Zawsze mnie umiał rozśmieszyć, nawet jak się czułem gówniano.

– Więc co teraz zrobisz, zabijesz mnie? – spytała Katie. – Będziesz tak stał i zastrzelisz mnie, kiedy patrzę ci w oczy, rozmawiamy i próbujemy wymyślić, jak by ci pomóc?

– Nie możesz mi pomóc. Nikt nie może. Molloy chce, żeby cię zabić, i kropka. Bulnie mi za to pięć tysięcy euro. A gdzie indziej wytrzasnę pięć tysięcy?

– Ja ci mogę dać pięć tysięcy euro.

Dyszał, a broń drżała mu w dłoni. Pistolet był mały, jego lufa miała jakieś dziesięć centymetrów długości, lecz wypluwał pociski kalibru .45, Katie zginęłaby w jednej chwili.

– Tak, jasne, dasz mi pięć tysięcy euro, ale co potem? Będziecie mnie ścigali i... I tak skończę przy Rathmore Road, wisząc za szyję pod sufitem!

– Nie zabijesz osoby, która siedzi, prawda? – powiedziała Katie. Słyszała swój spokojny głos, ale w rzeczywistości czuła się tak, jakby jej brzuch napełniony był lodowatą wodą. Za chwilę zginę, myślała. To naprawdę jest kres mojego życia.

Liam uniósł broń nieco wyżej i mierzył prosto w serce Katie. Nagle jednak zadzwonił dzwonek u drzwi.

– Kto to? – zapytał Liam.

– Pojęcia nie mam. Ale, tak czy owak, gliniarz stoi na zewnątrz, prawda? A jeśli usłyszysz huk wystrzału...

Liam zagryzł wargę i opuścił broń.

– Otwórz.

– Słucham?

– Otwórz! Idź otworzyć! Ale jeśli piśniesz choćby słowo...

Podeszła do drzwi i otworzyła. Na ganku zamiast funkcjonariusza przydzielonego jej do ochrony stała detektyw sierżant Ni Nuallán. Miała na sobie granatowy płaszcz z kapturem, spod którego wyglądała blond grzywka; policjantka się uśmiechała.

– Kyno...

Katie nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bo tamta weszła do przedpokoju.

– Uff, co za okropny dzień! A u mnie w chałupie ledwo grzeją! O, masz napalone w kominku, rewelacja!

W drzwiach salonu stanął Liam. Jego pełna napięcia twarz wyglądała przerażająco.

– Kto to jest? – wycharczał.

– Kyna Ni Nuallán. Na pewno ją pamiętasz.

– Boże drogi – powiedziała Kyna. – Komisarz Fennessy! Oczom nie wierzę! Liam gapił się na nią.

– O – wydukał bezdźwięcznym głosem. – Och, to ty.

– Ale co pan tu robi? – spytała Kyna wciąż radosnym tonem. – Myślałam, że już pana więcej nie ujrzymy! Wszyscy tak myśleliśmy!

– Kyno... – odezwała się Katie, lecz nie musiała nic więcej mówić, bo Liam cofnął się do salonu i znów uniósł broń.

– Co jest grane? – zdziwiła się detektyw sierżant. – Dlaczego on do nas mierzy?

– Przyszedł mnie zastrzelić. – Katie starała się panować nad głosem. – Z rozkazu Bryana Molloya.

– Co? – Kyna odwróciła się do Liama. – Co? Przyszedł pan tu niby po co?

– Przymknij się i podnieś, kurwa, ręce! – krzyknął.

– No nie, mam tego dosyć! – wściekła się Kyna. – Odłóż ten pistolet!

– Nie ruszaj się! – Głos Liama zamienił się we wrzask.

– Kyno, nie! – zawołała Katie, ale ta rzuciła się na Liama i go powaliła. Zatoczył się na stolik i wyrznął głową w nogę kanapy, dziewczyna poleciała na niego. Przez chwilę siłowali się na dywanie, raz po raz unosiła rękę i waliła w Liama.

Katie ruszyła do dziecięcego pokoju, w którym trzymała pistolet, zanim jednak tam dotarła rozległ się huk. Odwróciła się i zobaczyła, że Liam zrzuca z siebie Kynę, a ona stacza się na bok. Plama krwi na białym swetrze, który miała pod płaszczem, błyskawicznie się rozszerzała. W powietrzu wisiał dym, czuło się woń spalonego prochu.

Liam pozbierał się na nogi, wciąż trzymając pistolet. Katie rzuciła się do drzwi i otworzyła je. Wypadła wśród deszczu na podjazd.

– Na pomoc! – krzyknęła, pędząc do samochodu, w którym dwaj



funkcjonariusze przydzieleni do jej ochrony dalej czytali gazety.

Obaj momentalnie otworzyli drzwi i wysiedli.

– Jest uzbrojony! Ma pistolet! – wydyszała, gdy do nich dobiegła. – Przed chwilą zastrzelił Kynę!

Liam wybiegł z bramy i ślizgał się przez chwilę niczym postać w filmie Charliego Chaplina. Na widok policjantów zatrzymał się, ale nie podniósł rąk.

– Proszę do środka – polecił jeden z ochroniarzy i otworzył przed Katie tylne drzwi. – Głowa nisko.

Wsiadła i ułożyła się bokiem. Nagle szarpnął ją w brzuchu potworny ból i zdawało jej się, że dostała krwotoku. Myślała jednak tylko o Kynie, która leżała w salonie na podłodze w zakrwawionym swetrze.

Przez dłuższy czas Katie nic nie słyszała, tylko jeden przejeżdżający samochód. Ostrożnie uniosła głowę i spojrzała nad przednimi fotelami; funkcjonariusze stali jakieś dwadzieścia metrów od Liama z pistoletami w dłoniach. Rozmawiali.

Nagle Liam uniosł broń i wymierzył sobie w prawe ucho. Zobaczyła, że policjanci rzucają się sprintem w jego stronę, ale zdążył wypalić, nim pokonali połowę odległości. Mózg bluznął strumieniem na buczynowy żywopłot i Liam zwałił się bokiem na chodnik.

– Karetka! – krzyknęła, gramoliła się z auta. – Dzwońcie po karetkę!

Przemknęła ile sił obok ciała Liama, nawet na niego nie patrząc, i wpadła do domu. Kyna dalej leżała na dywanie.

Miała oczy otwarte, choć zamglone, i wciąż jeszcze oddychała. Z jej ust ściekała na dywan wąska strużka krwi.

Katie uklękła przy niej.

– Kyno, karetka jest już w drodze – zapewniła ją. – Proszę cię, zostań ze mną, kochana. Będzie wspaniale, przyrzekam. Zostań ze mną, proszę.

– Zimno – wyszeptała dziewczyna.

Katie ściągnęła żakiet i okryła ją nim. Nachyliła się, pogłaskała ją po włosach i pocałowała.

– Zostań ze mną, kochana. Cudownie nam będzie razem, tobie i mnie. Ani się waż mnie zostawiać. Ani mi się waż.

– Zimno mi – powtórzyła Kyna.

<sup>1</sup> NASC, Irish Immigrant Support Centre, organizacja w Cork wspierająca imigrantów.

<sup>2</sup> *The Fields of Athenry* (Pola Athenry) – tytuł popularnej irlandzkiej pieśni folkowej, od lat nieoficjalny hymn kibiców piłkarskiej reprezentacji tego kraju.

<sup>3</sup> ISPCA, Irish Society for the Prevention of Cruelty to Animals (Irlandzkie Towarzystwo Przeciwdziałania Okrucieństwu Wobec Zwierząt).

<sup>4</sup> W 1975 roku w irlandzkim mieście Tuam w pobliżu prowadzonego przez zakonnice domu dla niezamężnych matek odkryto masowy grób ze zwłokami 796 dzieci – od noworodków po ośmiolatki – które zmarły w wyniku chorób i niedożywienia.

<sup>5</sup> Katolicki duchowny, prymas Irlandii, zamieszany w aferę tuszowania pedofilii w Kościele.

<sup>6</sup> Taoiseach – gaelicki tytuł premiera Republiki Irlandii; Tánaiste – tytuł wicepremiera.

<sup>7</sup> Dusty (ang.), zakurzony.

